



NORA ROBERTS

PORT MACIERZYSTY

Nieosiągnięta mistrzyni romantycznego suspense,
jedna z najbardziej znanych autorek na świecie

• *Książnica* •



NORA ROBERTS

PORT MACIERZYSTY

Nieosiągnięta mistrzyni romantycznego suspense,
jedna z najbardziej znanych autorek na świecie

•Książnica•

NORA ROBERTS

PORT MACIERZYSTY

Dla Marianne i Kya

z wyrazami miłości, nadziei i podziwu

PORT MACIERZYSTY

„Piękno samo usprawiedliwia własne istnienie”

Emerson

Wiał wilgotny, lodowaty i przenikliwy wiatr. Śnieg, który spadł na początku tygodnia podczas zamieci, utworzył na poboczu drogi nieregularne muldy. Niebo było nieprawdopodobnie niebieskie, a огоłocone drzewa z czarnymi, pozbawionymi liści gałęziami górowały nad kępami zbrązowiałej oszronionej trawy i potrząsały konarami jak pięściami, protestując przeciw zimnu.

Tak wyglądał marzec w Maine.

Miranda ustawiła w samochodzie ogrzewanie na cały regulator, włączyła odtwarzacz kompaktowy i zatopiła się w dźwiękach *Cyganerii* Pucciniego.

Wracała do domu. Po dziesięciodniowej wyprawie, podczas której wygłaszała odczyty i błąkała się między hotelem, miasteczkiem studenckim a lotniskiem, nie mogła się doczekać powrotu do swoich pieleszy.

Nienawidziła wygłaszania wykładów i cierpiała potworne katusze, ilekroć musiała stanąć przed tłumem gorliwych słuchaczy. Mimo wrodzonej nieśmiałości i związanej z każdym występem tremy nie mogła jednak lekceważyć swoich obowiązków.

Była przecież doktor Mirandą Jones, pochodzącą z rodziny Jonesów z Jones Point.

Nigdy nie pozwolono jej o tym zapomnieć.

Miasto założone zostało przez Charlesa Jonesa, człowieka, który pragnął pozostawić po sobie w Nowym Świecie trwałe ślad. Miranda wiedziała, że zadaniem Jonesów było zapewnić sobie pozycję najważniejszej rodziny w Point, brać aktywny udział w życiu towarzyskim i zawsze zachowywać się tak, jak przystało Jonesom z Jones Point.

Szczęśliwa, że coraz bardziej oddala się od lotniska, skręciła w drogę prowadzącą wzdłuż wybrzeża i nacisnęła pedał gazu. Uwielbiała szybką jazdę. Prawdziwą przyjemność sprawiało jej błyskawiczne przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Trudno było nie zauważyć rudowłosej wysokiej kobiety. Zawsze odnosiło się wrażenie, że to ona decyduje o wszystkim, nawet jeśli wcale tak nie było.

Kiedy poruszała się z precyzją i zdecydowaniem godnym pocisku samonaprowadzającego, wszyscy ustępowali jej z drogi.

Pewien zadurzony w niej mężczyzna przyrównał głos Mirandy do aksamitu owiniętego w papier ścierny. Rekompensowała sobie ten defekt dynamicznym, urywanym, często graniczącym z afektacją sposobem mówienia.

To odnosiło pożądany skutek.

Chociaż budowę ciała Miranda odziedziczyła po jakimś celtyckim wojowniku, rysy miała typowe dla mieszkańców Nowej Anglii: pociągłą i spokojną twarz z długim prostym nosem, nieco wystającą

brodą i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Wydatne usta przeważnie zachowywały powagę, to samo dotyczyło błękitnych oczu.

Teraz jednak Miranda uśmiechała się, ponieważ cieszyła ją długa kręta droga biegnąca wzdłuż pokrytych śniegiem klifów i widoczne w dali lekko wzburzone stalowoszare morze.

Uwielbiała jego zmienność, która sprawiała, że morze czasem działało uspokajająco, innym zaś razem budziło grozę. Pokonując kolejne zakręty, Miranda słyszała fale, które rozbijały się o skały, a potem cofały się, jak pięść mająca zamiar ponownie wymierzyć cios.

Promienie bladego zimowego słońca połyskiwały na śniegu, a niespokojne porywy wiatru unosiły w powietrze pojedyncze płatki i rzucały je na drogę. Nad zatoką rosły nagie drzewa, z każdym rokiem coraz bardziej pochylane przez burze i przypominające przygiętych do ziemi starców. Miranda będąc dzieckiem obdarzonym niezwykle bujną fantazją, wyobrażała sobie często, że te drzewa po cichutku skarżą się sobie i zbijają w grupkę, by bronić się przed wiatrem.

Chociaż obecnie uważała, że nie ma już tak bujnej wyobraźni, nadal uwielbiała patrzeć na sękatę powyginane pnie przywodzące na myśl starych żołnierzy stojących w równym szeregu nad urwiskiem.

Droga stopniowo pięła się w górę, pas ziemi coraz bardziej się zwężał, a z obu stron podkradała się woda. Morze i cieśnina były bardzo kapryśne, często posepne i jak dwa głodomory nieustannie obskubywały brzegi. Powyginany cypel wznosił się, a jego najwyższy punkt wyglądał jak garb i przypominał powykręcaną artretyzmem kostkę palca ozdobioną starym wiktoriańskim domem, który spoglądał z góry na morze i ziemię. Za nim, tam gdzie teren ponownie opadał w stronę wody, widać było białą włócznię strzegącej wybrzeża latarni morskiej.

Mirandzie w dzieciństwie ten dom dostarczał mnóstwo radości i był schronieniem.

Mieszkała w nim Amelia Jones, kobieta, która odrzuciła tradycję Jonesów i żyła po swojemu.

Mówiła to, co myślała, i w jej sercu zawsze było miejsce dla dwojga wnucząt.

Miranda uwielbiała ją. Tylko raz w życiu odczuwała prawdziwy żal - po śmierci babki, osiem lat temu.

Swój dom i zgromadzony w ciągu minionych lat spory majątek wraz z kolekcją dzieł

sztuki Amelia zostawiła Mirandzie i jej bratu. Synowi, ojcu Mirandy, przekazała życzenie, by zanim ponownie się spotkają, stał się przynajmniej w połowie takim mężczyzną, jakim jej zdaniem powinien być. Synowej zapisała sznur pereł, ponieważ przypuszczała, że jest to jedyna rzecz, jaką Elizabeth w pełni zaaprobuje.

Miranda doszła do wniosku, że lakoniczne komentarze w testamencie bardzo pasowały do babki. Amelia przeżyła męża o ponad dziesięć lat, a zatem bardzo długo mieszkała samotnie w ogromnym, wzniesionym z kamienia domu.

Myśląc o babce, Miranda dojechała do końca biegnącej wzdłuż wybrzeża drogi i skręciła w długi zygzakowaty podjazd.

Górujący nad okolicą dom przez wiele lat opierał się wichurom, bezlitośnie chłodnym zimom i szokującym, nagłym letnim upałom. Teraz stara się przetrwać wieloletnie zaniedbanie, pomyślała Miranda z pewnym poczuciem winy.

Ani ona, ani Andrew nie mieli czasu, by ściągnąć malarzy i kogoś, kto skosiłby trawniki. Dom, który w okresie jej dzieciństwa był chlubą rodziny, teraz niszczał i chylił się ku upadkowi. Mimo to uważała, że jest uroczy - jak stara kobieta, która nie wstydzi się przyznać do swego wieku. Dzięki temu że nie został zbudowany chaotycznie, stał prosto jak żołnierz - szary kamień dodawał mu godności, a szczyty i wieżyczki dostojęstwa.

Od strony cieśniny znajdowała się pergola, po której ażurowych ścianach pięła się wistaria, każdej wiosny okrywająca się wspaniałym kwieciami. Z tego miejsca roztaczał się wspaniały baśniowy widok. Miranda chciała zawsze znaleźć trochę czasu, by usiąść na jednej z marmurowych ławek ustawionych pod tym pachnącym baldachimem i cieszyć się upajającą wonią, cieniem oraz ciszą. Niestety jakimś cudem rokrocznie wiosna przemieniała się w lato, lato w jesień, a Miranda niezmiennie przypominała sobie o swoim postanowieniu dopiero zimą, kiedy gęste poplątane pędy były całkowicie ogołoczone z liści.

Być może warto by wymienić niektóre z desek szerokiej frontowej werandy. Elementy wykończeniowe i okiennice już dawno straciły niebieski kolor i zrobiły się szare, należałoby więc zdrapać starą farbę i pomalować wszystko od nowa. Natomiast rosnąca na pergoli wistaria prawdopodobnie wymagała przycięcia, nawiezienia lub tego, co zwykle się robi z tego typu roślinami.

Zrobi to. Wcześniej czy później zajmie się tym.

Mimo to okna lśniły, a surowe oblicza przykucniętych na okapie gargulców uśmiechały się. Z długich tarasów i wąskich balkonów rozciągał się widok na całą okolicę.

Ponadto ilekroć ktoś znalazł czas i rozpałił ogień na kominku, w górę unosiły się obłoczki dymu. Niedaleko domu rosły wspaniałe stare dęby, a gęsty sosnowy zagajnik stanowił zaporę przed wiejącym od północy wiatrem.

Miranda i jej brat dość zgodnie dzielili ten dom - przynajmniej dopóty, dopóki Andrew nie zaczął za bardzo pić, ale wcale nie miała zamiaru teraz o tym myśleć. Była zadowolona, że znajduje się blisko niego, ponieważ lubiła go i kochała, dlatego wspólna praca i mieszkanie stanowiły dla niej prawdziwą przyjemność.

Kiedy Miranda wysiadła z samochodu, wiatr zdmuchnął jej na oczy luźne kosmyki włosów. Nagle zabrakło jej tchu, bo ktoś chwycił ją za włosy i używając ich jak sznura, mocno szarpnął, odciągając jej głowę do tyłu. Poczowała ból, przed oczyma mignęły jej małe białe gwiazdki, a przez chwilę wydawało się, że straciła przytomność. Na szyi, w miejscu gdzie pulsuje krew, poczuła zimny ostry czubek noża.

Żołądek podszedł jej do gardła, a kotłujący się w głowie paniczny strach przemieszczał się w stronę krtani. Zanim zdołała krzyknąć, została odwrócona i z całych sił

pchnięta na samochód. Potworny ból w biodrze sprawił, że przez chwilę nic nie widziała, a jej nogi zamieniły się w galaretę. Ręka trzymająca włosy ponownie mocno za nie szarpnęła, pociągając głowę Mirandy do tyłu.

Miał okropną twarz. Tępą, chorobliwie bladą i pokrytą bliznami. Dopiero po kilku sekundach mimo przerażenia Miranda dostrzegła, że jest to jedynie pomalowana gumowa maska mająca na celu zdeformowanie oblicza.

Miranda nie stawiała oporu, nie była w stanie. Niczego nie bała się bardziej niż noża -

jego śmiertelnościanego czubka i gładkiego morderczego ostrza. Ostra końcówka przyciskała jej szczękę, dlatego każdy z trudem łapany oddech powodował potworny ból i jeszcze większe przerażenie.

Chociaż Miranda czuła, że jej serce tłucze się w gardle, w miejscu gdzie czuła ostrze, usiłowała zapamiętać wszelkie szczegóły dotyczące napastnika. Mógł mieć metr dziewięćdziesiąt lub więcej, ważył najprawdopodobniej dziewięćdziesiąt dwa, może dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, był barczysty, z krótkim byczym karkiem.

O Boże!

Miał ciemnobrązowe oczy. Tylko tyle zdołała zobaczyć przez szparki w przerażającej gumowej masce. Te oczy były płaskie jak oczy rekina i bez wyrazu nawet wówczas, gdy przesunął czubkiem noża po gardle Mirandy, by delikatnie naciąć jej skórę.

Poczuła w tym miejscu lekkie pieczenie, a na kołnierzu płaszcza popłynęła cienka strużka krwi.

- Proszę...

To słowo wyrwało się jej z ust w chwili, kiedy instynktownie odepchnęła od siebie rękę trzymającą nóż. W sekundę później z mózgu Mirandy ulotniły się wszystkie racjonalne myśli, ponieważ napastnik czubkiem noża pchnął do góry jej głowę i odsłonił widoczną na szyi bolesną linię.

Miranda wyobraziła sobie jedno szybkie i bezgłośnie machnięcie nożem, przeciętą tętnicę szyjną i tryskającą z niej gorącą krew. Gdyby do tego doszło, umarłaby na stojąco, zaszlachtowana jak jagnię.

- Proszę tego nie robić. Mam trzysta pięćdziesiąt dolarów w gotówce.

Boże, spraw, by chodziło mu o pieniądze, pomyślała. Tylko o pieniądze. Jednocześnie modliła się o odwagę, by walczyć, gdyby miał zamiar ją zgwałcić, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że nie zwycięży.

Jeśli ten człowiek pragnie ją zabić, miała nadzieję, że nastąpi to szybko.

- Dam panu te pieniądze - zaczęła, potem zabrakło jej tchu, kiedy odepchnął ją na bok jak wypchany szmatami tobołek.

Z ogromną siłą uderzyła rękami i kolanami o wysypywany żwirem podjazd, po czym poczuła pieczenie małych niemiłych skaleczeń na dłoniach. Usłyszała własny jęk i z wściekłością myślała o beznadziejnym poniżającym strachu, który sprawił, że była w stanie jedynie patrzeć na oprawcę zasnutymi mgłą oczyma.

Patrzeć na lśniący w słabych promieniach słońca nóż. Chociaż rozum nakazywał jej biec lub walczyć, sparaliżowana kulila się ze strachu.

Wziął torebkę i aktówkę Mirandy, po czym obrócił ostrze noża tak, by oślepić ją odbitymi od niego promieniami słońca. Potem pochylił się i wbił czubek noża w tylną oponę.

Kiedy go stamtąd wyszarpnął i zrobił krok w kierunku Mirandy, powoli zaczęła posuwać się na czworakach w stronę domu.

Myślała, że napastnik ponownie ją uderzy, szarpnie za ubranie lub wbije jej nóż w plecy, robiąc to z tą samą beztroską siłą, jakiej użył dźgając w oponę, mimo to ani na chwilę nie przestawała posuwać się do przodu po kruchej zmarzniętej trawie.

Kiedy wreszcie dotarła do schodów, odwróciła głowę, chociaż przed oczami latały jej kółka, a z ust wyrywały się ciche niepewne jęki.

Była sama.

Krótkie, z trudem chwywane oddechy drapały ją w gardle i paliły w płucach, kiedy wlokła się schodami w górę. Musi wejść do środka, musi uciec. Zamknąć drzwi, zanim ten człowiek wróci i zrobi użytek z noża.

Ręka Mirandy ześlizgnęła się z gałki raz, potem drugi, nim zdołała zacisnąć na niej palce. Zamknięte. To oczywiste. Nikogo nie ma w domu. Nie ma nikogo, kto mógłby jej po-móc.

Przez chwilę leżała przed drzwiami zwinięta w kłębek, drżąc ze strachu i zimna, ponieważ nad wzgórzem hulał lodowaty wiatr.

Rusz się, nakazała sobie. Musisz się ruszyć. Weź klucze, wejdź do domu i zadzwoń po policję.

Strzeliła oczami w prawo i w lewo jak królik sprawdzający, czy w pobliżu nie ma wilków. Zaczęła dzwonić zębami. Trzymając ręką gałkę, podciągnęła się do góry. Chociaż uginały się pod nią nogi, a lewe kolano potwornie bolało, zataczając się jak pijak, zbiegła z werandy i gorączkowo zaczęła szukać torebki. W końcu przypomniała sobie, że zabrał ją ten mężczyzna.

Jednym szarpnięciem otworzyła schowek w samochodzie, a potem zaczęła go przeszukiwać, jednocześnie modląc się, przeklinając i wznosząc błagania. Kiedy jej palce zacisnęły się na zapasowych kluczach, jakiś dźwięk sprawił, że gwałtownie się odwróciła i uniosła ręce, próbując się bronić.

Nie było nikogo, jedynie wiatr poruszał nagimi czarnymi gałęziami drzew, ciemnymi krzakami pnących róż i zamarznąłą trawą.

Oddech świstał jej w płucach, kiedy kulejąc ruszyła biegiem w stronę domu, a potem gorączkowo wpychała klucz do zamka. Gdy w końcu trafił na swoje miejsce, zatkała.

Potykając się, weszła do środka, trzasnęła za sobą drzwiami i przekręciła zamki. Kiedy oparła się plecami o masywne drewno, klucze wysliznęły się jej z ręki i z brzękiem wylądowały na podłodze. Pociemniało jej w oczach, zacisnęła powieki. Jej ciało i umysł były całkowicie sparaliżowane. Wiedziała, że musi podjąć następny krok, zacząć działać, coś zrobić, ale nie mogła sobie przypomnieć co.

Dzwoniło jej w uszach i co chwila ogarniały ją potężne fale nudności. Zgrzytając zębami, zrobiła krok do przodu, a potem następny, chociaż miała wrażenie, że się delikatnie przechyliła się to w prawo, to w lewo.

Kiedy znalazła się u podnóża schodów, nagle zdała sobie sprawę, że to nie jest dzwonienie w uszach, lecz telefon. Pomimo zasnuwającej oczy mgiełki automatycznie przeszła do dobrze sobie znanego salonu i podniosła słuchawkę.

- Halo, słucham?

Jej głos brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka - był matowy jak pojedyncze uderzenia w drewniany bęben. Niepewnie trzymając się na nogach, patrzyła na wzór, który tworzyły na sosnowej podłodze wpadające przez okno promienie słońca.

- Tak. Rozumiem. Przyjadę. Mam... Co? - Potrząsając głową, by nieco oprzytomnieć, Miranda usiłowała przypomnieć sobie, co powinna powiedzieć. - Mam jeszcze pewne sprawy... pewne sprawy do załatwienia. Nie, wyjadę tak szybko, jak będzie to możliwe.

Potem wezbrało w niej coś dziwnego, była jednak zbyt oszołomiona, by zorientować się, że to histeria.

- Właściwie jestem już spakowana - powiedziała i roześmiała się.

Nie przestała się śmiać nawet po odłożeniu słuchawki. Śmiała się, bezwładnie osuwając się na fotel, a kiedy zwinęła się w kłębek, nawet nie zauważyła, że jej śmiech przerodził się w szloch.

Ścisnęła mocno filiżankę z gorącą herbatą, lecz wcale nie piła. Zdawała sobie sprawę, że drżą jej ręce, ale samo trzymanie w nich czegoś dodawało otuchy, a ciepło promieniujące z płynu na jej zmarznięte palce przynosiło ukojenie obtartym dłoniom.

Wyrażała się jasno - zrobiła wszystko, co mogła, by zgłaszając przestępstwo na policję, mówić spokojnie, logicznie i precyzyjnie.

Kiedy już była w stanie myśleć, przeprowadziła odpowiednie rozmowy i opisała całe wydarzenie oficerom, którzy przybyli do jej domu. Teraz kiedy miała to już za sobą i ponownie została sama, nie

była w stanie myśleć o czymś konkretnym dłużej niż przez dziesięć sekund.

- Mirando! - Po tym okrzyku nastąpiło głośnie jak wystrzał armatni trzaśnięcie drzwiami. Andrew wpadł do środka i z przerażeniem przyjrzał się twarzy siostry. - O Jezu! -

Podbiegł do niej, kucnął u jej stóp i długimi palcami pogłaskał ją po bladych policzkach. -

Och, kochanie.

- Wszystko w porządku. Skończyło się na kilku siniakach.

- Lecz opanowanie, które udało jej się odzyskać, zachwiało się. - Nic mi się nie stało, jedynie potwornie się przestraszyłam.

Dostrzegł rozdarcia na kolanach jej spodni i zaschniętą krew na wełnie.

- A to sukinsyn. - Niebieskie oczy Andrew, tylko odrobinę jaśniejsze od oczu siostry, nagle pociemniały z przerażenia. - Czy on... - Ujął jej dłonie, tak że teraz we dwójkę trzymali porcelanową filiżankę. - Czy on cię zgwałcił?

- Nie, nie. Wcale mu o to nie chodziło. Ukradł mi jedynie torebkę. Po prostu potrzebował pieniędzy. Przykro mi, że pozwoliłam, by to policja cię zawiadomiła. Powinnam była zrobić to sama.

- Wszystko w porządku. Nie martw się. - Ścisnął mocniej jej dłonie, a kiedy się skrzywiła, szybko je puścił. - Och, dziecinko. - Wyjął filiżankę z jej rąk, odstawił herbatę na bok i uniósł obtarte dłonie. - Przepraszam. Chodź, zawiozę cię do szpitala.

- Nie ma takiej potrzeby. To tylko stłuczenia i siniaki.

- Nabrała powietrza w płuca, dochodząc do wniosku, że przychodzi jej to łatwiej, kiedy jest przy niej Andrew.

Potrafił ją zdenerwować, często sprawiał jej zawód, mimo to przez całe życie był

jedynym człowiekiem, który zawsze przy niej się znajdował, kiedy go potrzebowała. Zawsze mogła na niego liczyć.

Podniósł filiżankę z herbatą i ponownie wcisnął ją w dłonie Mirandy.

- Upij odrobinę - rozkazał, a potem wstał i niespokojnie krążąc po pokoju, próbował pozbyć się strachu i złości.

Jego drobna pociągła twarz pasowała do smukłej sylwetki i wysokiego wzrostu. Tak samo jak siostra Andrew miał rude włosy, choć o nieco ciemniejszym, niemal mahoniowym odcieniu. Był tak zdenerwowany, że chodząc uderzał dłońmi o uda.

- Żałuję, że mnie tu nie było. Cholera jasna, Mirando. Powinienem tu być.

- Nie możesz być wszędzie, Andrew. Nikt nie mógł przewidzieć, że zostanę napadnięta tuż przed frontowymi drzwiami. Policja nie wyklucza, że człowiek ten miał

zamiar włamać się do domu i okraść nas, a mój przyjazd zaskoczył go i pokrzyżował mu szyki.

- Powiedzieli mi, że miał nóż.

- Tak. - Ostrożnie dotknęła palcami delikatnego nacięcia na szyi. - Muszę się przyznać, że wcale nie wyrosłam z panicznego strachu przed nożem. Wystarczy jedno spojrzenie, a mój mózg w ogóle przestaje funkcjonować.

Oczy Andrew stały się ponure, lecz kiedy wrócił i usiadł obok siostry, odezwał się bardzo łagodnie.

- Co on zrobił? Możesz mi to opowiedzieć?

- Po prostu pojawił się znikąd, kiedy wyjmowałam rzeczy z bagażnika. Szarpnął mnie z tyłu za włosy i przyłożył nóż do gardła. Myślałam, że to już koniec, ale napastnik jedynie powalił mnie na ziemię, zabrał torebkę, przebił opony i uciekł. - Zdobyła się na niepewny uśmiech. - Właściwie wcale nie spodziewałam się takiego powitania.

- Powinienem tu być - powtórzył.

- Andrew, nie mów tak. - Przytuliła się do niego i zamknęła oczy. - Teraz już jesteś. - I to wyraźnie wystarczało, by się uspokoiła. - Dzwoniła mama.

- Co takiego? - Miał zamiar objąć ją ramieniem, teraz jednak usiadł przed nią, by widzieć jej twarz.

- Kiedy weszłam do domu, dzwonił telefon. Boże, wciąż nie jestem w stanie logicznie myśleć - poskarżyła się i rozmasowała skroń. - Muszę jutro jechać do Florencji.

- Nie bądź śmieszna. Dopiero dotarłaś do domu, na dodatek jesteś ranna i roztrzęsiona.

Chryste, jak ona może od ciebie wymagać, żebyś wsiadła do samolotu w chwilę po napadzie?

- Nie powiedziałaś jej. - Wzruszyła ramionami. - Nawet nie pomyślałam o tym. W

każdym razie wezwanie było wyraźne i kategoryczne. Muszę zarezerwować bilet na samolot.

- Na razie idziesz do łóżka, Mirando.

- O, tak. - Ponownie się uśmiechnęła. - Za chwilę.

- Zadzwoń do matki. - Westchnął głęboko, jak mężczyzna zmuszony do wykonania niemiłego obowiązku. - Wyjaśnię jej wszystko.

- Mój ty bohaterze. - Z uczuciem pocałowała go w policzek. - Nie, pojedę. Zrobię sobie gorącą kąpiel, wezmę kilka aspiryn i poczuję się znacznie lepiej. Niewielka odmiana po niemiłej przygodzie dobrze mi robi. Wygląda na to, że Elizabeth ma jakąś rzeźbę z brązu i chce, żebym ją przetestowała. - Ponieważ herbata już wystygła, Miranda odstawiła ją na bok.

- Nie wzywałaby mnie do Standjo, gdyby to nie było coś ważnego. Potrzebny jest jej archeometra i chce mieć go szybko.

- Przecież wśród pracowników Standjo ma archeometrów.

- Oczywiście masz rację. - Tym razem Miranda uśmiechnęła się pogodnie. „Standjo” to skrót od Standford - Jones. Elizabeth robiła co mogła, aby we Florencji liczyło się nie tylko jej nazwisko, lecz również wszystko, czym właśnie się zajmowała. - Jeżeli jednak kazała mi przyjechać, musi mieć coś naprawdę ważnego. Coś, co chce zatrzymać w rodzinie. Elizabeth Standford - Jones, dyrektor Standjo we Florencji, ściągając eksperta od renesansowych włoskich brązów, chce mieć człowieka noszącego nazwisko „Jones”. Nie mam zamiaru jej zawieść.

Zabrakło jej szczęścia - nie zdołała zarezerwować miejsca na następny ranek, dlatego musiała zadowolić się biletem na wieczorny lot do Rzymu z przesiadką do Florencji.

Spóźni się niemal o cały dzień.

Będzie musiała drogo za to zapłacić.

Przygotowała sobie gorącą kąpiel i próbując wymoczyć obolałe ciało, zaczęła obliczać różnicę czasu. Doszła do wniosku, że nie ma już sensu dzwonić do matki. Elizabeth z pewnością jest w domu, być może nawet leży już w łóżku.

Wiedziała, że tego wieczoru nic już nie da się zrobić. Jutro rano zadzwoni do Standjo.

Jeden dzień to żadna różnica, nawet dla Elizabeth.

Ponieważ kolana bolały ją tak bardzo, że mogłaby mieć kłopoty z prowadzeniem samochodu, nawet gdyby udało jej się szybko wymienić opony, postanowiła pojechać na lotnisko taksówką. Pozostało jedynie...

Wyprostowała się w wannie, wylewając wodę na podłogę.

Jej paszport. Jej paszport, prawo jazdy i legitymacje służbowe. Napastnik zabrał jej aktówkę i torebkę - a wraz z nimi wszystkie dokumenty.

- O cholera! - Było to jedyne przekleństwo, na jakie się zdobyła, potem przetarła rękami twarz. Lepiej być nie może.

Szarpnęła staromodny łańcuszek, by wyciągnąć korek i spuścić wodę z wanny stojącej na przypominających łapy nóżkach. Wokół unosiła się para, a gwałtowny wybuch energii spowodowanej złością sprawił, że Miranda poderwała się na równe nogi. Zdążyła jeszcze sięgnąć

po ręcznik, potem jednak poczuła bolesne szarpnięcie w kolanie. Ugięły się pod nią nogi. Powstrzymując jęk, oparła się ręką o ścianę i usiadła na brzegu wanny, upuszczając ręcznik do wody.

Pod wpływem bólu, frustracji i nagłego powrotu strachu, który przeszył ją jak dźgnięcie nożem, poczuła, że chce jej się płakać. Nim zdołała się opanować, przez chwilę siedziała, drżąc i z trudem łapiąc powietrze.

Łzy nie pomogą jej odzyskać dokumentów ani nie przyspieszą gojenia się ran, nie przeniosą jej również do Florencji. Powstrzymała się więc od płaczu i wyzięła ręcznik.

Ostrożnie, pomagając sobie rękami, powoli wyciągnęła po kolei nogi z wanny. Ta czynność sprawiła, że skóra Mirandy pokryła się kropelkami potu, a do jej oczu ponownie napłynęły łzy. Mimo to stanęła, kurczowo trzymając się umywalki, i przejrzała się w wysokim lustrze wiszącym na drzwiach łazienki.

Na ramionach widniały siniaki. Nie mogła sobie przypomnieć, czy napastnik ją tu chwycił, ale świadczyły o tym ciemnoszare znaki. Biodro ciemnoniebieskiej barwy potwornie bolało. Przypomniła sobie, że jest to rezultat uderzenia o samochód.

Ponadto miała obtarte i obolałe kolana, a lewe było wyraźnie zaczerwienione i opuchnięte. To na nie musiała przede wszystkim upaść, być może nawet je nadwerężyła.

Kiedy się przewróciła na żwir, którym wysypany był podjazd, pokaleczyła sobie ręce.

Na widok długiego delikatnego nacięcia na szyi Mirandzie zakręciło się w głowie i poczuła mdłości. Była tak zafascynowana tą raną, że nie zdołała się oprzeć i dotknęła jej palcami. Znajdowała się zaledwie kilka milimetrów od żyły szyjnej. Tylko milimetry dzieliły Mirandę od śmierci.

Gdyby chciał ją zabić, mógł to zrobić.

I to było gorsze niż siniaki i pulsujący nieznośny ból. Jej życie przez chwilę spoczywało w rękach jakiegoś obcego mężczyzny.

- Nigdy więcej. - Odwróciła się od lustra i dokuśtykała do drzwi, by wziąć wiszący na mosiężnym haku szlafrok. - Nie dopuszczę do tego, by to się powtórzyło.

Zrobiło jej się zimno, dlatego szybko owinęła się szlafrokiem. Kiedy zawiązywała pasek, kątem oka dostrzegła za oknem jakiś ruch i z walącym sercem odwróciła głowę.

Wrócił.

Miała ochotę uciec, ukryć się, zawołać Andrew, zwinąć się w kłębek za zamkniętymi drzwiami. Szczękając zębami ze strachu, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Kiedy się przekonała, że to Andrew, doznała takiej ulgi, że zakręciło jej się w głowie.

Miał na sobie jasną kurtkę, którą wkładał, kiedy rąbał drewno albo wędrował nad urwiskiem.

Zauważyła, że coś mignęło w jego ręce - wymachiwał tym, przechodząc przez dziedziniec.

Zaciekawiona przycisnęła twarz do szyby.

Kij golfowy? Dlaczego do diabła Andrew chodzi po zasypanym śniegiem trawniku z kijem golfowym w ręce?

Kiedy zrozumiała, jej serce zalała fala miłości, uspokajając ją lepiej niż środek przeciwbólowy.

Andrew próbuje jej pilnować. Ponownie poczuła w oczach łzy. Jedna z nich popłynęła po policzku. Potem Miranda zobaczyła, że jej brat zatrzymał się, wyjął coś z kieszeni i uniósł

to do ust.

Na jej oczach pociągnął z butelki spory łyk.

Och, Andrew, pomyślała, z bólem serca zamykając oczy. Ależ nasze życie jest pogmatwane...

Obudził ją ból - ostre klucie w kolanie. Miranda wyciągnęła rękę, by włączyć światło, przy okazji rozsypując tabletki z buteleczki, którą wieczorem postawiła na znajdującym się obok łóżka stoliku. Kiedy je przełknęła, zdała sobie sprawę, że powinna była posłuchać rady Andrew i jechać do szpitala, gdzie współczujący lekarz zapisałby jej może jakiś dobry i mocny środek przeciwbólowy.

Spojrzawszy na fosforyzującą tarczę zegarka, zorientowała się, że jest po trzeciej.

Zażyty o północy ibuprofen w połączeniu z aspiryną przyniósł jej ulgę na trzy godziny. Teraz jednak obudziła się pod wpływem bólu. Doszła do wniosku, że w takim razie może pójść na całość i stawić czoło matce.

Biorąc pod uwagę różnicę czasu, Miranda pomyślała, że Elizabeth powinna właśnie siedzieć za biurkiem. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Cicho pojękując, podsunęła poduszki do kutego żelaznego wezłowania i oparła się o nie.

- Mirando, właśnie miałam zamiar zostawić dla ciebie wiadomość w hotelu.

Otrzymałabyś ją jutro, zaraz po przyjeździe.

- Będę nieco później. Nie...

- Później? - To słowo przypominało ostry odłamek lodu.

- Przepraszam.

- Wydawało mi się, że postawiłam sprawę całkiem jasno: w tej chwili to ma absolutne pierwszeństwo. Przyrzekłam rządowi, że dzisiaj zaczniemy testy.

- Wysyłam Johna Cartera. Ja sama...

- Nie prosiłam o przyjazd Johna Cartera, chcę mieć tu ciebie, niezależnie od tego, czym obecnie się zajmujesz. Sądzę, że to również było całkiem jasne.

- Tak. - Mirandzie przyszło na myśl, że tym razem tabletki jej nie pomogą. Natomiast być może wzbierająca w niej fala wściekłości zdoła pokonać ból. - Miałam zamiar stawić się we Florencji zgodnie z otrzymanymi instrukcjami.

- A zatem dlaczego jest inaczej?

- Wczoraj skradziono mi paszport i wszystkie dokumenty. Zrobię wszystko, by jak najszybciej wystawiono mi nowe. Muszę również przesunąć rezerwację. Dzisiaj jest piątek, wątpię, czy uda mi się załatwić to wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

- Nawet w tak spokojnym miejscu jak Jones Point zostawianie otwartego samochodu jest potworną bezmyślnością.

- Dokumenty wcale nie znajdowały się w moim aucie, miałam je przy sobie. Dam ci znać, gdy tylko dostanę nowe i zrobię rezerwację. Przepraszam za spóźnienie. Zaraz po przyjeździe cały swój czas i uwagę poświęcę tej sprawie. Do widzenia, mamó.

Z przewrotną satysfakcją odłożyła słuchawkę, nie czekając, aż Elizabeth zdoła cokolwiek powiedzieć.

Oddalona o niemal pięć tysięcy kilometrów, Elizabeth siedziała w swym eleganckim przestronnym biurze, patrząc na telefon z irytacją i zakłopotaniem.

- Są jakieś problemy?

Elizabeth z roztargnieniem spojrzała na swoją byłą synową. Ogromne zielone oczy Elise Warfield wyrażały zdziwienie, a na jej wydatnych ustach błąkał się usługny uśmiešek.

Małżeństwo Elise i Andrew okazało się niewypałem, co bardzo rozczarowało Elizabeth, lecz rozwód nie zmienił jej stosunku do synowej zarówno w sferze zawodowej, jak i osobistej.

- Tak. Miranda nieco się spóźni.

- Spóźni się? - Elise uniosła brwi, aż całkowicie zniknęły pod opadającą na czoło grzywką. - To niepodobne do Mirandy.

- Skradziono jej paszport i pozostałe dokumenty.

- Och, to okropne!

Elise poderwała się na równe nogi. Miała niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Dzięki bujnym kształtom sprawiała wrażenie bardzo kobiecej. Jej lśniaca hebanowa czupryna, duże, otoczone gęstymi rzęsami oczy, mlecznobiałą skórą i ciemnoczerwone usta nadawały jej wygląd seksownej czarodziejki.

- Została okradziona?

- Nie znam szczegółów. - Elizabeth na chwilę zacisnęła wargi. - Postara się zdobyć nowe dokumenty i przesunąć rezerwację. To może potrwać kilka dni.

Elise chciała zapytać, czy Miranda odniosła jakieś obrażenia, lecz zrezygnowała z tego zamiaru. Wyraz twarzy Elizabeth świadczył o tym, że albo tego nie wiedziała, albo w ogóle jej to nie interesowało.

- Wiem, że chciałaś zacząć testy jeszcze dziś. To z pewnością da się załatwić. Mogę nieco zmienić własne plany i zająć się tym osobiście.

Rozważając tę ewentualność, Elizabeth wstała i odwróciła się do okna. Zawsze wracała do równowagi, kiedy spoglądała z wysoka na miasto. Florencja stała się jej domem w chwili, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Miała wówczas osiemnaście lat i była studentką college'u. Jej serce wypełniała miłość do sztuki, a w głębi duszy czaiła się żądza przygód.

Elizabeth beznadziejnie zakochała się w mieście o czerwonych dachach, majestatycznych kopułach, krętych uliczkach i ruchliwych placach.

Zakochała się również w młodym, biednym i namiętym rzeźbiarzu, który w czarujący sposób zaciągnął ją do łóżka i karmił typowo włoskimi potrawami. Dzięki niemu poznała własne serce.

Oczywiście był dla niej nieodpowiedni, całkiem nieodpowiedni. Rodzice jakimś cudem dowiedzieli się o romansie i natychmiast ściągnęli ją z powrotem do Bostonu.

Co oznaczało koniec przygody.

Elizabeth potrząsnęła głową poirytowana, że jej myśli podążyły w tym kierunku.

Dokonała wyboru i postąpiła całkiem słusznie.

Obecnie kierowała jedną z największych i najbardziej szanowanych w świecie sztuki pracowni naukowych. Co prawda Standjo było jedynie filią Instytutu Jonesów, niemniej należało do niej. Liczyło się tylko jej nazwisko i to, co tutaj robiła.

Stała na tle okna - szczupła, atrakcyjna pięćdziesięcioośmioletnia kobieta o jasnopolipielatych włosach dyskretnie podfarbowanych w jednym z najlepszych salonów Florencji. O jej nienagannym guście świadczył idealnie skrojony ciemnofioletowy, ozdobiony nabijanymi złotymi guzikami kostium z kolekcji Valentina. Całości dopełniały dopasowane kolorystycznie skórzane czółenka.

Miała jasną cerę i typowy dla mieszkańców Nowej Anglii układ kości twarzy, pomagający przetrwać kilka zmarszczek, które ośmieliły się pojawić na jej skórze.

Bystre, choć bezwzględne niebieskie oczy świadczyły o inteligencji. Elizabeth sprawiała wrażenie opanowanej, zamożnej, modnie ubranej profesjonalistki na wysokim stanowisku.

Zawsze interesowało ją tylko to co najlepsze.

Tak, pomyślała, zawsze interesowało mnie tylko to co absolutnie najlepsze.

- Zaczekamy na nią - powiedziała, odwracając się z powrotem do Elise. - To jej dziedzina, jej specjalność. Osobiście skontaktuję się z ministrem i wyjaśnię mu krótkie opóźnienie.

Elise uśmiechnęła się.

- Nikt nie rozumie wszelkich opóźnień tak dobrze jak Włosi.

- To prawda. Później przejrzymy raporty, Elise. Na razie chciałabym załatwić tę rozmowę.

- Ty tu rządzisz.

- Tak. Och, jutro pojawi się John Carter. Będzie pracował w zespole Mirandy.

Chciałabym, żebyś przydzieliła mu na ten czas jakąś pracę, wybór zostawiam tobie. Uważam, że nie ma sensu, by zbijał baki.

- John przyjeżdża? Miło będzie go znów zobaczyć. Możemy wykorzystać go w laboratorium. Zajmę się tym.

- Dziękuję, Elise. Po wyjściu byłej synowej Elizabeth ponownie usiadła za biurkiem i uważnie przyjrzała się znajdującemu się po drugiej stronie pokoju sejfowi. Myślała o tym, co się w nim znajduje.

Tą sprawą pokieruje Miranda. Taka decyzja zapadła w momencie, kiedy Elizabeth zobaczyła brąz. Będzie to praca wykonana przez Standjo, a wszystkim pokieruje osoba noszą-

ca nazwisko „Jones”. Tak wyglądały jej plany i miała zamiar wprowadzić je w życie.

Na pewno uda jej się dopiąć swego.

Miranda była o pięć dni spóźniona, dlatego z pośpiechem pchnęła ogromne średniowieczne drzwi prowadzące do Standjo we Florencji i ruszyła przez hol sprężystym krokiem. Stukot jej wygodnych czółenek o biały lśniący marmur przypominał serię wystrzałów z karabinu.

Obchodząc wspaniałą, wykonaną z brązu reprodukcję rzeźby Celliniego przedstawiającą Perseusza z odciętą głową Meduzy, Miranda nie traciła czasu i przypięła do kłapy żakietu identyfikator dostarczony jej poprzedniego dnia przez sekretarkę Elizabeth.

Często zastanawiała się, o czym świadczy fakt, że matka wybrała do holu właśnie to a nie inne dzieło sztuki. Być może chciała w ten sposób powiedzieć, że jest w stanie jednym szybkim ciosem pokonać wszystkich wrogów.

Zatrzymawszy się przy kontuarze, Miranda odwróciła karty rejestru, wpisała nazwisko, po czym zerknęła na zegarek i odnotowała godzinę przyjścia.

Przygotowując się do tego dnia, opracowała właściwą strategię, starannie wybierając strój: jedwabny błękitny kostium o eleganckim, niemal wojskowym kroju. Zdaniem Mirandy miał w sobie coś fantastycznego, a zarazem bardzo stanowczego.

Wybierając się na spotkanie z dyrektorem jednego z najlepszych na świecie laboratoriów archeometrycznych, należy zadbać o swój wygląd. Nawet jeśli tym dyrektorem jest własna matka.

Zwłaszcza jeżeli tym dyrektorem jest własna matka, pomyślała Miranda z nikłym szyderczym uśmiechem.

Nacisnęła guzik windy i niecierpliwie czekała. Rozigrane nerwy powodowały ucisk w żołądku, łaskotały w gardle i brzęczały w głowie. Z całych sił jednak starała się, aby nikt tego nie zauważył.

Po wejściu do windy otworzyła puderniczkę i poprawiła szminkę na ustach. Jedna pomadka wystarczała jej na rok lub dłużej. Takimi nieistotnymi szczegółami przejmowała się tylko wtedy, kiedy nie można było tego uniknąć.

Zadowolona, że zrobiła wszystko, co mogła, włożyła z powrotem puderniczkę i przesunęła ręką po skomplikowanym warkoczu, którego splatanie kosztowało ją mnóstwo czasu i energii. Wepchnęła na miejsce kilka wysuwających się spinek. W tym momencie drzwi ponownie się otworzyły.

Weszła do cichego eleganckiego holu stanowiącego swego rodzaju sanktuarium.

Przyszło jej na myśl, że perłowoszary dywan oraz kremowe ściany i staroświeckie krzesła z prostymi oparciami idealnie pasują do jej matki. Były urocze, gustowne i w jakiś sposób abstrakcyjne. Eleganckie biurko, przy którym pracowała recepcjonistka, wyposażone zostało w najwyższej klasy komputer i telefony. To również było typowe dla sprawnie działającej, energicznej i nowoczesnej Elizabeth.

- *Buon giorno.* - Miranda zbliżyła się do biurka i posługując się nieskazitelnym włoskim, krótko przedstawiła swoją sprawę. - *Sono la Dottoressa Jones. Ho un appuntamento con la Signora Standford - Jones.*

- *Si, Dottoressa. Un momento.*

Miranda w myślach zaszurała nogami, pociągnęła za żakiet i rozprostowała plecy.

Czasami wyobrażała sobie, że rusza się i przestępuje z nogi na nogę, ponieważ to pomagało jej utrzymać ciało w bezruchu i zachować spokój. Właśnie kończyła w wyobraźni niespokojnie krążyć po całym pomieszczeniu, kiedy recepcjonistka uśmiechnęła się i pozwoliła jej wejść.

Miranda minęła znajdujące się po lewej stronie drzwi z podwójnego szkła i ruszyła chłodnym białym korytarzem prowadzącym do biura, w którym urzędowała *Signora Direttrice*.

Zapukała. Zawsze należało pukać do drzwi Elizabeth. Natychmiast dobiegła zza nich odpowiedź: - *Entri.*

Elizabeth siedziała za eleganckim, wykonanym z atlasowego drzewa biurkiem Hepplewhite, idealnie pasującym do jej arystokratycznego nowoangielskiego wyglądu. W

znajdującym się za jej plecami oknie widać było tonącą w promieniach słońca Florencję.

Miranda i Elizabeth spojrzały na siebie przez całą długość pokoju, dokonując szybkiej wzajemnej oceny wyglądu.

Pierwsza odezwała się Elizabeth.

- Jak minęła ci podróż?

- Spokojnie.

- To dobrze.

- Ładnie wyglądasz.

- Dziękuję, rzeczywiście czuję się całkiem nieźle. A co u ciebie?

- Wszystko w porządku. - Stojąc na baczność jak kadet podczas inspekcji, Miranda wyobraziła sobie, że dziko stepuje po idealnie urządzonej biurze.

- Napijesz się kawy? A może wolisz coś zimnego?

- Nie, dziękuję. - Miranda uniosła brwi. - Nie pytasz o Andrew?

Elizabeth machnięciem ręki wskazała krzesło.

- Co słychać u twego brata?

Kiepsko mu się wiedzie, pomyślała Miranda. Za dużo pije. Jest zły, załamany i zgorzkniały.

- Wszystko w porządku. Przesyła ci pozdrowienia - skłamała bez skrępowań. -

Zakładam, że uprzedziłaś Elise o moim przyjeździe.

- Oczywiście. - Ponieważ Miranda nadal stała, Elizabeth podniosła się z krzesła. -

Wszyscy kierownicy działów i odpowiedni pracownicy zostali poinformowani, że przez jakiś czas będziesz tu pracować. Brąz z Fiesole ma w tej chwili absolutne pierwszeństwo.

Oczywiście możesz korzystać z laboratoriów i sprzętu. Do twojej dyspozycji są również wszyscy pracownicy, z którymi zechcesz współpracować i których poprosisz o pomoc.

- Rozmawiałam wczoraj z Johnem. Wiem, że jeszcze nie zaczęłaś testów.

- To prawda. Mamy pewne opóźnienie, ale spodziewam się, że natychmiast zabierzesz się do roboty.

- Po to tu jestem. Elizabeth przechyliła głowę.

- Co stało się z twoją nogą? Odrobinę utykasz.

- Nie wiem, czy pamiętasz, że zostałam napadnięta?

- Powiedziałaś, że cię okradziono, nie mówiłaś natomiast, że byłaś ranna.

- Nie pytałaś o to.

Elizabeth wydała dziwny dźwięk, który w przypadku każdej innej osoby Miranda uznałaby za westchnienie.

- Mogłaś wspomnieć, że w czasie tego wypadku odniosłaś jakieś obrażenia.

- Mogłam, ale tego nie zrobiłam. W końcu znaczenie miał jedynie fakt, że straciłam dokumenty i wskutek tego przyjadę nieco później. - Pochyliła głowę niemal identycznie jak Elizabeth. - To było całkiem jasne.

- Zakładałam... - Elizabeth urwała i machnęła ręką w geście mogącym świadczyć o poirytowaniu lub uświadomieniu sobie własnej porażki. - Może usiądziesz, a ja przekażę ci podstawowe informacje.

Cała sprawa została odłożona na bok. Miranda spodziewała się, że tak właśnie będzie.

Usiadła i skrzyżowała nogi.

- Mężczyzna, który znalazł tę rzeźbę...

- Hydraulik.

- Tak. - Po raz pierwszy Elizabeth uśmiechnęła się. Jednakże zdradzało to raczej, iż zdaje sobie sprawę z absurdalności sytuacji, a nie że szczerze ją to bawi. - Carlo Rinaldi. Najwyraźniej ma duszę artysty, chociaż wcale nie zajmuje się sztuką. Nigdy nie udało mu się zarobić na życie malowaniem, a ojciec jego żony jest właścicielem firmy hydraulicznej, w związku z tym...

Zaskoczona Miranda uniosła brwi.

- Czy to wszystko ma jakieś znaczenie?

- O tyle, o ile jego osoba wiąże się z naszą rzeźbą. Zgodnie z jego wyjaśnieniami dosłownie się o nią potknął. Utrzymuje, że znalazł ją pod uszkodzonym stopniem schodów w piwnicy Villa della Donna Oscura. Z tego co ustaliliśmy, najwyraźniej był to przypadek.

- Czy były co do tego jakieś wątpliwości? Czy podejrzewano tego człowieka o spreparowanie całej tej historii - i brązu?

- Jeśli nawet tak było, obecnie minister nie kwestionuje prawdziwości opowieści Rinaldiego.

Elizabeth złożyła idealnie wymanikiurowane dłonie na brzegu biurka. Jej nowoangielski kręgosłup był prosty jak drut. Miranda, nie zdając sobie z tego sprawy, delikatnie się poruszyła i sama również wyprostowała plecy.

- Początkowo pewne obawy budził fakt - ciągnęła Elizabeth - że Rinaldi po znalezieniu brązu wyniósł go z willi w pudle z narzędziami, a potem wcale się nie spieszył ze zgłoszeniem znaleziska odpowiednim władzom.

Zmartwiona Miranda złożyła ręce, by nie zacząć bębnić palcami po kolanie. Nie przyszło jej nawet na myśl, że swą postawą niemal idealnie naśladuje pozę matki.

- Jak długo trzymał rzeźbę?

- Pięć dni.

- Nie zniszczył czegoś? Sprawdziłaś ją?

- Tak. Wolałabym nie wygłaszać własnych komentarzy, dopóki sama jej nie obejrzysz.

- W takim razie zgoda. - Miranda uniosła głowę. - Zobaczmy, co to jest.

W odpowiedzi Elizabeth pokonała całą szerokość gabinetu, otworzyła drzwi i odsłoniła mały metalowy sejf.

- Trzymasz ją tutaj?

- Podjęłam odpowiednie środki bezpieczeństwa. Do skarbca w laboratorium ma dostęp kilka osób, a

w tej sprawie zależy mi na ograniczeniu tej liczby do minimum. Poza tym przyszło mi na myśl, że mogłabyś pierwsze badanie przeprowadzić tutaj, gdzie nic nie odwracałoby twojej uwagi.

Pomalowanym na koralowo paznokciem Elizabeth wystukała kod, odczekała i dodała następną serię numerów. Potem otworzyła wzmocnione drzwiczki i wyjęła metalowe pudło.

Po ustawieniu go na biurku odchyliła wieko i wyjęła pakunek owinięty w kawałek wyblakłego aksamitu.

- Należałoby oznaczyć również wiek tego skrawka materiału i drewna ze schodów.

- Oczywiście. - Miranda poczuła swędzenie w palcach, wstała i powoli podeszła bliżej, a w tym czasie Elizabeth położyła zawiniątko na nieskazitelnie czystej bibule.

- Nie ma żadnej dokumentacji, prawda?

- Żadnej, przynajmniej na razie. Znasz historię tej willi.

- Tak, oczywiście. Swego czasu dom ten należał do Julietty Buonadoni, kochanki Wawrzyńca Medyceusza, znanej jako Czarna Dama. Po jego śmierci podobno została towarzyszka następnego z Medyceuszy. W tamtych czasach w jej domu z radością witano każdy promyk renesansu pojawiający się we Florencji lub jej okolicach.

- A zatem zdajesz sobie sprawę z istniejących możliwości.

- Nie interesują mnie możliwości - odparta Miranda szorstko.

- To dobrze. Właśnie dlatego tu jesteś.

Miranda delikatnie dotknęła palcem postrzępionego aksamitu.

- Naprawdę?

- Chciałam mieć to co najlepsze. Żądam całkowitej dyskrecji. Jeśli wiadomość o tym wydostanie się na zewnątrz, zaczną się niepotrzebne spekulacje. Standjo nie może i nie chce ryzykować. Rząd nie życzy sobie rozgłosu ani żadnych publicznych dyskusji, dopóki nie zostanie określona data powstania brązu i nie zakończymy wszystkich testów.

- Hydraulik prawdopodobnie zdążył już opowiedzieć tę historię wszystkim kumplom od kieliszka.

- Nie sądzę. - Na ustach Elizabeth ponownie zaigrał delikatny uśmiech. - Zabrał rzeźbę z budynku będącego własnością rządu. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli nie będzie robił

dokładnie tego, co mu każą, może iść do więzienia.

- Czasami strach rzeczywiście potrafi uciszyć ludzi.

- Tak, ale to nie nasza sprawa. Zlecono nam wykonanie testów brązowej figurki i dostarczenie rządowi wszystkich informacji naukowych, jakie uda nam się zgromadzić.

Potrzebny nam ktoś obiektywny, ktoś, kto wierzy w fakty, a nie cuda.

- W nauce nie ma miejsca na cuda - mruknęła Miranda i ostrożnie rozwinęła aksamit.

Na widok brązu poczuła gwałtowne uderzenie serca. Jej wytrawne i doświadczone oko rozpoznało doskonale wykonanie i niezwykle piękno. Mimo to zmarszczyła brwi, instynktownie ukrywając podziw pod maską sceptycyzmu.

- Wspaniała koncepcja i piękne wykonanie. - Na pewno jest to statuetka odpowiadająca kanonom sztuki renesansowej. - Wyjęła okulary z etui, które miała w kieszeni, wsunęła je na nos i podniosła brąz. Obracając go powoli, w przybliżeniu określiła jego wagę.

Zachowane zostały idealne proporcje, a w samym obiekcie było coś niezwykle zmysłowego. Artysta zadbał nawet o najdrobniejsze szczegóły - paznokcie u nóg, pojedyncze kosmyki włosów i mięśnie łydek.

Była piękna, wolna i doskonale zdawała sobie sprawę z posiadanej siły. Smukłe, pełne wklęsłości i wypukłości ciało odchyliła do tyłu. Uniesione do góry ramiona, jak zauważyła Miranda, wcale nie wyrażały modlitwy ani prośby, lecz tryumf. Jej twarz nie była delikatna, mimo to oszałamiająca. Współprzymknięte oczy wyrażały zadowolenie, a na ustach błąkał się potęgujący to uczucie przebiegły uśmiešek.

Stała na palcach, jakby miała zamiar wskoczyć do ciepłego pachnącego basenu. Lub w ramiona kochanka.

Była bezwstydnie zmysłowa i przez jeden zdumiewający moment Miranda miała wrażenie, że czuje ciepło jej ciała. Zupełnie jakby statuetka żyła.

Patyna wskazywała na to, że figurka jest dość stara, Miranda wiedziała jednak, że to może być złudzenie, gdyż tego typu śniedź łatwo podrobić. Trudno było nie rozpoznać stylu artysty, chociaż jeszcze o niczym nie świadczy, ponieważ styl można naśladować.

- To Czarna Dama - powiedziała Miranda. - Julietta Buonadoni. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wystarczająco często widywałam jej twarz na pochodzących z tego okresu obrazach i rzeźbach. Nigdy jednak nie słyszałam, by uwieczniona została w brązie.

Sprawdzę to, nie sądzę jednak, by coś zdołało umknąć mojej uwadze.

Elizabeth bacznie przyglądała się nie figurce, lecz twarzy Mirandy. Dostrzegła krótki przeblysłk podniecenia i zadowolenia, lecz i jedno, i drugie szybko zostało stłumione.

Dokładnie tak jak się tego spodziewała.

- Zgodzisz się jednak, że jest to brąz w stylu renesansowym.

- Tak. Co wcale nie oznacza, że jest to zaginione dzieło sztuki pochodzące z piętnastego wieku. - Przymrużyła oczy, powoli obracając rzeźbę w rękach. - Każdy obdarzony dobrym okiem student akademii sztuk pięknych przez wiele lat szkicował i kopiował tę twarz. Sama również to robiłam. - Od niechcenia paznokciem kciuka zdrapała odrobinę niebieskozielonej patyny. Zewnętrzna warstwa korozji na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie grubej, ale to wszystko za mało, o wiele za mało.

- W takim razie zabieram się do roboty.

W laboratorium rozlegały się ciche dźwięki muzyki Vivaldiego. Ściany miały szpitalny jasnozielony kolor, a na podłodze leżało nieskazitelnie białe linoleum. Na każdym stanowisku pracy w iście wojskowym porządku stały mikroskopy, komputery, fiołki, zlewki lub pojemniczki z preparatami. Nigdzie nie było żadnych przedmiotów osobistych: ładnie oprawionych zdjęć rodzinnych, maskotek czy pamiątek.

Mężczyźni mieli krawaty, kobiety spódniczki, a wszędzie dookoła widać było świeże białe kitle laboratoryjne z wyhaftowanym na czarno, umieszczonym na kieszonce logo Standjo.

Rozmowy ograniczano do minimum i prowadzono je przytłumionym głosem, a sprzęt pracował cichutko jak dobrze naoliwiony szwajcarski zegarek.

Elizabeth oczekiwała od zatrudnianych przez siebie ludzi rzetelnej pracy, a jej była synowa wiedziała, w jaki sposób ich do tego zmusić.

W domu, w Maine gdzie dorastała Miranda, panowała dokładnie taka sama atmosfera.

Tam oznaczała ona chłód, pomyślała Miranda, rozglądając się wokół siebie, tutaj jednak sprawiała, że było to doskonałe miejsce pracy.

- Dawno cię tu nie było - zaczęła Elizabeth. - Ale Elise wszystko ci przypomni, jeśli chodzi o całą strukturę. Oczywiście będziesz miała dostęp do wszystkich pomieszczeń. Mam twoją kartę wejściową i kody.

- Dobrze. - Miranda przywołała na twarz uprzejmy uśmiech, kiedy Elise odwróciła się od mikroskopu i ruszyła w jej stronę.

- Witaj we Florencji, Mirando. - Głos Elise był cichy i zabrzmiał trochę tak, jakby brakowało jej tchu.

- Cieszę się, że tu wróciłam. Jak ci leci?

- Dobrze. Mam mnóstwo roboty. - Elise uśmiechnęła się promiennie i ujęła dłoń Mirandy. - Co słychać u Drew?

- Nic ciekawego, ale on również jest ciągle zajęty. - Uniosła brew, kiedy Elise uściśnęła jej dłoń.

- Przykro mi.

- To nie moja sprawa.

- Ale i tak jest mi przykro. - Puściła rękę Mirandy i odwróciła się do Elizabeth. -

Oprowadzisz wycieczkę czyja mam to zrobić?

- Nie musicie mi niczego pokazywać - powiedziała Miranda, zanim zdążyła odezwać się jej matka. - Potrzebny mi jedynie kitel, mikroskop i komputer. Chciałabym zrobić zdjęcia i prześwietlić obiekt promieniami rentgenowskimi.

- A więc jesteś - powiedział John Carter, podchodząc do nich.

Kierownik laboratorium Mirandy w tym nienagannym i stylowym otoczeniu sprawiał

wrażenie kogoś, kto ma w sobie coś ujmująco niedbałego. Miał na szyi przekrzywiony na bakier krawat w głupawe uśmiechnięte krowy, a z uszkodzonej kieszeni fartucha wystawały luźne nitki. Na policzku Cartera można było dostrzec zadraśnięcie powstałe podczas golenia, za uchem tkwił ołówek wielkości kciuka, a na okularach widniały smugi.

Dzięki niemu Miranda poczuła się jak u siebie w domu.

- Wszystko w porządku? - Trzykrotnie poklepał ją po ramieniu, a potem zapytał: - Jak twoje kolano? Andrew powiedział mi, że napastnik przewrócił cię na ziemię.

- Przewrócił? - Elise zerknęła na Mirandę. - Nie wiedzieliśmy, że ktoś cię pobił.

- Raczej przestraszył. Nic mi się nie stało. Już wszystko w porządku.

- Przyłożył jej nóż do gardła - oznajmił Carter.

- Nóż? - Elise dotknęła ręką szyi. - To okropne. To...

- Już wszystko w porządku - powtórzyła Miranda.

- Chciał po prostu pieniędzy. - Odwróciwszy się, napotkała spojrzenie matki. - Sądzę, że i tak straciliśmy przez niego zbyt dużo czasu.

Przez chwilę Elizabeth nie odzywała się ani słowem. W spojrzeniu Mirandy widać było wyzwanie, dlatego postanowiła, że czas na współczucie dobiegł końca.

- W takim razie niech Elise pokaże ci twoje miejsce pracy. Tu masz identyfikator i kartę wejściową. - Elizabeth wręczyła Mirandzie kopertę. - Elise z pewnością zdoła odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania i zadba o wszelkie potrzeby. W każdej chwili możesz również skontaktować się ze mną.

- Zerknęła na maleńki zegarek na ręce. - Wkrótce mam następne spotkanie, nie będę zatem dłużej ci przeszkadzać. Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj otrzymam wstępny raport.

- Tak - mruknęła Miranda, kiedy matka się oddaliła.

- Elizabeth nie traci czasu. - Elise ponownie się uśmiechnęła i machnęła ręką. - Bardzo mi przykro, że spotkała cię tak niemiła przygoda, ale praca tutaj powinna pomóc ci o tym zapomnieć. Przygotowałam dla ciebie biuro. Brąz z Fiesole ma absolutne pierwszeństwo.

Możesz skompletować sobie zespół, wybierając ludzi spośród najlepszych pracowników.

- Mirando! - To radośnie brzmiące słowo wypowiedziane zostało z wyraźnym i egzotycznym brzmieniem, tak charakterystycznym dla języka włoskiego. Miranda poczuła, że się uśmiecha, jeszcze zanim zdołała się odwrócić, a jej ręce zostały obsypane pocałunkami.

- Giovanni. Ani odrobinę się nie zmieniłeś.

Rzeczywiście nieprawdopodobnie przystojny, śniady i elegancki laborant wyglądał

dokładnie tak samo, jak zapamiętała go Miranda. Jego oczy przypominały topioną czekoladę, a uśmiech promieniował swoistym urokiem. Giovanni był o dwa lub trzy centymetry niższy od Mirandy, mimo to sprawiał, że czuła się przy nim jak krucha kobietka. Jego lśniące czarne włosy związane były w kitkę - Elizabeth pozwalała na tę ekstrawagancję tylko dlatego, że oprócz niezwyklej urody Giovanni Beredinno posiadał jeszcze jedną cechę - był geniuszem.

- Za to ty się zmieniłaś, *bella donna*. Jesteś piękniejsza niż zwykle. Podobno byłaś ranna? - pogłaskał ją po twarzy.

- To nic takiego, już prawie zapomniałam.

- Czy chcesz, żebym rozerwał kogoś na strzępy? - Delikatnie pocałował ją najpierw w jeden policzek, a potem w drugi.

- Czy będę mogła ponownie skontaktować się z tobą w tej sprawie?

- Giovanni. Miranda ma pracę.

- Tak, tak. - Beztroskim machnięciem ręki zlekceważył sztywne i pełne dezaprobaty słowa Elise. - Wiem wszystko na ten temat. Wielka sprawa, cicho, sza. - Wymownie poruszył

wyrazistymi brwiami. - Skoro *direttrice* ściąga amerykańskiego eksperta, nie może chodzić o błahostkę. Czy w związku z tym, *bellissima*, mógłbym ci się na coś przydać?

- Jesteś pierwszy na mojej liście.

Wsunął rękę Mirandy pod swoje ramię, nie zwracając uwagi na zaciśnięte wargi Elise.

- Kiedy zaczynamy?

- Dzisiaj - powiedziała Miranda, kiedy Elise pokazała ręką drzwi. - Chciałabym od razu

przeprowadzić testy na grubość warstwy korozji i skład stopu.

- Myślę, że mógłby ci się przydać Richard Hawthorne.

- Elise poklepała po ramieniu mężczyznę pochylonego nad klawiaturą komputera.

- Doktor Hawthorne.

Miranda obserwowała przedstawionego jej łysiejącego mężczyznę, który zamrugał jak sowa, a potem zdjął okulary. Miała wrażenie, że skądś go zna, ale nie potrafiła sobie przypomnieć skąd.

- Witam, doktor Jones. - Uśmiechnął się do niej nieśmiało, a ten uśmiech dodał jego twarzy sporo uroku. Miał nieco cofniętą brodę i roztargnione jasnoniebieskie oczy.

- Miło panią ponownie widzieć. Ach, bardzo się cieszymy, że pani przyjechała.

Czytałem pani rozprawę na temat wczesnego humanizmu we Florencji. Była wspaniała.

- Dziękuję. - O tak, przypominała sobie. Kilka lat temu przez jakiś czas pracował w Instytucie. Przez chwilę poważnie się wahała, choć wynikało to z faktu, że poleciła go właśnie Elise, i Miranda doskonale zdawała sobie z tego sprawę, w końcu jednak ustąpiła. -

Elise ma dla mnie biuro. Czy mógłby się pan na chwilę do nas przyłączyć? Chciałabym coś panu pokazać.

- Z ogromną przyjemnością. - Z powrotem nałożył okulary i nacisnął kilka klawiszy, by zapisać plik.

- To nie jest zbyt duże pomieszczenie - tłumaczyła się Elise, wprowadzając Mirandę do środka. - Wyposażyłam je w to, co uznałam za konieczne. Oczywiście możesz złożyć za-potrzebowanie na wszystko, na co masz ochotę.

Miranda szybko zlustrowała swoje biuro. Stanowisku komputerowemu nie można było nic zarzucić, przygotowano je z wielką dbałością o wygodę pracy. Na szerokim białym blacie stały mikroskopy, leżały szkiełka mikroskopowe i małe, niezbędne do pracy narzędzia. Magnetofon umożliwiał nagrywanie wszelkich szczegółowych uwag. Nie było okna, jedynie drzwi, a kiedy znaleźli się w pomieszczeniu we czwórkę, ledwo wystarczało miejsca, by się obrócić.

Było natomiast krzesło, telefon i zastrzone ołówki. Miranda doszła do wniosku, że to w zupełności wystarczy.

Położyła na blacie aktówkę, a potem metalowy pojemnik. Ostrożnie wyjęła owinięty w materiał brąz.

- Chciałabym usłyszeć pańską opinię na temat tego brązu, doktorze Hawthorne. Na podstawie oględzin.

- Oczywiście, z ogromną przyjemnością.

- Ta sprawa od dwóch dni jest w laboratorium tematem wielu plotek - wyjaśnił

Giovanni, kiedy Miranda zaczęła odwijać aksamit. - Ach! - westchnął, gdy postawiła na blacie brąz.
- *Bella, molto belki.*

- Bardzo dobre wykonanie. - Richard wsunął okulary na nos i spod przymrużonych powiek przyjrzał się rzeźbie. - Całość jest prosta i harmonijna. Ma wspaniałą formę i do-pracowane szczegóły. Zachowana została perspektywa.

- Zmysłowa - powiedział Giovanni, pochylając się, by spojrzeć na statuetkę z bliska. -

Ma kobiecy powab i pewność siebie.

Miranda uniosła brew i spojrzała na Giovanniego, a po chwili ponownie zwróciła się w stronę Richarda.

- Rozpoznaje ją pan?

- To Czarna Dama Medyceuszy.

- Ja również tak sędzę. A co pan powie na temat stylu?

- Bezsprzecznie renesansowy. - Richard wyciągnął rękę i niepewnie dotknął lewego policzka. - Rzekłbym, że modelka nie została tu wykorzystana do przedstawienia jakiejś postaci mitologicznej czy religijnej. Jest tu sobą.

- Tak, zwykłą kobietą - zgodziła się Miranda. - Jak sędzę, artysta po prostu ją sportretował. Tak jak ją widział, można więc przypuszczać, że znał ją osobiście. Chciałabym znaleźć jakieś dokumenty. W tej dziedzinie liczę na pana.

- Będę szczęśliwy, mogąc pomóc. Gdyby można było uznać ten brąz za jedno z ważnych dzieł renesansu, byłoby to spore osiągnięcie dla Standjo. Dla pani także, doktor Jones.

Myślała już o tym. Naprawdę o tym myślała. Mimo to uśmiechnęła się chłodno.

- Nie lubię łowić ryb przed niewodem. Jeśli ta rzeźba spędziła sporo czasu w miejscu, w którym została znaleziona, a wygląda na to, że tak, efektem powinna być odpowiednio gruba warstwa korozji. Oczywiście będę chciała poznać wyniki - powiedziała do Giovanniego

- ale nie mogę całkiem na nich polegać.

- Przeprowadzisz badania termoluminescencyjne?

- Tak. - Ponownie uśmiechnęła się do Richarda. - Przetestujemy również materiał i drewno pochodzące ze schodów, ale dokumentacja stanowiłaby niezbity dowód.

Miranda oparła biodro o róg małego dębowego biurka.

- Została znaleziona w piwnicy Villa della Donna Oscura, była ukryta pod najniższym stopniem schodów. Wszyscy trzej dostaniecie raport z ustalonymi dotychczas szczegółami.

Wasza trójka i Vincente, nikt więcej - dodała. - Dla pani dyrektor niezmiernie ważne jest bezpieczeństwo. Jeśli będziecie potrzebowali kogoś do pomocy, musicie wybierać spośród pracowników pierwszej kategorii, a podawane im informacje należy ograniczyć do minimum, przynajmniej do czasu ukończenia wszystkich testów.

- A zatem na razie ta statuetka jest nasza. - Giovanni puścił do Mirandy perskie oko.

- Ta statuetka jest moja - poprawiła Miranda z poważnym uśmiechem. - Potrzebne mi są wszystkie informacje na temat willi i tej kobiety. Chcę ją dobrze poznać.

Richard przytaknął.

- Zaczynam od razu.

Miranda odwróciła się do wykonanej z brązu statuetki.

- Zobaczymy, z czego została zrobiona - mruknęła.

W kilka godzin później Miranda rozprostowała plecy i oparła się o krzesło. Przed nią stała uśmiechająca się przebiegle brązowa figurka. W wydzielonej przez Mirandę części patyny i brązu nie było ani odrobiny mosiądzu, krzemu czy platyny - żadnych śladów metali czy materiałów, których nie stosowano w renesansie. Jak przystało na pochodzącą z tej epoki rzeźbę, brąz miał gliniany rdzeń. Pierwsze badania warstwy korozji wskazywały na koniec piętnastego wieku.

Nie spiesz się, nakazała sobie Miranda. Wstępne testy to zbyt mało. Dotychczas szukała cech, których dzieło renesansowe nie powinno posiadać. Nie znalazła niczego nieodpowiedniego - żadnych niewłaściwych stopów ani śladów pozostawionych przez nie istniejące w tamtych czasach narzędzia. Będzie jeszcze musiała znaleźć cechy, którymi renesansowa rzeźba powinna się odznaczać.

Czy ta dama jest prawdziwa czy fałszywa?

Miranda bez pośpiechu wypijała filiżankę kawy i zjadła kilka krakersów oraz kawałek sera, w który zaopatrzyła ją Elise, traktując to jako lunch. Zmęczenie spowodowane różnicą czasu powoli zaczynało dawać się Mirandzie we znaki, mimo to starała się nie zwracać na nie uwagi. W jej żyłach krążyła typowo włoska, mocna czarna kawa, dostarczając organizmowi kofeiny, co pozwalało na jakiś czas opanować znużenie. Miranda wiedziała, że to nie może trwać wiecznie, ale na razie się nie poddawała.

Położyła palce na klawiaturze i napisała wstępny raport dla matki. Był precyzyjny i oschły, pozbawiony jakichkolwiek komentarzy i osobistych uwag. Miranda mogła uważać rzeźbę za zagadkę, tajemnicę, którą należy rozwiązać, ale na tego typu uwagi nie było w raporcie miejsca.

Wysłała raport pocztą elektroniczną, zachowując go na dysku twardym pod własnym hasłem, a potem zabrała ze sobą statuetkę, by przeprowadzić ostatni tego dnia test.

Laborantka bardzo słabo znała język angielski, poza tym zbyt wielkim respektem darzyła córkę *direttore*, dlatego Miranda nie czuła się przy niej zbyt swobodnie. Zdołała jednak wykrzesać z siebie odrobinę sympatii i wysłała pomocnicę po następną kawę. W tym czasie sama zaczęła proces termoluminescencji.

Promieniowanie jonizujące powinno uwięzić elektrony w glinianym jądrze brązu w stanie podwyższonej energii. Kiedy się je podgrzeje, znajdujące się w glinie kryształki zaczną wydzielać światło. Miranda ustawiła przyrząd, na każdym etapie szybko robiąc notatki i zapisując wyniki w notesie. Zmierzyła ilość wydzielanego światła, odnotowała ją, dodając do swoich wcześniejszych zapisków. Zwiększyła promieniowanie, ponownie podgrzała glinę, by zmierzyć jej podatność na uwięzienie elektronów. Te wyniki zostały zapisane równie starannie jak poprzednie.

Następnym etapem było dokonanie pomiaru promieniowania w miejscu, gdzie znaleziony został brąz. Przetestowała więc próbki ziemi i drewna.

Teraz pozostawało jedynie wykonać odpowiednie obliczenia. Chociaż dokładność tej metody wynosiła niemal sto procent, nie można było na niej poprzestać i zrezygnować z pozostałych badań.

Koniec piętnastego wieku. Co do tego Miranda nie miała żadnych wątpliwości.

To właśnie wtedy Savonarola wygłaszał kazania, w których potępiał luksus i pogańską sztukę. Rzeźba szydziła z prezentowanego przez niego ograniczonego punktu widzenia. We Florencji panował ród Medyceuszy. Na jego czele stał niekompetentny Pietro Nieszczęśliwy, który na krótko przejął władzę i niewiele później został wygnany z miasta przez francuskiego króla Karola VIII.

Renesans wychodził już z okresu początkowej chwały, kiedy to architekt Brunelleschi, rzeźbiarz Donatello i malarz Masaccio zrewolucjonizowali koncepcję i funkcję sztuki.

Wkrótce zacznie się szesnasty wiek i pojawi się następna generacja poszukujących oryginalności nonkonformistów. Będą do nich należeć: Leonardo da Vinci, Michał Anioł i Rafael.

Miranda znała tego artystę. Rozpoznała go instynktownie i w głębi serca czuła, że to jego dzieło. Wszystko, co kiedykolwiek stworzył, zbadała tak dogłębnie i dokładnie, jak kobieta poznająca twarz kochanka.

Przypomniała sobie jednak, że laboratorium to nie miejsce, w którym można by słuchać głosu własnego serca lub zdawać się na instynkt. Dlatego ponownie przeprowadzi wszystkie testy. Potem zrobi to po raz trzeci. Porówna wszystkie pochodzące z tego okresu receptury na brąz i wielokrotnie sprawdzi każdy składnik stopu statuetki. Będzie nękać Richarda Hawthorne'a, aby dostarczył jej pełną dokumentację.

W ten sposób pozna prawdę.

Wschód słońca nad dachami i kopułami Florencji był niezwykle piękny. Zjawisko nie dające się z niczym porównać. Takie samo łagodne światło padało na miasto, kiedy wielcy ludzie projektowali i wznosili okazałe kopuły oraz wspaniałe wieże, a potem wykładali je marmurem pochodzącym z pobliskich wzgórz lub dekorowali wizerunkami świętych i bogów.

Gwiazdy migotały na niebie, które powoli traciło aksamitną czerń i stawało się perłowszare. Sylwetki wysokich, smukłych pini porożrzucanych na tokańskich wzgórzach rozmazały się, kiedy światło rozproszyło mrok, a potem zza horyzontu wyłoniło się słońce.

Kiedy wspinało się na nieboskłon, zasnuwając powietrze złocistym blaskiem, miasto było wyjątkowo ciche. Zagrzecotało i zabrzączało żelazne okratowanie stoiska z gazetami, a jego właściciel ziewnął szeroko, przygotowując się do otwarcia interesu. Za ledwie kilka światła połyskiwało w oknach. Jedno z nich należało do Mirandy.

Szybko się ubrała, odwracając wzrok od oszałamiającego obrazu, który sam się malował na zewnątrz hotelowego pokoju. Myślała o pracy.

Ile zdoła zrobić tego dnia? Jak bliska będzie zdobycia ostatecznej odpowiedzi? Zajmie się faktami, samymi faktami, niezależnie od tego jak bardzo by ją kusiło, by przeskoczyć na następny poziom. Nie zawsze można wierzyć instynktowi. Nauce tak.

Spięła z tyłu włosy, potem włożyła prosty granatowy kostium i wsunęła stopy w czółenka na niskim obcasie.

Jeśli pójdzie wcześniej do pracy, przez kilka godzin nikt nie będzie jej przeszkadzał.

Chociaż bardzo się cieszyła, że ma do dyspozycji ekspertów, *Czarna Dama* należała do niej.

Miranda chciała zrobić jak najwięcej sama, nie dopuszczać nikogo do początkowego etapu prac.

Przycisnęła swój identyfikator do szklanych drzwi, pokazując go zaspanemu strażnikowi. Niechętnie zostawił kawę oraz jedzone na śniadanie ciasto. W końcu podszedł, przyjrzał się legitymacji, potem twarzy Mirandy, po czym ponownie sprawdził legitymację.

Miranda miała wrażenie, że otwierając drzwi, westchnął.

- Przychodzi pani bardzo wcześnie, doktor Jones.

- Mam sporo pracy.

Zdaniem strażnika Amerykanie właściwie nie potrafili myśleć o niczym innym.

- Musi się pani wpisać do rejestru.

- Oczwiście.

Kiedy podeszła do kontuaru, poczuła zapach kawy. Wpisując nazwisko i odnotowując godzinę przyścia, starała się nie pokazać, jak bardzo cieknie jej ślinka.

- Grazie.

- *Prego* - wymamrotała, po czym ruszyła w stronę windy. Postanowiła, że jednak dzień zacznie od kawy. Nie mogła liczyć na to, że będzie wydajnie pracować, jeśli nie pomoże jej w tym kofeina.

Użyła swojej karty, by dostać się na odpowiednie piętro, potem podała kod i znalazła się przy wejściu do własnego biura. Kiedy włączyła kontakt, oślepiło ją światło fluorescencyjne. Szybko zlustrowała całe pomieszczenie i doszła do wniosku, że wszystko jest na swoim miejscu, a ślady pracy pod koniec dnia zostały starannie uprzątnięte.

Doskonale wiedziała, że matka właśnie tego od niej oczekuje. Elizabeth nie tolerowała u swych pracowników niedbałości. Tak samo traktowała własne dzieci. Miranda wzruszyła ramionami, nie chcąc myśleć o żywionej urazie.

Po kilku minutach kawa się parzyła, komputer pracował, a Miranda wpisywała na dysk twardy notatki z poprzedniego wieczoru.

Chociaż przy pierwszym gorącym wspaniałym łyku kawy głośno jęknęła, nikt tego nie słyszał, a kiedy oparła się o krzesło, przymknęła oczy i marzycielsko się uśmiechnęła, nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Przez pięć minut była kobietą oddającą się zachciankom i drobnym przyjemnościom. Wysunęła stopy z czółenek, a jej wyrazista twarz złagodniała. Niewiele brakowało, a zaczęłaby mruzczyć.

Gdyby teraz zobaczył ją strażnik, na pewno w pełni zaaprobowałby jej zachowanie.

Potem wstała, naląła sobie drugą filiżankę kawy, przywdziała kitel i zabrała się do pracy.

Najpierw ponownie przetestowała grudki ziemi pochodzącej z miejsca znaleziska, zmierzyła promieniowanie i zapisała cytry. Jeszcze raz przetestowała ostrożnie wyciągniętą z wnętrza figurki glinę. I jedno, i drugie rozsmarowała na szkiełku mikroskopowym, a potem wykonała trzeci preparat, zdrapując brąz i patynę. Zbadała wszystko pod mikroskopem.

Kiedy małymi grupkami zaczęli się schodzić pierwsi pracownicy, Miranda wpatrywała się w ekran swego komputera. W takiej właśnie pozycji zastał ją Giovanni, który przyniósł jej świeżą kawę i słodką bułeczkę.

- Powiedz mi, co widzisz - zażądała, nie odrywając wzroku od widocznych na ekranie barw i kształtów.

- Kobietę, która nie potrafi się zrelaksować. - Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie zaczął je masować. - Mirando, jesteś tu od tygodnia i ani godziny nie przeznaczyłaś dla siebie.

- Nie o to mi chodziło, Giovanni.

- Ach. - Nie przerywając masażu, przysunął się tak, że ich głowy znalazły się tuż obok siebie. - Pierwszy proces rozkładu, korozja. Ta biała linia pokazuje oryginalną powierzchnię brązu, *no?*

- Tak.

- Widoczna na powierzchni warstwa korozji jest gruba i sięga również w głąb, co jest całkiem typowe w przypadku brązu pochodzącego sprzed czterystu lat.

- Powinniśmy dokładnie wskazać tempo przyrastania.

- To nigdy nie jest łatwe - powiedział. - A ta statuetka znajdowała się w wilgotnym pomieszczeniu. Korozja mogła postępować bardzo szybko.

- Biorę to pod uwagę. - Zdjęła okulary, które nagle zaczęły ją uciskać - Temperatura i wilgotność. Możemy obliczyć średnią. Nigdy nie słyszałam, by komukolwiek udało się podrobić tak daleko posuniętą korozję, a ta sięga w głąb, Giovanni.

- Materiał nie ma więcej niż sto lat. Sądzę, że raczej mniej, o jedno lub dwa dziesięciolecia.

- Sto? - Miranda spojrzała na niego z irytacją. - Jesteś pewien?

- Tak. Sama przeprowadzisz testy, ale na pewno dojdiesz do wniosku, że mam rację.

Osiemdziesiąt do stu lat. Nie więcej.

Odwróciła się z powrotem do komputera. Wzrok na pewno jej nie mylił, dlatego wiedziała swoje.

- W porządku. W takim razie trzeba założyć, że statuetka leżała w piwnicy owinięta w ten materiał przez osiemdziesiąt do stu lat. Mimo to wszystkie testy wykazują, że sam brąz jest znacznie starszy.

- Być może. Proszę, oto twoje śniadanie.

- Uhm. - Z roztargnieniem wzięła do ręki bułeczkę i ugryzła ją. - Osiemdziesiąt lat -

początek wieku. Pierwsza wojna światowa. W czasie wojny często ukrywa się wszelkie kosztowności.

- To prawda.

- Ale gdzie była wcześniej? Dlaczego nikt o niej nigdy nie słyszał? Widocznie uprzednio również została ukryta - mruknęła Miranda. - W czasie kiedy Pietro Medici został

wygnany z miasta. Podczas wojen włoskich? Znajdowała się w ukryciu, tak, to możliwe, ale dlaczego o niej zapomniano?

- Niezadowolona potrząsnęła głową. - To nie jest praca wykonana przez amatora, Giovanni. - Poleciła komputerowi wydrukować wizerunek. - To dzieło mistrza. Gdzieś musi istnieć jakaś dokumentacja. Chcę wiedzieć więcej na temat willi i samej Julietty. Komu zostawiła tę posesję, kto mieszkał w domu po jej śmierci? Czy miała dzieci?
- Jestem chemikiem - powiedział z uśmiechem. - Nie historykiem. Do tego potrzebny ci Richard.
- Przyszedł już?
- Zawsze jest punktualny. Zaczekaj. - Roześmiał się i chwycił ją za ramię, nim zdążyła wyjść. - Zjedz ze mną dzisiaj kolację.
- Giovanni. - Czule ścisnęła mu rękę, a potem uwolniła się z jego uchwytu. - Jestem ci bardzo wdzięczna, że się o mnie martwisz, ale nic mi nie dolega. Mam zbyt dużo pracy, by gdziekolwiek wychodzić.
- Za ciężko pracujesz i nie dbasz o siebie. Jestem twoim przyjacielem, dlatego czuję się za ciebie odpowiedzialny.
- Obiecuję, że dziś wieczorem zamówię sobie w hotelu obfity posiłek. - Musnęła wargami jego policzek w chwili, kiedy otworzyły się drzwi. Elise uniosła brew i z dezaprobatą zacisnęła wargi.
- Przepraszam, że przeszkadzam. Mirando, pani dyrektor chce, żebyś o wpół do trzeciej przyszła do jej biura, by zapoznać ją z postępem swoich prac.
- Oczywiście. Elise, czy Richard jest w tej chwili wolny?
- Wszyscy jesteśmy do twojej dyspozycji.
- Właśnie próbowałem jej to powiedzieć. - Giovanni, nie przejmując się wyraźnym chłodem, uśmiechnął się promiennie, po czym wyszedł z pokoju.
- Mirando! - Po krótkim wahaniu Elise weszła w głąb pokoju i zamknęła za sobą drzwi. - Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona, wydaje mi się jednak, że powinnam cię ostrzec. Giovanni...
- Rozbawiona wyraźnym zakłopotaniem Elise, Miranda niewyraźnie się uśmiechnęła.
- Co chcesz mi powiedzieć o Giovannim?
- To wspaniały pracownik i stanowi dla Standjo niezwykle cenny nabytek, ale jest kobieciarzem.
- Nie powiedziałabym tego. - Miranda przekrzywiła głowę i zsunęła okulary, podtrzymując je na czubku nosa, by spojrzeć znad miedzianych oprawek. - Kobieciarz wykorzystuje, tymczasem Giovanni daje.
- Może masz rację, ale to nie zmienia faktu, że Giovanni flirtuje z każdą pracującą tu kobietą.

- Łącznie z tobą?

Elise ściągnęła idealne brwi.

- Od czasu do czasu tak, i traktuję to tylko jako element jego osobowości.

Laboratorium nie jest jednak właściwym miejscem do flirtów i kradzionych pocałunków.

- Boże, mówisz jak moja matka. - Nic nie było w stanie bardziej zirytować Mirandy. -

Spróbuję jednak przypomnieć sobie te słowa, Elise, kiedy następnym razem w laboratorium chemicznym będę uprawiać z Giovannim dziki seks.

- Uraziłam cię. - Elise westchnęła i bezradnie uniosła ręce. - Chciałam jedynie...

Chodzi o to, że on potrafi być niezwykle czarujący. Kiedy znalazłam się tu po raz pierwszy, niewiele brakowało, a sama dałabym się na to nabrać. Czułam się wówczas taka załamana i nieszczęśliwa.

- Naprawdę?

Lodowaty głos Mirandy sprawił, że Elise wyprostowała szczupłe ramiona.

- Po rozwodzie z twoim bratem, Mirando, wcale nie skakałam z radości. To była bardzo bolesna i trudna decyzja, pozostaje mi jedynie nadzieja, że dokonałam słusznego wyboru. Kochałam Drew, lecz on... - Głos Elise załamał się, potrząsnęła więc energicznie głową. - Mogę jedynie stwierdzić, że żadnemu z nas to nie wystarczało.

Na widok łez, które błysnęły w oczach Elise, Mirandzie zrobiło się wstyd.

- Przepraszam - mruknęła. - Wszystko stało się tak szybko. Nie przypuszczałam, że w ogóle się tym przejęłaś.

- Przejęłam się. Nadal się przejmuję. - Westchnęła, a potem zamrugowała powiekami, by powstrzymać łzy. - Chciałabym, żeby było inaczej, ale mi się nie udało i teraz nic już tego nie zmieni. Muszę się jakoś z tym pogodzić.

- Tak, rzeczywiście. - Miranda wzruszyła ramionami. - Andrew był tak nieszczęśliwy, że bez większego trudu zrzuciłam całą winę na ciebie. Chociaż zawsze byłam zdania, że odpowiedzialnością za rozpad małżeństwa nie można obarczać tylko jednej ze stron.

- Sądzę, że żadne z nas się nie spisało. Uznałam, że rozwód jest lepszym i bardziej odpowiednim rozwiązaniem niż ciągle udawanie.

- Nie chciałaś iść w ślady moich rodziców? Oczy Elise zrobiły się okrągłe.

- Och, Mirando, nie miałam zamiaru...

- W porządku. Zgadzam się z tobą. Ojciec i matka od ponad dwudziestu pięciu lat nie mieszkają pod jednym dachem, ale żadne z nich nie zadało sobie trudu, by z tym skończyć.

Może rzeczywiście Andrew nie był zbyt szczęśliwy, ale w sumie wolę twój sposób postępowania.

Musiała przyznać, że sama wybrałaby takie rozwiązanie... gdyby kiedykolwiek popełniła taki błąd, wychodząc za męża. Jej zdaniem rozwód był lepszym wyjściem niż iluzoryczne małżeństwo.

- Czy mam cię przeprosić za wszystko, co o tobie złego myślałam przez prawie rok?

Elise uśmiechnęła się.

- Niekoniecznie. Rozumiem twoją lojalność wobec Drew. Podziwiam ją i zawsze ją podziwiałam. Wiem, że jesteście sobie bardzo bliscy.

- Zjednoczeni w chęci przetrwania, rozdzieleni w pędzie do wyleczenia się.

- Nigdy nie udało nam się zostać przyjaciółkami. Najpierw byłyśmy koleżankami, potem krewniaczkami, ale nie zdołałyśmy się zaprzyjaźnić, chociaż tak dużo nas łączy. Być może jest to niewykonalne, chciałabym jednak wierzyć, że stać nas na to, by przynajmniej traktować się po przyjacielsku.

- Nie mam zbyt wielu przyjaciół. - Ponieważ to pociąga za sobą spore ryzyko powstania zażyłości, pomyślała Miranda nieco zła na samą siebie. - Dlatego odrzucenie takiej oferty byłoby głupotą.

Elise ponownie otworzyła drzwi.

- Ja również nie grzeszę nadmiarem przyjaciół - oparła cicho. - Miło mieć wśród nich ciebie.

Miranda ze wzruszeniem spojrzała w ślad za nią, a potem zebrała wydruki oraz próbki i zamknęła je w sejfie.

Przez chwilę rozmawiała z Carterem, zlecając mu sprawdzenie wszystkich źródeł i znalezienie wszelkich pochodzących z tej epoki receptur brązu - chociaż sama już to zrobiła i miała zamiar zająć się tym ponownie.

Znalazła Richarda po uszy zagrzebanego w wydrukach komputerowych i książkach.

Zachowywał się jak ogar tropiący zwierzynę: niemal skrobał nosem po poszczególnych stronach.

- Znalazłeś coś, co mogłoby mi się przydać? - zapytała Miranda.

- Hm? - zamrugał oczyma nad czytaną właśnie kartką, ale nie uniósł głowy. - Willa została ukończona w tysiąc czterysta osiemdziesiątym dziewiątym roku. Chociaż architekta zamówił Wawrzyniec Wspaniały, posesja należała do Julietty Buonadoni.

- Była wpływową kobietą. - Miranda przysunęła krzesło. - Nie ma się co dziwić, że metresa była

właścicielką tak cennej posiadłości. Zasłużyła sobie na to.

- Kobiety o wspanialej urodzie miawały ogromne wpływy - mruknął. - Jeśli były mądre, potrafiły to wykorzystać. Historia wykazuje, że Julietta była bardzo mądra.

Zaintrygowana Miranda wyjęła z teczki fotografię brązowej statuetki.

- Wyraźnie widać na jej twarzy, że jest kobietą, która doskonale zna swoją wartość. Co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć?

- Jej nazwisko pojawia się kilkakrotnie, ale brak szczegółów. Na przykład trudno ustalić jej pochodzenie. Nie mogę niczego znaleźć. Najwcześniejsza wzmianka na jej temat, jaką udało mi się znaleźć, pojawiła się w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym siódmym.

Pewne wskazówki mogą świadczyć, że należała do rodziny Medyceuszy - mogła być młodszą kuzynką Clarice Orsini.

- Jeśli tak, oznaczałoby to, że kochanka Wawrzyńca była kuzynką jego żony. W ten sposób wszystko zostało w rodzinie - powiedziała z uśmiechem.

Richard jedynie poważnie przytaknął.

- To by wyjaśniało, w jaki sposób wpadła mu w oko. Chociaż inne źródło wskazuje, że mogła być nieślubną córką któregoś z członków należącej do Wawrzyńca Akademii Neoplatońskiej. Dzięki temu również mogła znaleźć się w jego polu widzenia. Niezależnie od tego, w jaki sposób się poznali, w tysiąc czterysta osiemdziesiątym dziewiątym roku przeprowadziła się do willi. Podobno tak samo jak on była oddana sztuce, wykorzystywała posiadaną władzę i wpływy, by zgromadzić pod swym dachem najwspanialszych twórców tamtej epoki. Umarła w tysiąc pięćset trzydziestym roku, w czasie oblężenia Florencji.

- Ciekawe. - A zatem znowu był to czas, kiedy mnóstwo ludzi ukrywało kosztowności, pomyślała Miranda. Oparła się o biurko i zaczęła bawić się okularami. - Zmarła, nim stało się jasne, że Medyceusze utrzymują się przy władzy.

- Tak, na to wygląda.

- A co z dziećmi?

- Nie znalazłem nic na temat dzieci.

- Daj mi kilka z tych książek - zdecydowała. - Pomogę ci szukać.

Vincente Morelli był człowiekiem, którego Miranda spokojnie mogła uznać za wujka. Poznał jej rodziców, gdy jeszcze nie było jej na świecie, i przez kilka lat pracował w Instytucie w Maine, zajmując się reklamą oraz promocją.

Kiedy jego pierwsza żona rozchorowała się, zabrał ją do domu, do Florencji i dwanaście lat później

tam właśnie ją pochował. Przez trzy lata ją oplakiwał, a potem ku zaskoczeniu wszystkich znajomych nagle ożenił się z trzeciorzędną aktoreczką. Gina miała zaledwie o dwa lata więcej niż jego najstarsza córka, dlatego nie obeszło się bez pewnej konsternacji członków rodziny i drwiących uśmiezków współpracowników.

Vincente był okrągły jak baryłka. Nogi miał grube jak kloce, a szerokością klatki piersiowej mógł konkurować z Pavarottim. Tymczasem jego żona przypominała młodą Sophię Loren - miała bujne kształty, jędrne ciało i zachwycającą figurę. Zazwyczaj obwieszała się ogromną ilością włoskiego złota i błyskotek, które zakładała na szyję, nadgarstki i wpinała do uszu.

Państwo Morelli byli bardzo głośni i momentami trochę wulgarni. Miranda lubiła ich oboje, mimo to często zastanawiała się, w jaki sposób tak ekstrawertyczna para jest w stanie od tylu lat utrzymywać bliską znajomość z Elizabeth.

- Wysłałam do ciebie kopie raportów - oznajmiła Miranda Vincentemu, kiedy wypełnił jej małe biuro swym potężnym cielskiem. - Przyszło mi na myśl, że będziesz chciał obserwować przebieg mojej pracy, by potem, gdy nadejdzie czas na oświadczenie dla prasy, mieć wszystkie potrzebne informacje.

- Tak, wiem. Fakty to rzecz łatwa do opisanego, ale powiedz mi, *cara*, co o tym sądzisz.

Daj mi coś, co pozwoli mi ożywić nieco tę historię.

- Myślę, że wciąż zostało nam jeszcze sporo do zrobienia.

- Mirando - powiedział powoli z przekonującym uśmiechem na ustach, równocześnie opierając się o krzesło, które alarmująco zatrzeszczało pod ciężarem jego ciała. - Twoja piękna matka związała mi ręce i kazała czekać, aż jak to się mówi, postawione zostaną wszystkie kropki nad „i”. W związku z tym kiedy w końcu będę w stanie przedstawić tę historię prasie, chciałbym mieć coś naprawdę rewelacyjnego.

- Jeśli okaże się, że brąz jest oryginalny, będziesz miał coś rewelacyjnego.

- Tak, tak, lecz chcę mieć coś więcej. Zza oceanu przylatuje piękna i utalentowana córka *direttore*. Następuje spotkanie dwóch dam. Co o niej wiesz? Co do niej czujesz?

Miranda uniosła brew i zastukała ołówkiem o brzeg biurka.

- Wiem, że brązowa figurka z Fiesole ma dziewięćdziesiąt centymetrów i cztery milimetry wysokości, waży dwadzieścia cztery kilogramy i sześćdziesiąt osiem dekagramów.

Jest to wykonany z brązu akt kobiecy - ciągnęła, opanowując uśmiech, kiedy Vincente wymownie wznosił oczy do góry - odpowiadający kanonom sztuki renesansowej. Dotychczas wykonane testy wykazują, że odlany został w ostatnim dziesięcioleciu piętnastego wieku.

- Jesteś zbyt podobna do matki.

- Nic nie wskórasz, obrażając mnie - ostrzegła Miranda i uśmiechnęli się do siebie.

- Utrudniasz mi pracę, *cara*.

Doszedł do wniosku, że kiedy nadejdzie czas, całą tę historię przedstawi prasie po swojemu.

Elizabeth szybko przejrzała raporty. Na każdym etapie badań, robiąc każdy test, Miranda zachowywała ogromną ostrożność, podając fakty, liczby i receptury. Mimo to można było zauważyć, dokąd zmierza i na czym według własnych przekonań skończy.

- Wierzysz, że ten brąz jest autentyczny.

- Każdy test wykazuje, że figurka ma czterysta pięćdziesiąt do pięciuset lat. Masz tu kopie fotografii komputerowych oraz testów chemicznych.

- Kto je wykonywał?

- Ja.

- A kto przeprowadzał proces termoluminescencji?

- Ja.

- Ty również oznaczałaś datę na podstawie stylu. W większości dokumentacja pochodzi z twoich badań. Nadzorowałaś testy chemiczne, osobiście badałaś patynę i metal, porównywałaś receptury.

- Czyż nie po to mnie tu ściągnęłaś?

- Tak, ale dałam ci również do dyspozycji zespół ekspertów. Spodziewałam się, że w większym stopniu skorzystasz z ich pomocy.

- Mam większą pewność, że testy są prawidłowo przeprowadzone, jeżeli sama je robię

- powiedziała Miranda szorstko. - Dzięki temu jest mniejsze ryzyko popełnienia błędu. To moja dziedzina. Potwierdziłam autentyczność pięciu rzeźb z tej epoki, trzy z nich były brązami, a jedna wykonana została przez Celliniego.

- Cellini miał niepodważalną dokumentację w formie zapisków z wykopalisk.

- Mimo to pragnąc wykluczyć fałszerstwo, poddałam tamtą rzeźbę takim samym testom - stwierdziła Miranda, nie kryjąc urazy. Chociaż wyrzuciła do góry ręce i potrząsa zaciśniętymi pięściami, spokojnie siedziała na krześle. - Konsultowałam się z Luwrem, Smithsonian Institution i Bargello. Wierzę, że uzyskałam wystarczające potwierdzenie moich badań.

Elizabeth wyprostowała się ze znużeniem.

- Nikt nie podaje w wątpliwość twoich referencji ani umiejętności. Gdybym nie miała całkowitej

pewności, nie powierzyłabym ci tego zadania.

- Dlaczego zatem kwestionujesz wyniki mojej pracy?

- Stwierdzam jedynie, że nie korzystasz z oddanych ci do dyspozycji ludzi, Mirando.

Obawiam się również, że wyrobiłaś sobie zdanie w chwili, kiedy zobaczyłaś brąz.

- Rozpoznałam styl, epokę i artystę. - Tak samo jak ty, pomyślała Miranda ze złością.

Do jasnej cholery, ty zrobiłaś to samo. - Mimo to - ciągnęła spokojnie - przeprowadzam wszystkie standardowe testy, dokumentuję każdy swój krok i odnotowuję uzyskane rezultaty.

Na tej podstawie mogę sformułować opinię, że znajdująca się w sejfie statuetka przedstawiająca Juliettę Buonadoni odlana została mniej więcej w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym trzecim roku i jest wykonana przez młodego Michała Anioła.

- Zgodzę się, że jest to styl prezentowany przez uczniów Michała Anioła.

- Ten brąz powstał zbyt wcześnie, by mógł pochodzić z jego szkoły. Sam artysta miał

wówczas zaledwie dwadzieścia lat, a jedynie geniusz byłby w stanie skopiować geniusza.

- Z tego co wiem, w żadnej dokumentacji dotyczącej wykonanych przez niego brązów nie ma ani słowa, które potwierdzałoby, że to może być jego dzieło.

- W takim razie należy znaleźć odpowiednią dokumentację, chyba że ona nigdy nie istniała. Mamy dokumentacje wielu zaginionych dzieł Michała Anioła. Dlaczego nie możemy mieć pracy nie posiadającej żadnej dokumentacji? Szkic fresku przedstawiającego bitwę pod Casciną zginął. Brąz przedstawiający Juliusza II został zniszczony i przetopiony, a wiele wykonanych przez siebie rysunków artysta własnoręcznie spalił tuż przed śmiercią.

- Mimo to wiemy o ich istnieniu.

- *Czarna Dama* istnieje. Jej wiek się zgadza, a styl pasuje zwłaszcza do jego wczesnych prac. Kiedy ta statuetka została odlana, Michał Anioł mógł mieć około osiemnastu lat. Już wcześniej ujawnił swój geniusz, rzeźbiąc *Madonnę* oraz *Bitwę Lapitów z Centaurami*.

Ponieważ Elizabeth uważała się za kobietę cierpliwą, jedynie przytaknęła.

- Nie ma wątpliwości, że ten brąz jest bardzo dobry i że stylem przypomina prace Michała Anioła, to jednak wcale nie dowodzi, że jest to jego dzieło.

- Mieszkał w pałacu Medyceuszy i był traktowany jak syn Wawrzyńca. Znał ją.

Istnieje dokumentacja świadcząca o tym, że się znali. Julietta często była wykorzystywana jako modelka. Byłoby raczej dość dziwne, gdyby nie skorzystał z niej również i on. Kiedy mnie wzywałaś,

wiedziałaś, że istnieje taka możliwość.

- Możliwość to nie to samo co fakt, Mirando. - Elizabeth złożyła ręce. - Jak powiedziałaś w pierwszym dniu pobytu tutaj, nie interesują cię możliwości.

- A zatem podam ci fakty. Receptura brązu jest odpowiednia, prześwietlenie promieniami rentgenowskimi potwierdza użycie narzędzi z tamtej epoki. Określiłam wiek glinianego rdzenia i kawałków samego brązu. Testy wykazują, że korozja sięga w głąb metalu. Patyna jest taka jak powinna. Statuetka pochodzi z końca piętnastego wieku.

Najprawdopodobniej z ostatniego dziesięciolecia.

Uniosła dłoń, zanim Elizabeth zdołała się odezwać.

- Jako ekspert w tej dziedzinie, po starannym obiektywnym zbadaniu brązu uważam, że wykonany został przez Michała Anioła. Brakuje jedynie jego podpisu, ale artysta ten nie podpisywał swoich dzieł, jedynym wyjątkiem jest znajdująca się w Rzymie *Pieta*.

- Nie mam zamiaru kłócić się z tobą. - Elizabeth przechyliła głowę na bok. - Z dużą jednak rezerwą podchodzę do wyciągniętego przez ciebie wniosku. Nie możemy pozwolić sobie na to, by twój entuzjazm przechylił szalę w którąś stronę. Na razie nie rozmawiaj ten temat z żadnym z pracowników. Muszę również obstawać przy tym, żebyś w ogóle nie mówiła o tym nikomu spoza laboratorium. Obecnie najmniejszy nawet przeciek do prasy byłby katastrofą.

- Nie mam zamiaru zwoływać konferencji prasowej i ogłaszać, że właśnie potwierdziłam autentyczność zaginionego dzieła Michała Anioła, chociaż naprawdę tak jest. -

Położyła ręce na biurku i wychyliła się do przodu. - Wiem to. I wcześniej czy później będziesz musiała przyznać mi rację.

- Obiecuję ci, że nic nie sprawi mi większej radości, ale na razie ta informacja musi pozostać w tajemnicy.

- Nie robię tego, by zdobyć sławę. - Chociaż czuła jej smak na końcu języka i w mrowiących czubkach palców.

- Wszyscy marzymy o sławie - skorygowała Elizabeth z łagodnym uśmiechem na ustach. - Po co udawać, że jest inaczej? Jeśli twój wniosek okaże się prawdziwy, na pewno ją zdobędziesz. W przeciwnym razie, gdyby twoja konkluzja okazała się przedwczesna, zepsujesz sobie tylko opinię. Rzucisz również cień na dobre imię moje i całego Instytutu. Nie pozwolę na to, Mirando. Kontynuuj poszukiwanie dokumentów.

- Właśnie mam taki zamiar.

Miranda odwróciła się na pięcie i wyszła. Na Boga, zabierze do hotelu stos książek i znajdzie to, czego szuka.

O trzeciej nad ranem, kiedy zadzwonił telefon, usiadła w łóżku, wokół którego porozrzucone były książki i rozprawy naukowe. Ostry dźwięk wyrwał ją z jakiegoś kolorowego snu, w którym widziała słoneczne wzgórza, chłodne marmurowe dziedzińce, słyszała szum fontann i dźwięki harfy.

Zdezorientowana i oślepiąca przez światło lampy zamrugła oczami i po omacku sięgnęła po słuchawkę.

- *Pronto*. Doktor Jones. Halo, słucham?

- Mirando, chcę, żebyś jak najszybciej przysłała do mnie do domu.

- Co takiego? To ty, mamó? - Zaspanymi oczyma spojrzała na stojący obok łóżka zegarek. - Jest trzecia nad ranem.

- Doskonale wiem, która jest godzina. Tak samo jak wiceminister, który mniej więcej dwadzieścia minut temu został obudzony przez reportera pragnącego uzyskać szczegółowe informacje na temat zaginionej brązowej statuetki Michała Anioła.

- Co takiego? Przecież...

- Nie mam zamiaru dyskutować z tobą na ten temat przez telefon. - W chłodnym głosie Elizabeth słychać było ledwo tłumioną wściekłość. - Pamiętasz, jak tu dotrzeć?

- Oczywiście.

- Oczekuję cię za trzydzieści minut - powiedziała, po czym odłożyła słuchawkę.

Miranda dotarła na miejsce po dwudziestu minutach.

Dom Elizabeth był małym, eleganckim dwukondygnacyjnym budyneczkiem o typowych dla Florencji żółtokremowych ścianach i dachu pokrytym czerwoną dachówką. W

doniczkach i skrzynkach w oknach rosły kwiaty, którymi z ogromnym pietyzmem zajmowała się gospoia.

W zaciemnionym oknie jasne smugi światła przesączały się przez żaluzje. Miranda pamiętała, że był to dom przestronny i przystosowany do przyjmowania gości. Mimo to ani matce, ani córce nie przyszło nawet na myśl, by mieszkać razem podczas pobytu Mirandy we Florencji.

Nim Miranda zdołała zapukać, drzwi się otworzyły. Elizabeth miała na sobie brzoskwiniowy szlafrok.

- Co się stało? - zapytała Miranda.

- Chyba ja powinnam o to zapytać. - Tylko dzięki ogromnemu opanowaniu Elizabeth nie strzeliła drzwiami. - Jeśli wykorzystując swoją ekspertyzę, w taki właśnie sposób chciałaś dowieść, że masz rację, a przy okazji podważyć mój profesjonalizm, udało ci się osiągnąć jedynie to ostatnie.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Miranda tak się spieszyła, że nie zdążyła nawet przygładzić włosów, przeczesła je więc ręką, by odgarnąć spadające na oczy kosmyki. -

Mówiłaś, że zadzwonił reporter...

- Tak.

Wyprostowana jak generał Elizabeth odwróciła się i weszła do frontowego salonu. W

kominku czekało przygotowane drewno, wystarczyło tylko je podpalić. Światła lamp odbijały się od wypolerowanej boazerii. Na gzymsie stał jedynie wazon z białymi różami. Całe pomieszczenie utrzymane było w delikatnych jasnych kolorach.

Podświadomie Miranda odnotowała fakt, który uderzał ją, ilekroć wchodziła do tego budynku lub któregoś z znajdujących się w nim pomieszczeń. Była to bardziej witryna niż dom i wiało tu chłodem.

- Reporter oczywiście odmówił ujawnienia swego źródła, ale dysponował znaczną ilością informacji.

- Vincente na pewno nie podałyby tego przedwcześnie do prasy.

- Z pewnością - zgodziła się chłodno Elizabeth. - Vincente tego nie zrobił.

- A może to hydraulik, jak on się nazywa, rozmawiał z jakimś dziennikarzem?

- Hydraulik nie mógłby przekazać mu zdjęcia brązu ani wyników testów.

- Wyniki testów. - Miranda usiadła, ponieważ nagle ugięły się pod nią kolana. - Moich testów?

- Testów Standjo - powiedziała Elizabeth, zaciskając mocno zęby. - Chociaż to ty je prowadzisz, cała odpowiedzialność spoczywa na moim laboratorium. Tymczasem złamane zostały obowiązujące u mnie zasady.

- Ale jak... - W tym momencie zrozumiała ton i spojrzenie matki. Powoli wstała. -

Uważasz, że zadzwoniłam do reportera i przekazałam mu te informacje? Zdjęcia oraz wyniki testów?

Elizabeth jedynie bacznie przyjrzała się Mirandzie i zapytała:

- Zrobiłaś to?

- Nie. Chociaż nie omawialiśmy konsekwencji takiego kroku, nigdy nie postąpiłabym w taki sposób. Przecież chodzi tu również o moją reputację.

- Za to mogłabyś zdobyć sławę.

Miranda spojrzała Elizabeth w oczy i zdała sobie sprawę, że matka zdążyła już wyrobić sobie opinię na ten temat.

- Idź do diabła.

- Reporter przytaczał fragmenty twojego raportu.

- A przy okazji możesz zabrać ze sobą całe swoje wspaniałe laboratorium. Ono zawsze znaczyło dla ciebie więcej niż własne dzieci.

- Moje wspaniałe laboratorium zapewniło ci wiedzę, pracę i możliwości osiągnięcia wszystkiego co tylko możliwe w twojej dziedzinie. Tymczasem teraz przez twój pośpiech, upór i nie zaspokojone poczucie własnej wartości moje kwalifikacje zawodowe podano w wątpliwość, a twoja reputacja może lec w gruzach. Jeszcze dzisiaj brąz zostanie przewieziony do innego instytutu.

- Przewieziony?

- Zrezygnowano z naszych usług - warknęła Elizabeth i odebrała telefon. Zacisnęła wargi i syknęła po włosku: - Bez komentarza - po czym odłożyła słuchawkę. - Następny reporter. Trzeci, któremu udało się zdobyć numer mojego prywatnego telefonu.

- To nie ma znaczenia. - Chociaż Miranda czuła, że żołądek podskoczył jej do gardła, mówiła całkiem spokojnie. - Pozwól go przewieźć. Każde cieszące się poważaniem laboratorium jedynie zweryfikuje moje odkrycie.

- To właśnie wskutek twojej zarozumiałości i arogancji znalazłyśmy się w takiej sytuacji. - W spojrzeniu Elizabeth widać było lodowatą wściekłość. - Pracowałam wiele lat, by założyć to laboratorium i uczynić z niego jedną z najlepszych w świecie placówek tego typu.

- To i tak niczego nie zmieni. Przecieki zdarzają się nawet w najlepszych instytutach naukowych.

- Ale nie w Standjo. - Jedwabne poły szlafroka Elizabeth zawirowały, kiedy zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Dobrane kolorystycznie pantofle nie wydawały żadnego dźwięku na ozdobionym różami dywanie. - Mam zamiar natychmiast przystąpić do naprawiania szkód. Spodziewam się, że będziesz unikać prasy i pierwszym możliwym samolotem wrócisz do Maine.

- Nie wyjadę, dopóki wszystko się nie skończy.

- Już się skończyło, przynajmniej dla ciebie. Standjo nie ma zamiaru korzystać z twoich usług. - Z kamienną twarzą odwróciła się z powrotem do córki i zmierzyła ją zimnym spojrzeniem. - Twoja karta wejściowa zostanie anulowana.

- Rozumiem. Natychmiastowa egzekucja bez procesu. Właściwie wcale nie powinno mnie to dziwić - powiedziała częściowo do siebie. - Dlaczego zatem jestem taka zaskoczona?

- Nie czas na dramaty.

Elizabeth, chcąc uspokoić napięte nerwy, podeszła do szafki po brandy. U podstawy czaszki czuła tępe dudnienie, które nie tyle powodowało ból, co dodatkowo zwiększało irytację.

- Będę musiała się teraz nieźle napracować, by po tym wszystkim Standjo wróciło do równowagi. Nie obejdzie się bez pytań, bardzo wielu pytań. - Zwrócona plecami do Mirandy Elizabeth naląła sobie kieliszek. - Kiedy zaczną nam je zadawać, lepiej żeby ciebie już nie było we Włoszech.

- Nie boję się pytań.

Zaczynała ogarniać ją panika, Miranda czuła jej macki sunące chytrze w górę po kręgosłupie. Odsyłano ją do domu, odbierano jej *Czarną Damę*, kwestionowano jej pracę i podano w wątpliwość umiejętności zawodowe.

- Nie zrobiłam niczego nieetycznego ani niezgodnego z prawem. Podtrzymuję swoje stanowisko na temat brązu, ponieważ wyciągnęłam odpowiedni wniosek z badań. Statuetka jest autentykiem.

- Ze względu na twoje dobro mam nadzieję, że się nie mylisz. Prasa ma twoje nazwisko, Mirando. - Elizabeth uniosła brandy w mimowolnym toaście. - Spróbuj mi uwierzyć, wykorzystają to.

- Pozwól im to zrobić.

- Co za tupet - syknęła Elizabeth. - Widocznie nie wzięłaś pod uwagę, że twoje postępowanie odbije się na moim życiu osobistym i zawodowym.

- Brałaś to pod uwagę - odpaliła Miranda - ściągając mnie tutaj, żebym zweryfikowała i potwierdziła twoje podejrzenia. Chociaż kierujesz Standjo, nie masz odpowiednich kwalifikacji, by zrobić to osobiście. Marzyłaś o sławie. - Miranda podeszła bliżej, czując w gardle bolesne uderzenia serca. - Kazałaś mi przyjechać, ponieważ niezależnie od tego, jak bardzo obie tego żałujemy, noszę to samo nazwisko co ty, a w moich żyłach płynie twoja krew.

Elizabeth przymrużyła oczy. Stwierdzenie córki było tylko częściowo prawdziwe.

- Ze względu na twoje kwalifikacje dałam ci życiową szansę i owszem, zrobiłam to również dlatego, że jesteś jedną z nas, Jonesów. Zaprzepaściłaś tę możliwość, równocześnie pograżając prowadzoną przeze mnie instytucję.

- Zrobiłam jedynie to, po co mnie tu ściągnęłaś, nic więcej. Nie rozmawiałam z nikim spoza laboratorium, a nawet tam dyskutowałam jedynie z osobami, które miały wymagane przez ciebie pozwolenie.

Elizabeth wciągnęła powietrze w płuca, usiłując się uspokoić. Przypomniała sobie, że już podjęła decyzję, a zatem nie było sensu ciągnąć tej dyskusji.

- Jeszcze dzisiaj opuścisz Włochy. Nie wrócisz do laboratorium i nie będziesz kontaktować się z pracującymi tam ludźmi. Jeśli postąpisz inaczej, będę zmuszona zwolnić cię ze stanowiska zajmowanego w muzeum.

- Ani ty, ani ojciec nie kierujecie już Instytutem. Teraz na jego czele stoi Andrew i ja.
- Jeśli chcesz, żeby to się nie zmieniło, zrobisz to, co ci każę. Być może w to nie wierzysz, ale jedynie próbuję oszczędzić ci kłopotów.
- Nie musisz wyświadczać mi przysług, mamó. Nie psuj sobie dotychczasowej opinii.
- Wiedziała jedynie, że została wygnana. Odebrano jej najbardziej ekscytującą pracę w życiu, a teraz wyprawiają ją jak bezradne dziecko odesłane za karę do swojego pokoju.
- Wybór należy do ciebie, Mirando. Jeśli zostaniesz, będziesz zdana na własne siły i możesz się nie pokazywać w laboratorium Standjo ani w Instytucie Historii Sztuki w Nowej Anglii.

Miranda czuła, że zaczyna drzeć ze strachu i wściekłości. Chociaż miała ogromną ochotę, by zacząć krzyczeć, powiedziała cicho:

- Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy. Mimo to wyjadę, ponieważ Instytut bardzo dużo dla mnie znaczy. Zrobię to również dlatego, że będziesz musiała mnie przeprosić, kiedy wszystko się wyjaśni, a ja powiem ci wówczas, żebyś poszła do diabła. Będą to ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszysz.

Wyjęła kieliszek z ręki matki.

- *Salute* - powiedziała i buntowniczo wypila całą zawartość. Potem odstawiła kieliszek, głośno uderzając nim o stół, odwróciła się i nie oglądając za siebie, wyszła.

Andrew Jones przy kieliszku Jacka Danielsa Blacka rozmyślał o swoim małżeństwie i jego niefortunnym zakończeniu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zdaniem wszystkich znajomych już dawno temu powinien zamknąć rozdział zatytułowany „rozwód” i iść dalej.

Prawdę mówiąc, nie miał na to ochoty - łatwiej mu było przeżywać swoje niepowodzenia wciąż od nowa.

Chociaż był nieprawdopodobnie zakochany, decyzję o małżeństwie podjął po dłuższym namyśle. Potwierdzenie uczuć na wymaganym przez prawo dokumencie kosztowało Andrew wiele bezsennych nocy. Żadnemu z Jonesów nie powiodło się w małżeństwie.

On i Miranda określali to mianem „klątwy Jonesów”.

Jego babka przeżyła męża o ponad dziesięć lat i nigdy - przynajmniej w obecności wnuka - nie potrafiła powiedzieć ani jednego dobrego słowa na temat mężczyzny, u którego boku spędziła ponad trzy dziesięciolecia.

Trudno było ją za to winić, ponieważ świętej pamięci Andrew Jones znany był ze swego zamiłowania do młodych blondynek i Jacka Danielsa Blacka.

Jego imiennik doskonale zdawał sobie sprawę, że starszy pan był po prostu draniem - inteligentnym i odnoszącym sukcesy draniem.

Ojciec Andrew wolał wykopaliska archeologiczne niż ognisko domowe i przez niemal całe dzieciństwo syna spędzał czas z dala od domu, zmiatając antyczny pył z równie antycznych kości. Ilekroć przebywał w domu, zgadzał się z wszystkim, co mówiła żona, godzinami przebywał w swoim biurze i jak sowa mrugał oczami na widok własnych dzieci, zupełnie jakby nie mógł zrozumieć, jakim cudem znalazły się w jego polu widzenia.

Dla Charlesa Jonesa nie istniały kobiety ani whisky. Za wszystkie jego grzechy wobec rodziny winę ponosiła nauka.

Wspaniała doktor Elizabeth Standford - Jones gównem o to dbała, pomyślał Andrew, kiwając się nad tym, co w pierwotnym założeniu miało być jednym przyjacielskim drinkiem wypitym w „Annie's Place”. Wychowanie dzieci zrzuciła na barki służących, prowadziła dom jak nazistowski generał i ignorowała męża w tak samo wysublimowany sposób jak on ją.

Andrew zawsze dostawał dreszczy na myśl o tym, że przynajmniej dwukrotnie ta para oziębłych egocentryków splotła się w łóżku na tak długo, by dać życie dwójce dzieci.

Będąc chłopcem, Andrew często podejrzewał, że Charles i Elizabeth odkupili jego i Mirandę od jakiegoś biednego małżeństwa, które rzewnie płacząc, sprzedało własne dzieci, by zapewnić sobie pieniądze na czynsz.

Kiedy był nieco starszy, przyjemność sprawiało mu wyobrażanie sobie, że oboje urodzili się w laboratorium, a początek ich życiu dał eksperyment, a nie akt seksualny.

Niestety w końcu doszedł do smutnego wniosku, że musiał przyjść na świat w całkiem naturalny sposób, ponieważ odziedziczył zbyt wiele cech Jonesów.

Unosząc kieliszek uznał, że stary Charles i Elizabeth pewnej nocy trzydzieści trzy lata temu poszli w tango i dali życie następnemu pokoleniu dupków.

Pozwalając, by whisky gorącym strumieniem spłynęła do żołądka, Andrew wmówił

sobie, że przynajmniej próbował. Zrobił co mógł, by jego małżeństwo było udane, a Elise szczęśliwa. Starał się być dla niej dobrym mężem, a jednocześnie przełamać klątwę Jonesów.

Niestety kompletnie zawiódł.

- Poproszę jeszcze jeden, Annie.

- Nic z tego.

Andrew poruszył się na taborecie i ciężko westchnął. Znał Annie McLean niemal od dziecka i wiedział, jak trudno ją przekonać.

Pewnego uroczego lata, kiedy oboje mieli po siedemnaście lat, razem opadli na rozrzucony na szorstkim piasku koc i kochali się przy łoskocie fal Atlantyku.

Jak się okazało, ona była dziewicą, a on prawiczkiem. Na przypadkowy seks zdecydowali się pod wpływem wypitego piwa, uroku gwiazdzistej nocy, młodzieńczej głupoty i sporej sympatii, którą się darzyli.

Żadne z nich nie wiedziało, jaki wpływ na ich życie będzie miała jedna noc, a właściwie kilka namiętnych godzin spędzonych nad brzegiem morza.

- Daj spokój, Annie, nalej mi jeszcze kieliszek.

- Już wypiełeś dwa.

- A zatem jeden więcej na pewno nikomu nie zaszkodzi. Annie skończyła nalewać piwo, elegancko pchnęła kufel po wykonanym z drewna wiśniowego barze w stronę oczekującego klienta, po czym energicznie wytarła wąskie dłonie w fartuszek.

Mającą sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważącą sześćdziesiąt kilogramów Annie McLean sprawiała wrażenie osoby rzeczowej i kompetentnej.

Tylko kilka wybranych osób, łącznie z mającym skłonności do zdrady i oszustwa byłym mężem Annie, wiedziało, że na jej pośladku znajduje się tatuaż: błękitny motyl z delikatnymi skrzydełkami.

Krótko przycięte jasne jak pszenica włosy okalały twarz, którą łatwiej byłoby uznać za interesującą niż ładną. Annie miała sterczącą brodę i lekko przekrzywiony w lewo, pokryty piegami nos. Mówiła z akcentem typowym dla mieszkańców Nowej Anglii, nieco monotonie.

Jeśli było to konieczne, potrafiła szorstkimi od pracy rękoma wyrzucić ze swego baru dorosłego mężczyznę.

„Annie's Place” należało do niej, ponieważ dołożyła wszelkich starań, by tak się stało.

Przeznaczyła na ten cel całe swoje oszczędności pochodzące jeszcze z czasów, kiedy była w tym barze kelnerką, każdego centa, którego nie zdołał zabrać ze sobą jej złotousty mąż, a resztę wyblagała i pożyczyła. Pracowała dzień i noc, by przekształcić zwyczajną piwnicę w przytulny bar.

Prowadziła porządną lokal, znała swoich stałych klientów, ich problemy i rodzinę.

Wiedziała, kiedy nalać następne piwo, kiedy podać kawę, a kiedy żądać kluczyków od samochodu i wezwać gliniarzy.

Spojrzała na Andrew i potrząsnęła głową. Gdyby mu pozwoliła, zapiłby się na śmierć.

- Andrew, jedź do domu. Przygotuj sobie coś do zjedzenia.

- Nie jestem głodny. - Uśmiechnął się do niej, wiedząc, w jaki sposób skutecznie wykorzystać swoje dołeczki. - Na zewnątrz jest zimno i pada deszcz, Annie. Chcę jedynie czegoś, co trochę rozgrzeje mi krew.

- Dobrze. - Odwróciła się do ekspresu do kawy i napełniła filiżankę. - Jest gorąca i świeża.

- Chryste. Wystarczy, że przejdę kawałek dalej i do jasnej cholery bez problemów dostanę drinka.

Jedynie uniosła brew.

- Wypij kawę i przestań jęczeć - powiedziała i zajęła się swoją pracą.

Deszcz zatrzymał większość klientów w domu. Ci, którzy stawili czoło burzy, tkwili, jakby ktoś przykleił ich do stołków, sącząc piwo, oglądając sport lub oddając się rozmowie.

Na małym palenisku płonął ogień, a ktoś wrzucił do szafy grającej kilka ćwierćdolarówek. Właśnie śpiewała Ella Fitzgerald.

Annie uwielbiała takie wieczory. Ciepłe, przyjacielskie, niewymuszone. To właśnie dlatego skłonna była zaryzykować każdą dziesięciocentówkę, zrobić sobie ręce po łokcie i za-martwiać się podczas bezsennych nocy. Niewiele osób wierzyło, że się jej powiedzie. Miała wówczas dwadzieścia sześć lat, a całe doświadczenie w prowadzeniu tego typu interesu zdobyła w czasie roznoszenia kufli piwa i liczenia napiwków.

W sześć lat później trudno było wyobrazić sobie Jones Point bez „Annie's Place”.

Widząc, jak Andrew ciężkim krokiem opuszcza bar, Annie z wyrzutami sumienia przypomniała sobie, że on w nią wierzył. Gdy bank odmówił udzielenia jej pożyczki, zrobił to Andrew. Kiedy malowała ściany i bejcowala drewno, przynosił jej kanapki i wysłuchiwał jej marzeń, chociaż wszyscy inni ją ignorowali.

Najprawdopodobniej wydawało mu się, że jest jej coś winien, tak przynajmniej przypuszczała. Andrew był uczciwym człowiekiem, który spłacał zawsze wszystkie długi.

Mimo to nie zdołał wymazać tamtej nocy przed piętnastu laty, kiedy zakochana w nim po uszy Annie oddała mu dziewictwo i w zamian za to wzięła jego niewinność. Nie była w stanie zapomnieć, że robiąc to, dali początek nowemu życiu, chociaż kołatało się ono bardzo krótko.

Wciąż pamiętała wyraz jego twarzy, kiedy uradowana, a jednocześnie przerażona powiedziała mu, że jest w ciąży. Zesztywniał i przybrał maskę obojętności, a potem usiadł na jednym z kamieni rozrzuconych po ciągnącej się w nieskończoność plaży i długo patrzył w morze.

Zaproponował jej małżeństwo, ale jego głos był bezbarwny, zimny i pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu.

Annie doszła do wniosku, że Andrew zawsze spłacał długi, ale wówczas przed laty, proponując jej to, co większość ludzi uznałaby za honorowe rozwiązanie, złamał jej serce.

Kiedy w dwa tygodnie później Annie poroniła, uznała to za zrządzenie losu. Dzięki temu żadne z nich nie musiało podejmować trudnych decyzji. Mimo to kochała maleństwo, które rosło w jej łonie, tak samo jak kochała jego ojca.

Kiedy już pogodziła się z utratą dziecka, przestała kochać. Zdawała sobie sprawę, że to przyniosło ulgę i jej, i Andrew.

Doszła do wniosku, że dużo łatwiej było mówić o przyjaźni, niż grać na znacznie poważniejszych uczuciach.

Otwierając samochód i siadając za kierownicą, Andrew doszedł do wniosku, że kobiety są zmorą jego życia. Zawsze mówią człowiekowi, co powinien robić, jak należy to wykonać, a najczęściej powtarzają, że robi to źle.

Był zadowolony, że nie musi mieć z nimi do czynienia.

Lepiej się czuł, gdy w ciągu dnia zakopywał się po uszy w pracy w Instytucie, a wieczorami topił smutki w whisky. Nikomu nie wyrządzał w ten sposób krzywdy. Zwłaszcza sobie.

Teraz był jednak za trzeźwy, a czekał go jeszcze długi wieczór.

Pokonując strugi deszczu, zastanawiał się, jak by to było, gdyby po prostu jechał przed siebie. Jeśli zabrakłoby mu benzyny, jedynie napełniłby bak, niezależnie od tego gdzie by to było. Mógłby zmienić nazwisko i postarać się o pracę na jakiejś budowie. Miał mocny kręgosłup i silne ręce. Może rozwiązaniem byłaby ciężka praca fizyczna.

Nikt by go nie znał ani niczego od niego nie oczekiwał.

Andrew zdawał sobie jednak sprawę, że tego nie zrobi. Nigdy nie rzuciłby Instytutu.

W jakimś sensie był to jego dom. Potrzebował go w takim samym stopniu jak Instytut potrzebował jego.

No cóż, ma w domu butelkę lub dwie. Dlaczego przed snem nie miałyby wypić kilku kieliszczków przed własnym kominkiem.

Kiedy zbliżał się krętą drogą, zobaczył mrugające w deszczu światła. Miranda.

Przynajmniej jeszcze przez kilka dni nie spodziewał się powrotu siostry do domu. Na myśl o niej i jej spotkaniu z Elise we Florencji zacisnął palce na kierownicy. Dopiero kilka minut po zatrzymaniu samochodu zdołał je rozluźnić.

Kiedy otworzył auto, poczuł mocne smagnięcie wiatru. Krople deszczu zalały mu twarz i popłynęły za kołnierz. Tuż nad szczytami i dachami domu zygzaki błyskawicy przecięły niebo.

Dzika noc. Przypuszczał, że znajdująca się w domu Miranda cieszy się z burzy.

Zawsze uwielbiała pioruny. Natomiast on niezmiennie wolał spokój, ciszę i zapomnienie.

Ruszył pędem w stronę drzwi, a znalazłszy się w środku, otrząsnął się jak pies.

Powiesił mokry płaszcz na starym dębowym wieszaku i bez przeglądania się w antycznym lustrze przeczesał palcami włosy. Słyszał dochodzące z salonu pogrzebowe dźwięki

„Requiem” Mozarta.

Jeśli Miranda puszcza tę płytę, to znaczy, że wyprawa się nie powiodła.

Zastał ją skuloną w fotelu przed kominkiem. Siedziała owinięta w swój ulubiony kaszmirowy szlafrok i sączyła herbatę z należącej niegdyś do ich babki najlepszej porcelany.

Zauważył, że Miranda otoczyła się tym wszystkim, co normalnie dodawało jej otuchy.

- Widzę, że wcześniej wróciłaś.

- Tak, na to wygląda.

Bacnie mu się przyjrzała. Na pewno pił, ale jego oczy spoglądały na nią całkiem przytomnie, a na twarzy nie było widać pijackich wypieków. To znaczy, że w jakimś stopniu był jeszcze trzeźwy.

Chociaż miał ogromną ochotę na drinka, usiadł naprzeciwko siostry. Bez trudu zauważył jej wściekłość. W końcu znał ją lepiej niż ktokolwiek inny. Dostrzegł również, że gdzieś w głębi duszy Miranda jest nieszczęśliwa.

- No więc o co chodziło?

- Miała dla mnie zajęcie.

Miranda liczyła na to, że nim pójdzie do łóżka, Andrew wróci do domu, dlatego zawczasu przygotowała dwie filiżanki. Teraz wlała do drugiej z nich herbatę, udając, że nie dostrzega widocznego na twarzy Andrew grymasu obrzydzenia.

Doskonale wiedziała, że wolałby kieliszek whisky.

- Było to coś niewiarygodnego - ciągnęła Miranda, podając mu filiżankę i spodeczek. -

Figurka z brązu znaleziona w piwnicy Villa della Donna Oscura. Znasz historię tego domu?

- Przypomnij mi ją.

- Julietta Buonadoni.

- W porządku. Już wiem. Czarna Dama, kochanka jednego z Medyceuszy.

- Wawrzyńca Wspaniałego. W każdym razie to on był jej pierwszym protektorem -

uściśliła Miranda zadowolona, że Andrew sporo wie na ten temat. To pozwoli jej zaoszczędzić nieco czasu. - Brąz przedstawiał samą Juliettę. Trudno nie rozpoznać tej twarzy.

Matka chciała, żebym przeprowadziła testy i określiła wiek rzeźby.

Odczekał chwilę.

- Elise na pewno by sobie z tym poradziła.

- Wiedza Elise obejmuje znacznie szerszy zakres niż moja. - W głosie Mirandy słyhać było lekką irytację. - Moją specjalnością jest renesans, a zwłaszcza pochodzące z tej epoki brązy. Elizabeth chciała mieć najlepszego fachowca.

- Jak zawsze. A zatem przeprowadziłaś testy?

- Tak. Zrobiłam to raz i drugi. Miałam do dyspozycji najlepszych spośród zatrudnianych przez nią ludzi. Wykonywałam wszystko osobiście, krok po kroku. Potem zaczęłam powtarzać od początku.

- I co?

- To był autentyczny, Andrew. - Podekscytowana wychyliła się do przodu. - Z końca piętnastego wieku.

- To niewiarygodne. Cudownie. Dlaczego zatem nie świętujesz?

- Jest coś więcej. - Musiała zaczerpnąć nieco powietrza, by się uspokoić. - To było dzieło Michała Anioła.

- Jezu! - Szybko odstawił filiżankę. - Jesteś tego pewna? Nie przypominam sobie niczego na temat zaginionej rzeźby z brązu.

Między brwiami Mirandy pojawiła się kreseczka świadcząca o uporze.

- Zakładam się o własną reputację. To wspaniale wykonana wczesna praca tego artysty, cudowne dzieło przypominające jego zmysłowy styl pojawiający się w *Pijanym Bachusie*. Kiedy wyjeżdżałam, byłam w toku pracy nad dokumentacją, ale mam wystarczająco dużo argumentów, by podtrzymać to twierdzenie.

- To znaczy, że brąz nie ma żadnej dokumentacji? Rozdrażniona Miranda zaczęła stukać nogą.

- Julietta być może ukryła go lub przynajmniej zatrzymała dla siebie. Polityka. To jest możliwe - upierała się Miranda. - Na pewno udałoby mi się tego dowieść, gdyby matka dała mi więcej czasu.

- Dlaczego zatem tego nie zrobiła?

Nie będąc w stanie usiedzieć, Miranda wstała, by pogrzebać w kominku.

- Chociaż nie byliśmy jeszcze gotowi, aby złożyć oficjalne oświadczenie, ktoś zawiadomił prasę i rząd się zdenerwował. Zrezygnował z usług Standjo, a matka zrezygnowała ze mnie. Uznała, że to ja przekazałam informację dziennikarzom. - Wściekła odwróciła się. - Jej zdaniem tak bardzo pragnęłam sławy, że aby ją zdobyć, zaryzykowałam ujawnienie całej sprawy. Tymczasem nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego.

- To przecież oczywiste. - Tę możliwość mógł odrzucić bez zastanowienia. - Rząd zrezygnował z niej. - Chociaż było to bardzo niewiele, Andrew nie zdołał powstrzymać uśmiechu. - Idę o zakład, że to nieźle wytrąciło ją z równowagi.

- Była wściekła. W innych okolicznościach może nawet bym się z tego cieszyła, lecz tym razem odsunięto mnie od wspaniałej pracy. Nie tylko nie zdobędę uznania, ale jeżeli ponownie zechcę zobaczyć tę statuetkę, będę musiała wybrać się do muzeum. Cholera jasna, Andrew, byłam tak blisko.

- Możesz być pewna, że kiedy potwierdzona zostanie autentyczność tego brązu, Elizabeth znajdzie sposób, by wspomnieć o wkładzie wniesionym przez Standjo. - Uniósł

brew i zerknął na siostrę. - A kiedy to zrobi, będziesz po prostu musiała dopilnować, żeby nie pominięto twojej pracy.

- To nie to samo. - Miranda była w stanie myśleć jedynie o tym, że matka odebrała jej statuetkę.

- Chwytaj to, co możesz. - Również wstał i podszedł do szafki z alkoholem. Zrobił to, ponieważ wiedział, że będzie musiał zadać to pytanie. - Widziałaś Elise?

- Tak. - Miranda wsunęła ręce do kieszeni szlafroka. Zdawała sobie sprawę, że musi udzielić odpowiedzi. - Ładnie wygląda. Moim zdaniem dobrze sobie radzi, kierując laboratorium matki. Pytała o ciebie.

- A ty powiedziałaś jej, że u mnie wszystko w porządku. Miranda obserwowała, jak Andrew nalewa sobie pierwszego drinka.

- Uznałam, że wcale nie byłbyś zadowolony, gdybym ujawniła, że cały wolny czas poświęcasz na rozpamiętywanie przeszłości i zapijanie się na śmierć.

- Zawsze wszystko rozpamiętywałem - powiedział, wznosząc toast. - Wszyscy to robimy, więc to się nie liczy. Czy Elise ma kogoś?

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy na temat naszego życia seksualnego. Andrew, musisz z tym skończyć.

- Dlaczego?

- Ponieważ to co robisz, jest głupie i bez sensu. Na dodatek chociaż lubię Elise, ona wcale nie jest tego warta. - Miranda wzruszyła ramionami. - Nikt nie jest tego wart.

- Kochałem ją - mruknął, obserwując, jak alkohol wiruje w kieliszku, zanim go wypił.

- Dałem z siebie wszystko.

- Czy kiedykolwiek brałeś pod uwagę, że może to ona nie dała z siebie wszystkiego?

Może nie spełniła twoich oczekiwań?

Przyjrzał się bacznie Mirandzie znad brzegu kieliszka.

- Nie.

- Więc chyba powinieneś. Dobrze by było, gdybyś również zrozumiał, że nawet jeśli oboje daliście z siebie wszystko, to wcale nie gwarantowało powodzenia. Czasami małżeństwa się nie udają. Ludzie przechodzą nad tym do porządku dziennego.

Przez chwilę przyglądał się alkoholowi, obserwując światło, które sączyło się przez kieliszek.

- Może gdyby nie przychodziło im to tak łatwo, małżeństwa nie rozpadałyby się tak często.

- A gdyby ludzie nie udawali, że cały świat kręci się wokół miłości, uważniej dobieraliby sobie partnerów.

- Ale świat naprawdę kręci się wokół miłości, Mirando. To właśnie dlatego wszystko jest takie popieprzone.

Uniósł kieliszek i wypił jego zawartość.

Był chłodny szary świt. Niebo nabrało złocistego blasku, a fale morskie uderzały głucho i niespokojnie o głazy, po czym unosiły się, by walić z całą siłą w przestrzeń. Wiosna będzie musiała stoczyć ostrą walkę, zanim uda jej się pokonać zimę.

Nic nie było w stanie bardziej ucieszyć Mirandy.

Stała nad urwiskiem, a jej niepokój doskonale komponował się z lodowatą kipiela przelewającą się przez głazy. Miranda całą sobą wchłaniała słonawy zapach morza.

Kiepsko spała tej nocy. Dręczyły ją majaki, które przypisywała złości i zmęczeniu podróżą. Nie należała do osób zbyt często nawiedzanych przez sny. Wciąż jeszcze było ciemno, kiedy w końcu zrezygnowała z odpoczynku i włożyła gruby zielony sweter oraz ciemnobrązowe spodnie z miękkiej wełny. Wygrzebała resztki kawy - kiedy obudzi się Andrew, na pewno nie będzie zbyt zadowolony - i zaparzyła sobie pół dzbanka.

Popijając z ogromnego białego kubka mocny czarny płyn obserwowała, jak na wschodzie powoli i niechętnie pojawia się światłość jutrzeńki.

Przyszło jej na myśl, że chociaż deszcz ustał, może jeszcze wrócić, a ponieważ w nocy temperatura gwałtownie spadła, trudno wykluczyć śnieg lub deszcz ze śniegiem. Świetnie, doskonale.

W końcu znajdowała się w Maine.

Florencja wraz z połyskującym białym słońcem i ciepłym suchym wiatrem znajdowała się po drugiej stronie oceanu, chociaż w głębi duszy Mirandy, w głębi jej przepełnionego złością serca, to wcale nie było tak daleko.

Czarna Dama stanowiła jej przepustkę do sławy. Przynajmniej w tym względzie Elizabeth miała rację: Miranda zawsze marzyła o sławie. Lecz na Boga, zapracowała sobie na nią. Studiowała gorliwie, zmuszając się do nauki, do wchłaniania wiedzy i zapamiętywania, podczas gdy jej rówieśnicy prowadzili niezwykle ożywione życie towarzyskie i zmieniali partnerów jak rękawiczki.

W jej młodości nie było miejsca na okres buntu, w czasie studiów nigdy nie łamała ogólnie przyjętych zasad ani tradycji, nie pozwalała sobie na żadne szalone, opłakane w skutkach romanse. Jedną z koleżanek z pokoju uważała Mirandę za wytresowane zwierzątko, inna mawiała, że jest nudna jak flaki z olejem. Ponieważ gdzieś w głębi duszy zgadzała się z tą opinią, rozwiązała problem, wyprowadzając się z miasteczka studenckiego i wynajmując maty apartament.

Miranda zawsze myślała, że lepiej będzie, jeśli po prostu się wyniesie. Nie miała żadnych talentów towarzyskich. Pod maską opanowania i grubą warstwą wieloletniego treningu ukrywała potworną nieśmiałość i znacznie lepiej się czuła, zajmując się wyłącznie studiowaniem.

Dlatego z niezwykłą samodyscypliną podsycaną przez płomień ambicji Miranda czytała, pisała i poznawała inne stulecia.

Stawiała sobie jeden cel: chciała być najlepsza. Gdyby była najlepsza, być może rodzice spojrzeliby na nią z dumą, prawdziwą radością i szacunkiem. Och, drażniła ją świadomość, że wciąż w głębi duszy kieruje się tą motywacją, ale nigdy nie zdołała jej całkiem wykorzenić.

Miranda miała prawie trzydzieści lat, kiedy zrobiła doktorat, zajęła w Instytucie wysokie stanowisko i została uznana za wspaniałego archeometrę. Mimo to nadal rozpaczliwie pragnęła usłyszeć pochwałę z ust rodziców. No cóż, będzie musiała się bez tego obejść.

Pomyślała, że już wkrótce jej odkrycie zostanie potwierdzone. Wówczas zdobędzie uznanie, na które zasługuje. Napisze rozprawę o *Czarnej Damie* i wspomni, z jakim zaangażowaniem przeprowadzała testy i sprawdzała autentyczność statuetki. I nigdy, nigdy nie wybaczy Elizabeth, że odebrała jej radość i uniemożliwiła kierowanie dalszymi badaniami. Ani tego, że zdecydowała się na podjęcie takiego kroku.

Wiatr wzmógł się i zaczął wsuwać zimne macki pod sweter Mirandy. W powietrzu zawirowały pierwsze maleńkie płatki śniegu. Miranda odwróciła się plecami do morza i schodząc po zboczu, zastukała obcasami po kamieniach.

Na szczycie białej wieży nadal miarowo krążyła wiązka mocnego światła, oświetlając wodę i kamienie, chociaż w zasięgu wzroku nie było żadnych statków. Od zmierzchu do brzasku, rok po roku, niezależnie od pogody i okoliczności. Ktoś być może dostrzegłby w tym coś romantycznego, lecz ilekroć Miranda patrzyła na mocne, bielone wapnem ściany latarni, dostrzegała tylko solidność i niezawodność.

Doszła do wniosku, że jest to coś, na co nie zawsze można liczyć u ludzi.

Stojący w oddali dom wciąż spał pogrążony w ciemności, a jego fantazyjna, pochodząca z innej epoki sylwetka rysowała się na tle ponurego nieba.

Zniszczona, zbrązowiała i oszroniona trawa trzeszczała pod obcasami. Miranda miała wrażenie, że w ten sposób beszta ją niegdyś piękny ogród babci.

Stąpając po poczerniałych liściach i połamanych łodyżkach, młoda kobieta obiecała sobie, że w tym roku poświęci mu nieco czasu i uwagi. Postara się, by ogrodnictwo stało się jej hobby. Zawsze chciała mieć jakieś hobby.

W kuchni przelała resztę kawy z dzbanka do kubka. Ponownie zerknąwszy na padający za oknami śnieg, postanowiła wybrać się wcześniej do Instytutu, zanim na drogach utworzą się zasy.

Siedząc w ciepłym komfortowym wnętrzu wynajętego mercedesa, obserwował, jak land - rover bez trudu sunie po cienkiej warstwie leżącego na ulicy śniegu, a potem skręca na parking znajdujący się obok Instytutu Historii Sztuki w Nowej Anglii. Przyszło mu na myśl, że takim właśnie pojazdem powinien jeździć generał prowadzący małą bezkrwawą wojnę.

Ładnie wygląda, pomyślał, obserwując wysiadającą Mirandę. Oceniał, że w botkach na obcasie może

mieć ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Owinięta była w stalowoszary, niezbyt modny, ale za to bardzo ciepły płaszcz. Spod czarnej narciarskiej czapeczki wymykały się pojedyncze niesforne kosmyki rudych włosów. Miranda niosła w ręku grubą, nieco wybruszoną aktówkę i poruszała się z ogromną precyzją oraz świadomością celu, z czego niewątpliwie ów generał byłby niezwykle dumny.

Męski energiczny sposób chodzenia ukrywał wyniosłą i nieświadomioną kobiecość.

Miranda była głęboko przekonana, że w ogóle nie odczuwa fizycznego pociągu do mężczyzn.

Szła, lekko kołysząc biodrami.

Rozpoznał ją nawet w przyćmionym świetle. Doszedł do wniosku, że Miranda jest kobietą, której trudno nie zauważyć.

Siedział tu już niemal od godziny, słuchając rozmaitych arii, począwszy od „Carmen”, poprzez „Cyganię” aż do „Wesela Figara”. Miał wszystko, czego potrzebował, i zrobił to, co należało, był jednak niezmiernie zadowolony, że się nie spieszył, bo dzięki temu udało mu się zobaczyć, kiedy wróciła.

Doszedł do wniosku, że Miranda jest rannym ptaszkiem, kobietą na tyle lubiącą swoją pracę, by zająć się nią w chłodny śnieżny poranek, gdy całe miasto jeszcze śpi. Cenił ludzi, którzy lubią własną pracę. Na Boga, on sam również uwielbiał to, co robił.

Zaczął się jednak zastanawiać, co począć z doktor Mirandą Jones. Wyobraził sobie, jak młoda kobieta korzysta z bocznego wejścia, wsuwając swoją kartę do automatu i wystukując na tarczy numerycznej kod. Nie wątpił, że natychmiast po znalezieniu się w środku Miranda z powrotem włączy alarm.

Wszystkie informacje wskazywały na to, że jest praktyczna i sumienna. Doceniał

praktyczne kobiety. Miło było je deprawować.

Mógł pracować u jej boku lub ją wykorzystać. Czy w ten czy w inny sposób, na pewno wykona swoją robotę, ale wykorzystanie jej byłoby znacznie... zabawniejsze.

Ponieważ będzie to jego ostatnia praca, dobrze by było, gdyby oprócz zysku i dreszczyku emocji dodatkowo dostarczyła mu nieco przyjemności.

Doszedł do wniosku, że warto poświęcić trochę czasu, by poznać Mirandę Jones i nieco się z nią zabawić. Zanim ją okradnie.

Zobaczył światło, które błysnęło w oknie znajdującym się na trzecim piętrze rozległego, wzniesionego z granitu budynku. Poszła prosto do swego biura, by zabrać się do pracy, pomyślał, ponownie się uśmiechając, kiedy dostrzegł poruszający się w oknie cień.

Był najwyższy czas, żeby również on zaczął robić to, co do niego należy. Zapуścił

silnik, wyłonił się zza rogu i odjechał, by się przebrać.

Instytut Historii Sztuki w Nowej Anglii zbudowany został przez pradziadka Mirandy, ale dopiero jej dziadek, Andrew Jones, rozszerzył zakres działania tej instytucji. Zawsze bardzo interesowała go sztuka, sam uważał się nawet za malarza. Był na tyle dobry, że udało mu się przekonać kilka zdrowych młodych modelek, by zdjęły ubranie i zgodziły się mu pozować.

Prawdziwą przyjemność sprawiało mu utrzymywanie stosunków towarzyskich z artystami, zabawianie ich i odgrywanie roli mecenasa sztuki, zwłaszcza jeżeli miał do czynienia z atrakcyjną kobietą, która wpadła mu w oko. Niewątpliwie był kobieciarzem i uwielbiał zaglądać do kieliszka, z drugiej jednak strony potrafił być szczodry, pomysłowy i nigdy nie bał się dysponować pieniędzmi tak, jak dyktowało mu serce.

Pierwotnie Instytut wzniesiony został z solidnego szarego granitu; należące do niego zabudowania ciągnęły się od przecznicy do przecznicy. Główny budynek ozdobiony został

wysokimi kolumnami, bocznymi skrzydłami i ogromnymi portalami. Było to ciche, dostojne i nieco surowe muzeum ze starannie zagospodarowanym terenem zielonym porośniętym olbrzymimi, starymi cienistymi drzewami.

Andrew pragnął czegoś więcej. Chciał, by Instytut stanowił wizytówkę sztuki i artystów, był miejscem, gdzie wystawia się dzieła sztuki, przywraca im świetność, prowadzi wykłady i badania. W związku z tym wyciął drzewa, rozparcelował grunt i do pierwotnej budowli dodał pełne wdzięku, aczkolwiek nieco dziwaczne dobudówki.

Były to sale wykładowe i pracownie z wysokimi jasnymi oknami, starannie zaprojektowane laboratoria, przestronne magazyny i ogromna liczba biur. Ponad trzykrotnie powiększona została również powierzchnia samej galerii.

Studenci, którzy chcieli się tu uczyć, musieli najpierw zdać odpowiednie egzaminy.

Ci, których było na to stać, drogo płacili za przywilej zdobywania wiedzy w Instytucie.

Natomiast tych, którzy nie mogli opłacić chesnego, subsydiowano, jeśli tylko byli tego warci.

Sztuka stanowiła w Instytucie świętość, a nauka traktowana była jak bóg.

W kamiennym nadprożu nad głównym wejściem wyryte zostały słowa Longfellowa: CZAS UMYKA, A SZTUKA TRWA WIECZNIE

Instytut zajmował się jej badaniem, konserwowaniem i pokazywaniem.

W zasadzie koncepcja Andrew Jonesa nadal obowiązywała, chociaż minęło pięćdziesiąt lat, a Instytutem kierowały jego wnuki.

Galerie prawdopodobnie stanowiły najświetniejszą kolekcję w Maine, a pokazywane w nich dzieła sztuki starannie wybierano i dokupowano, z biegiem lat stopniowo wzbogacając prywatne kolekcje

Charlesa i Andrew.

Dostępna dla publiczności przestrzeń wystawowa zajmowała pierwsze piętro, a poszczególne galerie połączone były ze sobą szerokimi łukowatymi przejściami. Na drugim piętrze znajdowały się sale wykładowe, pracownie i dział konserwatorski. Oddzielał je od siebie niewielki westybul dostępny dla turystów, którzy posiadali odpowiednie przepustki i chcieli zobaczyć przestrzeń przeznaczoną do pracy.

We wszystkich skrzydłach parteru mieściły się laboratoria. Chociaż sale wystawowe i pomieszczenia dla studentów zajmowały ogromną przestrzeń, najważniejszą rolę w działalności Instytutu odgrywały właśnie one.

Stanowiły dumę Mirandy.

Odłożyła na bok aktówkę i podeszła do znajdującego się pod oknem stołu, by zaparzyć sobie kawę. Kiedy włączyła ekspres, zabrzączał faks. Po rozsunięciu żaluzji zbliżyła się do maszyny i wyjęła z niej kartkę papieru.

Witaj w domu, Mirando. Czy dobrze się bawiłaś we Florencji? Szkoda, że Twoja podróż tak brutalnie została skrócona. Jak myślisz, gdzie popełniłaś błąd? Czy zastanawiałaś się nad tym? A może wciąż jesteś święcie przekonana, że masz rację?

Przygotuj się na porażkę. To będzie duży wstrząs.

Od dawna Cię obserwuję. I cierpliwie czekam. Nadal nie przestaję Cię obserwować, ale moje wyczekiwanie już prawie dobiegło końca.

W czasie czytania wiadomości Miranda przyłapała się na tym, że pociera dłonią ramię, by je rozgrzać. Chociaż zmusiła się, by przestać, nadal było jej zimno.

Na faksie nie było podpisu ani numeru zwrotnego.

Za dziwnie groźnymi słowami krył się przebiegły śmiech. Kto to zrobił i dlaczego?

Matka? Miranda zawstydziała się, że pierwsze przyszło jej na myśl imię Elizabeth. Z

pewnością kobieta posiadająca tak ogromną władzę jak Elizabeth, a na dodatek jej osobowość i pozycję, nie zniżyłaby się do wysyłania zagadkowych anonimów.

Już zraniła Mirandę i zrobiła to w najbardziej bezpośredni sposób, w jaki mogła.

Istniało dużo większe prawdopodobieństwo, że to jakiś rozczarowany pracownik Standjo lub Instytutu, ktoś kto uznał, że Miranda niesprawiedliwie przydziela zadania.

Uznawszy, że tak właśnie jest, zaczęła spokojniej oddychać. Musiał to zrobić jakiś technik, któremu udzieliła ostrej reprymendy, lub student niezadowolony z uzyskanej oceny.

Chciał ją tylko zaniepokoić, ale to mu się nie uda.

Zamiast jednak wyrzucić faks do kosza, wsunęła go do najniższej szuflady i zamknęła ją na kluczyk.

Nie chcąc już dłużej o tym myśleć, usiadła i zaczęła układać na papierze plan dnia.

Nim zdążyła wykonać pierwsze ze znajdujących się na tej liście zadań: przeczytać pocztę oraz notatki i uporządkować wiadomości telefoniczne, weszło słońce i przez szparki w żaluzjach do pokoju wpadły pierwsze promienie.

- To ty, Mirando?

Drgnęła, słysząc energiczne pukanie.

- Tak, wejdz. - Spojrzała na zegarek i zauważyła, że jej sekretarka jak zwykle pojawiła się bardzo punktualnie.

- Dostrzegłam na parkingu twój samochód. Nie wiedziałam, że dzisiaj wracasz.

- Tak, to było... dość niespodziewane.

- Co słysząc we Florencji? - Lori przeszła po całym pomieszczeniu, sprawdzając pocztę i jednocześnie poprawiając uchylone żaluzje.

- Jest ciepło i słonecznie.

- To dobrze. - Zauważywszy, że wszystko znajduje się na swoim miejscu, usiadła z notesem na kolanie. Była ładną wysportowaną blondynką o ustach lalki i głosie podobnym do Berty Boop. - Cieszę się, że wróciłaś - powiedziała z uśmiechem.

- Dzięki. - Ponieważ powitanie było szczere, Miranda w odpowiedzi również się uśmiechnęła. - Ja też się cieszę, że wróciłam. Mam spore zaległości. W tej chwili chciałabym dowiedzieć się, jak postępuje konserwacja Bronzino i *Aktu Carbello*.

Dobrze znany rozkład zajęć uspokoił Mirandę do tego stopnia, że zapomniała o wszystkim oprócz spraw na najbliższe dwie godziny. Zostawiając Lori ułożenie kalendarza spotkań, Miranda wyszła, by sprawdzić, co dzieje się w laboratoriach.

Pomyślawszy o Andrew, postanowiła zboczyć nieco z trasy i przed zejściem na dół

wstąpić do jego biura. Królestwo Andrew znajdowało się w przeciwległym skrzydle, bliżej terenu dostępnego dla publiczności. To on zarządzał galeriami, nadzorował wszelkie zakupy i organizował wystawy, natomiast Miranda wolała pracować z dala od ludzkich oczu.

Wędrowała korytarzem, stukając wygodnymi butami o marmur. Znajdujące się gdzieś tam duże prostokątne okna wpuszczały do środka strumienie bladego światła, które padało na podłogę, dochodziły zza nich również przytłumione odgłosy ruchu ulicznego, a przez szyby widać było

sąsiednie budynki oraz nagie drzewa.

Drzwi biur były dyskretnie pozamykane, a po korytarzu tęnym echem odbijały się przypadkowe odgłosy rozmów telefonicznych i popiskiwanie faksów. Jakaś sekretarka wynoszącą z magazynu ryżę papieru spojrzała na Mirandę przestraszona, a dopiero po chwili powiedziała:

- Dzień dobry, doktor Jones - po czym uciekła. Miranda zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę tak bardzo przeraża ludzi. Czy jest aż tak wrogo do nich nastawiona? Ponieważ to przypomniało jej o faksie, przymrużyła oczy i spojrzała na oddalającą się kobietę, która szybko wpadła w jakieś drzwi i zamknęła je za sobą.

Może jest zbyt zamknięta w sobie. Może pracownicy nie darzą jej aż tak wielką sympatią jak Andrew, ale w końcu nie jest... niemiła. Prawda?

Miranda zaczęła się martwić, że z powodu wrodzonej rezerwy jest postrzegana jako osoba oziębła.

Tak samo jak jej matka.

Nie, nie mogła w to uwierzyć. Ludzie, którzy dobrze ją znają wcale tak nie myślą. Całkiem nieźle układają się jej stosunki z Lori i Johnem Carterem. Co więcej, nie traktuje laboratorium jak obozu treningowego dla żółtodziobów, gdzie nikt nie ma prawa żartować ani powiedzieć, co myśli.

Chociaż właściwie z nią nikt nie żartuje, pomyślała.

Przypomniała sobie jednak, że to ona jest tu szefem, czy mogła więc spodziewać się czegoś innego?

Powoli wyprostowała się. Nie może pozwolić, żeby jedna tchórzliwa sekretarka wytrąciła ją z równowagi i skłoniła do analizowania własnej osobowości.

Ponieważ na szczęście harmonogram nie przewidywał na ten dzień żadnych spotkań, Miranda miała na sobie ten sam sweter i spodnie, w których wyszła tego ranka, by poobserwować brzask. Włosy związała z tyłu w coś, co tylko z grubsza przypominało warkocz, a spod niestaranego splotu wymykały się niesforne loki.

Doszła do wniosku, że we Włoszech jest już wczesne popołudnie, a brąz z pewnością poddawany jest intensywnym testom. Na tę myśl ponownie napięła mięśnie pleców.

Stała w drzwiach biura, w którym urzędowała sekretarka Andrew. W pomieszczeniu tym znajdowało się solidne wiktoriańskie biurko, dwa krzesła z prostymi wyściełanymi oparciami, zwykle szare szafki na kartoteki oraz pilnująca tego wszystkiego kobieta.

- Dzień dobry, pani Purdue.

Pięćdziesięcioletnia z wyglądu sekretarka Andrew była ubrana schludnie i surowo jak zakonnica. Dzień po dniu, rok po roku szpakowate włosy związała w taki sam węzeł i niezmiennie miała na sobie wykrochmaloną bluzkę, ciemny blezer oraz spódnicę.

Zawsze była panią Purdue.

Kiwnęła głową, równocześnie zdejmując palce z klawiatury i starannie składając rękę.

- Dzień dobry, doktor Jones. Nie wiedziałam, że wróciła już pani z Włoch.

- Przyleciałam wczoraj. - Miranda doszła do wniosku, że właściwie mogłaby spróbować być bardziej przystępna dla swoich pracowników, dlatego zdobyła się na uśmiech.

- Powrót do tego zimna był dla mnie sporym przeskokiem. - Kiedy w odpowiedzi pani Purdue jedynie energicznie przytaknęła, Miranda z prawdziwą ulgą zrezygnowała z pomysłu, by uciąć sobie z nią pogawędkę. - Czy jest mój brat?

- Doktor Jones właśnie zszedł na dół, by przywitać gościa. Lada chwila powinien być z powrotem. Zechce pani poczekać czy może woli pani zostawić dla niego wiadomość?

- Nie, to nic ważnego. Zobaczę się z nim później.

Kiedy usłyszała męskie głosy niosące się echem po schodach, odwróciła się. Gdyby nie krytyczne oko pani Purdue, Miranda najchętniej rzuciłaby się do ucieczki, żeby się gdzieś ukryć, byle nie mieć do czynienia z gościem Andrew.

Doszła do wniosku, że uniknęłyby tego, gdyby poszła prosto do laboratorium, mimo to energicznie odgarnęła do tyłu włosy i uśmiechnęła się uprzejmie.

Jej uśmiech stał się mniej pewny, kiedy Andrew i jego towarzysz dotarli na górny podest schodów.

- Mirando, jak to dobrze, że jesteś. - Andrew uśmiechnął się, a Miranda obrzuciła go szybkim badawczym spojrzeniem i doszła do wniosku, że na twarzy brata nie widać ani śladu wczorajszego pijaństwa. - Dzięki temu nie będę musiał dzwonić do twojego biura. Chciałbym przedstawić ci Ryana Boldariego, właściciela Galerii Boldariego.

Gość Andrew zrobił krok do przodu, ujął rękę Mirandy i łagodnie uniósł ją do ust.

- Bardzo się cieszę, że w końcu mogę panią poznać.

Miał twarz, którą można by namalować obszernymi, śmiałymi pociągnięciami pędzla i powiesić wśród innych znajdujących się w Instytucie obrazów. Był śniady i szalenie przystojny. Sprawiał wrażenie nieokiełzanego, co tylko w nieznacznym stopniu tuszował

nienagannie skrojony szary garnitur i idealnie zawiązany krawat. Miał gęste, czarne jak tusz, pięknie falujące włosy i wyraziste rysy twarzy. Ciemnozłocistą skórę intrygująco szpeciła mała półksiężycowata blizna znajdująca się tuż nad końcem lewej brwi.

Wpatrywał się w Mirandę ciemnobrązowymi oczyma z maleńkimi złocistymi plamkami. Na jego godnych dłuta mistrza ustach pojawił się uśmiech zmuszający kobietę do zastanawiania się, jakie są w dotyku. I do westchnienia.

W głowie Mirandy rozległ się gwizdek, był to pojedynczy radosny dźwięk, a jej serce dwukrotnie podskoczyło.

- Witamy w Instytucie, panie Boldari.

- Niezmiernie się cieszę, że tu jestem.

Przez cały czas trzymał jej dłoń, ponieważ odnosił wrażenie, że to ją denerwuje.

Chociaż na ustach Mirandy widać było uprzejmy uśmiech, między jej brwiami pojawiła się kreseczka, która mogła świadczyć o pewnej irytacji.

Miranda zastanawiała się, czy jednym mocnym szarpnięciem nie wyciągnąć ręki z jego dłoni, potem doszła jednak do wniosku, że byłoby to zbyt kobiece.

- Może wejdziemy do mojego biura? - Nie zdając sobie sprawy z toczącej się pod jego nosem gry, Andrew pokazał ręką drzwi. - Mirando, masz minutkę?

- Prawdę mówiąc, właśnie...

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby poświęciła mi pani odrobinę swego cennego czasu, doktor Jones.

- Ryan uśmiechnął się do niej, równocześnie przesuwał rękę z jej dłoni na łokieć. - Mam dla pani brata propozycję, która jak sądzę, powinna zainteresować również panią. Pani specjalnością jest renesans, prawda?

Złapana w pułapkę pozwoliła wprowadzić się do biura Andrew.

- Tak.

- To wspaniała epoka, której zawdzięczamy wiele pięknych dzieł. Zna pani prace Giorgia Vasariego?

- Oczywiście, to późnorenesansowy manierysta, który swoim stylem zapowiadał

wyraźny postęp.

- Ryan ma trzech Vasarich.

Andrew gestem ręki pokazał krzesła, które tylko dzięki pani Purdue nie były zasłane książkami oraz papierami, co zdarzało się bardzo często.

- Naprawdę? - Miranda usiadła i zdobyła się na następny uśmiech.

Kolorowe biuro Andrew było znacznie mniejsze niż jej, ale on wolał właśnie takie.

Zagrabił je różnymi drobiazgami, którymi zawsze uwielbiał się otaczać. Były to stare kości, skorupy glinianych naczyń i kawałki szkła. Miranda wolałaby, aby to niespodziewane spotkanie odbywało się na jej terytorium, w bardziej formalnej atmosferze.

Ponieważ była zdenerwowana, wyobraziła sobie, że bębni palcami i kręci stopą.

- Tak. - Usadawiając się na wąskim krześle ze skórzanym oparciem, Ryan od niechcienia podciągnął spodnie, żeby się nie pomięły. - Czy pani zdaniem jego prace wykazują za mało swobody? Są zbyt wyrafinowane?

- To bardzo typowe dla manieryzmu - odparowała Miranda. - Vasari jest artystą charakterystycznym dla tamtej epoki i tamtego stylu.

- Zgadzam się. - Ryan jedynie się uśmiechnął. - Osobiście wolę wczesny renesans, a także jego szczytowy okres, ale biznes to biznes. - Machnął ręką. Jak zauważyła Miranda, miał mocne, szerokie, pełne wdzięku dłonie o długich palcach.

Irytował ją fakt, że dostrzega to wszystko, przez sekundę lub dwie czuła się nawet nieco zawstydzona, bo zaczęła sobie wyobrażać dotyk jego dłoni na własnej skórze. Ze zdumieniem doszła do wniosku, że zachowuje się jak nastolatka przy gwiazdzie rocka.

Kiedy z pełną premedytacją oderwała wzrok od jego rąk, natknęła się na spojrzenie Ryana. Ponownie się uśmiechnął, a w jego oczach pojawił się wyraźny błysk.

Próbując się bronić, odezwała się chłodno:

- A jakie interesy łączą pana z Instytutem?

Fascynująca kobieta, pomyślał. Ciało bogini, maniery świętoszki, ubiera się byle jak, a w jej gorejących niebieskich oczach widać niezwykle pociągającą płochliwość.

Nie odrywał od niej wzroku zadowolony, że na jej policzkach pojawił się nikły uroczy rumieniec. Zawsze uważał, że w obecnych czasach kobiety rumieniać się zdecydowanie za rzadko.

Był ciekaw, jak Miranda wygląda w drucianych okularach, które obecnie wisiały zahaczone o dekolt swetra.

No cóż, seksowny naukowiec.

- Spotkałem pani brata kilka miesięcy temu w Waszyngtonie na wystawie „Kobieta w sztuce”. Sądzę, że pojechał tam zamiast pani.

- Tak, nie udało mi się wówczas wyrwać.

- Miranda była zagrzebana po uszy w pracy w laboratorium. - Andrew uśmiechnął się.

- Ja czasami bywam tu zbędny. - Oparł się o krzesło. - Ryan jest zainteresowany naszą *Madonną* Celliniego.

Miranda uniosła brew.

- To jeden z naszych najlepszych eksponatów.
- Tak, właśnie ją widziałem. Jest wspaniała. Pani brat i ja zaczęliśmy zastanawiać się nad wymianą.
- Celliniego? - Smagnęła brata szybkim spojrzeniem.
- Andrew.

- Nie na stałe - wyjaśnił szybko Ryan i wcale nie starał się ukryć uśmiechu na widok jej prawdziwej rozpaczy. - Na trzy miesiące. Powinny na tym skorzystać obie strony. Mam zamiar w naszej nowojorskiej galerii zorganizować wystawę Celliniego, a wypożyczenie waszej *Madonny* byłoby dla mnie prawdziwym osiągnięciem. W zamian za to chciałbym na ten sam okres wypożyczyć Instytutowi trzech moich Vasarich.

- Mogłabyś wówczas urządzić wystawę „Trzy style renesansu”. Mówisz o niej od lat - zwrócił uwagę Andrew.

Rzeczywiście Miranda marzyła o zorganizowaniu wystawy, która obrazowałaby cały zakres jej zainteresowań. Chciała na niej pokazać starannie dobrane przez siebie dzieła sztuki, przedmioty użytkowe, zaprezentować tło historyczne i dokumenty.

By w geście tryumfu nie wyrzucić rąk do góry, położyła je starannie na kolanach.

- Tak, myślę, że mogłabym. - Poczowała gwałtowne podniecenie, ale ukrywając to, spokojnie zwróciła się Rayna.

- Ma pan dokumenty potwierdzające autentyczność dzieł Vasariego?

Ryan przekrzywił głowę i oboje udali, że nie słyszą, jak Andrew jęknął.

- Tak, oczywiście. Dopilnuję, żeby jeszcze przed sporządzeniem umowy otrzymała pani kopie tych dokumentów, a pani robi dla mnie to samo, jeśli chodzi o Celliniego.

- Przygotuję je dla pana na jutro. Moja sekretarka może przesłać je do pańskiego hotelu.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny.

- No cóż, zostawię panom dopracowanie szczegółów. Lecz kiedy wstała, Ryan również się podniósł i ponownie ujął jej dłoń.

- Zastanawiam się, czy bardzo nadużyję pani uprzejmości, jeżeli poproszę, żeby mnie pani oprowadziła po Instytucie. Andrew wspomniał, że pani domeną są laboratoria i pracownie konserwatorskie. Bardzo chciałbym je zobaczyć.

- Muszę...

Zanim zdołała znaleźć wymówkę, Andrew wstał i niezbyt subtelnie wymierzył jej kuksańca w bok.

- Nie mógłbyś znaleźć się w lepszych rękach. Zobaczymy się za kilka godzin, Rynie.

Wówczas skosztujemy zupy z małży, którą ci obiecałem.

- Nie mogę się tego doczekać... Moje galerie nastawione są przede wszystkim na prezentowanie sztuki - zaczął, od niechcienia trzymając w dłoni rękę Mirandy, kiedy ruszyła korytarzem w stronę drzwi prowadzących do następnego skrzydła. - Prawie nic nie wiem na temat strony naukowej. Czy zajmując się jednym i drugim, nie odnosi pani czasami wrażenia, że obie te dziedziny kłócą się ze sobą?

- Nie, bez jednej nie byłoby drugiej. - Zdając sobie sprawę, że jej odpowiedź była nieco za gwałtowna, Miranda powoli nabrała powietrza w płuca. Ten mężczyzna wyraźnie działał jej na nerwy, w dodatku nie była w stanie tego ukryć. Powinna się opanować. -

Instytut wybudowany został z myślą o tym, by pod jednym dachem znalazły miejsce obie te dziedziny i by cieszyły się takim samym szacunkiem. Jako naukowiec badający sztukę jestem w stanie to docenić.

- Prawdę mówiąc, byłem dość kiepskim studentem - powiedział z tak czarującym uśmiechem, że w odpowiedzi również się uśmiechnęła.

- Jestem pewna, że był pan dobry w czym innym.

- Mam nadzieję, że tak.

Był spostrzegawczym mężczyzną, dlatego starannie odnotowywał odległość między skrzydłami, położenie schodów, biur, magazynów oraz okien. I oczywiście miejsca, gdzie znajdowały się kamery. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak w zdobytych przez niego informacjach. Mimo to później szczegółowo zapisze własne obserwacje. Na razie po prostu układał je starannie w głowie, równocześnie z prawdziwą przyjemnością wdychając subtelny woń unoszącą się wokół Mirandy.

Doszedł do wniosku, że nie można doktor Jones traktować jednoznacznie. Nie jest kobieca. Przypuszczał nawet, że idealnie pasujący do niej leśny zapach jest raczej wynikiem użycia mydła niż perfum.

Na końcu korytarza Miranda skręciła w prawo, a potem zatrzymała się, by wsunąć kartę magnetyczną do otworu obok szarych metalowych drzwi. Rozległo się brzęczenie, a po chwili stuknął zamek. Ryan zerknął na znajdującą się nad drzwiami kamerę.

- Mamy bardzo skomplikowany system zabezpieczeń - zaczęła. - By wejść do tej części, trzeba mieć kartę lub być w towarzystwie kogoś, kto ją ma. Często wykonujemy testy dla osób prywatnych oraz innych muzeów.

Wprowadziła go do pomieszczenia urządzonego bardzo podobnie jak laboratorium w Standjo we Florencji, chociaż było ono nieco mniejsze. Technicy siedzieli przy komputerach i mikroskopach

albo z rozwianymi potami kitli laboratoryjnych przebiegali szybko między poszczególnymi pomieszczeniami.

Miranda dostrzegła pracownika zajmującego się rozbitym glinianym naczyniem i podprowadziła do niego Ryana.

- Stanley, co możesz nam o tym powiedzieć? Technik podrapał się po jasnym wąsiku i wciągnął powietrze przez nierówne zęby.

- Pani ojciec przysłał nam to z wykopalisk w Utah wraz z kilkoma innymi przedmiotami użytkowymi. Prawdopodobnie jest to dwunastowieczne naczynie do gotowania z kultury Anasazi.

Odchrząknął, zerknął na Mirandę, a kiedy przytaknęła, ciągnął dalej.

- To piękne naczynie jest prawie nietknięte, ma jedynie odłamany kawałek brzegu.

- Skąd pan wie, że jest to naczynie do gotowania?

- zapytał Ryan, a Stanley zamrugnął powiekami.

- Świadczy o tym kształt, rozmiar i grubość.

- Dziękuję, Stanley.

Miranda odwróciła się do Ryana i niemal na niego wpadła, ponieważ podszedł bliżej, kiedy była odwrócona plecami. Natychmiast się odsunęła, zdążyła jednak zauważyć, że jest od niej wyższy o ponad pięć centymetrów. W jego oczach pojawiło się rozbawienie, twarz straciła zmysłowy charakter, za to stała się bardziej seksowna.

Miranda ponownie usłyszała ten cholerny gwizdek.

- Pierwotnie nasz Instytut nastawiony był tylko na sztukę, ale ponieważ mój ojciec interesuje się archeologią, w części pomieszczeń wystawowych znalazły się przedmioty użytkowe, a my wykonujemy sporo badań i określamy wiek również tego typu znalezisk.

Lecz to nie jest moja dziedzina. Teraz...

Podeszła do szafki, otworzyła szufladę i dopóty w niej grzebała, dopóki nie znalazła małej brązowej torebki. Potem położyła drobne kawałeczki farby na szkiełku i podstawiała je pod wolny mikroskop.

- Proszę zobaczyć - zachęciła. - I powiedzieć, co pan widzi.

Pochylił się i poprawił ostrość.

- Kolor i kształt są dość ciekawe, kojarzą mi się z obrazem Pollocka. - Wyprostował

się i spojrzał na Mirandę oczyma koloru brandy. - Na co patrzę, doktor Jones?

- Na to, co zdrapano z konserwowanego właśnie Bronzina. Farba niewątpliwie wykonana została w szesnastym wieku. Dla bezpieczeństwa bierzemy próbki zarówno przed rozpoczęciem prac, jak i po ich zakończeniu. Dzięki temu nie ma żadnych wątpliwości, że dostajemy autentyczne dzieło sztuki i że oddajemy właścicielowi tę samą pracę.

- Skąd pani wie, że to szesnastowieczna farba?

- Chce pan usłyszeć cały wykład, panie Boldari?

- Proszę mówić mi Ryan, wtedy ja również będę mógł zwracać się do pani na „ty”.

Miranda to piękne imię. - Jego miły i cichy głos sprawił, że poczuła mrowienie na całym ciele.

- Prawdę mówiąc, jeśli będę miał odpowiedniego nauczyciela, chętnie wysłucham całego wykładu.

- Będziesz musiał zapisać się na zajęcia.

- Słabi studenci lepiej się spisują na zajęciach indywidualnych. Proszę, zjedz ze mną dzisiaj kolację.

- Jestem kiepską nauczycielką.

- Mimo to podtrzymuję zaproszenie. Możemy dyskutować na temat nauki i sztuki, a ja opowiem ci o Vasarich.

- Miał ogromną ochotę zacząć bawić się jej luźnymi lokami, doszedł jednak do wniosku, że odskoczyłaby jak królik. - Możemy nazwać to kolacją służbową, jeśli dzięki temu poczujesz się nieco swobodniej.

- Wcale nie jestem skrępowana.

- W takim razie dobrze. Przyjadę po ciebie o siódmej. Wiesz - ciągnął, ponownie dotykając ręką jej dłoni - bardzo chciałbym zobaczyć tego Bronzina. Podziwiam formalną czystość jego prac.

Zanim zdołała wymyślić, w jaki sposób uwolnić rękę, wsunął ją sobie pod ramię i ruszył w stronę drzwi.

Nie miała pojęcia, dlaczego przystała na tę kolację. Choć gdy przypomniała sobie przebieg konwersacji, doszła do wniosku, że prawdę mówiąc, wcale nie wyraziła zgody. Nie bardzo rozumiała więc, dlaczego szykuje się do wyjścia.

Przypomniała sobie, że ma zamiar z nim współpracować. Galeria Boldariego powszechnie uznawana była za elegancką i ekskluzywną. Pewnego razu podczas pobytu w Nowym Jorku Mirandzie udało się znaleźć wolną godzinę i odwiedzić to muzeum. Bardzo spodobał jej się niewielki gustowny budynek i prezentowana w nim kolekcja sztuki.

Dla dobra Instytutu gotowa była pomóc w nawiązaniu bliższej współpracy między jedną z najwspanialszych galerii w kraju a instytucją prowadzoną przez Jonesów.

Ryan zaprosił ją na kolację, by porozmawiać o interesach. Miranda postanowiła dopilnować, by rzeczywiście na tym się skończyło. W końcu nie jest bezkrytyczną, pozbawioną mózgu idiotką. Mężczyźni wyglądający jak Ryan Boldari od urodzenia posiadają wszystkie umiejętności, które ułatwiają flirt.

Miranda uważała, że ma wrodzoną odporność na tego rodzaju wątpliwe talenty.

Miał najbardziej niewiarygodne oczy i patrzył na nią, jakby na całym świecie nie istniało nic oprócz niej.

Kiedy zdała sobie sprawę, że wzdycha, zamknęła oczy, mruknęła półgłosem i jednym szarpnięciem zasunęła zamek błyskawiczny na plecach sukienki.

Jedynie duma i zawodowa uprzejmość kazały Mirandzie zadbać o swój wygląd i pokazać się tego wieczoru z jak najlepszej strony. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, wyglądała jak niechlujna studentka. Teraz zrobi wszystko, by sprawiać wrażenie dorosłej eleganckiej kobiety, dla której kolacja w towarzystwie mężczyzny jest czymś zupełnie normalnym.

Wybrała czarną, uszytą z delikatnej wełny suknię z dekoltem głębokim na tyle, by można było zobaczyć jej wdzięki. Długie rękawy ciasno przylegały do ramion, a wąska spódnica sięgała kostek. Na szyi Miranda zawiesiła wspaniałą replikę bizantyjskiego krzyża, którego ozdobne dolne ramie wygodnie spoczywało w zagłębieniu między piersiami.

Uniosła włosy do góry i luźno je upięła. Gdyby potrafiła zdobyć się na szczerą wobec samej siebie, musiałaby przyznać, że wygląda beztrosko i seksownie.

Doszła jednak do wniosku, że prezentuje się całkiem nieźle i sprawia wrażenie osoby pewnej siebie. Znacznie różniła się od zbyt wysokiej, nieobyciej towarzysko prostaczki, jaką była w czasie studiów. Patrząc na nią, nikt nie zauważyłby, że jest potwornie podenerwowana z powodu zwyczajnej kolacji służbowej lub że martwi się, czy jeszcze przed podaniem przystawki nie zapomni, jak prowadzi się inteligentną rozmowę.

Przyszło jej na myśl, że każdy ewentualny obserwator - Ryan również - zauważy w niej jedynie opanowanie i styl, a zatem to, na czym najbardziej jej zależało.

Chwyciła torebkę i odwróciła się, by zobaczyć w lustrze, jak wygląda z tyłu, i upewnić się, czy nie ma zbyt szerokich bioder. Potem ruszyła na dół.

Andrew siedział we frontowym salonie, sącząc drugą whisky. Kiedy pojawiła się Miranda, opuścił kieliszek i wysoko uniósł brwi.

- No cóż. Super.

- Andrew, zawsze byłeś prawdziwym poetą. Czy nie jestem w tej sukience za gruba?

- Na to pytanie nie ma poprawnej odpowiedzi, a jeśli nawet takowa istnieje, żaden mężczyzna nigdy jej nie znalazł. W związku z tym... - Uniósł kieliszek w toaście. - Powstrzymuję się od głosu.

- Tchórz. - Ponieważ czuła, że coś dziwnego dzieje się w jej żołądku, nalała sobie pół kieliszka białego wina.

- Czy nie ubrałaś się zbyt elegancko jak na służbową kolację?

Wypiła wino, a potem odczekała, aż rozejdzie się po ciele i choć trochę ją uspokoi.

- Czy to nie ty zrobiłeś mi tego popołudnia dwudziestominutowy wykład na temat korzyści, jakie może nam przynieść współpraca z Galerią Boldariego?

- Owszem. - Mimo to przymrużył oczy. Andrew rzadko patrzył na siostrę jak na zwykłą kobietę, tym razem jednak to zrobił. Doszedł do wniosku, że Miranda wygląda naprawdę fantastycznie.

- Wpadł ci w oko?

- Daruj sobie.

- No więc?

- Nie. No, może trochę - poprawiła się. - Ale nawet gdyby tak było albo gdyby w przyszłości do tego doszło, jestem dorosłą kobietą i sama sobie poradzę.

- Gdzie się wybieracie?

- Nie pytałam.

- Drogi wciąż są do dupy.

- Trudno żeby w marcu było inaczej, zwłaszcza w Maine. Nie baw się w starszego brata, Andrew. - Mówiąc to, poklepała go po policzku. Zdążyła się już nieco rozluźnić, może dlatego, że on był spięty.

- To pewnie Ryan - dodała, kiedy zadzwonił dzwonek. - Bądź

grzeczny.

- Zrobię to ze względu na trzech Vasarich - wymamrotał, mimo to zmarszczył brwi, obserwując wychodzącą siostrę. Czasami zapominał, że Miranda potrafi fantastycznie wygła-

dać, zwłaszcza jeśli poświęci na to odrobinę czasu. Na myśl o tym, że tym razem wyraźnie wcale go nie żałowała, Andrew poczuł swędzenie między łopatkami.

Owo swędzenie zamieniłoby się w palenie, gdyby dostrzegł błysk, który pojawił się w oczach Ryana, kiedy Miranda otworzyła mu drzwi. Ryan poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył

mu cios prosto w żołądek, po chwili doszedł do wniosku, iż powinien się być wcześniej na to przygotować.

- Wyglądasz jak kobieta, którą mógłby namalować Tycjan. - Ujął jej dłoń, ale nie poprzestał na tym, po wejściu do środka dwukrotnie musnął wargami jej policzek - najpierw jeden, a potem drugi, tak jak robią to w Europie.

- Dziękuję. - Zamknęła drzwi i choć miała na to ogromną ochotę, nie oparła się o nie, mimo że dzięki temu łatwiej by jej było odzyskać równowagę. Zakręciło się jej w głowie, bo dzięki butom na wysokich obcasach ich oczy i usta znajdowały się dokładnie na tym samym poziomie. Uświadomiła sobie nagle, że tak samo byłoby w łóżku.

- Andrew jest w salonie - powiedziała. - Wejdiesz na chwilę?

- Tak, chętnie. Macie fantastyczny dom. - Idąc do salonu, rozejrzał się po wnętrzu i zerknął na schody. - Jest niezwykły, a równocześnie wygodny. Powinnaś zlecić komuś, by go namalował.

- Swego czasu zrobił to mój dziadek. Wykonany przez niego obraz olejny nie jest może dziełem, ale nam i tak się podoba. Nalać ci coś?

- Nie, dziękuję. Cześć, Andrew. - Wyciągnął rękę. - Kradnę ci siostrę na ten wieczór, chyba że chcesz się do nas przyłączyć.

Ryan przez całe życie ryzykował, teraz ostro zbeształ się w myślach, widząc, że Andrew poważnie się zastanawia nad zaproszeniem. Nie zdawał sobie sprawy, iż stojąca za jego plecami Miranda przymrużyła oczy i zrobiła groźną minę.

Kiedy Andrew po chwili potrząsnął głową, Ryan poczuł ogromną ulgę.

- Najmocniej dziękuję, ale mam pewne plany. Życzę miłej zabawy.

- Wezmę tylko swój płaszcz.

Andrew obserwował, jak wychodzą, a potem wyjął z szafy własne okrycie. Jego plany uległy

zmianie. Nie miał już ochoty pić w samotności, wolał to zrobić w towarzystwie.

Siadając na tylnym siedzeniu limuzyny, Miranda zacisnęła wargi.

- Czy zawsze podróżujesz w taki sposób?

- Nie. - Ryan usiadł obok niej, z wazonu z pączkami róż wyjął jeden kwiat i ofiarował

go Mirandzie. - Ale miałem ochotę na szampana, a gdybym prowadził, nie mógłbym sobie na to pozwolić. - By to udowodnić, wyjął z wiaderka z lodem otwartą butelkę cristalu i napełnił nim wysoki wąski kieliszek.

- Kolacje służbowe rzadko zaczynają się od róż i szampana.

- A powinny. - Napełnił własny kieliszek i stuknął się z nią. - Zwłaszcza jeśli biorą w nich udział kobiety o zniewalającej urodzie. Za początek wspaniałej znajomości.

- Współpracy - poprawiła i upiła szampana. - Byłam w twojej nowojorskiej galerii.

- Naprawdę? I jak ci się podobała?

- Jest bardzo kameralna. Fantastyczna. Sprawia wrażenie małego oszlifowanego klejnotu z dziełami sztuki zamiast faset.

- Pochlebiasz mi. W naszej galerii w San Francisco jest więcej światła i przestrzeni.

Tam główny nacisk kładziemy na sztukę współczesną. Mój brat, Michael, ma dobre oko i uwielbia tę sztukę. Ja wolę klasykę... i kameralność.

Jego głos sprawiał, że na całym ciele czuła lekkie mrowienie. Doszła do wniosku, że to dość wyraźny znak, który zwiastuje jakieś niebezpieczeństwo.

- A zatem Galerie Boldariego to instytucja rodzinna.

- Tak, tak samo jak wasz Instytut.

- Wątpię - mruknęła, a potem poruszyła palcami. Rozmawiaj, nakazała sobie. W

końcu jest pewną siebie kobietą. Potrafi prowadzić konwersację. - W jaki sposób zaangażowałeś się w sztukę?

- Moi rodzice są artystami, choć przede wszystkim uczą. Matka maluje wspaniałe akwarele. Rzeźby ojca, skomplikowane metalowe konstrukcje, rozumie chyba jedynie Michael, ale on tym żyje.

Mówiąc to, z ogromnym natężeniem patrzył jej prosto w oczy. Pod wpływem jego wzroku czuła na skórze uporczywe podniecające dreszcze.

- A ty malujesz czy rzeźbisz? - zapytała.

- Nie mam do tego ani ręki, ani serca. Moi rodzice przeżyli ogromny zawód, kiedy okazało się, że żadne z ich sześciorga dzieci nie odziedziczyło po nich talentu.

- Sześciorga? - Miranda spuściła oczy. - Kto dziś ma sześcioro dzieci?

- Moja matka jest Irlandką, a ojciec Włochem. - Uśmiechnął się czarująco. - Czy mogli postąpić inaczej? Mam dwóch braci i trzy siostry, a ja jestem najstarszy z całej tej gromadki. Masz fantastyczne włosy - mruknął, zwijając na palcu luźny lok. Miał rację.

Niespokojnie drgnęła. - Czy musisz bez przerwy ich dotykać?

- Są rude i w dodatku co chwila wymykają się spod kontroli. Nie obcinam ich tylko dlatego, że dzięki nim wyglądam jak stuosiemdziesięciocentymetrowa azalia.

- Były pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłem uwagę. - Przesunął wzrok w dół i ponownie spojrzał jej w oczy. - Potem przyszła kolej na twoje oczy. Zostałaś stworzona ze śmiałych kolorów i kształtów.

Usiłowała powstrzymać fascynującą wizję, że chwyta go za klapy marynarki, a ich ciała stapiają się w jedno na tylnym siedzeniu samochodu. Chociaż bardzo starała się panować nad sobą, poruszyła się niespokojnie.

- Jak sztuka współczesna? Roześmiał się.

- Nie, masz w sobie zbyt dużo klasycznej praktyczności. Podobasz mi się - powiedział, gdy limuzyna wjechała na krawężnik i zatrzymała się. Kiedy drzwi się otworzyły, Ryan podał

jej dłoń i pomógł wysiąść. Przy okazji niemal musnął ustami jej ucho. - Sprawdźmy, jak będziemy się czuć w swoim towarzystwie.

Nie umiała powiedzieć, kiedy zaczęła się rozluźniać. Być może stało się to, gdy popijała trzeci kieliszek szampana. Musiała przyznać, że jej towarzysz był spokojny, może nawet odrobineczkę za spokojny, ale to skutkowało. Sporo czasu upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni siedziała z mężczyzną przy stoliku, na którym płonęły świece. I to z mężczyzną, którego twarz przypominała renesansowy portret. Czy mogła nie ulec nastrojowi tej chwili?

Co ważniejsze, on potrafił słuchać. Chociaż utrzymywał, że był kiepskim studentem, zadawał mnóstwo pytań i sprawiał wrażenie zainteresowanego odpowiedziami. Być może po prostu starał się ją uspokoić, kierując rozmowę na tematy zawodowe, ale była wdzięczna za osiągnięte w ten sposób rezultaty.

Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni spędziła wieczór, rozmawiając o własnej pracy, a mówiąc o niej, mogła sobie przypomnieć, dlaczego tak ją uwielbia.

- To jest ciągle odkrywanie - powiedziała. - Badając dzieło sztuki, odkrywa się jego historię i indywidualny charakter, może nawet osobowość.

- Poprzez rozkładanie na czynniki pierwsze?

- W pewnym sensie tak. - Miło było siedzieć w przytulnej ciepłej sali restauracyjnej, kiedy w pobliżu znajdował się płonący kominek, a za oknem szumiało ciemne zimne morze.

- Liczy się rodzaj farby, pociągnięcia pędzla, obiekt, cel. Wszystkie te czynniki, które można zbadać i przeanalizować, a dzięki temu znaleźć odpowiedzi.

- A czy po dotarciu do końca nie odnosisz czasem wrażenia, że odpowiedzią jest po prostu sama sztuka?

- Bez historii i analizy jest to jedynie malarstwo.

- Wystarczy, jeśli coś jest piękne. Gdybym miał analizować twoją twarz, wybrałbym oczy i ich zuchwały letni błękit oraz widoczną w nich inteligencję z niewielką domieszką smutku. I podejrzliwości - dodał z uśmiechem. - Twoje usta - delikatne, wydatne, nieskore do uśmiechu. Twoje wyraźne i arystokratyczne kości policzkowe. Wąski i elegancki nos. Wydzieliłbym poszczególne części twarzy, badał je i analizował, w końcu jednak i tak doszedłbym do wniosku, że jesteś oszałamiająco piękna, a to mogę zrobić, siedząc i podziwiając całość.

Miranda bawiła się jedzeniem, starając się nie ulegać czarowi, który wokół niej roztaczał.

- To bardzo uprzejme.

- Ja jestem uprzejmym mężczyzną, a ty mi nie wierzysz. Ponownie spojrzała na niego.

- Nie znam cię.

- Co jeszcze mogę ci powiedzieć? Pochodzę z dużej hałaśliwej rodziny, dorastałem w Nowym Jorku w kręgu własnej grupy etnicznej i bez zbytniego entuzjazmu studiowałem na Uniwersytecie Columbia. Potem, ponieważ nie jestem artystą, zająłem się interesami związanymi ze sztuką. Ku ogromnemu niezadowoleniu mojej matki nigdy się nie ożeniłem, chociaż raz całkiem poważnie brałem pod uwagę taką możliwość, ale trwało to bardzo krótko.

Uniosła brew.

- I odrzuciłeś ją.

- W tamtym konkretnym momencie i z tamtą konkretną kobietą, tak. Między nami nie iskrzyło. - Ku jej radości pochylił się w jej stronę. Zrobił to również dlatego, że w jej oczach pojawił się blask, a to sprawiło mu przyjemność. - Czy wierzysz w możliwość pojawienia się iskier, Mirando?

Wyobrażała sobie, że iskry są pokrewne gwizdom, które sama niekiedy słyszała.

- Wierzę, że w jakiś sposób podsycają początkowe zauroczenie, lecz w końcu gasną, dlatego na dłuższą metę to za mało.

- Jesteś cyniczna - zdecydował. - Tymczasem ja mam duszę romantyka. Ty analizujesz, a ja doceniam. To interesująca kombinacja, nie sądzisz?

Poruszyła plecami, odkrywając, że już wcale nie jest taka rozluźniona. Ponownie trzymał ją za rękę i bawił się na stole jej palcami. Miał zwyczaj ciągłego dotykania, do którego Miranda nie przywykła i który sprawiał, że zbyt dokładnie uświadamiała sobie istnienie owych iskier.

Przypomniała sobie, że iskry dają ładne światło, ale są w stanie również wywołać pożar.

Niepokoilo ją, że tak szybko i tak bardzo przypadł jej do gustu. Uznała jednak, że jest to efekt działania gruczołów i nie ma nic wspólnego z intelektem.

Co oznacza, że można nad tym zapanować.

- Nie rozumiem romantyków. Podejmują decyzje, kierując się uczuciami, a nie faktami. - Przypomniała sobie, że Andrew jest romantykiem, i zrobiło jej się go żal. - Potem są zaskoczeni, kiedy okazuje się, że te decyzje były błędne.

- Ale za to mamy dużo więcej przyjemności niż cynicy. - Ryan zdał sobie sprawę, że jest bardziej zauroczony Mirandą, niż się spodziewał. Odpowiada mi nie tylko jej wygląd, pomyślał, kiedy sprzątało ich talerze. Pociągał go również jej pragmatyzm, choć wolałby, aby było w niej nieco więcej kobiecości.

Poza tym miała duże smutne oczy.

- Zjesz deser? - zapytał.

- Nie, nie zmieszczę już nic. To był wspaniały posiłek.

- Może masz ochotę na kawę?

- Jest już na nią za późno. Uśmiechnął się absolutnie oczarowany.

- Jesteś bardzo konsekwentną kobietą, Mirando. Podoba mi się to u ciebie. - Nie odrywając od niej wzroku, gestem ręki poprosił o rachunek. - Może się przespacerujemy?

Chciałbym, żebyś pokazała mi nabrzeże.

- Jones Point to bezpieczne miasto - powiedziała, kiedy wędrowali, nie zważając na lodowaty, smagający wodę wiatr.

Parę kroków za nimi jechała limuzyna. Był to fakt, który zarówno ją bawił, jak i zdumiewał. Chociaż wyrosła otoczona prawdziwym zbytkiem, żaden z Jonesów nigdy nie wynajmował limuzyny, żeby jechała za nim podczas spaceru.

- Jest tu kilka parków, które najpiękniej prezentują się na wiosnę i w lecie. Pełno w nich cienistych drzew i kolorowych kwietników. Nigdy przedtem tu nie byłeś?

- Nie. Twoja rodzina mieszka tu od wielu pokoleń, prawda?

- Tak. W Jones Point nigdy nie brakowało Jonesów.

- Czy właśnie dlatego tu mieszkasz? - Przez cały czas trzymał ją za rękę. - Ponieważ wszyscy się tego po tobie spodziewają?

- Nie. Jestem tu, ponieważ stąd pochodzę. - Nawet samej sobie nie potrafiła wyjaśnić, jak to się stało, że tak głęboko zapuściła korzenie w kamienistej glebie Nowej Anglii. -

Uwielbiam podróże, ale to jest miejsce, do którego zawsze chętnie wracam. Tu jest mój dom.

- W takim razie powiedz mi coś o Jones Point.

- Jest ciche i spokojne. Początkowo była to wioska rybacka, która potem przekształciła się w miasto, które kładzie główny nacisk na kulturę i turystykę. Pewna liczba mieszkańców nadal zarabia na życie, pracując na morzu. To co nazywamy „nabrzeżem”, w rzeczywistości jest jego odcinkiem biegnącym wzdłuż Commercial Street. Ogromne zyski przynosi połów homarów, które potem pakuje się i wysyła statkami w świat.

- Czy kiedykolwiek to robiłaś?

- Co takiego?

- Łowiłaś homary?

- Nie. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Z klifów za domem widuję kutry i boje. Lubię je obserwować.

- Wolisz obserwować niż uczestniczyć.

- To jest Stary Port - ciągnęła. - W tej części miasta znajduje się sporo galerii. Może cię to zainteresuje i przed wyjazdem odwiedzisz którąś z nich.

- Może.

- Miasto najładniej prezentuje się na wiosnę, kiedy można korzystać z uroków parków i plaż. Nie brakuje również pięknych obszarów bagiennych i piaszczystych, warto także spojrzeć na Miracle Bay i okoliczne wysepki. Natomiast w środku zimy wszystko wygląda jak na pocztówce - w Atlantic Parku zamarza staw i ludzie jeżdżą tam na łyżwach.

- A ty? - Otoczył ją ramieniem, by osłonić przed wiatrem. Ich ciała zetknęły się. -

Jeździsz na łyżwach?

- Tak. - Zaszło jej w gardle i poczuła, że drży. - To wspaniałe ćwiczenie.

Roześmiał się, a kiedy znaleźli się poza kręgiem światła rzucanego przez uliczną latarnię, odwrócił

Mirandę do siebie. Położył ręce na jej ramionach, a wiejący zza jego pleców wiatr rozwichrzył mu włosy.

- A zatem traktujesz to jako ćwiczenie, a nie przyjemność?

- Lubię to. Lecz teraz zima się już kończy i jest za późno na łyżwy.

Czuł, że Miranda lekko drży. Zaintrygowany przyciągnął ją nieco bliżej.

- A jakie ćwiczenia wykonujesz pod koniec zimy?

- Dużo chodzę. Kiedy tylko mogę, pływam. - Czuła przyspieszone bicie serca, wiedziała jednak, że nie może się temu poddać. - Jest za zimno, aby stać.

- Może w takim razie spróbowalibyśmy rozgrzać się nawzajem? - Nie miał zamiaru jej całować. Oczywiście z pewnością do tego dojdzie, ale nie tak szybko. Mimo to wcale nie kłamał, mówiąc, że jest romantykiem, a ta chwila po prostu tego wymagała.

Musnął wargami usta Mirandy, patrząc jej w oczy. Dostrzegł w nich wahanie, dlatego uśmiechnął się i powtórzył pocałunek. Zawsze wierzył, że to co sprawia przyjemność, należy ćwiczyć, aż nabierze się biegłości. Dzięki temu, jeśli chodzi o kobiety, miał ogromną wprawę.

Dlatego cierpliwie rozgrzewał jej wargi, aż złagodniały, rozchyliły się, a Miranda przymknęła oczy i cicho westchnęła.

Może postępowała głupio, ale na pewno nikomu nie wyrządzała krzywdy.

Rozlegający się w głowie Mirandy głos rozsądku powoli zamienił się w szept, a ona sama poddała się dziwnemu uczuciu. Usta Ryana były zdecydowane i przekonujące. Miały delikatny smak wina, które wspólnie pili.

Złapała się na tym, że się do niego przytula, a jej ręce kurczowo zaciskają się na jego płaszczu. Pod wpływem odczuwanej przyjemności przestała o czymkolwiek myśleć.

Nagle Ryan ujął w dłonie jej twarz, a dotyk chłodnych i delikatnych skórzanych rękawiczek wyrwał Mirandę z rozmarzenia. Uniosła powieki i dostrzegła jego przymrużone oczy oraz widoczny w nich intensywny płomień, który trudno było wytłumaczyć zwyczajnym pocałunkiem.

- Spróbujmy jeszcze raz.

Tym razem jego obcesowe i namiętne usta sprawiły, że w głowie Mirandy rozległy się dźwięki przypominające ryk morza poniżej urwiska w pobliżu jej domu. W pocałunku Ryana było żądanie i arogancka pewność siebie. Chociaż jej mózg nim przestał pracować, zdecydowany był odmówić, odpowiedzi udzieliły same usta.

Wiedział, jak to jest, gdy się czegoś bardzo pragnie. Przez całe życie pragnął wielu rzeczy i robił wszystko, by je zdobyć. Mógł się pogodzić z tym, że jej pragnie, nawet się tego spodziewał.

Natomiast niebezpieczne było to, że pragnął jej teraz, i to tak bardzo. Nawet mężczyzna, który z własnego wyboru gra bardzo ostro, wie, jak unikać ryzyka całkowitej przegranej.

Mimo to zwlekał tak długo, że zapewnił sobie bardzo niespokojną samotną noc. Nie mógł uwieść Mirandy i zaciągnąć jej do łóżka. Czekala go praca, którą należało wykonać, a odliczanie czasu już się zaczęło. Przede wszystkim nie mógł zacząć się troszczyć o Mirandę.

Rosnące przywiązanie do pionka jest stuprocentowym sposobem na przegraną.

Tymczasem on nigdy nie przegrał.

Odsunął i zlustrował jej twarz.

Miała zarumienione policzki - był to efekt chłodu i wewnętrznego żaru. Jej oczy wciąż zasnuwała namiętność, która jak przypuszczał, zaskoczyła Mirandę w takim samym stopniu jak i jego. Kiedy ponownie ją objął, zadrżała, ale nie odezwała się ani słowem.

- Powiniennem odwieźć cię do domu. - Chociaż w głębi duszy przeklinał samego siebie, zmusił się do beztroskiego uśmiechu.

- Tak. - Chciała usiąść i uspokoić się. Znów zacząć myśleć. - Robi się późno.

- Za chwileczkę - mruknął - będzie za późno. - Ujął jej dłoń i zaprowadził do czekającej limuzyny. - Czy często bywasz w Nowym Jorku?

- Od czasu do czasu. - Miała wrażenie, że w jej wnętrzościach znajduje się gorąca kula, natomiast reszta ciała jest potwornie zimna.

- Musisz dać mi znać, jeśli będziesz się tam wybierać. Wówczas dostosuję swoje plany.

- W porządku - usłyszała własne słowa i wcale nie poczuła się głupio.

Chociaż nigdy tego nie robiła, tego ranka śpiewała pod prysznicem. Wcale nie trzeba było jej mówić, że ma okropny głos, ponieważ sama dobrze to słyszała. Lecz nic nie przeszkadzało jej w wyspiewywaniu „Making Whoopee”. Nie miała pojęcia, dlaczego właśnie tę melodię zapamiętała - nie wiedziała nawet, że zna słowa tej piosenki - mimo to nuciła ją, nie zważając na spływającą po głowie wodę.

Śpiewała nadal, wycierając się ręcznikiem.

Pochyliła się i owinęła głowę, równocześnie kołysząc biodrami. Wcale nie była lepsza, jeśli chodzi o taniec, chociaż znała wszystkie odpowiednie kroki. Członkowie rady nadzorczej, którzy czasami byli zmuszeni zatańczyć z nią sztywnego walca, byliby zaszokowani widząc, że chłodna doktor Jones podskakuje i kręci się po swej przestronnej łazience.

Roześmiała się na tę myśl, a ten dźwięk był czymś tak nowym dla niej, że musiała się zatrzymać, by złapać oddech. Ku własnemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że jest szczęśliwa. Naprawdę

szczęśliwa. To również było czymś niezwykle rzadkim. Często bywała zadowolona, zaintrygowana lub gotowa do współzawodnictwa. Zdawała sobie jednak sprawę, że zwykle szczęście często po prostu wymykało jej się z rąk.

Cieszyła się, że czuje je teraz.

Dlaczego miałyby być inaczej? Włożyła wygodny aksamitny szlafrok, po czym posmarowała ręce i nogi delikatnie pachnącym balsamem do ciała. Spodobał jej się atrakcyjny mężczyzna, a ona również przypadła mu do gustu. Dobrze się przy niej czuł, doceniał jej pracę, uważał ją za pociągającą nie tylko fizycznie, lecz również umysłowo.

Nie przerażała go jej pozycja ani osobowość, choć w przeszłości często się to zdarzało. Był czarujący, odnosił sukcesy - nie wspominając o tym, że wspaniale się prezentował - a oprócz tego miał wystarczająco dobre maniery, by nie wykorzystać doskonałej okazji i nie zaciągnąć jej do łóżka.

Energicznie wycierając zasnute mgiełką lustro, Miranda zaczęła się zastanawiać, czy dałaby mu się namówić. Dawniej bardzo zdecydowanie odpowiadałaby „nie”. Nie pozwalała sobie na lekkomyślne romanse z mężczyznami, których ledwo знаła. Właściwie w ogóle nie pozwalała sobie na romanse. Po raz ostatni miała kochanka ponad dwa lata temu i związek ten zakończył się tak żałośnie, że Miranda postanowiła unikać nawet przypadkowych znajomości.

Lecz poprzedni wieczór... Doszła do wniosku, że dałaby się przekonać pomimo wyznawanych przez siebie zasad. Lecz on tak bardzo ją szanował, że nawet o to nie zapytał.

Nie przestając nucić, zaczęła się ubierać. Wybrała twarzowy, stalowoniebieski wełniany kostium z krótką spódniczką i długim żakietem. Starannie zrobiła makijaż, a potem rozwinęła ręcznik i zostawiła włosy tak, jak się ułożyły. Chociaż nigdy tak nie postępowała, włożyła niewygodne buty na wysokich obcasach.

Wychodząc do pracy, wciąż śpiewała, chociaż na zewnątrz było chłodno i ciemno.

Andrew obudził się z nieprawdopodobnym kacem. Nie będąc w stanie znieść własnego pojękiwania, próbował stłumić je poduszkami. Mimo wszystko chęć przeżycia okazała się znacznie silniejsza, dlatego gwałtownie uniósł się, z trudem łapiąc powietrze i równocześnie obejmując głowę rękami, by nie odpadła.

Potem ją puścił, modląc się, by tak się jednak stało.

Z ociąganiem wstał z łóżka. Jako naukowiec wiedział, że jego kości nie mają prawa rozpaść się na kawałki, jednak obawiał się, że mogą zignorować wszelkie prawa fizyki i mimo wszystko to zrobić.

Doszedł do wniosku, że to wina Annie. Poprzedniego wieczoru była na niego tak wściekła, że pozwoliła mu się spać do nieprzytomności. Zwykle go powstrzymywała, liczył

więc, że zrobi to i tym razem. Lecz ona, ilekroć ją poprosił, bez słowa stawiała przed nim pełny kieliszek.

Jak przez mgłę przypominał sobie, że potem wsadziła go do taksówki, życząc: mu potwornego kaca.

Stało się tak, jak chciała, pomyślał, chwiejnym krokiem schodząc na dół. Gdyby czuł

się choć odrobinę gorzej, byłby już chyba martwy.

Kiedy zobaczył, że czeka na niego zaparzona kawa, niemal zatkał z miłości i wdzięczności dla siostry. Drżącymi i niepewnymi rękoma wytrzasnął cztery exceedriny i popił

je kawą, przy okazji parząc sobie usta.

Nigdy więcej, obiecał sobie, przyciskając palce do obolałych przekrwionych oczu.

Nigdy więcej nie będzie pił do nieprzytomności. Mimo to już w chwili składania sobie solennej obietnicy poczuł ogromną ochotę, by wychylić kieliszek. Tylko jeden kieliszek, który pozwoliłby powstrzymać drżenie rąk i uspokoić żołądek.

Zrezygnował z tego pomysłu, wmawiając sobie, że między folgowaniem sobie a alkoholizmem istnieje zasadnicza różnica. Jeśli wypije drinka o siódmej rano, będzie zwyczajnym alkoholikiem. Może to zrobić dopiero o siódmej wieczorem. W takim razie zaczeka - zostało tylko dwanaście godzin.

Dzwonek do drzwi przeszył jego czaszkę jak dźgnięcie ostrym nożem. Niewiele brakowało, a byłby krzyknął. Zamiast otworzyć drzwi, usiadł w kuchni przy długim stole na kozłach, położył głowę na rękach i modlił się o zapomnienie.

Niemal się zdrzemnął, kiedy uchylły się tylne drzwi, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza i wściekłą kobietę.

- Myślałam, że leżysz gdzieś skulony w kłębek i rozczulasz się nad sobą. - Annie postawiła na ladzie brązową torbę ze sklepu spożywczego, uderzyła się rękami o biodra i zmierzyła go ponurym spojrzeniem. - Spójrz na siebie, Andrew. Wyglądasz żałośnie. Jesteś półnagi, nie ogolony, masz przekrwione oczy, a na domiar złego cuchniesz. Idź, weź prysznic.

Uniósł głowę i spojrzał na nią, mrugając oczyma.

- Nie chcę.

- Weź prysznic, a ja w tym czasie przygotuję ci śniadanie. - Kiedy ponownie chciał

położyć głowę na rękach, po prostu chwyciła go za włosy i szarpnęła do góry. - Masz to, na co sobie zasłużyłeś.

- Jezu, Annie, urwiesz mi głowę.

- Wówczas poczułbyś się znacznie lepiej. Zabierz ten swój chudy tyłek z krzesła i idź

się umyć. Przy okazji użyj jakiejś mocnej pasty do zębów. Przyda ci się.

- Boże wszechmogący. Co ty do diabła robisz? - Nie przypuszczał, że przy tak potwornym kacu stać go jeszcze na zażenowanie, ale wyraźnie się mylił. Czuł, że czerwona plama - niech diabli wezmą rumieńce - pojawia się na jego klatce piersiowej, a potem wędruje w górę, w stronę twarzy. - Idź sobie stąd!

- To ja sprzedałam ci alkohol. - Rozluźniła palce zaciśnięte na jego włosach, a wówczas głowa Andrew opadła na stół, przy okazji wywołując przytłumiony dźwięk. Andrew zawył.

- Wkurzyłeś mnie, dlatego pozwoliłam ci się spać. Za to teraz mam zamiar zrobić ci przyzwoite śniadanie, a potem dopilnować, żebyś się wymył i poszedł do pracy. Dlatego weź

prysznic albo sama wrzucę cię do wanny.

- Dobrze, już dobrze. - Wcale nie miał ochoty słuchać jej zrzędzenia. Chociaż był w bokserkach, wstając, usiłował zrobić to z jak największą godnością. - Nie chce mi się jeść.

- Zjesz, co ci przygotuję. - Odwróciła się do lady i zaczęła rozładowywać torbę. - A teraz wynoś się stąd. Cuchniesz jak podłoga w najpodlejszym barze.

Kiedy usłyszała, że Andrew odszedł powłócząc nogami, zamknęła oczy i oparła się o ladę.

Och, wyglądał tak żałośnie. Tak smutno i głupio - sprawiał wręcz wrażenie chorego.

Chciała go objąć, przytulić i tak długo głaskać, aż z jego organizmu wyparuje cała trucizna.

Na myśl o tym, że to ona sama mu ją sprzedała, Annie poczuła wyrzuty sumienia.

Doszła jednak do wniosku, że to nie alkohol jest głównym wrogiem Andrew, lecz jego serce, a ona po prostu nie umiała do niego dotrzeć.

Zastanawiała się, czy by jej się to udało, gdyby choć trochę mniej się o niego troszczyła.

Kiedy Andrew odkręcił prysznic, Annie usłyszała odgłosy wody płynącej w rurach i uśmiechnęła się. Jest tak podobny do tego domu, pomyślała. Nieco sfatygowany, trochę zniszczony, lecz mimo wszystko zaskakująco silny.

Po prostu nie wiedział, że Elise mimo mądrości i urody była dla niego nieodpowiednia. Stanowili piękną, pogodną i błyskotliwą parę, ale to było jedynie powierzchowne wrażenie. Elise nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Andrew pragnie czułości, nie dostrzegła również ukrytego w głębi serca bólu, który wynikał z przekonania, że nie zasługuje na miłość.

Andrew potrzebował, by ktoś się nim zajął.

Podciągając do góry rękawy, Annie doszła do wniosku, że tyle jest w stanie zrobić.

Może przynajmniej spróbować postawić go z powrotem na nogi.

Powiedziała sobie, że przyjaciele powinni pomagać przyjaciołom.

Kiedy Andrew wrócił, w kuchni unosiły się smakowite zapachy. Gdyby miał do czynienia z kimkolwiek innym, a nie z Annie, być może zamknąłby się w swoim pokoju.

Prysznic bardzo mu pomógł, a tabletki pokonały najgorszego kaca. Wciąż jeszcze miał mdłości i kręciło mu się w głowie, ale czuł, że teraz już sobie poradzi.

Odchrząknął i zdobył się na uśmiech.

- Fantastycznie tu pachnie.

- Siadaj - powiedziała, nie odwracając się.

- Dobrze. Przepraszam, Annie.

- Wcale nie musisz mnie przeproszać. Przepraszaj siebie. To sobie wyrządziłeś krzywdę.

- I tak jest mi przykro. - Spojrzał na miskę, którą postawiła przed nim Annie. - Płatki owsiane?

- Pomogą ci na żołądek.

- Swego czasu pani Patch zmuszała mnie do jedzenia płatków owsianych - powiedział.

Pani Patch była opryskliwą chudą kobietą, która dla nich gotowała, kiedy był jeszcze chłopcem. - Jesienią, zimą i na wiosnę dawała mi je codziennie przed szkołą.

- Pani Patch wiedziała, co dla ciebie dobre.

- Zazwyczaj dodawała odrobinę syropu klonowego. Annie opanowała uśmiech i sięgnęła do kredensu. Znała kuchnię Andrew tak samo dobrze jak własną. Postawiła przed nim butelkę syropu i talerz z gorącymi tostami.

- Jedz.

- Tak jest, proszę pani. - Ostrożnie przełknął pierwszy kęs, niezbyt pewny, czy zdoła cokolwiek utrzymać w żołądku.

- To jest dobre. Dzięki.

Widząc, że Andrew je, a jego twarz nie jest już chorobliwie szara, Annie usiadła naprzeciwko niego. Przyjaciele powinni pomagać przyjaciołom, pomyślała ponownie. I muszą być ze sobą szczerzy.

- Andrew, musisz przestać to robić.

- Wiem. Nie powinienem tak dużo pić. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- Jeśli sięgniesz po pierwszy kieliszek, nie poprzestaniesz na tym.

Poirytowany wzruszył ramionami.

- Nie ma nic złego w tym, że człowiek od czasu do czasu strzeli sobie kielicha. Nawet jeśli niekiedy się spije.

- Ale jeśli jest alkoholikiem, nie powinien tego robić.

- Nie jestem alkoholikiem. Oparła się o krzesło.

- Prowadzę bar i byłam żoną alkoholika. Znam symptomy. Istnieje różnica między facetem, który wypił o kilka kieliszków za dużo, a kimś kto po prostu nie potrafi przestać.

- Mogę przestać. - Wziął kawę, którą mu naląa.

- Teraz nie piję, prawda? Nie piję w Instytucie - nie pozwolę, żeby alkohol miał

jakikolwiek wpływ na moją pracę. Poza tym nie upijam się każdego wieczoru.

- Ale co wieczór pijesz.

- Do jasnej cholery, to samo robi połowa mieszkańców tego globu. Jaka jest różnica między kilkoma kieliszkami wina do kolacji a strzeleniem sobie „na dobranoc” kielicha czy dwóch?

- Sam będziesz musiał na to wpaść. Ja mam to już za sobą. Oboje byliśmy prawie pijani tej nocy, kiedy... - Wyduszenie z siebie tych słów wcale nie było takie proste.

Wydawało jej się, że jest gotowa, ale nagły ból uniemożliwił jej powiedzenie tego, co chciała.

- Chryste, Annie. - Na wspomnienie tamtych wydarzeń przeczesał palcami włosy i z żalem stwierdził, że jest mu wstyd.

- Byliśmy wówczas prawie dziećmi.

- Co nie przeszkodziło nam dać początek nowemu życiu. Przynajmniej na jakiś czas. -

Zacisnęła wargi. Niezależnie od tego, ile będzie ją to kosztowało, postara się powiedzieć przynajmniej część. - Byliśmy głupi, naiwni i nieodpowiedzialni. Pogodziłam się z tym. - O

Boże, próbowała się pogodzić.

- Ale dzięki temu nauczyłam się, co można stracić i do czego może dojść, jeśli nie panuje się nad sobą. Ty nie panujesz nad sobą, Andrew.

- Noc przed piętnastu laty nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się teraz. - Kiedy po tych słowach

Annie zadrżała, Andrew zaczął żałować, że je powiedział. - Nie zrozum mnie źle, Annie. Nie chcę powiedzieć, że to wszystko nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Ja tylko...

- Nic już nie mów. - Jej głos był chłodny i obcy. - Po prostu nic nie mów. Lepiej będzie, jeśli zaczniemy udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Poruszyłam tę sprawę tylko dlatego, że najwyraźniej nie widzisz różnicy. Miałeś wówczas zaledwie siedemnaście lat, ale już wtedy twoim problemem było nadmierne picie. Ja nie miałam z tym kłopotu, i nie mam.

Udało ci się przejść przez kawał życia, nie poddając się nałogowi. Teraz przekroczyłeś pewną granicę - i alkohol zaczyna tobą rządzić, Andrew. Musisz się od niego uwolnić. Mówię ci to jako przyjaciółka. - Wstała i ujęła w dłonie jego twarz.

- Nie pojawiaj się więcej w moim lokalu. Nie obsłużę cię.

- Daj spokój, Annie...

- Możesz wpaść, jeśli będziesz chciał ze mną porozmawiać, ale nie przychodź na drinka, bo ci go nie dam.

Odwróciła się, wzięła płaszcz i szybko wyszła.

Ryan wędrował po Południowej Galerii, podziwiając wykorzystanie światła i przestrzeni. Przyszło mu na myśl, że Jonesowie znają się na tym, co robią. Wystawiane dzieła sztuki były dobrze rozmieszczone, a wyczerpujące plakietki informacyjne znajdowały się w dyskretnych miejscach.

Jednym uchem słuchał słów niebieskowłosej kobiety, która mówiła z wyraźnym nowoangielskim akcentem i prowadziła małą grupkę w stronę jednej ze wspaniałych Madonn Rafaela.

Następna, odrobinę większa i nieco głośniejsza gromadka składała się z uczniów i oprowadzana była przez energiczną brunetkę. Ryan z ulgą stwierdził, że idą obejrzyć impresjonistów.

Właściwie bardzo lubił dzieci. Prawdę mówiąc, pociechy brata i obu sióstr zawsze dostarczały mu mnóstwo radości. Kiedy tylko mógł, z ogromną przyjemnością je rozpieszczał. Lecz w godzinach pracy dzieci mu przeszkadzały, a Ryan właśnie pracował.

Muzeum pilnowało wielu strażników, ale zachowywali się bardzo dyskretnie. Ryan odnotował ich stanowiska i po zerknięciu na zegarek doszedł do wniosku, że już wkrótce będą się zmieniać.

Sprawiał wrażenie człowieka snującego się bez celu, zatrzymującego się to tu, to tam, by przyjrzeć się obrazowi, rzeźbie lub wystawionym w gablotkach przedmiotom użytkowym.

W myślach liczył kroki. Od drzwi do kamery w południowo - zachodnim kącie sali, od kamery do łukowatego przejścia, od przejścia do następnej kamery.

Przy interesującej go gablotce nie zatrzymał się dłużej, niż zrobiłby to każdy miłośnik sztuki pragnący przyjrzeć się dokładniej niezwykle pięknej, piętnastowiecznej brązowej statuetce. *Dawid* był prawdziwym klejnotem. Rzeźba przedstawiała zarozumiałego smukłego młodzieńca z przerzuconą przez plecy procą tuż przed decydującym pojedynkiem.

Chociaż nie wiadomo, kto wykonał tę rzeźbę, stylem przypominała prace Leonarda.

Jak wskazywała plakietka, zakładano, że figurka ta jest dziełem jednego z jego uczniów.

Klient Ryana był szczególnym wielbicielem Leonarda, dlatego zamówił sobie to konkretne dzieło sztuki po wcześniejszym obejrzeniu go w Instytucie.

Już wkrótce jego marzenie się ziści, pomyślał Ryan. Postanowił trzymać się opracowanego wcześniej harmonogramu. Uznał, że lepiej robi, jeśli będzie powoli posuwać się do przodu, zanim popełni jakiś błąd wobec Mirandy. Już odczuwał pewne zaniepokojenie na myśl, że przez niego czeka ją trochę kłopotów i nerwów.

Na szczęście jest ubezpieczona, a ten brąz wcale nie jest najlepszym dziełem sztuki znajdującym się w zbiorach Instytutu.

Gdyby Ryan miał sam wybierać, zdecydowałby się na Celliniego lub namalowaną przez Tycjana

kobietę, która w jakiś sposób przypominała mu Mirandę, ale klient chciał mieć dającą się wsunąć do kieszeni brązową figurkę. Nie zrobiłby tego z dziełami Celliniego czy Tycjana.

W związku z całkiem niespodziewaną reakcją na Mirandę, po odwiezieniu jej do domu i zdjęciu wieczorowego stroju spędził godzinę lub nawet dwie w maleńkim pomieszczeniu w podziemiach Instytutu. To właśnie tutaj łączyły się wszystkie urządzenia należące do systemu bezpieczeństwa. Alarmy, kamery, czujniki.

Potrzebował jedynie swojego notebooka i odrobiny czasu, by dostosować sieć do swoich wymogów. Była to praca, która zajęła mu kilka godzin, lecz pewne rozsądne modyfikacje mogły bardzo ułatwić mu wykonanie zadania.

Zakończył pomiary, potem postępując zgodnie z planem, przeprowadził pierwszy test.

Uśmiechnął się do błękitnowłosej kobiety i obszedł jej grupę. Z rękami w kieszeniach przyglądał się mrocznemu obrazowi przedstawiającemu Zwiastowanie. Kiedy wyczuł pod palcami maleńki mechanizm, przesunął kciukiem po przyciskach i odnalazł odpowiedni guzik. Kamera znajdowała się dokładnie po jego prawej stronie.

Uśmiechnął się do Najświętszej Marii Panny, kiedy kątem oka zauważył, że maleńkie czerwone światełko kamery zamrugało.

Boże, jak on uwielbiał najnowsze zdobycze techniki.

Nacisnął znajdujący się w drugiej kieszeni stoper. I czekał.

Obliczył, że dopiero po bez mała dwóch minutach rozległ się pisk walkie - talkie najbliższego strażnika. Ryan ponownie nacisnął stoper, drugą ręką odblokował kamerę i przeszedł dalej, by przyrzeć się smutnej, pełnej zdumienia twarzy świętego Sebastiana.

Zadowolony opuścił galerię i wyszedł na zewnątrz, by skorzystać z telefonu.

- Sekretariat doktor Jones. Czym mogę służyć?

- Mam nadzieję, że mi pani pomoże. - Uśmiechnął się, słysząc cichy głos sekretarki Mirandy. - Czy zastałem doktor Jones? Mówi Ryan Boldari.

- Proszę chwileczkę poczekać, panie Boldari. Czekaając, Ryan schował się przed wiatrem. Doszedł do wniosku, że podoba mu się śródmieście, zwłaszcza jego zróżnicowana architektura stanowiąca połączenie granitu i cegły. Po drodze minął pełną godności statwę Longfellowa. Doszedł do wniosku, że zarówno ona, jak i inne pomniki dodają temu ciekawemu miastu sporo uroku.

Co prawda wolał Nowy Jork - jego tempo i wyzwania, jakie stawiał. Jednak chętnie spędziłby tu jakiś czas. Oczywiście nie tym razem. Po skończeniu pracy nigdy nie należało zbyt długo zwlekać.

- To ty, Ryane? - spytała Miranda z lekką zadyszka - Przepraszam, że kazałam ci czekać.

- Nie szkodzi. Właśnie zrobiłem sobie krótką przerwę i przeszedłem się po twoim muzeum. - Lepiej, żeby wiedziała, ponieważ bardzo możliwe, że następnego dnia wszyscy będą przeglądać taśmy.

- Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś. Chętnie bym cię oprowadziła.

- Nie chciałem odrywać cię od pracy. Doszedłem jednak do wniosku, że mój Vasari doskonale będzie tu pasował. Powinnaś przyjechać do Nowego Jorku i zobaczyć, w jakim otoczeniu znajdzie się twój Cellini.

Cholera jasna, wcale nie miał zamiaru tego mówić. Przełożył telefon do drugiej ręki, przypominając sobie, że przez jakiś czas powinien zachować dystans.

- Może rzeczywiście to zrobię. Wstąpisz do mnie? Wydam dyspozycję, by cię wpuszczono.

- Bardzo bym chciał, ale jestem umówiony. Miałem nadzieję, że zdołam zabrać cię na jakiś lunch, ale nie mogę odwołać czekających mnie spotkań. Niestety będę zajęty przez resztę dnia, ale może jutro zjadłabyś ze mną lunch?

- Jestem pewna, że uda mi się wszystko odpowiednio ułożyć. Która godzina ci odpowiada?

- Im wcześniej, tym lepiej. Chciałbym się z tobą zobaczyć, Mirando. - Wyobraził ją sobie siedzącą w swoim biurze w kitlu zarzuconym na jakiś niezgrabny sweter. O tak, naprawdę bardzo chciał ją zobaczyć. - Może o dwunastej?

Usłyszał szelest papieru. Sprawdza w kalendarzu, pomyślał, i z jakiegoś powodu uznał to za zachwycające.

- Tak, może być dwunasta. Mam właśnie na biurku dokumenty potwierdzające autentyczność twoich Vasarich. Szybko działasz.

- Piękne kobiety nie powinny długo czekać. Do zobaczenia jutro. Dziś wieczorem będę o tobie myślał.

Kiedy się rozłączył, ogarnęło go niezwykle dziwne uczucie. Uznał, że to wyrzuty sumienia. Nie mógł sobie przypomnieć, by coś takiego kiedykolwiek mu się zdarzyło.

Zwłaszcza jeśli dotyczyło kobiety lub pracy.

- Nic na to nie poradzę - powiedział cicho, chowając telefon komórkowy. Idąc w stronę parkingu, wyjął stoper. Sto dziesięć sekund.

To wystarczy. W zupełności wystarczy.

Zerknął w górę w stronę okna, gdzie znajdowało się biuro Mirandy. Na to również starczy czasu. Lecz najważniejsze są obowiązki zawodowe. Był pewien, że kobieta o tak praktycznej naturze jak ona, zgodziłaby się z nim.

Kilka następnych godzin Ryan spędził w swoim apartamencie hotelowym. Zamówił

szybki lunch, włączył radio, ustawił je na kanał, na którym nadawano muzykę klasyczną, i wyjął notatki.

Na konferencyjnym stole rozłożył plan Instytutu i przycisnął go solniczką, pieprzniczką oraz małymi buteleczkami z musztardą i keczupem otrzymanymi wraz z posiłkiem, który dostarczono mu z kuchni hotelowej.

Na ekranie notebooka pojawił się schemat systemu bezpieczeństwa. Ryan przegryzał frytki, popijał wodę evian i studiował materiały.

Zdobycie planu wcale nie było takie trudne. Dzięki odpowiednim kontaktom i gotówce można dostać niemal wszystko. Bardzo pomagała Ryanowi umiejętność posługiwania się komputerem. Sztukę tę opanował i udoskonalił, będąc jeszcze w szkole średniej.

Matka upierała się, by nauczył się pisać na maszynie, ponieważ nigdy nic nie wiadomo, lecz Ryan uważał, że klawiatura może się przydać do wielu ciekawych rzeczy, nie tylko do pisania listów.

Samodzielnie złożył notebooka, na którym właśnie pracował, i zaopatrzył go w kilka dodatkowych, nie całkiem legalnych udogodnień, ale w końcu wykonywany przez niego zawód również mijał się z prawem.

Na szczęście Galerie Boldariego były całkiem legalnym przedsięwzięciem. Obecnie nie tylko same się finansowały, lecz również zarabiały spore pieniądze i przynosiły niezłe zyski. Jednak początek dały im fundusze, które Ryan gromadził przez wiele lat, zaczynając jako bystry, posiadający zwinne palce chłopiec, który wałęsał się po ulicach Nowego Jorku.

Niektórzy ludzie posiadali zdolności artystyczne, inni wspaniale spisywali się jako księgowi. Ryan był genialnym złodziejem.

Ponieważ w domu zawsze brakowało pieniędzy, początkowo opróżniał ludziom kieszenie i kradł świece. W końcu nauczyciele plastyki nigdy nie opływali w pieniądze, a rodzina Boldarich było bardzo liczna.

Kiedy doszedł do wniosku, że jest w tym dobry i że podoba mu się to zajęcie, postanowił zdobyć wyższy stopień wtajemniczenia. Wciąż pamiętał, jak po raz pierwszy plądrował ciemny, pogrążony we śnie dom. Dodatkową przyjemność sprawiały mu cisza, napięcie i dreszczyk emocji spowodowany tym, że znajdował się w miejscu, gdzie nie powinno go być i gdzie ktoś mógłby go przyłapać.

Czuł się tak, jakby w biały dzień kochał się z jakąś kobietą w miejscu publicznym. Z żoną innego mężczyzny.

Ponieważ był zdecydowanym przeciwnikiem cudzołóstwa, poprzestawał na dreszczyku, którego

dostarczała mu kradzież.

Niemal w dwadzieścia lat później odczuwał to samo podniecenie, ilekroć otwierał zamek i wkładał się do strzeżonego budynku.

Coraz bardziej udoskonalał swoje umiejętności i od ponad dziesięciu lat specjalizował się w dziełach sztuki. Darzył sztukę prawdziwym uczuciem, kochał ją i w głębi duszy uważał za własność publiczną. Jeśli na przykład wnosił obraz ze Smithsonian Institution, traktował to jako wykonanie usługi dla osoby prywatnej, która dobrze mu za to płaci.

Natomiast za zarobione w ten sposób pieniądze kupował następne dzieła sztuki, a potem wystawiał je w swoich galeriach.

Uważał, że tym sposobem jego czyny całkiem nieźle się równoważą.

Ponieważ miał również smykałkę do elektroniki i wszelkiego rodzaju urządzeń, dlaczego nie miałby wykorzystać jej wraz z darem bożym do kradzieży?

Odwrócił się do swojego notebooka i zapisał wyniki pomiarów przeprowadzonych w Południowej Galerii, a potem wywołał na ekran trójwymiarowy rzut całego piętra. Położenia kamer oznaczone zostały kolorem czerwonym. Uderzył w kilka klawiszy i kazał maszynie obliczyć kąty, odległość i najlepszą drogę, którą mógłby podejść do swojego celu.

Przyszło mu na myśl, że wiele się zmieniło w jego życiu od czasów, kiedy przygotowując się do kradzieży i obserwując dom, wspinał się po rynnach i gzymsach lub czał się pod oknami, a potem niepostrzeżenie dostawał się do środka i upychał świecidełka do torby. Ten typ pracy był dobry dla ludzi młodych, nieostrożnych lub głupich. Zwłaszcza w obecnych niespokojnych czasach, kiedy mnóstwo osób trzyma w domach broń i strzela do wszystkiego, co rusza się w ciemności.

Wolał unikać skorych do pociągania za cyngiel właścicieli.

Lepiej, wykorzystując najnowszą technologię, wykonać pracę szybko, czysto i porządnie, a potem iść dalej.

Z przyzwyczajenia sprawdził baterie w kieszonkowym mechanizmie blokującym. Sam go zaprojektował i wykonał, używając w tym celu części, które wyjął z pilota telewizyjnego, telefonu komórkowego i pagera.

Już wcześniej zapoznał się z systemem bezpieczeństwa. Andrew był tak uprzejmy, że pokazał mu niemal wszystko, dzięki czemu był w stanie bez trudu zmodyfikować zasięg i częstotliwość swego mechanizmu, by dostosować go do własnych potrzeb. Przeprowadzony tego ranka test stanowił dowód, że mu się to udało.

Bardziej problematyczne będzie samo wejście. Gdyby miał partnera, jeden z nich mógłby zająć się komputerem, a wówczas łatwiej byłoby pokonać wszystkie przeszkody.

Pracował jednak sam, dlatego potrzebował mechanizmu blokującego kamery.

Zamki nie przedstawiały specjalnych trudności. Wiele tygodni temu zdobył schemat systemu bezpieczeństwa i po jakimś czasie udało mu się go rozgryźć. Potem spędził dwie noce na miejscu, rozpracował boczne drzwi i zdołał sfalszować kartę magnetyczną.

Sam kod również zawdzięczał uprzejmości Andrew. Ryan był zdumiony, jakie informacje ludzie potrafią nosić w portfelach. Numery i poszczególne sekwencje znalazł na starannie złożonej karteczce wciśniętej za prawo jazdy Andrew. Ryanowi wystarczyło zaledwie kilka sekund, by wyjąć portfel, przejrzeć jego zawartość, znaleźć i zapamiętać numery. Potem jedynie po przyjacielsku klepnął Andrew po plecach, równocześnie wsuwając mu portfel do kieszeni.

Obliczył, że przygotowania do tej pracy zajęły mu mniej więcej siedemdziesiąt dwie godziny. Po dodaniu czasu potrzebnego na wykonanie tego zadania i uwzględnieniu poniesionych nakładów oraz wszelkich wydatków, obliczył, że jego zysk wyniesie osiemdziesiąt pięć tysięcy.

To miła praca, jeśli tylko uda się ją dostać, pomyślał, jednocześnie starając się wyzbyć żalu, że jest to jego ostatnie zadanie. Dał na to słowo, a zawsze dotrzymywał złożonych obietnic. Zwłaszcza jeśli składał je rodzinie.

Sprawdził czas i zauważył, że do podniesienia kurtyny zostało mu jeszcze osiem godzin. Pierwsze z nich spędził, usuwając wszelkie dowody: paląc plany w wesoło buzującym kominku w swoim apartamencie hotelowym, zamykając wszystkie urządzenia elektroniczne we wzmocnionej walizce, a potem wpisując dodatkowe ścieżki i hasła do swego komputera i chowając go w bezpiecznym miejscu.

Zostawało mu więc jeszcze trochę czasu na trening, kąpiel parową, pływanie i krótką drzemkę. Uważał, że przed włamaniem należy zachować czujność umysłu i sprawność ciała.

Po szóstej Miranda siedziała w biurze i starała się ułożyć list, który wolą napisać sama. Chociaż zasadniczo to ona i Andrew kierowali Instytutem, mimo to nadal musieli niemal o wszystkim informować rodziców. Ich zgoda wymagana była zwłaszcza wtedy, kiedy chodziło o wypożyczenie lub przekazanie jakiegoś dzieła sztuki.

Miranda miała zamiar napisać bardzo rzeczowo. Gotowa była tak długo pracować nad tekstem i poprawiać słowo po słowie, aż stanie się oschłym urzędowym pismem.

Doszła do wniosku, że tak będzie najlepiej.

Właśnie skończyła pierwszy brudnopis i zaczynała nanosić poprawki, kiedy zadzwonił telefon.

- Instytut w Nowej Anglii, doktor Jones.

- Mirando, dzięki Bogu, że cię złapałem.

- O co chodzi? - Poirytowana z powodu zakłóceń, przesunęła telefon i wyjęła z ucha kolczyk. - Kto mówi?

- Giovanni.

- Giovanni? - Zerknęła na stojący na biurku zegarek i obliczyła czas. - U ciebie jest już po północy. Czy stało się coś złego?

- Tak. Właściwie to katastrofa. Nie śmiałem dzwonić do ciebie wcześniej, uznałem jednak, że powinnaś o tym wiedzieć, zanim... zanim nadejdzie jutrzejszy ranek.

Poczuła gwałtowne ukłucie serca, a kolczyk z brzęknięciem uderzył o biurko.

- Chodzi o moją matkę? Czy coś stało się mojej matce?

- Tak... nie. Czuje się dobrze, nic jej nie jest. Przykro mi. Jestem bardzo zdenerwowany.

- W porządku. - Pragnąc uspokoić, zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. -

Powiedz mi po prostu, co się stało.

- Chodzi o ten brąz, brąz z Fiesole. Jest falsyfikatem.

- To śmieszne. - Wyprostowała się i warknęła: - On na pewno nie jest fałszywy. Kto tak twierdzi?

- Przyszły dzisiaj wyniki przeprowadzonych w Rzymie testów. Wykonywano je w Arcana - Jasper Laboratories. Badania nadzorował doktor Ponti. Słyszałaś o nim?

- Tak, oczywiście. Masz złe informacje, Giovanni.

- Mówię prawdę, sam widziałem wyniki testów. Ponieważ Richard, Elise i ja pracowaliśmy w twoim zespole, doktor Stanford - Jones zawołała nas dzisiaj do siebie.

Ściągnęła nawet Vincentego. Jest wściekła, Mirando, upokorzona, niemal chora. Brąz został

podrobiony. Prawdopodobnie odlano go kilka miesięcy temu. Receptura stopu była prawidłowa, idealnie sfalszowano nawet patynę, dlatego nietrudno było się pomylić.

- Nie pomyliłam się - powiedziała z uporem, chociaż czuła, że ogarniają panika.

- Nieodpowiednia była grubość warstwy korozji. Nie wiem, jak to się mogło stać, ale nie zwróciliśmy na to uwagi, Mirando. Podjęto pewne próby, by wywołać ją w głębi stopu, ale bez skutku.

- Sam widziałeś rezultaty, zdjęcia komputerowe, wyniki prześwietlania promieniami

rentgenowskimi.

- Wiem o tym. Próbowałem powiedzieć to twojej matce, ale...

- Ale co, Giovanni?

- Zapytała mnie, kto prześwietlał statuetkę, kto wpisywał dane do komputera. Kto prowadził testy na promieniowanie. *Cara*, tak mi przykro.

- Rozumiem. - Była jak odrętwiała i miała poważne trudności z logicznym myśleniem.

- To ja jestem za wszystko odpowiedzialna. Sama przeprowadzałam testy i pisałam raporty.

- Gdyby nie przeciek do prasy, może zdołalibyśmy to jakoś ukryć, przynajmniej częściowo.

- Może to Ponti się pomylił. - Otarła dłonią usta. - Przecież mógł popełnić błąd. Nie pominęłabym czegoś tak ważnego jak grubość warstwy korozji. Muszę o tym pomyśleć, Giovanni. Jestem ci wdzięczna, że mnie zawiadomiłeś.

- Co prawda robię to bardzo niechętnie, ale muszę cię o coś prosić, Mirando, jeśli chcesz tu nadal pracować. Twoja matka nie może się dowiedzieć, że z tobą rozmawiałem na ten temat, że w ogóle z tobą rozmawiałem. Prawdopodobnie jutro rano będzie chciała skontaktować się z tobą osobiście.

- Nie martw się, nic jej nie powiem o twoim telefonie. Nie mogę już dłużej rozmawiać. Muszę pomyśleć.

- W porządku. Jest mi przykro, bardzo przykro.

Ostrożnie odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała nieruchomo jak głaz, patrząc w pustą przestrzeń. Pragnąc uporządkować własne myśli, usiłowała przypomnieć sobie wszystkie dane, zobaczyć je ponownie tak wyraźnie jak we w Florencji. Jednak w jej głowie panował taki zamęt, że w końcu poddała się i opuściła ją między kolana.

Falszyfikat? To niemożliwe. Wykluczone. Czowała, że zaczyna jej brakować powietrza.

Potem pojawiło się mrowienie w czubkach palców, a kiedy odrętwienie minęło, zaczęła się trząść.

Zapewniała samą siebie, że była ostrożna. Bardzo skrupulatna i dokładna. Czując bolesne łomotanie serca, przycisnęła rękę do mostka.

O Boże, widać nie była wystarczająco staranna, skrupulatna ani dokładna.

Czyżby matka miała rację? Czyżby Miranda na przekór własnym słowom wyrobiła sobie opinię na temat tego brązu w chwili, kiedy go zobaczyła?

Musiała przyznać, że bardzo tego chciała. Uniosła głowę i oparła się o krzesło, wykonując wolne i rozważne ruchy jak człowiek stary lub chory.

Pragnęła, by ta rzeźba była prawdziwa, bardzo chciała wierzyć, że trzymała w rękach coś ważnego, cennego i niezwykle rzadkiego.

Elizabeth określała to mianem arogancji. Arogancji i pychy. Czyżby Miranda rzeczywiście pozwoliła, by pewność siebie i pragnienie uzyskania aprobaty przyćmiły zdrowy rozsądek i miały wpływ na jej pracę?

Nie, nie i nie. Zacisnęła ręce w pięści i zaczęła przecierać nimi oczy. Widziała zdjęcie, wyniki promieniowania i testów chemicznych. Sprawdziała je. To były fakty, a fakty nie kłamią. Każdy test potwierdzał jej przekonanie. Gdzieś musiał tkwić błąd, ale na pewno nie ona go popełniła.

Opuszczając pięści na biurko, Miranda doszła do wniosku, że gdyby to ona się pomyliła, poniosłaby całkowitą porażkę.

Przestano by jej wierzyć. Nie byłaby w stanie wierzyć samej sobie.

Zamknęła oczy i oparła głowę o krzesło.

W takiej właśnie pozycji dwadzieścia minut później zastał ją Andrew.

- Zauważyłem, że się u ciebie świeci. Sam pracowałem do późna, dlatego... - urwał i zatrzymał się w drzwiach. Miranda była trupio blada, a kiedy otworzyła oczy, zauważył, że są ciemne, lśniące i całkowicie pozbawione wyrazu. - Źle się czujesz?

Chociaż na samą myśl o chorobie zrobiło mu się niedobrze, podszedł do Mirandy i położył rękę na jej czole.

- Zmarzłaś. - Instynktownie zaczął rozcierać jej dłonie.

- Jesteś przeziębiona albo coś w tym rodzaju. Zawiozę cię do domu. Powinnaś się położyć.

- Andrew... - Musi mu to powiedzieć, musi wymówić te słowa. Na samą myśl o tym rozboleła ją gardło. - Chodzi o *Czarną Damę*. Jest fałszywa.

- Co takiego? - Zaczął głaskać ją po głowie, lecz po chwili jego ręka zastygła w bezruchu. - Mówisz o bracie z Florencji?

- Przeprowadzono kolejne testy. Właśnie przyszły wyniki. Grubość warstwy korozji jest zła, promieniowanie również. Znasz Pontiego z Rzymu. To on osobiście nadzorował

ponowne badania.

Usiadł na brzegu biurka, wiedząc, że tym razem braterskie głaskanie po głowie nie wystarczy.

- Skąd to wiesz?

- Od Giovanniego. Właśnie do mnie dzwonił, mimo że miał zakaz. Jeśli matka się o tym dowie, może

go zwolnić.

- W porządku. - W tym momencie Andrew nie miał zamiaru przejmować się Giovannim. - Jesteś pewna, że przekazał prawdziwe informacje?

- Tak. - Skrzyżowała ręce na piersi i wbiła palce w ramiona. Ścisnęła i rozluźniała je, ścisnęła i rozluźniała. - Inaczej nie skontaktowałyby się ze mną. Matka wezwała jego, Elise i Richarda Hawthorne'a, by im to powiedzieć. Ściągnęła również Vincentego. Wyobrażam sobie, że nieźle ich zwymyślała Mają zamiar powiedzieć, że to ja wszystko spieprzyłam.

- Głos Mirandy załamał się, dlatego energicznie potrząsnęła głową, jakby próbowała ukryć własne emocje. - Stało się tak, jak przewidywała.

- A ty?

Otworzyła usta, by równie energicznie zaprzeczyć i temu, ale szybko je zamknęła i mocno zacisnęła wargi. Musi panować nad sobą, pomyślała. Koniecznie.

- Nie brałam tego pod uwagę. Przeprowadziłam testy. Postępowałam zgodnie z procedurą. Odnotowywałam wszystkie wyniki. Z drugiej jednak strony chciałam, by to był autentyczny, Andrew. Może za bardzo tego pragnęłam.

- Nigdy nie spotkałem się z sytuacją by twoje pragnienia w czymkolwiek ci przeszkodziły. - Była tak załamana, że nie mógł na nią patrzeć. Miranda zawsze była silniejsza od niego. Oboje o tym wiedzieli. - Może należałoby zastanowić się nad jakimś błędem technicznym. Czy istnieje możliwość, by zawiodło któreś z urządzeń?

Niewiele brakowało, a wybuchnęłyby śmiechem.

- Rozmawiamy o dumie i radości Elizabeth, Andrew.

- Maszyny czasami się psują.

- Albo błędy popełniają ludzie, którzy wprowadzają do nich dane. Zespół Pontiego mógł się pomylić. - Odsunęła się od biurka i chociaż drżały jej nogi, zaczęła niespokojnie krą-

żyć po pokoju. - To jest równie prawdopodobne jak możliwość popełnienia błędu przeze mnie. Muszę jeszcze raz przejrzeć swoje dane i wyniki. Koniecznie. Muszę zobaczyć *Czarną Damę*.

- Czeka cię rozmowa z matką.

- Wiem. - Zatrzymała się i wyjrzała za okno, ale zobaczyła jedynie ciemność. -

Zadzwoniłabym do niej od razu, ale wówczas zawiodłabym zaufanie Giovanniego.

Wolałabym załatwić to od razu, zamiast czekać, aż ona sama się ze mną skontaktuje.

- Jako dziecko zawsze za jednym zamachem przełykałaś całe lekarstwo. Ja, jeśli nie mam ochoty na borykanie się z jakąś sprawą, wolę odkładać ją w nieskończoność.

- Tego nie da się uniknąć. Kiedy rezultaty zostaną podane do publicznej wiadomości, zacznie się szemranie. Zostanę uznana za idiotkę lub oszustkę, osobę równie niemoralną jak wiele innych. Vincente na pewno coś wymyśli, ale to i tak nie powstrzyma prasy. Jeśli o to chodzi, matka miała rację. Zaatakują nie tylko mnie, lecz również ją i Standjo. - Odwróciła się twarzą do brata. - A także Instytut.

- Damy sobie z tym radę.

- To mój problem, Andrew. Nie twój. Podeszedł do niej i położył ręce na jej ramionach.

- Nie. - Powiedział to całkiem zwyczajnie, mimo to Miranda poczuła, że do oczu napływają jej łzy. - Jak zwykle razem stawimy temu czoło.

Wypuściła powietrze z płuc, oparła się o niego i pozwoliła się pocieszyć. Doszła jednak do wniosku, że matka może nie dać jej wyboru. Miranda doskonale zdawała sobie sprawę, na co postawi Elizabeth, jeśli będzie musiała wybrać między Instytutem a własną córką.

Nocny wiatr był ostry i zawzięty jak wzgardzona kobieta, ale Ryanowi wcale to nie przeszkadzało. Mijając trzy skrzyżowania, które dzieliły go od miejsca, gdzie zostawił samochód, cieszył się orzeźwiającymi podmuchami.

Wszystko czego potrzebował, ukrył w zakamarkach i kieszeniach płaszcza oraz w małej aktówce. Gdyby z jakiegoś powodu zatrzymali go gliniarze i chcieli uważniej mu się przyjrzeć, znalazłby się za kratkami, zanim zdołałby skorzystać z przysługującego mu prawa do rozmowy telefonicznej. Między innymi na tym właśnie polegała cała przyjemność.

Boże, jak on będzie za tym tęsknił, pomyślał, krocząc energicznie niczym mężczyzna spieszący na spotkanie z kochanką. Fazę planowania miał już za sobą. To samo mógł

powiedzieć o pewnym etapie swojego życia. Teraz zbliżał się moment wykonania ostatniego zlecenia. Chciał dokładnie zapamiętać każdy szczegół, by na starość, gdy u jego stóp będą bawić się wnuczeta, móc sobie przypomnieć to młodzieńcze wspaniałe poczucie siły.

Ryan spenetrował wzrokiem najbliższe otoczenie. Nagie drzewa drżały na wietrze, na ulicach panował niewielki ruch, a błądzący księżyc oglądany z rozświetlonego centrum miasta przypominał zaledwie jasny, dryfujący w chmurach rożek. Mijając bar z migającym w oknie błękitnym neonem w kształcie kieliszka Martini, Ryan uśmiechnął się. Może po pracy wstąpi tu na drinka. Małeńki toast byłby całkiem niezłym sposobem zamknięcia pewnego rozdziału.

Ryan na światłach przeszedł szybko na drugą stronę ulicy, zachowując się jak każdy praworządny obywatel, który ani myśli o nieprawidłowym przechodzeniu przez jezdnię.

Zwłaszcza wtedy gdy ma przy sobie narzędzia włamywacza.

Zobaczył przed sobą majestatyczny gmach wzniesiony z dobrego jankeskiego granitu.

Był to Instytut. Ryan cieszył się, że jego ostatnia praca wymaga włamania się do tak dostojnego budynku.

Wszystkie okna były ciemne, jedynie w holu połyskiwały światła bezpieczeństwa.

Zawsze dziwiło go, a równocześnie serdecznie bawiło, iż ludzie zostawiają światła, mając nadzieję, że to uchroni ich przed kradzieżą. Tymczasem dobry złodziej jest w stanie z taką samą łatwością ukraść w biały dzień jak pod osłoną nocy.

Ryan był bardzo dobrym złodziejem.

Zmierzył wzrokiem całą ulicę, a potem sprawdził zegarek. Z własnych obserwacji wiedział, jak i kiedy policja patroluje ten teren. Jeśli nikt ich nie wezwie, radiowóz przejedzie tędy dopiero za piętnaście minut.

Energicznym lecz niespiesznym krokiem Ryan doszedł do południowego skrzydła budynku. Miał na sobie długi płaszcz, dzięki któremu wyglądał na masywnego mężczyznę, twarz osłonił eleganckim filcowym kapeluszem, spod którego wystawały pełne dostojęstwa szpakowate włosy.

Każdy, kto by go zauważył, uznałby go za mającego lekką nadwagę biznesmena w średnim wieku.

Gdy znalazł się dwa metry od drzwi i wciąż jeszcze był poza zasięgiem kamery, wyjął z kieszeni urządzenie do blokowania i wycelował je.

Zobaczywszy, że czerwone światelko zgasło, szybko przystąpił do działania.

Użycie fałszywej karty magnetycznej wymagało od niego sporo finezji, lecz za trzecim razem automat przyjął ją i odczytał. Ryan odtworzył z pamięci kod, wystukał go i po czterdziestu pięciu sekundach znalazł się w przedsionku. Uruchoił kamerę, aby jakiś nadgorliwy strażnik nie przyszedł jej sprawdzić, po czym zamknął drzwi.

Zdjął płaszcz i powiesił go obok automatów z napojami oraz przekąskami. Wsunął do kieszeni czarne rękawiczki z sarniej skóry. Pod nimi miał rękawice chirurgiczne, które każdy uczciwy człowiek może kupić w najbliższej aptece. Szpakowate włosy ukrył pod czarną czapeczką.

Po raz ostatni szybko sprawdził narzędzia.

Dopiero wówczas pozwolił sobie na niewielką przerwę - jedną krótką chwilę radości.

Stał w ciemności zasłuchany w ciszę, która w rzeczywistości wcale nie była ciszą.

Budynki mają swój własny język. Gmach Instytutu pomrukiwał i trzeszczał. Ryan słyszał

ciepłe powietrze w otworach wentylacyjnych oraz westchnienia wiatru napierającego na znajdujące się z tyłu drzwi.

Posterunek strażników mieścił się piętro wyżej, ale strop był bardzo gruby. Ryan nie słyszał żadnych dochodzących z góry dźwięków, wiedział zatem, że jego również tam nie słychać. Kiedy oswoił się z ciemnością, ruszył w stronę następnych drzwi. Zamknięte były na dobry zamek, który wymagał wytrychów i maleńkiej jak długopis latarki, którą Ryan przytrzymał w zębach. Pokonanie go zajęło mu mniej więcej trzydzieści sekund.

Uśmiechnął się, słysząc dźwięki wydawane przez zapadki, a potem prześliznął się przez drzwi i wszedł do holu.

Pierwsza kamera wisiała w głębi, tam gdzie korytarz się rozwidłał. Ryan nie bardzo się tym przejmował. Był jednym z wielu cieni, a kamera zwrócona była w stronę galerii.

Trzymając się blisko ściany, prześliznął się pod kamerą, a kiedy znalazł się poza jej zasięgiem, wybrał korytarz prowadzący w lewo.

Po dotarciu do Południowej Galerii przykucnął i pomyślał, że jest to grota Aladyna.

Tower of London, skarby Czarnobrodego, kraina cudów. To miejsce przywodziło mu na myśl wszystkie bajki, które czytano mu w dzieciństwie lub które sam czytał.

Oprócz przebiegającego po skórze cudownego dreszczu oczekiwania Ryan poczuł

ucisk w żołądku i napięcie mięśni. Coś bardzo bliskiego pożądaniu. Wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. To właśnie dlatego przyszło mu na myśl, że profesjonalista bardzo łatwo może ulec chciwości i ponieść klęskę.

Ponownie sprawdził zegarek. Jankeska dokładność oznaczała, że strażnicy wciąż patrolują teren, chociaż kamery i czujniki powinny w zupełności wystarczyć. Oczywiście Ryan był najlepszym dowodem, że nie wystarczają, i gdyby to on odpowiadał za bezpieczeństwo budynku, zatrudniłby dwa razy więcej wartowników i dwa razy częściej kazałby im patrolować muzeum.

Na szczęście to nie należało do niego.

Teraz nie używał latarki i wcale jej nie potrzebował. Nawet najmniejszy błysk uruchomiłby czujniki. Korzystając z wcześniejszych pomiarów i doskonale jak na noc widoczności, Ryan dotarł do rogu galerii, wycelował urządzenie do blokowania i wyłączył

kłopotliwą kamerę.

W podświadomości zaczął liczyć mijające sekundy, a równocześnie ruszył szybko do przodu. Nim dotarł do gablotki i kucnął przy niej, miał już w ręce diament do przecinania szkła. Narysował kółko odrobinę większe od własnej pięści, przymocował do niego przyssawkę, z cichym stuknięciem odciągnął szybkę, po czym starannie położył ją na gablotce.

Pracował szybko, mimo to jego ruchy były bardzo oszczędne. Urodził się z tą umiejętnością, tak samo jak z określonym kolorem oczu. Nie tracił czasu na podziwianie zdobyczy, nie zastanawiał się również, ile radości sprawiłoby mu zabranie czegoś więcej niż to, po co tu przyszedł. To było dobre dla amatorów. Sięgnął do gablotki, wyjął z niej brąz i wsadził go do wiszącej u paska sakiewki.

Ponieważ zawsze bardzo sobie cenił porządek i miał poczucie humoru, włożył szklane kółko na swoje miejsce, a potem cicho jak kot cofnął się do kąta. Włączył kamerę i ruszył w drogę powrotną tą samą trasą, którą tu przyszedł.

Według jego obliczeń zabranie brązu zajęło mu siedemdziesiąt pięć sekund.

Kiedy wrócił do przedsionka, przełożył brąz do aktówki, wsuwając go między dwie grube warstwy pianki. Zmienił nakrycie głowy, zdjął rękawice chirurgiczne, zrolował je i starannie włożył do kieszeni.

Ubrał płaszcz, otworzył drzwi, po czym dokładnie zamknął je za sobą. Po niecałych dziesięciu minutach od wejścia do budynku znajdował się już o przecnicę dalej.

Doszedł do wniosku, że wszystko odbyło się spokojnie, zgrabnie i szybko. To dobry sposób na zakończenie kariery. Ponownie zerknął na bar i miał ochotę wejść do środka.

W ostatniej chwili jednak się rozmyślił, postanowił wrócić do hotelu i zamówić sobie butelkę szampana. Pewne toasty lepiej wznosić w samotności.

Miranda spędziła bezseną noc. O szóstej nad ranem z pierwszej prawdziwej drzemki wyrwało ją brzęczenie telefonu. Zdezorientowana, próbując pokonać potworny ból głowy, po omacku sięgnęła po słuchawkę.

- Doktor Jones. *Pronto*. - Nie, to przecież nie Włochy. Znajduje się w domu, w Maine.

- Halo, słucham?

- Doktor Jones, tu Kent Scutter. Z ochrony.

- Słuchani pana, panie Scutter. - Nazwisko nie kojarzyło się Mirandzie z żadną twarzą, a była na tyle nieprzytomna, że nawet nie usiłowała jej sobie przypomnieć. - O co chodzi?

- Mieliśmy wypadek.

- Wypadek? - Kiedy w końcu zaczęła logiczniej myśleć, usiadła na łóżku. Zauważyła, że jest zaplątana w poszwy i koce, zupełnie jak mumia egipska. Cicho kląnąc, wyplątała się z nich. - Jakiego rodzaju wypadek?

- Wcześniej nikt niczego nie zauważył, zorientowaliśmy się dopiero przed chwilą, podczas zmiany warty. Postanowiłem natychmiast się z panią skontaktować. Było włamanie.

- Włamanie. - Teraz już całkiem przebudzona wyprostowała się, czując, jak krew uderza jej do głowy. - Do Instytutu?

- Tak, proszę pani. Doszedłem do wniosku, że może będzie pani chciała jak najszybciej tu przyjechać.

- Czy są jakieś szkody? Co zostało skradzione?

- Nie ma żadnych zniszczeń. Z Południowej Galerii zniknął jeden eksponat. Według katalogu był to piętnastowieczny brąz przedstawiający Dawida, artysta nieznany.

Brąz, pomyślała. Nagle zaczęły ją prześladować brązy.

- Już jadę.

Wyskoczyła z łóżka i nie tracąc czasu na wkładanie szlafroka, pobiegła w niebieskiej flanelowej piżamie do pokoju Andrew. Kiedy znalazła się przy łóżku brata, potrząsnęła nim gwałtownie.

- Andrew, obudź się. Było włamanie.

- Hm? Co takiego? - Odepchnął jej rękę, przesunął językiem po zębach i zaczął ziewać. Po chwili wyskoczył z łóżka.

- Co? Gdzie? Kiedy?

- W Instytucie. Zniknął brąz z Południowej Galerii. Ubieraj się szybko. Jedziemy.

- Brąz? - Przetarł rękami twarz. - Mirando, czy coś ci się przyśniło?

- Właśnie dzwonił jeden ze strażników, Scutter - warknęła. - To nie sen. Dziesięć minut, Andrew - rzuciła przez ramię, wychodząc.

Po czterdziestu minutach stała obok brata w Południowej Galerii i wpatrywała się w idealne kółko wycięte ze szkła oraz znajdującą się za nim pustą przestrzeń. Miranda czuła potworny skurcz żołądka.

- Proszę zadzwonić na policję, panie Scutter.

- Tak, proszę pani. - Dał znak jednemu ze swoich ludzi.

- Kazałem sprawdzić cały budynek, poszukiwania nadal trwają, lecz wygląda na to, że wszystko znajduje się na swoim miejscu i niczego więcej nie brakuje.

Andrew przytaknął.

- Chciałbym zobaczyć taśmy z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Tak jest, sir. - Scutter ciężko westchnął, - Doktorze Jones, szef nocnej zmiany zgłosił, że były niewielkie problemy z dwiema kamerami.

- Problemy? - Miranda odwróciła się. Teraz przypomniła już sobie Scuttera. Był to niski tęgawy mężczyzna. Swego czasu pracował jako gliniarz, potem jednak rzucił patrolo-wanie ulic i zajął się ochroną mienia prywatnego. Jego akta były bez skazy. Andrew zatrudnił

go po osobistym przeprowadzeniu z nim rozmowy kwalifikacyjnej.

- Chodzi o tę kamerę. - Scutter przesunął się i pokazał ręką w górę. - Wczoraj rano wyłączyła się mniej więcej na dziewięćdziesiąt sekund. Nikt się tym zbytnio nie przejmował, mimo to przeprowadzono rutynową kontrolę. Dziś w nocy, koło dwunastej, na ponad minutę zawiodła kamera znajdująca się przy południowym wejściu. Wiał silny wiatr, dlatego tę krótką awarię przypisano pogodzie. Między dwunastą a pierwszą w nocy wyłączyła się również wewnętrzna kamera, tym razem na jakieś osiemdziesiąt sekund. Dokładny czas bę-

dzie można ustalić, przeglądając taśmy.

- Rozumiem. - Andrew wsunął ręce do kieszeni i zacisnął je w pięści. - Co pan o tym sądzi, panie Scutter?

- Moim zdaniem włamywacz był profesjonalistą znającym nasz system bezpieczeństwa i elektronikę. Wszedł drzwiami od południa i jakimś cudem poradził sobie z alarmem i kamerą. Wiedział, czego szuka, dlatego wcale się nie pieprzył, najmocniej przepraszam, doktor Jones - mruknął przepaszająco, odwracając się w stronę Mirandy. -

Uważam, że ten człowiek dobrze znał muzeum i jego układ.

- Dzięki temu tanecznym krokiem wszedł do środka - powiedziała Miranda z ledwo ukrywaną wściekłością - wziął, co chciał, po czym spokojnie stąd wyszedł mimo skomplikowanego kosztownego systemu bezpieczeństwa i obecności sześciu uzbrojonych strażników.

- Tak, proszę pani. - Scutter zacisnął mocno wargi, aż zamieniły się w ciekłą kreseczkę. - Tak, na to wygląda.

- Dziękuję. Czy mógłby pan wyjść do holu i poczekać tam na policję?

Miranda odczekała, aż jego kroki ucichną, a potem będąc sam na sam z Andrew, pozwoliła sobie na okazanie złości.

- A to sukinsyn. Niesamowity sukinsyn, Andrew. - Podeszła do kamery, o której była wcześniej mowa, spojrzała na nią ponuro, po czym wróciła. - Ten człowiek próbuje nam wmówić, że ktoś ominął wszystkie zabezpieczenia, wślizgnął się tutaj i po niecałych dziesięciu minutach wyszedł z jednym określonym dziełem sztuki.

- Jest to najbardziej prawdopodobna teoria. Chyba nie sądzisz, że strażnicy zawiązali spisek, bo nagle kilku z nich uległo obsesji na punkcie małych, nagich włoskich chłopców z brązu?

W głębi duszy był nieszczęśliwy. Uwielbiał tę statuetkę, podziwiał witalność i arogancję wyrzeźbionego młodzieńca.

- Mogło być dużo gorzej, Mirando.

- Ochrona Instytutu zawiodła, okradziono nas. Czy może być jeszcze gorzej?

- Chyba tak, bo złodziej mógł napchać cały worek i opróżnić połowę sali.

- Jedno dzieło sztuki czy tuzin, i tak przywłaszczono sobie naszą własność. Boże. -

Ukryła twarz w dłoniach. - Po raz ostatni kradzież zdarzyła się w Instytucie w latach pięćdziesiątych. Zniknęło wówczas sześć obrazów, z czego cztery udało się odzyskać.

- Może po prostu przyszła kolej na nas - powiedział ze znużeniem.

- Gówna prawda. - Odwróciła się na pięcie. - Chronimy to, co do nas należy, nie szczędząc na ten cel pieniędzy.

- Nie ma detektorów ruchu - mruknął.

- To był twój pomysł.

- System, który chciałem wprowadzić, miał obejmować podłogę. - Spojrzał na gruby i piękny marmur. - Ale mosiądz się na to nie zgodził.

Mianem „mosiądzu” Andrew określał rodziców. Ojciec był zbulwersowany nie tylko pomysłem zniszczenia podłogi, lecz również przewidywanymi kosztami związanymi z nowym zabezpieczeniem.

- Być może i tak nie miałoby to żadnego znaczenia - powiedział ze wzruszeniem ramion. - Trudno wykluczyć, że to naprawdę był profesjonalista i że poradziłby sobie również z detektorami. Cholera jasna. Mirando, ochrona tego budynku należy do mnie.

- To nie twoja wina.

Westchnął. Rozpaczliwie potrzebował czegoś mocniejszego.

- Zawsze ktoś jest winien. Będę musiał im powiedzieć. Nawet nie wiem, jak skontaktować się ze starym w Utah.

- Matka na pewno będzie wiedziała, ale nie spieszmy się. Pozwól mi pomyśleć. -

Zamknęła oczy i przez chwilę stała w bezruchu. - Jak sam powiedziałeś, mogło być dużo gorzej. Straciliśmy tylko jeden eksponat i może uda się go odzyskać. Brąz był ubezpieczony, a policja jest już w drodze. Zrobiliśmy, co do nas należało. Teraz pozwólmy działać gliniarzom.

- Muszę zrobić, co do mnie należy, Mirando. Nie obejdzie się bez telefonu do Florencji. - Niewyraźnie się uśmiechnął. - Spójrz na to wszystko jeszcze inaczej - nasz mały wypadek może na jakiś czas odsunąć twój problem na dalszy plan.

Prychnęła.

- Gdybym uważała, że jest to możliwe, sama wpadłabym na pomysł kradzieży tej cholernej figurki.

- Witam, doktor Jones. - Mężczyzna, który pojawił się w drzwiach, miał zarumienione od zimna policzki, jasnozielone przymrużone oczy i gęste siwiejące brwi. - Dzień dobry, doktorze Jones. Inspektor Cook. - Uniósł złotą odznakę.

- Podobno coś wam zginęło.

O dziewiątej Miranda zrezygnowana oparła potwornie bolącą głowę na biurku.

Zamknęła drzwi, z trudem opanowując chęć przekręcenia klucza w zamku, i na dziesięć minut poddała się rozpacz.

Udało jej się wytrwać jedynie pięć minut, potem zabrzączał interkom.

- Mirando, niezmiernie mi przykro. - W głosie Lori słychać było troskę i wahanie. -

Dzwoni doktor Stanford - Jones. Czy mam jej powiedzieć, że jesteś nieosiągalna?

To była kusząca propozycja. Mimo to Miranda nabrała powietrza w płuca i wyprostowała się.

- Nie, porozmawiam z nią. Dziękuję, Lori. - Ponieważ miała lekką chrypkę, odchrząknęła, a potem przełączyła guzik. - Witaj, mammo.

- Zakończono testowanie brązowej figurki z Fiesole - powiedziała Elizabeth bez żadnych wstępów.

- Rozumiem.

- Twoje wnioski były błędne.

- Nie wierzę.

- Niezależnie od tego w co tak uparcie wierzysz, pomyliłaś się. Ten brąz jest jedynie dobrze wykonanym falsyfikatem, który naśladuje styl renesansowy i wykorzystuje ówczesne materiały. Władze przesłuchują Carla Rinaldiego, człowieka, który utrzymywał, że znalazł tę figurkę.

- Chcę zobaczyć wyniki ponownych testów.

- Nie ma takiej możliwości.

- Na pewno jesteś w stanie to załatwić. Mam prawo...

- Nie masz żadnych praw, Mirando. Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. W tej chwili muszę zrobić wszystko, by złagodzić negatywne skutki. Już wycofano od nas dwa zamówienia rządowe. Zszargana została twoja, a w rezultacie również moja reputacja. Część ludzi wierzy, że celowo sfałszowałaś testy i wyniki, pragnąc zdobyć uznanie za to odkrycie.

Miranda powoli i starannie starta wilgotne kółko pozostawione na biurku przez filiżankę herbaty.

- Czy ty również tak uważasz?

Wahanie było znacznie wymowniejsze niż następujące po nim słowa.

- Sądzę, że pozwoliłaś, by ambicja, pośpiech i entuzjazm przesłoniły zdrowy rozsądek, logikę i posiadaną przez ciebie wiedzę. W jakiś sposób czuję się odpowiedzialna, ponieważ cię w to wciągnęłam.

- Potrafię sama odpowiadać za siebie. Dziękuję za wsparcie.

- Sarkazm jest tu nie na miejscu. Na pewno w najbliższym czasie skontaktują się z tobą media. Nie wolno ci z nimi rozmawiać.

- Mam dla nich mnóstwo komentarzy.

- Ale zatrzymasz je dla siebie. Najlepiej będzie, jeśli weźmiesz urlop.

- Naprawdę? - Miranda poczuła, że zaczyna jej drżeć ręka, więc zacisnęła ją w pięść. -

Byłoby to przyznanie się do winy. Nie zrobię tego. Chcę zobaczyć wyniki. Jeśli rzeczywiście popełniłam błąd, mam prawo wiedzieć gdzie i dlaczego.

- To nie zależy ode mnie.

- Dobrze. W takim razie znajdę inną drogę. - Kiedy zabrzączał faks, Miranda uniosła głowę poirytowana. - Osobiście skontaktuję się z Pontim.

- Już z nim rozmawiałam. Ty go w ogóle nie interesujesz. Sprawa jest zamknięta.

Przełącz mnie do biura Andrew.

- Och, z ogromną przyjemnością. Uzyskasz od niego pewne informacje. - Wściekła dźgnęła odpowiedni przycisk i zadzwoniła do Lori. - Przełącz tę rozmowę do Andrew - rozkazała, po czym odsunęła się od biurka.

Najpierw wzięła głęboki wdech. Da Andrew kilka minut, a potem do niego pójdzie.

Będzie już wtedy spokojna. Wystarczająco spokojna, by udzielić mu wsparcia. Jednak chcąc to osiągnąć, musi na chwilę odsunąć na bok własne problemy i skoncentrować się na włamaniu.

Pragnąc oderwać myśli od rozmowy, podeszła do faksu i wzięła leżącą na tacy kartkę.

W tym momencie poczuła, że krew tężeje jej w żyłach.

Byłaś taka pewna, prawda? Wygląda na to, że się jednak pomyliłaś. Jak to wyjaśnisz?

Kim teraz jesteś, Mirando, skoro twoja opinia legła w gruzach? Nikim. Bo przecież tak naprawdę liczyła się tylko twoja reputacja, nazwisko i stopnie naukowe.

Teraz jesteś żałosna. Nic ci już nie zostało.

Obecnie wszystko należy do mnie.

Jak się teraz czujesz, Mirando, kiedy wyszło na jaw, że jesteś jedynie oszustką i osobą niekompetentną? Czy nie odnosisz wrażenia, że poniosłaś życiową klęskę?

Czytając to, Miranda zacisnęła kurczowo rękę na piersiach. Oddychała szybko i niespokojnie, czując coraz większe zawroty głowy. W końcu, pragnąc się uspokoić, zrobiła kilka kroków do tyłu i oparła biodro o biurko.

- Kim jesteś? - Ponownie ogarnęła ją złość, dzięki czemu udało jej się odzyskać równowagę. - Kim ty do diabła jesteś?

Doszła do wniosku, że to nie ma znaczenia. Nie dopuści do tego, by złośliwa nieistotna wiadomość cokolwiek zmieniła. To wszystko nie ma żadnego znaczenia.

Mimo to schowała faks do tej samej szuflady co poprzednio i zamknęła ją na klucz.

W końcu się tego dowie. Zawsze jest sposób, by poznać prawdę. Starając się, by krew z powrotem napłynęła jej do twarzy, przycisnęła dłonie do policzków. Obiecała sobie, że gdy już odkryje autora tych listów, wówczas się z nim rozprawi.

Teraz nie czas na denerwowanie się z powodu obrzydliwych żartów. Wciągnęła powietrze w płuca, wypuściła je i tak długo zacierała dłonie, aż z powrotem się zagrzały.

Jest potrzebna Andrew. I Instytutowi. Czując potworny ból w piersi, zacisnęła mocno powieki. To nieprawda, że liczyły się tylko jej nazwisko i posiadane stopnie naukowe.

Była kimś więcej i postanowiła tego dowieść.

Wyprostowała plecy i energicznym krokiem wyszła z biura, mając zamiar udać się do Andrew.

Przynajmniej dwóch członków rodziny stanie przy sobie ramię w ramię.

Przy biurku Lori dostrzegła inspektora Cooka.

- Czy mogłaby mi pani poświęcić trochę czasu, doktor Jones?

- Oczywiście. - Mimo niemiłego ucisku w żołądku nakazała sobie spokój i wskazała ręką drzwi. - Proszę wejść i rozgościć się. Lori, nie łącz żadnych rozmów. Czy mogę po-częstować pana kawą, inspektorze?

- Nie, dziękuję. Staram się ograniczać. Kofeina i tytoń to prawdziwi mordercy. -

Usiadł na krześle i wyjął notes.

- Pani doktor, doktor Andrew Jones powiedział mi, że ukradziony eksponat był ubezpieczony.

- Instytut jest w stu procentach ubezpieczony od kradzieży i ognia.

- Pół miliona dolarów. Czy to nie jest zbyt wygórowana suma jak na tak małą rzecz?

W końcu nie była nawet podpisana, prawda?

- Rzeczywiście, nie wiemy, kto ją wykonał, wierzymy jednak, że był to uczeń Leonarda da Vinci. - Bardzo chciała pozbyć się dokuczliwego bólu w skroniach, mimo to trzymała ręce nieruchomo. - To było wspaniałe studium Dawida pochodzące z mniej więcej tysiąc pięćset dwudziestego czwartego roku.

Z rozgoryczeniem przypomniała sobie, że sama to sprawdzała. Przynajmniej wówczas nikt nie kwestionował jej odkryć.

- Pół miliona to kwota, za jaką ta rzeźba mogłaby pójść na aukcji lub zostać sprzedana jakiemuś kolekcjonerowi - dodała.

- Zajmujecie się również czymś takim? - Cook zacisnął wargi. - Sprzedajecie swoje eksponaty?

- Od czasu do czasu. Chociaż częściej kupujemy. Obrzucił wzrokiem dobrze i schludnie urządzone biuro.

Było wyposażone w najwyższej klasy sprzęt oraz biurko, które mogło sporo kosztować.

- Do prowadzenia takiej instytucji potrzebne są grube pieniądze.

- Tak. W znacznej części pochodzą z opłat za studia, konsultacje i wstępy. Istnieje również fundusz założony przez mojego dziadka. Wspierają nas także ofiarodawcy, którzy przekazują nam określone sumy lub dzieła sztuki. - Chociaż przyszło jej na myśl, że powinna wezwać prawnika, wychyliła się do przodu. - Panie inspektorze, do prowadzenia Instytutu nie potrzebujemy pięciuset tysięcy dolarów, które dostaniemy z tytułu odszkodowania.

- Sadzę, że jest to kropla w morzu potrzeb. Oczywiście dla pewnych ludzi byłaby to spora suma pieniędzy. Zwłaszcza jeśli grają lub mają długi albo po prostu chcą sobie sprawić luksusowy samochód.

Chociaż czuła rosnące napięcie mięśni karku, spokojnie spojrzała Cookowi w oczy.

- Nie gram, nie mam żadnych długów i dysponuję całkiem niezłym samochodem.

- Jeśli wolno mi to powiedzieć, doktor Jones, nie wygląda pani na specjalnie zaniepokojoną poniesioną stratą.

- Czy moje zdenerwowanie pomoże odnaleźć brąz? Cmoknął.

- Punkt dla pani. Za to pani brat jest wyraźnie roztrzęsiony.

Miranda poczuła, że jej oczy zasnuwają się mgłą, więc opuściła głowę i wbiła wzrok w resztki swojej herbaty.

- Czuje się odpowiedzialny. Andrew bierze sobie wszystko do serca.

- A pani?

- Czy czuję się odpowiedzialna i czy biorę sobie wszystko do serca? - odparowała, a potem uniosła dłońe kilkanaście centymetrów nad biurko. - W obu przypadkach moja odpowiedź brzmi „nie”.

- Chciałbym uzupełnić swoje notatki. Czy zechciałaby pani mi powiedzieć, co pani robiła wczoraj

wieczorem?

- W porządku. - Ponownie poczuła, że napina mięśnie, mimo to mówiła całkiem spokojnie. - Andrew i ja pracowaliśmy mniej więcej do siódmej. Tuż po szóstej wysłałam sekretarkę do domu. Chwilę po jej wyjściu miałam telefon z zagranicy.

- Skąd?

- Z Florencji we Włoszech. Dzwonił mój współpracownik. - Czuła, że rozpacz pali ją poniżej mostka jak wrzód. - Rozmawialiśmy dziesięć minut, może nieco krócej. Potem wpadł

do mnie Andrew. Przedyskutowaliśmy pewne sprawy, a koło siódmej razem opuściliśmy biuro.

- Czy często razem przyjeżdżacie i wyjeżdżacie z pracy?

- Nie. Nasze godziny pracy nie zawsze się pokrywają, ale wczoraj wieczorem nie czułam się najlepiej, dlatego pojechałam z Andrew. Mieszkamy razem w domu, który zostawiła nam babka. Zjedliśmy lekką kolację. Koło dziewiątej poszłam do swojego pokoju.

- I nie opuszczała go pani przez całą noc?

- Tak. Jak już wspomniałam, nie czułam się najlepiej.

- A pani brat również całą noc spędził w domu. Nie miała pojęcia.

- Tak. Obudziłam go parę minut po szóstej rano, w chwilę po telefonie od pana Scuttera z ochrony. Przyjechaliśmy razem, oceniliśmy sytuację, po czym wydaliśmy panu Scutterowi polecenie, by zadzwonił po policję.

- Wracając do tego brązu... - Cook oparł notes o kolano. - Podejrzewam, że macie w swoich zbiorach dzieła sztuki warte dużo więcej. Zabawne, że złodziej po zadaniu sobie niemałego trudu, by wejść do środka, zabrał tylko jeden eksponat, jedną małą rzecz.

- Tak - powiedziała spokojnie. - Sama doszłam do takiego wniosku. Jak pan to wyjaśni, inspektorze?

Nie udało mu się opanować uśmiechu. Bardzo sprytnie odwróciła pytanie.

- Powiedziałbym, że zależało mu właśnie na niej. Nic innego nie zginęło?

- Sprawdzamy starannie wszystkie pomieszczenia. Wygląda na to, że niczego więcej nie brakuje. Nie wiem, co jeszcze mogę panu powiedzieć.

- To powinno na razie wystarczyć. - Wstał i wsunął notes do kieszeni. - Będziemy przesłuchiwać waszych pracowników. Nie jest wykluczone, że ponownie będę chciał z panią porozmawiać.

- Chętnie udzielę wszelkich informacji. - Również wstała. Zależało jej na tym, żeby już wyszedł. - Może pan skontaktować się ze mną tutaj lub w domu - ciągnęła, idąc w stronę drzwi. Kiedy je

otworzyła, zobaczyła krążącego niespokojnie po sekretariacie Ryana.

- Mirando. - Podeszedł do niej i ujął jej dłonie. - Właśnie się o wszystkim dowiedziałem.

Z jakiegoś powodu poczuła, że ponownie łzy napływają jej do oczu, lecz zdołała je powstrzymać.

- Kiepski dzień - wyjąkała.

- Przykro mi. Ile rzeczy zginęło? Czy policja wpadła na jakiś trop?

- To... Ryan, przedstawiam ci inspektora Cooka. To on zajmuje się tą sprawą.

Inspektorze, to Ryan Boldari. Współpracujemy ze sobą.

- Witam, inspektorze. - Ryan w każdej sytuacji natychmiast rozpoznałby w nim gliniarza.

- Dzień dobry, panie Boldari. Czy pan tu pracuje?

- Nie, jestem właścicielem galerii w Nowym Jorku i San Francisco. Przyjechałem do Maine na kilka dni w sprawach służbowych. Mirando, jak mogę ci pomóc?

- Nie wiem. - Ponownie zalała ją jakaś dziwna fala. Miranda poczuła, że drżą jej ręce.

- Powinnaś usiąść. Jesteś zdenerwowana.

- Panie Boldari. - Kiedy Ryan odwrócił się, by wprowadzić Mirandę do biura, Cook uniósł palec. - Jak nazywają się pańskie galerie?

- Galerie Boldariego - powiedział, unosząc brew. Wyjął kute srebrne puzderko i wyjął

z niego wizytówkę. - Ma pan tu oba adresy. Pan wybaczy, inspektorze, chciałbym zająć się doktor Jones.

Z prawdziwą radością zamknął Cookowi drzwi przed nosem.

- Siadaj, Mirando. Powiedz mi, co się stało. Wykonała jego polecenie zadowolona, że mocno trzymają za ręce.

- Zniknął tylko jeden eksponat? - zapytał Ryan, kiedy skończyła. - Dziwne.

- To musiał być głupi złodziej - powiedziała odważnie. - Mógł opróżnić całą gablotkę i nie kosztowałoby go to dużo więcej czasu ani wysiłku.

Ryan wypchnął językiem policzek i przypomniał sobie, że nie ma prawa czuć się urażony.

- Najwyraźniej działał wybiórczo, ale czy głupio? Trudno mi uwierzyć, by ktoś naprawdę głupi zdołał pokonać twoją ochronę z taką łatwością i w tak krótkim czasie.

- No cóż, być może znał się na elektronice, ale gorzej z jego znajomością sztuki. - Nie mogąc usiedzieć, wstała i włączyła ekspres do kawy. - *Dawid* był uroczą małą statuetką, ale nie brakuje nam dużo lepszych. Och, to właściwie nie ma znaczenia - mruknęła, przeczesując palcami włosy.

- Moje słowa brzmią tak, jakbym była zła, że nie wziął więcej lub nie wybrał lepiej.

Prawdę mówiąc, jestem wściekła, że w ogóle dostał się do środka.

- Ja też bym był. - Podszedł, by pocałować ją w czubek głowy. - Jestem pewien, że policja znajdzie i złodzieja, i *Dawida*. Moim zdaniem Cook wygląda na faceta, który zna się na rzeczy.

- Sądzę, że tak. Musi jednak najpierw skreślić z listy podejrzanych mnie oraz Andrew i skoncentrować się na szukaniu prawdziwego złodzieja.

- To chyba dość typowe, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Kiedy odwrócił ją twarzą do siebie, poczuł niewielkie wyrzuty sumienia. - Wcale się tym nie przejmujesz, prawda?

- Oczywiście. Jedynie trochę mnie to denerwuje. Jestem ci wdzięczna, że wstąpiłeś, Rynie. Ja... Och, lunch - przypomniała sobie. - Nie będę mogła się wyrwać.

- Nawet o tym nie myśl. Wybierzemy się, kiedy będę następnym razem.

- Następnym razem?

- Dziś wieczorem muszę wyjechać. Miałem nadzieję, że uda mi się zostać jeszcze na dzień lub dwa... z przyczyn osobistych. Niestety muszę wracać.

- Och. - Nie przypuszczała, że może poczuć się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Uniósł jej dłonie do ust. Doszedł do wniosku, że smutnym oczom trudno się oprzeć.

- Dobrze by było, gdybyś trochę za mną potęskniła. Może wówczas przestałabyś myśleć o tym wszystkim.

- Podejrzewam, że przez kilka najbliższych dni będę zajęta. Mimo to bardzo mi przykro, że nie możesz zostać dłużej. To nie... Mam nadzieję, że ta kradzież nie będzie miała wpływu na naszą wymianę.

- Mirando. - Cieszyło go, że może odgrywać rolę oddanego i spieszącego z pomocą bohatera. - Nie bądź głupia. Dzieła Vasariego nie później niż za miesiąc znajdą się w twoich rękach.

- Dziękuję. Po wydarzeniach tego poranka bardziej cenię sobie zaufanie, niż jestem w stanie to wyrazić.

- Będziesz za mną tęsknić? Uśmiechnęła się.

- Myślę, że tak.

- Teraz powiedz mi „do widzenia”.

Zaczęła mówić, lecz zamknął jej usta własnymi ustami. Pozwolił sobie na namiętny pocałunek, jak złodziej, pokonując początkowe zaskoczenie Mirandy i jej opór.

Wiedział, że minie sporo czasu, nim ponownie ją zobaczy, jeśli w ogóle to jeszcze kiedykolwiek nastąpi. Wiedział też, że ich drogi się rozchodzą, lecz chciał zabrać coś ze sobą.

Zabrał więc słodycz ukrytą pod pozorami siły i ujawnioną mimo opanowania namiętność.

Odsunął Mirandę, bacznie przyjrzał się jej twarzy i jeszcze raz musnął rękami jej ramiona, odrobinę dłużej dotykając ich czubkami palców.

- Do widzenia, Mirando - powiedział z większym żalem, niż się spodziewał, po czym zostawił ją pewien, że doktor Jones poradzi sobie z niewielkimi kłopotami, jakie spowodował

w jej życiu.

Nim Andrew skończył rozmowę telefoniczną z matką, gotów był zdradzić ojczyznę za kieliszek Jacka Danielsa. Nie mógł zaprzeczyć, że wina leżała po jego stronie. Rzeczywiście to on odpowiadał za codzienną pracę Instytutu i bezpieczeństwo.

Matka zwróciła mu na to uwagę krótko i węzłowato.

Nie było sensu wyłuszczać, iż skoro ktoś pokonał wszystkie zabezpieczenia, powinni skakać z radości, że zniknął tylko jeden eksponat. Elizabeth potraktowała włamanie jak osobistą obelgę, a utrata małej brązowej statuetki *Dawida* bardziej ją zabolęła niż hurtowa wyprzedaż całej galerii.

To również Andrew rozumiał. Będzie więc nadal dźwigał odpowiedzialność, radząc sobie z policją, towarzystwem ubezpieczeniowym, pracownikami i prasą. Natomiast za nic w świecie nie mógł się pogodzić z całkowitym brakiem wsparcia lub choćby odrobiny współczucia ze strony matki i to właśnie dlatego czuł tak nieprzepartą chęć, by sięgnąć po butelkę.

Na szczęście nie miał jej pod ręką. Uważał, że trzymanie alkoholu w biurze byłoby przekroczeniem pewnej granicy. Ponieważ tego nie robił, mógł spokojnie odtrącać wszelkie sugestie, że ma problemy z pićm.

Pił w domu, w barach i podczas imprez towarzyskich. Nigdy nie sięgał po alkohol w godzinach pracy. Co oznaczało, że panuje nad sobą.

Wyobraził sobie, że wymyka się do najbliższego sklepu z alkoholami i kupuje coś, co pomogłoby mu przetrwać długi ciężki dzień, ale fantazjowanie to nie to samo co zrobienie tego naprawdę.

Nacisnął na telefonie guzik interkomu.

- Pani Purdue.

- Słucham, doktorze Jones.

Droga pani Purdue, niech pani skoczy do Freedom Liquors i przyniesie mi ćwiartkę Jacka Danielsa Blacka. To rodzinna tradycja.

- Czy mogłaby pani do mnie przyjść?

- Już idę, sir.

Andrew odsunął się od biurka i odwrócił do okna. W końcu ręce wcale mu nie drżą, prawda? Żołądek ma prawo się buntować, a po kręgosłupie może spływać lepki pot, ale najważniejsze są spokojne ręce. To znaczy, że panuje nad sobą.

Słyszał, że jego sekretarka weszła i cicho zamknęła drzwi.

- O jedenastej pojawi się inspektor ubezpieczeniowy - powiedział, nie odwracając się.

- Proszę dopilnować, żeby w tym czasie nic mi nie wypadło.

- Odwołałam wszystkie dzisiejsze spotkania, doktorze Jones, oprócz tych najważniejszych.

- Dobrze, dziękuję. Aha... - Nacisnął nos, mając nadzieję, że uda mu się pozbyć choć odrobiny napięcia. - Musimy zwołać spotkanie pracowników, mam na myśli samych kierowników działów. Możliwie jak najszybciej.

- O pierwszej, doktorze Jones.

- Dobrze. Proszę wysłać do mojej siostry notatkę służbową. Chciałbym, żeby wraz z ludźmi z działu reklamy opracowała oświadczenie. Niech pani powtarza wszystkim dzwoniącym dziennikarzom, że pod koniec dnia wydamy oświadczenie, a do tego czasu powstrzymujemy się od wszelkich komentarzy.

- Tak, sir. Doktorze Jones, inspektor Cook ponownie prosi o rozmowę. Zależy mu na czasie. Jest na parterze.

- Za chwilę do niego zejdę. Musimy przygotować list do doktor Stanford - Jones i doktora Charlesa Jonesa. Trzeba szczegółowo opisać w nim całe zajście i podać wszystko, co dotychczas w tej sprawie wiemy. Chcą... - Usłysawszy pukanie do drzwi, urwał, a kiedy do biura weszła Miranda, odwrócił się.

- Przepraszam, Andrew. Jeśli jesteś zajęty, mogę przyjść nieco później.

- W porządku. Zaoszczędzimy pani Purdue pisania notatki służbowej. Możesz popracować z ludźmi od reklamy nad oświadczeniem?

- Zaraz się do tego wezmę. - Zauważyła napięcie widoczne w jego oczach. -

Rozmawiałaś z Florencją?

Uśmiechnął się cierpko.

- To Florencja rozmawiała ze mną. Mam napisać do niej i do ojca list, w którym znajdzie się cała smutna opowieść.

- Może ja to zrobię? - Zauważyła, że pod oczami Andrew widać fioletowe cienie, a zmarszczki wokół jego ust wyraźnie się pogłębiły. - W ten sposób oszczędziłabym ci nieco czasu i kłopotu.

- Byłbym ci za to niezmiernie wdzięczny. Wkrótce pojawi się inspektor ubezpieczeniowy, a na dodatek czeka mnie ponowna rozmowa z Cookiem.

- Och. - Splotła palce, by utrzymać ręce w bezruchu. - Pani Purdue, czy mogłaby pani zostawić nas na chwilę samych?

- Oczywiście. Zorganizuję zebranie pracowników, doktorze Jones.

- Kierowników działów - wyjaśnił Andrew Mirandzie, kiedy drzwi ponownie się zamknęły. - O pierwszej.

- W porządku. Andrew, chodzi mi o Cooka. Będzie cię pytał o wczorajszy wieczór.

Gdzie i z kim byłeś, co robiłeś. Powiedziałam mu, że razem wyszliśmy koło siódmej, a potem przez całą noc oboje byliśmy w domu.

- W porządku. Wykręciła palce.

- A byłeś?

- Gdzie? W domu? Tak. - Przechylił głowę na bok i przymrużył oczy. - Dlaczego pytasz?

- Nie wiem, czy gdzieś nie wychodziłeś. - Rozluźniła palce i przetarła rękami twarz. -

Po prostu przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, jeśli powiem, że nie opuszczałeś domu.

- Nie musisz mnie osłaniać Mirando. Nic nie zrobiłem, o co zresztą matka ma do mnie wyraźne pretensje.

- Wiem, że tak jest. Nie oto mi chodziło. - Dotknęła ręką jego ramienia. - Po prostu wydawało mi się, że będzie znacznie prościej, jeśli powiemy, że przez całą noc byłeś w domu.

Potem przyszło mi na myśl, że jeśli gdzieś wychodziłeś, ktoś mógł cię widzieć...

- Na przykład w barze? - W głosie Andrew słychać było głęboką urazę. - Lub czającego się w pobliżu tego budynku?

- Och, Andrew. - Nieszczęśliwa osunęła się w głąb fotela. - Nie warczmy na siebie nawzajem. Po prostu Cook mnie zdenerwował, więc zaczęłam się martwić, że jeśli przyłapie mnie nawet na nieszkodliwym kłamstwie, możemy mieć więcej kłopotów.

Z westchnieniem opadł na krzesło.

- Wygląda na to, że tkwimy po kolana w gównie.

- Ja do pasa - mruknęła. - Kazała mi wziąć urlop. Odmówiłam.

- Próbujesz stanąć we własnej obronie czy po prostu usiłujesz jej dokopać?

Miranda zmarszczyła brwi i bacznie przyjrzała się własnym paznokciom. Jak czuje się człowiek, który poniósł całkowitą porażkę? Nie podda się.

- Mogę zrobić jednocześnie i jedno, i drugie.

- Uważaj, żebyś się przy okazji nie sparzyła. Wczoraj wieczorem zgodziłbym się z nią
- choć z nieco innych powodów. Mimo to naprawdę bym się zgodził. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Jesteś mi tu potrzebna.
- Nigdzie się nie wybieram. Nim wstał, poklepał ją po kolanie.
- Porozmawiam z Cookiem. Przyślij mi kopię listu i oświadczenia dla prasy. Och, matka podała mi adres ojca w Utah. - Urwał kawałek kartki z leżącego na biurku notesu i wręczył go Mirandzie. - Listy postaraj się przygotować na jutro. Im szybciej dostaną to na piśmie, tym lepiej.
- A zatem do zobaczenia o pierwszej. Och, Andrew, Ryan prosił, żeby pożegnać cię w jego imieniu.

Andrew zatrzymał się z ręką na klamce.

- Pożegnać?

- Dziś wieczorem wraca do Nowego Jorku.

- Był tutaj? Cholera jasna. Wie już o całym bałaganie? Co z Vasarimi?

- Ma do nas całkowite zaufanie. Zapewnił mnie, że kradzież nie będzie miała żadnego wpływu na transakcję. Wiesz, zastanawiam się, czy nie pojechać do Nowego Jorku. Chciałabym wybrać się tam za jakieś dwa tygodnie. - Prawdę mówiąc, wpadło jej to do głowy w tej chwili. - Może udałoby mi się... przyspieszyć wypożyczenie dzieł. Przytaknął z roztargnieniem.

- Dobrze, bardzo dobrze. Porozmawiamy o tym później. Bardzo przydałaby się teraz nowa wystawa. Pomogłaby odwrócić uwagę od panującego galimatiasu.

Idąc schodami w dół, spojrzął na zegarek. Był zdumiony, że jest dopiero dziesiąta.

Miał wrażenie, że już od wielu dni siedzi nad tą sprawą.

Po parterze kręcili się ubrani po cywilnemu gliniarze. Tak jak się spodziewał, na gablotce rozsypany był proszek do pobierania odcisków palców. Małe szklane kółko zniknęło. Andrew przypuszczał, że wetknięto je do jakiejś torby z dowodami.

Zagadnął jednego z nie umundurowanych oficerów i dowiedział się, że inspektor Cook jest przy południowym wejściu.

Idąc tam, Andrew próbował sobie wyobrazić pokonującego tę samą trasę złodzieja.

Musiał to być ubrany na czarno mężczyzna o surowej twarzy. Może jego policzek znaczyła nawet jakaś blizna. Czy miał ze sobą pistolet? Albo nóż? Andrew doszedł do wniosku, że raczej był to nóż. W razie konieczności przestępca wolałby zabić szybko i cicho.

Przypomniawszy sobie, że Miranda często do późnej nocy pracuje w laboratorium, Andrew cicho

zaklął.

Jeszcze bardziej się wściekł, kiedy wszedł do przedsionka i zobaczył, że Cook sprawdza, co oferuje automat z przekąskami.

- Czy właśnie w taki sposób ma pan zamiar znaleźć tego sukinsyna? - zapytał Andrew.

- Przeżuwając frytki?

- Prawdę mówiąc, mam ochotę na precle. - Cook spokojnie nacisnął odpowiednie guziki. - Unikam zbędnego tłuszczu. - Po chwili paczuszka stuknęła o metalową tacę. Cook wsunął rękę w otwór i wyjął torebkę.

- Świetnie. Gliniarz dbający o własne zdrowie.

- Jeśli ma się zdrowie - stwierdził Cook, rozdierając torbę - ma się wszystko.

- Chcę wiedzieć, co pan robi, by znaleźć drania, który włamał się do mojego budynku.

- To moja praca, doktorze Jones. Może usiądziemy?

- Machnięciem ręki wskazał na jeden z małych stolików.

- Sprawia pan wrażenie człowieka, któremu przydałaby się kawa.

Nagły błysk złości w oczach Andrew sprawił, że jego szczupła twarz stała się twarda i niezbyt sympatyczna. Widząc nagłą zmianę, Cook ponownie zaczął zastanawiać się nad tym człowiekiem.

- Nie chcę siadać - wypalił Andrew - i wcale nie potrzebuję kawy. - Popełniłby morderstwo za kilka łyków.

- Moja siostra bardzo dużo pracuje, inspektorze. Często zostaje do późna w noc sama w tym budynku. Gdyby wczoraj wieczorem nie poczuła się źle, mogła tu być w czasie włamania, a wówczas straciłbym coś, co ma dla mnie dużo większą wartość niż ten brąz.

- Rozumiem pańskie obawy.

- Nie, to niemożliwe.

- Sam również mam rodzinę. - Mimo odmowy Andrew Cook policzył monety i odwrócił się do automatu z kawą.

- Jaką pan pija?

- Mówiłem... Czarną - mruknął Andrew. - Po prostu czarną.

- Swego czasu również taką piłem. Wciąż za nią tęsknię.

- Kiedy kawa zaczęła płynąć do plastikowego kubka, Cook wciągnął w płuca jej zapach. - Proszę pozwolić, że odrobinę pana uspokoję, doktorze Jones. Typowy włamywacz, zwłaszcza sprytny, robi wszystko, by nikogo nie zranić. Raczej zrezygnuje, niż wplącze się w coś takiego. Nawet nie nosi przy sobie broni, ponieważ w razie wpadki za samo jej posiadanie grozi mu dużo większy wyrok.

Cook postawił kawę na stoliku, usiadł i czekał. Po chwili Andrew ustąpił i przyłączył

się do niego. Kiedy przestał się złościć, jego twarz złagodniała, a plecy z powrotem delikatnie się przygarbiły.

- Może ten facet wcale nie był typowy.

- Kto wie? Chociaż jeśli jest tak sprytny, na jakiego wygląda, z pewnością kierował się tą zasadą. Żadnej broni i żadnych kontaktów z ludźmi. Zarówno w środku, jak i na zewnątrz.

Gdyby w budynku znajdowała się pańska siostra, zrobiłby wszystko, by się z nią nie spotkać.

- Nie zna pan mojej siostry. - Kawa sprawiła, że poczuł się prawie jak człowiek.

- To mocna kobieta, prawda?

- Musi być taka. Problem w tym, że ostatnio napadnięto ją pod drzwiami naszego domu. Ten facet miał nóż, a Miranda potwornie boi się noży. Nic nie mogła zrobić.

Cook zacisnął wargi.

- Kiedy to było?

- Wydaje mi się, że kilka tygodni temu. - Przeczesał palcami włosy. - Napastnik przewrócił ją na ziemię i zabrał aktówkę oraz torebkę. - Andrew przerwał, wziął następny wdech i ponownie upił kawy. - To nią wstrząsnęło, prawdę mówiąc, zaszokowało nas oboje.

Dlatego na myśl o tym, że mogła tu być, kiedy włamał się ten facet...

- Tego rodzaju złodzieje nie przewracają kobiet i nie zabierają im torebek.

- Może nie, ale tamtego drania nie złapano. Przestraszył ją, zabrał wszystko i zniknął.

Miranda i tak ma dość problemów, między innymi kłopoty we Florencji. - Andrew nagle zdał sobie sprawę, że się rozluźnia i, na litość boską, zaczyna pleść trzy po trzy. - Na pewno chciał pan usłyszeć ode mnie coś całkiem innego.

- Prawdę mówiąc, ta opowieść może mi pomóc, doktorze Jones. - Napaść i kradzież w krótkim odstępie czasu. Ta sama ofiara? Cook doszedł do wniosku, że to interesujące. -

Powiedział pan, że pańska siostra wczoraj wieczorem nie czuła się najlepiej. Co jej się stało?

- Problem we Florencji - odparł krótko. - Nieporozumienie z matką. Bardzo się zdenerwowała.

- Wasza matka jest obecnie we Włoszech?

- Mieszka tam i pracuje. Kieruje Standjo - laboratorium, które bada dzieła sztuki i przedmioty użytkowe. Jest to jedna z wielu instytucji prowadzonych przez naszą rodzinę.

Filia Instytutu.

- A zatem są jakieś tarcia między pańską matką a siostrą? Pragnąc się uspokoić, Andrew upił następny łyk kawy, a potem obserwował Cooka znad brzegu kubka. Jego wzrok ponownie zhardział.

- Policja nie powinna interesować się naszymi sprawami rodzinnymi.

- Próbuję jedynie spojrzeć na wszystko z dalszej perspektywy. W końcu jest to rodzinne przedsięwzięcie. Poza tym nie ma żadnych śladów włamania.

Dłoń Andrew drgnęła. Wykonując szybki obrót, niemal rozlał kawę.

- Słucham?

- Żadne drzwi nie noszą śladów włamania. - Cook wskazał palcem na drzwi zewnętrzne i wewnętrzne. - I jedno, i drugie były zamknięte. Żeby się tu dostać z zewnątrz, potrzebna jest karta magnetyczna i kod, prawda?

- Tak. Z wejścia południowego mogą korzystać tylko kierownicy działów. Ta część używana jest jako bar dla pracowników wyższego szczebla. Na trzecim piętrze znajduje się jeszcze jeden lokal: dla wszystkich zatrudnionych tu osób.

- Chciałbym dostać listę kierowników działów.

- Oczywiście. Sądzi pan, że to był ktoś spośród pracujących tu ludzi?

- Nic nie sędzę. Największym błędem jest rozpoczęcie dochodzenia z gotowym rozwiązaniem. - Nieśmiało się uśmiechnął. - Tego po prostu wymaga procedura.

Włamanie do Instytutu było głównym tematem lokalnych wiadomości nadawanych o godzinie jedenastej. Mniej więcej pół godziny później nowojorski serwis informacyjny poświęcił temu wydarzeniu trzydzieści sekund. Leżąc na sofie w swym apartamencie przy Central Park South, Ryan sączył brandy, rozkoszował się miłym zapachem cienkiego kubańskiego cygara i odnotowywał szczegóły.

Nie było ich zbyt wiele. Nowy Jork mógł się poszczycić ogromną liczbą własnych przestępstw i skandali, które zajmowały sporo czasu. Gdyby Instytut nie był tak ważną placówką, a Jonesowie nie należeli do najwybitniejszych nowoangielskich rodzin, kradzież nie zasługiwałaby nawet na krótką

wzmiankę poza Maine.

Policja prowadziła dochodzenie. Na myśl o Cooku Ryan uśmiechnął się, nie wypuszczając z ust cygara. Znał ten typ ludzi. Cook był upartym, skrupulatnym gliniarzem, który mógł się poszczycić długą listą pomyślnie zakończonych spraw. Ryan cieszył się, że jego ostatnią pracę stara się rozgryźć tak dobry glina. To miłe zakończenie kariery.

Ma kilka podejrzeń. No cóż, to już chrzanie. Nie może nikogo podejrzewać, ale musi tak mówić, by zachować twarz.

Kiedy na ekranie na chwilę pojawiła się wychodząca z budynku Miranda, Ryan usiadł.

Odczesła do tyłu włosy i podwiązała je. Przyszło mu na myśl, że zrobiła to ze względu na kamery. Przypomniawszy sobie jej luźne i poplątane kosmyki, kiedy całował ją na pożegnanie.

Była spokojna i opanowana. Sprawiała wrażenie chłodnej. Miała w sobie coś z lodu, dlatego Ryan nie mógł oprzeć się chęci, by spróbować go roztopić. Doszedł do wniosku, że gdyby został trochę dłużej, na pewno udałoby mu się tego dokonać.

Mimo to cieszył się, widząc, że Miranda panuje nad sytuacją. Była twarda. Mimo nieśmiałości i smutku naprawdę była mocna. Jeszcze dzień lub dwa, obliczał, a jej życie wróci do normy. Chwilowe zamieszanie związane z kradzieżą ucichnie, firma ubezpieczeniowa wypłaci odszkodowanie, a gliniarze odłożą sprawę do teczki i zapomną o niej.

Wydmuchując dym w stronę sufitu, Ryan doszedł do wniosku, że ma nienaganną przeszłość, zadowolili klienta, a w najbliższym czasie będzie mógł nieco odpocząć.

Kto wie, może tym razem złamie zasady i zabierze Mirandę na dwa tygodnie do Indii Zachodnich. Słońce, piasek i seks. Doszedł do wniosku, że to by jej dobrze zrobiło.

Do jasnej cholery, jemu również by się przydało.

Mieszkanie Annie McLean rozmiarami odpowiadało salonowi Ryana, ale przynajmniej miała z niego widok na park. Pod warunkiem że wystarczająco wychyliła się z okna sypialni, przekreśliła szyję aż do bólu i wyteżyła wzrok, ale to jej wystarczało.

Meble wybrała spośród staroci, lecz uwielbiała ich żywe kolory. Pochodzący z wyprzedaży dywan nie wymagał specjalnych starań, poza tym podobały jej się zdobiące jego brzegi róże.

Sama zamontowała półki, pomalowała je ciemnozieloną farbą i zastawiła ogromną ilością książek kupionych podczas dorocznej wyprzedaży w bibliotece.

W przeważającej części była to klasyka. Książki, których nie przeczytała będąc w szkole, a teraz chciała się z nimi zapoznać. Ilekroć miała godzinę lub dwie, owijała się wykonaną przez matkę wesołą narzutą w niebiesko - zielone pasy i zagłębiała się w Hemingwayu, Steinbecku lub Fitzgeraldzie.

Odtwarzacz kompaktowy był prezentem, który zrobiła sama sobie dwa lata temu z okazji Bożego Narodzenia. Rozmyślnie kolekcjonowała bardzo zróżnicowaną muzykę, którą określała mianem „elektrycznej”.

W wieku kilkunastu i dwudziestu kilku lat Annie nie miała zbyt dużo czasu na rozwijanie szczególnego zamiłowania do książek i muzyki. Przed ukończeniem osiemnastego roku życia zaszła w ciążę, poroniła i przeżyła poważny zawód miłosny, a te przeżycia pchnęły ją w innym kierunku. Chciała coś ze sobą zrobić, mieć coś własnego.

Wówczas właśnie dała się oczarować elokwentnemu, uwielbiającemu luksusy, nie używającemu brzydkich wyrazów Busterowi.

Po takcie doszła do wniosku, że to hormony oraz pragnienie posiadania domu i własnej rodziny skłoniły ją do wyjścia za mąż za mechanika, który najczęściej żył z zasiłku dla bezrobotnych i miał skłonności do blondynek.

Teraz Annie wiedziała, że pragnęła wówczas dziecka. Może chciała nim zastąpić to, które straciła.

Często powtarzała sobie: „żyj i ucz się”. Robiła i to, i to. Kiedy została niezależną kobietą prowadzącą własny interes, wykorzystywała czas i podejmowała wszelkie wysiłki, by rozwijać umysł.

Uwielbiała słuchać klientów, poznawać ich opinie i poglądy, a potem porównywać je z własnymi. W ten sposób poszerzała horyzonty. Obliczyła, że w ciągu sześciu lat prowadzenia „Annie's Place” nauczyła się więcej na temat polityki, religii, seksu i ekonomii niż jakikolwiek student college'u.

Oczywiście zdarzały się wieczory, kiedy kładąc się do łóżka, tęskniła do tego, by ktoś jej wysłuchał, przytulił ją i śmiał się z opowieści o tym, co zdarzyło się w ciągu dnia.

Uważała jednak, że jest to całkiem niewysoka cena płacona za niezależność.

Z jej doświadczenia wynikało, że mężczyźni nie lubią słuchać tego, co kobieta ma im do powiedzenia, pragną jedynie nieco poużalać się nad sobą, a potem zrywają z niej nocną koszulę i robią to, o co im od początku chodziło.

Lepiej być samotną.

Marzyła o tym, by pewnego dnia kupić sobie dom z ogródkiem. Chciałaby mieć psa.

Skróciłaby godziny pracy, zatrudniłaby barmana, może nawet wzięła urlop. Oczywiście najpierw pojechałaby do Irlandii, by zobaczyć tamtejsze wzgórza... i bary.

Na szczęście udało jej się przebrnąć przez okres upokorzeń, kiedy to bez przerwy brakowało jej pieniędzy, a ilekroć prosiła o pożyczkę, zamykały się przed nią wszystkie drzwi i słyszała, że jej przedsięwzięcie jest bardzo ryzykowne.

Nie chciałaby ponownie przez to wszystko przechodzić.

Dlatego niemal całe zyski wkładała z powrotem w interes, a to co udało jej się zaoszczędzić, lokowała w bezpiecznych papierach wartościowych i obligacjach. Nie marzyła o bogactwie, jedynie nie chciała już nigdy w życiu zaznać biedy.

Jak daleko Annie sięgała pamięcią, jej rodzice zawsze żyli na skraju nędzy. Zrobili dla niej, co mogli, ale ojciec, niech Bóg ma go w swej opiece, traktował pieniądze jak mężczyzna trzymający w garści wodę. Przeciekały mu przez palce.

Kiedy trzy lata temu przeprowadzali się na Florydę, Annie na pożegnanie ucałowała ich oboje, uroniła kilka łez i ukradkiem wsunęła matce pięćset dolarów. Były to ciężko zarobione pieniądze, wiedziała jednak, że dzięki nim matka zdoła przetrwać kilka następnych pomysłów ojca na szybkie wzbogacenie się.

Annie dzwoniła do nich co tydzień. Robiła to w niedzielne popołudnia, kiedy opłaty były najniższe, a co trzy miesiące wysyłała matce następny czek. Obiecała, że ich odwiedzi, ale w ciągu trzech lat zdobyła się zaledwie na dwa krótkie wypady.

Myślała o nich również teraz, oglądając końcówkę wiadomości. Potem zamknęła książkę, którą właśnie usiłowała czytać. Jej rodzice uwielbiali Andrew. Oczywiście nigdy nie dowiedzieli się o tamtej nocy na plaży ani o ciąży i poronieniu.

Potrząsnęła głową, żeby odsunąć od siebie te myśli. Wyłączyła telewizor, zabrała kubek zimnej herbaty i zaniósła go do zakamarka, który właściciel domu uparcie nazywał kuchnią.

Właśnie miała zamiar wyłączyć światło, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Annie zerknęła na znajdujący się przy drzwiach pistolet - jego bliźniaczego brata trzymała w pracy za barem.

Chociaż nigdy nie miała sposobności użycia żadnego z nich, dzięki nim czuła się dużo bezpieczniej.

- Kto tam?

- Andrew. Możesz mnie wpuścić? Twój gospodarz nie dba zbyt o ogrzewanie korytarza.

Chociaż Annie nie była zbyt zachwycona jego odwiedzinami, zdjęła łańcuch, odsunęła zasuwę, przekręciła zamek i otworzyła drzwi.

- Jest późno, Andrew.

- Wcale nie musisz mi tego mówić - powiedział. Annie miała na sobie szlafrok w kratkę i grube czarne skarpetki. - Przechodząc pod twoimi oknami, zobaczyłem światło. Daj spokój, Annie. Bądź tak dobra i wpuść mnie.

- Nie dam ci drinka.

- W porządku. - Będąc już w środku, sięgnął za pazuchę i wyjął stamtąd butelkę. -

Sam sobie przyniosłem. To był długi i niemiły dzień, Annie. - Spojrzał na nią żałośnie. Poczula ból w okolicach serca. - Nie chcę wracać do domu.

- Świetnie. - Poi rytowana weszła do kuchni i wyjęła kieliszek. - Jesteś dorosłym człowiekiem. Jeśli masz zamiar się napić, i tak to zrobisz.

- Zgadza się. - Nalał sobie kieliszek, a potem uniósł go jak w toaście. - Dzięki.

Podejrzewam, że słyszałaś już najnowsze wiadomości.

- Tak, bardzo mi przykro. - Siadając na kanapie, wsunęła między poduszki czytana właśnie książkę. Gdyby Andrew zobaczył, że to *Moby Dick*, czułaby się zawstydzona, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

- Gliniarze myślą, że to „wewnętrzna robota”. - Wypił i roześmiał się. - Nigdy nie przypuszczałem, że użyję tego sformułowania. Zaczęli od dokładnego sprawdzania Mirandy i mnie.

- Dlaczego, do diabła, mielibyście okradać samych siebie?

- Ludzie czasami robią takie rzeczy. Dochodzenie prowadzi również firma ubezpieczeniowa. Dokładnie nam się przyglądają.

- To jedynie rutynowe postępowanie.

Zmartwiona sięgnęła po jego rękę i pociągnawszy za nią, posadziła go obok siebie.

- Tak. Rutyna wciąga. Uwielbiałem ten brąz.

- O czym ty mówisz? O tej skradzionej statuetce?

- Przemawiał do mnie. Młody Dawid stający do współzawodnictwa z gigantem, gotów posłużyć się kamieniem przeciw mieczowi. Odwaga. Coś, czego zawsze mi brakowało.

- Dlaczego tak bardzo bierzesz to do siebie? - W jej głosie i prychnięciu słychać było irytację.

- Nigdy nie współzawodniczę z gigantami - powiedział i ponownie sięgnął po butelkę.

- Jestem jak chorągiewka na wietrze i wykonuję polecenia. Rodzice mówią: „Czas, żebyś przejął prowadzenie Instytutu, Andrew”. A ja odpowiadam: „Kiedy mam zacząć?”

- Kochasz Instytut.

- To jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności. Gdyby kazali mi jechać na Borneo i badać tamtejsze obyczaje, idę o zakład, że do tego czasu zdołałbym się już nieźle opalić. Elise stwierdziła, że pora wziąć ślub, a ja odparłem „Wyznacz datę”. Powiedziała: „Chcę się rozwieść”, a ja zawołałem „Ojej, kochanie, czy chcesz, żebym opłacił prawnika?” Kiedy ja powiedziałam ci, że jestem w ciąży, pomyślała Annie, zapytałeś, czy chcę wyjść za ciebie za męża.

Andrew wbił wzrok w kieliszek whisky i obserwował, jak światło lampy przesącza się przez bursztynowy płyn.

- Nigdy nie próbowałem się niczemu przeciwstawić, bo zawsze uważałem, że szkoda wysiłku. Dla Andrew Jonesa to wszystko nie ma zbyt wielkiego znaczenia.

- W związku z tym pijesz, ponieważ to jest łatwiejsze niż sprawdzenie, czy to wszystko ma jakieś znaczenie.

- Może. - Odstawił jednak kieliszek, chcąc sprawdzić, czy potrafi to zrobić i jak będzie się czuł, jeśli bez pomocy alkoholu powie to, co leży mu na sercu. - Nie postąpiłem z tobą tak, jak należało, Annie. Wiele lat temu nie stanąłem zdecydowanie po twojej stronie, ponieważ bałem się, jak oni na to zareagują.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Dotychczas nigdy nie wracaliśmy do tamtej sprawy, bo zawsze myślałem, że nie masz na to ochoty, ale ostatnio sama podjęłaś ten temat.

- Nie powinnam tego robić. - Przerazenie spowodowało gwałtowny ucisk w żołądku. -

To stare dzieje.

- Ale dotyczą nas, Annie. - Powiedział to łagodnie, ponieważ zauważył w jej głosie nutkę przerażenia.

- Dajmy temu spokój. - Odsunęła się od niego i w obronnym geście złożyła ręce.

- W porządku. - Po co rozdrapywać stare rany, skoro są świeże? - W takim razie przejdźmy do obecnych cierpień Andrew Jonesa. Właśnie cierpliwie czekam, aż gliniarze powiedzą mi, że wcale nie muszę iść do więzienia.

Kiedy ponownie sięgnął po butelkę, Annie złapała ją, wstała, weszła do kuchni i wylała jej zawartość do zlewu.

- Cholera jasna, Annie.

- Wcale nie potrzebujesz whisky, żeby być nieszczęśliwym, Andrew. Całkiem nieźle radzisz sobie bez niej. Twoi rodzice nie darzyli cię zbyt wielką miłością. To okropne. - Annie nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest w niej tyle wściekłości. - Moi bardzo mnie kochali, mimo to nocami siedzę sama, oddając się rozdzierającym serce wspomnieniom i żalom.

Twoja żona również nie potrafiła oddać ci całego serca. Przeżyłeś trudne rozstanie. Mój mąż upijał się piwem i zmuszał mnie do współżycia niezależnie od tego, czy miałam na to ochotę czy nie.

- Annie! Chryste. - Nie wiedział o tym, nawet nie mógł sobie tego wyobrazić. -

Strasznie mi przykro.

- Nie mów, że jest ci przykro - wypaliła. - Jakoś to przeżyłam. Przeżyłam ciebie i przeżyłam jego, bo zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd i że muszę go naprawić.

- Nie rób tego. - Andrew nagle poczuł, że ogarnia go złość. Kiedy poderwał się na równe nogi, w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. - Nie porównuj swego małżeń-

stwa z tym, co nas łączyło.

- Ty również wykorzystujesz nasze uczucie, by porównać je z tym, co łączyło cię z Elise.

- Wcale tego nie robiłem. To nie to samo.

- Do jasnej cholery, oczywiście, że to nie to samo. Ona była piękna i błyskotliwa. -

Annie dźgnęła go palcem w klatkę piersiową. Zrobiła to na tyle mocno, że musiał cofnąć się o krok. - A może to ty za mało ją kochałeś. Gdybyś naprawdę darzył ją wielkim uczuciem, nadal byłaby twoją żoną. Przecież zawsze miałeś wszystko, czego chciałeś. Być może nie podnosiłeś w tym celu kamienia i nie ruszałeś z nim do walki, ale i tak zdobywałeś to, na czym ci zależało.

- To ona chciała z tym skończyć - krzyknął. - Nie można nikogo zmusić do miłości.

Annie oparła się o wąski blat, zamknęła oczy i ku zaskoczeniu Andrew zaczęła się śmiać.

- Do jasnej cholery, to jest całkiem oczywiste. - Starła łzy, które z powodu śmiechu napłynęły jej do oczu. - Pomimo doktoratu jesteś bardzo głupi. Jesteś potwornie głupi, a ja ledwo trzymam się na nogach. Idę spać. Może zechciałbyś się stąd wynieść.

Zadrwiła z niego, mając nadzieję, że zdenerwowany Andrew rzuci się na nią, ale on nie zrobił tego, dlatego weszła do sypialni sama. Kiedy usłyszała, że zamknęły się za nim drzwi, zwinęła się na łóżku w kłębek i zaczęła płakać.

Technika nigdy nie przestawała dziwić ani cieszyć Cooka. Kiedy dwadzieścia trzy lata temu zaczął pracować w policji, zajęcie inspektora wymagało spędzania wielu godzin przy telefonie, uciążliwej pracy papierkowej i krążeń od domu do domu. Nie było to wcale tak ekscytujące, jak wyglądało w filmach i jak wyobrażał sobie on sam - wówczas młody i gorliwy - przyłączając się do szeregów stróżów prawa.

Ponieważ zrobiło się spokojnie, a temperatura wzrosła do piętnastu stopni Celsjusza, Cook miał zamiar spędzić niedzielne popołudnie na łowieniu ryb w Miracle Bay. Mimo to zboczył nieco z trasy, bo postanowił zajrzeć na posterunek. Zawsze ulegał takim fanaberiom, ponieważ wierzył, że mają one coś wspólnego z przeczuciami.

Na biurku, wśród akt zaśmiecających całe pomieszczenie, znalazł napisany na komputerze raport sporządzony przez ładną młodą policjantkę, Mary Chaney.

Sam Cook podchodził do komputera z taką samą ostrożnością i respektem jak patrolujący ulice gliniarz, który w ciemnej alei zbliża się do ćpuna. Wiadomo, że trzeba się z tym uporać, że należy wykonać robotę, mimo to do jasnej cholery, jeśli pominie się jakiś szczegół, wszystko pójdzie na marne.

Sprawa Jonesów miała absolutne pierwszeństwo, gdyż byli to ludzie bogaci i znali się z gubernatorem. Ponieważ kradzież zaprzętała głowę Cooka, poprosił Mary, żeby sprawdziła w komputerze wszystkie przestępstwa o podobnym charakterze.

Zdobyć informacji, jakimi obecnie dysponował, w pierwszych latach pracy Cooka zajęłoby wiele tygodni, o ile w ogóle udałoby się je zgromadzić. To co zobaczył, sprawiło, że przestał myśleć o łowieniu ryb. Odchylił się na krzesło i zaczął czytać.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat popełniono sześć niemal identycznych przestępstw, a dwa razy tyle miało sporo podobnych cech, co dawało podstawę, by również wziąć je pod uwagę.

Nowy Jork, Chicago, San Francisco, Boston, Kansas City, Atlanta. Znajdujące się w tych miastach muzea lub galerie zgłosiły włamanie i zaginięcie jednego eksponatu. Wartość każdego z nich wahała się od stu tysięcy do nieco powyżej miliona. Nic nie zostało zniszczone, nie zostawiono bałaganu i nie zadziałało żadne urządzenie alarmowe. Za każdy eksponat wypłacono odszkodowanie i nikogo nie aresztowano.

Spryciarz, pomyślał Cook. Ten facet jest prawdziwym spryciarzem.

W dwunastu innych tego typu kradzieżach występowały pewne różnice. Zabrano przynajmniej dwa eksponaty, w jednym przypadku ktoś dosypał strażnikowi środek nasenny do kawy, a system bezpieczeństwa na trzydzieści minut po prostu został wyłączony. W innym dokonano aresztowania. Strażnik próbował zastawić piętnastowieczną kameę. Po zatrzymaniu twierdził, że zabrał ten drobiazg już po włamaniu. Nigdy nie udało się odzyskać ukradzionego wówczas krajobrazu Renoira i

portretu Moneta.

Ciekawe, pomyślał Cook ponownie. Nabierający w jego głowie kształtów obraz ściganej zwierzyny wykluczał bezmyślną wyprawę do lombardu. Możliwe jednak, że złodziejowi udało się zwerbować strażnika jako źródło informacji. Jest to coś, co warto sprawdzić.

Na pewno nie zaszkodzi również dowiedzieć się, gdzie byli Jonesowie, kiedy dokonywano pozostałych kradzieży. Poza tym to przypominało trochę łowienie ryb.

Otworzywszy oczy w niedzielny poranek, Miranda natychmiast pomyślała o *Czarnej Damie*. Musi ponownie ją zobaczyć, jeszcze raz zbadać. Jak inaczej może sprawdzić, czy rzeczywiście popełniła tak potworny błąd?

W miarę upływu czasu doszła bowiem do smutnego wniosku, że jednak musiała popełnić jakiś błąd. Bo czy istniało inne wytłumaczenie? Zbyt dobrze знаła matkę. Pragnąc ocalić reputację Standjo, Elizabeth z pewnością zakwestionowałaby każdy szczegół

ponownych badań. Uparłaby się przy tym i uzyskała niezbity dowód na to, że były przeprowadzone z największą dokładnością.

Nigdy nie zadowalała się półśrodkami.

Dlatego najlepszym rozwiązaniem było pogodzenie się z tym. To pozwalało zachować dumę i uniknąć rozmów na ten temat do czasu, kiedy sytuacja się uspokoi. Mieszanie w kotle nie przyniesie żadnych korzyści, może jedynie wyrządzić jeszcze większe szkody.

Uznała, że zamiast zastanawiać się nad tym, może znacznie lepiej wykorzystać czas, dlatego przebrała się w dres. Kilka godzin na sali gimnastycznej na pewno pozwoli uwolnić się od depresji.

Gdy dwie godziny później wróciła do domu, Andrew właśnie próbował pozbyć się kaca. Miała zamiar wejść na piętro, kiedy zabrzączał dzwonek u drzwi.

- Proszę pozwolić, panie inspektorze, że wezmę pańską kurtkę - usłyszała słowa Andrew.

Cook? W niedzielne popołudnie? Miranda przeczesła palcami włosy, odchrząknęła i usiadła.

Kiedy Andrew wprowadził Cooka, Miranda uraczyła gliniarza uprzejmym uśmiechem.

- Czy ma pan dla nas jakieś wiadomości?

- Nic konkretnego, doktor Jones. Jedynie kilka drobiazgów.

- Proszę usiąść.

- Wspaniały dom. - Kiedy Cook podchodził do krzesła, jego osadzone pod krzaczastymi siwymi brwiami oczy badawczo lustrowały pokój. - Naprawdę pięknie prezentuje się na tych klifach.

Stare pieniądze, pomyślał, mają własny zapach i wygląd. Tutaj jest to wosk i olej cytrynowy, a także stanowiące pamiątkę rodzową meble, wyblakła tapeta i wysokie od podłogi do sufitu okna, w których wisiał delikatny jak jedwab materiał w kolorze burgunda.

Wystarczy należeć do wyższych sfer i mieć dużo stylowych mebli.

- Co możemy dla pana zrobić, inspektorze?

- Próbuję rozpracować tę sprawę pod pewnym kątem. Ciekaw jestem, czy mogą mi państwo powiedzieć, gdzie byliście oboje w listopadzie ubiegłego roku. Konkretnie: w pierwszym tygodniu listopada.

- W listopadzie. - To było bardzo dziwne pytanie. Andrew przez chwilę drapał się po głowie. - Ja byłem tutaj, w Jones Point. Minionej jesieni nigdzie się nie ruszałem. Prawda? -

zapytał Mirandę.

- Nie bardzo pamiętam. Dlaczego to jest takie ważne, inspektorze?

- Po prostu porządkuję dane. Pani również nigdzie nie wyjeżdżała, doktor Jones?

- Przez kilka pierwszych dni listopada byłam w Waszyngtonie. Wezwano mnie na konsultacje do Smithsonian Institution, ale musiałabym sprawdzić to w kalendarzu.

- Czy sprawiłoby to pani dużo kłopotu? - Uśmiechnął się przeprasząco. - Chciałbym sobie wszystko poukładać.

- Dobrze. - Uważała, że to nie ma sensu, z drugiej jednak strony uznała, że w niczym jej to nie zaszkodzi. - Mam notatnik na piętrze, w swoim biurze.

- Tak, sir - ciągnął Cook, kiedy wyszła z pokoju. - To niezły dom. Chyba bardzo trudno go ogrzać.

- Zużywamy sporo drewna na podpałkę - mruknął pod nosem Andrew.

- Czy dużo pan podróżuje, doktorze Jones?

- Praca w Instytucie nie pozwala mi na zbytne oddalanie się od domu. Częściej wyjeżdża Miranda. Bywa zapraszana na konsultacje, poza tym od czasu do czasu prowadzi jakieś wykłady.

Andrew bębnił palcami po kolanie. Zauważył, że wzrok Cooka na dłużej zatrzymał się na stojącej na stoliku obok sofy butelce Jacka Danielsa. Przyjął pozycję obronną.

- Co listopad ubiegłego roku ma wspólnego z naszym włamaniem?

- Właściwie wcale nie jestem pewien, czy ma coś wspólnego, jedynie próbuję trzymać się raz obranej linii. Czy łowi pan ryby?

- Nie, cierpię na chorobę morską.

- Szkoda.

- Według moich zapisków - powiedziała Miranda wchodząc - od trzeciego do siódmego listopada byłam w Waszyngtonie.

Cook przypomniał sobie, że kradzieży w San Francisco dokonano piątego, we wczesnych godzinach rannych.

- Podejrzewam, że leciała pani samolotem.

- Tak, i lądowałam na National. - Sprawdziła kalendarz. - Lot USAir, numer cztery jeden zero osiem, odlot z Jones Point o dziesiątej piętnaście, przylot na National o dwunastej pięćdziesiąt dziewięć. Zatrzymałam się w „The Four Seasons”. Czy to panu wystarczy?

- Oczywiście. Jako naukowiec z pewnością prowadzi pani bardzo dokładne zapiski.

- Tak. - Podeszła do krzesła Andrew i usiadła obok niego na oparciu. Stanowili jedność. - A o co chodzi?

- Po prostu układałam sobie pewne rzeczy w głowie. A czy korzystając z tego kalendarza, byłaby pani w stanie powiedzieć, gdzie była pani w czerwcu? Powiedzmy w trzecim tygodniu?

- Oczywiście. - Uspokojona przez Andrew, który położył rękę na jej kolanie, zerknęła na zapiski czerwcowe. - Przez cały miesiąc byłam w Instytucie. Miałam pracę w laboratorium i prowadziłam letnie kursy. Ty sam również trochę wówczas uczyłeś, prawda, Andrew? Jack Goldbloom wziął kilka dni wolnego ze względu na nagły atak alergii i musiałeś go zastąpić.

- Tak. - Andrew przymknął powieki, by lepiej to sobie przypomnieć. - To było pod koniec czerwca „Sztuka orientalna dwudziestego wieku”. - Otworzył oczy i uśmiechnął się do niej. - Nie chciałaś tego nawet tknąć, dlatego sam musiałem się wszystkim zająć. Bez trudu możemy podać panu dokładne daty, inspektorze - ciągnął. - Również w Instytucie trzymamy szczegółowe zapiski.

- Dobrze. Najmocniej dziękuję.

- Zgadza się na pełną współpracę. - Głos Mirandy był ostry i dynamiczny. -

Spodziewamy się jednak, inspektorze, że pan zdobędzie się na to samo. Myślę, że mamy prawo wiedzieć, w jakim kierunku zmierza pańskie dochodzenie.

- Dobrze. - Położył dłonie na kolanach. - Sprawdzam kilka spraw bardzo podobnych do waszej. Może słyszeliście coś o nich, ponieważ wszystkich dokonano w waszym środowisku. Na przykład kradzież w Bostonie w czerwcu ubiegłego roku?

- Muzeum Sztuki przy Harvard University. - Miranda poczuła, że po kręgosłupie przebiega jej dreszcz. - *Kuang*. Chińska figurka pochodząca z końca trzynastego lub początku dwunastego wieku

przed naszą erą. Jeszcze jeden brąz.

- Ma pani dobrą pamięć do szczegółów.

- Tak, rzeczywiście. Trudno określić ogrom tej straty. Był to jeden z najpiękniej zachowanych chińskich brązów, jakie dotychczas znaleziono, na dodatek jego wartość znacznie przewyższała naszego *Dawida*.

- W listopadzie w San Francisco ukradziono obraz. Nie brąz, pomyślała i z jakiegoś powodu niemal zadrżała z ulgi.

- Włamano się do M. H. de Young Memorial Museum.

- Tak.

- Sztuka amerykańska - dodał Andrew. - Obraz z okresu kolonialnego. Co łączy te dwie kradzieże?

- Nie mówiłem, że coś je łączy, mimo to sądzę, że tak jest. - Cook wstał. - Być może mamy do czynienia ze złodziejem obdarzonym dość eklektycznym smakiem, jeśli chodzi o sztukę. Ja osobiście wolę obrazy Georgii O'Keeffe. Są pogodne i wyglądają jak należy.

Jestem wdzięczny, że poświęcili mi państwo trochę czasu. - Odwrócił się, a potem ponownie na nich spojrzął. - Czy mogłaby mi pani pożyczyć ten kalendarz, doktor Jones? I... jeśli oboje macie jakieś zapiski z poprzedniego roku... To pomogłoby mi wszystko uporządkować.

Miranda zawahała się i ponownie pomyślała o prawniku. Mimo to powodowana dumą wstała i podała Cookowi cienki, oprawiony w skórę kalendarz.

- Bardzo proszę. Mam jeszcze w Instytucie kalendarze z trzech poprzednich lat.

- To doskonale. Dam pani pokwitowanie.

Wziął od niej kalendarz, wyjął własny notes, nabazgrał w nim coś i podpisał.

Andrew również wstał.

- Ja swoje wyślę panu przez posłańca.

- Będę bardzo wdzięczny.

- Sprawia nam pan ogromną przykrość, inspektorze. Cook uniósł brew i spojrzął na Mirandę.

- Najmocniej przepraszam, pani doktor, ale jedynie próbuję wykonywać swoją robotę.

- Sądzę, że gdy skreśli pan już z listy podejrzanych mnie i brata, szybciej i z lepszym skutkiem zacznie się pan posuwać do przodu. Tylko dlatego tolerujemy tego rodzaju traktowanie. Odprowadzę pana do wyjścia.

Cook kiwnięciem głowy pożegnał się z Andrew i ruszył za nią do holu.

- Nie miałem zamiaru pani urazić, doktor Jones.
- Ale pan to zrobił, inspektorze. - Otworzyła drzwi.
- Do widzenia.
- Do widzenia pani.

Mimo dwudziestopięcioletniego stażu w policji Cook wcale nie był uodporniony na ostry język złej kobiety. Kiedy za jego plecami drzwi zamknęły się z trzaskiem, wsunął głowę w ramiona i delikatnie się skrzywił.

- Ten człowiek myśli, że jesteśmy złodziejami. - Ciężko dysząc, Miranda wróciła do salonu. Widząc, że Andrew nalewa sobie drinka, wcale nie była zaskoczona, mimo to poczuła irytację. - On myśli, że jeździmy po całym kraju i włamujemy się do muzeów.

- Czy to nie zabawne?
- Co takiego?
- W ten sposób można odrobinę rozładować napięcie.
- Uniósł kieliszek. - Przynajmniej w jakimś stopniu.
- To nie zabawa, Andrew, i nie chcę znajdować się pod policyjnym mikroskopem.
- Nie odkryją nic oprócz prawdy.
- Martwią mnie metody, a nie końcowy wynik. Staliśmy się przedmiotem policyjnego dochodzenia. Prasa dowie się o tym.
- Mirando - powiedział łagodnie, z czułym uśmiechem na ustach. - Mówisz niemal tak samo jak matka.
- Wcale nie musisz mnie znieважаć.
- Przepraszam. Masz rację.
- Mam ochotę na pieczoną wołowinę - oznajmiła Miranda, idąc w stronę kuchni.
- Pieczona wołowina. - Nastrój Andrew zdecydowanie się poprawił. - Z odrobiną ziemniaków i marchewki?
- Obierz ziemniaki. Dotrzymaj mi towarzystwa, Andrew. - Prosiła ze względu na siebie, równocześnie jednak pragnęła utrzymać go z dala od butelki. - Nie chcę być sama.

- Jasne. - Odstawił kieliszek. I tak był już pusty. Potem objął ją ramieniem.

Wspólny posiłek bardzo pomógł, przygotowania do niego również. Miranda lubiła gotować i uważała to za swoją kolejną umiejętność. Nauczyła się tego od pani Patch, która cieszyła się, że młoda dziewczyna wykazuje zainteresowanie tym, co dzieje się w kuchni.

Mirandę ciągnęło tu ze względu na ciepło i towarzystwo. Reszta domu była bardzo zimna i panowała w niej surowa dyscyplina. Na szczęście w kuchni prym wodziła pani Patch. Nawet Elizabeth nie miała odwagi się jej przeciwstawić.

Chociaż może bardziej prawdopodobne, że po prostu wcale jej na tym nie zależało, pomyślała Miranda, przygotowując się do snu. Nie pamiętała, by kiedykolwiek matka przyrządzała jakiś posiłek, dzięki temu Miranda nauczyła się, co robić, by jednać sobie ludzi.

Nie chciała być zwierciadlanym odbiciem matki.

Miranda doszła do wniosku, że pieczona wołowina zrobiła swoje. Dobry porządny posiłek, ziemniaki i domowe grzanki, a także rozmowa z Andrew. Może wypił do kolacji więcej wina, niżby należało, ale przynajmniej nie był samotny.

Były to chwile niemal niezmałconego szczęścia. Kierując się rozsądkiem, postanowili nie poruszać tematu Instytutu ani nie omawiać kłopotów we Florencji. Woleli spierać się na temat muzyki i książek.

Wkładając piżamę, przypomniała sobie, że od dziecka chętnie się sprzecjali. Zawsze wymieniali poglądy, myśli i nadzieje. Wątpiła, czy bez Andrew zdołałaby przetrwać całe dzieciństwo. Jak daleko sięgała pamięcią, oboje stanowili dla siebie bezpieczną przystań na zimnym morzu.

Było jej bardzo przykro, że obecnie nie jest w stanie uspokoić go ani przekonać, by poszukał pomocy. Niestety ilekroć zaczynała mówić coś na temat jego picia, natychmiast zamykał się w sobie. I pił jeszcze więcej. Mogła jedynie go obserwować i czekać, aż stoczy się z krawędzi urwiska, której ledwo się trzymał. Kiedy to już nastąpi, zrobi wszystko, by pomóc mu się zebrać.

Wskoczyła do łóżka, poprawiła poduszki pod plecami, a potem wzięła do ręki książkę.

Być może trudno uznać czytanie Homera za zajęcie uspokajające, ale w przypadku Mirandy to się sprawdzało.

Nim nastąpiła północ, całkiem zapomniała o zmartwieniach, a wszystkie jej myśli krążyły wokół greckich bitew i zdrad. Zaznaczyła miejsce, w którym przerwała lekturę, odłożyła książkę na bok i wyłączyła światło. W chwilę później zapadła w głęboki spokojny sen.

Spala tak mocno, że nie słyszała, kiedy ktoś otworzył, a potem zamknął drzwi. Nie obudziło jej również ciche stuknięcie zamka ani odgłos kroków zmierzających przez cały po-kój w kierunku jej łóżka.

Ocknęła się nagle, kiedy poczuła, że ktoś jedną ręką zatyka jej usta, a drugą mocno trzyma ją za

gardło. W uszach Mirandy zabrzmiała groźba wypowiedziana męskim głosem.

- Mogę cię udusić.

ZŁODZIEJ

„Wszyscy ludzie pożądamy cudzej własności.

Jest to pragnienie uniwersalne

różnica polega jedynie na tym,

w jaki sposób się je zaspokaja. „

Alain Rene Lasage

Mózg Mirandy w ogóle przestał pracować. Nóż. Przez jeden okropny moment gotowa była przysiąc, że czuje na gardle ostrze noża, a nie delikatny uchwyt ręki. Przerazenie całkowicie pozbawiło ją sił. To sen, to musi być sen. Czowała jednak zapach skórzanych rękawiczek i mężczyzny, coś uciskało jej gardło, dlatego musiała głębiej oddychać, by nabrać powietrza w płuca, a na dodatek jakaś ręka zakrywała jej usta, uniemożliwiając wydobyć jakiegokolwiek dźwięku. Widziała również sylwetkę - niewyraźny zarys głowy i szerokich ramion.

Wszystkie te doznania dotarły do jej świadomości i zostały przetworzone w ciągu ciągnących się w nieskończoność sekund.

Nigdy więcej, obiecała sobie. Nigdy więcej.

Instynktownie zacisnęła prawą rękę w pięść i w mgnieniu oka poderwała się z materaca. Napastnik był albo szybszy, albo potrafił czytać w myślach, ponieważ uchylił się, nim cios dotarł do celu. Jej pięść nieszkodliwie odbiła się od twardych mięśni.

- Leż spokojnie i nie odzywaj się - syknął, delikatnie nią potrząsając. - Chociaż z ogromną przyjemnością wyrządziłbym ci krzywdę, nie zrobię tego. Twój brat chrapie na drugim krańcu domu, więc raczej istnieje małe prawdopodobieństwo, by usłyszał twój krzyk.

Poza tym nie będziesz krzyczeć, prawda? - Rozluźnił palce zaciśnięte na jej krtani, a kciukiem pieszczotliwie musnął jej szyję. - To by zraniło twoją jankeską dumę.

Wymamrotała coś niewyraźnie. Zdjął dłoń z jej ust, jednak drugą rękę nadal trzymał na gardle.

- O co panu chodzi?

- Mam zamiar skopać twój wspaniały tyłek. Cholera jasna, doktor Jones, wszystko spieprzyłaś.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Trudno było zapanować nad własnym oddechem, ale w końcu jej się to udało. To również była kwestia dumy. - Proszę mnie zostawić w spokoju.

Nie będę krzyczeć.

Nie robi tego, ponieważ gdyby Andrew usłyszał, mógłby przybiec na pomoc.

Tymczasem mężczyzna, który właśnie wciska ją w materac, prawdopodobnie jest uzbrojony.

Przyszło jej jednak na myśl, że tym razem ona również ma broń. Musi jedynie sięgnąć do szuflady i złapać pistolet.

Nieznajomy usiadł na łóżku obok niej i nadal ją przyciskając, włączył lampkę.

Oślepiąca Miranda gwałtownie zamrugła oczami, a potem patrzyła zdumiona.

- Ryan?

- Jak mogłaś popełnić tak głupi i niegodny profesjonalistki błąd?

Miał na sobie czarne dopasowane dżinsy, buty, golf i kurtkę. Jego twarz jak zwykle była uderzająco piękna, ale oczy wcale nie miały w sobie ciepła, które pamiętała Miranda.

Tym razem sprawiały wrażenie niecierpliwych, złych i niewątpliwie groźnych.

- Ryan - wydusiła ponownie. - Co ty tu robisz?

- Próbuję uporządkować zrobiony przez ciebie bałagan.

- Rozumiem.

Przyszło jej na myśl, że może Ryan cierpi na swego rodzaju... załamanie nerwowe.

Jeśli tak, za wszelką cenę powinna zachować spokój i nie denerwować go. Powoli położyła dłoń na jego nadgarstku i odsunęła jego rękę od swojej szyi. Usiadła i pruderyjnie podciągnęła kołnierz piżamy.

- Ryane. - Zdobyła się nawet na coś, co uznała za uspokajający uśmiech. - Jest środek nocy, a ty dziwnym trafem znajdujesz się w mojej sypialni. Jak się tu dostałeś?

- Tak jak zazwyczaj dostaję się do cudzych domów: otworzyłem twój zamek.

Naprawdę powinnaś postarać się o lepszy.

- Otworzyłeś zamek. - Zamrugła powiekami, a po chwili zrobiła to ponownie. Ryan wcale nie sprawiał wrażenia mężczyzny cierpiącego na załamanie nerwowe, raczej wyglądał

na kogoś, kto ledwo ukrywa złość. - Włamałeś się do mojego domu? - To zdanie sprawiło, że zakręciło jej się w głowie.

- Włamałeś się? - powtórzyła.

- Tak. - Bawił się opadającymi na jej ramię włosami. Uwielbiał jej włosy. - Włamałem się.

- Jesteś biznesmenem, mecenasem sztuki. Jesteś... no cóż, to znaczy, że wcale nie jesteś Ryanem Boldarim, prawda?

- Jestem. - Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech, oczy rozbłysły i pojawiło się w nich rozbawienie. - Jestem nim, odkąd trzydzieści dwa lata temu na Brooklynie moja świątobliwa matka nadała mi takie właśnie imię. I dopóki nie spotkałem się z tobą, nie musiałem się wstydzić swojego imienia i nazwiska. - Uśmiech zniknął, a słowa bardziej przypominały warczenie. -

Oznaczały one niezawodność i perfekcję. Ten cholerny brąz był fałszywy.

- Brąz?

Miranda poczuła jak z jej twarzy odpływa krew. Kropla po kropli.

- Skąd wiesz o brązie?

- Wiem, ponieważ ukradłem bezwartościowe gówno.

- Uniósł głowę. - A może masz na myśli brąz z Florencji, swoją drugą spieprzoną robotę? Dowiedziałem się o tym wczoraj, kiedy mój klient powiedział, że przekazałem mu fałszyfikat. Fałszyfikat, na rany Chrystusa!

Zbyt wściekły, by usiedzieć, poderwał się z łóżka i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

- Ponad dwadzieścia lat bez skazy i teraz taka wpadka. Wszystko dlatego, że ci zaufałem.

- Zaufałeś mi? - Uniosła się na kolana i zacisnęła zęby. Kiedy złość ogarnia kogoś tak szybko, nie ma miejsca na strach lub niepokój. - Okradłeś mnie, ty sukinsynu.

- No i co z tego? To co zabrałem, warte jest najwyżej sto dolców i może być używane jako przycisk do papieru. - Ponownie podszedł do niej. Był wściekły, że gorący błysk w jej oczach i spowodowane złością rumieńce tak bardzo go pociągają. - Czy w twoim muzeum jest jeszcze dużo fałszywych eksponatów?

Nie zastanawiając się, zaczęła działać. Wypadła z łóżka jak kula i rzuciła się na niego.

Ponieważ miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, trudno było zaliczyć ją do wagi piórkowej, a Ryan przyjął na siebie cały impet, z jakim poruszało się jej ciało, któremu siły dodawała potworna złość. Dzięki wrodzonej słabości do kobiet przesunął się, by uchronić ją przed upadkiem - chwilę później gorzko żałował tego gestu, ponieważ oboje znaleźli się na podłodze. Pragnąc oszczędzić i siebie, i Mirandę, obrócił się i przygwoździł ją do ziemi.

- Okradłeś mnie. - Kopała, kręciła się i nie ustępowała mu ani na jotę. - Wykorzystałeś mnie. Ty sukinsynu! Oszukałeś mnie. - Och, i to właśnie było najgorsze. Schlebiał jej i romansował z nią. Niewiele brakowało, a uległaby pokusie.

- To była jedynie korzyść uboczna. - Ścisnął mocno jej nadgarstki, by nie mogła uderzyć go w twarz. - Jesteś bardzo atrakcyjna, dlatego wcale nie musiałem się wysilać.

- Jesteś złodziejem. Jesteś jedynie pospolitym złodziejem.

- Jeśli sądzisz, że to mnie obraża, mylisz się. W rzeczywistości jestem bardzo dobrym złodziejem. Teraz możemy usiąść i porozmawiać albo leżeć nadal na podłodze i walczyć.

Muszę cię jednak uprzedzić, że nawet w tej niewiarygodnie paskudnej piźniamie wyglądasz bardzo

pociągająco. Wszystko zależy od ciebie, Mirando.

Zamarła w bezruchu, a on z niechętnym podziwem obserwował, jak widoczny w jej oczach ogień zamienia się w lód.

- Zejdź ze mnie. Do diabła, zejdź ze mnie.

- W porządku. - Puścił ją i zwinnie poderwał się na równe nogi. Chociaż zaproponował jej dłoń, odepchnęła ją i sama wstała.

- Gdybyś skrzywdził Andrew...

- Dlaczego miałbym wyrządzać krzywdę Andrew? To ty określałaś wiek tego brązu.

- A ty go ukradłeś. - Chwyliła leżący w nogach łóżka szlafrok. - Co masz zamiar teraz zrobić? Zastrzelić mnie, a potem wynieść wszystko z domu?

- Nie strzelam do ludzi. Jestem złodziejem, nie mordercą.

- W takim razie nie należysz do najmądrzejszych ludzi. Jak sądzisz, co zrobię w chwili, kiedy stąd wyjdiesz? - rzuciła przez ramię, jednocześnie wkładając szlafrok. -

Podniosę słuchawkę, zadzwonię do inspektora Cooka i powiem mu, kto włamał się do Instytutu.

Ryan jedynie wsunął kciuki do przednich kieszeni dzinsów. Doszedł do wniosku, że szlafrok Mirandy jest tak samo nieatrakcyjny jak jej piżama. Absolutnie nie rozumiał, dlaczego odczuwa pragnienie, by przedziurawić tę flanelę.

- Jeśli zadzwonisz do gliniarzy, wyjdiesz na idiotkę. Po pierwsze dlatego, że nikt ci nie uwierzy. Mnie tu nie ma. Jestem w Nowym Jorku. - Na jego ustach pojawił się zarożumiały uśmiešek. - Znajdzie się co najmniej kilka osób, które z prawdziwą przyjemnością potwierdzą moje słowa.

- Sami kryminaliści.

- Nie możesz tak mówić o moich przyjaciółach i rodzinie. Zwłaszcza że ich jeszcze nie znasz. Po drugie - ciągnął, nie zważając na jej zaciśnięte zęby - będziesz musiała wyjaśnić policji, dlaczego skradziony przedmiot ubezpieczony został na tak ogromną kwotę, choć jego prawdziwa wartość wynosiła tyle co kieszonkowe.

- Kłamiesz. Osobiście potwierdzałam autentyczność tej rzeźby. Pochodzi z szesnastego wieku.

- Tak, a brąz z Fiesole odlany został przez Michała Anioła. - Uśmiechnął się do niej z wyższością - Nikt ci nie uwierzy. Teraz siadaj, a ja ci powiem, co z tym zrobimy.

- Chcę, żebyś stąd wyszedł. - Uniosła głowę. - Chcę, żebyś natychmiast opuścił ten dom.

- A jeśli tego nie zrobię?

To był dziki impuls, lecz tym razem uległa pierwotnemu instynktowi. Sięgnęła w bok, otworzyła szufladę i czubkami palców dotknęła pistoletu. Ryan chwycił Mirandę za nadgarstek i odbierając jej broń, cicho zaklął. Drugą ręką pchnął ją z powrotem na łóżko.

- Czy wiesz, ile nieszczęśliwych wypadków zdarza się tylko dlatego, że ludzie trzymają w domach naładowaną broń?

Był silniejszy, niż sądziła. I szybszy.

- To wcale nie byłby nieszczęśliwy wypadek.

- Mogłaś zrobić sobie krzywdę - mruknął i starannie wyjął magazynek. Wsunął go do kieszeni, a potem wrzucił pistolet z powrotem do szuflady. - A teraz...

Próbowała wstać, ale Ryan położył rękę na twarzy Mirandy i popchnął ją do tyłu.

- Siadaj. Nie ruszaj się. Słuchaj. Jesteś mi coś winna, Mirando.

- Jestem... - Niemal się udławiła. - Jestem ci coś winna?

- Dotychczas cieszyłem się nienaganną opinią. Za każdym razem kiedy decydowałem się na jakąś robotę, zaspokajałem wymagania klienta. Cholera jasna, to był mój ostatni raz.

Nie mogę uwierzyć, że pod koniec kariery dopuściłem do tego, by jakaś rozgarnięta rudowłosa lala zepsuła mi reputację. Chcąc wywiązać się z kontraktu, musiałem dać klientowi dzieło sztuki pochodzące z mojej prywatnej kolekcji i pokryć jego wydatki.

- Opinia? Klient? Kontrakt? - Miranda z trudem powstrzymała się, by nie zacząć z krzykiem wrywać sobie włosów z głowy. - Na litość boską, jesteś złodziejem, a nie handlarzem dzieł sztuki.

- Nie mam zamiaru kłócić się z tobą o semantykę. - Mówił spokojnie jak mężczyzna na kierowniczym stanowisku. - Chcę małą *Wenus* Donatella.

- Przepraszam najmocniej, o czym ty mówisz?

- O małej *Wenus*, która znajdowała się w gablotce obok fałszywego *Dawida*.

Mógłbym wrócić i sam ją sobie zabrać, ale wówczas złamałbym umowę. Chcę dostać ją od ciebie i jeśli jest to autentyk, będziemy mogli uznać sprawę za zakończoną.

Nie udało jej się ukryć całkowitego zaskoczenia.

- Chyba zupełnie postradałeś zmysły.

- Jeśli tego nie zrobisz, postaram się, by *Dawid* ponownie znalazł się na rynku. Kiedy trafi do firmy ubezpieczeniowej, zgodnie z obowiązującymi zasadami poddany zostanie ponownym testom, a wówczas wszyscy dowiedzą się o twojej niekompetencji. - Przechylił na bok głowę. Zmarszczone

czoło Mirandy świadczyło o tym, że doskonale zrozumiała jego sło-wa. - To w połączeniu z ostatnią porażką poniesioną we Florencji bardzo zaszkodzi twojej karierze, doktor Jones. Chciałbym zaoszczędzić ci wstydu, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

- Nie wyświadczaj mi grzeczności. Żaden szantaż nie skłoni mnie do tego, żebym dała ci Donatella lub cokolwiek innego. Ten brąz wcale nie jest falsyfikatem, a ty w końcu pójdziesz do więzienia.

- Nie potrafisz się przyznać, że popełniłaś błąd, prawda?

Byłam taka pewna swego, pomyślała. Okazuje się, że się myliłam. Jak to wytłumaczyć? Zadrzała, jednak chwilę później zdołała odzyskać panowanie nad sobą.

- Gdybym naprawdę go popełniła, przyznałabym się.

- Tak samo jak zrobiłaś to we Florencji? - odparował i zauważył błysk w jej oczach. -

Wiadomość o twojej wpadce zatacza coraz szersze kręgi w świecie sztuki. Pięćdziesiąt procent ludzi uważa, że spreparowałaś testy, drugie pięćdziesiąt jest zdania, że po prostu jesteś niekompetentna.

- Nie obchodzi mnie tego typu opinie. - Jej stwierdzenie zabrzmiało bardzo niepewnie. Zaczęła rozcierać ramiona, ponieważ poczuła zimno.

- Gdybym usłyszał o tym kilka dni wcześniej, nie kradłbym żadnego eksponatu, którego autentyczność potwierdzona została właśnie przez ciebie.

- Nie mogłam popełnić takiego błędu. - Zamknęła oczy, ponieważ ta świadomość sprawiła jej o wiele więcej bólu niż fakt, że Ryan ją wykorzystał i okradł. - To niemożliwe.

Cicha rozpacz brzmiąca w jej głosie poruszyła do głębi Ryana. Miranda nagle zaczęła sprawiać wrażenie bardzo delikatnej i niesamowicie znużonej.

- Wszyscy czasami się mylimy, Mirando. Błąd leży w ludzkiej naturze.

- Nie popełniam błędów w pracy. - Kiedy otworzyła oczy i spojrzała na Ryana, poczuła, że do oczu napływają jej łzy. - Naprawdę. Jestem bardzo ostrożna. Nie wyciągam pochopnych wniosków. Postępuję zgodnie z procedurą. Nie... - Jej głos zaczął się łamać, a pierś ciężko falowała. Przycisnęła do niej skrzyżowane ręce, by powstrzymać gorące łzy.

- W porządku, zaczekaj. Nie poddawaj się emocjom.

- Nie mam zamiaru płakać. Wcale nie mam zamiaru płakać - powtarzała jak mantrę.

- Cieszę się. Spróbujmy ubić interes, Mirando. - Jej duże niebieskie oczy lśniły od łez.

To go rozpraszało. - Poprzestańmy na tym, a wówczas oboje będziemy szczęśliwi.

- Interes. - Przetarła usta wierzchem dłoni, z ulgą stwierdzając, że absurdalność tego stwierdzenia

powstrzymała napływające łzy. - W porządku, panie Boldari. Wróćmy do interesu. Twierdzisz, że brąz jest fałszywy. Ja uważam, że to kłamstwo. Utrzymujesz, że nie zgłoszę tego policji. Ja powtarzam, że to zrobię. Co z tym zrobimy?

Przez chwilę bacznie jej się przyglądał. W jego zawodzie - właściwie w obu zawodach

- niezbędna była umiejętność szybkiego i precyzyjnego oceniania ludzi. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, że Miranda uprze się przy wynikach swoich testów i zadzwoni na policję. To drugie zbytnio go nie martwiło, mogło jednak spowodować nieco kłopotów.

- W porządku, ubieraj się.

- Po co?

- Jedziemy do laboratorium. Możesz przy mnie ponownie przeprowadzić testy. Dzięki temu będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

- Jest druga w nocy.

- Dzięki temu nikt nie będzie nam przeszkadzał. Ubierz się, chyba że masz zamiar wybrać się tam w piżamie.

- Nie mogę testować czegoś, czego nie mam.

- Ale ja to mam. - Machnął ręką w stronę skórzanej torby, która leżała obok drzwi. -

Zabrałem ten brąz ze sobą, żeby wepchnąć ci go w gardło. Zwyciężył jednak rozsądek. Ubierz się ciepło - poradził, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Temperatura spada.

- Nie mam zamiaru zabierać cię do Instytutu.

- Jesteś bardzo rozsądną osobą, więc pomyśl logicznie. W moich rękach znajduje się brąz i twoja reputacja. Chcesz odzyskać pierwsze i uratować drugie. Daję ci na to szansę.

- Odczekał chwilę, aż jego słowa dotrą do jej świadomości.

- Będziesz miała czas na przetestowanie statuetki, mam jednak zamiar przy tym być i pilnować cię. To jest umowa, doktor Jones. Bądź rozsądna. Zgódź się.

W końcu powinna wszystko sprawdzić, prawda? Upewnić się. Kiedy będzie już miała wyniki badań, w mgnieniu oka odda Ryana w ręce policji.

Doszła do wniosku, że sobie z nim poradzi. Poza tym duma nakazywała jej przyjąć tę propozycję.

- Nie będę się przy tobie przebierać.

- Doktor Jones, gdybym miał na myśli seks, skorzystałbym z okazji, kiedy leżeliśmy na podłodze. To

jest tylko interes - powtórzył. - Nie spuszczę cię z oka, dopóki nie dokończymy.

- Nienawidzę cię. - Powiedziała to z taką odrazą w głosie, że nie widział powodu, by jej nie wierzyć. Kiedy jednak zamknęła się w garderobie i rozległo się brzęczenie wieszaków, uśmiechnął się do siebie.

Była naukowcem, kobietą wykształconą mogącą się poszczycić nienagannym wychowaniem i doskonałą opinią. Publikowała rozprawy w kilkunastu czasopismach naukowych i artystycznych. „Newsweek” poświęcił jej cały artykuł. Wykładała na Harvardzie, a przez trzy miesiące gościł ją nawet Oksford.

To niemożliwe, by w środku nocy jechała do Maine w towarzystwie złodzieja z zamiarem włamania się do własnego laboratorium i przeprowadzenia potajemnych testów skradzionego brązu.

Nacisnęła hamulec i zjechała na pobocze.

- Nie mogę tego zrobić. To śmieszne, nie wspominając o tym, że nielegalne. Dzwonię na policję.

- Świetnie. - Kiedy sięgnęła po telefon, Ryan jedynie lekko wzruszył ramionami. -

Zrób to, kochanie. Postaraj się wyjaśnić, dlaczego podawałaś za dzieło sztuki bezwartościowy kawałek metalu. Potem jeszcze będziesz musiała się tłumaczyć przed firmą ubezpieczeniową.

Wystąpiłaś już o odszkodowania, prawda? Jak to się stało, że chciałaś dostać od nich pięćset tysięcy za falsyfikat. Podrobione dzieło sztuki, które osobiście uznałaś za autentyk.

- To nie jest falsyfikat - powiedziała, zaciskając zęby i równocześnie wybierając 911.

- A zatem spróbuj to udowodnić, doktor Jones.

- Uśmiechnął się w ciemności. - I sobie, i mnie. Jeśli ci się to uda... będziemy mogli przystąpić do negocjacji.

- Nie będzie żadnych negocjacji. Pójdiesz do więzienia - powiedziała i przesunęła się na siedzeniu, tak że znaleźli się twarzą w twarz. - Dopilnuję tego.

- Jednak od czegoś musisz zacząć. - Rozbawiony po przyjacielsku uszczypnął ją w brodę. - Zadzwoń do swoich strażników. Powiedz im, że jedziesz do Instytutu, by wraz z bratem popracować w laboratorium.

- Nie mam zamiaru wciągać w to Andrew.

- Andrew i tak tkwi już w tym po uszy. Po prostu zadzwoń. Jakoś im to uzasadnij. Na przykład, że nie możecie spać, postanowiliście więc wykorzystać ciszę i spokój. No już, Mirando. Chcesz znać prawdę, czyż nie?

- Znam prawdę. To ty nie potrafisz jej dostrzec, nawet kiedy się o nią potykasz.

- Kiedy jesteś zdenerwowana, tracisz nieco opanowania tak charakterystycznego dla wyższych sfer. - Wychylił się do przodu i nim zdołała go odepchnąć, delikatnie ją pocałował.

- Lubię to.

- Trzymaj ręce przy sobie.

- To nie były moje ręce. - Objął ją i delikatnie pogłaskał. - Dopiero teraz poczułaś moje ręce. Dzwon.

Łokciem odepchnęła go i wybrała numer. Przecież będą włączone kamery. Ryan nie zdoła przejść obok nich jako Andrew, a zatem nim zdołają zacząć, będzie już po wszystkim.

Jeśli szef ochrony będzie miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, zadzwoni po policję.

Wówczas wystarczy, że Miranda opowie swoją historię, a Ryan Boldari zostanie zakuty w kajdanki, wyłąduje w więzieniu i zniknie z jej życia.

- Mówi doktor Jones. - Kiedy Ryan z aprobatą poklepał ją po kolanie, uderzyła go. -

Mój brat i ja jesteśmy w drodze do Instytutu. Tak, chcemy popracować. W ciągu kilku ostatnich dni panowało takie zamieszanie, że mam pewne zaległości w pracy laboratoryjnej.

Będziemy za jakieś dziesięć minut. Skorzystamy z głównego wejścia Dziękuję.

Rozłączyła się i pociągnęła nosem. Doszła do wniosku, że Ryan sam podpisał na siebie wyrok.

- Czekają na mnie. Gdy dotrę na miejsce, wyłączą alarm.

- Świetnie. - Kiedy ponownie wyjechała na drogę, rozprostował nogi. - Robię to ze względu na ciebie, wiesz?

- Nie jestem w stanie wyrazić ci swojej wdzięczności.

- Wcale nie musisz mi dziękować. - Machnął ręką, a kiedy warknęła, uśmiechnął się. -

Naprawdę. Chociaż sprawiłaś mi mnóstwo kłopotów, lubię cię.

- Nie do wiary, aż mocniej bije mi serce.

- Widzisz? Masz styl, nie wspominając o ustach, które wręcz same się proszą, by poświęcić im kilka nocnych godzin i spróbować się nimi podelektować. Naprawdę żałuję, że nie mam więcej czasu na twoje usta.

Zacisnęła palce na kierownicy i prychnęła ze złości. Nie dopuści, żeby te kontakty przerodziły się w coś więcej.

- Będziesz miał bardzo dużo czasu, Ryanie - powiedziała słodko. - Nim sprawa dobiegnie końca, moje usta przeżują cię i wyplują.

- Czekam na to z ogromną niecierpliwością. To ładna okolica - zauważył, kiedy jechali wzdłuż wybrzeża w stronę miasta. - Jest romantyczna, wietrzna i odludna, ale kultura i cywilizacja znajdują się w zasięgu ręki. To do ciebie pasuje. Z tego co wiem, ten dom od wielu pokoleń należy do waszej rodziny.

Nie odpowiedziała. Chociaż może to śmieszne, nie miała zamiaru poniżać się do prowadzenia z nim rozmowy.

- Można go pozazdrościć - ciągnął Ryan niezrażony.

- Dziedzictwo i pieniądze. Czy wiesz jednak, że ważniejsze od tych przywilejów jest nazwisko? Jonesowie z Maine. To świadczy o klasie.

- Czego nie można powiedzieć o Boldarich z Brooklynu - mruknęła, ale on jedynie się roześmiał.

- Och, my mamy inne plusy. Polubiłabyś moją rodzinę. Trudno jej nie polubić.

Ciekaw jestem, co oni by z tobą poczęli, doktor Jones?

- Może spotkamy się w sądzie.

- Widzę, że wciąż masz zamiar postawić mnie przed wymiarem sprawiedliwości. -

Podziwiał jej profil niemal z takim samym zainteresowaniem jak cienie kładące się na nierównych kamieniach i krótkie błyski na powierzchni ciemnego morza. - Siedzę w tym od dwudziestu lat, kochanie. Nie mam zamiaru popełnić błędu w przededniu przejścia na emeryturę.

- Złodziej zawsze będzie złodziejem.

- Och, w głębi duszy całkowicie się z tobą zgadzam, ale w sensie prawnym... -

Westchnął. - Kiedy oczyszcze swoją opinię, kończę z tym. Gdybyś nie narobiła takiego bałaganu, byłbym właśnie na zasłużonych wakacjach na St. Bart's.

- Spotkało cię straszne nieszczęście.

- Tak, no cóż. - Ponownie wzruszył ramionami. - Może uda mi się jeszcze uratować kilka dni. - Rozpiął pas i odwrócił się, by sięgnąć na tylne siedzenie po rzuconą tam torbę.

- Co robisz?

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Cicho gwizdząc, wziął czapkę narciarską i wciągnął ją na głowę, całkowicie ukrywając pod nią

włosy. Potem przyszła kolej na czarny kaszmirowy szalik, którym Ryan owinał szyję i przesłonił dolną część twarzy.

- Możesz próbować zaalarmować strażników - zaczął, przeglądając się w lusterku. -

Jeśli to zrobisz, nie zobaczysz już więcej ani brązu, ani mnie. Graj czysto, wejdź do środka i skieruj się prosto do laboratorium. Rób wszystko tak jak zazwyczaj, a będziemy żyć w zgodzie. Andrew jest trochę wyższy ode mnie - ciągnął, rozwijając długi czarny płaszcz.

- To jednak nie powinno mieć żadnego znaczenia. Zobaczą to, czego się spodziewają.

W końcu ludzie zawsze widzą to, co chcą widzieć.

Kiedy wjechała na parking, musiała przyznać, że miał rację. Wyglądał na anonimowego człowieka w grubym zimowym ubraniu; nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Co więcej, kiedy wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę głównego wejścia, zdała sobie sprawę, że sama mogłaby wziąć go za Andrew.

Ryan idealnie naśladował mowę ciała, chód i delikatne przygarbienie pleców jej brata.

Poirytowana wsunęła kartę do automatu. Po chwili wystukała kod. Wyobraziła sobie, że robi dzikie miny do kamery, blokuje Ryanowi drogę i okłada go pięściami po twarzy, czekając, aż nadbiegną strażnicy. Mimo to jedynie uderzała kartą w dłoń i czekała, aż odezwie się sygnał i odblokowany zostanie zamek.

Ryan sam otworzył drzwi, jednocześnie po bratersku kładąc dłoń na jej plecach. Kiedy szli, trzymał opuszczoną głowę i mamrotał pod nosem.

- Żadnego zbaczania z trasy, doktor Jones. Przecież wcale nie chcesz kłopotów ani rozgłosu.

- Chcę dostać brąz.

- Jesteś na najlepszej drodze, już niedługo będziesz go miała w rękach. Przynajmniej przez chwilę.

Przez cały czas trzymał rękę na jej plecach, prowadząc ją korytarzami, a potem schodami w dół, prosto do laboratorium. Ponownie otworzyła mu drzwi.

- Nie wyjdiesz stąd z moją własnością. Włączył światło.

- Wykonaj testy - zaproponował, zdejmując płaszcz.

- Tracisz tylko czas. - Nie zdejmując rękawiczek, wyjął brąz i wręczył go Mirandzie. -

Wiem trochę o tym, jak potwierdza się autentyczność, doktor Jones, i będę cię uważnie obserwował.

Doszedł do wniosku, że przychodząc tutaj i zamykając się razem z nią w laboratorium, zaryzykował jak nigdy w życiu. Niech to diabli wezmą, w ogóle nie potrafił tego uzasadnić.

Och, sam powrót tutaj to coś innego, pomyślał, obserwując, jak Miranda wyjmuje z szuflady okulary w drucianych oprawkach i wsuwa je na nos.

Doszedł do wniosku, że miał rację. Wyglądała na seksownego naukowca. Odsuwając na bok te myśli, usadowił się wygodnie i patrzył, jak Miranda zaczyna badać brąz.

Chodziło o jego reputację i honor, co właściwie oznaczało jedno i to samo.

Praca, która powinna być miłym, prostym i spokojnym zakończeniem jego kariery, w rezultacie sprawiła mu mnóstwo kłopotu, a przy okazji stracił twarz i sporo pieniędzy.

Dlatego postanowił zagrozić Mirandzie i za pomocą szantażu zmusić ją, by wyrównała jego straty, a potem odejść.

Nie zdołał jednak oprzeć się pokusie, by ją przechytryć. W głębi duszy nie miał żadnych wątpliwości, iż będzie chciała sfałszować wyniki testów i zinterpretować je na swoją korzyść, byle go przekonać, że brąz jest autentyczny. Jeśli to zrobi, będzie ją to drogo kosztowało.

Przyszło mu na myśl, że Cellini będzie odpowiednią opłatą za jego pobłażliwość.

Wsunął ręce do kieszeni i obserwował Mirandę przy pracy. Doszedł do wniosku, że już wkrótce Instytut przekaże Gallerii Boldariego wspianiałą darowiznę.

To ją zabije.

Kiedy podniosła głowę znad mikroskopu, miała ściągnięte brwi. Czują potworny skurcz żołądka, ale teraz wcale nie było to wynikiem złości czy irytacji. Nie odezwała się ani słowem, jedynie spokojną ręką robiła notatki.

Wzięła z brązu próbki patyny i samego stopu, położyła je na szkiełku, wsunęła pod mikroskop i oglądała na zmianę. Z bladą kamienną twarzą położyła brąz na wadze i coś zapisała.

- Muszę promieniami rentgenowskimi zbadać grubość warstwy korozji i sprawdzić, jakimi narzędziami przy tym pracowano.

- Dobrze. Chodźmy. - Szedł z nią przez laboratorium, zastanawiając się, gdzie wystawi Celliniego. Otrzymałą od niej maleńką brązową *Wenus* włączy do swojej prywatnej kolekcji, ale Cellini znajdzie się w galerii. Doda nieco prestiżu zbiorom Ryana i ucieszy zwiedzających.

Wyciągnął z kieszeni cienkie cygaro i sięgnął po zapalniczkę.

- Tu nie wolno palić - warknęła.

Bez słowa wsadził je między zęby i zapalił.

- Dzwon po gliniarzy - zaproponował. - Co powiedziałybyś na kawę?

- Daj mi święty spokój. Bądź cicho.

W miarę upływu czasu ucisk w żołądku stawał się jeszcze mocniejszy. Miranda postępowała zgodnie z procedurą, punkt po punkcie, ale знаła już odpowiedź.

Podgrzała glinę i czekała, modląc się, by kryształki zaczęły wydzielać światło.

Musiała zagryźć wargę, by nie zacząć sapać. Nie da mu tej satysfakcji.

Lecz kiedy prześwieciła brąz promieniami rentgenowskimi i zobaczyła, że to badanie potwierdza wcześniejsze przecucie, jej palce zrobiły się zimne jak lód.

- No więc? - Ryan uniósł brew i czekał, aż Miranda zacznie go nabierać.

- Ten brąz jest falsyfikatem. - Ponieważ uginały się pod nią nogi, usiadła na taborecie.

Tylko dlatego nie zauważyła w jego oczach błysku zaskoczenia. - Receptura, z tego co mogę powiedzieć na podstawie wstępnych testów, jest odpowiednia, aczkolwiek patyna naniesiona została ostatnio, a grubość warstwy korozji bardzo różni się od tej, która powinna pokrywać brąz pochodzący z szesnastego wieku. Do pracy użyto nieodpowiednich narzędzi. Jest to dobrze wykonana kopia - ciągnęła, bezwiednie masując ręką ściśnięty żołądek. - Ale nie autentyk.

- No proszę, doktor Jones - mruknął. - Zaskoczyłaś mnie.

- To nie jest brąz, którego autentyczność potwierdzałam trzy lata temu.

Wsunął kciuki do kieszeni i zakołysał się na piętach.

- Spieprzyłaś robotę, Mirando. Spójrz prawdzie w oczy.

- To nie jest ten brąz - powtórzyła, po czym odsunęła taboret i gwałtownie się wyprostowała. - Nie mam pojęcia, co próbujesz mi udowodnić, przynosząc falsyfikat i odstawiając farsę.

- To jest brąz, który zabrałem z Południowej Galerii - powiedział spokojnie. -

Wziąłem go ze względu na twoją reputację, pani doktor. Więc przestań opowiadać brednie i przejdźmy do realizacji umowy.

- Nie pójde z tobą na żaden układ. - Porwała brąz i wcisnęła go Ryanowi. - Myślisz, że możesz włamać się do mojego domu i utrzymując, że ewidentny falsyfikat należy do mnie, zmusić mnie, żebym dała ci coś w zamian? Chyba jesteś obłąkany.

- Skradłem ten brąz święcie przekonany, że to oryginał.

- Och, na litość boską, dzwonię po ochronę. Chwycił ją za ramię i gwałtownie przycisnął do blatu.

- Posłuchaj, kochanie. Podjąłem tę grę wbrew własnemu przekonaniu. Teraz jest już po wszystkim.

Może wcale nie usiłowałaś podawać tego brązu za coś, czym nie jest. Może nieświadomie popełniłaś błąd, ale...

- Nie popełniłam żadnego błędu. Nie popełniam tego typu błędów.

- Czy mówi ci coś nazwa Fiesole?

Z jej policzków zniknął rumieniec złości. Oczy stały się szkliste i rozkojarzone. Przez chwilę myślał, że Miranda osunie się na ziemię. Jeśli symulowała rozpacz, musiał przyznać, że nie doceniał jej zdolności aktorskich.

- Nie popełniłam błędu - powtórzyła drżącym głosem.

- Mogę tego dowieść. Mam zapiski, notatki, wyniki prześwietlenia promieniami rentgenowskimi i wszystkich testów przeprowadzonych na oryginalnym brązie.

Zaskoczony jej rozpaczą puścił ją, kiedy zaczęła się wrywać. Potrząsnął głową i ruszył za nią do pokoju, w którym stały rzędy szafek z aktami.

- Ten brąz miał nieodpowiednią wagę - powiedziała szybko, szarpiąc się z kluczem w zamku szuflady. - Zeskrobany przeze mnie kawałeczek wykazywał jedynie drobne nieprawidłowości, ale waga... Kiedy tylko wzięłam tę statuetkę do ręki, od razu wiedziałam, że ma nieodpowiednią wagę. Była za ciężka, ale... Do diabła, gdzie podziały się dokumenty?

- Mirando...

- Była za ciężka, odrobinę za ciężka, a patyna chociaż dobrze wyglądała, również powinna być nieco inna. Po prostu inna. Nawet gdyby przeoczyło się te fakty, pozostawała jeszcze grubość warstwy korozji. Tu już nie można było się pomylić.

Mówiąc co ślina na język przyniesie, Miranda z hukiem zamknęła szufladę i sprawdziła zawartość kilku następnych.

- Nie ma ich tutaj. Nie ma dokumentacji. Zniknęła. - Usiłując zachować spokój, zaniknęła szufladę. - Zginęły zdjęcia, notatki, raporty, wszystko co wiązało się z brązowym *Dawidem*. Zabrałeś to.

- Po co? - zapytał, starając się zdobyć na anielską cierpliwość. - Zastanów się, skoro już się tu dostałem i zabrałem falsyfikat, mogłem wziąć wszystko, co chciałem. Po co zatem miałbym wracać tu z tobą, Mirando, i skłaniać cię do przeprowadzenia testów?

- Muszę pomyśleć. Bądź cicho. Muszę pomyśleć. Przycisnąwszy dłonie do ust, zaczęła niespokojnie krążyć po całym pomieszczeniu. Postaraj się myśleć logicznie, m y ś l logicznie, powtarzała sobie. Uwzględniaj tylko fakty.

Ukradł brąz, który okazał się falsyfikatem. Po co miałby kraść falsyfikat i przynosić go z powrotem? To nie miałoby sensu. Natomiast gdyby statuetka okazała się prawdziwa, Ryan nie miałby powodu, aby się pojawiać. W takim razie historia, którą jej opowiedział, pomimo całej absurdalności jest

prawdziwa.

Przetestowała brąz i potwierdziła wniosek Ryana.

Czy popełniła błąd? Boże, c z y to możliwe, że popełniła błąd?

Nie. Przypomniała sobie, że musi kierować się logiką, nie emocjami. Zmusiła się do tego, by przestać wykonywać nieskoordynowane ruchy, i stanęła.

Logika, jeśli odpowiednio się ją zastosuje, daje zdumiewające rezultaty.

- Ktoś cię uprzedził - powiedziała cicho. - Ktoś cię uprzedził i zastąpił autentyk falsyfikatem.

Odwróciła się do niego. Widząc na jego twarzy zadumę, domyśliła się, że Ryan prawdopodobnie doszedł do tego samego wniosku.

- No cóż, doktor Jones, wygląda na to, że oboje zostaliśmy wystawieni do wiatru. -

Przechylił głowę i bacznie jej się przyjrzał. - Co z tym zrobimy?

Miranda postanowiła pogodzić się z faktem, że w tym dniu wszystko będzie odbiegało od normy. Decyzję tę podjęła o szóstej rano, kiedy wraz z Ryanem znajdowała się w restauracji dla kierowców przy drodze numer jeden.

Kelnerka przyniosła im dzbanek kawy, dwa ordynarne brązowe kubki i dwa zafoliowane jadłospisy.

- Co my tu robimy?

Ryan nalał sobie kawę, powąchał ją, upił, a potem westchnął.

- To ma być kawa.

- Boldari, co my tu robimy?

- Jemy śniadanie - odparł i zaczął studiować jadłospis. Nabrała powietrza w płuca.

- Jest szósta rano. Mam za sobą ciężką noc i jestem zmęczona. Muszę poważnie pomyśleć. Szkoda mi czasu na siedzenie ze złodziejem w jakiejś przydrożnej restauracji i silenie się na dowcipy.

- Na razie wcale nie byłaś zbyt dowcipna, ale jak sama powiedziałaś, masz za sobą ciężką noc. Czy jest szansa, że spotkasz tu kogoś, kogo znasz?

- Na pewno nie.

- I o to chodzi. Musimy zjeść i porozmawiać. - Odłożył menu i uśmiechnął się do kelnerki, która podeszła z notesem w ręce. - Proszę naleśniki, jajka na miękko i kawałek bekonu.

- Ma pan to jak w banku, kapitanie. A co dla ciebie, złotko?

- Nie... - Zrezygnowana Miranda przymrużyła oczy i przejrzała menu w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do jedzenia. - Może, hmm, płatki owsiane. Czy macie do tego chude mleko?

- Zobaczę, co da się zrobić. Zaraz wracam.

- W porządku, spróbujmy przeanalizować sytuację - ciągnął Ryan. - Trzy lata temu w twoje ręce trafiła brązowa statuetka Dawida. Wiem, że pochodziła z prywatnych wykopalisk prowadzonych przez twego ojca w okolicach Rzymu.

- Masz dobre informacje. Większość znalezisk przekazaliśmy Muzeum Narodowemu w Rzymie. Dawida ojciec przywiózł do domu, do Instytutu. Z myślą o sprawdzeniu autentyczności statuetki i wystawieniu jej.

- To ty ją testowałaś i potwierdzałaś autentyczność?

- Tak.
- Kto z tobą pracował?
- Bez notatek nie jestem tego pewna.
- Spróbuj sobie przypomnieć.
- To wszystko działo się trzy lata temu. - Ponieważ logiczne myślenie sprawiało jej pewne kłopoty, skosztowała kawy. Nagle spłynęło na nią objawienie. - Oczywiście, Andrew - zaczęła. - Bardzo podobała mu się ta statuetka. Przemawiała do niego. Może nawet ją szkicował. Od czasu do czasu wpadał do laboratorium mój ojciec, żeby sprawdzić, jak posuwają się testy. Był zadowolony z rezultatów. John Carter - dodała, rozmasowując bolący punkt na środku czoła. - To kierownik mojego laboratorium.
- A zatem miał dostęp do tego brązu. Kto jeszcze?
- Niemal każda osoba pracująca w tym czasie w laboratorium. To nie było nasze najważniejsze zadanie.
- Ile osób pracuje w laboratorium?
- To zależy, dwanaście do piętnastu.
- Wszyscy mają dostęp do dokumentów?
- Nie. - Przerwała, ponieważ podano im śniadanie.
- Nie wszyscy asystenci i technicy mają klucze.
- Spróbuj mi uwierzyć, Mirando, nie należy zbytnio przeceniać kluczy. - Ponownie się do niej uśmiechnął, jednocześnie dolewając kawy. - Musimy założyć, że dostęp do kluczy mieli wszyscy ludzie, którzy pracowali wówczas w laboratorium. Będziesz musiała zdobyć listę z ich nazwiskami.
- Naprawdę?
- Chcesz dowiedzieć się, co się stało? Powinniśmy sprawdzić ostatnie trzy lata - wyjaśnił. - Od chwili kiedy potwierdziłaś autentyczność tej rzeźby, do czasu gdy uwolniłem cię od falsyfikatu. Ktoś, kto ją zamienił, musiał mieć dostęp do oryginału, inaczej nie zdołałby wykonać kopii. Najsprytniejszym, a zarazem najprostszym sposobem byłoby zrobienie silikonowego odlewu i woskowej reprodukcji.
- Wygląda na to, że wiesz wszystko o fałszerstwach - powiedziała, pociągając nosem i zanurzając łyżkę w płatkach owsianych.

- Tylko tyle, ile powinien wiedzieć człowiek mojej profesji, moich profesji. By wykonać odlew, trzeba mieć oryginał - ciągnął zupełnie nie zrażony. Miranda zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak na niego napadła. - Najłatwiej było to zrobić, gdy brąz znajdował

się w laboratorium. Po wstawieniu go do gablotki trzeba by było ominąć wszelkie zabezpieczenia, a masz przecież całkiem niezły system.

- Najmocniej dziękuję. To wcale nie jest chude mleko - poskarżyła się, marszcząc brwi na widok małego dzbanuszka, który jej podano wraz z płatkami owsianymi.

- Zaryzykuj. - Posypał ją solą. - Powiem ci, jak ja to widzę. Ktoś pracujący w tamtym czasie w laboratorium zorientował się, w jakim kierunku zmiierzają twoje testy. Za taką ładną matą statuetkę niejeden kolekcjoner chętnie zapłaciłby całkiem niezłą sumkę.

Dlatego człowiek ten - być może ktoś, kto miał jakieś długi lub żywił urazę do któregoś z członków twojej rodziny - postanowił spróbować szczęścia. Którejś nocy wykonał odlew. To nie jest wcale takie trudne, zwłaszcza jeśli pracuje się w laboratorium. Nie ma nic prostszego.

Jeśli sam nie potrafił odlać brązu, z pewnością znał kogoś, kto umiał to zrobić. Co więcej, wiedział, jak sprawić, by nowa statuetka na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby miała kilkaset lat. Potem wystarczyło już tylko podmienić figurkę, prawdopodobnie nastąpiło to tuż przed przeniesieniem jej do gablotki. Trudno postąpić mądrzej.

- Jednak czegoś takiego nie można zrobić pod wpływem impulsu. Taka operacja wymaga czasu i dokładnych przygotowań.

- Wcale nie mówię, że był to impuls. Z drugiej jednak strony nie wymagało to aż tak dużo czasu. Jak długo brąz był w laboratorium?

- Nie jestem pewna. Dwa, może trzy tygodnie.

- To w zupełności wystarczyło. - Ryan machnął bekonem, a potem go ugryzł. - Na twoim miejscu przeprowadziłbym testy na innych eksponatach.

- Innych? - Uderzona tą myślą nie mogła zrozumieć, dlaczego nie wpadła na to wcześniej. - O Boże!

- Jeśli ta osoba zrobiła to raz, na dodatek z całkiem niezłym skutkiem, dlaczego nie miałyby tego powtórzyć? Nie bądź taka zdruzgotana, kochanie. Mam zamiar ci pomóc.

- Pomóc. - Przycisnęła place do szczypiących oczu.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę mieć ten brąz. W końcu obiecałem go swojemu klientowi.

Opuściła rękę.

- Pomożesz mi go odzyskać, by ponownie go ukraść?

- Jestem tym osobiście zainteresowany. Kończ śniadanie. Czeka nas mnóstwo pracy. -

Wziął do ręki kawę i uśmiechnął się do Mirandy. - Partnerko.

„Partnerka”. Słyszając to słowo, Miranda zadrżała. Na pewno była zbyt zmęczona, żeby logicznie myśleć, ale w tym momencie nie widziała innego sposobu, by odzyskać swoją własność, nie przyjmując propozycji i pomocy Ryana.

Otwierając frontowe drzwi domu, przypomniała sobie, że Ryan ją wykorzystał. Teraz ona wykorzysta jego, a potem dopilnuje, żeby następne dwadzieścia lat życia spędził w więzieniu federalnym.

- Spodziewasz się dzisiaj kogoś? Gospodyni, listonosza, elektryka?

- Nie. Ludzie z firmy zajmującej się sprzątaniami domów przyjeżdżają we wtorki i piątki.

- Ludzie z firmy zajmującej się sprzątaniami domów.

- Zdjął kurtkę. - Ludzie z firmy zajmującej się sprzątaniami domów nie zrobią ci dobrej zapiekanki ani nie udzielą mądrych rad. Przydałaby ci się gospodyni o imieniu Mabel, kobieta, która nosiłaby maleńki biały fartuszek i wygodne buty.

- Firma zajmująca się sprzątaniami domów jest bardzo porządna i dyskretna.

- Szkoda. Andrew wyjechał już do pracy. - Ryan spojrział na zegarek i stwierdził, że jest piętnaście po ósmej. - O której przychodzi twoja sekretarka?

- Lori pojawia się o dziewiątej, często nieco wcześniej.

- Musisz do niej zadzwonić. Masz jej telefon domowy?

- Tak, ale...

- Zadzwonź do niej i powiedz, że dzisiaj cię nie będzie.

- Będę. Mam spotkania.

- Każ je odwołać. - Wszedł do salonu i zajął się układaniem w kominku drewna na rozpałkę. - Poproś ją, żeby zdobyła listy pracowników laboratorium z ostatnich trzech lat. Od tego powinniśmy zacząć. Każ przesłać je na swój domowy komputer.

Zapalił drewna i po kilku sekundach szczapki zaczęły trzeszczeć. Nie odezwała się, kiedy Ryan wybrał z pudła dwie kłody i z godną harcerza wprawą położył je na płonących szczapach.

Kiedy wstał i odwrócił się, uśmiechnęła się do niego nie - przyjaźnie.

- Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

- Kochanie, będziesz musiała nieco radośniej przyjmować polecenia. Przecież dobrze wiesz, że ktoś musi tym wszystkim kierować.

- I oczywiście szefem jesteś ty.

- Tak. - Podeszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach. - Na temat kradzieży wiem znacznie więcej niż ty.

- Większość ludzi nie uznałaby tego za atrybut przywódcy.

- Większość ludzie nie próbuje znaleźć złodzieja. - Opuścił nieco wzrok i zatrzymał go na jej ustach.

- Nawet o tym nie myśl.

- Nigdy nie cenzuruję swoich myśli. To powoduje wrzody żołądka. Jeśli będziesz bardziej przyjacielska, nasza... współpraca może być całkiem przyjemna.

- Jeśli będę bardziej przyjacielska?

- Bardziej elastyczna. - Objął ją obiema rękami. - Przynajmniej w pewnych sprawach.

Kiedy mocniej przyciągnął ją do siebie, zatrzepotała rzęsami.

- W jakich?

- No cóż, na początek... - Pochylił głowę, wciągnął w nozdrza jej zapach i miał zamiar skosztować ust. Kiedy pięść Mirandy wylądowała na jego żołądku, Ryan jęknął z bólu.

- Mówiłam ci, żebyś trzymał ręce przy sobie.

- Rzeczywiście. - Wolno przytakując, zaczął rozmasowywać brzuch. Przyszło mu na myśl, że gdyby jej cios wylądował kilkanaście centymetrów niżej, mógłby pozbawić go męskości. - Masz dobry i mocny cios, doktor Jones.

- Niech się pan cieszy, że uderzyłam nieco wyżej, niż zamierzałam, panie Boldari. -

Chociaż w rzeczywistości trafiła dokładnie tam, gdzie chciała. - Inaczej leżałby pan na podłodze, z trudem próbując nabrać powietrza w płuca. Zakładam, że teraz się rozumiemy.

- Właśnie. Zadzwoń Mirando, a potem zabierzemy się do roboty.

Wykonała jego polecenie, ponieważ było całkiem rozsądne. Aby posuwać się do przodu, należało zacząć działać, a żeby zacząć działać, trzeba było mieć jakiś punkt wyjścia.

O wpół do dziesiątej siedziała w swoim domowym biurze i sprawdzała dane.

Pokój ten był równie wygodnie urządzone, jak jej biuro w Instytucie, lecz nieco skromniejszy. Chociaż jej zdaniem wcale nie było zimno, Ryan również tutaj zapalił w kominku. Ogień wesoło buzował na kamiennym palenisku, a promienie późnozimowego słońca wpadały przez rozsunięte zasłony.

- Wygląda na to, że mniej więcej osiemnaście miesięcy temu miałaś sporą fluktuację kadr - zauważył.

- Tak. Matka dokonywała zmian w swoim laboratorium we Florencji. Kilku naszych pracowników przeniosło się do niej, a ludzie stamtąd zaczęli pracować w Instytucie.

- Ciekawe, że ty nie wpadłaś na ten pomysł.

- Jaki?

- Żeby przeprowadzić się do Florencji. Postanowiła wydrukować dane. Dzięki temu nie będzie musiała siedzieć obok Ryana.

- To było niemożliwe. Andrew i ja kierujemy Instytutem. Matka jest dyrektorką Standjo.

- Rozumiem. - Wydawało mu się, że rzeczywiście to rozumie. - Istnieją jakieś tarcia między tobą a matką?

- Stosunki panujące w mojej rodzinie to nie twoja sprawa.

- Powiedziałbym, że to coś więcej niż tarcia. A co z twoim ojcem?

- O co ci chodzi?

- Czy jesteś małą córeczką tatusia?

Nim zdołała się powstrzymać, wybuchnęła śmiechem, a potem wstała, by wziąć wydruk.

- Nigdy nie byłam niczyją małą córeczką.

- Szkoda - powiedział i naprawdę tak myślał.

- Nie zajmujemy się moją rodziną. - Usiadła na niewielkiej, obitej malinowym materiałem sofie i próbowała skoncentrować się na nazwiskach, które rozmazywały się przed jej zmęczonymi oczami.

- A może powinniśmy. W końcu to rodzinny interes. Można przypuszczać, że ktoś zabierając brąz, chciał się zemścić na twojej rodzinie.

- W tym momencie wychodzi na jaw twoje włoskie pochodzenie - powiedziała sucho.

Ryan jedynie się uśmiechnął.

- Kochanie, Irlandczycy również bardzo często szukają odwetu. Powiedz mi coś o ludziach z tej listy.

- John Carter. Kierownik laboratorium. Zrobił doktorat u Duke'a. Pracuje w Instytucie od szesnastu lat. Przede wszystkim interesuje go sztuka orientalna.

- Nie, chodzi mi o jego sprawy osobiste. Czy jest żonaty? Czy płaci alimenty? Gra, pije podczas lunchu, a może w sobotę wieczorem przebiera się w damskie ciuchy?

- Nie bądź śmieszny. - Próbowała siedzieć prosto jak osoba dystygowana, potem jednak poddała się i podwinęła nogi. - Jest żonaty. Ma dwójkę dzieci. Wydaje mi się, że starsze z nich właśnie zaczęło studia.

- Wychowanie dzieci bardzo dużo kosztuje, zwłaszcza jeśli wysyła się je na studia. -

Spojrzał na listę, na roczne dochody Cartera. - Ma całkiem przyzwoite zarobki, ale są ludzie, których przyzwoite zarobki wcale nie zadowolają.

- Żona Cartera jest prawniczką i prawdopodobnie zarabia więcej niż on. Pieniądze nie stanowią dla nich problemu.

- Pieniądze zawsze stanowią problem. Jakim samochodem jeździ?

- Nie mam pojęcia.

- Jak się ubiera?

Miała zamiar westchnąć, przyszło jej jednak na myśl, że wie, dokąd Ryan zmierza.

- Nosi stare marynarki i beznadziejne krawaty - zaczęła, zamykając oczy, by lepiej przypomnieć sobie wygląd kierownika laboratorium. - Żadnych wyskoków, tylko na dwudziestą rocznicę ślubu żona kupiła mu rolexa. - Miranda stłumiła ziewnięcie i wtuliła się głębiej w poduszki. - Zawsze nosi te same buty. Hush Puppies. Kiedy zaczynają spadać mu z nóg, kupuje następną parę.

- Zdrzemnij się, Mirando.

- Nic mi nie będzie. Kto następny? - Zmusiła się, by otworzyć oczy. - Och, Elise, była żona mojego brata.

- Nieprzyjemny rozwód?

- A czy bywają przyjemne? Chociaż Elise potraktowała Andrew bardzo łagodnie.

Pracowała jako asystentka Johna, potem przeniosła się do Florencji. Jest kierownikiem laboratorium mojej matki. Elise i Andrew spotkali się w Instytucie, prawdę mówiąc, sama ich sobie przedstawiłam. Zakochał się po uszy. Sześć miesięcy później wzięli ślub. - Ponownie ziewnęła, nawet nie próbując tego ukrywać.

- Jak długo trwało ich małżeństwo?

- Kilka lat. Przez jakiś czas sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych, a potem wszystko zaczęło się rozpadać.

- O co jej chodziło? Marzyła o wystrzałowych kreacjach, wakacjach w Europie, okazałym, wspaniałym domu?

- Chciała, żeby poświęcał jej więcej uwagi i bardziej o nią dbał - wymamrotała Miranda, układając głowę na rękach. - Marzyła o tym, by był trzeźwy i myślał o ich małżeństwie. To klątwa Jonesów. Nie potrafimy sobie z tym poradzić. W stosunkach z innymi ludźmi jesteśmy pechowcami. Muszę na chwilę dać odpocząć oczom.

- Oczywiście, bardzo proszę.

Wrócił do studiowania listy. Teraz były to jedynie nazwiska wypisane na kartce papieru. Chciał, żeby znaczyły dla niego dużo więcej. Nim sprawa dobiegnie końca, będzie wiedział o tych ludziach wszystko. Pozna ich wady, obyczaje, stan kont.

Do listy dodał trzy nazwiska: Andrew Jones, Charles Jones i Elizabeth Standford - Jones.

Wstał, pochylił się nad Mirandą, zsunął jej z nosa okulary i położył je na stole obok niej. Jego zdaniem nie sprawiała wrażenia pogrążonej we śnie niewinnej dziewczynki.

Wyglądała raczej na wyczerpaną kobietę.

Energicznym ruchem zdjął przerzuconą przez oparcie narzutę i przykrył Mirandę.

Pozwoli jej pospać godzinę lub dwie, aby odpoczęła i odzyskała równowagę psychiczną.

Był pewien, że tylko dzięki niej uda mu się rozwikłać tę zagadkę. Pani doktor stanowiła ogniwo.

Podczas gdy spała, Ryan zadzwonił do Nowego Jorku. Jeśli ma się brata, który jest geniuszem komputerowym, od czasu do czasu trzeba skorzystać z jego pomocy.

- Patrick? Tu Ryan. - Rozparł się w fotelu i obserwował śpiącą Mirandę. - Mam dla ciebie kilka spraw, chciałbym również skorzystać z twoich umiejętności hackerskich, ponieważ sam nie mam czasu się tym zająć. Interesuje cię to? - Roześmiał się. - Tak, opłaci się -

dodał.

Dzwoniły kościelne dzwony. Ich muzyka rozchodziła się echem nad czerwonymi dachami, a potem odbijała się od odległych wzgórz. Powietrze było ciepłe, niebo błękitne.

W suterrenach willi panowała jednak ciemność. Miranda zadrżała i zaczęła obmacywać stopień schodów. Wiedziała, że to tu jest.

Czekało na nią.

Kiedy szarpnęła deskę, drewno rozłupało się. Szybciej. Szybciej. Coraz więcej trudności sprawiało jej oddychanie, a po plecach spływała niemiła strużka potu. Drżącymi rękami wyciągnęła to z ciemności i latarką oświetliła twarz.

Uniesione ramiona, obfite piersi, uwodzicielska kaskada włosów. Brąz lśnił, nie było na nim błękitnozielonej patyny czasu. Pod palcami czuła chłodny metal.

Potem rozległy się dźwięki harfy i cichy śmiech kobiety. Oczy statuetki ożyły i nabrały blasku, a brązowe usta uśmiechnęły się i wymówiły jej imię.

Mirando .

Obudziła się z gwałtownym biciem serca. Przez chwilę mogła przysiąc, że czuje mocny zapach perfum. I słyszy milknące echo dźwięków harfy.

Był to jednak dzwonek do drzwi. Ktoś naciskał go wielokrotnie i z wyraźną niecierpliwością. Roztrzęsiona Miranda odrzuciła narzutę i szybko wybiegła z pokoju.

Była zaskoczona na widok Ryana, który otwierał frontowe drzwi. Natomiast przeżyła prawdziwy szok, gdy ujrzała stojącego na progu ojca.

- Witaj, ojcze. - Ponieważ wciąż miała zaspany głos, odchrząknęła i spróbowała ponownie. - Cześć. Nie wiedziałam, że masz zamiar zjawić się w Maine.

- Przyjechałem przed chwilą.

Był wysokim, szczupłym opalonym mężczyzną. Miał gęste, lśniące jak polerowana stal włosy i starannie ostrzyżoną brodę oraz wąsik, który pasował do pociągłej twarzy.

Spoglądające zza soczewek w drucianych oprawkach oczy, tak samo intensywnie niebieskie jak Mirandy, bacznie przyjrzały się Ryanowi.

- Widzę, że nie jesteś sama. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Wykorzystując sytuację, Ryan szybko wyciągnął rękę.

- Witam, doktorze Jones. To dla mnie prawdziwa przyjemność. Rodney J. Pettebone.

Jestem współpracownikiem, a mam nadzieję, że również przyjacielem pańskiej córki. Właśnie przyjechałem z Londynu - ciągnął, odsuwając się do tyłu i zgrabnie wprowadzając Charlesa do środka. Zerknął w stronę schodów na Mirandę, która patrzyła na niego, jakby nagle wyrosły mu dwie głowy. - Miranda była tak miła, że zgodziła się poświęcić mi odrobinę czasu podczas mojego pobytu tutaj. Mirando, kochanie. - Wyciągnął rękę, a na jego twarzy pojawił się pełen uwielbienia uśmiech.

Nie była pewna, co wprawiło ją w większe zdumienie - czy obłudny uśmieszek, czy typowy dla

angielskich wyższych sfer akcent, którym posługiwał się z taką łatwością, jakby urodził się w rodzinie królewskiej.

- Pettebone? - Charles zmarszczył brwi, tymczasem Miranda stała w całkowitym bezruchu, jakby była figurką z brązu. - Syn Rogera?

- Nie, to mój stryj.

- Nie wiedziałem, że Roger ma rodzeństwo.

- Mój ojciec, Clarence, jest jego bratem przyrodnim. Czy mogę wziąć pański płaszcz, doktorze Jones?

- Tak, dziękuję. Mirando, właśnie byłem w Instytucie. Powiedziano mi, że nie czujesz się dzisiaj najlepiej.

- Tak... boli mnie głowa. To nic wielkiego...

- Zostaliśmy przyłapani, kochanie. - Ryan ruszył schodami w górę, ujął ją za rękę i mocno ścisnął. - Jestem pewien, że twój ojciec to zrozumie.

- Nie - powiedziała Miranda zdecydowanie. - Nie zrozumie.

- To moja wina, doktorze Jones. Przyleciałem do Stanów tylko na kilka dni. -

Podkreślił to, z czułością całując palce Mirandy. - Udało mi się namówić pańską córkę, aby wzięła sobie wolny dzień. Pomaga mi w badaniach nad sztuką flamandzką siedemnastego wieku. Nie poradziłbym sobie bez niej.

- Rozumiem. - W oczach Charlesa pojawiła się wyraźna dezaprobata. - Obawiam się...

- Właśnie miałam zamiar zrobić herbatę - przerwała taktownie Miranda. Potrzebowała kilku minut, by uporządkować myśli. - Przepraszam cię na chwilę, ojczu. Może zaczekasz w salonie? To nie potrwa długo. Rodney, pomożesz mi, prawda?

- Z ogromną przyjemnością. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo, ściskając mu rękę.

- Chyba całkiem postradałeś zmysły - syknęła, zamknąwszy za sobą drzwi kuchenne. -

Rodney J. Pettebone? Do diabła, kto to jest?

- W tym momencie ja. Czyżbyś zapomniała, że mnie tu nie ma? - Uszczypnął ją w policzek.

- Na litość boską. Zasugerowałaś ojcu, że wagarujemy. - Zdjęła czajnik z pieca i wstawiła go do zlewu. - Co więcej, że spędzamy ten dzień, bawiąc się w koci - koci - łapci.

- Koci - koci - łapci. - Nie mógł się oprzeć, dlatego objął ją i przytulił do siebie, nie zważając na to,

że wbiła mu łokieć w żebra. - Jesteś taka rozkoszna, Mirando.

- Wcale nie jestem rozkoszna i nie podoba mi się to śmieszne kłamstwo.

- No cóż, może powinienem mu się przyznać, że to ja ukradłem ten brąz. Lecz potem należałoby mu wyjaśnić, że jest to falsyfikat i że Instytut tkwi po uszy w oszustwie ubezpieczeniowym. Tak czy inaczej uznałem, że lepszym rozwiązaniem jest twoja zabawa w koci -

koci - łapci z jakimś angielskim przygłupem.

Zacisnąwszy zęby, wlała gorącą wodę do dzbanka na herbatę, aby go ogrzać.

- Na litość boską, dlaczego zdecydowałaś się na angielskiego przygłupa?

- Bo właśnie coś takiego przyszło mi na myśl. Doszedłem do wniosku, że to może być twój typ. - Kiedy przesłała mu przez ramię cierpiętnicze spojrzenie, uśmiechnął się niewyraź-

nie. - W tej chwili, Mirando, ważniejsze jest to, że twój ojciec był w Instytucie, a teraz pojawił się tutaj. Widocznie chce ci zadać kilka pytań. Musisz się zastanowić, jakich odpowiedzi powinnaś mu udzielić.

- Myślisz, że tego nie wiem? Czy wyglądam na głupią?

- Wcale nie, wydaje mi się jednak, że z natury jesteś uczciwą osobą. Kłamstwo wymaga zręczności. Musisz powiedzieć mu wszystko, o czym wiedziałaś do czasu, kiedy obudziłem cię w środku nocy.

- Wpadłabym na to sama, Rodney. - Mimo to żołądek podchodził jej do gardła na samą myśl o kłamstwie.

- Spałaś niecałe trzy godziny. Możesz nieco wolniej myśleć. Gdzie są wasze kubki? -

Sięgnął do kredensu.

- Nie, nie bierz zwykłych garnuszków. - Z roztargnieniem machnęła ręką. - Weź

chińską porcelanę z szafki w jadalni.

Uniósł brwi. Porcelany używa się dla gości, a nie dla rodziny. To wiele wyjaśniało, gdy chciało się lepiej poznać obyczaje panujące u Jonesów.

- Wezmę dwie. Moim zdaniem Rodney powinien się zorientować, że twój ojciec chciałby porozmawiać z tobą w cztery oczy.

- Tchórz - mruknęła.

Starannie ustawiła na tacy dzbanek, filiżanki i spodeczki, starając się nie przejmować tym, że Ryan ruszył tylnymi schodami na piętro i zostawił ją sam na sam z ojcem.

Wyprostowała się, wzięła tacę i zaniósła ją do salonu. Charles Jones stał przy kominku i szukał czegoś w małym, oprawionym w skórę notesie.

Miranda pomyślała, że jej ojciec wciąż jest bardzo przystojnym mężczyzną. Był taki wysoki i opalony, prosto się trzymał i miał lśniące włosy. W dzieciństwie uważała, że ojciec przypomina postać z bajki. Nie księcia czy rycerza lecz czarodzieja, dlatego że był taki mądry i dostojny.

Rozpaczliwie pragnęła, żeby ją kochał. Marzyła, żeby nosił ją na barana, sadzał na kolanach, żeby w nocy otulał ją kocem i opowiadał jej głupie historyjki.

Musiała jednak zadowolić się powściągliwymi, często wręcz zdawkowymi objawami uczucia. Nikt nigdy nie nosił jej na barana ani nie opowiadał głupich historii.

Westchnęła, odpychając od siebie smutną myśl, i weszła do pokoju.

- Poprosiłam Rodneya, żeby zostawił nas na kilka minut samych - zaczęła. -

Podejrzewam, że chcesz porozmawiać ze mną na temat kradzieży.

- Tak, to bardzo denerwujące, Mirando.

- Owszem. Wszystkich nas wytrąciło z równowagi.

- Postawiła tacę, usiadła w fotelu i nalała herbatę tak, jak ją nauczono. - Policja prowadzi dochodzenie. Mamy nadzieję, że uda nam się odzyskać ten brąz.

- A tymczasem związany z tym rozgłos szkodzi Instytutowi. Twoja matka jest zrozpaczona, a ja chcąc przyjechać do Maine, musiałem oderwać się od swoich spraw, chociaż w tym momencie nie powinienem był tego robić.

- Wcale nie musiałeś przyjeżdżać. - Spokojnie podniosła swoją filiżankę. - Wszystko co można było zrobić, zostało zrobione.

- Najwyraźniej zawiódł nasz system bezpieczeństwa. Za te sprawy odpowiedzialny jest twój brat.

- Andrew w niczym nie zawinił.

- Zostawiliśmy Instytut w jego rękach, a także w twoich - przypomniał, popijając w roztargnieniu herbatę.

- Andrew doskonale się spisuje. Frekwencja na zajęciach wzrosła o dziesięć procent, mamy większe wpływy z biletów, a wartość naszych nabytków zgromadzonych w ciągu ostatnich kilku lat przeszła najśmielsze oczekiwania.

Denerwowało ją, że musi bronić i usprawiedliwiać brata przed mężczyzną, który zrzucił z siebie odpowiedzialność za Instytut z taką samą łatwością, z jaką uchylał się od odpowiedzialności za rodzinę.

- Instytut nigdy nie był dla ciebie najważniejszy - powiedziała łagodnie, wiedząc, jak ojciec reaguje na złość.

- Wolaleś pracę w terenie. Tymczasem Andrew i ja poświęciliśmy mu mnóstwo czasu i energii.

- A teraz mamy pierwszą kradzież od wielu lat. Trudno tego nie zauważyć, Mirando.

- Tak, łatwiej natomiast przeoczyć czas, wysiłek, pracę i mnóstwo wprowadzonych przez nas ulepszeń.

- Nikt nie ma wam za złe, że wykazujecie tyle entuzjazmu. - Machnął ręką. - Jednak jakoś trzeba uporać się z tym wszystkim. Zwłaszcza że wskutek twojego błędnego kroku we Florencji znaleźliśmy się w trudnym położeniu.

- Wskutek mojego błędnego kroku - mruknęła pod nosem. Ojciec zawsze używał

kiepskich eufemizmów w odniesieniu do trudnych sytuacji. - Zrobiłam we Florencji wszystko, czego ode mnie oczekiwano. Wszystko. - Kiedy poczuła, że emocje zaczynają brać górę, opanowała się i dalej ciągnęła już beznamiętnym głosem, ponieważ ojciec tego właśnie się po niej spodziewał. - Gdybym miała dostęp do rezultatów ponownych testów, mogłabym przeanalizować własne wyniki i określić, gdzie popełniłam błąd.

- To musisz załatwić z matką. Chociaż mogę ci powiedzieć, że jest bardzo niezadowolona. Gdyby to wszystko nie dotarło do prasy...

- Nie rozmawiałam z żadnym reporterem. - Wstała, bo nie była już w stanie dłużej usiedzieć, nie potrafiła również udawać, że jest spokojna. - Nigdy nie rozmawiałam na temat *Czarnej Damy* z nikim spoza laboratorium. Cholera jasna, po co miałabym to robić?

Znieruchomiał na chwilę, po czym odstawił na bok filiżankę z herbatą. Nienawidził

konfrontacji, nie cierpiał gwałtownych emocji, które były sprzeczne z jego łagodnym charakterem. Był świadom, że w głębi duszy córki kipią gwałtowne uczucia. Nigdy nie potrafił zrozumieć, skąd one się biorą.

- Wierzę ci.

- Tymczasem zostałam oskarżona... Jak mogło do tego dojść?

- Ja ci wierzę. Moim zdaniem nie uznajesz kompromisów i często się mylisz, nigdy jednak nie wątpiłem w twoją uczciwość. Skoro mówisz, że nie rozmawiałas z prasą na ten temat, widocznie tak było naprawdę.

- To... - Poczowała pieczenie w przetyku. - Dziękuję.

- Ale to właściwie wcale nie zmienia sytuacji. Cały rozgłos należy zbagatelizować.

Chociaż prawdę mówiąc, znalazłaś się w samym środku burzy. Twoja matka i ja uważamy, że powinnaś wziąć długi urlop.

Napływające do jej oczu łzy gwałtownie wyschły.

- Już rozmawiałam z nią na ten temat. Powiedziałam, że nie mam zamiaru się ukrywać. Nie zrobiłam nic złego.

- Nie chodzi o to, co zrobiłaś lub czego nie zrobiłaś. Dopóki obie te sprawy nie zostaną wyjaśnione, twoja obecność w Instytucie przynosi mu szkodę.

Strzepnął spodnie i wstał.

- Począwszy od dziś dostajesz miesięczny urlop. Jeśli to konieczne, możesz przyjść do Instytutu i uporządkować wszelkie bieżące sprawy, ale lepiej by było, gdybyś zrobiła to w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, nie ruszając się z domu.

- Równie dobrze możesz wymalować na moim czole literę „W” na znak, że jestem winna.

- Jak zwykle przesadzasz.

- A ty jak zwykle wyjeżdżasz. No cóż, przynajmniej wiem, na czym stoję. Jestem zdana na własne siły. - Chociaż to ją upokarzało, spróbowała po raz ostatni. - Nie mógłbyś raz, jeden jedyny raz stanąć po mojej stronie?

- Tu nie chodzi o stawanie po czyjejś stronie, Mirando. Nie traktuj tego jako ataku na twoją osobę. To najlepsze rozwiązanie dla wszystkich zaangażowanych w to osób, a także dla Instytutu i Standjo.

- Sprawiasz mi przykrość. Odchrząknął i starał się unikać jej wzroku.

- Jestem pewien, że kiedy dokładnie wszystko przemyślisz, sama uznasz, iż jest to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji. Gdybyś mnie potrzebowała, wiedz, że do jutra zostaję w

„Regency”.

- Nigdy cię nie było, ilekroć cię potrzebowałam - powiedziała cicho. - Przyniosę ci płaszcz.

Ponieważ było mu trochę przykro, poszedł za nią do holu.

- Powinnaś wykorzystać ten czas i gdzieś wyjechać. Poleżeć na słońcu. Może przyłączyłby się do ciebie twój... hm... młody towarzysz.

- Mój kto? - Wyjęła z szafy płaszcz ojca i zerknęła na schody. Po chwili zaczęła się śmiać. - Och, z pewnością. - Musiała otrzeć łzy, chociaż w swoim zachowaniu dostrzegła początki hysterii. - Idę o zakład, że stary Rodney bardzo chętnie wybierze się ze mną w jakąś podróż.

Pomachała ojcu, a potem usiadła na najniższym stopniu schodów i śmiała się jak szalona, dopóki

śmiech nie przerodził się w płacz.

Ponieważ Ryan miał trzy siostry, wiedział wszystko o kobiecych łzach. Zdawał sobie sprawę, że istnieją łzy spokojne i uroczne, spływające po kobiecych policzkach jak małe płyn-ne diamenty i sprawiające, że mężczyzna jest w stanie jedynie błagać. Zdarzają się też gorące łzy złości tryskające z kobiecych oczu jak ogień, a wtedy mądry mężczyzna powinien uciekać gdzie pieprz rośnie i schować się w mysiej dziurze.

Są również takie, które długo leżą ukryte na dnie serca, a kiedy już zdołają zerwać wszelkie tamy i uwolnić się, zamieniają się w potop bólu, któremu nie jest w stanie ulżyć żaden mężczyzna.

Dlatego Ryan zostawił Mirandę samą, skuloną na najniższym stopniu schodów, by mogła dać upust zrodzonym z głębi serca łzom. Był pewien, że teraz Miranda na pewno zamknie się w sobie, pozostawało mu więc jedynie czekać i uszanować jej prywatność.

Kiedy ostre rozdzierające szlochanie ustało, zszedł do holu, otworzył szafę i dopóty ją przeszukiwał, dopóki nie znalazł kurtki.

- Trzymaj. - Podał ją Mirandzie. - Chodźmy zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Zakłopotana spojrzała na niego opuchniętymi oczyma. Całkiem zapomniała o jego obecności.

- Słucham?

- Chodźmy zaczerpnąć trochę świeżego powietrza - powtórzył, a ponieważ nie miała siły, aby się podnieść, pomógł jej wstać. Narzucił jej kurtkę na ramiona i sprawnie zapiał

guziki.

- Woląabym zostać sama. - Próbowała zdobyć się na chłodny, obojętny ton, ale nie udało jej się to, mówiła nieco zachrypniętym głosem, ponieważ wciąż bolało ją gardło.

- Wystarczająco długo byłaś sama. - Włożył własną kurtkę, a potem wypchnął

Mirandę za drzwi.

Powietrze było orzeźwiające, a mocne promienie słońca paliły w obolałe oczy.

Poczuła się upokorzona. Doszła do wniosku, że łzy w niczym nie pomagają, ale jeśli wylewa się je na osobności, przynajmniej nikt nie widzi, że straciło się panowanie nad sobą.

- To wspaniałe miejsce - powiedział, starając się kontynuować rozmowę. Trzymał ją za rękę, chociaż usiłowała się uwolnić. - Zapewnia prywatność i fantastyczny widok, poza tym wystarczy wyjść za drzwi, by poczuć zapach morza. Chociaż otoczenie domu jest trochę zaniedbane.

Pomyślał, że Jonesowie zbyt mało czasu spędzają na świeżym powietrzu. Po drugiej stronie

opadającego w dół trawnika rosły dwa stare drzewa, które aż się prosiły, by rozwiesić między nimi hamak. Wątpił, czy Miranda kiedykolwiek leżała w ich cieniu w letnie popołudnie.

Dostrzegł również nie zabezpieczone przed zimą krzewy, które jak przypuszczał, nawet bez niczyich starań każdej wiosny obsypują się wspaniałym kwieciem. Na trawniku natomiast miejscami prześwitywała goła ziemia, która wyraźnie domagała się, by ją nawieźć i obsiać.

Mimo to trawa, krzewy, stare drzewa i wspaniałe sosny osłaniające dom przed północnym wiatrem świadczyły o tym, że niegdyś ktoś dbał o ten teren, osobiście go zagospodarował, lub przynajmniej zatrudnił ludzi, którzy się tym zajęli.

Chociaż Ryan był typowym mieszczuchem, doceniał większą atmosferę.

- Nie troszczysz się o to, co masz. Zaskakujesz mnie, Mirando. Wydawałoby mi się, że kobieta obdarzona tak praktyczną naturą jak ty powinna zrobić wszystko, by zadbać o swoją posiadłość i spuściznę po przodkach.

- W końcu to tylko budynek.

- No właśnie. Tymczasem powinien to być dom. Czy tu się wychowywałaś?

- Nie. - Czowała, że na skutek płaczu zaczyna ją boleć głowa. Chciała wrócić do domu, wziąć aspirynę i położyć się w ciemnym pokoju, ale nie miała dostatecznie dużo siły, by oprzeć się Ryanowi, kiedy ciągnął ją po biegnącej wzdłuż urwiska ścieżce. - Tu mieszkała moja babka.

- To wszystko wyjaśnia. Nie mogę sobie wyobrazić, by twój ojciec jako dorosły człowiek chciał tu mieszkać. To do niego nie pasuje.

- Nie znasz mojego ojca.

- Ależ znam. - Kiedy wspinali się wzdłuż urwiska, smagał ich wiejący ze wszystkich stron wiatr. Jego działanie niszczyło przez całe wieki kamienie, wygładzało je i zaokrąglało.

W promieniach słońca lśniły teraz jak cynowe talerze. - Jest pompatyczny i arogancki. Ma ograniczone pole widzenia, dzięki czemu może być świetnym specjalistą, ale nie liczy się z innymi. Nie wysłuchał cię - dodał, kiedy dotarli do płaskiego występu sterczącego nad morzem - bo nie potrafi słuchać.

- Najwidoczniej ty to potrafisz. - Wyrwała rękę z jego uchwytu i przyjęła postawę obronną. - Chyba nie powinno być dla mnie żadnym zaskoczeniem, że ktoś kto okrada innych, zniża się również do podsłuchiwania prywatnych rozmów.

- Też tak uważam. Naprawdę chodzi jednak o to, że zrzucił wszystko na ciebie. Co masz zamiar z tym zrobić?

- A co mogę zrobić? Chociaż cieszę się w Instytucie sporym autorytetem, nie zmienia to faktu, że pracuję dla moich rodziców. Na jakiś czas zostałam zwolniona z pełnienia swoich obowiązków, to

wszystko.

- Gdybyś miała choć odrobinę dumy, nie zgodziłabyś się na to.

- Nic nie wiesz na ten temat. - Odwróciła się od niego, a jej dotychczasowe rozgoryczenie zamieniło się we wściekłość. - To oni kierują całą instytucją, i zawsze tak było.

Wbrew pozorom robię to, co mi każą. Oboje z Andrew prowadzimy Instytut, ponieważ żadne z nich nie chce zajmować się zwykłymi codziennymi sprawami. Jednak zawsze wiedzieliśmy, że jeśli rodzice zechcą, mogą odebrać nam tę zabawkę. Właśnie to zrobili.

- Masz zamiar pogodzić się z tym, że cię w ten sposób wyrzucono? Broń się, Mirando.

- Chwyił w garść jej włosy, a wiatr wściekle rozwiewał resztę loków. - Pokaż im, na co cię stać. Instytut nie jest jedynym miejscem, w którym możesz zabłysnąć.

- Czy sądzisz, że jakiegokolwiek liczące się muzeum lub laboratorium zechce mnie zatrudnić po ostatniej aferze? Brąz z Fiesole zepsuł mi reputację. Żałuję, że kiedykolwiek go widziałam.

Pokonana usiadła na kamieniach i wpatrzyła się w półwysep, na którym stała latarnia, która wyglądała jak biały kawałek marmuru na ciemnoniebieskim tle nieba.

- Więc załóż własne laboratorium.

- To marzenie ściętej głowy.

- Wiele osób mówiło mi to samo, kiedy postanowiłem otworzyć w Nowym Jorku galerię. - Usiadł obok niej i skrzyżował nogi.

Roześmiała się.

- Różnica polega na tym, że nie mam zamiaru niczego kraść, by rozkręcać własny interes.

- Wszyscy robimy to, co umiemy najlepiej - powiedział beztrąsko. Wyjął cygaro i zapalając je, osłonił dłonią jego końcówkę. - Masz kontakty, prawda? Ogromną wiedzę.

Pieniądze.

- Rzeczywiście mam sporą wiedzę i pieniądze. Natomiast kontakty... - Wzruszyła ramionami. - Nie mogę teraz na nie liczyć. Uwielbiam swoją pracę - stwierdziła. - Uwielbiam wszystko, co się z nią wiąże, a zwłaszcza niespodziewane odkrycia. Większość ludzi traktuje naukę jak szereg stopni wykuwanych w betonie, tymczasem wcale tak nie jest. Jest to ukła-danka, której nigdy nie da się poskładać do końca. Dobranie kilku elementów i znalezienie odpowiedzi jest czymś niezwykle ekscytującym. Nie chcę tego stracić.

- Nie stracisz, chyba że się poddasz.

- Kiedy zobaczyłam brąz z Fiesole, zrozumiałam, że stoją przede mną ogromne możliwości. Wiedziałam, że wielką rolę odgrywa tu również moje ego, moja ambicja, ale kto by się tym przejmował. Zakładałam, że potwierdzę jego autentyczność, dowiodę, jaka jestem bystra i mądra, a matka mi przykłaśnie. Tak jak zwykle robią to matki, obserwując swoje pociechy na scenie podczas szkolnego przedstawienia. Z pełnym sentymentu entuzjazmem i dumą. - Opuściła głowę na kolana. - To żałosne.

- Wcale nie. Większość z nas przechodzi przez dorosłe życie, dając przedstawienie dla rodziców i licząc na ich poklask.

Odwróciła głowę i bacznie mu się przyjrzała.

- Czy ty też to robisz?

- Wciąż pamiętam otwarcie mojej nowojorskiej galerii. Chwilę, kiedy moi rodzice weszli do środka. Ojciec miał na sobie porządny garnitur, ten, który zawsze nosi na śluby i pogrzeby, a matka nową niebieską suknię i wspaniałą fryzurę. Pamiętam ich twarze. Widać na nich było czułość, entuzjazm i dumę. - Roześmiał się cicho. - A także spore zaskoczenie. To było dla mnie bardzo ważne.

Obróciwszy głowę, oparła brodę na dłoniach i ponownie spojrzała na morze, na niespokojne, białe zimne fale rozbijające się z łoskotem o brzeg.

- Pamiętam twarz matki, kiedy odsuwała mnie od pracy nad brązem z Fiesole. -

Westchnęła. - Łatwiej byłoby mi znieść rozczarowanie i żal niż jej lodowatą pogardę.

- Zapomnij o brązie.

- Jak mam to zrobić? To właśnie od niego zaczął prześladować mnie pech. Gdybym mogła tam wrócić i sprawdzić, gdzie popełniłam błąd... - Przycisnęła palce do oczu. -

Chciałabym ponownie móc go przetestować, tak jak *Dawida*.

Powoli opuściła ręce. Poczowała, że ma wilgotne dłonie.

- Jak *Dawida* - mruknęła. - O mój Boże! - Gwałtownie poderwała się na równe nogi.

Przez jedną szaloną chwilę Ryan obawiał się, że Miranda ma zamiar skoczyć w dół.

- Zaczekaj. - Sam również wstał i zdecydowanie chwycił ją za rękę. - Moim zdaniem znajdujesz się trochę za blisko krawędzi.

- To bardzo przypomina historię z *Dawidem*. - Odsunęła się od Ryana, a potem chwyciła go za kurtkę. - Postępowałam zgodnie z procedurą, krok po kroku. Wiem, co miałam w rękach. Naprawdę wiem. - Ponownie go pchnęła i odskoczyła, stukając botkami po kamieniach. - Wszystko zrobiłam dobrze. Wszystko sprawdziłam. Wymiary, receptury, grubość warstwy korozji. Dysponowałam faktami, miałam na wszystko odpowiedzi. Ktoś go zamienił.

- Zamienił?

- Tak samo jak *Dawida*. - Uderzyła pięścią o jego klatkę piersiową, zupełnie jakby chciała wtłoczyć w niego prawdę. - Po prostu tak samo jak *Dawida*. Laboratorium Pontiego dostało falsyfikat, a nie oryginalny brąz. To była kopia. To musiała być kopia.

- Niezłe skojarzenie, doktor Jones. - Możliwości zaszumiały mu w głowie jak dobre wino. - Interesujące.

- To pasuje. Ma sens. Jest to jedyne sensowne rozwiązanie.

- Dlaczego? - Uniósł brwi. - Czy nie bardziej logiczne byłoby założenie, że popełniłaś błąd?

- Nie, ponieważ go nie popełniłam. Och, nie mogę uwierzyć, że dałam sobie to wmówić. - Przechesała palcami włosy i przycisnęła pięści do skroni. - Nie myślałam logicznie. Gdy wystarczająco często słyszy się pełne zdecydowania stwierdzenie, że popełniło się błąd, w końcu zaczyna się w to wierzyć. Nawet jeśli się wcale go nie zrobiło.

Ruszyła długim zdecydowanym krokiem, pozwalając, by podmuch wiatru rozwiewał włosy, odświeżał umysł.

- Gdyby nie *Dawid*, nadal bym w to wierzyła.

- Dobrze, że go ukradłem.

Spojrzała na niego z ukosa. Dostosował do niej krok i wyglądało na to, że spacer w wietrzne popołudnie sprawia mu prawdziwą przyjemność.

- Najwyraźniej tak - mruknęła. - Dlaczego ten właśnie eksponat? Dlaczego ukradłeś tę konkretną rzeźbę?

- Mówiłem ci już, że miałem na nią klienta.

- Kogo? Wydał wargi.

- Pewnych rzeczy się nie mówi, Mirando.

- Może istnieje jakieś powiązanie.

- Między moim *Dawidem* a twoją damą? Trudno mi w to uwierzyć.

- Między moim *Dawidem* a m o j ą damą. I wcale nie jest to takie wykluczone.

Obydwie rzeźby są renesansowymi brązami, Standjo i Instytut są ze sobą powiązane, a ja pracowałam zarówno przy jednej, jak i drugiej figurce. To są fakty. Na dodatek obydwie były prawdziwe, a potem zastąpiono je kopiami.

- To już są przypuszczenia, nie fakty.

- Raczej mądra i logiczna teoria - poprawiła - na podstawie której można wyciągnąć wstępny wniosek.

- Znam swojego klienta od kilku lat. Uwierz mi, nie interesują go żadne skomplikowane intrygi. Po prostu ilekroć zobaczy coś, co chciałby mieć, dokłada wszelkich starań, by zrealizować swoje marzenia. Jeśli uważam, że jest to możliwe, wykonuję jego zlecenie. Staramy się, żeby wszystko był proste.

- Proste. - Nie potrafiła zrozumieć takiego podejścia do sprawy i nie chciała go rozumieć.

- Poza tym - dodał - na pewno nie zleciłby mi kradzieży falsyfikatu.

Słyszając to, zmarszczyła czoło.

- Mimo to nadal uważam, że osoba, która podmieniła *Dawida*, zrobiła to samo z *Czarną Damą*.

- Zgadza się, że istnieje taka możliwość.

- Byłabym w stanie to potwierdzić, gdyby udało mi się przetestować obie rzeźby i porównać je ze sobą.

- W porządku.

- Co znaczy „w porządku”?

- Zrobmy to.

Zatrzymała się u podnóża latarni, w miejscu gdzie łupek chrzęścił pod stopami.

- Co takiego?

- Porównajmy je. Jedną mamy. Musimy jeszcze zdobyć drugą.

- Masz na myśli kradzież? Nie bądź śmieszny. Kiedy się odwróciła, chwycił ją za ramię.

- Chcesz znać prawdę?

- Tak, ale nie polecę w tym celu do Włoch, nie włamię się do budynku rządowego i nie ukradnę bezwartościowej kopii.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy przy okazji zabrać również czegoś bardziej wartościowego. Tylko pomyśl - dodał, kiedy otworzyła szeroko usta. - Jeśli masz rację i uda nam się to udowodnić, zdołasz uratować swoją reputację. Naprawdę.

To było niemożliwe, wręcz szalone. Tego nie da się zrobić. Widząc jednak błysk w jego oczach,

zaczęła się zastanawiać.

- Dlaczego się tym przejmujesz? Co ty byś na tym zyskał?

- Jeśli masz rację, znalazłbym się o krok bliżej oryginalnego *Dawida*. Ja również chciałbym uratować swoją reputację.

Przyszło mu też na myśl, że jeśli Miranda ma słuszość i *Czarna Dama* jest autentykiem, zbliżyłby się także do niej, a nawet miałby szansę ją zdobyć. Stanowiłaby prawdziwą ozdobę jego prywatnej kolekcji.

- Nie złamię prawa.

- Już to zrobiłaś. Stoisz tutaj ze mną, prawda? Jesteś współwinna, doktor Jones. - Po przyjacielsku otoczył ją ramieniem. - Nie groziłem ci nożem ani rewolwerem. Przeprowadziłaś mnie pod okiem twoich strażników - ciągnął, kierując się w stronę domu. -

Spędziłaś ze mną cały dzień, doskonale zdając sobie sprawę, że mam przy sobie skradziony przedmiot. Ugrzęzłaś w tym. - Pocałował ją w czubek głowy. - A więc nic nie stoi na przeszkodzie, abyś mi nadal pomagała.

Sprawdził zegarek i zaczął obliczać czas.

- Idź na górę i spakuj się. Najpierw polecimy do Nowego Jorku. Mam tam kilka spraw do załatwienia, muszę również zabrać jakieś ubranie i narzędzia.

- Narzędzia? - Odgarnęła włosy z twarzy. Doszła do wniosku, że lepiej nie pytać, jakiego rodzaju narzędzia ma na myśli. - Nie mogę tak po prostu lecieć do Włoch. Muszę porozmawiać z Andrew. Powinnam mu wszystko wyjaśnić.

- Zostaw mu liścik - zaproponował Ryan, otwierając tylne drzwi. - W miarę krótki, w którym uprzedzisz brata, że wyjeżdżasz na kilka tygodni. Nie wprowadzaj go w szczegóły na wypadek, gdyby gliniarze byli zbyt dociekliwi.

- Jeśli wyjadę, nim śledztwo dobiegnie końca, policja może uznać, że mam z tym wszystkim coś wspólnego.

- To tylko spotęguje dreszczyk emocji. Lepiej nie korzystaj ze swojego telefonu -

mruknął. - Zawsze istnieje możliwość, że sprawdzą, z kim rozmawiałaś. Wyjmę swój. Muszę zadzwonić do kuzyna Joeya.

Kręciło jej się w głowie.

- Do kuzyna Joeya?

- Pracuje w biurze podróży. Idź się spakować - powtórzył. - Joey zarezerwuje nam miejsca na

pierwszy możliwy lot. Nie zapomnij wziąć paszportu i notebooka. Będziemy musieli wrócić do przeglądania akt personalnych.

Próbowała zaczerpnąć powietrze w płuca.

- Czy coś jeszcze mam ze sobą zabrać?

- Apetyt. - Wyjął telefon z torby. - Na kolację powinniśmy dotrzeć do Nowego Jorku.

Na pewno zasmakują ci *linguine* mojej matki.

Andrew dotarł do domu tuż przed szóstą. Kilkakrotnie próbował dodzwonić się do Mirandy, ale za każdym razem odpowiadała automatyczna sekretarka. Nie wiedział, w jakim stanie jest siostra - czy szaleje z wściekłości, czy też bez reszty pogrążyła się w nieutulonym żalu. Miał nadzieję, że zdoła uporać się i z jednym, i drugim.

Znalazł jedynie przymocowany do drzwi lodówki liścik.

Andrew, na pewno wiesz, że kazano mi wziąć urlop. Przepraszam, że w takiej chwili zostawiam Cię na łodzi. Nie twierdzę, że nie mam innego wyboru, ale jest to jedyna możliwość, którą mogę zaakceptować. Wyjeżdżam na kilka tygodni. Proszę, nie martw się.

Gdy tylko będzie to możliwe, skontaktuję się z Tobą. Nie zapomnij wynieść śmieci. Z niedzieli zostało jeszcze trochę pieczeni - wystarczy Ci na jeden lub dwa posiłki. Zjedz to.

Kocham Cię Miranda.

- Cholera jasna. - Wziął do ręki liścik i ponownie go przeczytał. - Gdzie jesteś, Mirando?

- Nie rozumiem, dlaczego nie poleciliśmy prosto do Florencji - zastanawiała się Miranda, gdy Ryan zasiadł za kierownicą zgrabnego małego bmw i wyjechał z lotniska La Guardia. - Jeśli mamy zamiar popełnić tego typu szaleństwo, nie powinniśmy zbaczać z drogi.

- Wcale nie zbaczamy z drogi, jedynie zgodnie z rozkładem jazdy zatrzymujemy się na stacji. Muszę zabrać swoje rzeczy.

- Ubranie możesz kupić sobie we Włoszech.

- Być może rzeczywiście to zrobię. Gdyby Włosi ubierali świat, byłoby na nim dużo ciekawiej. Mimo to potrzebuję kilku drobiazgów, które czasami trudno dostać w normalnym sklepie.

- Masz na myśli swoje narzędzia - mruknęła. - Sprzęt złodziejski.

- Między innymi.

- Świetnie, doskonale. - Przesunęła się na siedzeniu i zabębniła palcami po kolanie.

Jakoś musiała pogodzić się z faktem, że współpracuje z kryminalistą. Złodziejem, człowiekiem wyzutym z wszelkich zasad.

Wiedziała jednak, że bez pomocy Ryana nigdy już nie zdoła zobaczyć brązu lub...

falsyfikatu. Zapewniała samą siebie, że jest to falsyfikat. To była logiczna teoria, lecz aby jej dowieść, należało zdobyć więcej danych i przeprowadzić badania.

Co by było, gdyby zapomniała o własnej dumie i przedstawiła tę teorię matce? Na samą myśl o tym Miranda niemal się roześmiała. Elizabeth zlekceważyłaby zarówno córkę, jak i jej słowa, uznałaby je za objaw arogancji, uporu i desperacji.

W pewnym sensie miałyby rację.

Jedynym człowiekiem, który zechciał wysłuchać Mirandy i postanowił wszystko sprawdzić, był zawodowy złodziej z pewnością kierowany własnymi pobudkami i spodziewający się, że jako wynagrodzenie otrzyma od Mirandy *Wenus* Donatella.

No cóż, to się jeszcze zobaczy.

Ryan był jedynie elementem w równaniu, niczym więcej. Znalezienie i potwierdzenie autentyczności *Czarnej Damy* było ważniejsze niż sposób, w jaki zostanie to osiągnięte.

- Nie mamy po co jechać do Brooklynu.

- Mamy. - Ryan doszedł do wniosku, że doskonale wie, co dzieje się w godnej podziwu głowie

Mirandy. Bez trudu można było odczytać jej myśli, zwłaszcza gdy nie wiedziała, że ktoś ją obserwuje. Miała bardzo wyrazistą twarz. - Tęsknię za kuchnią mojej matki.

Uśmiechnął się do niej i szybko wyprzedził niewielkiego sedana. Tak łatwo było ją rozszyfrować. Jest wściekła, że musi z nim współpracować, dlatego rozważa wszelkie za i przeciw, by uzasadnić własną decyzję.

- Przed wyjazdem do Włoch muszę załatwić z rodziną kilka spraw. Siostra będzie mnie prosić o buty - mruknął. - Zawsze chce, żebym przywiózł jej buty. Jest uzależniona od Ferragama.

- Masz zamiar ukraść buty dla siostry?

- Wybacz. - Głęboko urażony odwrócił wzrok i spojrzał na uliczny ruch. - Nie jestem złodziejem sklepowym.

- Nie gniewaj się, ale kradzież to kradzież.

Jego naznaczona blizną brew uniosła się po szelmowsku.

- Wcale nie.

- Nie chcę jechać do Brooklynu. Może po prostu podrzucisz mnie do hotelu, w którym mam się zatrzymać.

- Po pierwsze, nie zatrzymujesz się w hotelu. Na tę noc zostajesz u mnie.

Odwróciła głowę i przymrużyła oczy.

- Na pewno nie.

- Po drugie, jedziesz ze mną do Brooklynu, ponieważ dopóki nie doprowadzimy sprawy do końca, jesteśmy ze sobą nierozzerwalnie związani, o czym najwyraźniej zapomniałaś. Pojedziesz wszędzie tam, dokąd ja... doktor Jones.

- To śmieszne. - I uciążliwe. Marzyła o chwili samotności, by móc zapisać wszystko na papierze i uporządkować własne myśli. Zastanowić się nad tym wszystkim. Ryan nie dał

jej na to czasu. - Sam powiedziałeś, że tkwię w tym po uszy i nie pozostaje mi nic innego, jak z tobą współpracować. Twoja nieufność tylko komplikuje sprawę.

- Sprawę skomplikowałoby zaufanie ci - poprawił. - Problemem jest twoje sumienie.

Przypuszczam, że od czasu do czasu może cię kusić, by zadzwonić do jakiegoś gliniarza i wszystko mu wyznać. - Poklepał ją po ręce. - Potraktuj mnie jak złego ducha, który stoi za twoimi plecami i wali po pysku twojego anioła stróża, ilekroć zaczniesz ci prawić kazania na temat uczciwości i prawdomówności.

- Nie zatrzymam się u ciebie. Nie mam zamiaru z tobą spać.
- Masz ci los. Chyba nie wiesz, co tracisz. Zaciśnęła zęby, ponieważ w jego głosie usłyszała śmiech.
- Od początku chciałeś, żebym się z tobą przespała, i doskonale o tym wiesz.
- To było moje największe marzenie, tymczasem ty je zniweczyłaś. Nie wiem, jak zdołam to przeżyć.
- Gardzę tobą - syknęła, a kiedy ponownie się roześmiał, dała upust złości i z godnością wyrzała przez boczną szybę, przez resztę jazdy ignorując Ryana.

Właściwie nie wiedziała, czego się spodziewała, na pewno jednak nie przypuszczała, że będzie to ładny, wykończony na żółto dwupoziomowy dom w spokojnej dzielnicy.

- Tu dorastałeś?
- Nie.

Uśmiechnął się, słysząc w jej głosie zaskoczenie. Domyślał się, że Miranda nastawiła się na wyprawę do slumsów, w świat wiecznie podniesionych głosów oraz wszechobecnego zapachu czosnku i śmieci.

- Moja rodzina wprowadziła się tu mniej więcej dziesięć lat temu. Chodź, czekają na nas, a mama pewnie przygotowała już jakąś przekąskę.

- Czekają na nas?

- Dzwoniłem, by dać im znać, że przyjeżdżamy.

- Dzwoniłeś? Kim jestem?

- O tym każdy musi zdecydować sam.

- Co im powiedziałaś? - dopytywała się Miranda, trzymając mocno klamkę, kiedy pochylił się, by otworzyć drzwi samochodu.

- Że przyjeżdżam w towarzystwie kobiety. - Przez chwilę jego twarz znajdowała się blisko niej. - Nie wstydź się. To bardzo mili ludzie.

- Nie wstydzę się. - Mimo to czuła delikatny ucisk w żołądku. Zdarzało jej się to, ilekroć miała poznać nowych ludzi. Próbowwała jednak przekonać samą siebie, że w tym przypadku jest to absurd. - Chcę jedynie wiedzieć, jak im wyjaśniłeś... Przestań - zażądała, kiedy Ryan opuścił wzrok i zaczął wpatrywać się w jej usta.

- Hmm. - Naprawdę bardzo chciał ugryźć jej upartą dolną wargę. - Przepraszam, to tylko roztargnienie. Ładnie... pachniesz, doktor Jones.

Chwila wymagała podjęcia jakichś działań, a nie wyobrażania sobie, że obydwoma rękami chwytając go za włosy i przyciąga jego wargi do swoich ust. Żeby skończyć z podobnymi fantazjami, uderzyła dłonią w jego klatkę piersiową, a drugą ręką otworzyła drzwi i wyskoczyła z auta.

Roześmiał się cicho, co pomogło mu nieco się rozluźnić, po czym wysiadł po drugiej stronie.

- Cześć, Remo.

Ogromny, brązowy, śpiący przed domem pies wyprostował łapy i szczeknął donośnie, a ten dźwięk przetoczył się po podwórku jak wystrzał armatni. Potem skoczył na Ryana, wyrażając w ten sposób swoją miłość.

- Myślałem, że zdołali nauczyć cię dobrych manier. - Uśmiechnął się promiennie i podrapał rozradowanego psa za uszami. - Co się stało z psią szkołą? Znowu oblałeś egzamin, prawda? - zapytał Ryan, kierując się w stronę drzwi.

Czworonóg, jakby pragnął uniknąć tego pytania, uciekł wzrokiem i spojrzał na Mirandę. Wystawił język w psim uśmiechu.

- Nie boisz się psów, prawda?

- Nie, lubię je - odparła, kiedy Ryan otworzył frontowe drzwi. Z głębi domu doleciały dźwięki dziennika telewizyjnego, podniesione głosy kobiety i mężczyzny zajętych przykrą gwałtowną wymianą zdań, zapach przypraw i podrumienianego czosnku. Po chwili pojawił

się ogromny cętkowany kot, który prysnął przez otwarte drzwi i natychmiast zaczął wojnę z psem.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - mruknął Ryan i lekko wepchnął ją do środka.

„Jeśli nie potrafisz zachowywać się jak przyzwoity człowiek, nie życzę sobie, żebyś w ogóle rozmawiał z moimi przyjaciółmi. „

„Ja przecież tylko wspomniałem, że gdyby poddała się choćby najprostszej operacji plastycznej, nie tylko poprawiłaby swój wygląd, lecz również własne mniemanie o sobie i życie seksualne.”

„Jesteś świnią, Patrick.”

„No cóż, prawdę mówiąc, twoja przyjaciółka ma nos jak tylna płetwa chwolecia z pięćdziesiątego siódmego roku. „

„Jesteś nie tylko świnią, lecz płytkim, powierzchownym dupkiem.”

„Próbuję oglądać wiadomości. Na rany Chrystusa, wyjdźcie kłócić się na zewnątrz, dopóki nie skończy się sport. „

- Chyba nie jest to odpowiednia chwila na odwiedzinę - zauważyła Miranda nieco wymuszonym tonem.

- Nie, to całkiem normalne - zapewnił Ryan, wciągając ją do przestronnego, choć zagraconego i głośnego salonu.

- Cześć, Ry!

Znajdujący się w nim mężczyzna, a właściwie chłopiec, który uśmiechał się niemal równie zabójczo jak Ryan, wykonał kilka długich susów i grzmotnął Ryana pięścią w plecy.

Miranda doszła do wniosku, że pewnie w ten sposób okazuje się braterskie uczucia.

Młodzieniec miał ciemne kręcone włosy, złocistobrazowe błyszczące oczy i uroczą twarz. Miranda podejrzewała, że dziewczęta z jego szkoły wzdychają do niego nocami.

- Witaj, Pat. - Ryan z taką samą serdecznością porwał go w objęcia, chcąc go przedstawić. - To mój młodszy brat, Patrick, a to Miranda Jones. Bądź grzeczny - ostrzegł

Patricka.

- Jasne. Cześć, Mirando, jak ci leci?

Nim zdołała odpowiedzieć, pojawiła się młoda kobieta, z którą kłócił się Patrick.

Długo i badawczo przyjrzała się Mirandzie, jednocześnie obejmując Ryana i ocierając się o jego policzek.

- Tęskniłam za tobą. Cześć, Mirando. Mam na imię Colleen. - Nie wyciągnęła ręki, natomiast ani na chwilę nie przestawała zaborczo obejmować brata.

Miała urodę typową dla Boldarich, z jej oczu przebijała inteligencja. Obrzuciła Mirandę bystrym i taksującym spojrzeniem.

- Miło mi was poznać. - Miranda uśmiechnęła się z rezerwą do Colleen, nieco serdeczniejszym uśmiechem obdarzyła Patricka.

- Masz zamiar przez cały dzień trzymać swoją dziewczynę w drzwiach czy w końcu wpuścisz ją do środka i pozwolisz, żebym się jej lepiej przyjrzał? - Słowa dobiegające z salonu sprawiły, że cała trójka Boldarich wybuchnęła śmiechem.

- Już ją prowadzę, tato. Pozwól, że wezmę twój płaszcz, Mirando.

Oddała go z pewnym wahaniem, niemiło również zabrzmiał w jej uszach odgłos zamykanych za plecami drzwi.

Giorgio Boldari wstał z fotela i ściszył telewizor. Miranda doszła do wniosku, że Ryan wcale nie odziedziczył postury po ojcu. Stojący przed nią mężczyzna był niski i krępy, a jego zaciśnięte usta ozdabiał siwiejący wąsik. Miał na sobie spodnie khaki, starannie wyprasowaną koszulę, zdarte adidasy i na szyi medalik z Matką Boską.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Miranda ze zdenerwowania poczuła szum w uszach.

- Nie jesteś Włoszką, prawda? - zapytał wreszcie.

- Nie.

Giorgio wyduł wargi i bacznie przyjrzał się jej twarzy.

- Sądząc po włosach, prawdopodobnie w twoich żyłach płynie irlandzka krew.

- Matka mojego ojca była Irlandką. - Miranda stała spokojnie, bez ruchu, uniosła jednak brwi do góry.

Wtedy na twarzy Giorgia pojawił się uśmiech szybki i jasny jak błyskawica.

- Ta dziewczyna wygląda na babkę z klasą, Ry. Colleen, daj jej wina. Na pewno jest spragniona. Jankesi dzisiaj przerznęli. Oglądasz baseball?

- Nie...

- A powinnaś. Dobrze by ci to zrobiło. - Potem odwrócił się do syna i chwycił Ryana w gwałtownym niedźwiedzim uścisku. - Powinieneś częściej bywać w domu.

- Staram się. Mama jest w kuchni?

- Tak, tak. Maureen! - Nagły krzyk byłby w stanie rozkruszyć beton. - Przyszedł Ryan z dziewczyną. Ona jest całkiem ładna. - Puścił do Mirandy perskie oko. - Jak możesz nie lubić baseballu?

- Trudno powiedzieć, że go nie lubię. Po prostu...

- Ryan grał na trzeciej bazie, to gorący róg. Mówił ci o tym?

- Nie, ja...

- Na ostatnim roku jego średnia skuteczność wynosiła cztery do dwudziestu pięciu.

Nikt nie ukradł więcej baz niż mój Ryan.

Miranda spojrzała na Ryana.

- Na pewno.

- Mamy nawet trofea. Ry, pokaż dziewczynie swoje trofea.

- Później, tato.

Colleen przyniosła tacę z kieliszkami, a potem wróciła do kłótni z Patrickiem, chociaż teraz robili to półgłosem. Za drzwiami nieprzerwanie szczekał pies, a Giorgio ponownie krzyknął do żony, żeby do

jasnej cholery przyszła i poznała dziewczynę Ryana.

Mirandzie przyszło na myśl, że tu przynajmniej nikt nie będzie od niej wymagał, by prowadziła rozmowę. Ci ludzie po prostu z powrotem zajęli się swoimi sprawami, jakby w domu nie było nikogo obcego.

Samo mieszkanie było niewielkie, ale jasne i obwieszane dziełami sztuki. Miranda zauważyła, że Ryan miał rację, mówiąc o akwarelach matki. Na ścianie wisiały trzy śliczne melancholijne scenki z nowojorskiej ulicy.

Natomiast za kanapą z niebieskimi poduszkami, na których widać było grubą warstwę sierści psa, znajdowała się dziwna i intrygująca płatanina czarnego metalu - najprawdopodobniej dzieło ojca Ryana.

Wszędzie było mnóstwo bibelotów, pamiątek i oprawionych zdjęć, na podłodze leżał

powiązany w supły sznur noszący ślady zębów Remo, a na lawie znajdowały się porozrzucane gazety i czasopisma.

Nikt nawet nie próbował ich zebrać lub przeprosić za bałagan.

- Witamy u Boldarich. - Z błyskiem w oku Ryan wziął z tacy dwa kieliszki, wręczył

jeden Mirandzie i wznosił toast. - Być może twoje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Zaczynała mu wierzyć.

Kiedy wypila pierwszy łyk, do pokoju wpadła kobieta, wycierając ręce w poplamiony sosem fartuszek. Obdarzona wspaniałą irlandzką urodą Maureen Boldari była szczupła i wiotka. Przewyższała męża o ponad siedem centymetrów. Jej lśniące włosy układały się w atrakcyjne fale, które zdobiły wyrazistą twarz, a kiedy otworzyła ramiona, w jej żywych niebieskich oczach widać było radość.

- Witaj, chłopcze. Chodź, pocałuj mamę.

Ryan wykonując jej rozkaz, uniósł ją nad ziemię, sprawiając, że wybuchnęła głośnym serdecznym śmiechem.

- Patrick, Colleen, przestańcie się sprzeczać, bo wam przyłożę. Mamy gości. Giorgio, gdzie podziały się twoje dobre maniere? Wyłącz telewizor. Remo, przestań szczekać.

Kiedy wszystkie polecenia zostały wykonane szybko i bez sprzeciwu, Miranda zorientowała się od razu, kto w tym domu rządzi.

- Ryane, przedstaw mnie swojej dziewczynie.

- Tak, mamó. To jest miłość mojego życia, Maureen Boldari, a to doktor Miranda Jones. Ładna,

prawda, mamusi?

- Tak. Witamy w naszym domu, Mirando.

- Jest mi niezmiernie miło, proszę pani.

- Od razu widać dobre maniery - powiedziała Maureen, energicznie kiwnąwszy głową.

- Patrick, przynieś przekąskę. Przy niej będziemy mogli lepiej się poznać. Ryan, pokaż Mirandzie, gdzie może się odświeżyć.

Kiedy opuścili salon, Ryan poprowadził ją krótkim korytarzem do małej różowo -

białej łazienki. Miranda złapała go za koszulę.

- Powiedziałeś im, że jesteśmy ze sobą związani.

- Bo jesteśmy ze sobą związani.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli - stwierdziła tym samym wściekłym szeptem. -

Twoja dziewczyna? To śmieszne.

- Nie mówiłem im, że jesteś moją dziewczyną. - Ponieważ go to bawiło, on również zniżył głos do szeptu.

- Mam trzydzieści dwa lata; rodzice chcą, żebym się ożenił i zaczął płodzić dzieci.

Dlatego chętnie przyjęli taką wersję.

- Dlaczego im nie wyjaśnisz, że tylko ze sobą współpracujemy?

- Jesteś piękną samotną kobietą. Nie uwierzyliby, że poprzestajemy na współpracy.

Czy to ci przeszkadza?

- Tak. Po pierwsze, twoja siostra patrzyła na mnie, jakby miała zamiar walnąć mnie w nos, jeśli tylko nie będę cię darzył absolutnym uwielbieniem. Po drugie, to zwykłe oszustwo.

Chociaż w twoim wypadku odwoływanie się do uczciwości jest całkiem pozbawione sensu.

- Zawsze postępuję uczciwie, jeśli chodzi o moją rodzinę.

- Na pewno. Niewątpliwie twoja matka jest bardzo dumna, że ma syna złodzieja.

- Oczywiście. Zająknęła się i zgubiła wątek.

- Wie o tym, że kradniesz?

- Tak. Czy wygląda na głupią? - Potrząsnął głową.

- Nie okłamuję matki. A teraz pospiesz się, dobrze? - Ponieważ Miranda gapiała się na niego, wepchnął ją do łazienki.

- Umieram z głodu.

Szybko przestał być głodny. Na stole pojawiło się tak dużo jedzenia, że wystarczyłoby go dla niewielkiej zagłodzonej armii z Trzeciego Świata.

Ze względu na gości zjedli posiłek w jadalni przy ogromnym mahoniowym stole, na którym pojawiła się dobra porcelana, a do lśniących kryształów nalano tyle wina, że można by w nim zatopić pancernik.

Rozmowa nie milkła ani na chwilę. Prawdę mówiąc, jeśli chciało się coś powiedzieć, należało to zrobić szybko i głośno. Miranda zorientowała się, że ilekroć upije z kieliszka choćby łyk, alkohol natychmiast jest z powrotem uzupełniany po brzegi, dlatego też postanowiła ograniczyć picie i skoncentrować się na jedzeniu.

Pod jednym względem Ryan miał rację. Jego matka świetnie przyrządzała *linguine*.

Miranda dowiedziała się wszystkiego o rodzinie Boldarich. Michael, drugi syn, prowadził Galerie Boldariego w San Francisco. Ożenił się ze swoją sympatią ze studiów i miał z nią dwójkę dzieci. Tę ostatnią informację przekazał dumny dziadek, jednocześnie znacząco spoglądając na Ryana i uśmiechając się do Mirandy.

- Lubisz dzieci? - zapytała Maureen.

- Uhm, tak. - Byle z daleka, dodała w myśli Miranda.

- Dzieci nadają życiu sens. Uświęcają miłość łączącą mężczyznę i kobietę. - Maureen podała Mirandzie koszyk ze wspaniałym chlebem.

- Na pewno ma pani rację.

- Weźmy moją Mary Jo.

Mirandę natychmiast zapoznano z zaletami najstarszej córki, która była właścicielką butiku na Manhattanie i miała trójkę dzieci.

Potem przyszła kolej na Bridgit, która przerwała karierę w wydawnictwie, by zająć się małą córeczką.

- Musi pani być z nich bardzo dumna.

- To dobre dzieci. Wykształcone. - Mówiąc to, uśmiechnęła się do Ryana. - Wszystkie moje dzieci ukończyły college, a Patrick jest studentem pierwszego roku. Wie wszystko na temat komputerów.

- Naprawdę? - Ponieważ był to dużo bezpieczniejszy temat, Miranda uśmiechnęła się do młodszego brata Ryana. - To fascynująca dziedzina.
- To trochę tak, jakby zarabiano się na życie, nie przestając się bawić. Och, Ry, mam dla ciebie dane, o które prosiłeś.
- Wspaniale.
- Jakie dane? - Colleen przestała się przyglądać Mirandzie, przymrużyła oczy i podejrzliwie spojrzała na Ryana.
- Po prostu porządkuję pewną sprawę, dziecinko. - Od niechcienia ścisnął jej dłoń. - Mamusiu, przeszłaś dzisiaj samą siebie.
- Nie zmieniaj tematu, Ryan.
- Colleen. - W łagodnym głosie Maureen można było usłyszeć dźwięk stali. - Mamy gościa. Pomóż mi sprzątnąć ze stołu. Przygotowałam *tiramisu*. To twoje ulubione danie, Ry.
- Jeszcze wrócimy do tego tematu - powiedziała Colleen przez zaciśnięte zęby, ale posłusznie wstała, by uprzątnąć talerze.
- Pozwól, że ci pomogę. - Miranda podniosła się, ale pani domu szybko posadziła ją z powrotem na stołku.
- Goście nie sprzątaj. Siadaj.
- Nie przejmuj się Colleen - powiedział Patrick, kiedy siostra nie mogła go już usłyszeć. - Poradzimy sobie z nią.
- Zamknij się, Patrick. - Chociaż Ryan uśmiechnął się do Mirandy, dostrzegła w jego oczach lekkie zakłopotanie.
- Wydaje mi się, że nie wspomnieliśmy, czym zajmuje się Colleen.
- Nie.
- Jest gliniarzem. - Z westchnieniem wstał. - Pomogę im przy kawie.
- To znakomicie. - Miranda sięgnęła na oślep po wino.

Starła się schodzić wszystkim z drogi i dostosowując się do obowiązujących w tym domu zasad, przeszła do salonu na kawę i deser. Giorgio przez cały czas wypytywał ją, co robi i dlaczego nie jest mężatką, więc nie miała czasu myśleć o niczym innym. Nikt nie przejmował się dobiegającymi z kuchni pełnymi złości słowami.

Kiedy wypadła stamtąd Colleen, Patrick jedynie wzniósł oczy do góry.

- Uwaga, znowu ona.

- Obiecałeś, Ry. Dałeś słowo.

- I wcale go nie złamałem. - Wyraźnie sfrustrowany przeczesał palcami włosy. - Po prostu kończę to, co zacząłem, dziecinko. Jak mi się uda, będzie już po wszystkim.

- A co ona ma z tym wspólnego? - Wskazała palcem na Mirandę.

- Colleen, nie należy na nikogo pokazywać palcem - zwrócił jej uwagę Giorgio.

- A niech was wszyscy diabli. - Rzuciwszy przez ramię jakieś przykre włoskie słowa, Colleen wybiegła z domu.

- Cholera jasna. - Ryan prychnął i przepaszająco uśmiechnął się do Mirandy. - Zaraz wracam.

- Uhm... - Siedziała przez chwilę, starając się zachować godną postawę, podczas gdy Giorgio i Patrick bacznie jej się przyglądali. - Pójdę sprawdzić, czy pani Boldari nie potrzebuje pomocy.

Uciekła tam, gdzie spodziewała się znaleźć oazę zdrowego rozsądku. W przestronnej kuchni unosiły się wspaniałe zapachy. Jasne blaty i lśniący biała podłoga przywodziły na myśl zdjęcie z jakiegoś czasopisma.

Na drzwiach lodówki wisiało kilkadziesiąt abstrakcyjnych, wykonanych kredką obrazków. Na stole stała miska ze świeżymi owocami, a w oknach wisiały urocze zasłonki.

Miranda nie myliła się - rzeczywiście była to ostoja normalności.

- Mam nadzieję, że złamie pani zasady i pozwoli sobie pomóc.

- Siadaj. - Maureen pokazała stół. - Napij się kawy. Wkrótce przestanę się kłócić.

Powinam ich stłuc za urządzenie scen przy gościu. Wszystkie moje dzieci... - Odwróciła się do ekspresu do przyrządzania cappuccino i zaczęła napełniać kubek. - ... są mądre, porywcze i potwornie uparte. Mają to po ojcu.

- Tak pani sądzi? Wydaje mi się, że Ryan jest bardzo podobny do pani.

To było bardzo trafne stwierdzenie. W oczach Maureen pojawiły się ciepło i miłość.

- Pierworodny. Niezależnie od tego ile ma się dzieci, tylko jedno z nich może być pierwsze. Kocha się je wszystkie, czasami aż dziw, że serce nie pęknie, ale pierworodny jest jeden. Kiedyś sama się o tym przekonasz.

- Hmm. - Miranda uchyliła się od komentarza, patrząc, jak Maureen ubija mleko. - To chyba nie jest

miłe, jeśli jedno z dzieci jest stróżem prawa.

- Colleen wie, czego chce. Nigdy nie zbacza z drogi, zawsze podąża prosto przed siebie. Pewnego dnia zostanie kapitanem. Zobacysz. Szaleje za Ryanem - ciągnęła, stawiając filiżankę przed Mirandą. - Na pewno uda mu się ją przekonać.

- Jestem pewna. To czarujący człowiek.

- Dziewczęta zawsze się za nim uganiały, ale on jest bardzo wymagający. Wpadłaś mu w oko.

Miranda doszła do wniosku, że nadszedł czas, by wyjaśnić pewne rzeczy.

- Proszę pani, myślę, że Ryan nie wyjaśnił tej sprawy do końca. Współpracujemy ze sobą, nic więcej.

- Tak sądzisz? - zapytała Maureen spokojnie i odwróciła się, by włożyć brudne naczynia do zmywarki. - Czy twoim zdaniem nie jest wystarczająco przystojny?

- Jest bardzo przystojny, ale...

- Ale pochodzi z Brooklynu, a nie z Park Avenue, i nie ma tak jak ty doktoratu?

- Nie, wcale nie. Po prostu chodzi o to... Chodzi o to, że tylko ze sobą współpracujemy.

- Nie pocałował cię?

- To... tylko... - Na litość boską, pomyślała i nabrała w usta odrobinę spienionej kawy, żeby urwać własne słowa.

- Tak myślałam. Martwiłabym się o niego, gdyby nie pocałował tak ładnej kobiety.

Lecz Ryan ceni sobie również zalety umysłu. Nie jest płytki. Może jednak nie odpowiada ci sposób, w jaki on całuje. To się liczy - dodała, kiedy Miranda nie odrywała wzroku od filiżanki. - Jeśli mężczyzna pocałunkami nie potrafi rozpalić kobiety, nic z tego nie będzie.

Seks jest ważny. Każdy kto twierdzi, że jest inaczej, widocznie sam nigdy nie trafił na odpowiedniego partnera.

- No proszę. - Nie zdołała wymyślić nic lepszego.

- A co? Doskonale wiem, że mój chłopak sypia z dziewczynami. Myślisz, że jestem głupia?

- Nie spałam z Ryanem.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Miranda zamrugnęła oczami, tymczasem Maureen starannie zamknęła zmywarkę i

zaczęła wypełniać zlew, by wymyć garnki. - Ledwie go znam. - Sama nie mogła uwierzyć, że rozmawia na taki temat. - Nie idę do łóżka z każdym napotkanym atrakcyjnym mężczyzną.

- To dobrze. Nie chcę, żeby Ryan zabiegał o względy łatwych kobiet.

- Proszę pani. - Zastanawiała się, czy pomogłoby, gdyby zaczęła walić głową w stół. -

Nie zabiegamy o swoje względy. Łączy nas tylko wspólny interes.

- Ryan nie przyprawia na *linguine* swoich współpracownic.

Trudno cokolwiek powiedzieć na takie stwierdzenie, więc Miranda ponownie zamilkła. Z ulgą uniosła głowę, kiedy w kuchennych drzwiach pojawił się Ryan i jego siostra.

Tak jak należało się spodziewać, udało mu się przekonać Colleen. Miranda zauważyła, że obydwójce są uśmiechnięci i obejmują się. Po raz pierwszy Colleen przyjaźnie spojrzała na Mirandę.

- Przepraszam. Musieliśmy wyjaśnić sobie kilka spraw.

- Wcale się nie gniewam.

- A więc... - Colleen usiadła przy stole i oparła stopy na stojącym po drugiej stronie krześle. - Czy podejrzewasz kogoś, kto mógł ukraść oryginalny brąz?

Miranda zamrugła oczyma.

- Słucham?

- Ryan wszystko mi powiedział. Może mogę w czymś pomóc.

- Sześć miesięcy temu ukończyła akademię, a już jest prawdziwym Sherlockiem Holmesem. - Ryan pochylił się i pocałował ją w głowę. - Wyrzecz ci naczynia, mam?

- Nie, dzisiaj kolej na Patricka. - Obejrzała się za siebie.

- Ktoś coś ukradł twojej pani?

- Ja - powiedział swobodnie i przyłączył się do siedzących przy stole kobiet. - Okazało się, że był to falsyfikat. Próbuje wszystko wyjaśnić.

- To dobrze.

- Proszę zaczekać. Proszę chwileczkę zaczekać. - Miranda uniosła obie ręce. - To dobrze? Czy pani powiedziała „To dobrze”? Czyżby pani wiedziała, że Ryan jest złodziejem?

- Czy ja wyglądam na kretynekę? - Maureen starannie wytarła ręce, a potem wzięła się pod boki. - Oczywiście, że wiem.

- Przecież ci to mówiłem - zauważył Ryan.

- Tak, ale... - Po prostu nie wierzyła. Zdumiona zmieniła pozycję, by lepiej się przyjrzeć ładnej twarzy Maureen.

- I pani to pochwała? Uważa pani, że to jest w porządku? A ty... - wskazała palcem Colleen. - Jesteś policjantką, masz stopień oficerski. Twój brat kradnie. Jak to godzisz?

- Ryan przechodzi właśnie na emeryturę. - Colleen wzruszyła ramionami. - Z pewnym opóźnieniem.

- Nie rozumiem. - Chwyciła się za głowę. - Pani jest jego matką. Jak może pani zachęcać go do łamania prawa?

- Zachęcać? - Maureen ponownie roześmiała się wesoło. - Kto go do tego zachęca? -

Postanowiła jednak wyświadczyć gościowi uprzejmość i udzielić wyjaśnienia, dlatego odłożyła ściereczkę. - Czy wierzysz w Boga?

- Słucham? Co to ma do rzeczy?

- Nie sprzeczasz się ze mną, po prostu odpowiedz. Czy wierzysz w Boga?

Siedzący obok Mirandy Ryan uśmiechnął się. Maureen używała tego tonu tylko wobec osób, które lubiła, lecz Miranda nie mogła tego wiedzieć.

- W porządku, tak.

- Jeśli otrzymujesz od Boga jakiś dar, musisz go wykorzystać, ponieważ inaczej popełnisz grzech.

Miranda na chwilę zamknęła oczy.

- Uważa pani, że Bóg dał Ryanowi talent i że popełniłby grzech, gdyby nie włamywał się do cudzych budynków i nie kradł?

- Nasza Mary Jo otrzymała od Boga talent muzyczny i gra na fortepianie jak anioł.

Ryan ma inny dar.

- Proszę pani...

- Nie kłóć się - mruknął Ryan. - Będzie cię boleć głowa.

Spojrzała na niego ponuro.

- Proszę pani - spróbowała ponownie. - Podziwiam pani lojalność w stosunku do syna, ale...

- Czy wiesz, w jaki sposób spożytkował swój dar?

- Tak, właściwie tak.

- Ponieważ nasze dawne sąsiedztwo zaczęło być niebezpieczne, kupił nam ten domek.

- Rozłożyła ręce, by pokazać śliczną kuchnię, a potem pokiwała palcem. - Dbaj o to, by jego bracia i siostry zdobyli wykształcenie. Bez niego byłoby to zupełnie niemożliwe. Niezależnie od ciężkiej pracy mojej i Giorgia nasze nauczycielskie pensje nie wystarczyłyby na za-pewnienie studiów szóstce dzieci. Bóg dał mu talent - powiedziała ponownie i położyła dłoń na ramieniu Ryana. - Czy masz zamiar kłócić się z Bogiem?

Ryan znowu miał rację. Rzeczywiście rozboleła ją głowa. Starła się uleczyć tę dolegliwość milczeniem podczas drogi powrotnej na Manhattan. Nie była pewna, co bardziej ją zdumiewało - stanowisko, jakie zajęła Maureen, broniąc swego syna i tego, co on robi, czy serdeczne uściski, jakimi obdarzyli ją przed wyjściem wszyscy członkowie rodziny.

Ryan pozwolił jej milczeć. Kiedy podjechał pod swój dom, oddał kluczyki odźwiernemu.

- Cześć, Jack. Dopilnuj, by to wypożyczone auto wróciło na lotnisko, dobrze? I przynieś do mojego apartamentu walizki doktor Jones. Są w bagażniku.

- Jasne, panie Boldari. Witamy w domu. - Jack uśmiechnął się jeszcze promiennie, kiedy Ryan dyskretnie wsunął mu do ręki dwadzieścia dolarów. - Życzę miłego wieczoru.

- Nie rozumiem twojego stylu życia - zaczęła Miranda, kiedy eskortował ją przez elegancki hol zastawiony lśniącoymi antykami i atrakcyjnymi dziełami sztuki.

- Nie szkodzi. Ja nie rozumiem twojego. - Wszedł do windy i użył klucza, by dostać się na najwyższe piętro. - Musisz być bardzo wyczerpana. Jack za minutkę przyniesie twoje rzeczy. Możesz się rozgościć.

- Twoja matka pytała mnie, dlaczego się z tobą nie przespałam.

- Przez cały czas zastanawiam się nad tym samym. Kiedy winda się otworzyła, znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu urządzonym w błękitach i zieleni. Z szerokich okien tarasu roztaczał się wspaniały widok na Nowy Jork.

Mirandzie wystarczył jeden rzut oka, by dojść do wniosku, że Ryan dał tu wyraz swemu zamiłowaniu do ładnych przedmiotów. Lamy w stylu art deco, stoły chippendale, kryształowy baccarat.

Zastanawiała się, ile z tych rzeczy ukradł.

- Wszystkie zostały kupione całkiem legalnie - powiedział, bezbłędnie odczytując jej myśli. - Tylko ta lampka pochodziła z kradzieży, ale nie zdołałem się jej oprzeć. Chcesz kieliszek przed snem?

- Nie, dziękuję.

Lśniąca podłoga z drewna w kolorze miodu stanowiła wspaniałe tło dla jednego z najpiękniejszych

orientalnych dywanów, jakie Miranda w życiu widziała. Na ścianach wisiało sporo dzieł sztuki, poczynając od zamglonego pejzażu Corota, a na subtelnej ślicznej akwarelce przedstawiającej irlandzki wiejski pejzaż kończąc.

- To dzieło twojej matki?

- Tak, ten widoczek jest dobry, prawda?

- Bardzo. Ma może zbyt rozmazane kolory, ale rzeczywiście jest bardzo dobry.

- Ona cię lubi.

Miranda westchnęła i podeszła do okna.

- Z pewnych względów ja też ją lubię.

Matka Mirandy nigdy nie obejmowała jej w taki sposób, nie obdarzała mocnym uściskiem świadczącym o aprobachie i uczuciu. Ojciec nigdy nie uśmiechał się do niej z uroczym błyskiem w oku, tak jak robił to ojciec Ryana.

Zastanawiała się, dlaczego wbrew wszelkim pozorom jego rodzina sprawia wrażenie dużo bardziej normalnej niż jej własna.

- Pewnie twoje bagaże. - Kiedy zabrzmiał dzwonek, Ryan podszedł, by sprawdzić interkom, a potem uruchomił windę. Gdy walizki sprawnie dotarły na miejsce, następny banknot zmienił właściciela. Potem winda ponownie cichutko się zamknęła, a Ryan postawił

bagażę Mirandy na podłodze i podszedł do niej.

- Jesteś spięta - mruknął i zaczął rozmasowywać jej plecy. - Miałem nadzieję, że wieczór z moją rodziną pozwoli ci się nieco zrelaksować.

- Czy można się zrelaksować, kiedy wszyscy wokół kipią taką ilością energii? - Nim zdołała się powstrzymać, wygięła plecy pod jego rękami. - Musiałeś mieć ciekawe dzieciństwo.

- Miałem wspaniałe dzieciństwo. - Pozbawione przywilejów, które były jej udziałem, lecz za to pełne miłości. - To był długi dzień - mruknął, a ponieważ zauważył, że Miranda zaczyna się rozluźniać, pochylił się, by ugryźć ją w szyję.

- Tak, bardzo. Nie rób tego.

- Właśnie miałem zamiar dotrzeć... tutaj. - Odwrócił ją i zaczął całować, sprawiając, że zabrakło jej tchu.

Jego matka powiedziała, że pocałunki powinny rozpalać kobietę. Ją rozpałały.

Miranda czuła krew wrzącą tuż pod skórą, uderzającą do głowy i zbyt szybko krążącą w żyłach.

- Nie rób tego - powtórzyła, ale był to słaby protest, który oboje z łatwością zignorowali.

Czuł, że ogarnia ją pożądanie. Być może nie on to sprawił albo ktoś inny mógłby się znaleźć na jego miejscu i odegrać podobną rolę w rozbudzeniu jej. Nie miał zamiaru się tym przejmować. Pragnął Mirandy, chciał pierwszy przebić się przez jej mury obronne i odkryć wulkan, który z pewnością w niej kipi.

Coś go do niej ciągnęło z siłą, której trudno było się oprzeć.

- Pozwól się popieścić. - Prosząc, przesunął dłonie w górę i musnął jej piersi. - Pozwól się wziąć.

O, tak. Te słowa krążyły po jej otumanionym mózgu, jakby nie mogły sobie znaleźć miejsca. Pieść mnie. Weź mnie. Boże, błagam, nie pozwól mi myśleć.

- Nie. - Była zaszokowana, że to powiedziała. Że się odsunęła, chociaż tak bardzo pragnęła jeszcze bardziej się przytulić. - To nie ma sensu.

- Dla mnie ma sens. - Wsunął palce za pasek jej spodni i szarpnął go. -

Powiedziałbym, że dla ciebie również.

- Nie uwiedzisz mnie, Ryanie. - Dostrzegła w jego oczach poirytowanie i postanowiła nie patrzeć na jego usta, które tyle obiecywały. - Nie będziesz mnie miał. Jeśli chcemy skutecznie doprowadzić tę sprawę do końca, musimy ograniczyć naszą znajomość do spraw zawodowych. I na nich poprzestać.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Zawarliśmy umowę i teraz jest już za późno na jakiegokolwiek negocjacje.

- Czy język nie staje ci kołkiem, kiedy używasz tego tonu? - Wsunął ręce do kieszeni, a Miranda przyglądała mu się z niechęcią. - W porządku, doktor Jones, a zatem wróćmy do realizacji umowy. Pokażę ci twój pokój.

Wrócił do drzwi, wziął walizki Mirandy i ruszył z nimi w górę po krętych metalowych schodach pokrytych delikatną zieloną patyną. Potem postawił bagaże tuż przy drzwiach i kiwnął głową.

- Powinno ci tu być wygodnie i niekrępująco. Mamy rezerwację na jutrzejszy wieczór.

Dzięki temu będę miał czas na wyjaśnienie pewnych spraw tu na miejscu. Śpij dobrze - dodał

i zamknął jej drzwi przed nosem.

Właśnie miała zamiar wzruszyć ramionami, kiedy usłyszała zgrzytnięcie klucza w zamku. Jej oczy zrobiły się okrągłe, a potem jednym susem podskoczyła do gałki i zaczęła się z nią mocować.

- Ty sukinsynu! Nie możesz mnie tu zamknąć!

- To tylko środek ostrożności, doktor Jones. - Dobiegający zza drzwi głos był delikatny jak jedwab. - Dzięki temu będę miał pewność, że zostaniesz tam do jutra. Odszedł gwizdząc, podczas gdy Miranda waliła w drzwi i obiecywała, że się zemści.

Chociaż Miranda wiedziała, że to zupełnie bezsensowne, rano zamknęła drzwi do łazienki. Potem szybko wzięła prysznic, przez cały czas usiłując zerkać jednym okiem na drzwi, na wypadek gdyby Ryan postanowił trochę się z nią pobawić.

Ona również była w stanie zrobić mu brzydki kawał.

Kiedy włożyła szlafrok, poczuła się bezpieczna i przestała się spieszyć. Postanowiła, że nim zobaczy się z Ryanem, ubierze się, zrobi makijaż i starannie uczesze włosy. Nie zgodzi się na to, by do śniadania usiedli w piżamach.

Oczywiście najpierw Ryan musi ją wypuścić. A to drań!

- Wypuść mnie stąd, Boldari - zawołała, stukając głośno w drzwi.

Odpowiedziała jej cisza. Wściekła zastukała i zawołała nieco głośniejszym głosem, przy okazji dorzucając naprędce wymyślone pogrożki.

Uznając, że została porwana, do listy zarzutów dodała uprowadzenie. Miała nadzieję, że niezależnie od tego w którym zakładzie penitencjarnym Ryan spędzi resztę życia, jego współwięźniowie będą go dręczyć z prawdziwą przyjemnością.

Sfrustrowana szarpnęła za gałkę. Kiedy drzwi się otworzyły, Miranda zarumieniła się ze wstydu.

Wyszła i zaczęła ostrożnie rozglądać się po korytarzu. Drzwi były pootwierane.

Podeszła do pierwszych, zdecydowana stawić czoło Ryanowi.

Znalazła się w bibliotece, w której znajdowały się sięgające sufitu półki zastawione książkami i wygodne skórzane fotele. Był tu również mały marmurowy kominek, którego gzyms zdobił zegar z wahadłem. Sześciokątna szklana gablotka mieściła imponującą kolekcję orientalnych buteleczek z pachnidłami. Miranda powąchała jedną z nich. Ryan miał dobry gust i sporo ogłady, co nie zmieniało faktu, że był jednocześnie złodziejem.

Otworzyła następne drzwi i znalazła się w jego sypialni. Ogromne, w połowie osłonięte baldachimem łóżko z rokokowym wezglowiem zrobiło na Mirandzie duże wrażenie, jednakże zdziwiona uniosła brew, kiedy zobaczyła, że zostało starannie zasłane, a na pokrywającej je perłowszarej narzucie nie widać żadnych zmarszczek. Albo w nim nie spał, albo został doskonale wyszkolony przez matkę.

Po spotkaniu z Maureen Miranda uznała za bardziej prawdopodobną tę drugą ewentualność.

Doszła do wniosku, że jest to bardzo męski pokój, a nefrytowozielone ściany i kremowe wykończenia dodają mu odrobinę zmysłowości. Splecione postacie kobiece w ulubionym przez Ryana stylu art deco podtrzymywały wykonane z mlecznego szkła abażury, przez które sączyło się delikatne światło.

Ogromny, niemal czarny fotel był zachęcająco skierowany w stronę kominka wykonanego z marmuru w różowawe żyłki. Po obu stronach szerokiego odsłoniętego okna, z którego roztaczał się wspaniały widok i przez które wpadało do środka światło słoneczne, stały ogromne donice z ozdobnymi drzewkami cytrynowymi.

Na komodzie obok brązowej statuetki perskiego boga Mitry leżało trochę bilonu, kilka biletów, pudełko zapalek i inne drobne przedmioty wyjęte z męskiej kieszeni.

Miranda miała ochotę zajrzeć do jego szafy i otworzyć szuflady, lecz zdołała oprzeć się pokusie. Na pewno byłby zadowolony, gdyby przyłapał ją na myszkowaniu. Mógłby wówczas pomyśleć, że to ją interesuje.

Był jeszcze i trzeci pokój, pomieszczenie, które wskazywało na to, że jego właściciel najczęściej pracuje w domu. Na jego wyposażenie składały się dwa komputery z drukarkami laserowymi, faks, kopiarka, dwie linie telefoniczne oraz dębowa szafka na akta. Mocne dębowe półki wypełnione były książkami, różnymi drobiazgami i dziesiątkami oprawionych w ramki zdjęć członków rodziny.

Domyśliła się, że widoczne na fotografiach dzieci to bratankowie, bratanice i siostrzeńcy Ryana. Ich ładne twarzyczki zwrócone były do obiektywu. Łagodna kobieta o twarzy Madonny trzymająca na rękach niemowlę to prawdopodobnie jego siostra Bridgit, a elegancki przystojny mężczyzna z oczami Boldarich i kobieta w jego objęciach to pewnie Michael i jego żona. Miranda przypomniała sobie, że mieszkają w Kalifornii.

Było również zdjęcie, które przedstawiało podobnie uśmiechniętych Ryana i Colleen, a także grupowa fotografia prawdopodobnie wykonana w okresie Bożego Narodzenia, bo w tle widać było zamazane światełka choinkowe.

Doszła do wniosku, że wszyscy wyglądają na szczęśliwych. Stanowili jedność i wcale nie sprawiali wrażenia sztywnych, co często się zdarza, gdy ludzie pozują do zdjęć. Studiując następną fotografię, na której Ryan całował w rękę zarumienioną siostrę w przepięknej sukni ślubnej, Miranda przyłapała się na tym, że bardzo długo się im przygląda.

Zanim zdołała się opanować, poczuła zazdrość. W jej domu nie było sentymentalnych zdjęć uwieczniających ważne rodzinne wydarzenia.

Nagle zrobiło jej się żal, że nie może zakraść się do jednej z tych fotografii, wsunąć się pod któreś z chętnych do obejmowania ramion i poczuć tego samego co oni.

Poczuć miłość.

Otrząsnęła się z tej myśli i celowo odwróciła się plecami do półek. Uznała, że to nie czas na zastanawianie się, dlaczego rodzina Boldarich jest tak serdeczna, a jej własna tak oziębła. Musi znaleźć Ryana i powiedzieć mu, co o nim sądzi, póki jeszcze odczuwa złość.

Zeszła schodami w dół, zaciskając wargi, by nie zawołać go po imieniu. Nie chciała dać mu tej satysfakcji. Nie było go w salonie ani w nieco hedonistycznym cichym pomieszczeniu, w którym

znajdował się ogromny telewizor, wysokiej klasy sprzęt hi - fi i automat do gry... z odpowiednim tytułem „Gliniarze i rabusie”.

Na pewno zdaniem Ryana była w tym pewna ironia.

Nie znalazła go również w kuchni. Czekają tu na nią natomiast pół dzbanka gorącej kawy.

Ryana w ogóle nie było.

Podbiegła do telefonu, chcąc zadzwonić do Andrew i opowiedzieć mu o wszystkim.

Nie było sygnału. Z przekleństwem na ustach wpadła z powrotem do salonu i nacisnęła guzik windy. Nie wydał żadnego dźwięku. Rozwścieczona odwróciła się do drzwi. Były zamknięte.

Przymrużywszy oczy, nacisnęła guzik interkomu, ale usłyszała jedynie trzaski.

Ten sukinsyn otworzył sypialnię, zwiększając jedynie wymiary jej klatki.

Dopiero po pierwszej usłyszała cichy szum windy. Nie traciła czasu tego ranka.

Wykorzystała możliwość i przejrzała każdy centymetr kwadratowy jego mieszkania. Bez wyrzutów sumienia sprawdziła zawartość jego szafy. Preferował włoskich dyktatorów mody.

Pogrzebała w jego szufladach. Lubił seksowne jedwabne bokserki i koszule oraz bluzy z naturalnych włókien.

Biurka - w sypialni, bibliotece i biurze - były zamknięte. Miranda poświęciła sporo czasu na bezskuteczne forsowanie zamków przy użyciu spinek, a w komputerze utknęła na haśle. Oczarował ją kamienny taras salonu, a kofeina zawarta w kawie, którą popijała chodząc po mieszkaniu, dodawała jej sił do dalszych poszukiwań.

Kiedy Ryan pojawił się w drzwiach windy, Miranda była już przygotowana na jego powrót.

- Jak śmiałeś mnie tu zamknąć! Nie jestem więźniem.

- To tylko środki ostrożności. - Odstawił na bok aktówkę i przyniesione torby.

- Jakie będą następne? Kajdanki?

- Żadne dopóty, dopóki nie poznamy się lepiej. Jak minął ci dzień?

- Nie...

- Nienawidzę cię, gardzę tobą, brzydzę się tobą - dokończył, zdejmując płaszcz. - Tak, była już o tym mowa. - Powiesił go starannie. Miała rację, został dobrze wyszkolony przez matkę. - Musiałem załatwić kilka spraw. Mam nadzieję, że podczas mojej nieobecności zdążyłaś się tu zadomowić.

- Wyjeżdżam. Musiałam postradać zmysły, myśląc, że możemy ze sobą współpracować.

Zaczekał, aż dotrze do podstawy schodów.

- *Czarna Dama* znajduje się w Bargello. Trzymają ją w magazynie do czasu, aż dowiedzą się, skąd pochodzi i kto ją odlał.

Tak jak przypuszczał, stanęła i powoli się odwróciła.

- Skąd to wiesz?

- To moja sprawa. Wybieram się po nią do Wioch niezależnie od tego, czy pojedziesz ze mną czy nie. Na pewno bez specjalnych kłopotów uda mi się znaleźć innego archeometrę i w końcu dowiem się, co się stało i dlaczego. Jeśli zrezygnujesz, już nigdy nie poznasz prawdy.

- Nie uda ci się wynieść jej z Bargello.

- Uda mi się. - Na jego ustach błysnął szelmowski uśmiech. - Na pewno. Kiedy już to zrobię, będziesz mogła jej się przyjrzeć, chyba że wolisz wrócić do Maine i czekać, aż twoi rodzice zadecydują, iż nie jesteś im już potrzebna.

Ostatnią uwagę pominęła milczeniem. Według niej była dość bliska prawdy.

- Jak masz zamiar ją stamtąd zabrać?

- To moja sprawa.

- Jeśli mam się zgodzić na twój kretyński plan, chcę znać szczegóły.

- W miarę postępu prac będę ci mówił wszystko, co powinnaś wiedzieć. Wchodzisz do gry czy rezygnujesz, doktor Jones? Nie pozostało zbyt dużo czasu.

Zdała sobie sprawę, że w tym momencie przekroczyła pewną granicę, przeszła linię, za którą nie ma już odwrotu. Czekał, obserwując ją z pewną arogancją, która uraziła jej dumę.

- Jeśli nawet zdołasz dokonać cudu i dostaniesz się do Bargello, nie weźmiesz stamtąd niczego poza brązem.

- Zgoda.

- Jeśli statuetka znajdzie się w naszych rękach, to ja będę o wszystkim decydować.

- Jesteś naukowcem - dodał z uśmiechem. Doszedł do wniosku, że bardzo chętnie zostawi jej kopię. On sam chce mieć oryginał. - Zgadzam się. Wchodzisz czy rezygnujesz?

- Wchodzę. - Z trudem złapała powietrze. - Boże, dopomóż.

- Dobrze. A teraz reszta... - Otworzył aktówkę i wyrzucił na stół jej zawartość. - To dla ciebie.

Podniosła granatową książeczkę.

- To nie jest mój paszport.

- Teraz tak.

- To nie moje nazwisko... skąd wzięłeś to zdjęcie?

- Patrzyła na własną podobiznę. - Ono przecież jest w moim paszporcie.

- Oczywiście.

- Mówię o moim paszporcie. Tak samo o moim prawie jazdy - ciągnęła, biorąc je do ręki. - Ukradłeś mi portfel.

- Jedynie pożyczyłem sobie z niego kilka dokumentów - poprawił.

Zadrżała. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- W nocy wszedłeś do mojego pokoju i zabrałeś moje rzeczy.

- Bardzo niespokojnie spałaś - przypomniał sobie.

- Kręciłaś się i rzucałaś. Może gdybyś czasem trochę pomedytowała, łatwiej byłoby ci się rozluźnić.

- Jesteś podły.

- Zrobiłem jedynie to, co konieczne. Byłbym podły, gdybym wszedł do twojego łóżka, chociaż to mogłoby być dość zabawne.

Wciągnęła powietrze przez nos i wbiła wzrok w podłogę.

- Co zrobiłeś z moimi prawdziwymi dokumentami?

- Są bezpieczne. Nie będziesz ich potrzebować do naszego powrotu. Po prostu jest to jeszcze jeden środek ostrożności. Gdyby gliniarze zbyt węszyli, lepiej żeby się nie zorientowali, że wyjechałaś z kraju.

Odsunęła z niesmakiem paszport.

- Nie jestem Abigail O'Connell.

- Teraz jesteś panią Abigail O'Connell. To nasza spóźniona podróż poślubna. Chyba będę mówił do ciebie „Abby”. To brzmi bardzo przyjacielsko.

- Nie mam zamiaru udawać, że jestem twoją żoną. Wolałabym być żoną socjopaty.

Przypomniawszy sobie, że Miranda nie ma żadnego doświadczenia, jest całkiem zielona, uznał więc, że musi zdobyć się na odrobinę cierpliwości.

- Mirando, podróżujemy razem. Mamy zarezerwowany wspólny apartament. Na widok małżeństwa nikt nie będzie unosił brwi ani zadawał zbędnych pytań. To znacznie ułatwi nam zadanie. Przez kilka najbliższych dni będę Kevinem O'Connellem, twoim oddanym małżonkiem. Jestem maklerem giełdowym, a ty pracujesz w reklamie. Pobraliśmy się pięć lat temu, mieszkamy na Upper West Side i właśnie zastanawiamy się nad założeniem rodziny.

- To znaczy, że jesteście yuppie.

- Teraz nikt już nie używa tego określenia, lecz zasadniczo tak. Mam tu dla ciebie kilka kart kredytowych.

Spojrzała na stół.

- Skąd wzięłaś te dokumenty?

- Mam kontakty - powiedział swobodnie. Wyobraziła go sobie w ciemnym śmierdzącym pokoju w towarzystwie sprzedającego fałszywe dowody osobiste oraz nielegalną broń postawnego mężczyzny z wytatuowanym węzem i nieświeżym oddechem.

Jej wizja nie miała nic wspólnego z wielopoziomowym domkiem w New Rochelle, gdzie w suterenach kuzyn Ryana, księgowy, wyrabiał fałszywe dokumenty.

- Wkraczanie na teren obcego państwa ze sfabrykowanymi dokumentami jest nielegalne.

Patrzył na nią przez dziesięć sekund, a potem wybuchnął śmiechem.

- Jesteś cudowna. Poważnie. Teraz chciałbym, żebyś szczegółowo opisała mi ten brąz, żebym mógł szybko go rozpoznać.

Bacnie mu się przyjrzała, zastanawiając się, jak można dotrzymać kroku mężczyźnie, który dla zabawy w mgnieniu oka przestaje być dynamicznym biznesmenem.

- Ma dziewięćdziesiąt centymetrów i cztery milimetry wysokości. Przedstawia nagą kobietę i pokryty jest niebiesko - zieloną patyną typową dla brązu mającego ponad pięćset lat.

Kiedy to mówiła, przed oczyma pojawił się jej obraz statuetki.

- Stoi na palcach z uniesionymi ramionami... Lepiej by było, gdybym po prostu ci go naszkicowała.

- Wspaniale. - Podeszedł do szafki i wyjął z szuflady blok oraz ołówek. - Zrób to tak dokładnie, jak tylko potrafisz. Nie cierpię popełniać błędów.

Usiadła i przelała własną wizję na papier. Zrobiła to z taką prędkością i wprawą, że Ryan uniósł brwi. Potem przyjrzał się twarzy, przebiegłemu, zmysłowemu uśmiechowi, uniesionym dłoniom,

rozłożonym palcom i wygiętemu w łuk ciała.

- Jest cudowna. Absolutnie cudowna - mruknął urzeczony dokładnością rysunku.

Pochylając się nad ramieniem Mirandy powiedział: - Jesteś dobra. Malujesz?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie. - Musiała się opanować, by nie zrobić żadnego ruchu. Policzek Ryana niemal dotykał jej twarzy, kiedy kończyła szkicowanie.

- Masz prawdziwy talent. Dlaczego go marnujesz?

- Wcale go nie marnuję. Umiejętność szkicowania jest bardzo przydatna w moim zawodzie.

- Tego typu dar powinien sprawiać ci przyjemność.

- Wziął szkic i przez chwilę mu się przyglądał. - Naprawdę jesteś w tym świetna.

Odłożyła ołówek i wstała.

- Rysunek jest wierny. Jeśli dopisze ci szczęście i natkniesz się na ten brąz, na pewno go rozpoznasz.

- Szczęście nie ma z tym nic wspólnego. - Od niechcienia musnął palcami jej policzek.

- Trochę ją przypominasz, masz podobny owal twarzy, wyraziste kości policzkowe. Chciał-

bym zobaczyć cię z tym przebiegłym uśmiechem na twarzy. Za rzadko się uśmiechasz, Mirando.

- Ostatnio nie mam zbyt wielu powodów do radości.

- Myślę, że możemy to zmienić. Mniej więcej za godzinę podjedzie samochód... Abby.

Wykorzystaj czas i przyzwyczajaj się do swojego nowego imienia. Gdybyś miała problemy z zapamiętaniem, że jestem teraz Kevinem... - Mrugnął do niej.

- ... możesz mówić do mnie „kochanie”.

- Nie będę.

- Och, jeszcze jedna sprawa. - Wyjął z kieszeni maleńkie pudełeczko od jubilera.

Kiedy otworzył wieczko, oślepił ją blask brylantów. - Na znak oddania przyjmij ode mnie i tak dalej - powiedział, wyjmując pierścionek i ujmując jej dłoń.

- Nie.

- Nie bądź aż taką idiotką. To tylko ozdoba wystawy sklepowej.

Kiedy wsuwał go Mirandzie na palec, musiała spojrzeć w dół. Pierścionek wysadzany był lśniącoymi brylancikami, które połyskiwały jak kryształki lodu i całkowicie ją oślepiły.

- Ozdoba wystawy sklepowej. Podejrzewam, że jest kradziony.

- Ranisz mnie. Mam przyjaciela, który prowadzi sklep jubilerski. Kupiłem to po cenie hurtowej. Muszę się spakować.

Kiedy Ryan ruszył schodami w górę, zmartwiona przyglądała się pierścionkowi. Może to było głupie, ale wołałaby, żeby nie pasował tak idealnie na jej palec.

- Ryan? Naprawdę jesteś w stanie to zrobić? Rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Sama zobaczysz.

Natychmiast zorientował się, że szperała w jego rzeczach. Starła się nie zostawiać żadnych śladów, ale to i tak nie pomogło. Nie zauważyła zastawionych przez niego drobnych pułapek - pojedynczego włosa na gałce drzwi do szafy ani wąskiego kawałeczka przezroczystej taśmy na komodzie. Był to jego stary nawyk, którego nigdy nie zarzucił, chociaż mieszkał w doskonale strzeżonym budynku.

Jedynie potrząsnął głową. Nie znalazła niczego, czego nie powinna znaleźć.

Otworzył szafę, przycisnął mechanizm ukryty pod oparciem fotela i wszedł do tajnego pokoju. Szybko wybrał to, co ewentualnie mogłoby mu się przydać. Wcześniej gruntownie wszystko przemyślał. Na pewno potrzebne będą wytrychy i kieszonkowe urządzenia elektroniczne przydatne w jego zawodzie. Zwój cienkiej elastycznej liny oraz rękawice chirurgiczne.

Klej alkoholowy, farba do włosów, kilka sztucznych blizn, dwie pary okularów.

Wątpił, by ta robota wymagała przebrania, a jeśli wszystko pójdzie jak należy, przydadzą mu się jedynie najbardziej podstawowe narzędzia. Mimo to wolał przygotować się na wszystko.

Wybrane przedmioty ukrył starannie pod fałszywym spodem walizki. Potem dorzucił

wszystko, co powinien zabrać ze sobą mężczyzna wybierający się do Włoch na romantyczne wakacje, wypełniając ubraniami walizkę i torbę.

W swoim biurze spakował notebooka i wybrał odpowiednie dyskietki. Potem dorzucił

jeszcze rzeczy, które zabrał z Spy 2000 w centrum miasta i sam nieco uatrakcyjnił.

Zadowolony ukrył prawdziwe dokumenty w sejfie za pełnym wydaniem dzieł Edgara Allana Poeego - ojca tajemnic znajdujących się za zamkniętymi drzwiami - i działając pod wpływem impulsu, wyjął trzymaną tam złotą obrączkę.

Była to obrączka ślubna jego dziadka. Choć zdarzało się już wcześniej, że występując w przebraniu, nakładał obrączkę, nigdy jednak nie korzystał z tej, którą matka wręczyła mu dwa lata temu podczas stypy.

Nie zastanawiając się, dlaczego tym razem wybrał właśnie tę, wsunął ją na palec, zamknął sejf i wrócił do walizek.

Kiedy schodził z nimi na dół, zabrzączał interkom, oznajmiając przybycie samochodu.

Miranda zniosła już swoje bagaże. W równym szeregu stały walizki, notebook i aktówka.

Ryan uniósł brwi.

- Lubię punktualne kobiety. Masz wszystko? Nabrała powietrza w płuca.

- Chodź. Nienawidzę pośpiechu na lotnisku. Uśmiechnął się do niej.

- Ale trafiła mi się dziewczyna - powiedział i pochylił się, by dźwignąć jedną z jej walizek.

- Potrafię znieść własne rzeczy. - Odepchnęła jego rękę. - I wcale nie jestem twoją dziewczyną.

Wzruszył ramionami, cofnął się o krok i zaczekał, aż Miranda zarzuci paski na ramię i dźwignie walizki.

- Pani pierwsza, doktor Jones.

Nie powinna się wcale dziwić, że mimo śmiesznie krótkiego czasu zdołał

zarezerwować dwa miejsca w pierwszej klasie. Ponieważ głupio się czuła, ilekroć stewardesa zwracała się do niej per „pani O'Connell”, Miranda natychmiast po starcie zagłębiła się w lekturze Kafki.

Ryan przez jakiś czas czytał ostatnią powieść złodziejską Lawrence'a Błocka. Potem sącył szampana i oglądał walczącego Arnolda Schwarzeneggera. Miranda piła wodę mineralną i usiłowała skoncentrować się na filmie przyrodniczym.

W połowie drogi, gdzieś nad Atlantykiem, odczuła skutki niespokojnej nocy. Starając się za wszelką cenę zignorować swego towarzysza podróży, Miranda rozłożyła fotel, wyciągnęła się i zasnęła.

Śniło jej się Maine, tamtejsze klify, uderzające u ich podnóża fale i gęsta szara mgła, która zacierała wszelkie kontury. Spowite w całun światła niewyraźnie migotały w oddali, a ona wykorzystując je, kierowała się w stronę latarni morskiej.

Była sama, zupełnie sama.

Na dodatek potwornie się bała.

Potykając się co krok, po omacku posuwała się do przodu, z całych sił powstrzymując szloch, chociaż każdy oddech palił ją w płucach. Ścigał ją groźny i szyderczy kobiecy śmiech, zaczęła więc biec.

Biegając, znalazła się na skraju urwiska, tuż nad kipiącym morzem.

Kiedy ktoś złapał ją za rękę, chwyciła się kurczowo wyciągniętej dłoni. Nie zostawiaj mnie samej - wołała w myślach.

Siedzący obok niej Ryan spojrział na ich złączone ręce. Chociaż spała, jej kostki były prawie białe. Zastanawiał się, kto ją ściga i dlaczego nie ma odwagi stawić czoła przeciwnikowi.

Głaskał kciukiem jej palce, aż się rozluźniły. Mimo to nadal trzymał ją za rękę, dziwiąc się, jak dużo otuchy może dodać całkiem zwyczajny gest. Potem zamknął oczy i zasnął.

- Jest tylko jedna sypialnia. - Miranda nie zwracała uwagi na śliczny apartament, widziała tylko, że jest jedna sypialnia z wytwornym olbrzymim łóżem przykrytym elegancką białą narzutą.

Tymczasem Ryan otworzył znajdujące się w salonie podwójne drzwi i wyszedł na ogromny taras, by nasyć się cudownym wiosennym powietrzem i widokiem włoskiego słońca, którego promienie połyskiwały na jasnoczerwonych dachach.

- Popatrz, jaki stąd jest widok. Między innymi ze względu na taras zależało mi na tym, by ponownie zarezerwować ten pokój. W takim miejscu można by zamieszkać.

- Dobrze. - Otworzyła drzwi sypialni i wyszła na zewnątrz. - To dlaczego tego po prostu nie zrobiłeś? - Nie da się oczarować chwytającej za serce panoramie miasta i wesołym pelargoniom rosnącym w skrzynkach tuż pod kamiennym gzymsem. Ani mężczyźnie, który pochylił się nad nimi i sprawiał wrażenie człowieka, który urodził się po to, by znajdować się właśnie w tym miejscu.

- Jest tylko jedna sypialnia - powtórzyła.

- Jesteśmy małżeństwem. A tak a propos, może przyniosłabyś mi piwa?

- Na pewno istnieje pewien typ kobiet, które uważają, że jesteś zabawny i trudno ci się oprzeć, Boldari, ale ja do nich nie należę. - Podeszła do poręczy. - Jest tylko jedna sypialnia, a w niej tylko jedno łóżko.

- Jeśli jesteś wstydliva, możemy na zmianę spać na sofie w salonie. Ty pierwsza. -

Objął ją ramieniem i po przyjacielsku uściskał. - Rozluźnij się, Mirando. Chętnie wziąłbym cię do łóżka, ale teraz mam ważniejsze sprawy na głowie. Taki widok jest w stanie zrekompensować długi lot, prawda?

- Mam na głowie ważniejsze sprawy niż widok.

- Ale skoro już go mamy, równie dobrze możemy się nim nacieszyć. Tamto mieszkanie wynajmuje młode małżeństwo.

- Podprowadził ją i pokazał okno na najwyższym piętrze znajdującego się po lewej stronie jasnożółtego budynku.

- W niedzielne ranki pracują razem w ogrodzie na dachu. Pewnej nocy wyszli na taras i kochali się.

- Obserwowałaś ich?

- Tylko do czasu kiedy stało się jasne, co mają zamiar zrobić. Nie jestem człowiekiem zdeprawowanym.

- Rozstrzygnięcie tej sprawy zostawmy sądowi. Rozumiem, że byłeś tu wcześniej.
- W zeszłym roku Kevin O'Connell rzeczywiście zatrzymał się tu na kilka dni. To właśnie dlatego ponownie korzystam z tego nazwiska. W dobrze prowadzonym hotelu, a ten do nich należy - pracownicy zapamiętują gości, zwłaszcza jeśli dają oni spore napiwki, a Kevin jest raczej hojnym facetem.
- Dlaczego zatrzymałeś się tu jako Kevin O'Connell?
- Zajmowałem się wówczas relikwiarzem z kością Giovanniego Battisty.
- Ukradłeś relikwie? Relikwie? Kość Świętego Jana Chrzciciela?
- Tylko jej fragment. Do diabła, jego kawałki rozsiane są po całych Włoszech, zwłaszcza tutaj, gdzie jest patronem.
- Jej oburzenie sprawiło Ryanowi ogromną przyjemność.
- Stary Janeczek cieszy się ogromną popularnością. Wszyscy jak oka w głowie strzegą nawet najmniejszych odłamków jego kości.
- Nie potrafię znaleźć stów - mruknęła Miranda.
- Mój klient był chory na raka. Wmówił sobie, że dzięki tej relikwii odzyska zdrowie.

Oczywiście nie żyje, ale zmarł dziewięć miesięcy później, niż przewidywali lekarze. Więc kto wie? Rozpakujmy się. - Poklepał ją po ramieniu. - Chciałbym wziąć prysznic, a potem zabierzemy się do roboty.

- Do roboty?
- Muszę zrobić zakupy.
- Nie mam zamiaru tracić dnia na szukanie butów dla twojej siostry.
- To nie potrwa długo, poza tym przydałyby mi się jakieś drobiazgi dla reszty rodziny.
- Posłuchaj, Boldari, sądzę, że mamy ważniejsze sprawy niż kupowanie prezentów dla twoich krewnych.

Pochylił się i pocałował ją w czubek nosa, czym doprowadził ją do szału.

- Nie martw się, kochanie. Tobie również coś kupię. Włóż wygodne buty - poradził jej i poszedł wziąć prysznic.

W sklepiku na Ponte Vecchio kupił uroczą złotą bransoletkę ze szmaragdowymi kaboszonami - zbliżały się urodziny jego matki - i kazał odesłać ją do hotelu. Na moście nad spokojną rzeką Arno aż

roilo się od turystów i ludzi polujących na okazyjne zakupy.

Najwyraźniej panujący tu tłok sprawiał Ryanowi ogromną przyjemność, bo dokupił jeszcze łańcuszki z lśniącego włoskiego złota, kolczyki z markazytu i broszki w stylu florenckim. Dla sióstr, wyjaśnił Mirandzie, która czekała niecierpliwie, za wszelką cenę starając się nie ulec czarowi pełnych blasku okien wystawowych.

- Jeśli postoi się tutaj wystarczająco długo - skomentował - można usłyszeć wszystkie języki świata.

- Czy kiedykolwiek stałeś tu tak długo?

Objął ją ramieniem i potrząsnął głową, czując, że zeszywniała.

- Nigdy nie poddajesz się urokowi chwili, doktor Jones? To Florencja, znajdujemy się na najstarszym moście tego miasta. Słońce lśni. Odetchnij głęboko - zaproponował - i ciesz się tym wszystkim.

Niewiele brakowało, a byłaby to zrobiła.

- Nie przyjechaliśmy do Florencji, by zachwycać się tutejszą atmosferą - powiedziała oschle, pragnąc ostudzić jego entuzjazm i swoje tłumione dotychczas pragnienia.

- Ale skoro już tu jesteśmy, możemy nacieszyć się tym, co nas otacza. - Nie zrażając się, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą na drugą stronę mostu.

Miranda doszła do wniosku, że Ryan najwyraźniej uwielbia małe sklepiki i stoiska, ponieważ z ogromnym zapałem targował się, kupując skórzane torby i lśniące pudełeczka w pobliżu Piazza della Repubblica.

Chociaż proponował jej, żeby sama sobie również coś kupiła, Miranda zlekceważyła tę radę i czekając w milczeniu, całą uwagę skupiła na architekturze.

- A to dla Robbiego. - Zdjął z wieszaka małą, czarną skózaną kurteczkę ze srebrnymi wykończeniami.

- Kim jest Robbie?

- To mój bratanek. Ma trzy latka. Będzie się z tego bardzo cieszył.

Kurteczka była bardzo ładnie wykonana, droga i wystarczająco urocza, by Miranda zacisnęła usta, starając się nie uśmiechnąć.

- Po co trzylatkowi taka niepraktyczna rzecz?

- Została uszyta z myślą o trzylatku - poprawił. - Dlatego jest taka mała. *Quanto?* -

zapytał sprzedawcę i znów zaczął się targować.

Po skończeniu tej rundy skierował się na zachód, ale jeśli myślał, że uda mu się namówić Mirandę na fantastyczne ciuchy sprzedawane na via dei Tornabuoni, nie docenił jej siły woli.

W świątyni obuwia Ferragama wybrał trzy pary butów. Miranda nie kupiła niczego -

nie zdecydowała się nawet na parę wspaniałych perłowoszarych skórzanych czółenek, które wpadły jej w oko i wzbudziły pożądanie.

Przypomniała sobie, że karty kredytowe znajdujące się w jej portfelu nie zostały wystawione na jej nazwisko. Nie skorzysta z żadnej z nich, nawet gdyby miała chodzić na bosaka.

- Każda kobieta - zauważył, kiedy szli w stronę rzeki - byłaby już obwieszona dziesiątkami toreb i pudełek.

- Nie jestem „każdą” kobietą.

- Zauważyłem. Chociaż fantastycznie wyglądałabyś w skórze.

- W twoich żalosznych wyobrażeniach, Boldari.

- W moich wyobrażeniach nie ma niczego żalosznego.

- Stał przed sklepem i otworzył szklane drzwi.

- Co teraz?

- Kiedy się jest we Florencji, trzeba koniecznie kupić jakieś dzieło sztuki.

- Nie przyjechaliśmy tu na zakupy. Mieliśmy załatwić pewne sprawy zawodowe.

- Rozluźnij się. - Ujął jej dłoń i łagodnym łukiem uniósł ją do ust. - Zaufaj mi.

- W twoim przypadku obie te rzeczy są całkowicie wykluczone.

Cały sklep był zastawiony marmurowymi i brązowymi reprodukcjami. Tańczący bogowie i boginie kusili turystów, by wykorzystali do końca karty kredytowe i kupili kopię dzieła mistrza lub jakąś pracę nieznanego artysty.

Miranda czuła, że zaczyna tracić cierpliwość, mimo to nastawiła się na stratę następnej cennej godziny i czekanie, aż Ryan wywiąże się ze swoich zobowiązań względem rodziny.

Zaskoczył ją jednak, kiedy po pięciu minutach kiwnął głową w stronę smukłej statuetki Wenus.

- Co o niej sądzisz?

Z namaszczeniem okrążyła wypolerowaną brązową figurkę.

- Może być. Trudno uznać ją za dobrą, ale jeśli któryś z twoich licznych krewnych szuka czegoś, co

nadawałoby się do postawienia na trawniku, być może go to zadowoli.

- Tak, myślę, że może być. - Promiennie uśmiechnął się do sprzedawcy, potem zaskoczył Mirandę, zaglądając do włoskich rozmówek.

Podczas wcześniejszych zakupów mówił płynnie po włosku, często używając nawet wyrażen potocznych. Teraz najprostsze zdanie powiedział z tak okropnym akcentem, że sprzedawca uśmiechnął się do niego.

- Jest pan Amerykaninem? Możemy rozmawiać po angielsku.

- Tak? Dzięki Bogu. - Roześmiał się i przyciągnął do siebie Mirandę. - Moja żona i ja chcemy kupić do domu coś specjalnego. Podoba nam się ta rzeźba. Będzie pięknie wyglądała w salonie, prawda Abby?

W odpowiedzi usłyszeli jedynie „hmmm”.

Tym razem wcale się nie targował, jedynie zerknął na cenę, a potem odciągnął

Mirandę na bok, jakby chciał skonsultować się na osobności.

- Po co to wszystko? - Złapała się na tym, że szepcze, ponieważ pochylił do niej głowę.

- Nie chciałbym kupować tego bez aprobaty swojej kochanej żony.

- Jesteś osłem.

- Piękna zapłata za to, że jestem tak dobrym mężem.

- Pochylił głowę i pocałował ją mocno w usta. Jedynie ostrożność pozwoliła mu uniknąć jej zębów. - Obiecuj, że później spróbujesz zrobić to samo.

Zanim zdołała wziąć odwet, ponownie odwrócił się do sprzedawcy.

- Weźmiemy ją.

Kiedy transakcja została zawarta, a statuetka opakowana i włożona do pudła, Ryan nie zgodził się na odesłanie jej do hotelu.

- Nie ma takiej potrzeby. I tak już wracamy. - Dźwignął torbę, potem objął Mirandę, przy okazji uderzając ją jednym z dwóch zwisających mu z ramienia aparatów. - Zjedzmy po drodze lody, Abby.

- Nie chcę lodów - warknęła, kiedy wyszli na zewnątrz.

- Na pewno chcesz. Pozwolą ci zachować energię. Został nam jeszcze jeden przystanek.

- Posłuchaj, jestem zmęczona, bolą mnie nogi i nie interesują mnie zakupy. Spotkajmy się w hotelu.

- Masz zamiar zrezygnować z najlepszej zabawy? Idziemy do Bargello.

- Teraz? - Czują, że po kręgosłupie przebiega jej dreszcz strachu i podniecenia. -

Zrobimy to teraz?

- Na razie jeszcze przez jakiś czas pobawimy się w turystów. - Zszedł na ulicę, zostawiając jej miejsce na wąskim chodniku. - Sprawdzimy to miejsce, obejrzymy wszystko, porobimy zdjęcia. - Mrugnął okiem. - W filmach określają to mianem „rozpoznania terenu”.

- Rozpoznanie terenu - mruknęła, powtarzając bezmyślnie.

- Gdzie są kamery? Jak daleko od głównego wejścia znajduje się *Bachus* Michała Anioła? - Doskonale to wiedział, ponieważ nie była to jego pierwsza wyprawa do Bargello.

- Jak duży jest dziedziniec? Ile stopni prowadzi do znajdującej się na pierwszym piętrze loggii? Kiedy zmieniają się strażnicy? Ile...?

- W porządku, w porządku, już wszystko rozumiem.

- Uniosła rękę do góry. - Ale nie pojmuję, dlaczego nie poszliśmy tam od razu.

- Wszystko w swoim czasie, kochanie. Abby i Kevin w pierwszym dniu pobytu tutaj na pewno chcieliby zobaczyć miasto, prawda?

Doszła do wniosku, że rzeczywiście wyglądają jak amerykańscy turyści: obwieszeni aparatami fotograficznymi, torbami pełnym zakupów i przewodnikami. Po drodze kupił jej lody. Ponieważ miała nadzieję, że to pomoże rozluźnić ogromne napięcie, które umiejscowiło się w żołądku, lizała cierpkie lody cytrynowe, a Ryan szedł obok, pokazując budynki i posągi, zatrzymując się przy wystawach sklepowych i czytając jadłospisy wywieszane na zewnątrz knajpek.

Przyszło jej na myśl, że może rzeczywiście to ma jakiś sens. Nikt nie zwracał na nich uwagi i jeśli tylko skoncentrowała się na chwili obecnej, niemal była w stanie uwierzyć, że kluczą po mieście po raz pierwszy w życiu. Czują się tak, jakby występowała w sztuce pod tytułem „Abby i Kevin we Włoszech”.

Gdyby tylko była nieco lepszą aktorką.

- Jest fantastyczna, prawda? - Zatrzymał się, nie puszczając jej ręki, i bacznie obserwował górującą nad miastem wspaniałą katedrę.

- Tak. Kopuła Brunelleschiego była rewolucyjnym osiągnięciem. Nie stosował przy niej rusztowania. Giotto zaprojektował Kampanilę, lecz nie dożył chwili, kiedy została ukończona. - Poprawiła okulary przeciwsłoneczne. - Neogotycka marmurowa fasada naśladuje jego styl, lecz wykonana zastała dopiero w dziewiętnastym wieku.

Miranda przeczesła palcami włosy i zauważyła, że Ryan się do niej uśmiecha.

- O co chodzi?

- Interesująco prowadzisz lekcję historii, doktor Jones. - Kiedy jej twarz zamieniła się w kamienną maskę, ujął ją w dłonie. - Nie, nie rób tego. To nie było szyderstwo, lecz komplement. - Delikatnie musnął palcami jej kości policzkowe. Doszedł do wniosku, że Miranda ma tak dużo wrażliwych miejsc. - Powiedz mi coś jeszcze.

Jeśli z niej drwił, doskonale to ukrywał. Dlatego skorzystała z możliwości.

- Michał Anioł rzeźbił swego *Dawida* na dziedzińcu Museo dell'Opera del Duomo.

- Naprawdę?

Powiedział to tak poważnie, że się uśmiechnęła.

- Tak, skopiował również *Świętego Jana* Donatella i własnego *Mojżesza*. Już samo to mogłoby wystarczyć. Wydaje mi się jednak, że dumą tego muzeum jest *Pieta*. Niektórzy wierzą, że wspaniale wykonana postać Nikodema jest autoportretem. Natomiast dużo gorsza jest figura Marii Magdaleny, którą najwyraźniej wykonał jeden z jego uczniów. Nie całuj mnie, Ryan - powiedziała szybko, zamykając oczy, kiedy jego usta zawisły wyczekująco tuż nad jej wargami. - To wszystko komplikuje.

- A czy życie musi być proste?

- Tak. - Ponownie otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- W tym przypadku tak.

- W każdej innej sytuacji zgodziłbym się z tobą.

- W zamyśleniu musnął palcem jej wargi. - Podobamy się sobie nawzajem, więc to powinno być całkiem proste, ale wygląda na to, że wcale nie jest. - Opuścił ręce na jej ramiona, a potem przesunął je w dół, aż dotarł do jej nadgarstków. Wyczuł mocny przyspieszony puls. To powinno sprawić mu przyjemność.

Mimo to cofnął się.

- W porządku. Dołożymy wszelkich starań, żeby niczego nie komplikować. Stań tam.

- Po co?

- Chciałbym zrobić ci zdjęcie, kochanie. - Zsunął okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i mrugnął do niej. - Po powrocie do domu będziemy chcieli pokazać je wszystkim naszym przyjaciołom, prawda, Abby?

Chociaż uważała to za lekką przesadę, stanęła przed wspaniałym Duomo obok setek innych odwiedzających i pozwoliła Ryanowi sfotografować się na tle pięknej fasady wykonanej z białego, zielonego i różowego marmuru.

- Teraz ty sfotografuj mnie. - Podszedł, trzymając w ręce nowoczesnego nikon. -

Właściwie sam się ustawia. Wystarczy, że...

- Potrafię posługiwać się aparatem fotograficznym.

- Wyrwała mu go z ręki. - Kevinie...

Cofnęła się, ujęła Ryana w kadr i ustawiła ostrość. Czowała jednak, że jej serce bije nieco za mocno. Ryan prezentował się fantastycznie. Był wysoki, śniady i z pewnością siebie uśmiechał się do obiektywu.

- Proszę. Zadowolony?

- Prawie. - Zaczepił parę turystów, którzy z radością zgodzili się zrobić zdjęcie młodym Amerykanom.

- To śmieszne - mruknęła Miranda, ponownie pozując, lecz tym razem Ryan obejmował ją ręką w pasie.

- To dla mojej matki - powiedział, a potem działając pod wpływem impulsu, pocałował ją.

Stado gołębi poderwało się, machaniem skrzydeł wprawiając w ruch powietrze. Nie zdążyła zaprotestować, zabrakło jej również czasu na obronę. Ryan przyciągnął ją do siebie i przywarł ciepłymi pewnymi wargami do jej ust. Cicho mruknęła, nie był to jednak protest.

Uniosła dłoń, mając zamiar dotknąć jego twarzy.

Na niebie świeciło niemal białe słońce, powietrze aż wibrowało od rozmaitych odgłosów. Tymczasem serce Mirandy drżało w oczekiwaniu na coś nadzwyczajnego.

Ryan uznał, że jeśli się nie odsunie, przepadnie z kretelem, dlatego pocałował ją w rękę.

- Przepraszam - powiedział, ale wcale się nie uśmiechał, nie mogąc wyzwolić się spod jej uroku. - Chyba uległem chwili.

Zostawił ją roztrzęsioną i poszedł odebrać aparat. Założył go na ramię, wziął torbę z zakupami, a potem patrząc jej w oczy, wyciągnął rękę.

- Chodźmy.

Prawie zapomniała, po co tu przyjechali, przestała również myśleć o planie.

Przytaknęła i ruszyła za nim.

Kiedy dotarli do bram starego pałacu, Ryan jak przystało na dobrego turystę wyciągnął z tylnej kieszeni przewodnik.

- Budynek ten został wybudowany w tysiąc dwieście pięćdziesiątym piątym roku -

powiedział. - Od szesnastego do połowy dziewiętnastego wieku znajdowało się w nim więzienie. Egzekucje wykonywano na dziedzińcu.

- Co za dziwny zbieg okoliczności - mruknęła. - Poza tym znam historię.

- To doktor Jones zna historię. - Z uczuciem klepnął ją po pupie. - Abby, kochanie.

Kiedy znaleźli się wewnątrz, wyjął kamerę wideo.

- Wspaniałe miejsce, prawda, Abby? Spójrz na tego faceta: zdążył wychylić kilka kieliszków, nie sądzisz?

Skierował kamerę na wspaniałą brąz przedstawiający pijanego *Bachusa*, a potem sfilmował całe pomieszczenie.

- Zaczekaj, aż zobaczą to Jack i Sally. Zzielenieją z zazdrości.

Odwrócił kamerę w stronę drzwi, gdzie siedział obserwujący turystów strażnik.

- Spaceruj dookoła - powiedział cicho do Mirandy. - Postaraj się sprawiać wrażenie przeciętnej turystki, która odczuwa ogromny respekt na widok tego, co ją otacza.

Pociły jej się dłonie. Doszła do wniosku, że to śmieszne. W końcu mieli prawo tu być.

Nikt nie mógł wiedzieć, co dzieje się w jej głowie. Mimo to krążąc po sali, czuła bolesne uderzenia serca.

- Wspaniałe, fantastyczne, prawda?

Drgnęła, kiedy Ryan przyłączył się do niej, gdy udawała, że bacznie przygląda się *Adamowi i Ewie Bandinello*.

- To wspaniałe wytwór tamtej epoki.

- Tylko dlatego, że jest stary. Prawdę mówiąc, wyglądają jak para mieszkańców przedmieść co drugi tydzień spędzająca weekend wśród nudystów. Chodźmy zobaczyć znajdujące się w loggii ptaki Giambolognii.

Po godzinie Miranda zaczęła dochodzić do wniosku, że działalność przestępcza czasami bywa bardzo nużąca. Zwiedzili wszystkie udostępnione turystom sale, filmując każdy centymetr kwadratowy i najciemniejszy kąt. Zapomniała nawet, że Sala dei Bronzetti mieści najwspanialszą we Włoszech kolekcję małych renesansowych brązów, a ponieważ to przypomniało jej o *Dawidzie*, ponownie poczuła, że ma napięte nerwy.

- Nie masz jeszcze dosyć?

- Jeszcze chwileczkę. Poflirtuj trochę ze strażnikiem.

- Słucham?

- Odwróć jego uwagę. - Ryan opuścił kamerę i rozpiął dwa górne guziki bawełnianej bluzki Mirandy.

- Co robisz?

- Dzięki temu bardziej skupi się na tobie, *cara*. Zadaj mu kilka pytań, używaj złego włoskiego rodem z rozmówek, trzepocz rzęsami i spraw, by poczuł się kimś bardzo ważnym.

- Co masz zamiar zrobić?

- Nic, jeśli nie zdołasz go skłonić, żeby przez pięć minut nie odrywał od ciebie wzroku. Daj mi tyle czasu, potem zapytaj, gdzie są toalety, i skorzystaj z nich. Spotkamy się za dziesięć minut na dziedzińcu.

- Ale...

- Zrób to - warknął, a w jego głosie było coś ze stali. - Jest tu dziś sporo ludzi, więc powinno mi się udać.

- O Boże. W porządku. - Poczowała, że żołądek podchodzi jej do gardła, mimo to odwróciła się i podeszła do strażnika.

- Och... *scusi* - zaczęła, dając temu słowu zdecydowany amerykański akcent. -

Perfavore... - Zauważyła, że strażnik skierował wzrok w rozchylenie bluzki, po czym rozradowany wrócił do jej twarzy. Z trudem przełknęła ślinę i rozłożyła ręce. - Mówi pan po angielsku?

- *Si, signora*, troszeczkę.

- Och, cudownie. - Spróbowała zatrzepotać rzęsami, a kiedy strażnik uśmiechnął się od ucha do ucha, zdała sobie sprawę, że jej żalosne wybiegi naprawdę działają. - Przed wyjazdem uczyłam się włoskiego, ale teraz wszystko mi się poplątało. Jestem taka roztrzępana. To okropne, że Amerykanie nie znają drugiego języka tak jak większość Europejczyków, prawda?

Widzące jego błyszczące oczy, domyśliła się, że mówi dużo za szybko, by ją zrozumiał. Tym lepiej.

- Wszystko jest tu takie piękne. Jestem ciekawa, czy mógłby mi pan powiedzieć coś o... - Wybrała przypadkową rzeźbę.

Ryan odczekał chwilę, a kiedy zobaczył, że strażnik jest całkiem zaabsorbowany wpatrywaniem się w dekolt Mirandy, odwrócił się tyłem do bocznych drzwi, wyjął z kieszeni wytrych i zaczął majstrować przy zamku.

Wcale nie było to takie trudne, chociaż przez cały czas musiał trzymać ręce za swoimi plecami i

manipulować wytrychem po omacku. Muzeum nie spodziewało się, że turyści przyjdą uzbrojeni w złodziejskie narzędzia i będą chcieli w biały dzień otwierać zamknięte drzwi.

Ryan miał w swojej dokumentacji plan tego piętra. Zgodnie z uzyskanymi informacjami to, czego szukał, powinien znaleźć za drzwiami jednego ze znajdujących się na tym piętrze magazynów.

Przez cały czas zerkając na kamerę, odczekał, aż zasłoniła go grupka miłośników sztuki.

Nim odeszli, znajdował się już za drzwiami.

Z zadowoleniem zaczerpnął powietrza w płuca, włożył wyjęte z kieszeni rękawiczki i poruszał palcami. Nie miał zbyt dużo czasu.

Był to istny labirynt małych pokoików zastawionych rzeźbami i obrazami, z których większość rozpaczliwie wymagała konserwacji. Wiedział, że ludzie, którzy zarabiają na życie, tworząc dzieła sztuki lub zajmując się nimi, wcale nie należą do najbardziej zorganizowanych.

Zwrócił uwagę na kilka eksponatów łącznie ze smutnooką Madonną z odłamanym ramieniem. Tym razem jednak szukał innej damy...

Słyszając niemelodyjne gwizdanie i odgłos kroków, szybko zaczął się rozglądać za jakąś kryjówką.

Siedziała na ławce na dziedzińcu. Minęło dziesięć minut, potem piętnaście. Po dwudziestu zaczęła załamywać ręce i wyobrażać sobie, jak wygląda życie we włoskim więzieniu.

Może przynajmniej jedzenie będzie dobre.

Na szczęście teraz nie zabijają już złodziei i nie wieszają ich ciał w oknach Bargello, by ostrzec innych przed surowym wymiarem sprawiedliwości.

Ponownie zerknęła na zegarek i potarła palcami usta pewna, że Ryan został

przyłapany. Właśnie teraz przesłuchują go w jakimś dusznym małym pokoiku, a on bez skrępowania podaje jej nazwisko. Tchórz.

W tym momencie go zobaczyła. Przechodził przez dziedziniec jak mężczyzna gwizdający na cały świat i nie odczuwający żadnych wyrzutów sumienia. Poczwała tak ogromną ulgę, że poderwała się na równe nogi i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Gdzie byłeś? Myślałam, że...

Pocałował ją, pragnąc jej przerwać, a jednocześnie wykorzystać sytuację.

- Chodźmy na drinka. Porozmawiamy o tym - powiedział z wargami tuż obok jej ust.

- Jak mogłeś mnie tak zostawić? Powiedziałeś, że potrzebujesz dziesięciu minut... a minęło prawie pół godziny.

- Zajęło mi to trochę więcej czasu. - Ich usta wciąż znajdowały się obok siebie, a Ryan uśmiechnął się do niej. - Tęskniłaś za mną?

- Nie. Zastanawiałam się tylko, co w więzieniu dają dziś na kolację.

- Miej do mnie choć odrobinę zaufania. - Ścisnął jej dłoń. - Miło by było napić się trochę wina i zjeść kawałek sera. Piazza delia Signoria nie jest tak malownicza jak inne, lecz znajduje się bardzo blisko.

- Gdzie się podziewałeś? - dopytywała. - Zagadywałam strażnika tak długo, jak mogłam, a kiedy potem się rozejrzałam, nigdzie cię nie było.

- Chciałem sprawdzić, co mieści się za drzwiami numer trzy. Chociaż ten budynek był

niegdyś pałacem, a potem więzieniem, znajdujące się w nim drzwi stanowią dzieciinną igraszkę.

- Jak mogłeś tak ryzykować i włamywać się tam, dokąd nie wolno wchodzić, kiedy strażnik znajdował się niecałe trzy metry od ciebie?

- Zazwyczaj to jest najlepszy moment. - Kiedy przechodzili obok jakiegoś sklepu, spojrzął na witrynę i przypomniał sobie, że potrzebuje jeszcze trochę czasu na zakupy. -

Znalazłem naszą damę - powiedział od niechcienia.

- Jesteś głupim nieodpowiedzialnym samolubem i samochwałą... Co takiego?

- Znalazłem ją. - Uśmiech Ryana błysnął jak tokańskie słońce. - Stała w ciemnym kącie i nie wyglądała na zbyt szczęśliwą, że pokrywa ją coraz grubsza warstwa kurzu. Cierpliwości - powiedział, nim zdołała mu zadać pytanie. - Chce mi się pić.

- Chce ci się pić? Na litość boską, jak możesz myśleć o winie i serze? Powinniśmy coś zrobić. Zaplanować następny krok. Nie możemy tak po prostu siedzieć pod markizą i popijać chianti.

- Ale to właśnie zrobimy. I przestań oglądać się przez ramię, zupełnie jakby śledziła nas *polizia*.

Pociągnął ją w stronę jednego z szerokich płóciennych daszków przed ruchliwą knajpką i podprowadził do pustego stolika.

- Chyba całkiem postradałeś zmysły. Najpierw zakupy, pamiątki, szukanie skórzanych kurtek dla brzdąców, snucie się po Bargello, jakbyś nigdy wcześniej tam nie był. A teraz...

Urwała zaszokowana, kiedy pociągnął ją na krzesło. Zacisnął palce na jej dłoni i pochylił się nad stolikiem. Skierowany do niej uśmiech był tak samo twardy i zimny jak jego głos.

- Teraz chwilę sobie tu posiedzimy, a ty nie będziesz przysparzać mi żadnych kłopotów.

- Ja...

- Żadnych kłopotów.

Z łatwością zmienił wyraz twarzy, uniósł głowę i z uśmiechem spojrzał na kelnera.

Ponieważ teraz kamuflaż był już całkiem zbędny, Ryan posługując się bezbłędnym włoskim, poprosił o butelkę miejscowego wina i wybór serów.

- Nie zgodzę się na to, żebyś mnie tyranizował.

- Kochanie, zgodzisz się, jeśli tylko uznam, że powinnaś. Mam tę damę.

- Niepotrzebnie się trudzisz... Co takiego? - Rumieńce, które przed chwilą pojawiły się na twarzy Mirandy, gwałtownie zniknęły. - Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Jest pod stolikiem.

- Pod... - Kiedy miała zamiar z głośnym skrzypnięciem odsunąć krzesło do tyłu i zerknąć pod stół, po prostu mocniej zacisnęła palce na jej ręce, aż musiała stłumić krzyk.

- Patrz na mnie, *cara*, i udawaj, że jesteś we mnie zakochana. - Uniósł jej posiniaczone palce do ust.

- Próbujesz mi wmówić, że wszedłeś do muzeum w biały dzień i wyniosłeś z niego brąz?

- Jestem w tym dobry. Przecież ci mówiłem.

- Ale teraz? Właśnie teraz? Nie było cię zaledwie przez trzydzieści minut.

- Gdyby w magazynie nie pojawił się strażnik, który chciał po kryjomu napić się wina, byłbym dwa razy szybciej.

- Przecież mówiłeś, że musimy sprawdzić to miejsce, sfilmować je, wymierzyć, poznać.

Ponownie pocałował jej palce.

- Kłamałem. - Trzymał w ręce dłoń Mirandy i z rozmarzeniem patrzył jej w oczy, kiedy na ich stoliku znalazły się wino i ser. Poznając kochanków, kelner uśmiechnął się z po-błazaniem i zostawił ich samych.

- Kłamałeś?

- Gdybym ci powiedział, że mam zamiar ją zabrać, byłabyś zdenerwowana, a wówczas mogłabyś wszystko spieprzyć.

- Nalał wina dla nich obojga, spróbował go i zaaprobował.

- Toskańskie wina są naprawdę wyjątkowe. Nie masz zamiaru się przekonać?

Nie odrywając od niego wzroku, uniosła kieliszek i kilkoma dużymi łykami opróżniła jego zawartość.

Teraz była współsprawczynią kradzieży.

- Jeśli masz zamiar tak pić, lepiej coś zjedz. - Odkroił kawałek sera i podsunął jej, -

Proszę.

Odepchnęła jego rękę i sięgnęła po butelkę.

- Wchodząc do muzeum, wiedziałeś, że to zrobisz.

- Wchodząc, wiedziałem jedynie, że jeśli trafi się okazja, spróbuję dokonać wymiany.

- Jakiej wymiany?

- Tego brązu, który kupiliśmy nieco wcześniej. Zostawiłem go na jej miejscu.

Mówiłem ci, że większość ludzi widzi to, co spodziewa się zobaczyć. W magazynie nadal znajduje się brązowa statuetka kobiety. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że przez jakiś czas nikt nawet nie zauważy, że to nie ten brąz.

Spróbował trochę sera, a uznawszy, że jest dobry, położył go na krakersie.

- Kiedy zauważą, zaczną szukać właściwej, zakładając, że została gdzieś przeniesiona.

A gdy jej nie znajdą, nie będą mogli dojść do tego, kiedy zniknęła. Jeśli nadal będzie nam dopisywać szczęście, do tego czasu spokojnie wrócimy do Stanów.

- Muszę ją zobaczyć.

- Nie ma pośpiechu. Zapewniam cię, że kiedy człowiek świadomie kradnie falsyfikat...

nic go nie popędza.

- Naprawdę?

- Tak. Kiedy już naprawdę przejdę na emeryturę, bardzo mi będzie brakowało tego pośpiechu. A tak przy okazji, całkiem nieźle się spisowałaś...

- Och. - Rzeczywiście nic jej nie ponaglało, odczuwała jedynie dziwny ucisk w żołądku.

- ... Odwracając uwagę strażnika. Lepiej się wzmocnij. - Ponownie zaproponował jej ser. - Czeka nas sporo roboty.

Miranda bardzo dziwnie się czuła, siedząc w pokoju hotelowym i trzymając w rękach *Czarną Damę*. Oglądała ją starannie, odnotowując, gdzie wzięte zostały próbki, a także w przybliżeniu określając wagę i oceniając styl.

Było to piękne, pełne wdzięku dzieło sztuki pokryte błękitnozieloną, dodającą mu dostojęstwa

patyną.

Postawiła *Czarną Damę* na stole obok *Dawida*.

- Jest wspaniała - skomentował Ryan, wydmuchując dym z cygara. - Twój szkic był

bardzo wierny. Co prawda nie uchwyciłaś ducha, lecz z pewnością wiernie oddałaś szczegóły.

Byłabyś lepszą artystką, gdybyś włożyła w swoją pracę więcej serca.

- Nie jestem artystką. - Czuła, że całkiem zaschło jej w gardle. - Jestem naukowcem, a to nie jest brąz, który testowałam.

Uniósł brew.

- Skąd to wiesz?

Nie mogła powiedzieć, że to czuje. Nawet nie była w stanie przyznać się przed samą sobą, że trzymając brąz, po prostu nie odczuwa mrowienia w czubkach palców. Dlatego przedstawiła mu fakty.

- Człowiek, który ma odpowiednie wykształcenie, jest w stanie ze sporym prawdopodobieństwem rozpoznać pracę pochodzącą z dwudziestego wieku, jedynie ją oglądając. W tym przypadku nie polegałabym jednak tylko na tym. Brałam próbki. Tutaj i tutaj. - Czubkiem palca pokazała tył łydki i wypukłość ramienia. - Na tym brązie nie ma po tym ani śladu. Natomiast w laboratorium Pontiego zdrapano patynę z pleców figurki i podstawy. To nie moje znaki. Aby to jednak zweryfikować, potrzebne są moje notatki i dostęp do odpowiedniego sprzętu. Tak czy inaczej na pewno nie jest to brąz, który testowałam.

Ryan w zadumie odłożył cygaro na popielniczkę.

- Zaczniemy od zweryfikowania tego.

- Nikt mi nie uwierzy. Nawet jeśli ponownie zbadam tę statuetkę, nie zdołam nikogo przekonać, że to nie ten sam brąz. - Spojrzała na niego. - Dlaczego mieliby uwierzyć?

- Uwierzą, kiedy będą mieli oryginał.

- Jak...

- Krok po kroku, doktor Jones. Dobrze by było, gdybyś się przebrała. Czerń jest najlepszym kolorem, jeśli planuje się włamanie. Ja zajmę się transportem.

Zwilżyła wargi.

- Idziemy do Standjo.

- Tak. - Czując, że Miranda się waha, oparł się o krzesło. - Chyba że masz zamiar zadzwonić do matki, wyjaśnić jej wszystko i poprosić, by na jakiś czas udostępniła ci swoje laboratorium.

Miranda wstała i spojrzała na niego chłodno.

- Przebiorę się.

W drzwiach do sypialni nie było zamka, przyciągnęła więc stojące przy biurku krzesło i jego oparciem zablokowała klamkę. Dzięki temu poczuła się znacznie lepiej. Po głowie krążyła jej tylko jedna myśl - że Ryan ją wykorzystuje tak samo jak swoje narzędzia. Ich partnerstwo było iluzją. Tymczasem właśnie pomogła mu dokonać kradzieży.

Co więcej, ma zamiar włamać się z nim do prowadzonego przez matkę laboratorium.

Co zrobi, jeśli Ryan nie poprzestanie na przeprowadzeniu kilku podstawowych testów?

Słyszając, że Ryan rozmawia w salonie przez telefon, niespiesznie włożyła na siebie czarną bluzkę i spodnie. Koniecznie powinna opracować własny plan i zwerbować kogoś, komu mogłaby zaufać.

- Muszę zejść do recepcji - zawołał. - Zamknij się tutaj. Za chwilę wracam i również się przebiorę.

- Będę gotowa.

Gdy tylko usłyszała, że Ryan wyszedł, odsunęła krzesło od drzwi.

- Musisz tam być, musisz tam być, musisz tam być - szeptała gorączkowo, szybko wyciągając z aktówki notes z adresami, szukając numeru i wykręcając go.

- Pronto?

- Giovanni, tu Miranda.

- Miranda? - W jego głosie nie było słyhać radości, jedynie niepewność. - Gdzie jesteś? Twój brat...

- Jestem we Florencji - przerwała. - Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Proszę, Giovanni, spotkaj się ze mną w Santa Maria Novella. Za dziesięć minut.

- Ale...

- Proszę, to bardzo ważne. - Szybko odłożyła słuchawkę, a potem pospiesznie przykryła brązy tłoczoną pokrywą i wsadziła je z powrotem do torby. Złapała torbę, torebkę i wybiegła.

Szybko pokonała wyłożone chodnikiem stopnie, nie zważając na łomotanie serca ani niesamowicie ciężką torbę. Zatrzymała się na chwilę u podstawy schodów, by się rozejrzeć.

Zauważyła, że Ryan beztróska rozmawia z recepcjonistą. Nie mogła ryzykować przejścia przez hol,

więc niepostrzeżenie prześlizgnęła się za róg i przebiegła przez bar. Bez zatrzymywania się minęła szklane drzwi prowadzące na ładne podwórkę z połyskującym basenem i cienistymi drzewami. Biegając, spłoszyła gołębie.

Nie zważając na ciężką torbę ani na to, że brakowało jej tchu, obeszła budynek i znalazła się na ulicy. Dopiero tutaj stanęła, by przełożyć torbę do drugiej ręki i rzucić za siebie jedno nerwowe spojrzenie. Potem skierowała się prosto do kościoła.

Santa Maria Novella ozdobiona zachwycającymi wzorami z zielonego i białego marmuru znajdowała się bardzo blisko hotelu.

Miranda weszła do chłodnego zaciemnionego wnętrza. Chociaż czuła, że uginają się pod nią kolana, przeszła przez kościół i usiadła na skraju ławki po lewej stronie w pobliżu prezbiterium. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, co ona do diabła robi.

Ryan będzie wściekły. Nie wiedziała, ile gwałtowności może ukrywać pod elegancką maską. Mimo to uznała, że wybrała jedyne logiczne rozwiązanie.

Nawet kopia powinna być zabezpieczona aż do rozwiązania zagadki. Nie można ufać mężczyźnie, który jest zawodowym złodziejem.

Była przekonana, że Giovanni przyjdzie. Znała go od lat. Chociaż uwielbiał flirtować i był bardzo ekscentryczny, miał duszę naukowca. Poza tym zawsze był jej przyjacielem.

On wszystkiego wysłucha i oceni jej postępowanie. Pomoże jej.

Zamknęła oczy, żeby się uspokoić.

W tego typu miejscach - w przybytkach przeszłości, wiary i władzy - panowała specyficzna atmosfera. Religia zawsze wiązała się z pewną władzą. Tutaj przejawiała się ona wspaniałą sztuką, która w znacznej mierze opłacona została przez Medyceuszy.

Miranda zastanawiała się, czy właśnie w taki sposób kupowali sobie zbawienie.

Czyżby próbowali równoważyć złe uczynki i grzechy, finansując potęgę kościoła?

Wawrzyniec zdradzał żonę z Czarną Damą, nawet jeśli w tamtych czasach akceptowano tego typu romanse, a jego największy protegowany uwiecznił ją w brązie.

Czy Wawrzyniec o tym wiedział?

Nie. Przypomniała sobie, by w czasie kiedy został odlany brąz, Wawrzyniec już nie żył. Julietta przeniosła swoje uczucia na Pietra lub jednego z jego młodszych kuzynów.

Nie zrezygnowała z władzy, jaką dawała jej uroda, nie odrzuciła nowego protektora.

Była na to za sprytna i zbyt praktyczna. W tamtych czasach kobieta, która pragnęła zaznać szczęścia

lub choćby tylko chciała utrzymać się przy życiu, musiała znajdować się pod opieką jakiegoś mężczyzny lub mieć własny majątek i pochodzić ze znamienitego rodu.

Albo dysponować wspaniałą urodą, chłodnym umysłem i umiejętnością władania własnym sercem.

Julietta miała to wszystko.

Miranda zadrżała i ponownie otworzyła oczy. Przypomniała sobie, że teraz ważny jest brąz, nie kobieta. To nie spekulacje pomagają rozwiązać zagadkę, ale badania naukowe.

Kiedy Miranda usłyszała szybkie kroki, zamarła w bezruchu. Znalazł ją. O Boże!

Podskoczyła, odwróciła się i niemal zaszłochała z ulgi.

- Giovanni. - Na niepewnych nogach wyszła mu naprzeciw i objęła go rękami za szyję.

- *Bella*, co ty tu robisz? - Uściskał ją serdecznie, ale wydawał się jakiś niespokojny. -

Dlaczego dzwoniąc do mnie, byłaś taka przerażona i prosiłaś, żebym spotkał się z tobą jak szpieg? - Spojrzał na wysoki ołtarz. - I dlaczego w kościele?

- Jest cichy i bezpieczny. To świątynia - powiedziała ze słabym uśmiechem, odsuwając się od Giovanniego. - Chciałam ci wszystko wyjaśnić, ale nie wiedziałam, ile mam czasu. Teraz on już wie, że uciekłam, i na pewno będzie mnie szukał.

- O kim ty mówisz?

- To zbyt skomplikowane. Usiądź na chwilkę. - Mówiła szeptem, tak jak zazwyczaj rozmawia się w kościele lub gdy bierze się udział w spisku. - Giovanni, chodzi o ten brąz.

Czarna Dama jest kopią.

- Mirando, mój angielski wcale nie jest najlepszy, ale żeby można było coś skopiować, musi istnieć oryginał. Ten brąz był po prostu fałszywy. Ktoś zrobił nam kiepski kawał... -

Szukał słowa. - Mieliśmy pecha - wyjaśnił. - Władze przesłuchiwały hydraulika, wygląda jednak na to, że to zwykły naiwniak. Czy to odpowiednie słowo? Mam na myśli kogoś, kto liczył na to, że statuetka zostanie uznana za oryginał. Niemal mu się to udało.

- Była prawdziwa. Ujął jej dłoń.

- Wiem, że bardzo trudno ci się do tego przyznać, nawet przed samą sobą.

- Widziałeś wyniki testów.

- *Si*, ale...

Nie mogła znieść widniejącego w oczach przyjaciela zwątpienia i podejrzliwości.

- Czy sądzisz, że je spreparowałam?

- Myślę, że popełniłaś błąd. Pracowaliśmy w zbyt dużym pośpiechu, Mirando...

- Pośpiech nie ma wpływu na wyniki. Tamten brąz był prawdziwy. Ten jest falsyfikatem. - Sięgnęła pod nogi i uniosła do góry opakowany brąz.

- Co to jest?

- Kopia. Ta, którą testował Ponti.

- *Dio mio!* Skąd ją masz? - Ponieważ zadając to pytanie, podniósł głos, w ich stronę odwróciło się kilka głów. Skrzywił się i szepnął. - Przecież była w Bargello.

- To nieważne. Najistotniejsze, że nie jest to wcale brąz, nad którym pracowaliśmy.

Sam się o tym przekonasz, gdy weźmiesz go do laboratorium.

- Do laboratorium? Mirando, a cóż to za szaleństwo?

- To jedyne słuszne rozwiązanie. - Musiała się tego kurczowo trzymać. - Mam zakaz wchodzenia do Standjo. Tymczasem tam są wszystkie notatki, Giovanni, i sprzęt. Potrzebuję twojej pomocy. W tej torbie jest również brązowa statuetka *Dawida*. To falsyfiakat. Już go przetestowałam. Chcę jednak, żebyś zabrał oba brązy do Standjo, przebadaj je i przeprowadził

wszystkie możliwe testy. Potem porównaj ich wyniki z tymi, które uzyskaliśmy, pracując nad oryginałem. W ten sposób udowodnisz, że to nie te same eksponaty.

- Mirando, bądź rozsądna. Nawet jeśli zrobię to, o co mnie prosisz, dowiodę jedynie, że się myliłaś.

- Nie. Weź moje notatki, swoje również. I Richarda. Przeprowadź testy i porównaj wyniki. Nie mogliśmy się wszyscy pomylić, Giovanni. Zrobiłabym to sama, ale istnieją pewne komplikacje.

Wyobraziła sobie, że wściekły Ryan przeszukuje całe miasto w poszukiwaniu jej i brązów.

- Poza tym gdyby to były moje badania, nikogo nie zdołałabym przekonać. To musi być ktoś obiektywny. Nie mogę zaufać nikomu oprócz ciebie.

Ścisnęła jego rękę, wiedząc, że gra na jego uczuciach. Mogła powstrzymać łzy napływające jej do oczu, ale były one prawdziwe.

- W grę wchodzi moja reputacja, Giovanni. Moja praca. Moje życie.

Zaklął cicho, a potem się skrzywił, ponieważ przypomniał sobie, gdzie jest. Szybko dodał parę słów modlitwy i przeżegnał się.

- To tylko jeszcze bardziej cię unieszczęśliwi.

- Nie mogę być bardziej nieszczęśliwa niż teraz. Zrób to przez wzgląd na naszą przyjaźń, Giovanni. Przez wzgląd na mnie.

- Zrobię, o co mnie prosisz.

Zacisnęła mocno powieki, a jej serce przepełniła wdzięczność.

- Dzisiaj w nocy, od razu.

- Im szybciej, tym lepiej. Laboratorium przez kilka dni będzie zamknięte, więc nikt się nie dowie.

- Zamknięte? Dlaczego?

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Jutro, moja śliczna poganko, jest Wielki Piątek. - Miał zupełnie inne plany na świąteczny weekend. Wzdychając, szturchnął nogą torbę. - Gdzie cię znajdę, gdy to zrobię?

- To ja cię odzyskam. - Wychyliła się do przodu i musnęła wargami jego usta. -

Grazie, Giovanni. Mille grazie. Nigdy nie zdołam ci się za to odwdziżyć.

- Gdy będzie już po wszystkim, chętnie wysłucham wyjaśnienia.

- Zgoda, obiecuję. Och, cieszę się, że cię zobaczyłam. Bardzo chciałabym zostać dłużej, ale muszę już wracać i... no cóż, sądzę, że czeka mnie mnóstwo przykrości. Postaram się zadzwonić do ciebie jutro rano. Opiekuj się nimi dobrze - dodała i stopą pchnęła torbę w jego stronę. - Zaczekaj chwilę, nim wyjdiesz, dobrze? Tak na wszelki wypadek.

Ponownie go serdecznie pocałowała, a potem wyszła.

Ponieważ nie rozglądała się ani na prawo, ani na lewo, nie zauważyła stojącej w półmroku odwróconej plecami postaci udającej, że kontempluje wyblakłe freski przedstawiające piekło Dantego.

Nie wyczuła czyjejś wściekłości ani tego, że coś jej grozi.

Miała wrażenie, że ktoś zdjął ciężki kamień, który przygniatał jej myśli, serce i sumienie. Kiedy wyszła na zewnątrz, znalazła się w złocistych promieniach słońca, które powoli zaczynało chylić się ku zachodowi. Ponieważ wiedziała, że Ryan jej szuka, nie ruszyła w kierunku hotelu, lecz skierowała się w przeciwną stronę, nad rzekę.

Kiedy Ryan ją znajdzie, Giovanni powinien być już jak najdalej od niej.

To był długi spacer, ale dzięki temu miała czas się uspokoić, wszystko przemyśleć i spokojnie

poobserwować spacerujące pary, które trzymały się za ręce, wymieniały długie spojrzenia i namiętne uściski. Pewnego razu Giovanni powiedział jej, że powietrze Florencji przesycone jest miłością i wystarczy jedynie nabrać go głęboko w płuca.

Na tę myśl uśmiechnęła się i westchnęła.

Widocznie nie została stworzona do miłości. Właśnie miała najlepszy dowód. Jedyne mężczyzna, jaki kiedykolwiek wzbudził w niej prawdziwe pożądanie, był całkowicie pozbawionym skrupułów złodziejem.

Lepiej będzie, jeśli nadal zostanie sama. Tak jak dotychczas.

Dotarła do rzeki i zobaczyła umierające słońce, które zabarwiało wodę swym ostatnim blaskiem. Kiedy usłyszała za plecami ryk silnika, który zawył niecierpliwie, wiedziała, że Ryan ją znalazł. Była pewna, że ją znajdzie.

- Wsiadaj! Obejrzała się za siebie i ujrzała pełną wściekłości twarz.

Złość zamieniła ciepło, złoto w oczach Ryana w potworny lód. Był ubrany na czarno i siedział okrakiem na niebieskim motorze. Wiatr rozwiewał mu włosy. Sprawiał wrażenie człowieka niebezpiecznego, a jednocześnie niewiarygodnie seksownego.

- Mogę się przejść, dziękuję.

- Siadaj, Mirando. Jeśli ja cię posadzę, uprzedzam, że to zaboli.

Jedyną alternatywą była ucieczka, lecz wówczas prawdopodobnie zostałaby rozjechana jak typowy tchórz. Niedbale wzruszyła ramionami, podeszła do krawężnika, przerzuciła nogę przez siedzenie i usiadła za nim. Dla równowagi złapała się tyłu siedzenia.

Lecz kiedy Ryan jak strzała ruszył do przodu, instynkt samozachowawczy wziął górę i Miranda mocno objęła go rękami.

- Sądzę, że mimo wszystko powinienem był użyć kajdanków.

Po pokonaniu wąskich krętych uliczek ze zbyt dużą i niebezpieczną prędkością, która doskonale odzwierciedlała jego nastrój, Ryan gwałtownie zatrzymał motor na placu Michała Anioła.

Wokół roztaczał się niewiarygodnie piękny widok na Florencję i górujące nad nią tokańskie wzgórza. Ze względu na panujący tu pokój Ryan mógł się zdecydować na użycie przemocy, na co zresztą miał wielką ochotę.

Plac był niemal pusty, bo liczni zazwyczaj w tym miejscu sprzedawcy pamiątek skończyli już swój dzień pracy, a na zachodzie, tam gdzie słońce słabo trzymało się horyzontu, zbierały się posępne burzowe chmury.

- Schodź - rozkazał i zczekał, aż Miranda rozluźni mocny uchwyt wokół jego pasa.

Podczas jazdy kilkakrotnie udało mu się, tak jak zamierzał, napędzić jej strachu.

- Jeździsz jak wariat.

- Jestem w połowie Włochem, w połowie Irlandczykiem. Czego się po mnie spodziewałaś? - Zsiadł, a potem pociągnął ją do murku, poniżej którego rozciągała się przypominająca stary klejnot Florencja. Przy okazalej fontannie wciąż kręciła się niewielka grupka turystów robiących sobie zdjęcia, ponieważ jednak byli to Japończycy, Ryan doszedł

do wniosku, że może nawymyślać jej zarówno po angielsku, jak i po włosku. Wybrał ten drugi język, ponieważ uważał go za bardziej ekspresyjny.

- Gdzie one są?

- W bezpiecznym miejscu.

- Nie pytam, czy im coś grozi, tylko gdzie są. Co zrobiłaś z brązami?

- To co podyktował mi rozsądek. Będzie burza - powiedziała, kiedy błyskawica przecięła niebo. - Powinniśmy się gdzieś ukryć.

Pchnął ją na mur i mocno przycisnął własnym ciałem.

- Chcę dostać te brązy z powrotem, Mirando. Patrzyła mu prosto w oczy. Nie poprosi garstki turystów o pomoc. Postanowiła, że sama sobie poradzi.

- Dla ciebie nie mają żadnej wartości.

- Decyzja o tym należy do mnie. Cholera jasna, zaufałem ci.

W jej oczach błysnął ogień.

- Myślałeś, że możesz zamknąć mnie w pokoju hotelowym, tak jak zamknąłeś mnie w swoim apartamencie. - Mówiła cicho, ale w jej chrapliwym głosie słychać było złość. - Nie możesz zmusić mnie do czekania, tak jak zrobiłeś to w Bargello, gdzie sam podjąłeś pewne działania, nie mówiąc mi, co zamierzasz. Tym razem to ja pchnęłam wszystko do przodu.

Objął ją, tak że wyglądali jak zdesperowani kochankowie, zbyt zajęci sobą nawzajem, by dostrzec zbliżającą się burzę lub podziwiać miasto. Jego uścisk sprawił, że prawie nie mogła oddychać.

- Uważasz, że posunęłaś sprawy do przodu?

- Załatwiłam coś. Przestań mnie przyciskać, to boli!

- Nie, jeszcze nie skończyłem. Musiałaś dać komuś te brązy. Swojej matce? Nie -

zadecydował, kiedy nadal na niego patrzyła. - To nie była matka. Wciąż masz nadzieję, że uda ci się zmusić ją do przeprosin za to, że w ciebie zwątpiła. Masz we Florencji jakiegoś chłopaka, doktor Jones, kogoś, kogo słodkimi słówkami zdołałaś skłonić, by ukrył brązy, aż dojdiesz do wniosku, że się poddałem? Chcę mieć brązy. Obydwa!

Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot.

- Powiedziałaś ci, że są w bezpiecznym miejscu. Coś załatwiłam. Zrobiłam to, co uznałam za słuszne.

- Czy wyglądam na kogoś, kto ma zamiar brać pod uwagę twoje zdanie?

- Muszę dowieść, że to są kopie. Tobie zależy na tym samym. Gdybym to ja przeprowadziła testy i porównała wyniki, ktoś mógłby utrzymywać, że nagięłam je do swoich potrzeb. Wówczas nie zyskalibyśmy nic więcej, niż mamy obecnie. Do ciebie należało wyniesienie brązu z Bargello, pozwól, że ja zadecyduję, w jaki sposób dowieść, że jest to falsyfikat.

- Dałaś je komuś ze Standjo. - Odsunął ją od siebie i ujął jej twarz w rękę. - Ależ z ciebie idiotka.

- Dałam je komuś, komu ufam i kogo znam od lat. - Zaczerpnęła powietrza w płuca, mając nadzieję, że odzyska spokój i rozsądek. - Zrobi to dla mnie. Jutro skontaktuję się z nim i poznam wyniki.

Miał dziką ochotę walnąć jej głową o ścianę, żeby się przekonać, czy naprawdę jest taka twarda, jak podejrzewał.

- Spróbuj przez chwilę pomyśleć logicznie, doktor Jones. *Czarna Dama* jest fałszywa.

To znaczy, że kopię wykonał ktoś ze Standjo. Ktoś, kto wiedział, co wykażą wyniki, potrafił

również tak wykonać falsyfikat, by wyglądał na oryginał i przeszedł pozytywnie badania wstępne. Ta osoba prawdopodobnie ma dobrego klienta, który za prawdziwą statuetkę zapłacił niemałą sumę w

lirach.

- On tego nie zrobił. Zbyt ceni sobie swoją pracę.

- Tak samo jak ja. Idziemy.

- Dokąd?

Kiedy ciągnął ją przez plac do motoru, spadły pierwsze krople deszczu.

- Do laboratorium, kochanie. Sprawdzimy, co działał twój przyjaciel.

- Czy ty tego nie rozumiesz? Jeśli włamiemy się do laboratorium, każdy będzie mógł podważyć wyniki testów. Nikt mi nie uwierzy.

- O czymś zapominasz. Ja ci uwierzyłem. Na tym częściowo polega problem. Teraz wsiadaj albo zostawię cię tutaj i sam zajmę się sprawą.

Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że na pewno Giovanni nie chciałby mieć do czynienia z wściekłym Ryanem, który włamał się do laboratorium.

- Pozwól mu przeprowadzić testy. - Odgarnęła mokre włosy. - To jedyny sposób, żeby okazały się wiarygodne.

Bez słowa zapuścił silnik.

- Wsiadaj.

Siadła, a kiedy z rykiem silnika opuścili plac, postanowiła, że kiedy dotrą do Standjo, jeszcze raz spróbuje przekonać Ryana.

Kilkadziesiąt metrów od Standjo wjechał motorem między inne pojazdy stojące wzdłuż krawężnika.

- Bądź cicho - powiedział zeskakując, by powymować torby. - Rób, co ci każę, i weź

to. - Wskazał na jedną z toreb, a potem pewnie chwycił Mirandę za ramię i poprowadził po chodniku.

- Wejdziemy od tyłu, na wypadek gdyby ktoś był nazbyt ciekawy i w taki deszcz wyglądał przez okno. Przejdziemy przez laboratorium fotograficzne i dotrzemy do schodów.

- Skąd znasz układ?

- Prowadzę własne badania. Mam na twardym dysku plan całego Standjo. - Pociągnął

ją na tyły budynku, a potem wyjął rękawice chirurgiczne. - Włóż to.

- To nie...

- Powiedziałem, że masz być cicho i robić, co ci każe. Już wywołałaś więcej zamieszania niż było to konieczne. Mam zamiar wyłączyć alarm w tym sektorze, ale gdy będziemy w środku, nie możesz oddalić się ode mnie dalej niż na trzydzieści centymetrów.

Mówiąc to, włożył rękawiczki i przestał myśleć o padającym deszczu.

- Jeśli będziemy zmuszeni dostać się do innego sektora, spróbuję uporać się z systemem bezpieczeństwa od wewnątrz. Tak będzie łatwiej. Nie ma strażników, sama elektronika, istnieje zatem niewielkie prawdopodobieństwo, byśmy podczas świątecznego weekendu wpadli na kogoś innego poza twoim kumplem.

Ponownie zaczęła protestować, po chwili jednak zrezygnowała. Przyszło jej na myśl, że kiedy już znajdzie się w środku, na pewno Giovanni stanie po jej stronie. We dwójkę poradzą sobie z nieoczekiwanym złodziejem.

- Jeśli nie zastaniemy go tu z brązami, gorzko tego pożałujesz.

- Na pewno tu jest. Dal mi słowo.

- Tak samo jak ty mnie. - Zbliżył się do drzwi, po czym położył torbę, by przygotować się do pracy. Przymrużywszy oczy, bacznie przyjrzał się instalacji. - Alarm jest wyłączony -

mruknął. - Twój przyjaciel jest nieostrożny, doktor Jones. Nie uruchomił systemu od środka.

Zlekceważyła gwałtowny dreszcz, który przebiegł po jej skórze.

- Może uznał, że nie jest to konieczne.

- Uhm. Mimo to drzwi są zamknięte. Jeśli się je zamyka, automatycznie powinien się włączać alarm. Zajmiemy się tym.

Rozwinął miękki skórzany pas, własnym ciałem osłaniając narzędzia przed deszczem.

Wiedział z doświadczenia, że później będzie musiał dobrze wytrzeć. Nie może ryzykować, że zardzewieją.

- To nie powinno długo potrwać, mimo to rozglądaj się.

Cicho zanucił melodię, w której Miranda rozpoznała fragment *Aidy*. Skrzyżowała ręce na piersiach, odwróciła się do niego plecami i wpatrywała się w zacinający deszcz.

Ktoś kto instalował system bezpieczeństwa, nie chciał zniszczyć pięknych starych drzwi z zepsutymi ryglami. Mosiężne gałki ze smutnymi twarzami cherubinów pasowały do średniowiecznej architektury i osłaniały kilka mocnych, lecz dyskretnych zamków.

Ryan zamrugał powiekami, ponieważ płynące z nieba strugi deszczu zalewały mu oczy. Żałował, że nie wziął parasola.

Musiał pracować po omacku. Szum deszczu zagłuszał ciche stuknięcia zapadek, ale solidne angielskie zamki po kolei się poddawały.

- Weź tę torbę - powiedział, otwierając ciężkie drzwi. Oświetlając drogę maleńką latarką, poprowadził Mirandę w stronę schodów.

- Wy tłumaczysz swojemu przyjacielowi, że ci pomagam i że chcę zabrać stąd brązy.

Oczywiście jeśli on tu jest.

- Na pewno tu jest. Obiecał mi.

- W takim razie chyba lubi pracować po ciemku. - Ryan skierował światło prosto przed siebie. - To jest twoje laboratorium, prawda?

- Tak. - Ściągnęła brwi. Wszędzie panowała całkowita ciemność. - Może jeszcze tutaj nie dotarł.

- A kto wyłączył alarm?

- Nie... Może pracuje w laboratorium chemicznym. Jest chemikiem.

- Zaraz to sprawdzimy. Tymczasem poszukamy w twoim biurze porobionych przez ciebie notatek. Tędy?

- Tak, przez te drzwi i na lewo. To było moje tymczasowe biuro.

- Zapisłaś dane na dysku twardym?

- Tak.

- W takim razie zdobędziemy je.

Ponieważ drzwi nie były zamknięte, Ryan poczuł się nieszczęśliwy. Doszedł do wniosku, że lepiej zachować przesadną ostrożność, dlatego wyłączył latarkę.

- Stań za mną.

- Dlaczego?

- Po prostu zrób, co ci mówię.

Stanął w drzwiach, własnym ciałem tarasując jej przejście. Przez kilka długich sekund nasłuchiwał. Ponieważ słyhać było jedynie szum powietrza w wentylatorach, wyłączył

światło.

- O Boże! - Instynktownie złapała go za ramię. - O mój Boże!

- Myślałem, że naukowcy to ludzie porządni - mruknął.

Całe pomieszczenie wyglądało, jakby ktoś wpadł w szała albo jakby odbywało się tu wielkie przyjęcie. Wszystkie komputery były porozbijane, a na podłodze leżała warstwa szkła z monitorów i próbek. Ktoś poprzewracał stoły robocze i porozrzucił papiery. Zawsze uporządkowane stanowiska przypominały bezładne sterty szczątków. W powietrzu unosił się smród wymieszanych chemikaliów.

- Nie rozumiem. Po co to wszystko?

- To nie było włamanie - powiedział swobodnie. - Włamywacze nie niszczyliby komputerów, oni by je po prostu zabrali. Wygląda na to, doktor Jones, że twój przyjaciel trochę się tu pokrzątał.

- Giovanni nigdy by tego nie zrobił. - Odepchnęła Ryana, by precyzyjnie się przez gruzy. - To musieli być jacyś wandalowie albo bezmyślni dzieciaki. Całe wyposażenie, wszystkie dane. - Chodząc po pomieszczeniu, nie mogła się pogodzić z takim marnotrawstwem. -

Wszystko przepadło.

Wandalowie? Ryan szczerze w to wątpił. Gdzie graffiti, gdzie miejsce na radość? Biuro Mirandy zostało zniszczone celowo, w napadzie szała. Miał wrażenie, że coś groźnego otacza ich ze wszystkich stron.

- Chodźmy stąd.

- Muszę sprawdzić inne pomieszczenia, zobaczyć, jak duże są szkody. Jeśli dotarli do laboratorium chemicznego...

Urwała, wędrując między resztkami sprzętu i wyobrażając sobie gang młodych zamaskowanych ludzi, którzy teraz dysponują zapasem skradzionych chemikaliów.

- Nic na to nie poradzisz - powiedział półgłosem i ruszył za nią. Kiedy do niej dotarł, stała w otwartych drzwiach, patrzyła przed siebie i z trudem trzymała się na nogach.

Giovanni dotrzymał obietnicy i rzeczywiście przyszedł do laboratorium. Leżał na plecach z dziwnie odchylną głową, wokół której widać było ciemną lśniąca kałużę. Miał

otwarte, pozbawione wyrazu oczy, utkwione w leżącej obok niego *Czarnej Damie*. Kształtne ręce i uśmiechnięta twarz statuetki również były pokryte krwią.

- Słodki Jezu! - Zabrzmiało to niemal jak modlitwa. Ryan gwałtownie szarpnął

Mirandę do tyłu i brutalnie ją odwrócił, żeby patrzyła mu w oczy zamiast na leżące na podłodze zwłoki. - Czy to jest przyjaciel?

- To... Giovanni. - Pod wpływem szoku jej źrenice rozszerzyły się, a oczy zrobiły się tak czarne i

pozbawione życia jak oczy lalki.

- Trzymaj się. Nie możesz zemdleć, Mirando, ponieważ być może nie mamy zbyt dużo czasu. Na tym brązie są nasze odciski palców, rozumiesz? - To co dotychczas było jedynie falsyfikatem, stało się narzędziem zbrodni. - Są to jedyne odciski, jakie znajdują na nim gliniarze. Ktoś nas w to wrobił.

Huczało jej w uszach. Ocean unosił się, by uderzyć o skały.

- Giovanni nie żyje.

- Tak... a teraz stań tutaj. - Z ostrożności oparł ją o ścianę. Wszedł do środka, starając się oddychać przez zaciśnięte usta, by nie czuć wypełniającego całe pomieszczenie zapachu śmierci. Krzywiąc się, podniósł brąz i wsadził go do torby. Zmusił się, aby nie patrzeć na utkwiony w nim wzrok ofiary i szybko przeszukał zdemolowane pomieszczenie.

Dawid znajdował się w kącie. Ślad na ścianie wskazywał miejsce, gdzie uderzył w nią brąz.

Wpychając go do torby, Ryan doszedł do wniosku, że ktoś postąpił sprytnie. Bardzo sprytnie. Zostawił obie statuetki, by naprowadzić policję na trop Mirandy. To byłoby równoznaczne z zawiązaniem pętli na jej szyi.

Miranda znajdowała się dokładnie tam, gdzie ją zostawił, lecz teraz drżała, a jej skóra była pozbawiona koloru.

- Jesteś w stanie iść - oświadczył zdecydowanie. - Jeśli będzie to konieczne, będziesz nawet biec, ponieważ musimy się stąd jak najszybciej wynosić.

- Nie możemy... nie możemy go tak zostawić. Chodzi mi o Giovanniego. On nie żyje.

- Nic już nie zdołasz dla niego zrobić. Idziemy.

- Nie mogę go zostawić.

Zamiast tracić czas na kłótnię, wziął ją na rękę. Nie stawiała oporu, jedynie bezwładnie zwisała w jego ramionach i wciąż na nowo powtarzała te same słowa.

- Nie mogę go zostawić. Nie mogę go zostawić.

Kiedy dotarli do wyjścia, z trudem łapał oddech. Przesunął jedynie ciężar, pod którym zaczął się uginać, uchylił drzwi i zerknął na ulicę. Wszystko było w porządku, mimo to po grzbiecie wciąż chodziły mu ciarki, jakby ktoś przytknął do niego ostrze noża.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, postawił Mirandę w strugach deszczu i mocno nią potrząsnął.

- Nie możesz zasłabnąć, dopóki się stąd nie wydostaniemy. Odłóż to na później, Mirando, a teraz zrób to co konieczne.

Bez czekania na zgodę Ryan pociągnął ją za sobą wokół budynku, a potem wzdłuż ulicy. Kiedy wsadził ją na motor, uczepiła się go kurczowo, tak że czuł na plecach bicie jej serca.

Chociaż chciał ją jak najszybciej zawieźć do hotelu, zmusił się do krążenia po mieście i wybierania na chybił trafił wąskich uliczek, by mieć pewność, że nikt za nimi nie podąża.

Ktoś kto zabił Giovanniego, mógł obserwować budynek i czekać na nich. Jednak z ostateczną oceną sytuacji postanowił się wstrzymać, dopóki nie uzyska pełnej informacji od Mirandy.

Zadowolony, że nikt ich nie śledzi, zaparkował przed hotelem. Wziął torby, a potem odwrócił się, by odgarnąć mokre włosy z twarzy Mirandy.

- Posłuchaj mnie i spróbuj się skupić. - Odwrócił ją twarzą do siebie i zaczął, aż skupi na nim błędny wzrok. - Musimy przejść przez hol. Chcę, żebyś poszła prosto do windy.

Ja zajmę się recepcjonistą. Ty po prostu idź i stań przy windzie. Rozumiesz?

- Tak. - Miała wrażenie, że ktoś inny wymówił to słowo zamiast niej. Czowała, że w jej głowie krążą pozbawione znaczenia zagmatwane myśli.

Kiedy szła, miała wrażenie, że porusza się w jakimś gęstym syropie, mimo to przez cały czas wpatrywała się w lśniące drzwi windy. Wiedziała, że to jest jej cel. Musi tam dojść.

Jak przez mgłę słyszała, że Ryan rozmawia z recepcjonistą, a potem obaj wybuchają gromkim śmiechem. Patrząc na drzwi, wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po ich powierzchni, jakby chciała sprawdzić fakturę. Są takie gładkie i zimne. Dziwne, że nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Położyła na nich dłoń, a wówczas podszedł do niej Ryan i nacisnął guzik.

Zdała sobie sprawę, że maszyna pracuje bardzo głośno. Koła zębate i przekładnie poruszają się, a potem zatrzymują. Drzwi otworzyły się z cichym sykiem.

Ryan zauważył, że twarz Mirandy jest tak samo pozbawione życia jak zwłoki, które zostawili w laboratorium. Na dodatek zaczynały jej dzwonić zęby. Przypuszczał, że jest przemarznięta do szpiku kości. Bóg świadkiem, że jemu również było potwornie zimno, choć powodem tego wcale nie była jazda w strugach deszczu.

- Musisz sama przejść przez korytarz - nakazał stanowczo, przekładając torby do jednej ręki, by drugą móc objąć Mirandę w pasie. Nie wsparła się na nim, mimo to puścił ją dopiero wtedy, gdy znaleźli się w swoim apartamencie.

Zamknął drzwi, zabezpieczył je zasuwą, a dopiero potem zaprowadził Mirandę do sypialni.

- Zdejmij mokre ubranie i włóż szlafrok. - Wolałby zrobić jej gorącą kąpiel, obawiał się jednak, że Miranda wpadnie do wody i utopi się.

Sprawdził drzwi prowadzące na taras, chcąc mieć pewność, że one również są zamknięte, po czym

poszukał w minibarku butelki brandy. Nie zawracał sobie głowy kieliszkami.

Miranda siedziała na łóżku w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił.

- Rozbierz się - powiedział. - Jesteś kompletnie przemoczona.

- Nie... Nie czuję własnych palców.

- W porządku, w porządku. Masz, wypij.

Otworzył butelkę i przytknął ją do ust Mirandy. Bezmyślnie wykonała jego polecenie, po chwili jednak poczuła ogień spływający przez gardło i docierający do żołądka.

- Nie lubię brandy.

- Ja nie lubię szpinaku, mimo to matka zmuszała mnie, żebym go jadł. Jeszcze raz. No, bądź dobrym żołnierzem. - Zdołał wlać jej do gardła następny łyk, potem jednak parsknęła i odepchnęła jego rękę.

- Już w porządku. Nic mi nie jest.

- Oczywiście. - Mając nadzieję, że uda mu się pokonać mdłości, uniósł butelkę i sam upił spory łyk. - Teraz ubranie. - Odstawił butelkę na bok i zaczął rozpinać guziki jej bluzki.

- . Nie...

- Mirando. - Zdając sobie sprawę, że uginają się pod nim nogi, usiadł obok niej. - Czy sądzisz, że mam zamiar cię gwałcić? Jesteś w szoku. Musisz się rozgrzać i wysuszyć. Ja również.

- Poradzę sobie. Naprawdę. - Wstała i na drżących nogach poszła do łazienki.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, miał ochotę ponownie je otworzyć i sprawdzić, czy Miranda nie leży na podłodze.

Na chwilę wsparł głowę na rękach i starał się spokojnie, równomiernie oddychać. Po raz pierwszy w życiu zetknął się z gwałtowną śmiercią. Śmiercią zadaną w tak okrutny sposób, pomyślał, po czym wypił następny łyk.

Było to doświadczenie, którego nie chciałby ponownie przeżyć.

- Mam zamiar zamówić coś ciepłego do jedzenia. Mówiąc to, zdjął mokrą kurtkę. Nie odrywając wzroku od drzwi, rozebrał się, odrzucił na bok przemoczone części garderoby, po czym przebrał się w suche spodnie i koszulę.

- Mirando? - Wsadził ręce do kieszeni, zmarszczył czoło i spojrzał na drzwi. Do diabła z konwenansami, pomyślał, otwierając je.

Miranda stała na środku łazienki ze skrzyżowanymi rękami i kiwała się. Miała już na sobie szlafrok,

lecz nadal kapało jej z włosów. Spojrzała na Ryana z niewymownym smutkiem.

- Giovanni.

- Dobrze, w porządku. - Objął ją i mocno przytulił do siebie. - Dzielnie się spisałaś, zrobiłaś wszystko, co należało. Teraz możesz się już rozklejać.

Zaciskała i rozluźniała palce na jego plecach.

- Kto mógł mu to zrobić? Giovanni nigdy nikogo nie skrzywdził. Kto mógł zrobić coś takiego?

- Dowiemy się tego. Naprawdę. Musimy o tym porozmawiać. - Przytulił ją jeszcze mocniej i pogłaskał po mokrych włosach, próbując w ten sposób ukoić i siebie, i ją. - Ale musisz, trochę oprzytomnieć. Potrzebna mi będzie twoja głowa. Twoja umiejętność logicznego myślenia.

- Nie jestem w stanie myśleć. Bez przerwy mam go przed oczami. Leży w kałuży krwi. Był moim przyjacielem. Poszedł, ponieważ go o to poprosiłam. Był...

W tym momencie potworny ból sprawił, że nagle zaczęła całkiem logicznie myśleć.

- O Boże, Ryan. Zabiłam go.

- Nie. - Odsunął ją do tyłu i spojrzał prosto w oczy. - Zabił go ktoś, kto uderzył go w tył głowy. Spróbuj się z tym pogodzić, Mirando.

- Dziś wieczorem znalazł się w laboratorium tylko przeze mnie. Gdybym go o to nie poprosiła, zostałby w domu, poszedł na jakąś randkę albo siedziałby w knajpce w gronie przyjaciół i popijał wino.

Przytknęła do ust zaciśnięte w pięści dłonie, a widoczne nad nimi oczy pełne były przerażenia.

- Nie żyje, bo poprosiłam go, żeby mi pomógł. Nie ufałam ci, a moja reputacja miała dla mnie tak ogromne znaczenie, że postanowiłam zrobić wszystko po swojemu. - Potrząsnęła głową. - Nigdy się z tym nie pogodzę.

Chociaż w oczach Mirandy nadal widać było niewysłowiony smutek, jej twarz powoli zaczynała odzyskiwać kolory, a głos stawał się coraz mocniejszy.

Poczucie winy potrafi dodać energii lub całkiem sparaliżować.

- W porządku, w takim razie wykorzystaj to. Wysusz włosy, a ja w tym czasie zamówię jakieś jedzenie. Czeka nas długa rozmowa.

Wysuszyła włosy i włożyła białą bawełnianą piżamę, a na nią narzuciła szlafrok.

Uznała, że musi coś zjeść, żeby się nie rozchorować. Jeśli ma zamiar pomścić Giovanniego, musi być zdrowa, silna i zdolna do myślenia.

Na myśl o odwecie zadrżała. Nigdy nie wierzyła w zemstę. Teraz jednak wydawało się to całkiem rozsądne i logiczne. Po jej głowie krążyły ponure słowa „oko za oko”. Ktoś kto zabił Giovanniego, zadając śmierć, z zimną krwią wykorzystał i ją, i brąz.

Dopilnuje, by mordercy zapłacili za swój czyn niezależnie od tego, ile będzie ją to kosztowało ani jak długo to potrwa.

Kiedy wyszła z sypialni, zauważyła, że Ryan kazał kelnerowi podać posiłek na tarasie.

Deszcz ustał, a powietrze było świeże. Stół stał pod jasnym zadaszeniem w biało - zielone paseczki, a na lnianym obrusie migotały świece.

Przypuszczała, że Ryanowi zależało, aby poczuła się lepiej. Z wdzięczności starała się udawać, że rzeczywiście tak jest.

- To bardzo ładnie wygląda. - Zdobyła się na coś, co ewentualnie można było uznać za uśmiech. - Co jemy?

- Na początek *minestrone*, potem florenckie steki. To nam pomoże. Siadaj i jedz.

Usiadła, nawet podniosła łyżkę do ust i skosztowała zupy. Chociaż jak kleik ugrzęzła jej w gardle, zmusiła się, by ją przełknąć. Ryan miał rację, ciepłe jedzenie rozmroziło nieco lód w jej wnętrzu.

- Powinnam cię przeprosić.

- W porządku. Nigdy nie odrzucam przeprosin kobiety.

- Złamałam dane ci słowo. - Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Nigdy nie miałam zamiaru go dochować. Wmówiłam sobie, że wcale nie musi się dotrzymywać obietnicy danej mężczyźnie takiemu jak ty. Popełniłam błąd, dlatego najmocniej przepraszam.

Poczuł, że jej proste i ciche słowa chwytają go za serce. Wolałby, żeby było inaczej.

- Zgodziliśmy się na współpracę, chociaż nasze cele są sprzeczne. Tak wygląda prawda. Mimo to jest coś, co oboje pragniemy osiągnąć. Chcemy znaleźć oryginalne brązy.

Teraz ktoś podniósł stawkę. Postąpiłabyś dużo mądrzej, gdybyś się wycofała i zostawiła sprawę w spokoju. Nie warto dochodzić swoich racji, jeśli przy okazji można stracić życie.

- Na razie przypłaciłam to stratą przyjaciela. - Zaciśnęła wargi, a potem wzięła następną łyżkę zupy.
- Nie wycofam się, Ryanie. Gdybym to zrobiła, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Nie mam zbyt wielu przyjaciół, chociaż z pewnością jest to moja wina. Nie potrafię znaleźć wspólnego języka z innymi ludźmi.

- Zbyt surowo się oceniasz. Jeśli tylko przestajesz się kontrolować, bez trudu znajdujesz z ludźmi wspólny język. Tak jak się stało w przypadku mojej rodziny.

- Wcale nie musiałam przestać się kontrolować. Oni po prostu nie przykładali do tego wagi. Zazdroszczę ci więzi, która cię z nimi łączy. - Jej głos lekko zadrżał, potrząsnęła więc głową i zmusiła się do przełknięcia następnej łyżki zupy. - Bezinteresownej miłości i prawdziwej radości, którą odczuwacie, przebywając w swoim towarzystwie. Czegoś takiego nie da się kupić. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Ani ukraść.

- Ale można to stworzyć. Trzeba tylko chcieć.

- Jeśli pragniesz coś ofiarować, ktoś musi chcieć to przyjąć. - Westchnęła i postanowiła zaryzykować łyk wina. - Gdyby moich rodziców i mnie łączyły jakieś uczucia, nie siedzielibyśmy tutaj. Tak wygląda prawda. Wyrazem rodzinnych nieporozumień i braku uczuciowej więzi nie zawsze są podniesione głosy i zaciśnięte pięści. Czasami może to być lodowata uprzejmość.

- Czy kiedykolwiek próbowałaś im powiedzieć, co czujesz?

- Nie w taki sposób, jaki masz na myśli. - Spojrzała na niego, a potem na lśniące od świateł miasto i księżyc, który zaczął wędrować po coraz czystszy niebie. - Poza tym chyba do niedawna nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co czuję. Teraz to już i tak nie ma znaczenia. Najważniejsze, aby dowiedzieć się, kto zabił Giovanniego.

Nie roztrząsał dalej tej sprawy, a ponieważ doszedł do wniosku, że powinien zrobić coś zwyczajnego, zdjął przykrywkę ze steków.

- Nikt nie potrafi lepiej potraktować kawałka surowego mięsa niż mieszkańcy Florencji. Powiedz mi coś o Giovannim.

To był cios prosto w serce, dlatego spojrzała na niego zaszokowana.

- Nie wiem, co chcesz usłyszeć.

- Najpierw powiedz mi, co o nim wiesz i jak go poznałaś. - Uznał, że w ten sposób powoli dotrą do bardziej istotnych szczegółów.

- Jest... był bardzo błyskotliwy. Pracował jako chemik. Urodził się tu, we Florencji, i mniej więcej dziesięć lat temu związał się ze Standjo. Jakiś czas spędził również w Instytucie.

To właśnie tam pracowaliśmy ze sobą po raz pierwszy. Było to mniej więcej sześć lat temu.

Potarła skroń.

- Był uroczym, miłym i zabawnym mężczyzną. Nie miał żony. Uwielbiał kobiety, był

w stosunku do nich czarujący i bardzo spostrzegawczy. Dostrzegał szczegóły, na przykład nową bluzkę czy zmienioną fryzurę.

- Byliście kochankami?

Skrzywiła się, mimo to potrząsnęła głową.

- Nie. Łączyła nas przyjaźń. Bardzo szanowałam jego opinie i umiejętności.

Wiedziała, że zawsze mogę liczyć na jego lojalność. Właśnie ją wykorzystałam -

powiedziała cicho, po czym odsunęła się od stolika i podeszła do gzymsu.

Potrzebowała czasu, by pogodzić się z myślą, że Giovanni nie żyje. I że nie może tego zmienić. Zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie się dręczyć, zanim przyjmie do wiadomości te dwa proste fakty.

- To właśnie on zadzwonił do mnie, by mi powiedzieć, że brąz został uznany za falsyfikat - ciągnęła.
- Chciał mnie uprzedzić, zanim zaskoczy mnie telefon od matki.

- To znaczy, że cieszył się jej zaufaniem?

- Pracował w moim zespole, gdy zajmowaliśmy się tą sprawą. Kiedy zakwestionowano moje odkrycia, matka wezwała go na dywanik. - Miranda nieco spokojniejsza wróciła do stołu i ponownie usiadła. - Wykorzystałam jego lojalność i naszą przyjaźń. Wiedziała, że mogę na niego liczyć.

- Dzisiaj po raz pierwszy powiedziałaś mu, że ten brąz był kopią?

- Tak. Zadzwoniłam do niego, kiedy zszedł na dół. Poprosiłam, żeby spotkał się ze mną w Santa Maria Novella. Wyjaśniłam mu, że to pilne.

- Dokąd dzwoniłaś?

- Do laboratorium. Liczyłam na to, że uda mi się go złapać, nim skończy pracę.

Wzięłam brązy, zesłam po schodach, a potem wyszłam przez podwórko, podczas gdy ty byłeś w recepcji. Przyszedł zaraz po mnie. Nie mogło upłynąć więcej niż piętnaście minut.

Ryan doszedł do wniosku, że to w zupełności wystarczyło, żeby Giovanni powiedział

komuś o rozmowie. Komuś nieodpowiedniemu.

- Co mu powiedziałaś?

- Prawie wszystko. Wyjaśniłam mu, że brąz, który testował Ponti, jest w moim posiadaniu, ale nie jest to ta sama rzeźba, nad którą pracowaliśmy. Pokrótkie wyjaśniłam mu również sprawę *Dawida*. Przypuszczam, że mi nie uwierzył, ale przynajmniej wysłuchał.

Przestała dziobać widelcem stek. Zbyt dużo wysiłku kosztowało ją udawanie, że je.

- Poprosiłam, by zabrał brązy do laboratorium, przeprowadził testy i porównał ich wyniki z wcześniejszymi. Obiecałam, że skontaktuję się z nim jutro. Nie podałam mu nazwy hotelu, bo nie

chciałam, żeby tu dzwonił lub przychodził. Wolałam, żebyś się nie dowiedział, co zrobiłam z brązami.

Ryan oparł się o poręcz krzesła, uświadamiając sobie, że żadne z nich nie jest w stanie docenić posiłku, który im zaserwowano. Wyjął cygaro.

- Być może tylko dzięki temu możemy sobie tutaj spokojnie siedzieć i cieszyć się blaskiem księżyca.

- Co masz na myśli?

- Zastanów się chwilę, doktor Jones. Twój przyjaciel miał brązy, a teraz nie żyje.

Narzędzie zbrodni i *Dawid* zostały na miejscu. Co łączy obie te rzeźby? Ty.

Zapalił cygaro i czekał, aż te słowa dotrą do jej świadomości.

- Gdyby gliniarze znaleźli obie statuetki na miejscu przestępstwa, zaczęliby cię szukać. Ktoś, kto to zrobił, zdaje sobie sprawę, że wiesz wystarczająco dużo, by szukać odpowiedzi, działając na pograniczu prawa, a zatem nie pójdziesz na policję.

- Ktoś zabił Giovanniego, by zrzucić winę na mnie.

- Działał z zimną krwią, w ohydny sposób, który trudno sobie wyobrazić. Ale trzeba przyjąć do wiadomości, że była w tym jakaś logika.

- Na tym nie koniec. Ponieważ Giovanni nie był w to zamieszany, na pewno sam zacząłby się zastanawiać nad testami. Ponownie przejrzałby twoje notatki i porównał

uzyskane wyniki.

- To właśnie dlatego w laboratorium był tak potworny bałagan - mruknęła. - Teraz już nigdy nie znajdziemy mojej dokumentacji.

- Została zabrana albo zniszczona - przyznał Ryan.

- Twój przyjaciel był przeszkodą. Ty, Mirando, również nią jesteś.

- Tak, wiem. - Jakimś cudem to było znacznie prostsze.

- To jest nawet ważniejsze niż odnalezienie oryginału. Ktoś kto zamienił rzeźby, zabił

Giovanniego.

- Wiesz, co mówi się o zabijaniu? Że trudno zrobić to po raz pierwszy. Potem jest już dużo łatwiej.

Starła się nie zwracać uwagi na dreszcz, który przebiegł po jej skórze.

- Jeśli to oznacza, że chcesz się wycofać z naszej umowy, nie będę miała do ciebie żadnych pretensji.

- Naprawdę? - Ponownie odchylił się do tyłu, paląc w zamyśleniu cygaro. Zastanawiał

się, w jakim stopniu na jego decyzję wpłynął fakt, że Miranda uważa go za tchórza. A może szaleńcę?
przechyliła chęć zapewnienia jej ochrony?

- Zazwyczaj kończę to, co zaczynam. Na twarzy Mirandy pojawiła się ogromna ulga.

Wzięła do ręki kieliszek i uniosła go jak w toastcie.

- Ja również.

Carlo przed północą opuścił knajpkę i ruszył w stronę domu. Obiecał żonie, że wróci dość wcześnie. Zawarta między nimi umowa umożliwiała mu spędzenie jednego wieczoru w tygodniu przy kielichu w towarzystwie kumpli, którym opowiadał różne wymyślone historyjki. Sofia również miała wtedy wolny czas - wybierała się na plotki do swojej siostry, co jego zdaniem właściwie sprowadzało się do tego samego.

Zazwyczaj zostawał w męskim gronie do dwunastej lub trochę dłużej, ale ostatnio skrócił nieco ten czas. Odkąd w gazetach podano, że jego *Czarna Dama* była mistyfikacją, stał się obiektem niesmacznych żartów.

Ani przez chwilę w to nie wierzył. Trzymał przecież statuetkę w rękach i czuł na policzkach jej delikatny oddech. Artysta zawsze rozpozna dzieło sztuki. Ilekroć jednak to mówił, jego koledzy wybuchali śmiechem.

Władze przesłuchiwały go jak kryminalistę. *Dio mio*, zrobił tylko to, co należało. Nie powinien był zabierać statuetki z willi - to był może jego błąd.

Chociaż z drugiej strony to on ją znalazł. Miał ją w rękach, patrzył jej w twarz, oszołomiło go jej piękno jak wino krążące we krwi. Przyszło mu na myśl, że właściwie to ona go znalazła. I urzekła. Ostatecznie jednak zachował się, jak należało i oddał ją.

Teraz usiłują mu wmówić, że nic nie była warta. Dobry sposób, aby wprowadzić w błąd ludzi kochających sztukę. W głębi serca wiedział, że to kłamstwo.

Sofia powiedziała, że mu wierzy, zdawał sobie jednak sprawę, że to nieprawda.

Mówiła tak, ponieważ była lojalna i kochała go, poza tym dzięki temu rzadziej kłócili się w obecności dzieci. Rozmawiający z nim reporterzy zapisali wszystko, co mówił, a potem tak poprzekręcali jego słowa, że nie miały żadnego sensu.

Próbował porozmawiać o tym z Amerykanką kierującą ogromnym laboratorium, do którego zabrano jego *Damę*, ale nie chciała go słuchać. Podczas rozmowy z nią wpadł w złość i zażądał widzenia się z doktor Mirandą Jones, która dowiodła, że rzeźba jest autentyczna.

Direttore wezwała strażników i kazała go wyrzucić. To było upokarzające.

Nie należało słuchać Sofii, pomyślał, idąc spokojną podmiejską drogą w stronę domu.

Wypite wino sprawiało, że szumiało mu w głowie i plątały się nogi. Powinien był, tak jak zamierzał początkowo, zatrzymać *Damę* dla siebie. To on ją znalazł, zabrał z wilgotnej ciemnej piwnicy i wyniósł na światło dzienne. Należała do niego.

Teraz chociaż utrzymują, że statuetka nie ma żadnej wartości, nie chcą mu jej zwrócić.

Tymczasem on chciał dostać ją z powrotem.

Zadzwonił do laboratorium do Rzymu i zażądał, by oddano mu jego własność.

Krzyczał i wrzeszczał, w końcu zaczął wyzywać wszystkich od kłamców i oszustów.

Zadzwonił nawet do Ameryki i zostawił na automatycznej sekretarce Mirandy rozpaczliwą chaotyczną wiadomość. Był przekonany, że Miranda stanowi jedyne ogniwo, które łączy go ze znalezioną statuetką. Tylko ona może w jakiś sposób mu pomóc.

Nie spocznie, dopóki nie zobaczy ponownie swojej *Damy*, dopóki nie będzie miał jej w rękach.

Podniecony winem i rozłoszczony upokarzającymi żartami kompanów postanowił

wynająć prawnika. Ponownie zadzwoni do tej Amerykanki z Maine i spróbuje ją przekonać, że mają do czynienia ze spiskiem, którego celem jest odebranie mu *Damy*.

Przypomniał sobie zamieszczone w gazecie zdjęcie Mirandy. Miała wyrazistą i szczerą twarz. Tak, ona pomoże.

Miranda Jones. Ona na pewno go wysłucha.

Nie oglądał się za siebie, chociaż usłyszał nadjeżdżający samochód. Droga była pusta, a on szedł poboczem. Wyobrażał sobie twarz widzianą w gazecie i zastanawiał się, co powie tej wykształconej kobiecie.

Kiedy najechało na niego rozpędzone auto, jego myśli wciąż krążyły wokół Mirandy i *Czarnej Damy*.

Stojąc na tarasie, Miranda spoglądała na zalane porannym blaskiem miasto. Być może po raz pierwszy w pełni doceniała jego piękno. Śmierć Giovanniego nieodwracalnie zmieniła jej życie. Wiedziała, że gdzieś w głębi serca już na zawsze pozostanie rana spowodowana przez poczucie winy i smutek. Mimo to otaczający ją świat wydawał się piękniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Chciała podziwiać urodę tego miasta, bez pośpiechu nacieszyć się wszystkim: delikatnym podmuchem wiatru muskającym jej policzki, blaskiem słońca połyskującego nad florenckimi wzgórzami, ciepłymi kamieniami pod bosymi stopami.

Uświadomiła sobie, że ma ochotę zejść na dół. Ubrać się, wyjść z hotelu i bez celu włóczyć się po ulicach. Przyglądać się wystawom sklepowym, spacerować wzdłuż rzeki.

Czuć, że żyje.

- Mirando.

Nabrała powietrza w płuca, obejrzała się przez ramię i zobaczyła Ryana stojącego w drzwiach prowadzących na taras.

- Jest piękny ranek. Wokół panuje wiosna, wszystko budzi się do życia. Wydaje mi się, że nigdy

wcześniej tego nie doceniałam.

Podszedł do niej i położył rękę na jej dłoni wspartej na gzymsie. Uśmiechnęłaby się, gdyby wcześniej nie zobaczyła jego oczu.

- O Boże. Co się stało?

- Hydraulik. Carlo Rinaldi. Nie żyje. Dziś w nocy rozjechało go jakieś auto. Przed chwilą usłyszałem to w radiu. - Wracał do domu tuż przed północą. Nie podali więcej szczegółów. - Ogarnęła go dzika furia. - Miał trójkę dzieci i następne w drodze.

Miranda mocno zacisnęła rękę.

- To mógł być wypadek. - Bardzo chciała w to wierzyć, i może by jej się to udało, gdyby nie dostrzegła spojrzenia Ryana. - Ale nie był. Dlaczego ktoś postanowił go zabić? On nie miał nic wspólnego z laboratorium. O niczym nie wiedział.

- Robił wokół sprawy mnóstwo hałasu. Z tego co wiemy, tkwił w tym od samego początku. W końcu to on odkrył statuetkę, a potem przez kilka dni trzymał w domu. Mógł

bacznie się jej przyjrzeć. Stanowił przeszkodę, Mirando, a przeszkody należy usunąć.

- Tak samo jak Giovanniego. - Odsunęła się od niego. Musi nauczyć się z tym żyć.

Musi się z tym pogodzić. - Czy w wiadomościach mówili coś o Giovannim?

- Nie, ale powiedzą. Ubieraj się. Idziemy.

Przyszło jej na myśl, że namawiają do wyjścia, ale wcale nie po to, by wędrować ulicami, spacerować wzdłuż rzeki i cieszyć się chwilą.

- W porządku.

- Nie masz żadnych zastrzeżeń? - Uniósł brew. - Nie pytasz dokąd, dlaczego, po co?

- Tym razem nie. - Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Trzydzieści minut później znajdowali się przy budce telefonicznej, a Ryan robił coś, czego unikał przez całe życie. Dzwonił na policję.

Mówił piskliwym nerwowym szeptem i posługiwał się prymitywnym językiem włoskim. Zgłaszał, że w Standjo, w laboratorium na pierwszym piętrze znajdują się zwłoki.

Kiedy zaczęły padać gwałtowne pytania, odwiesił słuchawkę.

- To powinno wystarczyć. Zmykajmy stąd na wypadek, gdyby włoska policja dysponowała sprzętem pozwalającym błyskawicznie ustalić, skąd się telefonuje.

- Wracamy do hotelu?

- Nie. - Wsiadł na motor. - Jedziemy do domu twojej matki. Prowadź.

- Do domu mojej matki? - Zaszokowana zapomniała, że poprzysięgła sobie nie zadawać więcej pytań. - Dlaczego? Chyba jesteś szalony. Nie mogę zaprowadzić cię do domu mojej matki.

- Podejrzewam, że nie czeka na nas z *linguine* z czerwonym sosem na lunch, ale po drodze zjemy jakąś pizzę. Tyle czasu powinno wystarczyć.

- Na co?

- Żeby gliniarze znaleźli ciało, a ona się o tym dowiedziała. Jak myślisz, co wówczas zrobi?

- Pojedzie prosto do laboratorium.

- Na to właśnie liczę. Dzięki temu powinniśmy zdążyć przeszukać jej dom.

- Włamiemy się do domu mojej matki?

- Chyba że zostawi pod wycieraczką zapasowe klucze. Włóż to. - Ze schowka przy siedzeniu wyjął kask. - W promieniu dwóch kilometrów sąsiedzi byliby w stanie zauważyć twoje włosy.

- Nie rozumiem, po co to wszystko - powiedziała Miranda godzinę później, siedząc za nim na motorze nieopodal domu Elizabeth. - Po co włamywać się do domu mojej matki i szperać w jej rzeczach.

- Zniszczeniu uległy wszystkie trzymane w laboratorium wyniki prowadzonych przez ciebie testów. Istnieje szansa, że ona trzyma tu ich kopie.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Ponieważ jesteś jej córką.

- To dla niej nic nie znaczy.

Za to dużo znaczy dla ciebie, pomyślał Ryan.

- Może tak, może nie. Czy to ona?

Miranda spojrzała na dom, po czym jak uczennica na wagarach schowała się za plecami Ryana.

- Tak. Słusznie przewidziałeś, że tak się stanie.

- Atrakcyjna kobieta. Nie jesteś do niej zbyt podobna.

- Najmocniej dziękuję.

Roześmiał się cicho i obserwował, jak zadbana, ubrana w ciemny kostium Elizabeth otwiera samochód.

- Jest bardzo opanowana - zauważył. - Patrząc na nią, trudno byłoby się domyślić, iż właśnie usłyszała, że ktoś włamał się do jej laboratorium, a jeden z pracowników nie żyje.

- Moja matka nie lubi okazywać emocji.

- Jak już powiedziałem, nie jesteś do niej zbyt podobna. W porządku, idziemy. Wróci dopiero za kilka godzin, ale aby nie stwarzać niepotrzebnych komplikacji, powinniśmy zrobić to w ciągu godziny.

- To wszystko i tak jest skomplikowane. - Obserwowała, jak Ryan zarzuca torbę na plecy. Doszła do wniosku, że jej życie nigdy już nie będzie takie samo. Teraz jest kryminalistką.

Podszedł prosto do frontowych drzwi i zadzwonił.

- Czy twoja matka kogoś zatrudnia? A może trzyma psa? Lub mieszka z kochankiem?

- Wydaje mi się, że ma gospodynię, ale dochodzącą. Nie trzyma żadnych zwierząt. -

Naciągnęła kask głębiej na głowę. - Natomiast nic nie wiem na temat jej życia seksualnego.

Ponownie zadzwonił. Uważał, że nie ma nic bardziej żenującego jak włamać się do domu, który sprawia wrażenie pustego, i zastać w nim chorego na grypę gospodarza.

Wyjął wytrychy i pokonał zamki w czasie krótszym, niż gdyby posługiwał się kluczami.

- Ma jakiś alarm?

- Nie wiem, ale trudno to wykluczyć.

- W porządku, poradzimy sobie. - Kiedy znalazł się w środku, zobaczył na ścianie skrzyneczkę. Palące się światelko oznaczało, że trzeba znać kod. Doszedł do wniosku, że ma minutę, wyjął więc śrubokręt, zdjął przykrywkę, przeciął kilka kabli i wyłączył urządzenie.

Chociaż jako naukowiec podziwiała jego szybką i efektywną pracę, dołożyła wszelkich starań, by nie było tego słychać w jej głosie.

- Dzięki tobie zaczynam się zastanawiać, po co ludzie zadają sobie tyle trudu i montują tego typu zabezpieczenia. Chyba lepiej po prostu zostawiać pootwierane okna i drzwi.

- Widzę, że podzielasz moje zapatrywania. - Mrugnął do niej żartobliwie i zaczął się rozglądać. - Ładny dom. Może wewnątrz jest urządzone nieco banalnie, ale nie pozbawione wdzięku. Gdzie znajduje się jej biuro?

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, zastanawiając się, dlaczego krytyka gustu matki wydała

jej się zabawna. Powinna przecież się oburzyć.

- Wydaje mi się, że na pierwszym piętrze, po lewej. Nie spędzałam tu zbyt dużo czasu.

- Spróbujmy. - Wszedł po schodach przeładowanych ozdobami. Przyszło mu na myśl, że ten dom wyglądałby dużo ładniej, gdyby było w nim trochę więcej kolorów i coś zaskakującego. Wszystko było zbyt doskonałe, zbyt uporządkowane, jak na zdjęciu, jednak odnosiło się wrażenie, że nikt tu nie mieszka. Z pewnością te wnętrza urządzone zostały z pewną klasą, mimo to Ryan znacznie wolał własny apartament w Nowym Jorku lub uroczo zaniedbany dom Mirandy w Maine.

Stwierdził, że biuro ma zdecydowanie kobiecy charakter, nie jest przeładowane, ale eleganckie i bardzo wygodne, chłodne, lecz nie odpychające. Zastanawiał się, czy odzwierciedla ono cechy swojej właścicielki, i doszedł do wniosku, że jest to możliwe.

- Czy matka ma jakiś sejf?

- Nie wiem.

- W takim razie poszukaj go - zaproponował i sam również zaczął to robić, zerkając pod obrazy. - Jest tutaj, za tą ładną ryciną Renoira. Zajmę się nim, a ty przeszukaj biurko.

Zawahała się. Nawet jako dziecko wiedziała, że nie wolno wchodzić do żadnego pokoju matki bez pozwolenia. Nigdy samowolnie nie pożyczyła sobie jej kolczyków ani nie użyła perfum. Nigdy też nie dotknęła zawartości biurka matki.

Wyglądało na to, że teraz będzie mogła nadrobić stracony czas.

Łamiąc zasadę obowiązującą przez całe jej życie, sięgnęła do szuflad z dużo większym entuzjazmem, niż przypuszczała.

- Jest tu mnóstwo teczek - powiedziała Ryanowi, przeglądając je. - Większość z nich dotyczy spraw osobistych. Ubezpieczenia, rachunki, korespondencja.

- Szukaj dalej.

Usiadła na stojącym przy biurku krześle - to również zrobiła po raz pierwszy - i sięgnęła do następnej szuflady.

- Znalazłam kopie kontraktów - mruknęła - i raportów. Podejrzewam, że część pracy wykonuje tutaj. Och! - Miranda znieruchomiała. - Brąz z Fiesole. Całateczka.

- Weź ją. Przejrzymy to później. - Nasłuchiwał jak ostatnia zapadka wskakuje na miejsce. - Teraz cię mam, kotku. Wspaniale. Cudowne - szepnął, otwierając aksamitną szkatułkę i oglądając podwójny sznur pereł. - To pewnie pamiątka rodowa. Pasowałyby ci.

- Włóż to z powrotem.

- Nie ukradnę ich. Nie zajmuję się klejnotami. - Mimo to po otwarciu następnej szkatułki mruknął na widok lśniących brylantów. - To wspaniałe kolczyki, prawie trzy karaty każdy, poza tym mają piękny szlif. Wyglądają na białe brylanty rosyjskie czystej wody.
- Wydawało mi się, że nie zajmujesz się biżuterią.
- Ale to wcale nie znaczy, że się na niej nie znam. Fantastycznie pasowałyby do twojego pierścionka.
- To nie jest mój pierścionek - powiedziała oschle, mimo to jej wzrok przesunął się na połyskujące na palcu brylanciki.
- To jedynie ozdoba wystawy sklepowej.
- Racja. Spójrz na to. - Wyciągnął niewielką plastikową teczkę. - Widziałaś ją już kiedyś?
- Zdjęcia rentgenowskie. - Odskoczyła od biurka i nim jej serce zdążyło uderzyć dwa razy, trzymała je w ręce.
- Wydruki komputerowe. Spójrz. Wszystko tu jest. Sam możesz sprawdzić. Grubość warstwy korozji. Wystarczy tylko popatrzeć. Wszystko tu widać. Statuetka jest prawdziwa.
- Nagle pod wpływem emocji przycisnęła rękę do czoła i zamknęła oczy.
- A zatem to prawda. Wcale się nie myliłam. Nie popełniłam błędu.
- Nigdy nie uważałem, że się pomyliłaś. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.
- Kłamca. Włamałeś się do mojej sypialni i groziłeś, że mnie udusisz.
- Powiedziałem tylko, że mogę cię udusić. - Ponownie chwycił palcami jej szyję. - Ale wtedy jeszcze cię nie znałem. Uporządkuj to, kochanie. Na razie mamy co robić.
- Kilka następnych godzin spędzili w apartamencie hotelowym. Miranda uważnie linijka po linijce przeglądała kopie swoich raportów, a Ryan zajął się komputerem.
- Wszystko tu jest. Każdy mój krok. Każdy test i każdy wynik. Co prawda brakuje dokumentacji, ale to powinno wystarczyć. Dlaczego ona tego nie widziała?
- Spójrz na to i sprawdź, czy dobrze to zrobiłem.
- Co to jest?
- Po raz drugi przejrzałem listę. - Gestem ręki zachęcił ją do podejścia. - Wpisałem na nią nazwiska, z którymi zetknąłem się przy okazji tej sprawy. Wszyscy ci ludzie mieli dostęp do obu brązów. Mogło być ich więcej, ale to są postacie pierwszoplanowe.

Stała za jego plecami i zaczęła czytać. Kiedy na czele listy zobaczyła swoje nazwisko, zacisnęła

mocno zęby. Była tam również jej matka, ojciec, Andrew, Giovanni, Elise, Carter, Hawthorne i Vincente.

- Andrew nie miał dostępu do *Czarnej Damy*.

Podpięty przez nią wcześniej kosmyk włosów opadł i połaskotał Ryana po policzku.

Natychmiast poczuł napięcie w łydźwiach, a z jego ust wyrwało się ciche westchnienie. Doszedł do wniosku, że same tylko jej włosy są w stanie doprowadzić go do szaleństwa.

- Jest powiązany z tobą, twoją matką i Elise. To wystarczy. Pociągnęła nosem i poprawiła okulary.

- To zniewaga.

- Daruj sobie komentarze. Chcę jedynie wiedzieć, czy ta lista jest kompletna.

- Jest kompletna, chociaż urąga zdrowemu rozsądkowi. No tak, nie powinien zapominać również o jej afektowanym sposobie mówienia. Miał ochotę jęknąć.

- Czy żona Hawthorne'a była z nim we Florencji?

- Nie.

- Richard jest rozwiedziony. - Odwrócił głowę, wdychając z bliska zapach jej włosów, co doprowadziło go do szaleństwa. - Czy był jeszcze żonaty, gdy pracował w Maine?

- Nie wiem. Słabo go znam. Prawdę mówiąc, w ogóle go nie pamiętałam, dopóki mi nie przypomniał, że spotkaliśmy się już wcześniej. - Poirytowana odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy. Najwyraźniej w tej chwili wcale nie myślał o pracy. Serce Mirandy zadrżało, a całe jej ciało ogarnęła fala pożądania. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Czy co ma jakieś znaczenie? - Pragnął tych ust. Cholera jasna, miał prawo do tych ust.

- Uhm... czy Richard był rozwiedziony.

- Ludzie często opowiadają swoim kochankom i współmałżonkom różne poufne historie. Seks - mruknał, owijając luźny kosmyk jej włosów wokół palca - jest wspólnym sposobem porozumiewania się.

Jedno pociągnięcie, pomyślał, jedno delikatne szarpnięcie, a jej usta będą jego. Miałyby wówczas w rękach całą tę dziką, wijącą się masę włosów. Po pięciu minutach byłaby naga.

Nie zdejmowałby tylko okularów.

W jego wyobraźni pojawiła się Miranda bez niczego, jedynie z okularami na nosie.

Z ogromnym żalem zrezygnował z przyciągnięcia jej do siebie, puścił jej włosy, odwrócił się i

ponuro spojrział na ekran.

- Musimy również sprawdzić wszystkich szeregowych pracowników, ale wcześniej przydałaby się nam przerwa.

- Przerwa? - W głowie Mirandy panował potworny zamęt. Była zdenerwowana, a po jej skórze bez przerwy przebiegały dreszcze.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby Ryan teraz jej dotknął, eksplodowałaby.

Wyprostowała się, zamknęła oczy. I zaczęła marzyć.

- Co masz na myśli?

- Odłóżmy to na bok i wybierzmy się do jakiejś restauracji. Otworzyła oczy.

- Co takiego?

- Powinniśmy coś zjeść, doktor Jones. - Zastukał palcami w klawisze, koncentrując się na klawiaturze, dlatego nie zauważył, że stojąca za jego plecami Miranda przetarła rękami twarz.

- Tak, musimy coś zjeść. - Jej głos lekko drżał - nie wiedziała jednak czy ze śmiechu, czy ze złości. - To dobry pomysł.

- Co chciałabyś zjeść przed wyjazdem z Florencji?

- Przed wyjazdem?

- Teraz może się tu zrobić gorąco. Lepiej będzie, jeśli popracujemy na swoim terenie.

- Lecz jeśli *Czarna Dama* jest tutaj...

- Wówczas po nią wrócimy. - Zamknął notebooka i odsunął się od biurka. - Florencja wcale nie jest wielkim miastem, doktor Jones. Wcześniej czy później zobaczy cię ktoś z twoich znajomych. - Musnął palcami jej włosy. - Nie należysz do osób, które znikają w tłumie. Co wolisz: szybko, z fantazją czy tam gdzie dużo hałasu?

Wraca do domu. Doszła do wniosku, że bardzo chce wrócić do domu i spojrzeć na niego nowymi oczyma.

- Tym razem mam ochotę na coś hałaśliwego.

- Świetnie. Znam odpowiednie miejsce.

Było głośno, tłoczno, a ostre światła odbijały się od wielu wiszących na ścianach obrazów w jaskrawych barwach, które idealnie pasowały do wiszących pod sufitem pęt kielbasy i wędzonych szynek, które stanowiły główną dekorację restauracji. Przy pozsuwanych stołach goście - przyjaciele

i ludzie obcy - trącając się łokciami, jedli obfite porcje mięsa i makaronów.

Tęgawy mężczyzna w poplamionym fartuchu wcisnął Ryana i Mirandę w kąt, a potem kiwnął głową, przyjmując zamówienie na butelkę miejscowego czerwonego wina. Na lewo od Mirandy siedziała para amerykańskich homoseksualistów zwiedzających Europę. Właśnie dzielili się chlebem, kiedy Ryan wciągnął ich w rozmowę. Zrobił to ze swobodą i otwartością, które wzbudziły podziw Mirandy.

Nigdy nie rozmawiała z obcymi ludźmi w restauracji, ograniczała się jedynie do wymiany zdawkowych uprzejmości. Lecz nim na stole pojawiło się wino, wiedziała już, że obaj panowie pochodzą z Nowego Jorku, prowadzą restaurację w Village i są ze sobą od dziesięciu lat. Przyznali się, że tą podróżą postanowili uczcić rocznicę poznania.

- A to nasza spóźniona podróż poślubna. - Rozbawiony Ryan ujął dłoń Mirandy i pocałował ją. - Prawda, Abby, kochanie?

Zdezorientowana spojrzała na niego. Odpowiedziała dopiero, gdy delikatnie kopnął ją pod stołem.

- Tak. Uhm... Kiedy wzięliśmy ślub, nie mogliśmy sobie pozwolić na wyjazd. Kevin właśnie zaczynał, a ja byłam... początkującą pracownicą agencji. Teraz nadrabiamy zaległości, zanim pojawią się dzieci.

Zaskoczona własnymi słowami, przełknęła wino, a Ryan uśmiechnął się do niej.

- Warto było czekać. We Florencji miłość dosłownie unosi się w powietrzu.

Ignorując wszelkie prawa fizyki, kelner przeciskał się między stolikami i zbierał zamówienia od klientów.

Niecałą godzinę później Miranda poprosiła o więcej wina.

- Tu jest wspaniale. To cudowne miejsce. - Powoli odwróciła się i przesłała miły uśmiech w stronę stolika, przy którym Brytyjczycy prowadzili uprzejmą cichą rozmowę, podczas gdy znajdujący się w ich najbliższym sąsiedztwie Niemcy pili piwo i głośno śpiewali. - Nigdy nie bywałam w tego typu lokalach. - Kręciło jej się w głowie. - Nie wiem dlaczego.

- Zjesz jakiś deser?

- Pewnie. Jedz, pij i wesel się. - Nalała sobie następny kieliszek wina i lekko wstawiona uśmiechnęła się. - Bardzo mi się tu podoba.

- Tak, widzę to. - Odsunął butelkę poza zasięg jej ręki i dał sygnał kelnerowi.

- To była bardzo miła para, prawda? - Uśmiechnęła się sentymentalnie, spoglądając na miejsce opuszczone przed chwilą przez homoseksualistów. - Naprawdę są w sobie zakochani.

Zobaczymy ich po powrocie do domu, prawda? Nie, po ich powrocie do domu. My wracamy jutro.

- Spróbujemy *zabaione* - powiedział Ryan do kelnera, zerkając na Mirandę spod uniesionych brwi, kiedy zaczęła nucić razem z pijanymi Niemcami. - *I cappuccino*.

- Wolałabym więcej wina.

- To kiepski pomysł.

- Dlaczego? - Przepełniona miłością do swego towarzysza, uniosła kieliszek i opróżniła go. - Smakuje mi.

- Ale idzie ci do głowy - powiedział ze wzruszeniem ramion, kiedy ponownie złapała za butelkę. - Jeśli nie przestaniesz pić, czeka cię ciężki lot do domu.

- Doskonale znoszę latanie samolotem. - Przymrużywszy oczy, nalała sobie prawie pełny kieliszek. - Zobacz, wcale nie drżą mi ręce. Doktor Jones zawsze ma spokojne ręce.

- Ze śmiechem konspiracyjnie wychyliła się do przodu.

- Ale Abby jest ululana.

- Kevin obawia się, że jego żona może wpaść pod stół, a wówczas będzie musiał ją nieść do domu.

- Nie. - Potarła ręką nos. - Doktor Jones nigdy by na to nie pozwoliła. To zbyt żenujące. Przejdziemy się wzdłuż rzeki. Chcę pospacerować przy blasku księżyca. Abby pozwoli ci się pocałować.

- To ciekawa propozycja, sądzę jednak, że lepiej będzie, jeśli wrócimy do domu.

- Uwielbiam Marne. - Odchyliła się do tyłu i machnęła kieliszkiem. - Uwielbiam klify, mgłę, fale uderzające o brzeg i kutry, na których rybacy łowią homary. Mam zamiar zacząć uprawiać ogród. W tym roku naprawdę mam zamiar to zrobić. Mmm. - Tak brzmiała jej opinia na temat kremowego deseru postawionego przed nią przez kelnera. - Uwielbiam spełniać własne zachcianki. - Odstawiła kieliszek, by zanurzyć łyżeczkę w deserze. - Chociaż nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy - powiedziała z pełnymi ustami.

- Spróbuj kawy - zaproponował.

- Wolę wino.

Lecz kiedy po nie sięgnęła, szybko odsunął butelkę.

- Może zdołam cię namówić na coś innego? Przyjrzała mu się z zamyśleniem, a potem się uśmiechnęła.

- Przynies mi głowę Jana Chrzciciela - rozkazała i wybuchnęła śmiechem. - Czy naprawdę ukradłeś jego kości? Nie potrafię zrozumieć mężczyzny, który kradnie kości świę-

tych. Chociaż to fascynujące.

Ryan doszedł do wniosku, że pora iść, dlatego szybko wygrzebał garść lirów i położył je na stoliku.

- Przejdźmy się, kochanie.

- W porządku. - Kiedy wstała, na chwilę musiała chwycić się ściany. - No proszę, ile tu grawitacji.

- Może na zewnątrz będzie jej nieco mniej. - Objął ją w pasie i wyciągnął z restauracji, wybuchając śmiechem, kiedy radośnie zegnała się z gośćmi lokalu.

- Wcale nie jesteś lekka, doktor Jones.

- Jak nazywało się to wino? Jest doskonałe. Chcę kupić skrzynkę.

- Chyba jedną zdołałaś już wypić.

Prowadził ją po wyboistym chodniku ciągnącym się wzdłuż cichej uliczki, zadowolony, że postanowili tu przyjść pieszo, a nie przyjechali motorem. Musiałby ją chyba przywiązać.

- Mam zamiar pomalować okiennice.

- To dobry pomysł.

- Twoja matka ma żółte okiennice. Wyglądają tak wesoło. Wszyscy w twojej rodzinie są tacy weseli.

- Objęła go ręką w pasie i zatoczyła się jak pijak. - Sądzę jednak, że do mojego domu najlepiej będzie pasował jasny błękit. Tak, jasny błękit, a na frontowej werandzie postawię fotel bujany.

- Nie ma nic wspanialszego niż fotel bujany. Uważaj, jak idziesz. Wejdz na krawężnik.

Zuch dziewczyna.

- Dzisiaj włamałam się do domu mojej matki.

- Gdzieś to już słyszałem.

- Mieszkam w hotelu ze złodziejem i włamałam się do domu matki. Mogłam ją dokumentnie okraść.

- Wystarczyło poprosić. Skręcamy w lewo, tędy. Już jesteśmy prawie na miejscu.

- To było wspaniałe.

- O czym ty mówisz?

- O włamaniu. Nie chciałam mówić tego wtedy, ale to było wspaniałe. - Uniosła ręce i złapała go za brodę. - Może mógłbyś mnie nauczyć otwierania zamków wytrychem? Zrobisz to, Ryanie?

- Kto wie? - Wepchnął Mirandę do hotelu.

- Mogę cię nawet uwieść w tym celu. - Potknąwszy się o brzeg leżącego w holu eleganckiego dywanu, wpadła na Ryana i zmiażdżyła mu usta, zanim zdołał odzyskać równowagę. Poczuł, że kręci mu się w głowie.

- Mirando...

- Mam na imię „Abby”, chłopcze - wybełkotała, kiedy recepcjonista odwrócił wzrok. -

No więc jak?

- Porozmawiamy na górze. - Pociągnął ją w stronę windy, z dala od ludzkich oczu.

- Nie chcę rozmawiać. - Przywarła do niego i ugryzła go w ucho. - Marzy mi się dziki, szalony seks. Teraz.

- Kto o tym nie marzy? - powiedział wychodzący z windy mężczyzna towarzyszący elegancko ubranej kobiecie.

- Widzisz? - zwróciła uwagę Miranda, kiedy Ryan wciągnął ją do windy. - On się ze mną zgadza. Mam na ciebie ochotę od chwili, kiedy cię zobaczyłam i usłyszałam gwizdek.

- Gwizdek? - Kiedy próbował ją od siebie odsunąć, zabrakło mu tchu.

- Kiedy jestem z tobą, słyszę gwizdanie. Właśnie w tej chwili gwizdże mi w głowie.

Pocałuj mnie, Ryan. Wiem, że o tym marzysz.

- Przestań. - Zdesperowany odepchnął jej ręce, zanim zdążyła rozpiąć mu koszulę. -

Jesteś zawiana.

- Co ci szkodzi? - odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. - Przez cały czas próbowałeś wciągnąć mnie do łóżka. Teraz masz szansę.

- Istnieją pewne zasady - wymamrotał, sam zataczając się jak pijak, kiedy ponownie go objęła. Przyszło mu na myśl, że jedno z nich powinno wziąć zimny prysznic.

- Och, teraz nagle zaczynasz mówić o zasadach. - Ze śmiechem wyciągnęła mu koszulę ze spodni. Kiedy usiłował włożyć klucz do zamka, ręce Mirandy przesuwwały się po jego plecach i wokół brzucha.

- Boże, dopomóż. Mirando! Jezu Chryste! - Jej ruchliwe ręce zsunęły się w dół. -

Posłuchaj, powiedziałem „nie”.

- Kiedy oboje wpadli do środka, oczy Ryana zasnęła mgła.

- Trzymaj ręce przy sobie.

- Nie mogę. - Puściła go, lecz tylko po to, by podskoczyć w górę, objąć go nogami w pasie, zacisnąć pięści w jego włosach i przycisnąć usta do jego warg. - Pragnę cię. Och, jak ja cię pragnę. - Jej oddech stał się szybki, a usta wędrowały po jego twarzy. - Pokochaj się ze mną. Pieść mnie. Chcę poczuć twój dotyk.

Jego ręce już ją pieściły. Nie był w stanie oderwać ich od napiętych cudownych pośladków Mirandy. Krew kipiała w żyłach, pożądanie nakazywało wykorzystać okazję.

Nikły promyk zdrowego rozsądku coraz bardziej przygasał.

- Rano nie darujesz tego ani sobie, ani mnie.

- No to co? - Ponownie się roześmiała, przez cały czas wpatrując się w niego niesamowicie niebieskimi oczami. Kiedy odrzuciła do tyłu włosy, poczuł pulsowanie w całym ciele.

- Liczy się tylko teraz, Poddaj się chwili, Ryane. Nie chcę robić tego sama.

Kiedy wnosił ją do sypialni, nie odrywali do siebie wzroku.

- W takim razie sprawdźmy, jak długo może trwać ta chwila I pamiętaj, doktor Jones. -

Złapał zębami jej dolną wargę, ugryzł ją, pociągnął i puścił. - Sama o to prosiłaś.

Razem osunęli się na łóżko. Światło księżyca padało przez drzwi, a w kątach tańczyły głębokie cienie. Podnieciło ją twarde ciało wciskające ją w materac. Ich usta ponownie się spotkały, lecz pożądanie sprawiło, że gwałtowny pocałunek trwał niemal w nieskończoność.

Chciała dostać wszystko, a potem jeszcze więcej. Chciała dostać to co niemożliwe.

Wiedziała, że z nim uda jej się to znaleźć.

Nie chcąc pozostać bierną, wtopiła się w niego. Gwałtowne ruchy sprawiały, że kręciło jej się w głowie, a każdy oddech wydobywał się z płuc w jęklwym śmiechu. O Boże, była wolna. I żywa, nareszcie żywa Pragnąc poczuć ciało Ryana, szarpnęła jego elegancką jedwabną koszulę, przy okazji urywając mu guziki.

- O, tak - szepnęła, kiedy oderwał rękaw jej bluzki. - Pospiesz się.

Nie mógł zwolnić tempa, tak samo jak nie był w stanie zatrzymać czasu. Jego szybkie, zręczne szorstkie ręce szarpnęły stanik, a potem przykryły jej piersi.

Białe jak marmur, miękkie jak woda.

Kiedy nie wystarczył dotyk, wsunął ją pod siebie i zaczął pochłaniać.

Krzyknęła i wygięła się w łuk, poddając się jego wargom i zębom. Kiedy ogarnęła ją fala rozkoszy, zagłębiła paznokcie w jego plecach i przeorała je. Upojne uczucie zlało się ze wspaniałym bólem, mroczną przyjemnością i szalonym napięciem nerwów.

- Teraz. Teraz. Właśnie teraz.

Lecz jego usta wędrowały w dół. Jeszcze nie. Jeszcze nie. Zsunął jej eleganckie bawełniane spodnie poniżej bioder i zanurzył się w centrum niesamowitego żaru. Jej natychmiastowy orgazm niemal sparaliżował ich oboje. Wyszłochała jego imię i wplątała palce w jego włosy. W tym czasie ulga ponownie przeradzała się w pragnienie, a pragnienie w pożądanie.

Na moment wszystko zamarło w bezruchu. Połączeni obserwowali się nawzajem.

Powoli przesunęła dłonie wzdłuż jego pleców, a potem mocno złapała go za pośladki.

Równocześnie zaczęli się ruszać, powoli przyspieszając. Spocone ciała ślizgały się po sobie, a rozkosz ogarniała ich ciała i obezwładniała umysły.

Chcę mieć wszystko, a nawet jeszcze więcej, pomyślała mgliście, będąc o krok od orgazmu. Wszystko, nawet to co niemożliwe. Kiedy to znalazła, przywarła do niego i spadła w przepaść.

Obudził ją oślepiający blask słońca. Przez krótką okropną chwilę myślała, że płoną jej oczy, dlatego nim zdążyła całkiem oprzytomnieć, dotknęła ich palcami.

Po chwili zorientowała się, że wcale nie ulega samospaleniu i że w łóżku obok niej ktoś jest. Zamykając obolałe oczy, cicho jęknęła.

Co ona zrobiła?

Doskonale знаła odpowiedź - zresztą jeżeli dobrze pamiętała, zrobiła to nawet dwukrotnie. Na szczęście między jednym a drugim razem Ryan zmusił ją do zażycia trzech aspiryn i wypicia ogromnej ilości wody. Przypuszczała, że tylko dzięki temu jej głowa trzyma się jeszcze na karku.

Ostrożnie zerknęła w bok. Leżał na brzuchu z twarzą ukrytą w poduszce. Doszła do wniosku, że jemu również muszą przeszkadzać rażące promienie słońca, ale poprzedniego wieczoru żadne z nich nie pomyślało o zaciągnięciu zasłon.

O Boże, dobry Boże.

Rzuciła się na niego, obmacywała go, podarła na nim ubranie. Zupełnie jakby była szaloną kobietą.

Lecz nawet teraz w świetle dnia miała ogromną ochotę zrobić to jeszcze raz.

Powoli wstała, mając nadzieję, że uda jej się z godnością dotrzeć pod prysznic. Nie ruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku, a Miranda wdzięczna łaskawemu losowi szybko przemknęła do łazienki.

Na szczęście nie zauważyła, że otworzył jedno oko i uśmiechnął się na widok jej gołych pośladków.

Prowadziła głośny monolog pod prysznicem, ciesząc się z gorącego strumienia wody, który w pewnym stopniu zmniejszył jej niepokój, ale tkwiąca gdzieś w głębi duszy słodka tęsknota będąca efektem dobrego zdrowego seksu pozostała.

Miranda połknęła następne trzy aspiryny.

Kiedy wyszła, Ryan siedział na tarasie, beztriosko rozmawiając z kelnerem. Ponieważ było już za późno, by się wycofać, nieśmiało uśmiechnęła się do obu panów.

- *Buon giorno*. Piękny mamy dzień, *si*? Życzę wielu miłych wrażeń. - Z lekkim skinieniem głowy kelner zabrał podpisany rachunek. - *Grazie. Buon appetito*.

Zostawił ich samych ze stołem zastawionym masą jedzenia. Po kamiennym występie spacerował gołąb, chytrze zerkając na zawartość talerzy.

- No cóż... chyba... - Wsadziła ręce do kieszeni szlafroka, żeby nie zacząć nimi gestykulować.

- Napij się trochę kawy - zaproponował. Miał na sobie miękkie szare spodnie i czarną koszulę, dzięki czemu wyglądał na eleganckiego turystę. Patrząc na niego, przypomniała sobie, że wciąż ma wilgotne i rozczochrane włosy.

Niewiele brakowało, a skorzystałaby z jego propozycji, mimo to potrząsnęła głową.

Była kobietą, która odważnie stawia czoło przykrościom.

- Rywanie, jeśli chodzi o ostatnią noc... Sądzę, że powinnam cię przeprosić.

- Naprawdę? - Nalał dwie filiżanki kawy i wygodnie rozsiadł się przy stole.

- Musiałam za dużo wypić. Nie traktuj tego jako wymówkę, przyjmij to jako fakt.

- Kochanie, byłaś wstawiona. Ale bardzo miła - dodał, baczenie jej się przyglądając, a jednocześnie nakładając dżem na bułeczkę. - I zadziwiająco pomysłowa.

Zamknęła oczy, poddała się i usiadła.

- Moje zachowanie było niewybaczalne i godne ubolewania. Przepraszam cię.

Postawiłam cię w przykrew sytuacji.

- Coś sobie nawet przypominam. - Sączył kawę oczarowany delikatnym rumieńcem, który pojawił się na szyi Mirandy. - Ale na pewno nie było w tym nic przykrego.

Wzięła do ręki kawę, upiła i sparzyła sobie język.

- Dlaczego sądzisz, że powinnam cię przeproszać? - zapytał, wyjmując z koszyka niewielkie ciastko i kładąc je na talerzu. - Czy żałujesz czegoś? Skrzywdziliśmy kogoś?

- Chodzi oto, że...

- Chodzi o to że, jeśli już musimy coś na ten temat mówić, oboje jesteśmy samotni, nie związani z nikim, zdrowi, dorośli, na dodatek bardzo nas do siebie ciągnie. Dziś w nocy ulegliśmy pokusie. - Zdjął przykrywkę z naczynia, na którym leżał lśniący złocisty omlet. -

Jeśli o mnie chodzi, to było mi bardzo przyjemnie. - Rozciął omlet na dwie części i jedną z nich przełożył na talerz Mirandy. - A tobie?

Miała zamiar wziąć na siebie winę, przeprosić, ukorzyć się. Dlaczego on jej na to nie pozwala?

- Nie rozumiesz mnie.

- Nieprawda. Nie zgadzam się z tylko z twoim podejściem do sprawy. Och, teraz w twoich oczach pojawił się przelotny błysk wściekłości. Tak już lepiej. Chociaż doceniam fakt, że jesteś bardzo rozsądna i nie masz do mnie pretensji o wykorzystanie sytuacji (choć to ty zdierałaś ze mnie

ubranie), równie głupie jest branie całej winy na siebie.

- Wszystko przez to wino - powiedziała sztywno.

- Nie, sama powiedziałaś, że to żadna wymówka. - Roześmiał się, ujął jej palce i włożył w nie widelec. - Od chwili kiedy cię zobaczyłem, marzyłem, by się z tobą przespać, a nasza coraz dłuższa znajomość jedynie potęgowała to pragnienie. Fascynujesz mnie, Mirando.

A teraz zjedz swoje jajka, nim wystygną.

Spojrzała na talerz. Trudno było się na niego złościć.

- Nie uznaję przypadkowych kontaktów seksualnych.

- Uważasz, że to było „przypadkowe”? - Ciężko westchnął. - Boże, miej nas w swojej pieczy, gdy zaczniemy być poważni.

Nie zdołała opanować uśmiechu, dlatego w końcu się poddała.

- Było fantastycznie.

- Cieszę się, że coś pamiętasz. Wcale nie byłem pewien, jaki jest stan twojego umysłu.

Szkoda, że nie możemy zostać tu na dłużej. - Zaczął się bawić jej wilgotnymi włosami. - Florencja to wspaniałe miejsce dla kochanków.

Nabrała powietrza w płuca, popatrzyła mu prosto w oczy i zdobyła się na bezprecedensowe w jej przypadku wyznanie.

- Maine jest piękne na wiosnę. Uśmiechnął się i musnął palcem jej policzek.

- Chętnie sam to sprawdzę.

Czarna Dama stała skąpana w mocnym strumieniu światła. Przyglądająca jej się osoba siedziała w ciemności. Jej umysł był chłodny i trzeźwy, tak samo jak w chwili popełnienia morderstwa.

Plan nie przewidywał odbierania komukolwiek życia. Siłę napędową stanowiła posiadana moc, a o poszczególnych krokach decydowała konieczność. Gdyby wszystko po-szło tak jak powinno, użycie przemocy wcale nie byłoby potrzebne.

Niestety nie wszystko poszło tak jak powinno, nie wszystko się udało, dlatego konieczne było dokonanie pewnych poprawek. Dwie osoby poniosły śmierć tylko dlatego, że ktoś ukradł *Dawida*. Tylko kto mógł to przewidzieć, kto był w stanie temu zapobiec?

Trzeba uznać to za zrządzenie losu. Tak, ślepy traf.

Niemniej morderstwo wcale nie było tak odrażające, jak można by przypuszczać.

Również dawało poczucie władzy. Nikt, kto mógłby udowodnić istnienie *Czarnej Damy*, nie miał prawa przeżyć. Tak wyglądała prawda.

Przyjdzie czas, by ostatecznie i zdecydowanie zająć się tą sprawą.

Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, wszystko się skończy. Wraz ze śmiercią Mirandy.

Szkoda, że trzeba będzie unicestwić tak bystry umysł. Swego czasu wystarczyłoby tylko zniszczenie jej reputacji. Teraz trzeba zająć się wszystkim. W nauce nie ma miejsca na sentymenty, żądza władzy również ich nie dopuszcza.

Może zdarzy się wypadek, chociaż lepsze byłoby samobójstwo...

Tak, samobójstwo. To będzie prawdziwa... przyjemność. To dziwne, ale chyba nikt nie przypuszczał, że śmierć może sprawiać tyle radości.

Oczywiście trzeba najpierw wszystko przemyśleć i zaplanować. Nieodzowna będzie również... Usta same wygięły się w chytrym uśmiechu, identycznym jak uśmiech *Czarnej Damy*. Nieodzowna będzie również cierpliwość.

Kiedy *Czarna Dama* została sama w mocnym strumieniu światła, już nikt nie słyszał cichego śmiechu potępieńca. Albo obłąkańca.

Wiosna na dobre wkroczyła do Maine. Powietrze było łagodniejsze niż tydzień temu.

Choć może wówczas Miranda tego nie czuła.

Okna stojącego na wzgórzu i zwróconego tyłem do morza starego domu mieniły się złociście w promieniach zachodzącego słońca. Dobrze było wrócić do własnych pieleszy.

Kiedy Miranda weszła do środka, Andrew spędzał czas w zaciszu domowym w towarzystwie butelki Jacka Danielsa. Jej optymistyczny nastrój ulotnił się.

Gwałtownie poderwał się na równe nogi i lekko się zachwiał. Zauważyła, że dopiero po kilku sekundach zdołał skupić wzrok. Nie golił się od kilku dni i miał na sobie pomięte ubranie.

Niewątpliwie był pijany i prawdopodobnie już od dłuższego czasu nie trzeźwiał.

- Gdzie byłaś? - Wykonał kilka chwiejnych kroków, po czym złapał ją w braterskim uścisku. - Martwiłem się o ciebie. Dzwoniłem do wszystkich osób, które przyszły mi na myśl.

Nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz.

Chociaż wokół niego unosiły się ciężkie opary whisky, Miranda wiedziała, że jego obawy są szczere. Oddała uścisk, pragnąc znaleźć się w jego ramionach, zaczęła się jednak wahać, czy może powiedzieć mu o wszystkim. Na ile można zaufać alkoholikowi?

- Byłam na urlopie - przypomniała mu. - Przecież zostawiłam ci kartkę.

- Tak, ale ona niczego nie wyjaśniała. - Odsunął się do tyłu, bacznie przyjrzał się jej twarzy, a potem pogłaskał ją po głowie. - Kiedy staruszek pojawił się w Instytucie, wiedzia-

łem, że wpadliśmy w niezłe tarapaty. Wróciłem do domu tak szybko, jak tylko mogłem, ale już cię nie było.

- Nie zostawili mi żadnego wyboru. Czy potraktował cię bardzo niemiło?

- Mniej więcej tak jak się tego spodziewałem. - Zbagatelizował to. Chociaż whisky znacznie przytępiła jego spostrzegawczość, zdołał zauważyć, że zaszła w niej jakaś zmiana.

- O co chodzi, Mirando? Co w tym czasie robiłaś?

- Wyjechałam na kilka dni. - Z żalem postanowiła to, co wie, zachować dla siebie. -

Byłam u Ryana Boldariego w Nowym Jorku.

Odwróciła się, ponieważ nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach była kiepskim łgarzem. Poza tym nigdy dotychczas nie okłamała Andrew.

- Przyjechał ze mną do Maine. Zatrzyma się tu na kilka dni.

- Tutaj?

- Tak... Przypadliśmy sobie do gustu.

- Przy... Och. - Przesunął językiem po zębach, usiłując logicznie myśleć. - W

porządku. Szybko... ci to poszło.

- Prawdę mówiąc, wcale nie. Mamy dużo wspólnego.

- Nie chciała zbytnio roztrząsać tej sprawy. - Czy dochodzenie posunęło się do przodu?

- Mamy drobny problem. Nie możemy znaleźć dokumentacji *Dawida*.

Chociaż się tego spodziewała, poczuła gwałtowny ucisk w żołądku. Zdenerwowana przeczesła palcami włosy i nastawiła się na dalsze kłamstwa.

- Nie możecie jej znaleźć? Powinna być w teczkach.

- Wiem, gdzie powinna być, Mirando. - Poirytowany podniósł butelkę i nalał sobie następny kieliszek. - Nie ma jej tam. Nie ma jej w całym w Instytucie. Szukałem wszędzie.

- Przycisnął palce do oczu. - Towarzystwo ubezpieczeniowe wstrzymało wypłatę odszkodowania. Jeśli nie wykombinujemy skądś tych papierów, poniesiemy straty. To ty przeprowadzałaś testy.

- Tak - przyznała. - Rzeczywiście to ja potwierdzałam autentyczność tego brązu i wypełniłam dokumentację. Przecież o tym wiesz, Andrew. W końcu ty również nad nim pracowałeś.

- Tak, no cóż, teraz jej nie ma. Firma ubezpieczeniowa odrzuciła nasz wniosek o odszkodowanie do czasu, kiedy dostarczymy dokumenty, matka grozi, że przyjedzie i sprawdzi, jak to się mogło stać, że straciliśmy nie tylko dzieło sztuki, lecz również jego dokumentację, a Cook łypie na mnie swoim rybim okiem.

- Przepraszam, że zostawiłam cię na lodzie. - Poczowała się znacznie gorzej, kiedy zorientowała się, w jaki sposób brat sobie radził z wszystkimi przeciwnościami losu. -

Andrew, proszę. - Podeszła do niego i wyjęła mu z ręki kieliszek.

- Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś pijany. Uśmiechnął się niewyraźnie, a widoczne na jego policzkach dołeczki pogłębiły się.

- Na razie wcale nie jestem pijany.

- Owszem, jesteś. - Sama niedawno była wystarczająco wstawiona, żeby teraz bez trudu rozpoznać symptomy. - Powinieneś zacząć się leczyć.

Dołeczki zniknęły. Zdołał pomyśleć „Jezu Chryste”. Tylko tego mu brakowało.

- Potrzebuję jedynie odrobiny pomocy i wsparcia.

- Rozdrażniony z powrotem złapał kieliszek i wypił spory łyk.

- Może rzeczywiście jest ci przykro, że zostawiłaś mnie na lodzie, ale to w niczym nie zmienia faktu, że właśnie to zrobiłaś. I jeśli po ciężkim dniu, w czasie którego musiałem radzić sobie z policją, kierować Instytutem i tańczyć tak, jak zagrają mi rodzice, mam ochotę wypić kilka kieliszków, do jasnej cholery, jest to wyłącznie moja sprawa.

Spojrzała na niego, czując jak coś ją uciska w klatce piersiowej, w okolicach serca.

- Kocham cię. - Te słowa trochę zabolaly, ponieważ wiedziała, że ani ona, ani jej brat nie powtarzali ich sobie wystarczająco często. - Kocham cię, Andrew, a ty na moich oczach wpędzasz się do grobu. Dlatego jest to także moja sprawa.

W oczach Mirandy pojawiły się łzy, słyhać je było również w jej głosie, dlatego poczuł wyrzuty sumienia i zdenerwował się.

- Świetnie, w takim razie spróbuję wpędzać się do grobu w samotności. Wówczas, do jasnej cholery, nie będzie to już twoja sprawa. - Chwycił butelkę i wyszedł.

Był wściekły na samego siebie, że jedynej osobie, na której kiedykolwiek mógł

całkowicie polegać, sprawił zawód i ból, ale niech to wszyscy diabli wezmą, w końcu to jest jego

życie.

Zatrzasnął drzwi swojej sypialni, nie zwracając uwagi na wiszący w powietrzu smród po wczorajszej nocnej popijawie. Usiadł w fotelu i zaczął pić prosto z butelki.

W końcu ma prawo się zrelaksować, prawda? Ciężko się napracował, zrobił, co do niego należało, był z tego zresztą zadowolony, a zatem dlaczego ma sobie żałować kilku kieliszków? Lub kilkudziesięciu, pomyślał, parszając śmiechem. Kto by tam liczył?

Może nieco martwiły go chwilowe zaćmienia umysłu, niesamowite ciemne dziury, których nie potrafił wyjaśnić. To pewnie efekt długotrwałego stresu, ale mocny alkohol jest na to najlepszym sposobem.

Jest w stanie się o to założyć.

Wmówił sobie, że tęskni za żoną, chociaż coraz trudniej przychodziło mu wywołanie z pamięci jej twarzy czy brzmienia głosu. Od czasu do czasu, kiedy był trzeźwy, docierała do niego prawda. Nie kochał już Elise i zapewne nigdy nie darzył jej tak wielkim uczuciem, jak mu się wydawało. Dlatego pił, by nie dostrzegać prawdy. Nie chciał wciąż na nowo przeżywać zdrady i pogrążyć się w rozpacz.

Teraz kiedy Annie zabroniła mu wstępu do swojego lokalu, zaczynał doceniać uroki oddawania się pijaństwu w samotności. Dzięki temu mógł pić, ile chciał, a kiedy miał już dosyć, kładł się i tracił świadomość. To pozwalało mu przetrwać noc.

Nim pociągnął następny łyk, przez chwilę rozmyślał nad butelką i doszedł do wniosku, że człowiek musi jakoś przetrzymać noc.

Co wcale nie oznacza, że jest alkoholikiem. Panuje nad sytuacją i może przestać pić, kiedy tylko zechce. Problem w tym, że wcale tego nie chce. Mimo to przestanie, a nawet zrobi to z dnia na dzień, by udowodnić Mirandzie, Annie i wszystkim pozostałym, jak bardzo się mylą.

Z żalem stwierdził, że ludzie zawsze mylnie go oceniali. Począwszy od rodziców.

Nigdy nie wiedzieli, kim on do diabła jest, czego chce, a zwłaszcza, do jasnej cholery, czego potrzebuje.

Pieprzyć ich. Pieprzyć ich wszystkich.

W porządku, przestanie pić. Jutro, zdecydował i ponownie się roześmiał, unosząc butelkę do ust.

Zobaczył przesuwające się po pokoju światła. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że to jakiś samochód. Będą mieli gości. Pewnie przyjechał Boldari.

Andrew wypił następny spory łyk i uśmiechnął się do siebie. Miranda ma chłopaka.

Warto to wykorzystać. Sporo czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni dokuczał jej z powodu

jakiegoś mężczyzny.

Uznał, że chętnie zrobi to od razu. Podniósł się, po czym parsknął śmiechem, kiedy pokój zawirował mu przed oczami. Zupełnie jak w cyrku albo na karuzeli, pomyślał, i potykając się, ruszył w stronę drzwi.

Postanowił, że spróbuje się zorientować, jakie Ryan Boldari ma zamiary. Tak, naprawdę. Musi pokazać eleganckiemu nowojorczykowi, że mała Miranda ma starszego brata, który się o nią troszczy. Idąc korytarzem, ponownie pociągnął z butelki, a potem chwycił się poręczy na górnym podeście schodów i spojrzał w dół.

Zobaczył małą siostrzyczkę namiętnie całującą się z Nowym Jorkiem.

- Hej! - zawołał, dziko machając butelką, a kiedy Miranda się odwróciła, wybuchnął śmiechem. - Co pan robi z moją siostrą, panie Nowy Jork?

- Cześć, Andrew.

- Pocałuj mnie gdzieś. Kochasz się z moją siostrą, ty draniu?

- Nie w tym momencie. - Ryan objął ramieniem sztywne plecy Mirandy.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, kolego. - Andrew ruszył w dół. Połowę drogi pokonał na własnych nogach, potem stoczył się w dół jak spadający z urwiska głaz.

Miranda skoczyła do przodu i uklękła obok leżącego na podłodze brata. Ku swojemu przerażeniu zauważyła na jego twarzy krew.

- O Boże, Andrew.

- Nic mi nie jest - wymamrotał, odpychając jej rękę, kiedy usiłowała sprawdzić, czy nie połamał sobie jakichś kości. - Tylko trochę się potłukłem, to wszystko.

- Mogłeś złamać sobie kark.

- Schody to bardzo skomplikowana sprawa - powiedział Ryan łagodnie. Kucnął obok Mirandy, jednocześnie dostrzegając płytkie rozcięcie na czole Andrew i drżące ręce Mirandy.

- Może zaprowadzę cię z powrotem na górę i pomogę doprowadzić się do porządku.

- Cholera jasna. - Andrew dotknął palcami czoła i przyjrzał się uważnie śladom krwi. -

Popatrz.

- Przyniosę apteczkę.

Ryan zerknął na Mirandę. Była blada i miała przymknięte oczy.

- Zajmiemy się tym. Chodź, Andrew. Mój brat po wieczorze kawalerskim potknął się o krawężnik i potłukł się dużo poważniej niż ty.

Postawił Andrew na nogi, a wówczas Miranda również się podniosła. Kiedy jednak ruszyła za nimi, Ryan potrząsnął głową.

- Żadnych kobiet. To męska sprawa. Prawda, Andrew?

- Cholera jasna, prawda. - Jak przystało na pijaka, uznał Ryana za najlepszego przyjaciela. - Kobiety są przyczyną wszelkiego zła.

- Bóg z nimi.

- Przez jakiś czas miałem taką jedną. Pozbyła się mnie.

- Kto by jej potrzebował? - Ryan poprowadził Andrew w lewo.

- Cholera jasna, nic nie widzę.

- Krew kapie ci do oka.

- Dzięki Bogu, myślałem, że dotknęła mnie ślepotą. Wiesz co, Ryanie, przyjacielu?

- Co takiego?

- Teraz będę rzygał.

- O, tak. - Ryan wciągnął go do łazienki. - Proszę bardzo.

Co za rodzina, pomyślał Ryan, trzymając głowę Andrew i zastanawiając się, czy człowiek może wyrzucić z siebie organy wewnętrzne. Nawet jeśli jest to niemożliwe, brat Mirandy naprawdę starał się tego dokonać.

Kiedy było już po wszystkim, zrobił się trupio blady i drżał jak osika. Dopiero za trzecim razem Raynowi udało się oprzeć go o sedes i zająć się rozcięciem na jego twarzy.

- Chyba upadłem.

- Wyrzygałeś prawie litr - powiedział Ryan, wycierając krew i pot. - Postawiłeś w głupiej sytuacji siebie i siostrę, skoczyłeś na główkę, co mogło się skończyć połamaniem kilku kości, gdyby nie były przesiąknięte whisky, śmierdzisz jak najpodlejsza knajpa, a wyglądasz jeszcze gorzej. Tak, z pewnością upadłeś.

Andrew zamknął oczy. Chciał się gdzieś skulić i zasnąć w oczekiwaniu na śmierć.

- Może rzeczywiście wypilem o kilka kieliszków za dużo. Nie zrobiłbym tego, gdyby Miranda na mnie nie naskoczyła.

- Skończ z kiepskimi wymówkami. Jesteś pijany. - Nie siląc się na delikatność, Ryan przetarł ranę płynem antyseptycznym i wcale nie odczuwał współczucia, kiedy Andrew Zasycał. - Teraz spróbuj być mężczyzną i wziąć na siebie odpowiedzialność.

- Pieprzę cię.

- To bardzo mądra i oryginalna odpowiedź. Nie potrzebujesz szwów, ale będziesz miał

podbite oko, zupełnie jakbyś walczył na wojnie. - Zadowolony ściągnął z Andrew zabrudzoną koszulę.

- Hej!

- Musisz wziąć prysznic, przyjacielu. Zaufaj mi.

- Chcę iść do łóżka. Na litość boską, pozwól mi się położyć. Wydaje mi się, że umieram.

- Jeszcze nie, ale jesteś na dobrej drodze. - Ryan z ponurą miną podciągnął Andrew do góry, napiął mięśnie, by go udźwignąć i postawić na nogi, po czym odkręcił prysznic. Uznał, że nie ma sensu zadawać sobie trudu i zdejmować z Andrew slipów, dlatego wciągnął go do wanny rozebranego tylko do połowy.

- Jezu. Znowu będę rzygał.

- W takim razie celuj do odpływu - zaproponował Ryan i przytrzymał go w miejscu, chociaż Andrew zaczął szlochać jak dziecko.

Dopiero po godzinie Ryanowi udało się wsadzić Andrew do łóżka. Kiedy zszedł na dół, zauważył, że szkło z rozbitej butelki zostało zmiecione i że nie ma żadnych śladów po whisky, która podczas upadku rozlała się po ścianach i podłodze.

Nie mogąc znaleźć Mirandy w domu, chwycił kurtkę i wyszedł na zewnątrz.

Była nad urwiskiem. Bacznie przyglądał się jej wysokiej smukłej sylwetce widocznej na tle nocnego nieba. Stała zwrócona twarzą do morza, a wiatr rozwiewał jej włosy.

Doszedł do wniosku, że Miranda sprawia wrażenie nie tyle samej, co samotnej.

Wydawało mu się, że nigdy w życiu nie widział nikogo bardziej samotnego.

Podszedł do niej i narzucił jej na ramiona kurtkę.

Zdołała się uspokoić. Dziwne, ale burzliwe niespokojne morze zawsze działało kojąco na jej nerwy.

- Bardzo mi przykro, że zostałeś w to wciągnięty. Zauważył jej chłodny ton. Była to automatyczna obrona.

Stała wyprostowana i wciąż odwrócona do niego plecami.

- Wcale nie zostałem w to wciągnięty. Po prostu właśnie tu byłem. - Położył dłonie na jej ramionach, ale się odsunęła.

- To już drugi raz masz do czynienia z żenująco pijanym członkiem rodziny Jonesów.

- Między jednorazowym lekkomyślnym wyskokiem a krzywdą, jaką wyrządza sobie twój brat, Mirando, istnieje ogromna różnica.

- To, że masz rację, wcale nie zmienia faktów. I ja, i Andrew zachowaliśmy się nieodpowiedzialnie, a ty wszystko naprawiłeś. Nie wiem, czy dzisiaj zdołałabym sobie z nim poradzić, niemniej wolałabym to zrobić sama.

- Szkoda. - Poirytowany obrócił ją twarzą do siebie.

- Ponieważ jestem tu i mam zamiar zostać przynajmniej na chwilę.

- Dopóki nie znajdziemy brązów.

- To prawda. I jeśli wcześniej nie będę miał cię dosyć...

- Ujął w dłonie twarz Mirandy, pochylił głowę i złożył ze złością na jej ustach zaborczy pocałunek. - ... Będiesz musiała się z tym pogodzić.

- Nie umiem sobie z tym poradzić. - Jej słowa przebiły się przez huk fal. - Nie jestem przygotowana ani na to, ani na ciebie. Wszelkie moje dotychczasowe związki z mężczyznami źle się kończyły. Nie potrafię dać sobie rady z nadmiarem uczuć. Nikt w mojej rodzinie tego nie potrafi, dlatego przy pierwszej nadarżającej się okazji odchodzimy.

- Nigdy wcześniej twoje uczucia nie miały nic wspólnego ze mną. - Powiedział te słowa z tak wyraźną arogancją, że powinna się roześmiać. Odwróciła się jednak i wpatrzyła w krążącą miarowo smugę światła rzucaną przez latarnię morską.

Doszła do wniosku, że kiedy wszystko dobiegnie końca, Ryan odejdzie. Tym razem żywiła poważne obawy, że to sprawi jej ból, mimo że dobrze wiedziała, dlaczego on tu jest i co stanowi jego główny cel. Po rozstaniu z nim będzie cierpieć.

- Wszystko co przydarzyło mi się od chwili, kiedy cię spotkałam, jest dla mnie czymś nowym. Kiepsko sobie radzę, bo nie mam żadnego doświadczenia.

- Na razie całkiem nieźle się spisujesz.

- Dwóch mężczyzn nie żyje, Ryane. Moja reputacja legła w gruzach, a rodzina jest bardziej

podzielona niż kiedykolwiek. Złamałam prawo, zignorowałam etykę i mam romans z kryminalistą.

- Ale przynajmniej się nie nudzisz, prawda? Roześmiała się cicho.

- To fakt. Nie wiem, co dalej zrobić.

- Mogę ci w tym pomóc. - Wziął ją za rękę i ruszył przed siebie. - Wystarczy, jeśli zastanawianie się nad tym odłożysz do jutra. Jutro pomyślimy, co dalej.

- Muszę wszystko uporządkować. - Zerknęła w stronę domu. - Powinnam sprawdzić, co z Andrew, a potem zająć się układaniem planu.

- Andrew śpi i nie wyjdzie z łóżka wcześniej niż jutro. Planowanie wymaga trzeźwego umysłu. Tymczasem twój jest zbyt zajęty, by uznać go za trzeźwy.

- Najmocniej cię przepraszam, ale planowanie jest moją mocną stroną. Jestem w stanie zaplanować jednocześnie trzy różne zajęcia, opracować wykłady i uczyć.

- Jesteś straszną kobietą, doktor Jones. W takim razie powiedzmy, że to ja nie jestem wystarczająco trzeźwy. Poza tym nigdy nie byłem w latarni morskiej. - Kiedy zaczęli się do niej zbliżać, przyjrzał się jej uważnie, podziwiając smugę światła przecinającą ciemność i migoczącą na powierzchni morza. - Ile ona ma lat?

Westchnęła. Zrobił unik, ale przystała na to.

- Została zbudowana w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku. W swym pierwotnym kształcie przetrwała do dziś, chociaż w latach czterdziestych mój dziad kazał

wyremontować wewnątrz, pragnąc wykorzystać je jako studio malarskie. Babka utrzymywała jednak, że było to miejsce schadzek, ponieważ bawiło go, że zdradza żonę, mając dom w zasięgu wzroku, i że robi to w miejscu będącym tak wyraźnym symbolem fallicznym.

- Dobry stary dziadunio.

- Był tylko jednym z wielu niezdolnych i emocjonalnie skarłowaciałych Jonesów. Mój pradziadek - według opowieści babki, która była jedyną osobą rozmawiającą na takie tematy, afiszował się ze swoją kochanką, pojawiając się z nią w miejscach publicznych. Był też ojcem kilkorga nieślubnych i nie uznanych przez siebie dzieci. Dziadek jedynie kontynuował

rodzinną tradycję.

- A zatem jest wielu Jonesów z Jones Point? Czekwała, jak zareaguje na tę obelgę, potem potrząsnęła głową. Poczowała jedynie rozbawienie.

- Tak, sądzę, że tak. W każdym razie moja prababka postanowiła ignorować obyczaje swojego męża i znaczną część roku spędzała w Europie, gdzie powodowana zemstą trwonila ogromne sumy pieniędzy. Niestety postanowiła wrócić do Stanów nowym luksusowym statkiem. Nazywał się

„Titanic”.

- Naprawdę? - Ryan znalazł się tak blisko, że zauważył zardzewiały zamek, na który zamknięte były grube drewniane drzwi. - Fantastyczne.

- Wraz z dziećmi dostała się na łódź ratunkową i wyszła cało z opresji. Jednak z powodu zimna panującego na północnym Atlantyku złapała zapalenie płuc i w kilka tygodni później zmarła. Mąż pragnąc uczcić jej śmierć, zajął się śpiewaczką operową. Zginął, gdy niezadowolony z tego układu mąż owej śpiewaczki podłożył ogień pod dom, w którym oboje oddawali się grzesznym uciechom.

- Podejrzewam, że zmarł szczęśliwy. - Ryan wyjął z kieszeni scyzoryk, wybrał odpowiednie narzędzie i zajął się zamkiem.

- Nie rób tego. Mam w domu klucz. Mogę go przynieść, jeśli chcesz zobaczyć wewnątrz.

- Ale tak jest dużo zabawniej i szybciej. Widzisz? - Wsunął scyzoryk do kieszeni i otworzył drzwi. - Wilgotno tu - stwierdził i wyjął latarkę, by oświetlić ogromne pomieszczenie. - Ale przytulnie.

Ściany były wyłożone sosnową boazerią, która przywodziła mu na myśl studio nagrań z lat pięćdziesiątych. Białe pokrowce okrywały przedmioty o różnych kształtach, a po przeciwnej stronie znajdował się mały kominek z wystygłym szarym popiołem.

Ryanowi nie podobało się, że ktoś, kto projektował wewnątrz, zabudował je cegłą, nadając mu kształt kwadratu, zamiast zostawić okrągłą przestrzeń.

- A więc to tutaj dziadunio zabawiał swoje damy?

- Sądzę, że tak. - Owinęła się szczelniej kurtką. Wewnątrz panował chłód, a w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. - Moja babka go nienawidziła, mimo to nie zdecydowała się na rozwód. Wychowała mego ojca, a potem pielęgnowała męża przez ostatnie dwa lata jego życia. Była wspaniałą kobietą. Silną i upartą. Kochała mnie.

Odwrócił się i musnął wierzchem dłoni jej twarz.

- To oczywiste.

- Nie ma rzeczy oczywistych, zwłaszcza jeśli chodzi o miłość w mojej rodzinie. -

Ponieważ dostrzegła w jego oczach błysk współczucia, odwróciła się. - Zobaczyłbyś więcej przy świetle dziennym, gdybyśmy tu dłużej zostali.

Nie odezwał się ani słowem. Przypomniawszy sobie, że swego czasu podejrzewał Mirandę o wewnętrzny chłód. Rzadko mu się zdarzało, żeby tak bardzo się mylił, rozpracowując swój cel. Wówczas była jego celem, a teraz... Na razie wołał o tym nie myśleć.

Wcale nie było w niej chłodu, tylko zbudowała wokół siebie barierę, która miała ją chronić przed

zbieranymi przez całe życie razami. Przed zaniechaniem, brakiem czułości i obojętnością, o którą ją podejrzewał.

Obszedł całe pomieszczenie dookoła, z zadowoleniem dostrzegając lampkę naftową i świeczki. Zapalił i jedno, i drugie, a potem z przyjemnością obserwował błyski, które ożywiły cały pokój.

- Można się przestraszyć. - Odłożył latarkę i uśmiechnął się do Mirandy. - Czy jako dziecko przychodziłaś tu szukać duchów?

- Nie bądź śmieszny.

- Kochanie, a zatem masz braki z dzieciństwa. Musimy je nadrobić. Chodź.

- Co robisz?

- Idę do góry. - Już wspinał się po krętych metalowych schodach.

- Nie dotykaj niczego. - Pomknęła za nim, ponieważ światła, które niósł ze sobą, rzucały na ściany przerażające blaski i cienie. - Teraz wszystko jest zautomatyzowane.

Dotarł do małej sypialni, w której znajdowały się pasiaste materace, na oko nadające się do użytku, i porysowana komoda. Doszedł do wniosku, że babka prawdopodobnie ogołociła to miejsce z wszelkich kosztowności. To dobrze.

Obszedł całe pomieszczenie, a potem zaczął podziwiać widok roztaczający się z przypominającego luk okna. Światło ślizgało się po wzburzonym, kotłującym się morzu.

Małe wysepki jak garbate plecy skupiły się w pobliżu postrzępionej linii brzegowej. Widział

kołyszące się boje, słyszał wydawany przez nie niski dźwięk przebijający się przez potworny łoskot i szum morza.

- To wspaniałe miejsce. Niebezpieczne i pełne wyzwań, bardzo romantyczne.

- Rzeczywiście bardzo rzadko panuje tu spokój - powiedziała, stając za jego plecami. -

Z innego okna widać zatokę. Czasami w ciągu dnia lub w nocy woda jest tak gładka jak stół.

Wygląda, jakby można było dotrzeć po niej aż na brzeg.

Obejrzał się przez ramię.

- Co wolisz?

- Uwielbiam i jedno, i drugie, sądzą jednak, że najnormalniej pod słońcem ciągnie mnie do morza.

- Niespokojne duchy ciągnie do niespokojnych duchów.

Słyszając to, zmarszczyła brwi, a kiedy wyszedł z pokoju, zaczęła zastanawiać się nad jego słowami. Doszła do wniosku, że nikt nigdy nie określił jej jako niespokojnego ducha.

Zwłaszcza ona sama.

Doktor Miranda Jones była spokojna jak głaz. I niestety zbyt często tak samo nieciekawa.

Ze wzruszeniem ramion ruszyła za Ryanem do pokoju latarnika.

- Fantastyczne miejsce. - Zlekceważył jej zakaz i dotykał wszystkiego, czego chciał.

Aparatura w latarni była zdecydowanie nowoczesna, z cichym szumem wprawiała w ruch krążące nad ich głowami ogromne światła. To pomieszczenie na szczęście było okrągłe, a wokół niego biegł wąski występ. Chociaż żelazne poręcze były zardzewiałe, Ryan uznał, że są bardzo ładne. Kiedy wyszedł na zewnątrz, podmuch wiatru uderzył go jak znieważona kobieta. Zachwycony roześmiał się.

- Fantastycznie. Do diabła, ja też przyprowadzałbym tu swoje kochanki. To romantyczne, podniecające i nieco przerażające miejsce. Powinnaś się nim zająć - powiedział, spoglądając na Mirandę. - Mogłabyś urządzić sobie tutaj wspaniałe studio.

- Nie potrzebuję studia.

- Potrzebowałabyś, gdybyś nieco popracowała nad swoimi zdolnościami.

- Nie jestem artystką.

Uśmiechnął się, a potem wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Tak się składa, że jestem doskonałym handlarzem dziełami sztuki, dlatego twierdzę, że jesteś artystką. Zimno ci?

- Trochę. - Otuliła się ciaśniej własną kurtką. - Tu jest bardzo wilgotno.

- Jeśli się tym nie zajmiesz, wszystko pójdzie na marne. To byłoby karygodne. Jestem również ekspertem, jeśli chodzi o przestępstwa. - Położył dłonie na jej ramionach i zaczął je rozcierać. - Szum morza brzmi tu zupełnie inaczej. Tajemniczo, niemal groźnie.

- Kiedy wieje mocny wiatr z północnego wschodu, ten dźwięk jest dużo groźniejszy.

Chociaż światła latarni ostrzegają statki, by nie pod pływały zbyt blisko do mielizn i skał, w ostatnim stuleciu rozbiło się tu kilka okrętów.

- Duchy żeglarzy, którzy ponieśli śmierć w katastrofach morskich, grzechocząc kośćmi, nawiedzają brzeg.

- Raczej nie.

- Słyszę je. - Objął ją ramieniem. - Błagają o litość.

- Słyszysz wiatr - poprawiła, mimo to słysząc jego słowa zadrżała. - Napatrzyłeś się?

- Jeszcze nie. - Pochylił głowę i lekko przygryzł jej wargę. - Ale mam zamiar.

Próbowała się wywinąć.

- Boldari, jesteś szalony, jeśli myślisz, że uda ci się uwieść mnie w wilgotnej i zakurzonej latarni morskiej.

- Czy to wyzwanie? - Jego wargi dotarły do jej szyi.

- Nie, fakt. - Ale już zaczęła się rozluźniać. Miał niesłychanie pomysłowy język. - W

domu jest wspaniała sypialnia, prawdę mówiąc nawet kilka. Są ciepłe, wygodne i wyposażone we wspaniałe materace.

- Będziemy musieli je wypróbować, ale zrobimy to nieco później. Czy wspomniałem ci, że masz zachwycające ciało, doktor Jones? - Jego ręce już zajęły się poznawaniem go.

Nim zdążyła zaprotestować, szybkie sprawne palce rozpięły haftkę przy jej spodniach i zsunęły zamek błyskawiczny.

- Ryane, to nie jest odpowiednie miejsce, by...

- Dziadek uznał je za wystarczająco dobre - przypomniał, a potem powoli zagłębił w niej palce. Była ciepła i wilgotna. Wpatrywał się jej w oczy, obserwując, jak stają się szkliste, a potem zamglone. - Nie broń się. Chcę zobaczyć, co czujesz. Chcę obserwować, jak reagujesz na to, co robię.

Jej ciało zdecydowało za nią Mruczało jak dobrze naoliwiona maszyna zmierzająca w jednym kierunku, mająca tylko jeden cel. Wstrząsnął nią długi potężny dreszcz, a potem ogarnęła ją ogromna fala rozkoszy.

Kiedy usta Ryana zsunęły się na jej szyję, jęknęła i odrzuciła do tyłu głowę.

- Nadal jest ci zimno? - mruknął.

- Nie, Boże, nie. - Jej skóra płonęła, a krew pulsowała w żyłach jak gorąca rzeka. Dla równowagi chwyciła się jego ramion i przytuliła się do jego ręki.

Kiedy usta Ryana ponownie spoczęły na jej wargach, nie ukrywała już swoich pragnień. Czas i miejsce nie miały żadnego znaczenia, liczyła się jedynie nieodparta ogromna żądza.

Spodnie Mirandy opadły na podłogę, a kurtka ześlizgnęła się z ramion. Była miękka jak rozgrzany воск. Czowała, że jego ciało przyciska ją do blatu, na którym pracowało urządzenie wprawiające w ruch smugę światła tańczącego po morskich falach.

- Unieś ramiona, Mirando.

Posłuchała go, z ogromnym trudem łapiąc powietrze, kiedy Ryan powoli zdejmował z niej sweter. Widział pojawiającą się na jej twarzy ogromną przyjemność, gdy przez cienki materiał stanika dotknął kciukami jej brodawek.

- Dzisiaj nie będzie żadnego wina, które mogłoby przytępić twoje zmysły. - Jego palce delikatnie musnęły wzgórek nad białym jedwabiem. - Chcę, żebyś wszystko czuła, żebyś czekała na to, co nastąpi za chwilę. - Końcem palca zsunął jedno ramiączko, potem drugie, wreszcie pochylił głowę, by pocałować jej nagie ramię.

Przymykając ociężałe powieki, doszła do wniosku, że czuje się tak, jakby Ryan ją...

smakował. Delektował się nią, upajał. Delikatnie lizał językiem jej skórę, chwycił zębami, muskał czubkami palców, powoli zsuwając cienki kawałek bawełny z jej bioder.

Stał wciśnięty między jej rozstawionymi nogami, podczas gdy ona kurczowo trzymała się blatu. Zaczynała rozumieć, co to znaczy być całkowicie zdaną na kogoś. Na dodatek chcieć tego. Wręcz pragnąć.

Wszystko co robił, było dla niej szokiem, koniecznością biernego podporządkowania się, a kilka sekund później wydawało jej się czymś normalnym, co więcej, czymś, czego pragnęła z wszystkich sił.

Podświadomie zdawała sobie sprawę, że to dziwnie wygląda: ona niemal naga, z zaróżowioną skórą, ciałem wygiętym w łuk, poddająca się, podczas gdy pieszczący ją mężczyzna był całkiem ubrany.

Kiedy zdjął jej stanik i przywarł ustami do piersi, przestała myśleć o czymkolwiek.

Nie wiedział, że Miranda może być taka, nie zdawał sobie również sprawy, jak potężnym czynnikiem podniecającym jest doprowadzenie do całkowitej uległości tak zdecydowanej i powściągliwej kobiety. Należała do niego całkowicie, istniała jedynie po to, by wziąć od niego przyjemność i by mu jej dostarczyć. Ogarnęła go nagle nie znana mu dotąd czułość.

Strumień jasnego światła prześlizgnął się po Mirandzie, zabarwiając jej skórę na biało, potem znikł, a jej ciało połyskiwało złociście w świetle świecy. Włosy jeszcze przed chwilą rozwiane przez wiatr, opadały jak jedwabny ogień na jej plecy. Miękkie i nabrzmiące usta rozchyliły się pod jego wargami.

Pocałunek stał się bardziej namiętny, cieplejszy. Przez chwilę kurczowo trzymali się siebie nawzajem, zataczając się. I drząc.

To było jak sen, słodki cudowny sen.

Żadne z nich nie zwracało uwagi na wilgoć ani chłód. Opadli na twardą i zimną podłogę zasłaną grubą warstwą kurzu, po czym przywarli do siebie tak delikatnie jak para leżąca na puchowym łożu.

Bez słów spokojnymi rękoma zdjęła mu koszulę, a potem przez chwilę przyciskała usta do jego piersi, ponieważ zdała sobie sprawę, że w jakiś przedziwny sposób Ryan ukradł jej serce.

Chciał ofiarować jej czułość, zrozumienie i dreszczyk podniecenia. Dlatego jego usta i ręce były niezwykle delikatne, w pieszczocie przekazując jej uczucia i pragnienia.

Mruknięcie, westchnienie, długa droga w stronę ciepłych rozkołysanych fal.

Dlatego gdy oplotła się wokół niego i przycisnęła twarz do jego szyi, głaskał ją i muskał, na równi z nią ciesząc się czułością.

Kiedy ją uniósł, podtrzymując rękami jej pośladki, wpuściła go w siebie, wiedziała, co to znaczy darzyć miłością swojego kochanka.

Miranda drugi już raz z rzędu obudziła się u boku Ryana, choć tym razem na innym kontynencie. Było to dziwne i podniecające doświadczenie, któremu towarzyszyło uczucie beztroski, a zarazem czegoś bardzo wyrafinowanego.

Grzeszenia w wielkim stylu.

Miała ogromną ochotę przeczesać palcami jego włosy, przytulić do nich twarz, dokładniej poznać niewielką bliznę widoczną nad jego okiem. Głupio i sentymentalnie marzyła o tym, by zacząć go głaskać i dotykać, a potem spokojnie, leniwie się z nim pokochać.

Co dziwne, wszystkie uczucia, które ją ogarniały i zajmowały jej myśli, rozgrzewały w sercu miejsce, które jej zdaniem już na zawsze miało zostać zimne i puste. Doszła również do wniosku, że teraz są one znacznie głębsze, niż wtedy gdy ogarnął ją pierwszy poryw pożądania. Czuła się wobec nich całkiem bezbronna.

To ją przerażało.

Dlatego zamiast dotknąć Ryana, tak samo jak poprzedniego ranka wyszła z łóżka i na palcach powędrowała pod prysznic. Jednak tym razem zdążyła tylko zamoczyć głowę, kiedy nagle poczuła jego dłonie.

- Dlaczego to robisz?

Odczekała, aż serce wróci na swoje miejsce.

- Co takiego?

- Rano wymykasz się z łóżka. Przecież widziałem cię nagą.

- Nie wymykam się. - Próbowała się uwolnić, ale on delikatnie zacisnął zęby na jej ramieniu. - Po prostu nie chciałam cię obudzić.

- Jeszcze potrafię rozpoznać wymykanie się. - Słyszac jej mruknięcie, uniósł brew. -

W takiej sytuacji nie ma żadnych wyjaśnień. Nigdy nie uciekałem chyłkiem z łóżka kobiety.

Chociaż zdarzało mi się do niego wkradać.

- Bardzo zabawne. A teraz jeśli pozwolisz, chciałabym wziąć prysznic.

- Pomogę ci. - Wyręczył, ją biorąc do ręki mydło, powąchał je, a potem zaczął namydlać wspaniałe jego zdaniem plecy Mirandy.

- Wiele lat temu opanowałam sztukę brania prysznic. Potrafię zrobić to sama.
- Dlaczego? - Spodobała mu się jej pruderia. Nie zważając na nic przytulił się do jej mokrego śliskiego ciała.
- Ponieważ to... - Czuła, że na jej policzkach pojawiają się rumieńce i była z tego powodu wściekła.
- To wymaga intymności.
- Och, rozumiem - stwierdził poważnie. - A seks nie wymaga intymności?
- To co innego.
- W porządku. - W jego oczach widać było śmiech, kiedy rękami śliskimi od mydła dotknął jej piersi.
- W takim razie połączymy i to, i to.

To co zrobili, w niczym nie przypominało szybkiego zabiegu higienicznego, który miała na myśli.

Kiedy było już po wszystkim, a ona ciągle jeszcze drżąc, wdychała wilgotne, przesycone parą powietrze, przytulił się do jej szyi.

- To było coś intymnego - stwierdził, a potem westchnął. - Muszę iść do kościoła.
- Co takiego? - Potrząsnęła głową pewna, że ma uszy zatkane wodą. - Powiedziałeś, że musisz iść do kościoła?
- Jest Wielkanoc.
- Tak, tak, rzeczywiście. - Starając się nadażyć za jego tokiem rozumowania, odsunęła z oczu mokre włosy. - Wydaje mi się, że myślenie o mszy w takich okolicznościach jest nieco dziwne.
- Być może ludzie w czasach biblijnych nie korzystali z instalacji wodno -

kanalizacyjnych, ale za to bardzo często uprawiali seks.

Prawdopodobnie Ryan miał rację, mimo to poczuła się trochę niezręcznie. Jak mogła myśleć o religii, kiedy on przesuwał śliskimi rękami po jej mokrych pośladkach.

- Jesteś katolikiem. - Widząc jego uniesioną brew, potrząsnęła głową - Tak, wiem.

Jako Irlandczyk i Włoch nie masz innej możliwości, ale nie zdawałam sobie sprawy, że chodzisz do kościoła.

- Bardzo rzadko. - Wyszedł spod prysznic i podał jej ręcznik, a drugi wziął dla siebie.
- Ale jeśli powiesz to mojej matce, przysięgnę, że jesteś wstrętną przebrzydłą kłamczucha Dzisiaj jednak jest Wielkanoc. - Szybko wytarł włosy, a potem owinał ręcznik wokół bioder. -

Jeśli nie pójdę na mszę, matka mnie zabije.

- Rozumiem. Mimo to pragnę zwrócić ci uwagę, że jej tu nie ma.

- I tak będzie wiedziała - powiedział żałośnie. - Zawsze to wie. Pójdę prosto do piekła, a ona osobiście tego dopilnuje.

Obserwował, jak Miranda wyrównuje końce ręcznika, zwija je i starannie wsuwa między piersi. Choć robiła to z ogromną wprawą, jej gest miał w sobie coś bardzo podniecającego. W całym pomieszczeniu pachniało mydłem o leśnym zapachu. Nagle Ryan zdał sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty jej opuszczać, nawet na godzinę.

Wyprostował się, zupełnie jakby chciał zrzucić z pleców niewygodny ciężar.

- Może wybrałabyś się ze mną? Chętnie zobaczyłbym cię w twoim czepku wielkanocnym.

- Nie mam czepka, poza tym chciałabym uporządkować myśli. - Z szafki obok umywalki wyjęła suszarkę do włosów. - Poza tym muszę porozmawiać z Andrew.

Zaczął się zastanawiać, czy nie pójść na popołudniową mszę. Wtedy mógłby rozwiązać węzeł na jej ręczniku. Zrezygnował jednak z tego pomysłu.

- Co masz zamiar mu powiedzieć?

- Niewiele. - Wstydziła się tego. - Zważywszy na okoliczności, dopóki... Nie mogę się pogodzić z tym, że on tyle pije. Nienawidzę tego. - Wstydziła się również własnego zdenerwowania. - A wczoraj wieczorem przez chwilę nienawidziłam również jego. Jest jedynym bliskim mi człowiekiem, a teraz go nienawidzę.

- Nieprawda. Nienawidzisz jedynie tego, co on robi.

- Tak, masz rację. - Wiedziała jednak, co zrodziło się w głębi jej serca, kiedy uniosła głowę i zobaczyła Andrew niepewnie stojącego na górnym podejściu schodów. - W każdym razie muszę z nim pogadać. Będę musiała coś mu powiedzieć. Nigdy wcześniej go nie okłamywałam, w żadnej sprawie.

Ryan doskonale rozumiał znaczenie więzów rodzinnych, wiedział również, jak czasami potrafią się zagmatwać.

- Dopóki nie upora się z piciem, nie jest człowiekiem, którego dotychczas znałaś ani któremu mogłabyś zaufać.

- Wiem. - I to potwornie ją bolało.

W innym skrzydle, w łazience, w której wciąż unosił się zapach wymiocin, Andrew pochylił się nad umywalką i bacznie przyjrzał się odbiciu własnej twarzy.

Miał niezdrową szarą skórę, przekrwione białka, ogromny siniak pod lewym okiem i dwu - , może trzycentymetrową ranę, która sprawiała mu ból.

Andrew nie pamiętał zbyt dokładnie wydarzeń poprzedniego wieczoru, lecz nawet to wystarczało, by na samo wspomnienie poczuł niemiły ucisk w żołądku.

Przypominał sobie, że stał na górnym podeście schodów, machając niemal pustą butelką i wyrzucając z siebie jakieś słowa.

Miranda patrzyła na niego z obrzydzeniem.

Zamknął oczy. Nic się nie stało, jest w stanie nad tym zapanować. Być może poprzedniego wieczoru nieco przeholował, ale to się już więcej nie powtórzy. Zrobi sobie kilkudniową przerwę w picciu, by udowodnić, że stać go na to. Wszystkiemu winien stres.

Miał prawo być zestresowany.

Połknął kilka aspiryn, starając się nie zwracać uwagi na drżące ręce. Kiedy upuścił

buteleczkę, a tabletki rozsypały się na kafelkach, nawet ich nie podnosił. Wyszedł bardzo nieszczęśliwy.

Znalazł Mirandę w jej biurze. Miała na sobie sweter i legginsy. Z włosami związanymi na czubku głowy siedziała przy komputerze nieskazitelna jak zawsze.

Przez chwilę nie mógł się zdobyć na odwagę, by wejść do środka. Kiedy już to zrobił, odwróciła się, szybko zabezpieczyła dane i wygasiała ekran.

- Dzień dobry. - Wiedziała, że jej głos brzmi oziębło, nie zdołała jednak zmusić się do jakiegoś cieplejszego uczucia. - W kuchni jest kawa.

- Przepraszam cię za wszystko.

- Nie ma sprawy, może przyłożyłbyś sobie lód na oko.

- O co ci chodzi? Powiedziałem „przepraszam”. Za dużo wypilem. Postawiłem cię w głupiej sytuacji i zachowałem się jak idiota. To już się nie powtórzy.

- Naprawdę?

- Tak. - Do szału doprowadzało go to, że Miranda nie ustępuje ani na krok. - Wypilem więcej niż powinienem, to wszystko.

- W twoim przypadku, Andrew, jeden kieliszek to już za dużo. Dopóki się z tym nie pogodzisz, nadal sam będziesz się stawiał w głupiej sytuacji i nie przestaniesz wyrządzać krzywdy sobie i ludziom, którzy się o ciebie troszczą.

- Posłuchaj, w czasie kiedy ty romansowałaś z Boldarim, ja miałem pełne ręce roboty i jakoś musiałem sobie z tym wszystkim radzić. Częściowo powodem takiego stanu rzeczy było to, że spieprzyłaś robotę we Florencji.

Niespiesznie wstała.

- Przepraszam najmocniej, czy możesz to powtórzyć?

- Słyszałaś, co powiedziałem, Mirando. Musiałem wysłuchiwać skarg i wymyślać naszych rodziców zdenerwowanych tym, że pracując nad swoimi brązami, narobiłaś takiego bałaganu. Przez kilka dni szukałem cholерnej dokumentacji *Dawida* - chociaż to ty byłaś za nią odpowiedzialna. Tymczasem ty po prostu związałaś, by pieprzyć się z jakimś...

Kiedy uderzyła go w twarz, przez chwilę oboje patrzyli na siebie kompletnie zaszokowani. Potem Miranda przycisnęła piekącą dłoń do serca i odwróciła się plecami do Andrew.

Stał w miejscu, zastanawiając się, dlaczego nowe przeprosiny, do których popychało go serce, nie potrafią przejść mu przez gardło. W końcu odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Chwilę później usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi, a kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła odjeżdżający samochód.

Przyszło jej na myśl, że przez całe życie Andrew był dla niej oparciem. Tymczasem teraz, kiedy jest mu najbardziej potrzebna, uderzyła go i odepchnęła od siebie.

Nagle odezwał się faks i z piskiem odebrał wiadomość. Kiedy kartka ześlizgnęła się na tacę, Miranda podeszła do niej, pocierając kark, by pozbyć się napięcia.

Myślałaś, że się nie dowiem? Jak podobało ci się we Florencji, Mirando? Wiosenne kwiaty i ciepłe promienie słońca? Wiem, gdzie jesteś. Wiem, co robisz. Wiem, co myślisz.

Przez cały czas jestem w twojej głowie.

Zabiłaś Giovanniego. Masz na rękach jego krew.

Czy tego nie widzisz?

Ja to widzę.

Miranda ze złością zgmiotła kartkę papieru w kulkę i rzuciła ją na drugi kraniec pokoju. Przycisnęła palce do oczu, czekając, aż zniknie czerwona mgiełka wściekłości i strachu. Kiedy rzeczywiście tak się stało, podeszła spokojnie, podniosła papier i starannie wygładziła. Po czym włożyła go do teczeki.

Ryan wrócił z naręczem jasnych i słonecznych żonkili. Na ich widok uśmiechnęła się.

Ponieważ jednak w oczach Mirandy nie było widać radości, uniósł pytająco jej brodę do góry.

- Co się stało?

- Nic, są wspaniałe.

- Co się stało? - powtórzył i obserwował, jak Miranda usiłuje pokonać zwyczajną u siebie niechęć do uzewnętrzniania swoich nastrojów.

- Pokłóciłam się z Andrew. Wyszedł. Nie wiem, dokąd się wybrał, zdaję sobie jednak sprawę, że nic nie mogę na to poradzić.

- Musisz pozwolić mu dojść do siebie, Mirando.

- To również wiem. Muszę wstawić je do wody. - Działając pod wpływem impulsu, wzięła ulubiony wazon babki, zabrała go do kuchni i zajęła się układaniem kwiatów na kuchennym stole. - Wydaje mi się, że zrobiłam jakieś postępy - oznajmiła. - Sporządziłam kilka list. Przypomniawszy sobie o faksie, zaczęła się zastanawiać, czy powinna powiedzieć o nim Ryanowi. Postanowiła, że zrobi to później, kiedy wszystko przemyśli.

- Jakie listy?

- Uporządkowałam na papierze myśli, fakty i zadania.

- Wiem, co to są listy.

- Przyniosę wydruki, a wówczas będziemy mogli je przejrzeć.

- Świetnie. - Otworzył lodówkę i sprawdził jej zawartość. - Zjesz kanapkę?

Ponieważ już wyszła, wzruszył ramionami i zaczął się zastanawiać, co na jego miejscu przyrządziłby pomysłowy mężczyzna.

- Chleb i wędlina nie są już najświeższe - oznajmił, gdy wróciła. - Musimy jednak zaryzykować, bo inaczej umrzemy z głodu.

- Andrew miał się wybrać do sklepu. - Obserwując, jak Ryan kroi w plasterki niewątpliwie miękkie pomidory, zmarszczyła czoło. Sprawiał wrażenie człowieka czującego się tu jak u siebie w domu. Nie tylko raczył się tym, co znalazł w jej kuchni, lecz również zabrał się do przyrządzania posiłku.

- Wygląda na to, że potrafisz gotować.

- Wszyscy członkowie mojej rodziny potrafią gotować.

- Zerknął w jej stronę. - Podejrzewam, że ty tego nie umiesz.

- Jestem bardzo dobrą kucharką - powiedziała z pewną irytacją.

- Naprawdę? Jak wyglądasz w fartuszk?

- Jak prawdziwa kucharka.

- Na pewno nie. Może włożysz go na siebie i pozwolisz mi sprawdzić?

- To ty przygotowujesz lunch, więc ja nie potrzebuję fartuszka. Poza tym na podstawie pobieżnych obserwacji dochodzę do wniosku, że jesteś człowiekiem uzależnionym od regularnych posiłków.

- Jedzenie to namiętność. - Zlizał sok pomidorowy z kciuka. - A ja jestem uzależniony od wszelkich namiętności.

- Tak, na to wygląda. - Usiadła i przesunęła brzegi kartek, starając się ułożyć je równo.

- A zatem...

- Musztarda czy majonez?

- To nie ma żadnego znaczenia. Wracając do tego, co zrobiłam...

- Kawa czy coś zimnego?

- Cokolwiek. - Westchnęła. Nie wierzyła, by Ryan rozmyślnie przerywał, chcąc ją zdenerwować. - Żeby...

- Mleko skwaśniało - stwierdził, wachając karton, który wyjął z lodówki.

- W takim razie, do jasnej cholery, wylej je do zlewu i usiądź. - Kiedy uniosła wzrok i zauważyła, że Ryan się do niej uśmiecha, w jej oczach pojawił się błysk. - Dlaczego z pełną premedytacją usiłujesz mnie zdenerwować?

- Bo na twojej twarzy pojawiają się wtedy takie ładne rumieńce. - Uniósł puszkę z pepsi. - Dietetyczna?

Kiedy mimo woli wybuchnęła śmiechem, usiadł po drugiej stronie stołu.

- No, tak już lepiej - zdecydował, podsuwając jej talerz, po czym podniósł do ust własną kanapkę. - Nie potrafię się koncentrować na niczym innym, kiedy jesteś taka smutna.

- Och, Ryaniu. - Jak ma się przed nim bronić? - Wcale nie jestem smutna.

- Jesteś najsmutniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. - Pocałował jej palce. - Ale spróbujemy to naprawić. A teraz powiedz, co tam masz?

Przez chwilę starała się odzyskać równowagę, a potem wzięła do ręki pierwszą kartkę.

- To jest uzupełniona lista pracowników, którzy mieli dostęp do obu brązów.

- Uzupełniona?

- Przypomniałam sobie o techniku, który w tym czasie przyleciał z Florencji, by pracować z Giovannim nad jakąś inną sprawą. Z tego co pamiętam, był w Maine zaledwie przez kilka dni, mimo to należałoby go włączyć, jeśli nasza lista ma być dokładna. Jego nazwisko nie znajdowało się na posiadanych przez nas listach, bo przez cały czas właściwie zatrudniony był we Florencji, a tu pracował tylko czasowo. Dopisałam również staż pracy, ponieważ to może mieć wpływ na lojalność, a także podstawowe zarobki, gdyż motywacją mogą być pieniądze.

Zauważył, że ułożyła wszystkie nazwiska alfabetycznie. Bóg jej zapłać.

- Twoja rodzina dobrze płaci. - Już wcześniej zwrócił na to uwagę.

- Wykwalifikowani pracownicy powinni być odpowiednio wynagradzani. Na następnej liście obliczyłam prawdopodobieństwo. Jak pewnie zauważysz, moje nazwisko zostało, ale prawdopodobieństwo jest niewielkie. Wiem, że nie ukradłam oryginału. Poza tym wykreśliłam Giovanniego, ponieważ nie mógł brać w tym udziału.

- Dlaczego?

Zamrugała powiekami. Masz na rękach jego krew.

- Ponieważ został zamordowany. Nie żyje.

- Przykro mi, Mirando, to oznacza jedynie, że poniósł śmierć. Nadal istnieje możliwość, że maczał w tym palce, a potem z jakiegoś powodu został zamordowany.

- Ale w chwili śmierci testował brązy.

- Robił to, pragnąc się upewnić. Może spanikował, zażądał większej części albo po prostu wkurzył któregoś ze swoich współników. Zostawiamy jego nazwisko.

- To nie był Giovanni.

- Kierujesz się emocjami, nie logiką, doktor Jones.

- Bardzo dobrze. - Zacisnąwszy zęby, wpisała ponownie nazwisko Giovanniego. -

Możesz się ze mną nie zgodzić, ale nisko oceniłam członków mojej rodziny. Moim zdaniem wcale nie powinni się tu znajdować. Nie mieli powodu, by okradać samych siebie. - Kiedy jednak na nią spojrział, odłożyła kartkę papieru na bok.

- Zajmijmy się na razie listą prawdopodobieństwa. Tutaj zrobiłam wykres czasu, poczynawszy od chwili kiedy *Dawid* trafił w nasze ręce, i zaznaczyłam, jak długo znajdował się w laboratorium. Bez moich zapisków i notatek nie potrafię dokładnie określić daty poszczególnych testów, sądzę jednak, że są bliskie prawdy.

- Porobiłaś nawet wykresy. - Przynurzył się bliżej, podziwiając jej pracę. - Co za kobieta.

- Uważam, że w tym przypadku twój sarkazm jest nie na miejscu.

- To nie był sarkazm. Są wspaniałe. Wybrałaś ładny kolor - dodał. - Widzę, że zajmowałaś się figurką przez dwa tygodnie, ale przecież nie pracowałaś przez siedem dni w tygodniu i dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Spójrz - wskazała inny wykres, choć czuła się trochę głupio. - Tu w przybliżeniu obliczyłam, jak długo *Dawid* trzymany był w laboratoryjnym skarbcu. Aby się do niego dostać, potrzebna jest karta magnetyczna, zgoda ochrony, kombinacja i drugi klucz. Albo -

dodała, przekrzywiając głowę - bardzo dobry złodziej.

Spojrzał na nią ciemnozłocistymi, lekko drwiącymi oczami.

- W tym czasie byłem w Paryżu.

- Naprawdę?

- Nie jestem pewien, ale na twoim wykresie prawdopodobieństwa w ogóle nie ma dla mnie miejsca, bo gdybym wcześniej skradł oryginał, po co miałbym kraść kopię, a potem zajmować się całym tym bałaganem.

Uśmiechnęła się słodko:

- Może zrobiłeś to, żeby się ze mną przespać? Uniósł wzrok i uśmiechnął się.

- To byłby jakiś powód.

- Tym razem to już był sarkazm - powiedziała ze skromnością. - To jest wykres czasu pracy nad *Czarna Damą*. Dysponujemy zapiskami, poza tym dobrze wszystko pamiętam, dlatego mogłam to opisać z całą dokładnością. Poszukiwanie dokumentacji wciąż trwa, a wyniki badania autentyczności nie zostały jeszcze oficjalnie ogłoszone.

- Wstrzymanie prac - przeczytał Ryan i zerknął na nią.

- W tym dniu wylano cię z roboty.

- Jeśli chcesz posługiwać się uproszczeniami, to tak.

- To wspomnienie wciąż raniło jej dumę i kłuło w serce.

- Następnego dnia brąz został przekazany do Rzymu. Zamiana musiała nastąpić w bardzo krótkim czasie, ponieważ jeszcze tego popołudnia przeprowadziłam testy.

- Chyba że zamieniono brąz w Rzymie - mruknął.

- Jak można było dokonać tego w Rzymie?

- Czy jechał z nim ktoś ze Standjo?

- Nie wiem. Ktoś z ochrony, może moja matka. Na pewno obie strony musiały podpisać jakieś papiery.

- A zatem istnieje jakaś możliwość, ale tym sposobem zyskiwali jedynie kilka dodatkowych godzin. Już wcześniej musieli być gotowi i mieć kopię. Hydraulik trzymał ją przez tydzień, przynajmniej tak powiedział. Potem przejął ją rząd. Następny tydzień zajęła robota papierkowa i podpisanie kontraktu ze Standjo. Potem matka skontaktowała się z tobą i zaproponowała ci tę pracę.

- Ona wcale mi jej nie zaproponowała, po prostu kazała mi przyjechać do Florencji.

- Mmmm. - Przyjrzał się bacznie wykresowi. - Dlaczego między rozmową telefoniczną a lotem minęło aż sześć dni? Z twoich słów wynika, że nie jest to kobieta cierpliwa.

- Kazała mi wylecieć następnego dnia, najpóźniej za dwa dni i tak miałam zamiar to zrobić. Wszystko jednak uległo opóźnieniu.

- Dlaczego?

- Zostałam napadnięta.

- Co takiego?

- Nagle znikąd pojawił się ogromny mężczyzna w masce i przyłożył mi nóż do gardła.

- Dotknęła ręką szyi, jakby chciała sprawdzić, czy strużka krwi naprawdę jest już jedynie złym wspomnieniem.

Ryan ujął jej palce, odciągnął je i sam popatrzył, chociaż wiedział, że nie ma tam żadnego śladu. Był jednak w stanie sobie wyobrazić nacięcie. Jego oczy stwardniały.

- Jak to się stało?

- Właśnie wracałam z podróży. Przed domem wysiadłam z samochodu, wtedy pojawił

się napastnik. Odebrał mi aktówkę i torebkę. Myślałam, że ma zamiar mnie zgwałcić, i zastanawiałam się, czy zdołam obronić się przed nożem. Cierpię na niewielką fobię, jeśli chodzi o noże.

Kiedy jej palce delikatnie zadrżały, ścisnął je nieco mocniej.

- Czy cię zranił?

- Trochę, tylko tyle... żeby mnie przestraszyć. Potem obalił mnie na ziemię, przebił opony w samochodzie i zniknął.

- Przewrócił cię?

Zmrużyła oczy słysząc, że głos Ryana jest zimny jak stal. Zdumiała ją czułość, z jaką pogładził jej policzki.

- Tak.

Był wściekły, że ktoś przyłożył jej nóż do gardła i sterroryzował.

- Czy odniosłaś jakieś poważne obrażenia?

- Nie, miałam jedynie kilka siniaków i zadrapań. - Ponieważ zaczęły ją szczypać oczy, opuściła wzrok. Bała się, że zdradzi swoje uczucia, a Ryan bardzo się zdziwi, gdy je pozna.

Nikt oprócz Andrew nigdy nie patrzył na nią z takim współczuciem i troską.

- To nic takiego - powtórzyła, a potem spojrzała na niego bezradnie, kiedy uniósł jej brodę i delikatnie pocałował w oba policzki.

- Nie bądź dla mnie taki miły. - Nim Miranda zdołała przymknąć powieki, by powstrzymać łzy, jedna z nich potoczyła się po policzku. - Kiepsko sobie z tym radzę.

- Naucz się. - Ponownie delikatnie ją pocałował, a potem otarł kciukiem łzę. - Czy kiedykolwiek wcześniej spotkało cię coś podobnego?

- Nie, nigdy. - Gwałtownie nabrała powietrza w płuca, ale dopiero za drugim razem udało jej się nieco opanować. - To chyba właśnie dlatego byłam taka zszokowana i zupełnie nieprzygotowana na to, co się stało. W naszej okolicy przestępstwa są czymś niezwykle rzadkim. Prawdę mówiąc, to wydarzenie było czymś tak niezwykłym, że jeszcze przez kilka dni mówiono o nim w lokalnych wiadomościach.

- Nigdy go nie złapali?

- Nie. Nie potrafiłam podać dokładnego opisu. Miał maskę, więc mogłam jedynie powiedzieć, jak był zbudowany.

- Opisz mi go.

Nie chciała wracać do wypadku, wiedziała jednak, że Ryan tak długo będzie ją naciskał, aż usłyszy pełną relację.

- Był to biały mężczyzna, który miał prawie dwa metry wzrostu i ważył

dziewięćdziesiąt kilka kilogramów. Brązowe oczy, długie ramiona, duże dłonie, szerokie barki i krótka szyja. Był leworęczny. Nie widziałam żadnych znaków charakterystycznych w rodzaju blizn czy znamion.

- Wygląda na to, że dość dokładnie go opisałaś.
- To jednak nie wystarczyło. Nie odezwał się, nie powiedział ani słowa. To również spotęgowało mój strach. Był szybki i przez cały czas zachowywał całkowite milczenie. Zabrał mi paszport i prawo jazdy. Wszystkie dokumenty. Dopiero po kilku dniach udało mi się dostać nowe, chociaż starałam się pociągać za odpowiednie sznurki.
- Ryan doszedł do wniosku, że był to zawodowiec. Działał zgodnie z planem.
- Andrew był wściekły - przypomniała sobie i łagodnie się uśmiechnęła. - Przez tydzień co wieczór krążył wokół domu z kijem golfowym w ręce, mając nadzieję, że ten człowiek wróci, a on będzie mógł go stłuc na kwaśne jabłko.
- Podzielałam jego uczucia.
- To typowo męska reakcja. Ja wolałabym uporać się z tym sama. Czułam się upokorzona faktem, że się nie broniłam i że ze strachu kompletnie zdrętwiałam.
- Jeśli ktoś przykłada ci nóż do gardła, nie można z nim walczyć.
- On mnie bardziej przestraszył niż zranił - mruknęła, z natężeniem wpatrując się w powierzchnię stołu.
- Przykro mi, że to się stało. Nie wszedł do domu?
- Nie, jedynie odebrał mi torebkę oraz aktówkę, a potem odtrącił mnie i uciekł.
- Co z biżuterią?
- Nic nie wziął.
- Niczego nie miałaś?
- Miałam złoty łańcuszek i zegarek. Policja również była zdziwiona. Podejrzewam, że ich nie widział, bo ukryte były pod płaszczem.
- To był ten zegarek? - Uniósł jej nadgarstek i bacznie przyjrzał się małemu osiemnastokaratowemu cartierowi. Co za idiota, mógłby go opchnąć przynajmniej za tysiąc dolarów, pomyślał. - Tego rodzaju napadu nie mógł dokonać amator, a zatem na pewno nie przeoczył tak łatwego łupu. Poza tym nie wepchnął cię do domu i nie ukradł kilku wspaniałych i łatwych do wyniesienia przedmiotów.
- Policja doszła do wniosku, że musiał to być jakiś przestępca, który bawił tu jedynie przejazdem i zabrakło mu gotówki.
- Gdyby tak było, zauważyłby, że w najlepszym wypadku zyska kilkaset dolarów. Dla takiej zdobyczy nie warto napadać z bronią w ręku.

- Ludzie zabijają dla modnych tenisówek.

- Nie w tym przypadku. Jemu chodziło o twoje dokumenty, kochanie, ponieważ komuś innemu zależało, żebyś nie dotarła zbyt szybko do Florencji. Ten człowiek czy ludzie potrzebowali czasu, by popracować nad kopią, i nie mogli sobie pozwolić, żebyś plątała im się pod nogami, dopóki nie przygotują wszystkiego, co było im potrzebne. Wynajęli więc zawodowca. Kogoś, kto nie spaprze roboty i nie popełni głupich błędów. Musieli mu dobrze zapłacić, dlatego nie skusił się na łatwą zdobycz.

Wyjaśnienie było tak proste, tak logiczne, że Miranda zaczęła się zastanawiać, dlaczego sama na to nie wpadła.

- Ale policja nie brała pod uwagę takiej możliwości.

- Gliniarze nie mieli wszystkich danych. My mamy. Przytaknęła i poczuła, że ogarniają złość.

- Przyłożył mi nóż do gardła, chcąc odebrać mi paszport. Chodziło o to, żebym się spóźniła. Tym sposobem zyskali na czasie.

- Rzekłbym, że jest to bardzo prawdopodobne. Opowiedz mi wszystko dokładnie, krok po kroku. Nie wiem, czy to się uda, ale może dzięki moim kontaktom zdołamy zidentyfikować napastnika.

- Nawet jeśli byłoby to możliwe - rzekła poważnie - nie chcę poznawać twoich kontaktów.

- Nie martw się, doktor Jones. - Odwrócił jej rękę i pocałował ją. - Nie poznasz ich.

W niedzielę wielkanocną nigdzie nie można było kupić alkoholu. Kiedy Andrew zorientował się, że jeździ w kółko, szukając jakiegoś miejsca, gdzie go sprzedają, zaczął

drzeć. Wmawiał sobie, że wcale nie musi pić, ma tylko na to ochotę, a to coś zupełnie innego.

Po prostu chce wypić kilka kieliszków, żeby się trochę uspokoić.

Cholera jasna, wszyscy siedzą mu na karku, tymczasem on ma tyle na głowie.

Naprawdę miał tego dosyć. Pieprzyć ich, pomyślał, uderzając pięścią o kierownicę. Pieprzyć ich wszystkich.

Pojedzie przed siebie. Skieruje się na południe i stanie dopiero wtedy, gdy będzie miał

na to ochotę. Ma mnóstwo pieniędzy, tylko do jasnej cholery niech wszyscy go zostawią w świętym spokoju.

Dlatego nie zatrzyma się, dopóki ponownie nie będzie mógł spokojnie oddychać i dopóki nie znajdzie przeklętego sklepu z alkoholem otwartego w cholerną niedzielę.

Opuścił głowę i spojrzał na pięść bezmyślnie walącą w kierownicę. Popatrzył na zakrwawione i

posiniaczone palce. Miał wrażenie, że należą do kogoś innego. Kogoś, kogo cholernie się przestraszył.

O Boże, o Boże. Ma kłopoty. Drżącymi rękoma skierował samochód na krawężnik, po czym nie wyłączając silnika, położył głowę na kierownicy i zaczął modlić się o pomoc.

Usłyszawszy szybkie stukanie, gwałtownie uniósł głowę. Zobaczył twarz Annie.

Gestem ręki pokazywała mu, by opuścił szybę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jechał w stronę jej domu.

- Co robisz, Andrew?

- Po prostu sobie siedzę.

Poprawiła trzymaną w rękach torbę i bacznie mu się przyjrzała. Zauważyła, że Andrew okropnie wygląda, a na jego szarej, świadczącej o potwornym zmęczeniu twarzy widać mnóstwo siniaków.

- Kogo wkurzyłeś?

- Siostrę. Uniosła wysoko brwi.

- Miranda podbiła ci oko?

- Co takiego? Nie, nie. - Zażenowany musnął palcami bolesne rozcięcie nad okiem. -

Spadłem ze schodów.

- Naprawdę? - Zmrużyła oczy i skupiła wzrok na świeżych zadrapaniach i spływającej po jego palcach krwi. - Czyżbyś próbował okładać pięściami schody?

- To... - Uniósł własną dłoń i na jej widok całkiem zaschło mu w gardle. Nawet nie czuł bólu. Do czego zdolny jest mężczyzna, gdy przestaje odczuwać ból? - Mogę wejść? Nie piłem - wyjaśnił szybko, zauważywszy w jej oczach odmowę. - Chciałem, ale nie piłem.

- Nie dostaniesz u mnie drinka.

- Wiem. - Patrzył na nią spokojnie. - Dlatego właśnie chcę wejść.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a potem przytaknęła.

- W porządku.

Otworzyła drzwi i weszła do środka, by położyć torbę na stole zasłanym różnego rodzaju papierami, formularzami i teczkami. Niektóre z nich przyciśnięte były maszyną do liczenia.

- Obliczam podatki - wyjaśniła. - To właśnie dlatego wyszłam kupić sobie to. - Wyjęła z torby duże

opakowanie excedrinu. - Formularz „C” każdego jest w stanie przyprawić o ból głowy.

- Mnie już i tak boli głowa.

- To było do przewidzenia. Zażyjmy coś. - Z półśmiechem odwróciła się i nalała wody do dwóch szklanek. Otworzyła buteleczkę i wytrząsnęła po dwie tabletki dla każdego z nich. Przełknęli je w skupieniu.

Potem Annie cofnęła się i wyjęła z lodówki torebkę mrożonego groszku.

- Przyłóż to na swoją rękę. Spróbujemy oczyścić nieco te rany.

- Dzięki. - Kiedy walił w kierownicę, nie uświadamiał sobie bólu, dopiero teraz go poczuł. Od nadgarstka po czubki palców jego dłoń była potwornie zmasakrowana. Mimo to nawet się nie skrzywił, kładąc na nią zimną torebkę. Zrobił już wystarczająco dużo, by na oczach Annie McLean pogrzebać swą męską dumę.

- A teraz powiedz, dlaczego wkurzyłeś siostrę?

Miał ogromną ochotę skłamać - wymyślić jakąś idiotyczną rodzinną sprzeczkę. Jednak Annie przyglądała mu się badawczo, dlatego zapomniał o męskiej ambicji i postanowił wyznać prawdę.

- Paskudnie się schlałem i upokorzyłem ją w obecności jej nowego chłopaka.

- Miranda ma faceta?

- Tak, choć to wszystko stało się dość niespodziewanie. Jest całkiem miły.

Dostarczyłem mu rozrywki, spadając ze schodów, a potem wyrzucając z siebie całą zawartość żołądka.

Serdecznie mu współczuła, mimo to nic nie powiedziała, tylko uniosła głowę.

- Widzę, że ciężko się napracowałeś, Andrew.

- O, tak. - By móc chodzić, wrzucił torebkę z groszkiem do zlewu. Drżał od stóp do głów i nie mógł się uspokoić. Krążąc po pokoju, dotykał palcami ud, twarzy i załamywał ręce.

- Natomiast dziś rano, pragnąc odwrócić od siebie uwagę, naskoczyłem na Mirandę i skrytykowałem jej pracę, życie seksualne i podejście do spraw rodzinnych. - Dotknął palcami policzka i przypomniał sobie, jak bardzo był zaszokowany, gdy uderzyła go w twarz.

Annie przyłapała się na tym, że wykonała krok w jego stronę, dlatego szybko odwróciła się i wyjęła z szafki płyn antyseptyczny.

- Być może chodziło jej o życie seksualne. Kobiety nie lubią, gdy bracia wtrącają się w te sprawy.

- Tak, może masz rację, ale w Instytucie mamy teraz mnóstwo kłopotów. Przez cały czas przeżywam potworny stres.

Zacisnęła wargi, po czym zerknęła na stosy papierów, formularzy, kopert z rachunkami, wypisane ołówki i zwoje taśmy z maszyny liczącej.

- Nawet oddychaniu może towarzyszyć stres. Zapisasz się na śmierć, ale gdy tylko odzyskujesz świadomość, okazuje się, że on nadal jest tuż obok.

- Posłuchaj, może rzeczywiście mam niewielki problem, ale poradzę sobie z nim. Po prostu potrzebuję trochę czasu, muszę dać organizmowi nieco odpocząć. To... - Przycisnął

palce do oczu i zachwiał się.

- Masz ogromny problem i nie potrafisz sobie z nim poradzić. - Podeszła do niego, ujęła jego dłonie i odciągnęła je na dół, żeby mógł na nią spojrzeć. - Postaraj się zacząć od dziś, ponieważ każdy dzień się liczy.

- Na razie nie wiem, co robić.

Uśmiechnęła się, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- Później będzie niewątpliwie jeszcze gorzej. Siadaj. Opatrzę ci te palce, twardzielu.

- Dzięki. - Potem westchnął i powtórzył: - Dzięki, Annie.

Tym razem to on pocałował ją w policzek, a potem oparł czoło o jej głowę, by nabrać nieco otuchy. Wciąż delikatnie trzymała go za nadgarstki. Jej palce były takie zręczne i mocne, a włosy przyjemnie pachniały. Przycisnął do nich wargi, po czym pocałował ją w skroń.

Potem jakimś cudem jego usta znalazły się na jej wargach, a ich smak zadziałał jak lekarstwo na zranioną duszę Andrew, jakby padł na niego promień słońca. Kiedy palce Annie poruszyły się w jego ręce, puścił je, lecz jedynie po to, by ująć w dłonie jej twarz, przyciągnąć ją do siebie i przytulić, gdyż ciepło jej ciała koło rany jak balsam.

Przyszło mu na myśl, że w Annie jest tyle przeciwieństw. Mocne drobne ciało, delikatne włosy, ostry głos i pełne usta.

Siła i delikatność, tak ujmujące i tak dobrze znane. Tak bardzo mu potrzebne.

Annie zawsze go lubiła i będzie lubić.

Nie było łatwo się uwolnić od niego. Gdyby to nie były jego objęcia, z łatwością zdołałaby się odsunąć. Ręce Andrew muskały jej twarz tak delikatnie jak skrzydła ptaka, a usta były spragnione i czułe.

Ten jeden jedyny raz zastanawiała się przez chwilę, czy byłoby tak samo jak kiedyś, ale to wydarzyło się tak dawno temu, kiedy jeszcze nie wmówiła sobie, że powinna poprzestać na przyjaźni. Teraz trudno było uwolnić się od tego, co poruszył długi spokojny pocałunek, o co prosił i co wziął.

Potrzebowała całej siły woli, by odsunąć od siebie powoli rozbudzane przez pocałunek Andrew pragnienie. Pragnienie, które jej zdaniem żadnemu z nich w niczym nie pomoże.

Niewiele brakowało, a przyciągnąłby ją z powrotem, właściwie już sięgał na oślep, lecz ostrzegawczo uniosła rękę. Odskoczył do tyłu, jakby po raz drugi otrzymał policzek.

- Chryste, przepraszam, Annie. Najmocniej przepraszam.

- Co on uczynił najlepszego? Jak mógł zniszczyć jedyną przyjaźń, bez której nie wyobrażał sobie życia? - Nie chciałem tego zrobić. Nie myślałem. Przepraszam.

Pozwoliła mu się odsunąć, dopuściła do tego, by na jego twarzy pojawiło się ogromne poczucie winy.

- Wczoraj wieczorem wywaliłam z baru ważącego niemal sto kilo faceta, który wyobrażał sobie, że kupił mnie razem z piwem i klepnięciem w pupę. - Zacisnęła palce wokół

lewego kciuka Andrew i szybko go wykręciła. Andrew spojrział na nią zaszokowany i zasyczał, ona jednak nadal go trzymała.

- Gdybym pociągnęła cię za ten palec, przyjacielu, błyskawicznie znalazłbyś się na kolanach i zaczął skomleć. Nie jesteśmy już siedemnastolatkami, do jasnej cholery, straciliśmy niewinność i przestaliśmy być głupi. Gdybym nie życzyła sobie, żebyś mnie obejmował, leżałbyś już na plecach i liczył pęknięcia na moim suficie.

Na czole Andrew pojawiły się kropelki potu.

- Możesz mnie puścić?

- Jasne. - Łagodnie uwolniła jego kciuk, nadal jednak spoglądała na niego z pewną wyższością. - Napijesz się coki? Chyba się trochę spociłeś. - Odwróciła się i podeszła do lodówki.

- Nie chcę niczego zepsuć - zaczął.

- O czym ty mówisz?

- O nas. Dużo dla mnie znaczysz, Annie. Zawsze dużo dla mnie znaczyłaś.

Błędnym wzrokiem wpatrywała się w lodówkę.

- Ty również dużo dla mnie znaczyłeś. Powiem ci, kiedy wszystko zepsujesz.

- Chcę porozmawiać o... tym, co stało się przed laty. Odczekał, aż Annie otworzy dwie butelki.

Zauważył, że chociaż porusza się z dużą gracją, ma szybkie i oszczędne ruchy, a w środku stalowy kręgosłup. Czy spostrzegł to wcześniej? Czy widział złociste plamki w jej oczach? Czy w ogóle tego nie widział, a uświadomił sobie dopiero w tej chwili?

- Dlaczego?

- Może pragnę się z tym uporać, chociaż do niedawna nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Poruszył palcami i poczuł ból. - Nie jestem dziś w najlepszym stanie, ale od czegoś muszę zacząć. Od jakiegoś momentu.

Postawiła butelki na blacie i z trudem odwróciła się, by na niego spojrzeć. W jej oczach widać było uczucia, które od lat starała się trzymać na wodzy.

- To jest dla mnie bardzo bolesne, Andrew.

- Chciałaś mieć dziecko. - Wypuszczając powietrze z płuc, poczuł ból w klatce piersiowej. Nigdy wcześniej nie mówił na głos o dziecku. - Widziałem to na twojej twarzy, kiedy powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży. Bardzo mnie to przestraszyło.

- Byłam wówczas za młoda, żeby wiedzieć, czego chcę. - Potem zamknęła oczy, ponieważ to było kłamstwo. - Tak, tak, pragnęłam tego dziecka. Jak idiotka wyobrażałam sobie, że gdy ci o tym powiem, będziesz szczęśliwy i po prostu zajmiesz się mną. Potem będziemy... No cóż, nigdy do tego nie doszło. Wcale mnie nie chciałeś.

Czuł, że wyszło mu w ustach i palą go wnętrzności. Wiedział, że wszystkie te dolegliwości załagodziłby jeden kieliszek.

Przeklinając samego siebie, że myśli o tym w takiej właśnie chwili, wziął z blatu butelkę i wypił mdły słodki napój.

- Zależało mi na tobie.

- Nie kochałeś mnie, Andrew. Byłam jedynie dziewczyną, z którą pewnej nocy na plaży po prostu ci się poszczęściło.

Gwałtownie odstawił butelkę.

- To nie było tak. Cholera jasna, wiesz, że to wcale nie było tak.

- Było dokładnie tak, jak mówię - stwierdziła spokojnie. - Ja cię kochałam, Andrew, jednak kładąc się z tobą na kocu wiedziałam, że ty nie odwzajemniasz mojej miłości. Nie dbałam o to. Nie oczekiwałam od ciebie niczego. Andrew Jones z Jones Point i Annie McLean z nabrzeża? Byłam młoda, ale nie głupia.

- Ożeniłbym się z tobą.

- Naprawdę? - Jej głos stał się zimny. - Twoja propozycja była dosyć mało przekonująca.

- Wiem o tym. - I to właśnie gryzło go od piętnastu lat.
- Nie dałem ci tamtego dnia tego, czego potrzebowałaś. Nie wiedziałem jak. Gdybym to zrobił, być może dokonałabyś innego wyboru.
- Gdybym skorzystała z twojej propozycji, nienawidziłbyś mnie. Proponując mi małżeństwo, już w głębi duszy mnie nienawidziłeś. - Wzruszyła ramionami i wzięła własną colę.
- A oglądając się wstecz, nie mogę cię o to winić. Zniszczyłabym twoje życie. - Kiedy podszedł do niej, zamarła w bezruchu z butelką przy ustach. Widząc w jego oczach błysk złości, kurczowo chwyciła się blatu. Wyrwał jej z ręki butelkę, odstawił ją, a potem mocno chwycił ją za ramię.
- Nie mam pojęcia, jak wyglądałaby nasza przyszłość, sam zadaję sobie to pytanie od wielu lat. Wiem natomiast, jak było wówczas. Może rzeczywiście cię nie kochałem, nie wiem, ale byłem bardzo szczęśliwy, że mogłem się z tobą przespać.
- Zdał sobie sprawę, że tego również nigdy nie mówił na głos i żadne z nich nie stanęło dotychczas twarzą w twarz z takim problemem. - Niezależnie od tego jak fatalnie się później zachowałem, ta noc dużo dla mnie znaczyła. I cholera jasna, Annie, cholera jasna -

dodał, energicznie nią potrząsając - mogłaś nadać mojemu życiu sens.

- Nigdy nie byłem dla ciebie odpowiednią kobietą - wyrzuciła pełnym wściekłości szeptem.

- Do diabła, skąd to wiesz? Nigdy nie mieliśmy szansy się o tym przekonać.

Oświadczyłaś mi, że jesteś w ciąży, a potem nim zdołałem się oswoić z tą myślą, usunęłaś ją.

- Wcale jej nie usunęłam.

- Popełniłaś błąd - stwierdził, rzucając jej w twarz słowa, które sama mu niegdyś powiedziała. - A potem go naprawiłaś. Zająłbym się tobą, zająłbym się wami. - Długo ukrywany ból wydostał się na powierzchnię. - Ale to widać ci nie wystarczyło. W porządku, decyzja należała do ciebie; twoje ciało, twój wybór. Tylko, do jasnej cholery, to było również moje dziecko.

Uniosła ręce, pragnąc go odepchnąć, teraz jednak zacisnęła palce na jego koszuli.

Twarz Andrew była potwornie blada i pokryta siniakami, a w ciemnych oczach płonął ogień.

Annie poczuła, że boli ją serce.

- Andrew, wcale nie usunęłam tej ciąży. Po prostu straciłam dziecko. Mówiłam ci, że to było poronienie.

W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Rozluźnił uchwyt na jej ramionach i cofnął się.

- Poronienie?

- Powiedziałaś mi, kiedy to się stało.

- Zawsze myślałem... Zakładałem, że... - Odwrócił się i podszedł do okna. Bezmyślnie otworzył je jednym szarpnięciem i opierając dłoń na parapecie, wciągnął powietrze w płuca. -

Myślałem, że w ten sposób rozwiązałaś swój i mój problem. Doszedłem do wniosku, że mi nie ufałaś, nie wierzyłaś, iż stanę u twego boku i zaopiekuję się tobą oraz dzieckiem.

- Nie zrobiłabym czegoś takiego bez twojej wiedzy.

- Przez długi czas mnie unikałaś. Nie rozmawialiśmy potem na ten temat i wydawało mi się, że już nigdy nie będziemy w stanie wrócić do tej sprawy. Wiedziałem, że chciałaś urodzić dziecko, i przez cały czas myślałem, że przerwałaś ciążę, ponieważ nie postąpiłem tak, jak należało.

- Ty... - Musiała przełknąć gorącą kluczę, która ugrzęzła jej w gardle. - Chciałaś tego dziecka?

- Nie wiem. - Nawet teraz tego nie wiedział. - Ale nigdy wżyciu nie żałowałem niczego bardziej niż tego, że tamtego dnia nie zostałem z tobą na plaży. Potem wszystko się rozwiało, jakby nigdy nic się nie wydarzyło.

- Byłam zrozpaczona. Chciałam o wszystkim zapomnieć. Chciałam zapomnieć również o tobie.

Powoli zamknął okno.

- Udało ci się?

- Ułożyłam sobie życie. Mam za sobą nieudane małżeństwo i paskudny rozwód.

- To nie jest odpowiedź.

Kiedy się odwrócił, wpatrzył się w nią spokojnymi błękitnymi oczyma. Potrząsnęła głową.

- Nie powinieneś w tej chwili zadawać mi tego pytania. Nie mam zamiaru wracać do czegoś, co zaprowadziło mnie donikąd.

- Może w takim razie rozejrzyjmy się dookoła, sprawdzimy, dokąd udało się nam zejść, i zaczniemy od tego miejsca.

Miranda wróciła do pracy na komputerze, by poprawić wykresy i zrobić nowe. Dzięki temu jej myśli przez cały czas były zajęte. Co chwila jednak łapała się na tym, że wygląda przez okno i sprawdza, czy zza wzgórza nie wylania się samochód Andrew.

Ryan zabrał telefon komórkowy i przeniósł się do sypialni. Najprawdopodobniej nie chciał, by słyszała rozmowy. Wcale nie miała o to do niego pretensji.

Zaczęła natomiast się martwić czymś innym. Jeśli Ryan się nie mylił i brutalny napad w biały dzień nie był jedynie dziełem przypadku, to znaczy, że wcale nie miała do czynienia z jakimś wędrownym złodziejem szukającym łatwej zdobyczy. Był to jedynie dobrze zaplanowany i starannie wykonany element większej całości. Ona sama stanowiła cel, a napaści dokonano po to, by opóźnić jej wyprawę do Włoch i rozpoczęcie prac nad brązem.

Niezależnie od tego kto go skradł i skopiował, miał zamiar ją zdyskredytować.

Zastanawiała się, czy ktoś żywił do niej jakąś urazę osobistą czy też było to po prostu zrzędzenie losu. Zakładała, że skoro ma niewielu prawdziwych przyjaciół, również jej prawdziwi wrogowie stanowią bardzo nieliczną grupę. Zawsze unikała nawiązywania tak bliskich więzi, by mogły one potem zaowocować wrogością.

Chociaż z drugiej strony wiadomości przychodzące faksem skierowane były do niej i dotyczyły jej osobiście.

Doszła do wniosku, że w przypadku napadu również chodziło tylko o nią: komuś po prostu zależało, by napędzić jej strachu. Milczenie, delikatne nacięcie szyi nożem. Czy napastnik zawsze stosował tę metodę czy też otrzymał ściśle instrukcje, że ma śmiertelnie przestraszyć swoją ofiarę?

Straciła wówczas pewność siebie, poczucie bezpieczeństwa, zdecydowanie ucierpiała również jej godność. Wyjazd do Włoch opóźnił się niemal o tydzień. Niepunktualne przybycie było przyczyną nieporozumienia z matką, zanim jeszcze przystąpiła do pracy.

Mirandzie przyszło na myśl, że są to jedynie kolejne warstwy, mądrze nakładane warstwy ukrywające sedno sprawy. Wszystko jednak wcale nie zaczęło się od napaści, lecz od fałszerstwa i kradzieży *Dawida*.

Co wówczas robiła? Czy przeoczyła coś, co łączy jedno z drugim?

Przypomniała sobie, że pracowała nad doktoratem. Dzieliła czas między Instytut, naukę i pracę doktorską. Jej życie towarzyskie, które nigdy nie było zbyt ożywione, w tym czasie właściwie w ogóle nie istniało.

Co działo się wokół niej? To pytanie było znacznie trudniejsze. Nigdy nie zwracała zbytnej uwagi na otaczających ją ludzi. Miała zamiar to zmienić.

Zamknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie tamten okres i związane z nim osoby.

Elise i Andrew wzięli ślub i pozornie nadal byli w sobie bardzo zakochani. Nie przypominała sobie żadnych kłótni ani sprzeczek. Picie Andrew traktowała jako coś normalnego, więc się tym specjalnie nie martwiła.

Poza tym robiła wszystko, co mogła, by dać jemu i Elise jak najwięcej swobody.

Giovanni i Lori przeżywali wspaniały przyjacielski romans. Miranda wiedziała, że ze sobą sypiają, ale ponieważ nie miało to wpływu na wykonywaną przez nich pracę, nie zwracała na to uwagi.

Na krótko pojawiła się w Instytucie matka. Wpadła na dzień lub dwa, nie dłużej.

Odbyło się wtedy mnóstwo spotkań, zorganizowana została sztywna rodzinna kolacja, a potem ich drogi się rozeszły.

Ojciec zatrzymał się nieco dłużej, by dopilnować wstępnych testów brązu.

Przyszedł tylko na część spotkań i znalazł jakąś wymówkę, by nie brać udziału w rodzinnym posiłku.

Zamiast niego pojawił się Vincente z żoną, ale nawet ta nieco ekscentryczna para nie zdołała ożywić nudnej atmosfery. Z tego co Miranda była w stanie sobie przypomnieć, Gina odwiedziła laboratorium tylko raz.

Natomiast Richard Hawthorne, jak sobie przypominała, pojawiał się z rzadka, bo wiecznie był zagrzebany w książkach lub zgarbiony nad komputerem.

Przez cały czas kręcił się przy niej John Carter - doglądał wszystkiego i czytał raporty.

Miranda potarła skronie, usiłując odtworzyć więcej szczegółów. Był trochę nieswój, jakby nieco ospały. W końcu przypominała sobie, że miał wtedy lekką grypę. Tak, łamała go grypa, ale postanowił nie kłaść się do łóżka.

Jakim cudem ma sobie teraz wszystko przypomnieć? Zniechęcona opuściła ręce. To była monotonna harówka, zwykła monotonna harówka, która od zawsze nieodłącznie wiązała się z jej pracą. Kiedy miała w rękach małą śliczną statuetkę, wszystko inne stało się nieważne i odległe.

Traktowała zdobycie *Dawida* jako następny krok w karierze i wykorzystała prowadzone na nim badania jako podstawę do jednej ze swoich rozpraw. Przypominała sobie, że tym sposobem zwróciła na siebie uwagę w kręgach akademickich i naukowych.

Zapraszano ją na wykłady, zyskała również spore uznanie.

Przypuszczała, że to był prawdziwy początek jej kariery. Maleńki brąz wyniósł ją ponad przeciętność i sprawił, że znalazła się w czołówce.

Bezmyślnie wpatrywała się w ekran i słyszała tępe brzęczenie w uszach.

Brąz z Fiesole stanowiłby ogromny krok do przodu. Dzięki niemu uznano by ją za jednego z najwybitniejszych archeometrów na świecie. Tym razem jednak nie skończyłoby się na uznaniu w kręgach akademickich - zdobyłaby również sławę. W końcu chodziło o Michała Anioła, romans, tajemnicę i ogromne pieniądze. Zamknęła oczy i usiłowała wszystko dokładnie przemyśleć.

Obie rzeźby należały do niej. Dzięki obu mogła zyskać rozgłos i obie zostały sfalszowane. Może to jednak nie one były celem?

Może chodziło o nią?

Złożyła ręce i zaczęła, aż się uspokoi. To było całkiem logiczne, nie brakowało również powodu, a zatem istniało spore prawdopodobieństwo.

Co mogło być motywem?

Czy potwierdzała autentyczność jeszcze jakichś innych dzieł sztuki, które bez sprzeciwu i jakichkolwiek komentarzy znalazły się potem w Instytucie? Cellini. Na myśl o nim Miranda poczuła bolesny skurcz żołądka. Zmuszając się do zachowania spokoju, przypomniała sobie o statuetce *Nike*, a także o małym lekkim brązie przedstawiającym Remusa i Romulusa karmionych przez wilczycę.

Musi wrócić do laboratorium. Powinna sprawdzić, czy któraś z tych rzeźb nie została zastąpiona fałszyfikatem.

Kiedy zadzwonił telefon, drgnęła, a potem patrzyła na niego przez kilka długich sekund, nim w końcu podniosła słuchawkę.

- Halo, słucham?

- Mirando. Mam dla ciebie przykrą wiadomość.

- Witaj, mam. - Potarła dłonią serce. Podejrzewam, że ktoś próbuje mnie skrzywdzić.

Usiłuje mnie zniszczyć. Ten brąz był prawdziwy. Musisz mnie wysłuchać. Ale te słowa jedynie przebiegły przez jej głowę. - Co się stało?

- W piątek w nocy ktoś włamał się do laboratorium. Zniszczono wyposażenie, raporty i wszelkie dane.

- Zniszczono? - zapytała tępo. To mnie zniszczono, pomyślała.

- Giovanni... - Zapadła długa cisza i chyba po raz pierwszy w życiu Miranda usłyszała w głosie matki prawdziwe wzruszenie. - Zamordowano Giovanniego.

- Giovanni? - Przejęłaś się. O Boże, ty się tym przejęłaś. Zamknęła oczy i poczuła, że po policzkach płyną jej łzy. - Giovanni - powiedziała ponownie.

- Wszystko wskazuje na to, że przyszedł do laboratorium, by wykorzystać panujący w czasie świąt

spokój i trochę popracować. Nie wiemy, czym się zajmował. Policja...

Była naprawdę zaniepokojona i choć mówiła nieco pewniej, wyczuwało się w jej głosie zdenerwowanie.

- Policja prowadzi dochodzenie, ale nie mają żadnych śladów, które do czegośkolwiek by prowadziły. Staralam się przez ostatnie dwa dni dotrzymać im towarzystwa. Pogrzeb odbędzie się jutro.

- Jutro?

- Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli dowiesz się wszystkiego ode mnie. Mam nadzieję, że przekażesz tę wiadomość Andrew. Zdaję sobie sprawę, że bardzo lubiłaś Giovanniego.

Wszyscy go lubili. Nie ma jednak sensu, żebyś przylatywała na pogrzeb. Będzie skromny i prywatny.

- Co z jego rodziną?

- Rozmawiałam z nimi. Mamy zamiar w jego imieniu dokonać darowizny na rzecz jakiejś organizacji charytatywnej, sądzę jednak, że ucieszyliby się, gdybyś przysłała kwiaty.

To wszystko jest dla nas bardzo trudne. Mam nadzieję, że obie zdołamy odłożyć na bok nasze zawodowe nieporozumienia i wystąpimy zgodnie jako rodzina.

- Tak, oczywiście. Mogę wylecieć jeszcze dziś w nocy.

- To byłoby niepotrzebne i nierozsądne posunięcie. - Elizabeth ożywiła się nagle. -

Prasa wie, że razem pracowaliście nad brązem z Fiesole. Media już o tym przypomniały.

Twoja obecność mogłaby jedynie wszystko pogorszyć. Ze względu na rodzinę Giovanniego msza żałobna ma być cicha, tylko w gronie najbliższych.

Miranda ponownie przypomniała sobie słowa ostatniego faksu. „Masz na rękach jego krew. Czy tego nie widzisz?”

- Święta racja. Nie byłabym w stanie w niczym pomóc, jedynie pogorszyłabym sytuację. - Zamknęła oczy, żeby zmusić się do zachowania spokoju. - Czy policja wie, dlaczego włamano się do laboratorium? Czy coś zostało skradzione?

- Trudno powiedzieć, lecz raczej wygląda na to, że niczego nie zabrano. Natomiast są ogromne zniszczenia. Alarm był wyłączony od wewnątrz. Policja przypuszcza, że Giovanni znał napastnika.

- Chciałabym być informowana o postępach w dochodzeniu. Bardzo go lubiłam.

- Wiem, że łączyła was serdeczna zażyłość.

- Nie byliśmy kochankami, mamó. - Miranda niemal westchnęła. - Byliśmy przyjaciółmi.

- Nie miałam zamiaru... - Elizabeth urwała i zamilkła na kilka sekund. - Dopilnuję, żebyś otrzymywała bieżące informacje. Gdybyś gdzieś wyjeżdżała, zostaw Andrew wiadomość, gdzie jesteś.

- Mam zamiar zostać w domu - powiedziała Miranda. - I zająć się ogrodem. - Kiedy nie było żadnej odpowiedzi, uśmiechnęła się lekko. - Dzięki przymusowemu urlopowi mogę sobie pozwolić na nowe hobby. Podobno to dobra rzecz.

- Tak mi mówiono. Cieszę się, że owocnie wykorzystujesz czas i nie oddajesz się rozpamiętywaniom. Powiedz Andrew, że jak najszybciej chcę poznać aktualny stan dochodzenia prowadzonego w Instytucie. Być może przyjadę na kilka dni do Maine, byłabym zadowolona, gdyby zapoznał mnie z wszystkim, co dotyczy *Dawida*.

Ostrzegę go - pomyślała Miranda.

- Jestem pewna, że Andrew to zrozumie.

- To dobrze. Do widzenia, Mirando.

- Do widzenia, mamó.

Starannie odłożyła słuchawkę, a potem usiadła i patrzyła przed siebie. Po chwili zdała sobie sprawę, że Ryan wszedł do pokoju i stanął za jej plecami.

- Na chwilę dałam się nabrać. Zaczęłam wierzyć, że jest człowiekiem. Kiedy mówiła o Giovannim, jej głos brzmiał tak, jakby naprawdę serdecznie go żałowała, ale nim zakończyła ze mną rozmowę, była już tak samo oschła jak zwykle. Mam trzymać się z daleka, ponieważ moja obecność na pogrzebie Giovanniego mogłaby pogorszyć sytuację.

Instynktownie zeszywniała, kiedy Ryan położył ręce na jej ramionach. Zdenerwowało ją to. Zamknęła oczy i zrobiła wszystko, by się rozluźnić.

- Gdybym ponownie gdzieś się wybierała, mam poinformować Andrew o swoim miejscu pobytu, mam mu również powiedzieć, by przy pierwszej nadarzającej się okazji zrelacjonował aktualny stan śledztwa w sprawie włamania.

- Twoja matka ma teraz mnóstwo kłopotów, Mirando. To samo można powiedzieć o wszystkich członkach waszej rodziny.

- Co się dzieje, gdy twoja rodzina przeżywa kryzys? Kucnął i tak długo obracał

krzesło obrotowe, aż znaleźli się twarzą w twarz.

- Twoja rodzina bardzo różni się od mojej, nie można się zatem spodziewać, że zareagują w taki sam sposób.

- Rzeczywiście. Moja matka ani na chwilę nie przestaje być dyrektorką, ojciec trzyma się od

wszystkiego z dala i nic go nie obchodzi, natomiast Andrew topi smutki w butelce. A ja? Dopóty, dopóki mogę, zamykam oczy na wszystko, chowam głowę w piasek, nie chcąc dopuścić do zmian w moim rozkładzie zajęć.

- Byłem świadkiem czegoś zupełnie innego.

- Byłeś świadkiem chwilowego błysku na ekranie, nie widziałeś tego, co znajduje się na nim zazwyczaj. - Odsunęła go na bok, by móc wstać. - Idę pobiegać.

- Mirando. - Złapał ją za ramię, zanim zdołała wyjść z pokoju. - Gdybyś się tym wszystkim nie przejmowała, gdyby to nie miało dla ciebie żadnego znaczenia, nie byłabyś tak smutna.

- Nie jestem smutna, Rynie. Jestem zrezygnowana. - Odrzuciła jego rękę i wyszła się przebrać.

Rzadko uprawiała jogging. Jej zdaniem spacerowanie przynosiło więcej korzyści i pozwalało zachowywać się z większą godnością. Kiedy jednak rozsadzały ją emocje i zdarzało się coś niecodziennego, chętnie biegała.

Wybrała plażę poniżej urwiska, ponieważ w pobliżu wody mogła odetchnąć wspaniałym świeżym powietrzem. Skierowała się na północ i dotarła aż do miejsca zasłanego łupkiem. Fale radośnie uderzały o kamienisty brzeg, a światło słoneczne odbijało się w wyrzucanych w górę kroplach wody. Mewy nurkowały, wydając niesamowite dźwięki przypominające kobiece krzyki.

Kiedy Miranda poczuła, że jej mięśnie się rozgrzały, zdjęła lekką kurtkę i odrzuciła ją na bok. Nikt jej nie ukradnie. W Jones Point przestępstwa zdarzają się przecież bardzo rzadko...

Pomarańczowe boje podskakiwały na powierzchni ciemnoniebieskiej wody. Inne -

wysokie, szare i zniszczone - kołysały się, wydając głuche smutne dźwięki. Ponieważ ani ona, ani Andrew nie żeglowali, krótki, zaniedbany przez nich pomost jak pijak pochylał się na bok na wodzie. W dali widać było ślizgające się łodzie i jachty, ponieważ ludzie postanowili wykorzystać niedzielę wielkanocną.

Miranda biegła wzdłuż plaży, nie zwracając uwagi na ból w łydkach, palenie w płucach i spływający między piersiami strumyczek potu.

Na pobliskich falach kiwała się łódź. Sprawdzający właśnie sieci rybak w jasnoczerwonej czapeczce uniósł rękę i pomachał Mirandzie, a zwyczajny gest obcego człowieka sprawił, że poczuła pieczenie w oczach. Kiedy łzy rozmazały jej obraz, pomachała w odpowiedzi, a potem zatrzymała się, pochyliła i oparłszy ręce na kolanach, z ogromnym trudem próbowała złapać oddech.

Doszła do wniosku, że nie dotarła zbyt daleko, ale na pewno biegła za szybko, w nieodpowiednim tempie. Wszystko działo się zbyt prędko. Nie mogła nadażyć, mimo to zabrakło jej odwagi, by zwolnić.

Słodki Boże, nawet nie wiedziała, dokąd zmierza.

W jej domu znajdował się mężczyzna, którego poznała zaledwie kilka tygodni temu.

Złodziej, być może kłamca i niebezpieczny człowiek. Mimo to zawierzyła mu. Przystała na zażyłość, na tak ogromną zażyłość, na jaką nie zdobyła się nigdy wcześniej w stosunku do nikogo.

Obejrzała się za siebie, a potem popatrzyła w górę. Przez chwilę bacznie przyglądała się jasnej jak księżyc włócznie latarni morskiej. To właśnie na tej wieży zakochała się w Ryanie. Chociaż zdawała sobie sprawę, że przez cały czas zmierzała w tym kierunku, tam właśnie oddała mu serce. Tymczasem nie miała żadnej pewności, czy zdoła je odzyskać.

Ryan z pewnością odejdzie, gdy tylko doprowadzi sprawę do końca. Rzuci ją w sposób czarujący i elegancki. Nie będzie okrutny, ale wróci tam, skąd przyszedł, a wówczas jej życie zatrzyma się w martwym punkcie.

Może uda im się znaleźć brzozy, odzyskać dobre imię, rozwiązać zagadkę i złapać mordercę, ale mimo to jej życie straci cały swój blask.

Nie mając w tej dziedzinie żadnego doświadczenia, nie mogła przewidzieć, jak długo będzie musiała doprowadzać je do porządku.

U jej stóp znajdowało się pozostawione przez przypyływ jeziorko. Stojąca w nim woda była czysta i spokojna. Jednak tuż pod powierzchnią kipiało życie o bajecznych barwach i kształtach.

Kiedy była dzieckiem, spacerowała po plaży ze swoją babcią, czasem z babcią i Andrew. Razem przyglądali się jeziorkom, jednak w niczym nie przypominało to lekcji ani żadnych sztuczek, jakie czasem robią dorośli, by przekazać dziecku wiedzę.

Pamiętała, że chętnie kucali nad wodą. Sprawiało im to prawdziwą przyjemność.

Śmiali się, kiedy coś, co wzięli za kamień, zdenerwowało się i oblewało ich jakąś cieczą.

Babcia mówiła, że są to „małe światy”. Toczyło się w nich życie pełne namiętności, seksu, przemocy, walki, przejawiające czasem więcej zdrowego rozsądku niż to, które istniało na suchej części naszej planety.

- Szkoda, że cię tu nie ma - mruknęła Miranda. - Żałujcie nie mogę z tobą porozmawiać.

Oderwała wzrok od kipiącego życiem światka znajdującego się u jej stóp, po czym ponownie spojrzała na morze i wystawiła twarz na podmuch wiatru. Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Zwłaszcza że wiedziała już, co znaczy kochać kogoś aż do bólu i woleć cierpienie niż pustkę, którą tak dobrze już знаła, że prawie w ogóle jej nie dostrzegała.

Usiadła na gładkim zaokrąglonym kamieniu, podciągnęła do góry kolana i położyła na nich głowę. Przypuszczała, że tak zazwyczaj się dzieje, kiedy ktoś pozwoli, by serce wzięło górę nad umysłem, działaniem i decyzjami. Siedziała w milczeniu na kamieniu, patrząc na morze i rozmyślając o miłości, która z góry skazana była na niepowodzenie.

W pobliżu linii brzegowej wylądował ostrygojad, a potem dumnym krokiem przeszedł

najpierw w prawo, a potem w lewo, sprawiając wrażenie kogoś bardzo ważnego. Na jego widok Miranda lekko się uśmiechnęła. Najwyraźniej nawet ptaki dbają o pozory.

Zachowywał się tak, jakby chciał powiedzieć: „Spójrz na mnie, jestem obojętny na wszystko”.

- Przyniosę ci kilka okruchów chleba, a wtedy zobaczymy, czy jesteś taki obojętny na wszystko - powiedziała do niego. - Rzucisz się na nie, zanim zorientują się twoi kumple i zechcą również się pożywić.

- Słyszałem, że ludzie, którzy za dużo piją, zaczynają rozmawiać z ptakami. - Andrew zauważył, że gwałtownie się wyprostowała, mimo to podszedł do niej bez wahania. - Upu-

ściłaś to po drodze. - Położył kurtkę na jej kolanach.

- Było mi za ciepło.

- Jeśli po bieganiu jeszcze chwilę bez niej posiedzisz, zaziębisz się.

- Nic mi nie będzie.

- Rób jak uważasz. - Trudno mu było zdobyć się na odwagę i usiąść na kamieniu obok niej, w końcu jednak to zrobił. - Mirando, najmocniej cię przepraszam.

- Wydawało mi się, że już to zrobiłeś.

- Mirando. - Kiedy nie pozwoliła mu wziąć swojej ręki, zrozumiał, jak bardzo ją zranił.

- Zesłałam tutaj, ponieważ przez chwilę chciałam być sama.

Wiedział, jak bardzo potrafi być uparta, kiedy się ją zdenerwuje.

- Chciałbym powiedzieć ci kilka rzeczy. Kiedy dojrnę do końca, będziesz mogła ponownie mnie uderzyć. Dziś rano przeszedłem samego siebie. Nic mnie nie usprawiedliwia.

Nie chcąc wysłuchiwać twoich uwag, zachowałem się po chamsku.

- Rozumiem. W takim razie na przyszłość lepiej będzie, jeśli każde z nas pójdzie własną drogą.

- Nie. - Tym razem udał, że nie zauważa, jak się od niego odsuwa, i kurczowo chwycił

ją za rękę. - Nie, wcale nie. Zawsze mogliśmy polegać na sobie.

- No cóż, teraz nie mogę już na tobie polegać, Andrew, prawda? - Spojrzała na niego i zauważyła, że za ciemnymi okularami kryje się bardzo wymizierowana twarz. Doszła do wniosku, że powinien wyglądać jak hulaka. Tymczasem jedynie wzbudzał żal.

- Wiem, że cię zawiodłem.

- Jestem w stanie zatroszczyć się o siebie. To sobie samemu sprawiłeś ogromny zawód.

- Mirando, proszę. - Wiedział, że nie będzie mu łatwo, nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo zaboli go całkowite odrzucenie. - Wiem, że mam problem. Próbuję się z tym pogodzić. Dzisiaj... dziś wieczorem idę na spotkanie Anonimowych Alkoholików.

Zobaczywszy w jej oczach błysk nadziei, współczucia i miłości, potrząsnął głową.

- Nie wiem, czy mi to w czymś pomoże. Na razie mam zamiar tam pójść, posłuchać i zobaczyć, co będzie dalej.

- To dobry początek i całkiem rozsądny krok. Wstał i spojrzał na niespokojną wodę.

- Kiedy dziś rano wyszedłem z domu, pojechałem na poszukiwanie butelki. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, właściwie w ogóle sobie tego nie uświadamiałem. Do momentu kiedy zaczęło mnie trząść i złapałem się na tym, że jeżdżę w kółko, szukając sklepu z alkoholem lub baru, czegokolwiek, co byłoby otwarte w niedzielny poranek.

Spojrzał na własną dłoń, poruszył palcami i poczuł delikatny ból.

- Potwornie się przestraszyłem.

- Pomogę ci, Andrew. Przeczytałam całą literaturę na ten temat. Byłam na kilku ich spotkaniach.

Odwrócił się i ponownie na nią spojrzał. Obserwowała go, zwijając kurtkę w rękach.

Gdzieś na dnie jej oczu pojawił się promyk nadziei.

- Obawiałem się, że zaczęłaś mnie nienawidzić - rzekł.

- Chciałam, ale po prostu nie mogę. - Otarła łzy. - Byłam na ciebie potwornie zła za to, że się ode mnie odsunąłeś. Kiedy dzisiaj wyszedłeś, myślałam, że wrócisz pijany lub w stanie nietrzeźwym będziesz prowadził samochód i zabijesz się. Znienawidziłabym cię za to.

- Pojechałem do Annie. Nie wiedziałem, że jadę do niej, dopóki nie zaparkowałem przed jej domem. Annie... ja... Niech to diabli. Mam zamiar zatrzymać się u niej na kilka dni.

Chcę zostawić tobie i Ryanowi trochę swobody, a jednocześnie dać nam obojgu odrobinę czasu.

- Annie? Masz zamiar zamieszkać u Annie?

- Nie śpiam z nią.

- Annie? - powtórzyła, patrząc na niego. - Czy mówisz o Annie McLean?

- Coś ci się nie podoba?

Jego słowa zabrzmiały trochę zaczepnie, dlatego Miranda uśmiechnęła się.

- Nie, wcale nie. Wydaje mi się, że to może zadziałać. Annie ma silną wolę i sporo ambicji. Na pewno nie wyrządzi ci żadnej krzywdy.

- Annie i ja... - Nie był pewien jak to wyjaśnić. - Mamy wspólną przeszłość. Chcemy sprawdzić, czy uda nam się dzielić teraźniejszość.

- Nie wiedziałam, że łączyło was coś więcej niż przyjaźń.

Kiedy spojrział na plażę, wydawało mu się, że mógłby dokładnie wskazać miejsce, gdzie dwójka lekkomyślnych nastolatków straciła niewinność.

- Łączyło nas, potem przestało. Nie potrafię natomiast powiedzieć, jak jest teraz. -

Uznał jednak, że sprawdzenie tego może być celem, którego od bardzo dawna mu brakowało.

- Przez kilka nocy mam zamiar spać na jej kanapie. Chcę odzyskać wiarę w siebie niezależnie od tego, ile będzie mnie to kosztowało. Chociaż istnieje spore prawdopodobieństwo, że zanim uda mi się to zrobić, jeszcze nie raz zdążę sprawić ci zawód.

Przeczytała wszystko, co wpadło jej w ręce, na temat alkoholizmu, leczenia i szansy na wyzdrowienie. Wiedziała, jak powraca się do nałogu, jak można się odzwyczaić i jakie trudności się z tym wiążą.

- Dzisiaj mnie nie zawiodłeś. - Wyciągnęła rękę, a kiedy ujął jej dłoń, splotła z nim palce. - Tak bardzo mi cię brakowało.

Podniósł ją z kamienia i przytulił do siebie. Miranda zamilkła, ale wiedział, że siostra płacze, ponieważ czuł, że całe jej ciało drży.

- Nie rezygnuj ze mnie, dobrze?

- Próbowałam. Nie potrafię.

Roześmiał się i przytulił policzek do jej twarzy.

- A wracając do sprawy związanej z Nowym Jorkiem...

- Dlaczego poprzednio był dla ciebie Ryanem, a teraz stał się „Nowym Jorkiem”?

- Ponieważ teraz kręci się przy mojej siostrze, a ja próbuję wyrobić sobie zdanie na jego temat. No więc wracając do sprawy związanej z „Nowym Jorkiem” - powtórzył. - Czy dobrze ci z nim?

Odsunęła się.

- W tej chwili tak.

- W porządku. Skoro udało nam się dojść do porozumienia, może wrócimy do domu i wypijemy drinka, by to uczcić? - Jego dołeczki pogłębiły się w uśmiechu. - Pijacki kawał. A może zrobiłabyś pieczoną wołowinę?

- Jest za późno, aby ją upiec. Zrobię ci klops.

- Wystarczy.

Kiedy ruszyli w drogę powrotną, objęła się ramionami, wiedząc, że musi mu o wszystkim powiedzieć i zakłócić miłą atmosferę.

- Andrew, niedawno dzwoniła mama.

- Czy nie może, jak wszyscy normalni ludzie, wziąć sobie wolnego z okazji Wielkanocy?

- Andrew. - Zatrzymała się i położyła rękę na jego ramieniu. - Ktoś włamał się do laboratorium we Florencji, gdy był w nim Giovanni. Zamordowano go.

- Co takiego? Giovanniego? O mój Boże! - Odwrócił się, zbliżył się do wody i stanął, nie zważając na to, że piana moczy mu buty. - Giovanni nie żyje? Zamordowany? Do diabła, co się tutaj dzieje?

Nie mogła wyznać mu prawdy, byłoby to zbyt ryzykowne. Jego słaba wola, emocje, choroba... wszystko stanowiło zbyt niebezpieczną mieszankę.

- Sama bardzo chciałabym wiedzieć. Matka powiedziała, że laboratorium zostało zdemolowane, a wyposażenie i dokumentacja zniszczone. Natomiast Giovanni...

przypuszczają, że pracował do późna, w czasie kiedy morderca wszedł do środka.

- Czy coś ukradziono?

- Nie wiem. Wydaje się, że nie... Chyba nie zniknęło nic z wartościowych rzeczy.

- To nie ma sensu. - Odwrócił się, a jego wymizerowana twarz bardzo spoważniała. -

Ktoś, omijając wszelkie zabezpieczenia, wchodzi do naszej galerii, wynosi z niej wartościowy brąz, po drodze nie rozdeptując nawet muchy. Teraz jakiś bandyta włamuje się do laboratorium w Standjo, zabija Giovanniego, sieje spustoszenie i nie zabiera niczego?

- Ja również tego nie rozumiem. - To przynajmniej częściowo była prawda.

- Między jednym a drugim musi istnieć jakiś związek - wymamrotał. Zdumiona Miranda przez chwilę jedynie patrzyła na niego.

- Związek?

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności. - Brzęcząc drobnymi w kieszeni, zaczął krążyć niespokojnie po plaży. - Dwa włamania w ciągu kilku tygodni, w różnych oddziałach tej samej instytucji. Jedno dokonane po cichu i opłacalne, drugie z użyciem przemocy i bez wyraźnego powodu. Zawsze istnieje jakiś powód. Giovanni pracował i tu, i tam. - Przymrużył

oczy ukryte za ciemnymi okularami. - Swego czasu zajmował się również *Dawidem*, prawda?

- Och... tak, tak, rzeczywiście.

- *Dawid* został skradziony, dokumenty zniknęły, a teraz Giovanni nie żyje. Jaki to wszystko ma związek?

Nie oczekiwał od niej odpowiedzi, dzięki czemu nie musiała wymyślać żadnego kłamstwa.

- Mam zamiar powiedzieć o tym Cookowi niezależnie od tego, czy mu to pomoże czy nie. Może powinienem wybrać się do Florencji.

- Andrew. - Jej głos drżał. Nie pozwoli mu na takie ryzyko, nie dopuści, by znalazł się we Florencji w pobliżu osoby, która zabiła Giovanniego. - To wcale nie jest dobry pomysł.

Nie powinieneś zbytnio oddalać się od domu, skoro próbujesz wrócić do normalnego życia i odzyskać równowagę. Pozwól policji zrobić, co do niej należy.

- Tak czy inaczej chyba rzeczywiście lepiej spróbować rozwiązać tę zagadkę, nie ruszając się z miejsca - zdecydował. - Idę do domu i zadzwonię do Cooka. Podrzucę mu coś, co będzie mógł przeżuwać wraz z wielkanocną szynką.

- Ja też za chwilę wracam. - Zdobyła się na uśmiech. - Aby zrobić ci wielkanocny klops.

Był tak roztargniony, że nie zauważył, jak szybko z jej twarzy zniknął uśmiech, a pojawiło się zatroskanie. Dostrzegł natomiast wędrującego ścieżką Ryana. Szybko narosła w nim urażona ambicja, duma, właściwy mu egotyzm, wstyd i braterska niechęć.

- Cześć, Boldari.

- Witaj, Andrew. - Ryan postanowił unikać jakichkolwiek tarć, odsunął się więc na bok.

Andrew był nastawiony wojowniczo.

- Jesteś w błędzie, jeśli uważasz, że nikt nie troszczy się o Mirandę. To nieistotne, że jest dorosłą kobietą i ma kompletnie popieprzoną rodzinę. Jeżeli ją skrzywdzisz, sukinsynu, rozerwę cię na kawałki. - Kiedy Ryan się uśmiechnął, oczy Andrew zamieniły się w szparki. -

Czyżbym powiedział coś dowcipnego?

- Nie. Tylko ostatnia część twojej zapowiedzi bardzo przypominała to, co powiedziałem mężowi mojej siostry, Mary Jo, kiedy przyłapałem ich całujących się na tylnym siedzeniu jego chevroleta.

Natychmiast go stamtąd wyciągnąłem i przyłożyłem mu, nie zważając na rozpacz i wściekłość MJ.

Andrew odchylił się na piętach.

- Nie jesteś mężem mojej siostry.

- On również nim nie był, przynajmniej wówczas.

- Słowa te wyrwały się, nim Ryan zdał sobie sprawę z ich ukrytego znaczenia. W

ułamku sekundy z jego oczu zniknęło rozbawienie, a pojawiło się zakłopotanie. - To znaczy, chodziło mi o to, że...

- Tak? - Andrew przytaknął zadowolony z siebie.

- O co ci chodziło?

Czasami mężczyzna w czasie potrzebnym na odchrząknięcie potrafi przemyśleć bardzo dużo rzeczy.

- Chodziło mi o to, że darzę twoją siostrę szczerym uczuciem i bardzo ją szanuję. Jest piękną, interesującą i pociągającą kobietą.

- Wygląda na to, że nie stoisz na zbyt pewnym gruncie.

- Ryanowi wydawało się wręcz, że właśnie ziemia usuwa mu się spod nóg. - Postaraj się nie stracić równowagi. - Obaj spojrzeli w dół na stojącą na wąskiej plaży Mirandę, która obserwowała wznoszące się fale.

- Ona wcale nie jest taka mocna, jak jej się wydaje - dodał Andrew. - Stara się nie zbliżać zbyt do ludzi, bo wtedy mogliby się przekonać, jak bardzo jest wrażliwa.

- Dużo dla mnie znaczy. Czy to chciałeś usłyszeć?

- Tak. - Zwłaszcza, pomyślał Andrew, że słowa te zostały powiedziane z prawdziwą żarliwością i pewną niechęcią. - To wystarczy. A tak przy okazji, serdecznie dziękuję za to, co zrobiłeś dla mnie wczoraj wieczorem, i że dzisiaj nie próbowałeś przytrzeć mi nosa.

- Jak oko?

- Boli jak diabli.

- To dobrze. Moim zdaniem taka kara wystarczy.

- Może. - Odwrócił się i ruszył ścieżką w górę. - Będziemy mieli klops - zawołał. - Idź

i namów ją, żeby włożyła kurtkę, dobrze?

- Zgoda - mruknął Ryan. - Myślę, że powinno mi się udać. - Ruszył w dół, wybierając drogę wśród

skał i od czasu do czasu ślizgając się na gładkich kamieniach. Tymczasem Miranda pięła się w górę jak kozica.

- Te buty w ogóle się do tego nie nadają.

- Nie musisz mi tego mówić. - Potem ją objął. - Masz zimne ręce. Może włożyłabyś kurtkę?

- Słońce całkiem nieźle grzeje. Andrew wybiera się dziś wieczorem na spotkanie AA.

- Cieszę się. - Przycisnął wargi do jej czoła. - To dobry początek.

- Myślę, że sobie poradzi. - Wiatr wyrwał pasemko włosów spod elastycznej przepaski, musiała więc odgarnąć je z twarzy. - Wiem, że tak jest. Na kilka dni zatrzyma się u przyjaciółki. Chce mieć trochę czasu na odzyskanie równowagi. Poza tym podejrzewam, że czuje się nieswojo, śpiąc pod tym samym dachem... co my.

- Jankeski konserwatyzm.

- Jest po prostu ostrożny. - Nabrała powietrza w płuca.

- Jest jeszcze coś. Powiedziała mu o Giovannim. Jego zdaniem obie te sprawy wiążą się ze sobą.

- O czym ty mówisz?

- Andrew mniej więcej od roku robił wszystko, by zniszczyć swoje szare komórki, dlatego zupełnie zapomniałam, że jest niezwykle inteligentny. W ciągu paru sekund wszystko skojarzył. Połączył włamanie tu i we Florencji. Ma zamiar porozmawiać na ten temat z inspektorem Cookiem.

- Wspaniale. Wprowadzi gliniarzy w całą w sprawę.

- To bardzo rozsądne wyjście. Andrew uważa, że istnieją zbyt duże zbieżności. -

Szybko zrelacjonowała słowa brata.

- Na pewno będzie nadal to zgłębiał. Nie powiedziałam mu, o czym wiem ani co podejrzewam. W tej chwili nie mogę ryzykować, ponieważ powinien skupić się przede wszystkim na zerwaniu z nałogiem, ale też nie będę okłamywać go bez końca. Myślę, że wkrótce powinien poznać całą prawdę.

- W takim razie musimy pracować nieco szybciej. - Nie miał ochoty na grę zespołową ani dzielenie się brązami. Kiedy dostanie je do ręki, będą jego. - Wiatr się wzmacnia - zauwa-

zył, objął ją ramieniem i poprowadził ścieżką w górę. - Słyszałem coś o klopsie.

- Dostaniesz coś do zjedzenia, Boldari. Mogę cię zapewnić, że robię bardzo dobry klops.

- W niektórych kulturach to danie uznawane jest za afrodyzjak.

- Naprawdę? Dziwne, że nigdy nie słyszałam o tym na żadnym z kursów antropologicznych.
- Ale działa tylko wtedy, gdy dodaje się do niego pomidory.
- No cóż, w takim razie sędzę, że będziemy musieli sprawdzić tę teorię.
- Ale nie może to być przecier.
- Proszę, nie obrażaj mnie.
- Szaleję za tobą, doktor Jones. Roześmiała się, zdradzając głęboko ukrytą wrażliwość, o której wspomniał jej brat.

CENA

*„Gniew jest okrutny, a złość oburzająca,
ale czy ktoś zdoła stawić czoło zazdrości?”*

Prysłowie

Wiejska cisza sprawiała, że Ryan nie mógł zasnąć. Zaczął więc myśleć o Nowym Jorku, o uspokajającym ciągłym szumie ruchu ulicznego, o tempie, które wchodzi człowiekowi w krew i powoduje automatyczne wydłużanie kroku, by dotrzeć do następnego rogu, pokonać najbliższe światła, wciąż posuwać się do przodu.

W miejscach położonych tak blisko oceanu człowiek przestaje się spieszyć, a kiedy już raz zwolni tempo życia, może się przyzwyczaić i zapuścić korzenie, nim zauważy, co się święci.

Powinien wrócić do Nowego Jorku i do swojej galerii, którą na zbyt długo zostawił w obcych rękach. Oczywiście robił to często, ale tylko wówczas gdy podróżował i przemieszczał się z miejsca na miejsce, nie wtedy kiedy... tkwił w jednym punkcie.

Powinien się stąd wynieść, i to szybko.

Spała obok niego, a jej oddech wtórował dochodzącemu z zewnątrz równomiernemu szumowi morza. Nie przytuliła się do niego - nawet śpiąc zachowywała pewien dystans i pozwalała mu na to samo. Wmówił sobie, że to docenia, ale to było kłamstwo. Drażniło go, że Miranda się do niego nie zbliża, że nie trzyma go kurczowo, nie stara się nawet udawać, iż próbuje go przy sobie zatrzymać.

Gdyby to robiła, nie kusiłoby go aż tak bardzo, żeby przy niej zostać, a tak nie mógł

się skoncentrować. Jeśli tylko znajdowała się w pobliżu, przeszkadzała mu w pracy. Miranda należała do tych kobiet, które można w nieskończoność dotykać choćby tylko dlatego, że zawsze budziło to w niej młodzieńcze zdziwienie.

Właśnie miał ogromną ochotę to zrobić - chciał ją obudzić, powoli podniecić muśnięciami, pieszczotami i delikatnymi pocałunkami, a potem się z nią pokochać - dlatego wstał z łóżka.

Na litość boską, seks powinien być prostą formą rozrywki, a nie obsesją.

Wciągnął luźne czarne spodnie, znalazł cygaro i zapalniczkę, cicho otworzył drzwi prowadzące na taras i wyszedł z pokoju.

Doszedł do wniosku, że wdychanie powietrza w tej okolicy przypomina picie delikatnie schłodzonego, łagodnego białego wina. Jest to coś, co z ogromną łatwością może wejść człowiekowi w krew. Z tarasu roztaczał się wspaniały widok na morze, poszarpany cypel z lśniąca włócznią latarni morskiej i rzucany przez nią snop światła.

Latarnia stanowiła symbol przeszłości i tradycji oraz bezpieczeństwa, do którego również bardzo łatwo można się przyzwyczaić, zwłaszcza jeśli widzi się ją dzień po dniu.

Tutaj wszystko zmienia się bardzo wolno, albo w ogóle.

Doszedł do wniosku, że każdego ranka bez znużenia można oglądać ten sam widok.

Patrząc na porozrzucane łodzie na tym samym kapryśnym morzu, przez cały czas słuchając równomiernego szumu morskich fal. Teraz jednak widział wyraźne lśniąca gwiazdy, które przypominały srebrne spinki przychepione do aksamitu. Błady księżyc powoli tracił kontury.

Ryan obawiał się, że on również przestaje być sobą.

Poirytowany zapalił cygaro i wypuścił obłok dymu. Natychmiast porwał ją wiatr, który chyba nigdy tu nie odpoczywał.

Przyszło mu na myśl, że zmierzają donikąd. Miranda może tworzyć wykresy i grafiki, obliczać czas i wpisywać dane, a potem zadrukowywać nimi ogromne ilości papieru, ale w ten sposób nie da się zgłębić serc i umysłów zaangażowanych w całą sprawę ludzi. Komputer nie uwzględni chciwości, złości, zazdrości czy nienawiści. Wykres nie wyjaśni, dlaczego ktoś odbiera innemu człowiekowi życie z powodu kawałka metalu.

Ryan uznał, że musi lepiej poznać graczy, by ich zrozumieć, tymczasem ledwo zaczął.

Poznał ją. Była oddaną pracy skrytą kobietą o praktycznej i powściągliwej naturze, chociaż za pomocą odpowiedniego klucza można było otworzyć i odsłonić drzemiące pod powierzchnią ciepło i pragnienia. Urodziła się w wyższych sferach, lecz wychowana została w chłodzie. Zareagowała na to, odwracając się od ludzi, ćwicząc umysł, stawiając sobie cele i wytyczając prostą ścieżkę, która do nich prowadzi.

Miała słabość do brata.

Początkowo trzymali się razem, by się bronić lub buntować, jakkolwiek trudno wykluczyć, że było to szczerze uczucie. Niezależnie od tego co zapoczątkowało tę więź, pozostawało faktem, że istniała, była prawdziwa, mocna i jednoczyła ich. Stąd wzięła się lojalność i miłość. Ryan na własne oczy widział, jak Miranda zareagowała na pijaństwo i trudne do przewidzenia zachowanie Andrew. Była roztrzęsiona, wściekła i zdumiona.

Natomiast podczas kolacji, którą jedli razem tego wieczoru, dostrzegł w jej oczach nadzieję i szczęście. Wierzyła, że Andrew ponownie stanie się bratem, którego niegdyś знаła.

Potrzebowała tej wiary i przekonania. Nie mógł znieść myśli, co by się stało, gdyby się zawiodła.

Dlatego nie podzielił się z nią swoimi wątpliwościami. Zetknął się z wszelkimi uzależnieniami, wiedział, do czego mogą doprowadzić i jak potrafią wypaczyć charakter człowieka. Nałogowiec podejmuje decyzje, które w normalnym stanie nawet nie przyszłyby mu do głowy.

Andrew kierował Instytutem, co oznacza, że dysponował władzą i bez trudu poruszał

się po całej instytucji, mógł więc z łatwością zamienić pierwszy brąz. Być może potrzebował

pieniędzy, zapalał żądzą posiadania lub padł ofiarą szantażu. Nikomu zorganizowanie kradzieży i fałszerstw nie przyszłoby łatwiej niż któremuś z Jonesów.

Ryan brał również pod uwagę Charlesa Jonesa. To właśnie on znalazł *Dawida*. Trudno było całkiem wykluczyć, że chciał zatrzymać statuetkę dla siebie. Czy korzystał z pomocy Andrew? Może. Giovanniego? Istniała i taka możliwość. Lub któregoś z najbardziej zaufanych pracowników?

Elizabeth Jones. Kobieta dumna, zimna i energiczna. Gdyby nie sztuka, życie nie miałoby dla niej sensu, chociaż bardziej interesowała ją strona naukowa niż piękno. Elizabeth tak samo jak jej mąż odsunęła na bok rodzinę i skoncentrowała całą energię, czas i wysiłek na umacnianiu własnego prestiżu. Czyż bezcenna statuetka nie byłaby idealną nagrodą za pracę całego życia?

Giovanni. Zaufany pracownik. Musiał być wspaniałym naukowcem, ponieważ inaczej nigdy nie zostałby członkiem zespołu Mirandy. Jej zdaniem był czarującym samotnym męż-

czyną, który uwielbia flirtować z kobietami. Może flirtował z nieodpowiednią albo liczył na znacznie więcej, niż mogła mu zapewnić praca w Standjo.

Elise. Była żona. Byłe żony często bywają mściwe. Przeszła z Instytutu do Standjo we Florencji. Dzięki zajmowanemu stanowisku cieszyła się zaufaniem i dysponowała sporą władzą. Mogła wykorzystać Andrew, a potem go rzucić. Jako kierownik laboratorium miała dostęp do wszystkich danych. Trudno wykluczyć, że oba brzozy przeszły przez jej ręce. Czy chciała zatrzymać je dla siebie?

Richard Hawthorne. Mól książkowy. Bardzo często cicha woda brzegi rwie i potrafi robić to wyjątkowo skutecznie. Znał historię i potrafił prowadzić badania naukowe. Ludzie tacy jak on często pozostają w cieniu osób bardziej przebojowych i zwracających na siebie uwagę. To może człowieka potwornie deprymować.

Vincente Morelli, stary przyjaciel i współpracownik. Ma bardzo młodą i wymagającą żonę. Poświęcił Instytutowi i Standjo wszystkie umiejętności, mnóstwo pracy i wiele lat życia. Dlaczego za świadczone usługi nie miałby wziąć zapłaty nieco większej niż zwykłe wynagrodzenie i poklepywanie po plecach?

John Carter, człowiek chodzący w zniszczonych butach i śmiesznych krawatach.

Solidny jak granit. Może tak samo twardy? Pracuje w Instytucie od ponad piętnastu lat, przez cały czas ciężko harując. Wykonywał ślepo polecenia i kurczowo trzymał się harmonogramu.

Może nadal wykonuje polecenia?

Ryan doszedł do wniosku, że każde z nich mogło zaplanować fałszerstwo. Nie wierzył

jednak, by którekolwiek zdołało w pojedynkę dokonać dwóch tak sprytnie przeprowadzonych zamian. Bardziej wygląda to na pracę zespołową, za którą kryje się chłodny mądry umysł.

By go odkryć, nie wystarczy listy pracowników i grafik prac.

Ryan obserwował spadającą gwiazdę, która pędziła w stronę morza, zostawiając za sobą łuk światła, i zaczął układać plan.

- Chcesz dzwonić do mojej matki?

- Zadzwoń bym do twojego ojca - stwierdził Ryan, zerkając Mirandzie przez ramię, by zobaczyć, co robi na komputerze. - Ale odnoszę wrażenie, że matka jest bardziej zaangażowana w działalność Instytutu. Co robisz?

- Nic. Dlaczego chcesz dzwonić do mojej matki?

- Co to jest? Strona internetowa dotycząca ogrodnictwa?

- Potrzebuję pewnych danych, to wszystko.

- Na temat kwiatów?

- Tak. - Zdążyła już wydrukować kilka informacji na temat uzdatniania gleby, roślin wieloletnich i pór siewu, zamknęła więc stronę. - No więc czego chcesz od mojej matki?

- Zaraz ci powiem. Po co ci dane na temat kwiatów?

- Ponieważ mam zamiar założyć ogród, a nic na ten temat nie wiem.

- To znaczy, że podchodzisz do tego jak typowy naukowiec. - Pochylił się, by pocałować ją w czubek głowy. - Naprawdę jesteś bystra, Mirando.

Zdjęła okulary i położyła je na biurku.

- Cieszę się, że cię rozbawiłam. A teraz odpowiesz na moje pytanie?

- Czego chcę od twojej matki? - Usiadł na biurku twarzą do niej. - Mam zamiar zadzwonić do niej i powiedzieć jej, pod jakimi warunkami zgodzę się na wypożyczenie Vasarich, Rafaela i Botticellego.

- Rafaela i Botticellego? Obiecałeś pożyczyć nam tylko obrazy Vasariego, nic więcej.

- To będzie nowa umowa. Pięć obrazów i być może dam się jeszcze namówić na dorzucenie rzeźby Donatella na trzy miesiące, pod warunkiem że we wszystkich reklamach znajdzie się wzmianka o Galerii Boldarięgo, a zgromadzone fundusze przekazane zostaną na Narodową Fundację na rzecz Sztuki.

- Jakie fundusze?

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Wybrałem Instytut Historii Sztuki w Nowej Anglii ze względu na jego prestiż, osiągnięcia w prezentowaniu i popularyzowaniu sztuki, a także wspaniałe wyniki w dziedzinie konserwacji i badań naukowych. Kiedy odwiedziłem go kilka tygodni temu i doktor Miranda Jones wprowadziła mnie po laboratorium, zrobiło to na mnie duże wrażenie.

Pociągnął ją za włosy i rozpuścił je, tak jak najbardziej lubił. Zignorował jej ostry protest.

- Szczególnie zaintrygował mnie pomysł zorganizowania wystawy ukazującej historię i rozwój włoskiego renesansu - ciągnął - wraz z jego społecznymi, religijnymi i politycznymi uwarunkowaniami.

- Zaintrygował cię? - mruknęła. - Naprawdę?

- Byłem zafascynowany. - Uniósł jej dłoń, pragnąc pobawić się jej palcami, i zauważył, że zdjęła noszony dotychczas pierścionek. Poirytowany ściągnął brwi, postanowił

jednak, że pomyśli o tym nieco później. - Byłem oczarowany wizją tej wystawy i pomysłem zorganizowania po trzech miesiącach podobnej imprezy w mojej własnej galerii w Nowym Jorku.

- Rozumiem. Partnerstwo.

- Właśnie tak. Byliśmy całkiem zgodni, zwłaszcza że podczas wstępnej dyskusji zaproponowałaś zbiórkę pieniędzy na rzecz fundacji. Ponieważ Galerie Boldariego od dawna wspierają tę instytucję, twój pomysł bardzo przypadł mi do gustu. Wygląda na to, że wiedziałaś, czym mnie skusić.

- Tak - wymamrotała. - Naprawdę?

- Chciałbym zrealizować nasze wspólne przedsięwzięcie najwcześniej jak to możliwe, ale właśnie powiedziano mi, że doktor Jones jest na urlopie. Bardzo mnie to martwi. Nie mam zamiaru współpracować z nikim innym, a ewentualne opóźnienie może sprawić, że zacznę się zastanawiać nad zorganizowaniem tej wystawy wspólnie z Instytutem Sztuki w Chicago.

- Nie przejmie się tym.

- Jesteś w błędzie. - Nim zdołała od nowa podpiąć włosy, wyjął jej z ręki spinki i niedbale rzucił je za siebie.

- Cholera jasna, Ryanie...

- Nie przerywaj. Powinnaś wrócić do Instytutu. Niezależnie od tego kto jest odpowiedzialny za fałszerstwo, musi się dowiedzieć, że znowu pracujesz. Kiedy to się stanie, trzeba będzie dołożyć wszelkich starań, by wszystkie osoby mające coś wspólnego z obydwojma brązami znalazły się w jednym miejscu.

- Być może uda ci się osiągnąć pierwszy cel. Wystawa, o jakiej mówisz, to bardzo prestiżowe wydarzenie.

Chciała wstać, by odzyskać spinki, ale Ryan ponownie bawił się jej włosami, obserwując jej twarz.

- Hmm. Moja matka przywiązuje ogromną wagę do prestiżu. Nie wiem natomiast, w jaki sposób chcesz osiągnąć to drugie.

- Powiem ci. - Uśmiechnął się i musnął palcem jej policzek. - Zorganizujemy fantastyczne przyjęcie.

- Przyjęcie? W ten sposób zbierzemy pieniądze?

- Tak. - Wstał i zaczął rozglądać się po jej półkach i szufladach. - A zebraną kwotę przekazemy w imieniu Giovanniego. W ten sposób uczymy jego pamięć.

- Giovanni. - Czuła, że krew krzepnie jej w żyłach. - Wykorzystasz go do czegoś takiego? On nie żyje.

- Nie jesteś w stanie tego zmienić, Mirando. Natomiast zorganizujemy to tak, by przyjechała również osoba, która go zabiła. W ten sposób zbliżymy się o krok do brązów.

- Nie rozumiem cię.

- Właśnie dopracowuję szczegóły. Masz może blok rysunkowy?

- Oczywiście. - Nie mogąc się zdecydować, czy jest bardziej poirytowana czy zakłopotana, wstała i wyjęła z szafki blok.

- Mogłem to przewidzieć. Weź jeszcze kilka ołówków.

- Po co?

- Idź na tylną werandę. Usiądź i narysuj swój ogród, a ja w tym czasie przeprowadzę kilka rozmów telefonicznych.

- Chcesz, żebym rysowała ogród, kiedy w końcu zaczyna się coś dziać?

- Dzięki temu nieco się odprężysz. - Wybrał kilka ołówków, a potem wziął do ręki okulary Mirandy i wsadził je do kieszeni jej koszuli. - Zasadzisz lepsze kwiaty i krzewy, jeśli będziesz wiedziała, na co chcesz patrzeć. - Chwycił ją za rękę i wyciągnął z pokoju.

- Kiedy to wszystko wymyśliłeś?

- Dziś w nocy. Nie mogłem spać. Jeśli chcemy, by coś ruszyło do przodu, musimy wprowadzić w ruch odpowiednie tryby. Pozwoliliśmy, by ten ktoś działał zgodnie z własnym planem, teraz musimy wziąć sprawy w swoje ręce.

- To wspomniały pomysł, Ryanie, ale zorganizowanie balu mającego na celu zebranie funduszy i uczczenie pamięci Giovanniego wcale nie gwarantuje, że morderca się ujawni. Na pewno w ten sposób nie odzyskamy brązów.

- Wszystko po kolei, dziecinko. Nie zmarzniesz?

- Przestań tak się o mnie troszczyć. Wcale się nie odprężę, siedząc na zewnątrz i szkicując. Jeśli mamy zamiar zorganizować tę wystawę, powinnam nad nią popracować.

- Już wkrótce będziesz miała ręce pełne roboty. Zrezygnowana wyszła na werandę.

Początek kwietnia był wspaniały - wiał delikatny wiaterek i świeciło słońce.

Miranda wiedziała jednak, że pogoda może gwałtownie się zmienić, a wówczas spadnie mokry wiosenny śnieg i zacznie mocno wiać. Być może na tym właśnie polega urok wiosny na wybrzeżu.

- Po prostu usiądź. - Po bratersku pocałował ją w czoło. - A ja zajmę się resztą.

- Dobrze, nie będę zawracać sobie swojej małej główki. Roześmiał się i wyjął telefon komórkowy.

- Doktor Jones, w twoim przypadku poza poziomem tolerancji niczego innego nie określiłbym przymiotnikiem „mały”. Chociaż jakimś cudem uważam to za pełne wdzięku.

Jaki jest numer do twojej matki?

Pogodziła się z faktem, że Ryan posiada wrodzoną zdolność jednoczesnego podniecania i irytowania innych.

- To jej numer domowy - wyjaśniła po wyrecytowaniu go. - Uwzględnivszy różnicę czasu, tam właśnie powinieneś ją złapać.

Kiedy wybrał numer, Miranda spojrzała na trawnik. Doszła do wniosku, że Ryan oczaruje Elizabeth. Miał niezaprzeczalny talent, jeśli chodzi o kobiety, i było to coś, nad czym wołała zbyt poważnie się nie zastanawiać. Będzie wiedział, jak przypodobać się Elizabeth, tak samo jak udało mu się wkraść w łaski jej córki. Gdyby dać mu odpowiednio dużo czasu, na pewno każda kobieta na naszej planecie jadłaby mu z ręki.

Słyszając, w jaki sposób po uzyskaniu połączenia Ryan wymówił imię jej matki, Miranda westchnęła, a potem przestała zwracać na niego uwagę.

W zestawieniu z niesamowicie błękitnym niebem, połyskującą powierzchnią morza i gładkimi kamieniami trawnik wyglądał bardzo smutno. Widać było farbę złuszczającą się z balustrady na werandzie i zbrązowiałe po zimie chwasty sterczące nad powierzchnią popękanych płyt chodnikowych, którymi wyłożona była ścieżka prowadząca w stronę urwiska.

Miranda przypomniała sobie, że babka troszczyła się o dom i jego otoczenie jak matka o swoje dzieci. Tymczasem ona i Andrew zaniedbali go, nie zwracając uwagi na pewne rzeczy i odpychając od siebie niemiły obowiązek.

Mniej kłopotu sprawiały większe naprawy. Po prostu zatrudniało się kogoś, kto się tym zajmował. Dotychczas nie przyszło na myśl jej ani Andrew, aby kiedykolwiek skosić trawnik, zgrabić liście, przyciąć krzewy lub powyrywać chwasty.

Doszła jednak do wniosku, że byłaby to miła odmiana. Coś, co mogliby wykonywać wspólnie. Praca fizyczna i zadowolenie z dokonanych zmian byłoby dla Andrew dobrą tera-pią. Dla niej również. Tak czy inaczej, kiedy obecny etap w jej życiu dobiegnie końca, będzie potrzebowała czegoś, co zapełni powstałą pustkę.

Cofając się pamięcią, próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądał ogród, kiedy była dzieckiem, a jej babka miała jeszcze tyle siły, by się nim zajmować.

Przypomniała sobie, że rosły tu wysokie kwiaty o ciemnofioletowych i ciemnoczerwonych kielichach. A także coś kremowożółtego, o podobnych do stokrotki ciężkich kwiatach uroczym przyginających do ziemi delikatne łodyżki. Kiedy przywołała ten obraz z pamięci, ołówek sam zaczął poruszać się po papierze. Kępki zieleni, z których strzelały w górę smukłe łodyżki zakończone odwróconymi w niebo białymi dzwonkami. Pa-miętała również zapach czerwonych i białych kwiatów, które przypominały goździki.

Inne miały piękne niebieskie trąbki. Tak, rosły tam również lwie paszcze.

Przypomniawszy sobie tę nazwę, Miranda poczuła się niezwykle podekscytowana.

Ryan rozmawiając przez telefon z matką, obserwował córkę. Zauważył, że Miranda rozluźniła się, a nawet podczas rysowania zaczęła się uśmiechać. W błyskawicznym tempie wykonywała szkic - by zrobić coś takiego, potrzebny był wrodzony talent i dobre oko.

Miała potargane włosy, długie palce oraz zadbane, aczkolwiek krótko przycięte i nie pomalowane paznokcie. Wyjęta z kieszeni okulary i włożyła je na nos. Miała na sobie obszerną bluzę i rdzawe spodnie.

Przyszło mu na myśl, że jest najbardziej oszałamiającą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Ponieważ w tym momencie stracił wątek, odwrócił się i odszedł na drugi koniec werandy.

- Proszę mówić do mnie „Ryan”. Mam nadzieję, że dzięki temu będę mógł zwracać się do pani per „Elizabeth”. Na pewno dobrze wiesz, jak błyskotliwa i zachwycająca jest twoja córka, ale muszę powiedzieć, że na mnie również wywarła ogromne wrażenie. Nie potrafię wyrazić, co poczułem, gdy dowiedziałem się, że wzięła urlop. „Zawód” to zdecydowanie zbyt łagodne określenie.

Słuchał przez chwilę, uśmiechając się do siebie. Zastanawiał się, czy Miranda zdaje sobie sprawę, że jej głos brzmi dokładnie tak samo, ilekroć usiłuje ukryć irytację.

- O tak, nie wątpię, że w Instytucie jest mnóstwo wspaniałych ludzi, którzy mogliby przejąć cały pomysł i wprowadzić go w życie, ale nie mam zamiaru pracować z nikim innym.

Chyba że będzie to Lois Brenshi z Chicagowskiego Instytutu Sztuki, zakładam, że znasz Lois... Tak. Jest bardzo kompetentna i spodobała jej się ta propozycja. Obiecałem jej, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin dam jej odpowiedź. Tylko dlatego pozwalałam sobie zwracać ci głowę w domu. Wolałbym Instytut i Mirandę, ale jeśli nie uda się tego szybko załatwić, będę zmuszony...

Zamilkł, uśmiechając się od ucha do ucha, ponieważ Elizabeth zaczęła się targować.

Bez najmniejszego skrępowania przerzucił nogę przez poręcz, usiadł na niej okrakiem i skierował wzrok na wybrzeże, obserwował pikujące w dół mewy. Pozwolił Elizabeth prowadzić pertraktacje, aż dała mu dokładnie to, czego chciał.

Rozmowa trwała czterdzieści minut. W tym czasie wszedł do kuchni, nałożył sobie na talerzyk krakersy, ser oraz oliwki, po czym wyniósł to na zewnątrz. Kiedy ustalenia dobiegły końca, on i Elizabeth umówili się, że w wieczór poprzedzający galę - obecnie nazywał to

„galą” - wypiją razem drinka i wzniosą toast za wspólne przedsięwzięcie.

Odłożył telefon i wziął oliwkę do ust.

- Mirando?

Wciąż szkicowała, całkiem pochłonięta trzecim ujęciem projektowanego ogrodu.

- Hmmm?

- Odbierz telefon.

- Co takiego? - Uniosła głowę nieco zdenerwowana, że jej przerywa. - Przecież wcale nie dzwoni.

Mrugnął.

- Zaczekaj chwilę, na pewno zadzwoni - uprzedził, a potem uśmiechnął się, kiedy z kuchni dobiegło brzęczenie.

- To Elizabeth. Na twoim miejscu udawałbym zaskoczenie... i nie okazywałbym zbytniego entuzjazmu.

- Zgodziła się?

- Odbierz telefon, a wtedy się dowiesz.

Miranda poderwała się, wbiegła do domu i podniosła słuchawkę.

- Halo, słucham?... Witaj, mamó. - Przycisnęła rękę do bijącego szybko serca i słuchała.

Wiadomość podana została w formie żądania, ale tego właściwie należało się spodziewać. Co więcej, Elizabeth przedstawiła wszystko jako fakt dokonany. Poleciała, by Miranda natychmiast przerwała urlop, skontaktowała się z Galerią Boldariego i rozpoczęła przygotowania. Musi dostosować swój harmonogram, ponieważ teraz najważniejsza jest wystawa, którą należy szybko opracować, zaplanować i zorganizować. Jej otwarcie ma się odbyć podczas drugiego weekendu maja.

- To zaledwie miesiąc. Jak...

- Zdaję sobie sprawę, że nie jest to zbyt długi okres na tak ogromne przedsięwzięcie, lecz pan Boldari ma również inne zobowiązania. Wspólnie z Andrew zajmą się rozreklamowaniem gali, a Vincente będzie nadzorował ich poczynania. Ty przez najbliższe cztery tygodnie masz się zajmować jedynie wystawą. Boldari ma wobec ciebie ogromne oczekiwania, Mirando, ja również.

Zrozumiano?

- Oczywiście. - Nieświadomie zsunęła okulary i zaczepiła je o kieszeń. - Zaczynam od zaraz. Giovanni...

- Nabożeństwo było śliczne. Jego rodzina dziękuje za kwiaty. Będę z tobą w kontakcie, Mirando. Mam nadzieję, że uda mi się tak ułożyć harmonogram, by przylecieć w pierwszym tygodniu maja i dopilnować ostatnich szczegółów. Postaraj się przesłać mi raport.

- Dostaniesz go. Do widzenia... Udało się - mruknęła Miranda po odłożeniu słuchawki. - Tak po prostu.

- Nie wspominałem o Giovannim - wyjaśnił Ryan.

- Ten pomysł nie może wyjść ode mnie. Wpadniesz na niego dopiero jutro, a po skonsultowaniu się ze mną i uzyskaniu mojej zgody, wyślesz matce notatkę na ten temat.

Postawił talerz na ladzie, wybrał dla niej krakersa i położył na nim ser.

- To właśnie z tego względu wszyscy najważniejsi pracownicy wszystkich instytucji prowadzonych przez Jonesów wezmą udział w tym wydarzeniu. Będą chcieli w ten sposób okazać jedność, wsparcie i szacunek.

- Przyjadą - mruknęła. - Już matka tego dopilnuje. Chociaż nie rozumiem, po co to wszystko.

- Jest to kwestia czysto logistyczna. Wszyscy ludzie związani z brązami równocześnie znajdą się w tym samym miejscu.

- Uśmiechnął się i zjadł następny kawałek sera. - Nie mogę się tego doczekać.

- Muszę zabrać się do roboty. - Przeczesała palcami włosy. - Mam zaprojektować wystawę.

- Ja jutro przylatuję z Nowego Jorku. Zatrzymała się w drzwiach i obejrzała się za siebie.

- Naprawdę?

- Tak. Porannym lotem. Miło będzie zobaczyć cię ponownie, doktor Jones.

- Dobrze, że wróciłaś. - Lori postawiła na biurku Mirandy filiżankę z gorącą kawą.
- Mam nadzieję, że pod koniec tygodnia twoje odczucia nadal będą takie same. Na pewno dam ci się nieźle we znaki.
- Poradzę sobie. - Lori dotknęła ramienia Mirandy. - Bardzo mi przykro z powodu Giovanniego. Wiem, że byliście przyjaciółmi. Nie ma wśród nas osoby, która by go nie lubiła.
- Wiem. - Masz na rękach jego krew. - Będzie nam go bardzo brakowało. Muszę popracować, Lori. Coś zrobić.
- W porządku. - Podeszła do krzesła, przygotowała ołówek i notes. - Od czego zaczynamy?

Miranda postanowiła się zająć kolejnymi etapami czekającej ją pracy.

- Umów mnie na spotkanie ze stolarzem. Weź Drubecka. Dobrze się spisał kilka lat temu podczas przygotowań do wystawy sztuki flamandzkiej. Muszę porozmawiać z radcą prawnym, podpisać kontrakty i oderwać kogoś od pracy naukowej. Potrzebuję człowieka, który potrafi szybko sprawdzać dane. Chcę mieć dziesięć minut na rozmowę z Andrew, poza tym zawiadam mnie, gdy przybędzie pan Boldari. Załatw nam lunch w barze dla VIP - ów, zrób rezerwację na pierwszą i dowiedz się, czy Andrew będzie mógł się do nas przyłączyć.

Sprawdź, jak postępują prace w pracowni konserwatorskiej. Chcę wiedzieć, kiedy zostaną ukończone dzieła z interesującej nas epoki. Zaproś w moim imieniu panią Collingsforth na podwieczorek, pozwól jej wybrać dzień tygodnia. Podczas tego spotkania ponownie skorzystamy z baru dla VIP - ów.

- Zamach na jej kolekcję?

Rysy Mirandy na chwilę stwardniały.

- Może uwierzy moim zapewnieniom, że miło by jej było, gdyby zobaczyła na tej wystawie swoje obrazy opatrzone gustowną mosiężną plakietką z napisem „wypożyczone z kolekcji... „.

Miranda doszła do wniosku, że jeśli sama nie zdoła przekonać pani Collingsforth, naśle na nią Ryana.

- Chcę znać dokładne wymiary Południowej Galerii. Jeśli nie znajdziesz ich w dokumentacji, załatw mi taśmę do mierzenia. Chciałabym mieć to jeszcze dzisiaj. Och, i poszukaj mi jakiegoś dekoratora.

Poruszający się zwawo ołówek Lori zamarł w bezruchu.

- Dekoratora?

- Chyba wiem, jak stworzyć odpowiedni... nastrój. Potrzebuję kogoś pomysłowego, pracowitego,

potrafiącego słuchać poleceń, a nie tylko je wydawać. - Miranda zabębniła palcami. O tak, doskonale wiedziała, czego pragnie, w najdrobniejszych szczegółach. - Chcę mieć tu deskę kreślarską, drugą każ mi przysłać do domu. Wyślij do Andrew notatkę z prośbą, żeby przysyłał mi wszystkie kopie dotyczące reklamy i balu, na którym przeprowadzona zostanie zbiórka pieniędzy. O każdej porze łącz ze mną pana Boldariego i zadbaj o spełnienie wszystkich jego życzeń.

- Oczywiście.

- Chcę porozmawiać z ochroną.

- W porządku.

- Za cztery tygodnie poproś mnie o podwyżkę. Lori uśmiechnęła się.

- Zrobię to z ogromną przyjemnością.

- Zaczynamy.

- Jedna sprawa. - Lori zamknęła notatnik. - Na twojej automatycznej sekretarce jest wiadomość. Zostawiłam ją tam, ponieważ ten ktoś mówi po włosku, więc nie wszystko zdołałam zrozumieć.

Wstała, cofnęła licznik i włączyła nagranie. Natychmiast usłyszała rozgorączkowany głos i potok włoskich słów. Trochę poirytowana Miranda zatrzymała taśmę i ponownie zaczęła jej słuchać, tym razem tłumacząc w myślach słyszany tekst.

Doktor Jones, muszę z panią porozmawiać. Próbuję do pani dotrzeć. Nikt inny mi nie wierzy. Nazywam się Rinaldi, Carlo Rinaldi. To ja znalazłem tę Damę. Trzymałem ją u siebie.

Wiem, że jest prawdziwa. Pani na pewno zdaje sobie sprawę, że nie kłamię. Czytałem w gazetach, że pani w nią uwierzyła. Nikt nie chce mnie wysłuchać. Nikt nie zwraca uwagi na mężczyznę takiego jak ja, ale pani jest ważną osobą, na dodatek naukowcem. Pani na pewno uwierzą. Proszę do mnie zadzwonić. Porozmawiamy. Oboje wiemy swoje. Koniecznie musimy dowieść prawdy, tymczasem nikt mnie nie słucha. Pani matka wyrzuciła mnie ze swojego biura. Potraktowała mnie jak żebraka lub jakiegoś złodzieja. Rząd myśli, że pomogłem dokonać fałszerstwa. To kłamstwo. Wierutne kłamstwo. Pani dobrze o tym wie. Proszę, może razem spróbujemy powiedzieć wszystkim prawdę.

Dwukrotnie wyrecytował numer telefonu, po czym powtórzył swoją prośbę.

Teraz już nie żyje, pomyślała Miranda, kiedy wiadomość dobiegła końca. Prosił, żeby mu pomogła, ale jej nie było. A teraz już nie żyje.

- Co to było? - Widząc, że Miranda jest zdruzgotana, zmartwiona Lori dotknęła jej ramienia. - Umiem po włosku tylko zamówić spaghetti. Czy to zła wiadomość?

- Nie - mruknęła Miranda. - Nieaktualna. Spóźniłam się. - Skasowała nagranie, wiedziała jednak, że wiadomość zostawiona przez nie żyjącego już człowieka na długo zapadnie jej w pamięć.

Dobrze było z powrotem znaleźć się w pracy, mieć przed sobą określone zadania i cele. Jeśli o to chodzi, Ryan miał całkowitą rację. Musiała coś zrobić.

Odwiedzała właśnie dział konserwatorski, chcąc osobiście sprawdzić, jak posuwają się prace nad Bronzinem, kiedy pojawił się John Carter.

- Mirando. Usiłowałem cię złapać. Witaj w domu.

- Dzięki, John. Cieszę się, że wróciłam. Zdjął okulary i wyczyścił je o laboratoryjny kitel.

- To okropne, co stało się z Giovannim. Nie mogę się z tym pogodzić.

Przez chwilę widziała leżące w kałuży krwi ciało i otwarte oczy.

- Wiem. Miał tutaj wielu przyjaciół.

- Wczoraj musiałem przekazać tę wiadomość naszym pracownikom. Laboratorium przypomina teraz kostnicę. - Wydał policzki i wypuścił powietrze z płuc. - Będzie mi go bardzo brakowało. Ilekroć przyjeżdżał tu na kilka dni, zawsze potrafił wszystko ożywić. Tak czy inaczej chcielibyśmy coś dla niego zrobić. Padło kilka pomysłów, ale wszyscy opowiadają się za zasadzeniem drzewka w parku. Wielu z nas przy dobrej pogodzie wychodzi tam podczas przerwy na lunch, dlatego przyszło nam na myśl, iż byłby to dobry sposób uczczenia jego pamięci.

- Jestem tego samego zdania, John. Na pewno Giovanni byłby z tego bardzo zadowolony.

- Chciałem to wcześniej z tobą uzgodnić. W końcu wciąż jesteś dyrektorką laboratorium.

- Uważaj sprawę za załatwioną. Mam jednak nadzieję, że chociaż jestem waszym szefem, pozwolicie mi zasilić ten fundusz.

- Wszyscy wiedzą, że byliście przyjaciółmi. To jest najważniejsze.

- Ty również spędzałeś z nim sporo czasu, kiedy tu był i wtedy gdy sam wyjeżdżałeś, by popracować w Standjo.

- Tak, zazwyczaj powtarzał, że jestem strasznym konserwatorem. - Carter uśmiechnął

się z rozrzewnieniem. - Miał na myśli „konserwatystę”, ale tak mnie to bawiło, że nigdy go nie poprawiałem. Często nakłaniał mnie, żebyśmy gdzieś wyszli i wspólnie wypili butelkę wina lub zjedli posiłek. Mawiał, że musi mnie nieco „wykoleić” i obiecywał, że nauczy mnie, jak flirtować z ładnymi dziewczynami. Potem prosił, żeby pokazać mu najnowsze zdjęcia moich dzieciaków.

Głos mu się załamał, a w oczach błysnęły łzy, więc szybko się odwrócił i odchrząknął.

- Zajmę się tym drzewkiem.

- Dziękuję, John. - Miranda również się odwróciła. Było jej wstyd, że zarażona podejrzliwością Ryana próbowała sprawdzić, czy smutek tego człowieka jest prawdziwy.

- Mam nadzieję, że wkrótce wrócisz do laboratorium. Bardzo nam ciebie brakuje.

- Będę tu wpadać, ale na razie przez kilka tygodni będę miała na głowie coś ważniejszego.

- Wystawę prezentującą cały renesans. - Kiedy na niego zerknęła, ponownie zdobył się na uśmiech. - Gdyby udało ci się założyć tu podsłuch, usłyszałybyś mnóstwo plotek. Tego typu ogromna wystawa pozwoli nam pozbyć się niesmaku, jaki zostawiło po sobie włamanie.

To bardzo dobry pomysł.

- Tak, mamy zamiar... - Zamilkła, zauważywszy wchodzącego do laboratorium inspektora Cooka. - Przepraszam, John, chyba lepiej będzie, jeśli się nim zajmę.

- Tak... Zupełnie tego nie rozumiem. - Obniżył głos do szeptu. - Ten człowiek działa mi na nerwy. Zachowuje się tak, jakby wszystkich o coś podejrzewał.

Ledwo skinąwszy Cookowi głową, wymknął się cichutko, a jego zniszczone buty nie wydawały prawie żadnego dźwięku.

- Witam, inspektorze. Co mogę dla pana zrobić?

- Ma pani tu niezłe układy, doktor Jones. - Zamiast wyjąć okulary, przymrużył oczy i spojrzał na obraz. - To oryginał, prawda?

- Tak, namalował go Bronzino. Wioski artysta renesansowy z szesnastego wieku. To płótno jest dumą Instytutu. Właściciel zgodził się wypożyczyć je na naszą wystawę.

- Czy mógłbym zapytać, co ta pani robi? Konserwatorka zerknęła na niego zza szkieł powiększających.

- Ten obraz pochodzi z kolekcji, która swego czasu została bardzo zaniedbana przez pewnego odludka z Georgii - wyjaśniła Miranda. - Tak samo jak kilka innych płócien jest trochę zniszczony - zbyt długo był wystawiony na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, poza tym dał mu się we znaki kurz oraz wilgoć. Czyścimy go. Jest to bardzo długi proces i należy wykonywać go niezwykle starannie. Nie chcemy zniszczyć tej pracy, dlatego pochłania nam to mnóstwo czasu i wymaga ogromnych umiejętności. Obecnie staramy się uzupełnić ubytki farby. Aby zachować charakter dzieła, używamy wyłącznie składników, które można było dostać w czasach, kiedy ono powstawało. To wymaga długotrwałych badań, talentu i cierpliwości. Gdy skończymy, obraz będzie wyglądał tak samo jak w chwili, kiedy ukończył go artysta.

- To bardzo przypomina prowadzenie śledztwa - skomentował.

- Doprawdy?

- Jest to również bardzo długi proces i należy wszystko robić niezwykle starannie: nie można ryzykować spapraniem sprawy. Wykorzystujemy jedynie informacje, które udało nam się sprawdzić. Wszystko wymaga długotrwałych badań i swego rodzaju talentu - powiedział z nieśmiałym uśmiechem. - I cholernej cierpliwości. Jeśli zrobi się to dobrze, po zakończeniu otrzymuje się całościowy obraz.

- Bardzo ciekawa analogia, inspektorze. - Na dodatek niesamowicie denerwująca. - A otrzymał pan już całościowy obraz?

- Nie, jedynie drobne kawałeczki, doktor Jones. Jedynie drobne kawałeczki. - Sięgnął

do kieszeni i wyjął z niej otwartą paczkę owocowej gumy do żucia. - Spróbujcie pani?

- Nie, dziękuję.

- Rzuciłem palenie. - Wyjął jedną sztukę, odpakował, a potem wsunął papierek do kieszeni. - Wciąż mnie do tego ciągnie. Wytrzymuję, przyznam się jednak, że często jestem bliski załamania. Pali pani?

- Nie.

- To dobrze. Zazwyczaj wypalałem dwie paczki dziennie. Potem się zaczęło: tu nie wolno palić, tam nie wolno palić. Czasami próbowałem zaciągnąć się kilka razy w szafie albo wychodziłem na zewnątrz, na deszcz. Czuję się jak kryminalista. - Ponownie się uśmiechnął.

Miranda z trudem oparła się chęci przestąpienia z nogi na nogę, więc zaczęła sobie wyobrażać, że przytupuje i pstryka palcami.

- Jestem pewna, że trudno porzucić takie przyzwyczajenie.

- W końcu jednak jest to nałóg. Trudno wyrwać się z uzależnienia. Ono potrafi pokierować ludzkim życiem, czasem popycha nawet do robienia rzeczy, których w żadnym innym wypadku by się nie zrobiło.

Cook wie o problemach Andrew. Widziała to w jego oczach i doszła do wniosku, że gliniarzowi wręcz zależy na tym, by to zauważyła.

- Nigdy nie paliłam - stwierdziła spokojnie. - Czy przejdzie pan do mojego biura?

- Nie, nie, nie będę pani długo zatrzymywał. - Wciągnął powietrze w płuca i poczuł

zapach farby, terpentyny oraz jakiegoś środka czystości. - Nie przypuszczałem, że w ogóle panią spotkam, ponieważ powiedziano mi, że jest pani na urlopie. Zrobiła sobie pani niewielkie wakacje?

Miała zamiar przytaknąć. Nie wiedziała, czy powstrzymał ją przed tym instynkt czy zwyczajny strach.

- Na pewno doskonale pan wie, inspektorze, że kazano mi wziąć ten urlop z powodu włamania i pewnych kłopotów, które były wynikiem mojej zeszłomiesięcznej wyprawy do Florencji.

Cook doszedł do wniosku, że Miranda jest szybka, ale rzadko popełnia błędy.

- Słyszałem coś na ten temat. Następny brąz, prawda? Miała pani jakiś problem z potwierdzeniem jego autentyczności.

- Nie sądzę, chociaż niektórzy tak uważają. - Odsunęła się od obrazu, doskonale zdając sobie sprawę, że wszyscy wokół nadstawiają uszu.

- Ale to i tak przysporzyło pani trochę kłopotów. Dwa brązy. To zabawne, nie sądzi pani?

- Dla mnie nie ma w tym nic zabawnego, zwłaszcza że w grę wchodzi moja zawodowa opinia.

- Jestem w stanie to zrozumieć. Chociaż nie było pani zaledwie kilka dni.

Tym razem nawet się nie wahała.

- Trwałoby to znacznie dłużej, ale zaczynamy przygotowywać ważne wydarzenie kulturalne ściśle związane z moją dziedziną wiedzy.

- Ktoś mi o tym wspomniał. Słyszałem także o waszym człowieku we Włoszech.

Morderstwo. Na dodatek brutalne.

W jej oczach pojawiła się rozpacz, dlatego odwróciła wzrok.

- Był moim przyjacielem.

- Nie domyśla się pani, kto mógł w taki sposób wyprawić go na tamten świat?

Spojrzała na niego chłodno.

- Panie inspektorze, gdybym wiedziała, kto rozwalił głowę mojemu przyjacielowi, byłabym we Florencji i rozmawiała z policją.

Cook przesunął w ustach gumę do żucia.

- Wydawało mi się, że nie ujawniono informacji o pęknięciu czaszki.

- Powiedziano o tym mojej matce - wyjaśniła tym samym chłodnym tonem - a także rodzinie Giovanniego.

- Mogła się jedynie modlić, by naprawdę tak było. - Czy prowadzi pan dochodzenie w sprawie tamtego morderstwa czy naszego włamania?

- To zwykła ciekawość. Gliniarze z natury są wścibscy.

- Rozłożył ręce. - Przyszedłem, ponieważ zdaniem pani brata między obydwoma tymi wypadkami może istnieć jakieś powiązanie.

- Tak, mówił mi o tym. Czy pan również tak uważa?

- Czasami niczego nie widać, póki człowiek nie wejdzie na sam wierzchołek. Pani potwierdziła również autentyczność, och... - Wyjął notes, przerzucił go, jakby próbował coś sobie przypomnieć. - Szesnastowiecznej brązowej figurki przedstawiającej Dawida, wykonanej w stylu Leonarda.

Chociaż poczuła, że jej dłonie stają się wilgotne, zdołała się jednak powstrzymać i nie wytarła ich w spodnie.

- To prawda.

- Wygląda na to, że od tego czasu nikt nie widział papierów dotyczących tej rzeźby - raportów, dokumentacji, zdjęć.

- Andrew powiedział mi również o tym. Przypuszczam, że złodziej razem z brązem zabrał dokumenty potwierdzające jego autentyczność.

- To ma sens, ale w takim razie musiałyby wiedzieć, gdzie ich szukać, prawda?

Chwilowe wyłączenie kamer świadczy o tym, że był w środku... - ponownie przerzucił kartki.

- Około dziesięciu minut. Musiałby być szybki jak błyskawica, gdyby chciał w tym czasie odbyć przechadzkę do laboratorium po notatki. Osobiście pokonałem tę trasę energicznym krokiem. Zajęło mi to całą minutę. Niby nie tak dużo, ale jeśli ma się do dyspozycji osiem do dziesięciu minut, to już jest kawał czasu.

Nie mogła sobie pozwolić na to, by odwrócić wzrok lub powiedzieć coś łamiącym się głosem.

- Pragnę pana zapewnić, że dokumenty istniały, a teraz zniknęły, tak samo jak brąz.

- Czy ludzie często pracują tu wieczorami, po godzinach? Tak jak pani przyjaciel we Florencji?

- Od czasu do czasu, ale dotyczy to jedynie pracowników zajmujących wyższe stanowiska. Po zamknięciu budynku ochrona nie wpuściłaby do środka nikogo innego.

- A więc mógłby to być ktoś taki jak pani i pani brat, kiedy tydzień po włamaniu weszliście do laboratorium.

- Słucham?

- Mam oświadczenie strażnika, który pracował na nocnej zmianie. Jego zdaniem dwudziestego trzeciego marca o wpół do trzeciej w nocy zadzwoniła pani i poinformowała go, że wraz z doktorem Jonesem przyjeżdża pani do Instytutu, by popracować w laboratorium. Czy to się zgadza?

- Nie mam zamiaru zaprzeczać.

- Pracuje pani po nocach?

- Rzadko. - Czuła łomotanie serca, mimo to miała na tyle spokojne ręce, że zdołała poprawić poluźnioną spinkę we włosach. - Postanowiliśmy przyjechać i popracować, póki w Instytucie panuje spokój. Czy to się panu nie podoba?

- Nie, nie. Jedyne wszystko sobie porządkuję w głowie.

- Wsunął notes i ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Wie pani, trudno tu znaleźć spinacz do papieru położony nie na swoim miejscu.

Oboje z bratem musicie bardzo lubić porządek.

- W domu zostawia skarpetki na podłodze w salonie i nigdy nie kładzie swoich kluczy dwa razy w tym samym miejscu. - Przyszło jej na myśl, że chyba zaczyna być w tym za dobra. Czyżby w jakiś przewrotny sposób podobała jej się zabawa z gliniarzem?

- Idę o zakład, że pani... zawsze pilnuje porządku. I na pewno za każdym razem kładzie pani wszystko w tym samym miejscu. Rutyna, przyzwyczajenie.

- Może pan nazwać to nawet nałogiem. - Doszła do wniosku, że rzeczywiście w jakiś sposób sprawia jej to przyjemność. Była zadowolona, że się nie poddaje. - Inspektorze, za chwilę mam spotkanie, nie mogę poświęcić panu więcej czasu.

- Nie miałem zamiaru tak długo pani trzymać. Przepraszam, że zająłem pani tyle czasu, i dziękuję za wyjaśnienia - dodał, gestem ręki pokazując obraz. - Wygląda na to, że jest przy nim bardzo dużo roboty. Chyba łatwiej byłoby namalować go od nowa.

- Tylko wówczas nie byłby to Bronzino.

- Wielu ludzi nie dostrzegłoby różnicy. Pani tak. - Kiwnął do niej głową. - Idę o zakład, że na pierwszy rzut oka jest pani w stanie rozpoznać falsyfikat.

Zastanawiała się, czy naprawdę cała krew odpłynęła jej z twarzy, czy było to jedynie wrażenie. Podszedł tak blisko i zrobił to tak szybko, że nawet tego nie zauważyła zajęta gra-tulowaniem sobie idealnego odegrania swojej roli.

- Nie zawsze. Jeśli falsyfikat jest dobrze zrobiony, nie wystarczy go po prostu obejrzeć. Trzeba przeprowadzić testy laboratoryjne.

- Takie, jakie pani prowadzi tutaj i jakie robiła pani w zeszłym miesiącu we Florencji?

- Tak, właśnie takie. - Czuła, że po plecach spływa jej cienka strużka zimnego potu. -

Jeśli to pana interesuje, mogę zorganizować badanie pokazowe, ale nie w tej chwili - rzekła, zerkając na zegarek. - Naprawdę... - Kiedy w drzwiach pojawił się Ryan, urwała, czując równoczesną ulgę i zdenerwowanie.

- Mirando, tak się cieszę, że cię widzę. Twoja sekretarka powiedziała mi, że cię tu znajdzie. - Okazując dobre maniere, uniół jej rękę do ust. - Przepraszam, że się trochę spóźni-

łem. Był potworny ruch.

- Nic się nie stało. - Usłyszała własną odpowiedź, choć wcale nie czuła, że rusza wargami. - Chwilowo byłam zajęta. Inspektor Cook...

- O tak, spotkaliśmy się już wcześniej, prawda? - Ryan wyciągnął rękę. - Tego ranka po włamaniu do Instytutu. Mam nadzieję, że śledztwo posuwa się do przodu.

- Pracujemy nad tym.

- Jestem tego pewien. Nie chciałbym przeszkadzać. Czy mam poczekać na ciebie, Mirando, w twoim biurze?

- Tak. Nie. Czy to już wszystko, inspektorze?

- Tak, proszę pani. Cieszę się, panie Boldari, że nie zniechęciła pana kradzież, której tu dokonano. Nie każdy wypożyczyłby tyle wspaniałych dzieł sztuki po takiej kompromitacji tutejszej ochrony.

- Darzę doktor Jones i Instytut pełnym zaufaniem. Jestem pewien, że moja własność będzie tu odpowiednio strzeżona.

- Mimo to nie zaszkodziłoby zatrudnić kilku dodatkowych ludzi.

- Zrobiliśmy to już - oznajmiła Miranda Cookowi.

- Mógłbym podać pani nazwiska kilku dobrych gliniarzy, którzy dorabiają na boku, zajmując się ochroną prywatnych budynków.

- To miło z pana strony. Proszę zostawić je mojej sekretarce.

- Nie ma sprawy, doktor Jones. Zegnam pana, panie Boldari.

Wychodząc za drzwi, Cook doszedł do wniosku, że tę dwójkę coś łączy. Może tylko seks, a może coś więcej.

Poza tym coś dziwnego jest w samym Boldarim. Właściwie trudno mu coś zarzucić, ale i tak jest w nim coś dziwnego.

- Ryane...

Przerwał Mirandzie niemal niezauważalnym potrząśnięciem głowy.

- Bardzo mi przykro, że nie udało ci się odzyskać swojej własności.

- Jeszcze... nie zrezygnowaliśmy. Zamówiłam lunch w naszym barze dla VIP - ów.

Uznałam, że tym sposobem będziemy mieli czas na przejrzanie niektórych planów dotyczących wystawy.

- Świetnie. - Podał jej ramię. - Chętnie posłucham, jak sobie wszystko wyobrażasz. -

Ruszył korytarzem, a potem schodami w górę, przez cały czas podtrzymując banalną rozmowę, aż znaleźli się zupełnie sami w małym eleganckim barze. - Czy długo cię wypytywał?

- Mam wrażenie, że całe życie. Mówił coś o falsyfikatach i chciał wiedzieć, czy potrafię rozpoznać oryginał na pierwszy rzut oka.

- Rzeczywiście. - Stół był już nakryty na trzy osoby, znajdowała się na nim również zakąska: krakersy i paszтет z czarnymi oliwkami. - To bystry gliniarz, chociaż odgrywanie Columbo nie bardzo mu wychodzi.

- Columbo?

- Porucznik Columbo. - Ryan ugryzł krakersa. - Peter Falk, tanie cygaro, wymięty trenecz. - Kiedy nadal patrzyła, nie rozumiejąc o kim mowa, potrząsnęła głową. - Twoja edukacja w dziedzinie kultury masowej ma spore braki. Nieważne.

- Machnął ręką. - W rzeczywistości nim wszystko dobiegnie końca, Cook może się nam bardzo przydać.

- Ryane, jeśli on dopatry się związku między tymi wydarzeniami, jeśli podaży dalej w tym kierunku, może odkryć, że falsyfikat jest w twoich rękach.

- Nie dotrze ani do mnie, ani do ciebie. Mniej więcej za miesiąc nie będę miał

falsyfikatów, lecz oryginały. I oboje uratujemy naszą nadszarpniętą reputację.

Przycisnęła palce do oczu i próbowała sobie wyobrazić, jak bardzo będzie wówczas zadowolona, ale jej się to nie udało.

- Nie wiem, jak do tego doprowadzisz.

- Musisz mi zaufać, doktor Jones. To moja specjalność.

- Gestem ręki pokazał trzecie nakrycie. - Kto się do nas przyłączy?

- Andrew.

- Nie wolno ci go wtajemniczać w nasze plany. Mirando.

- Wiem. - Złożyła ręce, jakby chciała je załamać.

- Usiłuje wrócić do normalnego życia. Nie mam zamiaru przysparzać mu zmartwień, zdradzając, że biorę udział w planowaniu rabunku.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z naszymi przewidywaniami, to nie będzie rabunek -

wyjaśnił, ujmując jej dłonie, by ją nieco uspokoić. - Przecież jedynie próbujemy odzyskać to, co zostało skradzione. Może więc lepiej przyjmijmy, że starasz się odzyskać swoją własność.

- To wcale nie umniejsza samego przestępstwa. Nie sprawia, że czuję się mniej winna, kiedy Cook patrzy na mnie podejrzliwie i pyta o falsyfikaty.

- Dałaś sobie z nim radę.

- Nawet zaczęło mi to sprawiać przyjemność - mruknęła. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Każdy krok, który wykonuję lub zamierzam wykonać, jest sprzeczny z prawem.

- Sprzeczny czy zgodny? - Delikatnie wzruszył ramionami. - Granica między jednym a drugim przesuwa się znacznie częściej, niż przypuszczasz.

- Dla mnie nie, Ryane. Moja granica zawsze znajdowała się w tym samym miejscu. -

Odwróciła się. - Na mojej automatycznej sekretarce w Instytucie była wiadomość. Zostawił ją Carlo Rinaldi.

- Rinaldi? - Odłożył krakersa, którego właśnie smarował. - Czego chciał?

- Pomocy. - Zamknęła oczy. Teraz nikomu już nie pomaga, myśli tylko o sobie, czyli kim jest? - Prosił mnie o pomoc. Nikt nie chciał mu wierzyć, że brąz był autentyczny.

Widocznie wybrał się do mojej matki, ponieważ powiedział, że wyrzuciła go ze swojego biura. Uważał mnie za jedyną osobę, która może mu pomóc w udowodnieniu, że się nie mylił.

- Przecież właśnie masz zamiar to zrobić.

- Ale on nie żyje, Ryane. On i Giovanni nie żyją. Teraz nie mogę już im pomóc.

- Nie jesteś odpowiedzialna za to, co im się przydarzyło. Naprawdę - uparł się, odwracając do siebie jej twarz.

- Lepiej zadaj sobie jedno pytanie... - Przytrzymał ją pewnie za ramiona i przez cały czas spokojnie patrzył jej w oczy.

- Czy twoim zdaniem któryś z nich chciałby, żebyś wycofała się, nim udowodnisz, że ten brąz jest prawdziwy? Zanim udowadniając to, będziesz w stanie wskazać osobę, która ich zabiła?

- Nie wiem. Nigdy nie będę tego wiedziała. - Nabrała powietrza w płuca, a potem powoli je wypuściła. - Wiem jednak, że nie spocznę, dopóki nie doprowadzę sprawy do końca. Jeden prosił mnie o pomoc, a drugi wyświadczył mi przysługę. Nie mogę się wycofać.

- Ta granica jest ruchoma, Mirando. Tym razem przesunął ją ten, kto ich zabił.

- Pragnę zemsty. - Zamknęła oczy. - Bez przerwy czekam, kiedy zacznę się tego wstydzić, ale to nie następuje. Nie potrafię się tego wstydzić.

- Kochanie, czy zawsze powątpiewasz w każdą odczuwaną przez siebie ludzką emocję?

- Wydaje mi się, że ostatnio przeżywam ich znacznie więcej. Dlatego mam kłopoty z logicznym myśleniem.

- Chcesz myśleć logicznie? Pomogę ci. Spróbuj zapoznać mnie ze swoimi planami dotyczącymi wystawy.

- Wcale cię to nie interesuje.

- Ależ tak. Galeria Boldariego wypożycza ci kilka cennych eksponatów. - Uniósł jej dłoń do ust. - Muszę wiedzieć, co masz zamiar z nimi zrobić. To są sprawy zawodowe.

- Ryane... - Nie była pewna, co chce powiedzieć, i nie udało jej się dokończyć zdania, ponieważ w otwartych drzwiach pojawił się Andrew.

- Sprawy szybko posuwają się do przodu - skomentował, zerkając na splecione dłonie Ryana i Mirandy.

- Cześć, Andrew. - Ryan opuścił rękę Mirandy, ale nadal jej nie uwalniał.

- Może mi powiecie, co się tutaj dzieje?

- Z ogromną przyjemnością. Postanowiliśmy przystąpić do realizacji naszych wcześniejszych planów dotyczących wymiany między moją Galerią a waszym Instytutem.

Rozszerzyliśmy nieco jej zakres. Dzięki temu zbierzemy mnóstwo pieniędzy na NEA, a przy okazji umożliwimy Mirandzie powrót do pracy.

Ryan odwrócił się do stolika, wziął do ręki karafkę i nalał trzy szklanki wody.

- Twoja matka podeszła do tego pomysłu z ogromnym entuzjazmem.

- Tak, rozmawiałem z nią. - W jakimś stopniu zapewne przyczyniło się to do pogorszenia jego nastroju. - Oznajmiła mi, że dzwoniłeś do niej z Nowego Jorku.

- Naprawdę? - Ryan z uśmiechem podał im szklanki. - Widocznie uznała, że tam właśnie jestem. Może lepiej nie wyprowadzajmy jej i wszystkich pozostałych z błędu? Tak będzie znacznie prościej. Miranda i ja wolelibyśmy zachować nasze uczucie w tajemnicy.

- W takim razie nie powinniście chodzić po całym budynku, trzymając się za ręce. To jedynie woda na młyn plotek.

- Nie mam zamiaru się tym przejmować, a ty? - zapytał Mirandę, a potem nim zdołała się odezwać, ciągnął: - Miranda właśnie miała zamiar mi powiedzieć, jak wyobraża sobie wystawę. Ja również mam kilka pomysłów, zwłaszcza jeśli chodzi o galę. Może porozmawiamy na ten temat.

Dochodząc do wniosku, że tak będzie najlepiej, Miranda pierwsza zabrała głos.

- To będzie dla nas bardzo ważne wydarzenie, zwłaszcza dla mnie. Jestem wdzięczna, że Ryan chce zrealizować ten zamiar. Dzięki temu wróciłam do Instytutu, Andrew, i znajduję się tu, gdzie powinnam być. Pomijając wszystko inne, od lat marzyłam o takiej właśnie wystawie. To dlatego jestem taka zadowolona i tak błyskawicznie wprowadzam własne pomysły w życie; wszystkie od dawna tkwiły w mojej głowie. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Po tym co stało się we Florencji, matka nigdy nie dałaby mi szansy, gdyby Ryan nie uparł się, że chce pracować tylko ze mną.

- Wiem. W porządku. Może ostatnio nieco więcej czasu zajmuje mi zmiana biegów.

- Ale u ciebie wszystko w porządku?

- Nie piję. Od trzech dni - powiedział z bladym uśmiechem. I mam za sobą dwie noce pocenia się, dreszczy i rozpaczy. - Nie chcę cię w to wprowadzać, Mirando.

- W porządku. - Opuściła rękę. Wyglądało na to, że teraz oboje mają swoje sekrety. -

Powiem szefowi lokalu, żeby przygotowano nam lunch.

To nie w porządku, całkiem nie w porządku. Ona nie miała prawa wrócić do Instytutu.

Nie dopuszczę do tego, by zniszczyła moje plany. Nie zgodzę się na to. Tyle lat czekania, tak wiele poświęceń. Czarna Dama jest moja. Sama do mnie przyszła, a w jej chytrym uśmiechu udało mi się dostrzec bratnią duszę, osobę, która potrafiła czekać, obserwować, planować i powoli zbierać siły. Dopiero ten uśmiech podpowiedział mi, w jaki sposób mogę zniszczyć wszystkich swoich wrogów. Jak wziąć to, co do mnie należy, co zawsze do mnie należało.

Udało mi się zniszczyć Mirandę. Naprawdę udało mi się tego dokonać.

Ręka pisząca te słowa zaczęła drżeć. Pióro nerwowo poruszało się po stronicach pamiętnika, a w pokoju słychać było niespokojny oddech. Powoli jednak wszystkie ruchy ustały, a oddech wyrównał się i pogłębił.

Od czasu do czasu trudno było zapanować nad zazwyczaj zręcznymi palcami i zdecydowanym wyrachowanym umysłem. Na szczęście wciąż udawało się je okiełznać.

Wymagało to ogromnego wysiłku, ale było możliwe.

Uznajmy, że to chwilowe ulaskawienie, kilka tygodni w oku cyklonu. Doprowadzę do tego, żeby mi zapłaciła, żeby wszyscy zapłacili za to, czego mi odmówili. Czarna Dama wciąż jest moja. Razem dokonamy morderstwa.

Miranda ma falsyfikat. To jedyne wyjaśnienie. Policja nie znalazła narzędzia zbrodni.

To do niej zupełnie niepodobne. Zdobyła się na bardzo śmiałe posunięcie - przyjechała do Florencji i ukradła brąz. Kto mógł przewidzieć, że takie działanie leży w jej naturze. Było to coś, co całkiem mnie zaskoczyło, dlatego nie zostało uwzględnione w moim równaniu.

Po raz drugi nie popełnię już tego błędu.

Czy stała i patrzyła na Giovanniego? Czy w jej oczach widać było przerażenie i strach

? Och, mam nadzieję, że tak. A może ten strach nadal ją prześladowuje, jak pies, który stara się ją dopaść?

Tak jest, wiem, że tak jest. Uciekła z powrotem do Maine. Czy ze zdenerwowania wciąż ogląda się przez ramię, nawet przechodząc przez oświetlone korytarze Instytutu? Czy gdzieś w głębi duszy zdaje sobie sprawę, że zostało jej niewiele czasu?

Zawieśmy zatem chwilowo wykonanie kary. Niech się cieszy władzą, na którą wcale sobie nie zasłużyła. Dzięki temu milej będzie, gdy raz na zawsze wszystko straci.

Moje plany nigdy nie przewidywały zamordowania jej. Ale plany się zmieniają.

Kiedy umrze, a jej reputacja zostanie całkiem zniszczona przez skandal, zapłaczę na jej grobie. Będą to łzy tryumfu.

Fałszywy wąsik swędział i prawdopodobnie był niepotrzebny. Tak samo jak szkła kontaktowe, dzięki którym jego brązowe oczy nabrały nieokreślonego piwnego koloru, i długa jasna peruka uczesana w koński ogon. Starannie rozjaśnił twarz i każdy centymetr odsłoniętej skóry, nadając jej blady, ziemisty kolor charakterystyczny dla człowieka, który woli przebywać z dala od promieni słońca.

W jego prawym uchu połyskiwały trzy kolczyki, a na nosie tkwiły różowe okulary w drucianych oprawkach. Podobał mu się oglądany przez nie świat.

Starannie wybrał garderobę. Włożył dopasowane czerwone spodnie, szafranową jedwabną koszulę z szerokimi rękawami i czarne skórzane botki na niewielkich obcasach.

W końcu wcale nie chciał być subtelny.

Sprawiał wrażenie młodego człowieka, który chce koniecznie żyć zgodnie z nakazem mody i sprawiać wrażenie artysty, przy czym nie zawsze wykazuje najlepszy smak. Widział

w życiu wystarczająco wielu tego typu ludzi, by wiedzieć, jak się poruszają, i znać ich sposób wysławiania się.

Przejrzał się w lusterku wstecznym niewielkiego sedana pochodzącego z wypożyczalni wraków. Jazda tym samochodem wcale nie była przyjemnością, mimo to zdołał

przejechać nim sto kilkanaście kilometrów i dotrzeć do Pine State Foundry. Miał nadzieję, że kiedy już wszystko załatwi, uda mu się wrócić na wybrzeże.

Wyjął z samochodu tanią zniszczoną teczkę ze sztucznej skóry. Miał w niej dziesiątki szkiców - większość z nich pożyczył od Mirandy, jeśli można to tak określić.

Doszedł do wniosku, że falsyfikat *Dawida* musiał gdzieś zostać odlany. Ze względu na pośpiech prawdopodobnie zrobiono to na miejscu, a ta odlewnia znajdowała się najbliżej Instytutu. Wystarczyło pobieżnie przejrzeć notatki, by zorientować się, że to właśnie z niej zazwyczaj korzystali zarówno pracownicy, jak i studenci.

Przyglądał się uważnie odlewni. Wyjął z opakowania miętową gumę do żucia i włożył

ją do ust. Pomyślał, że fabryka wygląda jak blizna na zboczu wzgórza. Brzydkie ceglane i metalowe elementy sterczały ku niebu, a z kominów buchał dym. Zastanawiał się, w jakim stopniu łamane są tu przepisy Agencji Ochrony Środowiska, potem jednak przypomniał sobie, że to nie jego sprawa.

Odrzuciwszy koński ogon na plecy, przełożył pasek teczki przez ramię i skierował się w stronę niskiego blaszaka z zakurzonymi oknami.

Postukiwał obcasami i oczywiście cicho pogwizdywał.

W środku znajdował się długi kontuar z metalowymi półkami wypchanymi grubymi segregatorami oraz plastikowymi pojemnikami wypełnionymi haczykami, wkrętami i trudnymi do opisanego ogromnymi metalowymi elementami. Przy kontuarze na wysokim taborecie siedziała kobieta, która przerzucała kartki egzemplarza „Dobrej Gospodyni”.

Zerknęła na Ryana. Uniosła brwi i zmierzyła go od stóp do głów. Nawet nie starała się ukryć delikatnego uśmiešku wyższości.

- Czym mogę służyć?

- Nazywam się Francis Kowowski, jestem studentem Instytutu Historii Sztuki w Nowej Anglii.

Skrzywiła się. Poczowała, że pachnie czymś przypominającym maki. Na litość boską, jaki mężczyzna używa takiego zapachu?

- Naprawdę?

- Tak. - Podszedł bliżej, udając podniecenie. - Kilku kolegów z mojego roku odlewało tutaj brązy. To moja dziedzina sztuki. Jestem rzeźbiarzem. Właśnie przeniosłem się do Instytutu.

- Nie jesteś trochę za stary na studenta?

Udało mu się zarumienić.

- Dopiero teraz mogę sobie pozwolić na zrealizowanie... Rozumie pani, finansowo. -

Starał się sprawiać wrażenie nieszczęśliwego i zażenowanego, bo dzięki temu łatwiej mógł trafić do serca urzędniczki.

- Tak, to trudna sprawa. Chcesz coś odlać?

- Nie przyniosłem modelu, tylko szkice. Chcę mieć pewność, że zostanie wykonany dokładnie według moich wymogów. - Zupełnie jakby nabrał pewności siebie, energicznie otworzył teczkę. - Jeden ze studentów opowiadał mi o małym brązie, który tutaj odlewano, ale nie pamiętał, kto to robił. To szkic tej rzeźby. Przedstawia Dawida.

- Tego od Goliata, prawda? - Przekrzywiła głowę i odwróciła szkic. - To jest naprawdę dobre. Czy to twój rysunek?

- Tak. - Uśmiechnął się do niej. - Miałem nadzieję, że dowiem się, kto go odlał, a potem poproszę tego człowieka o wykonanie mojej pracy. Co prawda to zostało zrobione mniej więcej trzy lata temu, tak przynajmniej utrzymuje mój przyjaciel. ..

- Trzy lata? - Zaciśnęła wargi. - To dość dawno.

- Wiem. - Znowu udawał niezbyt rozgarniętego młodzieniaszka. - Bardzo zależy mi na tym, by się

tego dowiedzieć. Przyjaciół powiedział mi, że ta statuetka została bardzo dobrze wykonana. Brąz był doskonały, a ktoś kto wykonał odlew, zastosował renesansową recepturę i naprawdę znał swoje rzemiosło. Ta rzeźba spokojnie mogła iść do muzeum.

Wyjął następny szkic i pokazał *Czarną Damę*.

- Bardzo się nad nią napracowałem. Pochłonęła niemal całą moją energię. Całe życie, jeśli mnie pani rozumie.

Kiedy zaczęła bacznie przyglądać się rysunkowi, jego oczy zaśniły.

- Jest wspaniała. Naprawdę wspaniała. Powinieneś sprzedawać te rysunki, chłopcze.

Mówię poważnie.

- Dorabiam trochę, rysując portrety - wymamrotał.

- Ale w przyszłości chcę robić coś innego. Tym zajmuję się tylko po to, żeby mieć co jeść.

- Idę o zakład, że odniesiesz ogromny sukces.

- Dzięki. - Z zadowolenia łzy napłynęły mu do oczu.

- To już tak długo trwa, doznałem tylu porażek. Czasami chciałoby się to wszystko rzucić, zrezygnować, ale jakoś...

Uniósł rękę, jak człowiek całkowicie załamany. Przepelniona współczuciem wyjęła z pudełka chusteczkę i wręczyła mu ją.

- Dziękuję. Przepraszam. - Delikatnie przetarł oczy pod barwionymi soczewkami. -

Ale wiem, że mi się uda. Musi mi się udać. To właśnie dlatego tak bardzo mi zależy, by ten brąz został wykonany jak najlepiej. Zaoszczędziłem tyle pieniędzy, aby móc za to zapłacić niezależnie od tego, ile to będzie kosztowało, nawet jeśli potrzebna będzie jakaś dopłata.

- Nie martw się o dopłatę. - Poklepała go po ręce, a potem odwróciła się do komputera. - Trzy lata temu. Spróbujmy sprawdzić. Idę o zakład, że był to Whitesmith.

Studenci powierzają mu sporo prac.

Zastukała w klawiaturę nieprawdopodobnie długimi paznokciami i mrugnęła do niego.

- Sprawdźmy, czy możemy dać ci to co najlepsze.

- Byłbym bardzo wdzięczny, Kiedy tutaj jechałem, czułem, że dzisiaj będę miał dobry dzień. A tak przy okazji, niesamowicie podobają mi się pani paznokcie. Ten kolor bajecznie pasuje do pani skóry.

Poszukiwania nie trwały nawet dziesięciu minut.

- Idę o zakład, że to on. Pete Whitesmith, tak jak przypuszczałam. On jest tu najlepszy, i moim zdaniem nie tylko tu. Wykonywał pracę dla tego dzieciaka, pamiętam go. Harrison Mathers. Też był bardzo dobry. Chociaż ty jesteś lepszy - dodała, przesyłając Ryanowi macierzyński uśmiech.

- Czy wykonywał tu dużo prac? Chodzi mi o Harrisona.

- O tak, co najmniej kilka. Zawsze bardzo się trzymał Pete'a. To był nerwowy dzieciak. O, tu mamy małą brązową statuetkę nagiego Dawida z procą. To ona.

- Wspaniale. Fantastycznie. Whitesmith. Czy on nadal tu pracuje?

- Jasne. Jest naszą podporą. Idź do odlewni. Powiedz Pete'owi, że Babs kazała dobrze cię traktować.

- Nie wiem, jak dziękować.

- Ile wzięłbyś za narysowanie moich dzieciaków?

- Dla pani zrobiłbym to absolutnie za darmo.

- Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Oczywiście, że pamiętam. - Whitesmith otarł czoło pod daszkiem poplamionej niebieskiej czapeczki. Miał twarz, którą powinno się wyrzeźbić w granicie kwadratową i pokrytą głębokimi bruzdami. Budową ciała przypominał kulę, miał wąskie ramiona i grube nogi. Jego głos przywodził na myśl dźwięk metalu i zagłuszał ryk pieców.

- To jest ta rzeźba?

Whitesmith spojrział na szkic pokazywany przez Ryana.

- Tak. Harry miał w jej przypadku ogromne wymagania. Przyniósł mi recepturę na brąz, chciał, żebym dodał trochę ołowiu, by szybciej zastygła, ale w ogóle był to dziwny przepis. Mam właśnie przerwę, może więc wyjdziemy na zewnątrz.

Ryan z przyjemnością opuścił gorące i głośnie pomieszczenie.

- Odlewam od dwudziestu pięciu lat - wyznał Whitesmith, zapalając camela i wydmuchując dym w delikatne mroźne powietrze. - Muszę przyznać, że ta statuetka była prawdziwym klejnotem. Jednym z moich ulubionych.

- Robił pan dla niego jeszcze coś?

- Dla Harry'ego? Oczywiście. Cztery, może pięć odlewów w ciągu kilku lat. Ten jednak był najlepszy. Kiedy przyniósł formę i woskową kopię, wiedziałem, że mam do czynienia z czymś nadzwyczajnym. Niech się chwilę zastanowię... - Zrobił to, głęboko się zaciągając, a potem

wydmuchując dym. - To była ostania rzecz, jaką dla niego robiłem.

- Naprawdę?

- Tak. Wydaje mi się, że potem nie widziałem już młodego Harry'ego. Studenci z Instytutu... - Wzruszył szczupłymi ramionami. - Pojawiają się i znikają.

- Czy pracował jeszcze z kimś innym?

- Nie, z tego co wiem, tylko ja wykonywałem odlewy dla Harry'ego. Bardzo interesował się całym procesem. Nie wszyscy studenci przejmują się tą cholerną robotą. Po prostu myślą jedynie o sztuce. - Uśmiechnął się szyderczo. - Tymczasem to moja praca, chłopcze, jest prawdziwą sztuką. Dobry odlewnik to artysta.

- Całkowicie się z panem zgadzam. To właśnie dlatego tak rozpaczliwie chciałem pana znaleźć, artystę, który pracował nad wspaniałym małym *Dawidem*...

- Tak, no cóż. - Najwyraźniej zadowolony Whitesmith wciągnął dym papierosowy do płuc. - Niektórzy z wielkich artystów to palanty, zwyczajne sukinsyny. Wyobrażają sobie, że ktoś taki jak ja jest jedynie narzędziem. Muszę być artystą i naukowcem w jednej osobie. Jeśli jakaś odlana tutaj rzeźba później zdobywa nagrody, należałoby mi za to podziękować, ale większość studentów nawet nie zwraca sobie tym głowy.

- Znałem jednego odlewnika w Toledo. - Ryan westchnął tęsknie. - Uważałem go za boga. Mam nadzieję, że Harrison doceniał pańską pracę.

- Był w porządku.

- Przypuszczam, że najpierw wykonał jakąś elastyczną formę *Dawida*.

- Tak, z silikonu. Przy tym materiale trzeba bardzo uważać. - Whitesmith dla podkreślenia machnął papierosem, a potem wsunął go między kciuk oraz palec wskazujący i odrzucił długim wysokim łukiem. - Łatwo zniekształcić odlew, a forma lubi się skurczyć, ale ten dzieciak dobrze o tym wiedział. Wykonał model metodą straconego wosku. Jeśli o mnie chodzi, potrafię pracować z każdym materiałem: woskiem, piaskiem, gipsem. Do wykańczania używam takich narzędzi, jakich klient sobie życzy. Poza tym przez cały czas tkwię przy mojej robocie. Nie lubię jednak, gdy ktoś mnie popędza.

- Och, czyżby Harry pana poganiał?

- Przy naszej ostatniej robocie zachowywał jak prawdziwy wrzód na dupie. -

Whitesmith prychnął przez nos.

- Zupełnie jakby był samym cholernym Leonardem da Vinci, któremu wyznaczono ostateczny termin zakończenia roboty.

- Potem wzruszył ramionami. - Ale ten dzieciak był w porządku. Miał talent.

Ryan wyjął szkic *Czarnej Damy*.

- Co pan o niej myśli? Whitesmith zacisnął wargi.

- No cóż, seksowna ladacznica. Chętnie bym ją odlał. Z czego ją zrobiłeś?

Ryan doszedł do wniosku, że niewielka wiedza może być niebezpieczna. Ale czasami wystarcza.

- Z wosku i gipsu.

- Dobrze, możemy nad tym nieźle popracować. Wypalam tu również gips. Nie chcesz mieć pęcherzyków powietrza w wosku, prawda mistrzu?

- Oczywiście. - Ryan schował szkic. Uznał, że odlewnik jest zbyt solidny i za dużo mówi, by mógł być w to zamieszany.

- Czy Harry kiedykolwiek przychodził tu z kimś?

- Nie przypominam sobie. - Whitesmith przymrużył oczy. - Dlaczego pytasz?

- Po prostu zastanawiam się, czy zna pan mojego przyjaciela, tego, który opowiadał mi o statuetce. Z ogromnym uznaniem wyrażał się o pańskiej pracy.

- Ach, a kto to taki?

- James Crispin - improwizował Ryan. - Jest malarzem, więc jeśli się tu kręcił, to tylko z Harrym. Poszukam receptury - dodał. - Jeśli przyniosę ją razem z odlewem z wosku i formą, zrobi to pan dla mnie?

- Po to tu jesteście.

- Będę niezmiernie wdzięczny. - Ryan wyciągnął rękę.

- Skontaktuję się z panem.

- Podoba mi się twoja dama - dodał Whitesmith, kiwnięciem głowy pokazując teczkę Ryana, a równocześnie odwracając się do drzwi odlewni. - Rzadko pracuję nad czymś z taką klasą. Będę ją odpowiednio traktować.

- Dzięki.

Cicho pogwizdując, Ryan wrócił do samochodu. Właśnie gratulował sobie miłego i owocnie spędzonego ranka, kiedy podjechało następne auto.

Po chwili wyskoczył z niego Cook. Rozprostował plecy i łagodnie przyjrzał się Ryanowi.

- Dzień dobry.

Ryan skinął głową, poprawił różowe okulary i usiadł za kierownicą wynajętego samochodu, podczas gdy Cook wszedł do biura.

Niewiele brakowało, pomyślał Ryan, ale w oczach gliniarza nie pojawił się błysk rozpoznania. Zatem nadal wyprzedzał go o krok..

Kiedy wrócił do domu nad urwiskiem, usunął wąsik, zdjął perukę i z radością wyjął

szkła kontaktowe. Zdejmując śmieszny koszulę, doszedł do wniosku, że koniec końców ten środek ostrożności okazał się konieczny.

Najwyraźniej Cook zaczął brać pod uwagę fałszerstwo.

To dobrze. Kiedy praca dobiegnie końca, wcale nie zaszkodzi, że dochodzenie prowadzone przez Cooka zmierzało w odpowiednim kierunku.

Na razie jednak było to trochę denerwujące.

Ryan usunął z twarzy, szyi i rąk makijaż, po czym zaparzył sobie filiżankę kawy i zabrał się do roboty.

W ciągu owych krytycznych dwóch tygodni z odlewni korzystało ośmiu studentów.

Ryan już wcześniej wyeliminował trzech z nich, ponieważ wykonywane przez nich prace były za duże.

Teraz dzięki starej dobrej Babs i Pete'owi znalazł tego, którego szukał. Szybko wrócił

do informacji, które już wcześniej uzyskał z Instytutu. Bez trudu znalazł rocznik Harry'ego i ostatni semestr. Renesansowe brązy, postać ludzka.

Zajęcia prowadziła Miranda.

Sam raczej nigdy by na to nie wpadł. Przypuszczał, że zobaczy jakieś inne nazwisko.

Cartera, Andrew lub kogokolwiek innego, na kim będzie mógł się skoncentrować, by go zdemaskować. Potem jednak zdał sobie sprawę, że właściwie powinien był się tego spodziewać. *Dawid* był jej, *Czarna Dama* również. To Miranda stanowiła klucz do całej sprawy, zaczął wierzyć, że ona jest także przyczyną.

Jeden z jej studentów odlał *Dawida* z brązu. Ryan nie miał wątpliwości, że był to t e n *Dawid*.

Zajrzał dalej, by sprawdzić oceny końcowe. Uśmiechnął się, widząc, że Miranda jest surowa. Nie rozdawała najwyższych ocen jak cukierków. Jedyne czworo spośród jej dwudziestu studentów zdołało uzyskać piątki, reszta przeważnie miała czwórki, a od czasu do czasu zdarzały się również

trójki.

Jedna osoba nie ukończyła studiów.

Harrison K. Mathers. Nie ukończył studiów, nie oddał ostatniej pracy. Przestał uczęszczać na zajęcia.

Dlaczego to zrobiłeś, Harry - zastanawiał się Ryan - skoro zadałeś sobie tyle trudu, by mieć brązową figurkę na dziesięć dni przed terminem. A może nigdy nie przejmowałeś się stopniami?

Zerknął na zapiski dotyczące Mathersa i zauważył, że chłopiec w ciągu dwóch lat zaliczył dwanaście kursów. Otrzymywał wspaniałe oceny... aż do dostatniego semestru, kiedy to gwałtownie opuścił się w nauce.

Ryan wyjął telefon komórkowy i wybrał numer podany wśród danych personalnych Harrisona.

- Halo, słucham?

- Dzień dobry, mówi Dennis Seaworth z działu spraw studenckich Instytutu w Nowej Anglii. Chciałbym porozmawiać z Harrisonem Mathersem.

- Nazywam się Mathers, jestem matką Harrisona. Harry już tu nie mieszka.

- Rozumiem. Uaktualniamy dane dotyczące naszych studentów i próbujemy opracować tematykę przyszłorocznych kursów. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak można się z nim skontaktować?

- Przeprowadził się do Kalifornii. - W jej głosie słychać było znużenie - Nie ukończył studiów w Instytucie.

- Tak, mamy to odnotowane. Chcielibyśmy się dowiedzieć, dlaczego naszym byłym studentom nie odpowiadał program.

- Jeśli uda się to panu, proszę dać mi znać. Tak dobrze mu tam szło. Uwielbiał to.

- Miło wiedzieć. Czy mógłbym z nim porozmawiać?

- Jasne. - Wyrecytowała numer z kodem San Francisco. Ryan wykręcił numer Zachodniego Wybrzeża, lecz poinformowano go, że numer został odłączony.

Przyszło mu na myśl, że jeśli wybierze się do Kalifornii, będzie miał szansę spotkać się z bratem, Michaeliem.

- Harrison Mathers.

Miranda wciąż dopracowywała w głowie ostatnie szczegóły dotyczące wystawy, dlatego

zmarszczyła czoło i spojrzała na Ryana.

- O co chodzi?

- Harrison Mathers - powtórzył. - . Powiedz mi coś o nim.

Zdjęła kurtkę i powiesiła ją w szafie w holu.

- Czy ja znam jakiegoś Harrisona Mathersa?

- Kilka lat temu był twoim studentem.

- Będziesz musiał podać mi coś więcej niż nazwisko, Ryane. Miałam do czynienia z setkami studentów.

- Trzy lata temu uczęszczał na prowadzony przez ciebie kurs poświęcony renesansowym brązom. Nie ukończył studiów.

- Nie ukończył studiów? - Starła się uporządkować myśli. - Harry. - Wyłonieniu się tego imienia z jej pamięci towarzyszyło jednocześnie zadowolenie i żal. - Tak, rzeczywiście uczęszczał na mój kurs. Wydaje mi się, że studiował w Instytucie przez kilka lat. Był

utalentowany i bardzo błyskotliwy. Początkowo bardzo dobrze się spisywał, zarówno jeśli chodzi o referaty, jak i szkice.

Przechodząc do salonu, kręciła głową.

- Pamiętam, że potem zaczął opuszczać zajęcia albo przychodził, lecz wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Nie uważał, a jego prace były coraz gorsze.

- Narkotyki?

- Nie wiem. Narkotyki, problemy rodzinne, może dziewczyna. - Lekceważąco wzruszyła ramionami. - Miał dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Mogło być mnóstwo powodów. Próbowałam z nim rozmawiać, powiedziałam, że powinien skoncentrować się na swojej pracy. Poprawił się, ale nieznacznie. Potem tuż przed zakończeniem kursu w ogóle przestał przychodzić. Nawet nie oddał końcowej pracy.

- Ale ją wykonał. Odlął ją w Pine State Foundry w drugim tygodniu maja. Była to figurka z brązu.

Miranda przez chwilę wpatrywała się w Ryana, a potem usiadła.

- Uważasz, że miał z tym coś wspólnego?

- Mówię jedynie, że miał odlaną figurkę. Była to statuetka przedstawiająca Dawida z procą. Nigdy nie oddał tej pracy. Był tutaj w czasie, kiedy testowałam *Dawida*, a potem opuścił uczelnię. Czy kiedykolwiek odwiedził laboratorium?

Miranda poczuła niemiły ucisk w żołądku. Pamiętała Harry'ego Mathersa. Może niezbyt wyraźnie, mimo to poczuła ból.

- Wszyscy uczestnicy kursu przewinęli się przez laboratorium. Wszystkich studentów zaznajamiamy z laboratoriami, działem konserwacji i pracownikami naukowymi. Jest to część naszego programu.

- Z kim się przyjaźnił?

- Nie wiem. Nie interesuję się prywatnym życiem moich studentów. Pamiętam go tak dobrze tylko dlatego, iż miał prawdziwy talent, a w końcu wszystko zaprzepaścił.

Czuła gdzieś z tyłu głowy dotkliwy ból. To dziwne, ponieważ w ciągu długich godzin minionego dnia zapomniała o wszystkim, co nie dotyczyło wystawy - odczuwała jedynie dreszczyk emocji związany z planowaniem.

- Ryane, to był chłopiec. Nie mógł maczać palców w tego typu fałszerstwie.

- Mając dwadzieścia lat, z prywatnej kolekcji w Westchester ukradłem trzynastowieczną mozaikę przedstawiającą Madonnę, a potem wybrałem się na pizzę z Alice Mary Grimaldi.

- Jak możesz chwalić się czymś takim?

- Wcale się nie chwale, Mirando. Stwierdzani je dynie fakt i próbuję ci wykazać, że wiek nie ma nic wspólnego z pewnym typem zachowania. Gdybym chciał się chwalić, opowiedziałbym ci o koniu Tang ukradzionym kilka lat temu z Metropolitan Museum of Art.

Nie zrobię tego - dodał. - Ponieważ to cię denerwuje.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Czy w ten sposób próbujesz mi poprawić nastrój?

- To nie działa, prawda? - Ponieważ jednak nagle zaczęła sprawiać wrażenie bardzo zmęczonej, wziął otworzoną wcześniej butelkę białego wina i nalał Mirandzie kieliszek. -

Spróbuj tego.

Zamiast wypić, przełożyła kieliszek z ręki do ręki.

- Skąd dowiedziałeś się o Harrym?

- Przeprowadziłem wstępne badanie i odbyłem krótką wyprawę w teren. - Smutek w jej oczach poruszył Ryana do głębi. Usiadł na oparciu fotela i zaczął rozmasowywać jej kark oraz ramiona. - Muszę wyjechać na kilka dni.

- Co takiego? Dokąd?

- Do Nowego Jorku. Powinienem zająć się kilkoma drobiazgami, między innymi transportem eksponatów na wystawę. Chcę również wybrać się do San Francisco i poszukać młodego Harry'ego.

- Jest w San Francisco?

- Zdaniem jego matki tak, ale odłączono mu telefon.

- Tego wszystkiego dowiedziałeś się dzisiaj?

- Ty robisz swoje, a ja swoje. Jak ci idzie?

Nerwowo przeczesła palcami włosy. Jego złodziejskie palce dokazywały cudów i rozluźniały jej mięśnie, chociaż wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest spięta.

- Wy... wybrałam materiał na draperie i porozmawiałam ze stolarzem na temat platform. Poza tym przysły dzisiaj zaproszenia. Zatwierdziłam je.

- To dobrze. Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro rano. Wrócę mniej więcej za tydzień. Będę z tobą w kontakcie. - Ponieważ czuł, że Miranda powoli się rozluźnia, zaczął bawić się jej włosami. - Może Andrew zechciałby wrócić do domu, żebyś nie była sama?

- Nie mam nic przeciwko samotności.

- Ale ja mam. - Uniósł ją, wsunął się w fotel i posadził ją sobie na kolanach. Ponieważ nie miała zamiaru pić wina, wyjął kieliszek z jej ręki i odstawił go na bok. - Ale skoro nie ma go tu w tej chwili... - Położył dłoń na jej karku i przyciągnął do siebie jej usta.

Miał zamiar poprzestać na pocałunku, przytuleniu i chwili spokoju, ale zareagowała bardziej namiętnie, niż się spodziewał. Jej skóra wydzielala prowokujący zapach „poranku w lesie”. Ryan przyłapał się na tym, że skubie zębami jej delikatną dolną wargę. Miranda zadrżała.

Kiedy opłotła go ramionami, a jej usta zaczęły go ponaglać, zatracił się w niej, zagubił

i w końcu się poddał.

Wypukłości, wklęsłości, zapach, smak.

Ruchliwe palce Ryana rozpięły guziki jej bluzki, przesunęły się po nagich ramionach, a potem jak w hipnozie dotknęły piersi.

Westchnienia, jęki, drżenie.

- Wciąż nie mogę się tobą nasycić. - W jego słowach więcej było irytacji niż zadowolenia. - Zawsze

wydaje mi się, że właśnie mi się to udało, lecz gdy tylko cię zobaczę, znów chcę się z tobą kochać.

Nikt nigdy nie pragnął jej w taki sposób. Czuła, że zapada się głęboko, jeszcze głębiej w ciepłe wody ogromnej studni uczuć. Samych uczuć, tam gdzie nie ma miejsca na myśli czy rozsądek. Są jedynie pragnienia tak podstawowe jak oddech.

Jego palce muskały jej piersi jak jedwabne ptasie skrzydła, a w ślad za nimi poszedł

język. Kiedy Ryan uniósł ją do góry, jego gorące usta zsunęły się w dół. Poczowała delikatne szarpnięcie w dole brzucha. Złapał zębami jej brodawkę i delikatnie ją ugryzł, powodując lekki, lecz dojmujący ból.

Spragniona, stęskniona wygięła się do tyłu, ofiarowując mu siebie i delektując się myślą, że on tak bardzo jej pragnie.

Chce się nią nasycić.

W skupieniu zaczęła go głaskać, przez chwilę szukając, a potem znajdując sposób, by wślizgnąć się pod jego koszulę i dotknąć gołego ciała. Skosztować go i nasycić się nim.

Potem zsunęli się z fotela na dywan.

Rozchyliła nogi i uwięziła go w erotycznym „V”. Kiedy uniosła biodra i przycisnęła się do niego jeszcze mocniej, każdy ruch zaczął sprawiać prawdziwą męczarnię.

Musiał znaleźć się w niej, wypełnić ją, ukryć się w niej. Prymitywna żądza posiadania sprawiła, że oboje zaczęli szarpać na sobie ubrania, rozpaczliwie łapiąc powietrze i tarzając się po podłodze.

Potem Miranda usiadła na nim okrakiem, wychyliła się do przodu i przycisnęła dłonie do jego klatki piersiowej, pragnąc, by ich usta ponownie się złączyły. Powoli uniósł jej biodra. Przez cały czas nie odrywali od siebie ciemnych i szklitych oczu. W końcu obniżyła się i wpuściła go do środka. Zacisnęła kurczowo drżące mięśnie i zatrzymała go tam.

Potem zaczęła się poruszać. Odchyliła się do tyłu, a jej rozwichrzone włosy opadały na ramiona jak czerwony deszcz. Kiedy poczuła ogromną przyjemność, przymknęła oczy.

Teraz o wszystkim decydowało tempo. To w nim tkwiła energia. Elektryczne fale przepływały w żyłach i smagały ciało.

Szybciej, mocniej, głębiej. Jej palce rozpaczliwie zacisnęły się na jego biodrach, a oddechy zamieniały się w chrapliwe szlochy. Po chwili przez jej ciało przetoczyła się gwałtowna, niszcząca fala orgazmu.

Mimo to nadal zdecydowanie i równomiernie się w niej poruszał, kurczowo trzymając ją przy sobie.

W głowie jej huczało, jakby morze toczyło wojnę z wichurą, a kiedy nadeszła następna potężna fala, podrzuciła ją w górę.

Wydawało jej się, że słyszy czyjś krzyk.

Ryan widział jej całkowite zatracenie, wygięte w łuk ciało, uniesione ramiona, półprzymknięte powieki, poplątane włosy i przebiegły kobiecy uśmiezek.

Była tak samo bezcenna, ponętna i wspaniała jak *Czarna Dama*, wywoływała równie silne wrażenie. Kiedy Ryan zaczął odczuwać ogromną ulgę, w jego głowie kołatała tylko jedna wyraźna myśl.

Miranda jest jego przeznaczeniem.

Potem jego umysł całkiem przestał pracować, ponieważ potężna fala przerzuciła go nad krawędzią.

- Dobry Boże. - Na nic więcej nie było go stać. Nigdy przedtem nie zatracił się tak całkowicie z kobietą, nigdy nie czuł się tak bardzo do niej przywiązany. Wciąż drżała i sprawiała wrażenie, jakby się rozplątywała, a potem osunęła się w dół i dyszała tuż obok jego szyi.

- Mirando. - Tylko raz wymówił jej imię, a potem muskał dłonią jej plecy. - Chryste, będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Miała zamknięte oczy i nie odezwała się ani słowem. Zatonęła w nim i poddała się, chociaż w głębi duszy obawiała się, że Ryan już nie wróci.

Kiedy obudziła się następnego ranka, już go nie było. Zostawił jedynie karteczkę na poduszce:

Dzień dobry, doktor Jones. Zrobiłem kawę. Powinna być jeszcze świeża, chyba że zasnęłaś. Skończyły ci się jajka. Będę z tobą w kontakcie.

Trochę było jej wstyd, ale przeczytała to kilka razy, jak zakochana nastolatka, a potem wstała i wetknęła liścik do szkatułki z biżuterią, zupełnie jakby to była deklaracja dozgonnej miłości.

Pierścionek, który Ryan wsunął jej na palec, a ona trzymała go w wykładanym aksamitem pudełeczku, zniknął.

Samolot wylądował o wpół do dziesiątej, a o jedenastej Ryan znajdował się już w centrum, w swojej galerii. Była znacznie mniejsza od Instytutu, właściwie bardziej przypominała okazały prywatny dom niż muzeum.

Wysokie sale, szerokie przejścia między poszczególnymi pomieszczeniami i okazałe schody nadawały przestrzeni wrażenie harmonijności i przestronności. Dywany, które Ryan wybrał i kazał porozkładać na wyłożonych marmurem i drewnem podłogach, były w takim samym stopniu dziełami sztuki, jak obrazy i rzeźby.

Jego biuro znajdowało się na czwartej kondygnacji. Było małe, ponieważ zależało mu na tym, by jak największą przestrzeń udostępnić publiczności. Mimo to ładnie i komfortowo je urządził.

Spędził trzy godziny przy biurku, nadrabiając zaległości ze swoją sekretarką i dyrektorem galerii, zatwierdzając sprzedaże i nabytki, a także załatwiając konieczne zabezpieczenia i transport

ekspонатów, które należało wysłać do Maine.

Bez pośpiechu ułożył plan wywiadów, które miały na celu rozreklamowanie nowej wystawy i zbiórkę pieniędzy, postanowił zamówić nowy smoking i zatelefonował do matki, by kupiła sobie elegancką suknię.

Miał zamiar wysłać całą rodzinę do Maine na uroczyste otwarcie wystawy.

Potem zadzwonił do kuzyna pracującego w biurze podróży.

- Cześć, Joey. Tu Ry.

- Cześć, wagabundo. Jak ci leci?

- Dobrze. Potrzebny mi na pojutrze bilet do San Francisco bez określonej daty powrotu.

- *No problemo*. Pod jakim nazwiskiem chcesz tam lecieć?

- Pod swoim.

- To coś nowego. W porządku, zrobię rezerwację, a potem przefaksuję ci plan podróży. Dokąd?

- Do domu. Możesz również zarezerwować miejsca dla całej mojej rodziny na lot do Maine. - Podał kuzynowi daty.

- Zapisałem. Wszystkie w pierwszej klasie, prawda?

- Oczywiście.

- Robienie interesów z tobą, Ry, to prawdziwa przyjemność.

- Miło to słyszeć, ponieważ mam zamiar prosić cię o przysługę.

- Strzelaj.

- Podam ci kilka nazwisk. Chciałbym się dowiedzieć, jakie podróże odbywali ci ludzie w ciągu ostatnich trzech i pół roku.

- Trzy i pół roku! Jezu Chryste, Ry.

- Skoncentruj się na lotach międzynarodowych, szczególnie do Włoch i z powrotem.

Jesteś gotów na nazwiska?

- Posłuchaj, Ry, kocham cię jak brata. Coś takiego może mi zająć wiele dni, a nawet tygodni, poza tym to ryzykowne przedsięwzięcie. By uzyskać tego typu informacje, nie wystarczy po prostu nacisnąć kilka klawiszy. Linie lotnicze wcale nie chcą ich udostępniać.

Nie po raz pierwszy słyszał tę śpiewkę.

- Mam abonament na mecze jankesów. W łóży dla VIP - ów, z przejściem przez szatnię.

Na chwilę zapadło całkowite milczenie.

- Podaj mi te nazwiska.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Joey.

Po skończeniu rozmowy odsunął do tyłu krzesło. Wyjął z kieszeni pierścionek, który dał Mirandzie, i obserwował, jak lśni w świetle dochodzącym przez znajdujące się za jego plecami szyby z filtrem.

Przyszło mu na myśl, że każe przyjacielowi, jubilerowi, wyjąć kamienie i zrobić dla niej kolczyki. Kolczyki będą dużo bezpieczniejsze niż pierścionek. Pierścionki nawet u bardzo mądrych i praktycznych kobiet wywołują całkiem nieodpowiednie skojarzenia.

Miranda na pewno doceni ten gest. W końcu będzie jej coś winien. Kiedy wraz z brązami znajdzie się w bezpiecznej odległości, wyśle jej kolczyki.

Doszedł do wniosku, że gdy będzie miała możliwość wszystko gruntownie przemyśleć, zrozumie, iż Ryan działał w jedyny logiczny sposób. Trudno przecież oczekiwać, że po wykonaniu swej ostatniej pracy zostanie z pustymi rękoma.

Wsunął pierścionek z powrotem do kieszeni, aby nie wyobrażać sobie, jak wyglądał na jej palcu.

Przypomniał sobie, że Miranda dostanie to, czego potrzebuje, lecz kiedy wstał, nadal bawił się pierścionkiem. Oboje dowiodą, że brąz był prawdziwy, ujawnią fałszerza i mordercę, a ona odzyska dobre imię i stanie się sławna.

Miał kilku klientów, którzy na pewno chętnie zapłacą za *Czarną Damę* ładną sumkę.

Jemu pozostanie jedynie wybór szczęśliwego zwycięzcy, a uzyskana kwota z naddatkiem wynagrodzi stracony czas i pokryje poniesione wydatki.

Chyba że postanowi zatrzymać ją dla siebie... Bez wątpienia stanowiłaby ozdobę jego prywatnej kolekcji.

Chociaż... biznes to biznes. Jeśli znajdzie odpowiedniego klienta i dostanie należyłą cenę, będzie mógł założyć nową galerię w Chicago, Atlancie lub... na przykład w Maine.

Nie, kiedy to wszystko się skończy, będzie musiał trzymać się z daleka od Maine.

Szkoda, pomyślał. Zaczęło mu się tam bardzo podobać. Spodobało mu się bliskie sąsiedztwo wody, klifów, możliwość oddychania zapachem morza i sosen. Naprawdę będzie mu tego brakowało.

Mirandy również.

Wmówił sobie, że jest na to sposób. Wystarczy, jeśli starannie zamknie za sobą pewien okres życia i rozpocznie nowy. Tym razem jako człowiek całkiem legalnie handlujący dziełami sztuki. Dotrzyma słowa danego rodzinie, nie złamie również obietnicy złożonej Mirandzie. O tyle o ile to będzie możliwe.

Każdy wraca tam, gdzie jego miejsce.

Nie może dopuścić do tego, by jego uczucia za bardzo się zagmatwały. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy był fakt, że od kilku tygodni łączyły ich tak bliskie stosunki.

Trochę zbyt dużą przyjemność sprawiało mu budzenie się u jej boku, stanie z nią na skraju urwiska, słuchanie jej zachrypniętego głosu, skłanianie jej do jednego z niezwykle rzadkich uśmiechów, które docierają do jej oczu i sprawiają, że przestaje wyglądać na smutną.

Prawdę mówiąc, ku własnej rozpaczycy nie potrafił znaleźć w niej niczego, co by mu się nie podobało.

Dobrze, że na jakiś czas mogli się rozstać. Może dzięki temu zdołają spojrzeć na wszystko z większego dystansu.

Kiedy jednak niemal mu się udało przekonać samego siebie, że to prawda, nie wiadomo dlaczego poczuł w okolicach serca niemiły ból.

Próbowała o nim nie myśleć. Nie chciała się zastanawiać, czy on ją wspomina.

Wmówiła sobie, że lepiej zrobi, jeśli skupi się wyłącznie na pracy.

Bardzo prawdopodobne, że już wkrótce zostanie jej tylko to.

Prawie jej się udało. Przez większą część dnia zajmowała się dziesiątkami szczegółów, które wymagały sporych umiejętności i pochłaniały całą uwagę. A nawet jeśli myśli Mirandy raz czy dwa poszybowały w inną stronę, była tak zdyscyplinowana, że zdołała je zawrócić do zadań, które należało wykonać.

W ciągu jednego dnia zetknęła się z całkiem nowym rodzajem samotności, ale nauczy się z nim żyć.

Będzie musiała.

Miranda właśnie miała zamiar wyłączyć komputer i zająć się domem, kiedy odezwał

się sygnał, że ktoś przesyła jej wiadomość pocztą elektroniczną. Skończyła udzielać długich szczegółowych wskazówek zatrudnionemu przez siebie dekoratorowi i skopiowała je zarówno dla Andrew, jak i urzędnika z działu zaopatrzenia.

Przejrzała całość, dokonała kilku drobnych poprawek, a potem nacisnęła przycisk, aby wysłać pocztę i przyjął nadesłaną wiadomość. Na ekranie pojawił się nagłówek ŚMIERĆ W

RODZINIE.

Zaniepokojona nacisnęła ponownie, aby przeczytać wiadomość.

Masz Fałszywą Damę. Na jej rękach jest krew. To miała być twoja krew. Przyznaj się do błędu, zapłaczą niego i żyj. Lecz jeśli nadal będziesz postępować tak jak dotychczas, nic jej nie powstrzyma.

Ona cię zabije.

Miranda patrzyła na wiadomość, wielokrotnie odczytując każde słowo, a potem skuliła się w fotelu i zaczęła się kołysać.

Chcą, żeby się bała, żeby była przerażona. O Boże, i naprawdę tak było.

Wiedzą, że ma fałszyfikat. To znaczy, że ktoś ją widział z Giovannim albo że on coś komuś powiedział. Komuś, kto go zabił, a teraz pragnął jej śmierci.

Usiłując zapanować nad sobą, sprawdziła adres zwrotny. „Lostl”. Kim był „Lostl”?

Ten URL rutynowo stosowano w Standjo w przypadku poczty elektronicznej. Szybko zaczęła szukać nazwiska, ale nic nie znalazła, uderzyła więc w klawisz odpowiedzi.

Kim jesteś?

Zostawiła to w takim stanie i wysiała. Po paru sekundach na jej ekranie błysnęła wiadomość. „Użytkownik nieznany.”

Doszła do wniosku, że ten ktoś jest szybki. Zaryzykował jednak przesłanie poczty.

Chociaż to, co można przesłać, na pewno również da się wytropić. Wydrukowała wiadomość i zachowała ją w pliku.

Zerknąwszy na zegarek, zorientowała się, że dochodzi szósta. Teraz już nikt nie może jej pomóc. Nikt nie będzie chciał jej pomóc.

Jest sama.

- No więc czy masz jakieś wiadomości od Ryana?

Miranda wykreślała punkty z listy wiszącej na tablicy, równocześnie nadzorując ludzi zajmujących się zdejmowaniem wybranych obrazów ze ściany Południowej Galerii.

- Tak, jego biuro przefaksowało, jak będzie wyglądał transport. Wszystko przyleci w najbliższą środę. Mam dopilnować, by nasi ochroniarze spotkali się na lotnisku z jego obstawą.

Andrew przez chwilę bacznie przyglądał się jej profilowi, a potem wzruszył

ramionami. Oboje wiedzieli, że wcale nie o to pytał. Ryana nie było już od tygodnia.

Sięgnął do torebki z preclami, które konsumował teraz w ogromnych ilościach. Po ich zjedzeniu bez przerwy chciało mu się pić, pochłaniał więc litry wody. Potem sikał jak koń wyścigowy.

Liczył, że ogromne ilości płynu wypłuczają z jego organizmu toksyny.

- Pani Purdue i Clara zajmują się aprowizacją - oznajmił Mirandzie. - Nie znamy jeszcze ostatecznej liczby uczestników, należałoby jednak zatwierdzić jadłospis. Chciałbym, żebyś zerknęła na niego, nim podpiszemy kontrakt. W końcu to twoja wystawa.

- To nasza wystawa - poprawiła Miranda, nadal wykreślając punkty z listy. Chciała, by przed jej otwarciem wyczyszczono zarówno obrazy, jak i rami, dlatego wysłała notatkę służbową do konserwatorów, by zrobili to w pierwszej kolejności.

- Lepiej, żeby była naprawdę dobra. Odwiedzający bardzo narzekają na zamknięcie galerii.

- Jeśli wrócą tu za kilka tygodni, otrzymają znacznie więcej, niż warte będą bilety wstępu. - Zdjęła okulary i przetarła oczy.

- Poświęciłaś temu sporo czasu.

- Jest jeszcze mnóstwo do zrobienia, a do otwarcia coraz bliżej. Tak czy inaczej lubię być zajęta.

- Tak. - Zagrzechotał preclami. - Żadnemu z nas nie zależy teraz na nadmiarze wolnego czasu.

- Jak sobie radzisz?

- Czy było to zaszyfrowane pytanie: „Czy pijesz?” - Słowa te wyrwały mu się z niezamierzoną złością. - Przepraszam. - Ponownie sięgnął do torby. - Nie, nie piję.

- Wiem o tym. I to wcale nie był szyfr.

- Radzę sobie.

- Cieszę się, że wróciłeś do domu, ale wcale nie musisz robić tego ze względu na mnie, zwłaszcza jeśli wolałbyś być z Annie.

- Prawdę mówiąc, doszedłem do wniosku, że bardzo chcę być z Annie, ale właśnie dlatego jest mi ciężko mieszkać u niej i spać na kanapie. Chyba jesteś w stanie to sobie wyobrazić?

- Tak, jestem. - Podeszła i włożyła rękę do torby z preclami.

- Czy wiesz, kiedy wróci Ryan?

- Nie.

Stali przez chwilę, chrupiąc precle i rozmyślając o tym, jak wkurzające potrafi być niezaspokojenie seksualne.

- Może chciałabyś później wybrać się na jakieś pijaństwo? - Andrew uśmiechnął się do niej. - To był żart alkoholika na odwyku.

- Ha, ha. - Sięgnęła do torebki, a kiedy znalazła jedynie kilka grudek soli, westchnęła.

- Masz ich więcej?

Przyleciawszy do San Francisco, Ryan najpierw udał się do galerii mieszczącej się w starym magazynie w dzielnicy nadbrzeżnej. Wybrał to pomieszczenie, bo zależało mu na dużej przestrzeni, poza tym chciał, by jego kolekcja znajdowała się z dala od dziesiątków muzeów porzucanych w centrum wielkiego miasta.

Dzięki temu galeria Boldariego była bardziej ekskluzywna, niepowtarzalna i umożliwiała świeżo upieczonym artystom prezentowanie swoich prac.

Panowała tu swobodna atmosfera daleka od elegancji, na którą Ryan położył nacisk w Nowym Jorku. Obrazy wisiały na wzniesionych z cegły i drewna ścianach, a oświetlały je zwykłe reflektory, natomiast rzeźby często stały na zwyczajnych metalowych kolumnach.

Szerokie, pozbawione framug okna zapewniały widok na zatokę i tłumy zagonionych turystów.

Umieszczona na pierwszym piętrze kawiarnia umożliwiała artystom i miłośnikom sztuki wypicie pokrytego pianą *cappuccino* i *latte*. Siedząc przy maleńkich stolikach identycznych jak te w ulicznych knajpkach, spoglądali w dół na główną galerię lub patrzyli w górę, na mieszczące się na drugim piętrze pracownie.

Ryan usadowił się przy jednym ze stolików i uśmiechnął się do siedzącego po drugiej stronie brata, Michaela.

- No więc jak idą interesy?

- Pamiętasz tę metalową rzeźbę, która twoim zdaniem wyglądała jak wrak pociągu?

- Wydaje mi się, że bardziej przypominała wrak wozu cyrkowego.
- Tak, to właśnie ta. Sprzedaliśmy ją wczoraj za dwadzieścia tysięcy z kawałkiem.
- Sporo ludzi ma więcej pieniędzy niż dobrego smaku. Jak rodzina?
- Sam zobaczysz. Zapraszamy na kolację.
- Przyjdę. - Oparty o poręcz krzesła bacznie się przyjrzał zamawiającemu kawę bratu.
- Widzę, że ci to odpowiada - skomentował. - Małżeństwo, rodzina, dom na przedmieściach.
- Tak jest lepiej, dlatego przyjechałem tu na dłużej. Tobie też dobrze by to zrobiło.

Dzięki temu mama nie siedziałaby ci na karku.

- To nie bardzo skutkuje. Widziałem się z nią wczoraj. Mam ci powiedzieć, że chce mieć nowe zdjęcia dzieciaków. Skąd ona ma wiedzieć, jak wyglądają, skoro nie dostaje od ciebie fotografii?
- W zeszłym miesiącu wysłaliśmy jej pięć kilogramów.
- Następny plik możesz dostarczyć jej osobiście. Chcę, żebyś wraz z całą rodziną przyjechał do Maine na wystawę i bal. Otrzymałeś notatkę służbową na ten temat, prawda?
- Tak.
- Czy będziesz miał jakieś trudności z wyjazdem? Michael zastanawiał się, a w tym czasie przyniesiono im kawę.
- Raczej nie. Powinniśmy dać radę. Dzieciaki uwielbiają wyprawy do Nowego Jorku, spotkania z rodziną, sprzeczki z kuzynami i ojca, który po kryjomu daje im cukierki. Przynajmniej będę miał okazję poznać twoją panią doktor. Mama opowiadała nam o niej. Jaka ona jest?
- Miranda? Bystra, bardzo bystra. I zdolna.
- Bystra i zdolna? - Michael upił kawę i zauważył, że brat delikatnie bębni palcami po stole. Ryan rzadko wykonywał niespokojne ruchy. Najwyraźniej owa bystra i zdolna kobieta zaszła mu niezłe za skórę i to go denerwuje. - Mama mówi, że jest ładna i ma mnóstwo rudych włosów.
- Tak, rzeczywiście jest ruda.
- Zazwyczaj podobały ci się blondynki. - Kiedy Ryan jedynie uniósł brwi, Michael roześmiał się. - Daj spokój, Ryane. Przyznaj się, co to za dziwna historia?
- Miranda jest piękna i skomplikowana. To wszystko jest skomplikowane -
podsumował, w końcu zdając sobie sprawę, że bębni palcami. - Łączą nas interesy.

Tym razem to Michael uniósł brwi.

- Doprawdy?

- Nie chcę o tym mówić. - Tęsknota za nią piekła jak ogień we wnętrznościach. -

Powiedzmy, że pracujemy razem nad kilkoma sprawami, a wystawa jest jedną z nich. Poza tym zaangażowaliśmy się uczuciowo. Dobrze czujemy się w swoim towarzystwie. To wszystko.

- Gdyby to było wszystko, nie wyglądałbyś na zmartwionego.

- Nie jestem zmartwiony. - Przynajmniej nie był, dopóki Miranda ponownie nie zaprzętnęła jego myśli. - To wszystko jest po prostu bardzo skomplikowane.

Michael przytaknął, dochodząc do wniosku, iż z prawdziwą przyjemnością opowie żonie, że Ryan poważnie się zadurzył w rudowłosej kobiecie z tytułem doktorskim.

- Zawsze potrafiłeś poradzić sobie nawet z najtrudniejszymi sprawami.

- Tak. - Po tych słowach Ryan poczuł się znacznie lepiej, dlatego przytaknął. - W

każdym razie jestem tu nie tylko z tego powodu. Szukam młodego artysty. Mam jego adres, ale przyszło mi na myśl, by najpierw sprawdzić, czy go znasz. Nazywa się Harrison Mathers.

Jest rzeźbiarzem.

- Mathers. - Michael zmarszczył czoło. - Nic mi to nazwisko nie mówi. Mogę przejrzeć dokumenty i sprawdzić, czy braliśmy jakąś jego pracę.

- Zrobimy to. Nie wiem, czy nadal mieszka pod tym adresem.

- Jeśli jest w San Francisco i próbuje sprzedawać dzieła sztuki, znajdziemy go.

Widziałeś jakieś jego prace?

- Sądzę, że tak - mruknął Ryan, mając na myśli brązowego *Dawida*.

Ostatni znany adres Mathersa doprowadził Ryana do znajdującego się na drugim piętrze mieszkania w budynku bez windy, w podłej części śródmieścia. Kiedy Ryan zbliżał się do celu, zaczęło lekko mżyć. W bramie stała niewielka grupka młodych mężczyzn penetrujących wzrokiem ulicę i wyraźnie szukających kłopotów.

W szeregu żałośnie wąskich skrzynek pocztowych, wbudowanych w ścianę zawilgoconego korytarza, pod numerem 3B Ryan dostrzegł nazwisko „H. Mathers”.

Ruszył schodami w górę, tam gdzie czuć było słaby zapach moczu i starych wymiocin.

Na drzwiach mieszkania 3B ktoś namalował wspaniały średniowieczny zamek z wieżyczkami i mostem zwodzonym. Ryanowi skojarzył się on z ponurą bajką, zwłaszcza że w górnym oknie widać było czyjaś śmiertelnie przerażoną twarz.

Stwierdził, że Harry ma talent i doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej obecnej sytuacji. Ten dom być może stanowił schronienie, ale nie zapewniał bezpieczeństwa, a on sam czuł się w nim jak żyjący w nieustannym strachu więzień.

Ryan zapukał i zaczekał. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi za jego plecami.

Zaszurał nogami i odwrócił się.

Stojącą po drugiej stronie korytarza młodą kobietę można by uznać za atrakcyjną gdyby nie to, że przygotowując się do nocnej pracy, zdążyła się umalować. Gruba warstwa makijażu, a także mocno podkreślone oczy i usta zdradzały jej zawód. Spod powiek przymykających się pod ciężarem cieni i sztucznych rzęs spoglądały oczy zimne jak lód Arktyki. Wychodząc do pracy, pewnie wkłada perukę, pomyślał Ryan, widząc jasne, przycięte po chłopięcemu włosy prostytutki.

Przyglądając się jej bujnemu ciału niedbale przysłoniętemu krótkim szlafrokiem w kwiaty, nie mógł nie dostrzec trzymanego przez nią w ręce ogromnego czarnego rewolweru kaliber czterdzieści pięć. Szeroki jak Pacyfik wylot lufy skierowany był prosto w klatkę piersiową Ryana.

Uznał, że najlepiej zrobi, jeśli będzie patrzył jej prosto w oczy, trzymał ręce tak, by je widziała, i wyjaśni zwięźle po co tu przyszedł.

- Nie jestem gliniarzem. Niczego nie sprzedaję. Po prostu szukam Harry'ego.

- Myślałam, że to tamten facet. - Musiała pochodzić z Bronxu, robiła wrażenie szczerzej, mimo to Ryan wcale nie poczuł się bezpieczniej.

- Zważywszy na okoliczności, bardzo się cieszę, że nim nie jestem. Czy może pani skierować tę armatę w inną stronę?

Przez chwilę mu się przyglądała, potem wzruszyła ramionami.

- Tak, jasne. - Opuściła rewolwer i oparła się o framugę. - Tamten facet wcale mi się nie podobał. Jego zachowanie również.

- Dopóki trzyma pani tę broń, będę się zachowywać, jak pani sobie życzy.

Szybki jak błyskawica uśmiech niemal zdołał się przebić przez makijaż seksownej lalki.

- Jesteś w porządku, Cwaniaczkę. Dlaczego szukasz Rembrandta?

- Chcę z nim porozmawiać.

- No cóż, nie ma go i nie będzie przez kilka dni. To właśnie powiedziałam tamtemu facetowi.

- Rozumiem. Wiesz, gdzie jest Harry?

- Pilnuję własnego interesu.

- Na pewno. - Ryan wyprostował rękę, jednocześnie drugą powoli sięgając do portfela.

Kiedy wyjął pięćdziesiątkę, zauważył, że kobieta po namyśle zacisnęła wargi. - Masz kilka minut?

- Mogę mieć. Jeśli dorzucisz następną pięćdziesiątkę, będziesz miał godzinę. - Mimo to potrząsnęła głową - Cwaniaczku, nie wyglądasz na człowieka, który musi płacić za przyjemności.

- Chcę porozmawiać - powiedział ponownie i wyciągnął pięćdziesiątkę w jej stronę.

Potrzebowała zaledwie trzech sekund, by chwycić banknot palcami zakończonymi szponiastymi krwistoczerwonymi paznokciami.

- W porządku, wejdź.

W pokoju znajdowało się łóżko, pojedyncze krzesło, dwa stoły pochodzące z pchłego targu i metalowy wieszak zawalony jaskrawymi, zwracającymi uwagę ubraniami i tandetnymi kolorowymi materiałami. Miał rację. Na dwóch styropianowych głowach dostrzegł peruki -

jedna z nich była kruczoczarna, a druga jasna.

Na małym biurku stało lustro i mnóstwo kosmetyków.

W pokoju było niemal pusto, panował w nim idealny porządek.

- Za pięćdziesiątaka możesz dostać piwo - powiedziała.

- Byłbym wdzięczny. - Kiedy ruszyła w stronę dwupalnikowej kuchenki i małej lodówki, które stanowiły wyposażenie jej kuchni, Ryan podszedł do wykonanego z brązu smoka, który strzegł jednego z jej kiepskich stołów.

- Bardzo ładna rzeźba.

- Tak, to prawdziwe dzieło sztuki. Wykonał je Rembrandt.

- Ma talent.

- Domyślam się. - Wzruszyła ramionami, nie starając się nawet owinąć szlafrokiem.

Uznała, że klient ma prawo oglądać towar, na wypadek gdyby chciał zainwestować następne pięćdziesiąt dolarów. - Powiedziałam, że mi się podoba, a wówczas dokonaliśmy zamiany. -

Uśmiechnęła się, wręczając mu butelkę budweisera.

- Przyjaźnisz się z Mathersem?

- Jest w porządku. Nie próbuje za darmo korzystać z moich usług. Raz miałam klienta, który zamiast się ze mną przespać, chciał wykorzystać mnie jako worek treningowy. Kiedy dzieciak usłyszał, że mam kłopoty, przybiegł i zaczął walić w drzwi. Krzyczał, że jest gliniarzem. - Parsknęła w swoje piwo. - Dupek wyskoczył przez okno, nie zwracając uwagi, że spodnie płaczą mu się wokół łydek. Rembrandt jest w porządku. Czasami bywa trochę ponury i pali sporo trawki. Przypuszczam jednak, że tak właśnie postępują artyści.

- Ma wielu przyjaciół?

- Cwaniaczku, ludzie mieszkający w tym budynku raczej nie mają przyjaciół. Po raz pierwszy od kilku lat widzę, by w ciągu jednego dnia przy jego drzwiach kręciły się dwie osoby.

- Powiedz mi coś o tym drugim facecie.

Dotknęła palcami pięćdziesiątki spoczywającej na dnie kieszeni szlafroka.

- Był bardzo wysoki. Miał brzydką twarz. Moim zdaniem wyglądał na kogoś, kto wykonuje czyjeś polecenia. Można by powiedzieć, że lubi łamać nogi. Mówił, że chce kupić jedną ze statuetek Rembrandta, ale tego typu cichociemni nie bywają miłośnikami sztuki.

Spojrzał na mnie ponuro, kiedy wyjaśniłam, że go nie ma i nie wiem, gdzie jest.

Zawahała się, po czym ponownie wzruszyła ramionami.

- Miał przy sobie broń. Pod kurtką widać było wybrzuszenie. Zamknęłam mu drzwi przed nosem i sięgnęłam po swojego przyjaciela. - Kiwnięciem głowy wskazała na swój rewolwer. - Był zaledwie kilka minut przed tobą, dlatego myślałam, że to on.

- Czy ten facet był bardzo wysoki?

- Miał nieco ponad metr dziewięćdziesiąt i mógł ważyć prawie sto kilo. Ramiona goryla i dłonie jak tasaki do mięsa. Straszne oczy w kolorze brudnego lodu. Jeśli podchodzi do mnie taki facet, szybko go mijam.

- To dobry pomysł.

Jej opis odpowiadał mężczyźnie, który zaatakował Mirandę. Harrison Mathers miał ogromne szczęście, że nie było go w domu.

- A więc dlaczego szukasz Rembrandta?

- Handluję dziełami sztuki. - Ryan wyjął z kieszeni pudełeczko i wręczył jej wizytówkę.

- Pierwsza klasa.

- Jeśli Harry skontaktuje się z tobą albo wróci, daj mu to, dobrze? Powiedz mu, że podoba mi się

jego praca. Chciałbym z nim porozmawiać.

- Jasne. - Potarła palcem brąz, a potem podniosła smoka i wsunęła wizytówkę pod jego kręty ogon. - Wiesz, Cwaniaczku. - Czubkiem ostrego jak skalpel paznokcia musnęła jego koszulę. - Jest zimno i pada deszcz. Jeśli chcesz... porozmawiać jeszcze chwilę, udzielę ci rabatu.

Swego czasu sypiał z dziewczyną z Bronxu. W przypiływie sentymentu wyjął z portfela następne pięćdziesiąt dolarów.

- To za pomoc i piwo. - Odwracając się w stronę drzwi, po raz ostatni zerknął na smoka. - Jeśli będzie ci brakować pieniędzy, zanieś to do Michaela w Galerii Boldariego na nabrzeżu. On nieźle ci za to zapłaci.

- Dobrze, zapamiętam to sobie. Możesz wrócić w każdej chwili, Cwaniaczku. -

Wzniosła toast piwem. - Masz u mnie zabawę za darmo.

Nim została ukryta druga pięćdziesiątka, Ryan przeszedł na drugą stronę korytarza, pokonał zamek i znalazł się w mieszkaniu Mathersa.

Pokój stanowił zwierciadlane odbicie mieszkania prostytutki i miał dokładnie te same rozmiary. Ryan wątpił, by gospodarz ucieszył się na widok znajdujących się tu pojemników do topienia metalu. Nie brakowało również zaczętych prac. Żadna z nich nie nosiła jednak śladów talentu, którego można było dopatrzeć się w rzeźbie smoka podarowanego prostytutce w zamian za seks. Baczenie przyglądając się małemu aktowi stojącemu na brudnej spłuczce, Ryan doszedł do wniosku, że Harry zdecydowanie najwięcej serca wkłada w brązy.

Samokrytyka, pomyślał. Artyści potrafią być tak żałośnie niepewni swego.

Przed upływem kwadransa zdołał przeszukać całe mieszkanie. Na podłodze leżał

materac z płataniną prześcieradeł i koców, a obok stała zarzucona papierosami komoda z zacinającymi się szufladami.

Obok materaca znajdowało się kilkanaście bloków, większość z nich była pokryta rysunkami. Miranda nie myliła się, mówiąc, że Harry miał dobrą rękę.

Jaki taki porządek panował tylko wśród materiałów potrzebnych każdemu artyście, starannie porozkładanych na szarych metalowych półkach w plastikowych pojemnikach na mleko.

W kuchni znajdowało się pudełko firmowe Rice Krispies, sześć puszek piwa, trzy jajka, spleśniały bekon i sześć paczuszek zamrożonych kolacji. W puszcze z torebkami herbaty lipton Ryan natknął się na cztery starannie zrolowane skręty z marihuaną.

Znalazł również sześćdziesiąt trzy centy i dawno zapomniany baton milky way. Nie było żadnych listów, zapisków ani ukrytych oszczędności. W koszu na śmieci między puszkami po piwie leżało zmięte zawiadomienie o odłączeniu telefonu.

Nic nie zdradzało, gdzie podziewa się Harry, dlaczego opuścił mieszkanie ani kiedy ma zamiar wrócić.

Wróci, pomyślał Ryan, jeszcze raz uważnie rozglądając się po pokoju. Nie zostawiłby swoich materiałów ani ukrytych narkotyków.

Kiedy wróci, zadzwoni, gdy tylko dostanie do ręki wizytówkę. Głodujący artyści łatwo ulegają nastrojom, mimo to nietrudno przewidzieć, co zrobią. Każdy z nich myśli nie tylko , o zapełnieniu brzucha.

Pragnie mieć mecenasa.

- Wróć szybko do domu, Harry - mruknął Ryan, wychodząc.

Miranda patrzyła na faks, który właśnie wysunął się z maszyny. Całość napisana była wielkimi literami, jakby nadawca próbował krzyczeć.

NIE ZAWSZE KIEROWAŁA MNĄ NIENAWIŚĆ. DAWNIEJ WYSTARCZAŁO

MI, ŻE ROK PO ROKU MOGĘ CIĘ OBSERWOWAĆ. CZY PAMIĘTASZ TĘ WIOSNĘ, KIEDY UKOŃCZYŁAŚ STUDIA - OCZYWIŚCIE Z WSZELKIMI HONORAMI.

- I MIAŁAŚ ROMANS Z ADWOKATEM? NAZYWAŁ SIĘ GREG ROWE I ZERWAŁ Z TOBĄ - WŁAŚCIWIE RZUCIŁ CIĘ.

- PONIEWAŻ BYŁAŚ ZA ZIMNA I NIE POŚWIĘCAŁAŚ MU TYLE UWAGI, ILE BY CHCIAŁ. PAMIĘTASZ TO, MIRANDO?

POWIEDZIAŁ POTEM SWOIM PRZYJACIOŁOM, ŻE BYŁAŚ KIEPSKA W ŁÓŻKU. IDEŃ O ZAKŁAD, ŻE O TYM NIE WIEDZIAŁAŚ. NO CÓŻ, TERAZ JUŻ WIESZ.

ZAWSZE BYŁAŚ W ZASIĘGU MOJEGO WZROKU. ZAWSZE.

CZY KIEDYKOLWIEK CZUŁAŚ, ŻE CIĘ OBSERWUJĘ?

CZY CZUJESZ TO TERAZ?

NIE ZOSTAŁO CI JUŻ DUŻO CZASU. POWINNAŚ ZROBIĆ TO, CO CI KAZANO. TRZEBA BYŁO POGODZIĆ SIĘ Z ISTNIEJĄCYM STANEM RZECZY. Z

MOJĄ WOLĄ. GDYBYŚ TO ZROBIŁA, BYĆ MOŻE GIOVANNI JESZCZE BY ŻYŁ.

CZY KIEDYKOLWIEK MYŚLISZ O TYM?

NIE ZAWSZE TAK BYŁO, MIRANDO, ALE TERAZ NAPRAWDĘ CIĘ

NIENAWIDZĘ.

CZY CZUJESZ MOJĄ NIENAWIŚĆ?

JESZCZE JĄ POCZUJESZ.

Podczas czytania kartka papieru zadrżała w jej rękach. W wielkich literach listu było coś dziecinnego, coś co przypominało pogróżki osiłka z boiska szkolnego. Chcą, żeby było jej przykro, żeby czuła się upokorzona i przerażona. Nie mogła pozwolić, by im się to udało. Z

trudem łapała powietrze, zrobiło jej się duszno.

Kiedy zabrzączał interkom, zacisnęła mocno palce na kartce papieru. Położyła ją na biurku, dokładnie wygładziła zagięcia i odpowiedziała na wezwanie Lori.

- Słucham?

- Doktor Jones, jest pan Boldari. Pyta, czy znajdzie pani dla niego chwilę czasu.

Ryan. Niewiele brakowało, a wymówiłaby głośno jego imię. Pragnąc zatrzymać je w myślach, przycisnęła palce do ust.

- Możesz go poprosić, żeby chwileczkę zaczekał?

- Oczywiście.

Wrócił. Miranda potarła rękami policzki, by odzyskały kolor. Postanowiła, że zachowa dumę. Ma do tego prawo. Nie wybiegnie przed drzwi i nie rzuci się w jego ramiona jak jakaś szalona kochanka.

Nie było go bez mała od dwóch tygodni i ani razu nie zadzwonił. Wyjmując puderniczkę i korzystając z maleńkiego lusterka, by przyglądać włosy i nałożyć szminkę, przypomniła sobie, że właściwie była z nim w kontakcie. Otrzymywała notatki służbowe, teleksy, pocztę elektroniczną i faksy co prawda podpisane jego nazwiskiem, ale wysyłane przez jakiegoś trutnia biurowego.

Po zerwaniu z nią wcale nie starał się być miły. Robili to za niego jego urzędnicy.

Nie urządzi mu sceny. Wciąż mają jeszcze kilka spraw do załatwienia. Dopilnuje, by wszystko przebiegło jak należy.

Nie da mu satysfakcji, nie dopuści do tego, by się zorientował, że jest jej potrzebny.

Że potrzebowała go przez całe minione dwa tygodnie, zarówno w dzień, jak i w nocy.

Uspokoiła się, otworzyła szufladę i położyła ostatni faks na kupce z wcześniejszymi wiadomościami tego typu. Teraz przychodziły codziennie - niektóre z nich zawierały zaledwie linijkę lub dwie, inne były chaotyczne jak dzisiejsza. Wśród nich znajdował się również wydruk z poczty elektronicznej, chociaż Lostl nigdy więcej nie skontaktował się z Mirandą.

Zamknęła szufladę, wrzuciła klucz do kieszeni i podeszła do drzwi.

- Witaj, Ryane. - Uśmiechnęła się do niego uprzejmie. - Przepraszam, że kazałam ci czekać. Proszę, wejdź.

Siedząca przy biurku Lori najpierw spojrzała na jedną twarz, potem na drugą, a w końcu odchrząknęła.

- Czy mam nie łączyć twoich rozmów?

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Może masz ochotę na... Nie zdołała dokończyć. Kiedy zamknęła drzwi, przycisnął ją do nich i przywarł wargami do jej ust w gwałtownym namiętym pocałunku kładącym w gruzach mur, który tak starannie wzniosła.

Zacisnęła ręce w pięści i nie okazała żadnej reakcji, nie próbowała nawet stawiać zacieklego oporu.

Kiedy się cofnął i przymrużył oczy, starając się domyślić, o co jej chodzi, przechyliła głowę i odsunęła się na bok.

- Jaką miałeś podróż?

- Długą. Co się stało, Mirando?

- Nic. Jestem pewna, że chcesz zobaczyć ostateczny projekt. Mam rysunki. Z ogromną przyjemnością zabiorę cię na dół i pokażę, co zdołaliśmy dotychczas zrobić. Myślę, że bę-

dziesz zadowolony.

Podeszła do tablicy kreślarskiej i zaczęła rozwijać ogromną płachtę papieru.

- To może zaczekać.

Uniosła wzrok i przekrzywiła głowę.

- Czyżby chodziło ci o coś innego?

- Z całą pewnością, ale najwidoczniej to również może czekać.

Z wciąż jeszcze przymrużonymi oczami podszedł do niej, zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy i próbował dostrzec wszystkie szczegóły. Kiedy stali oko w oko, ujął ją pod brodę i powoli położył palce na jej policzku.

- Tęskniłem za tobą - powiedział zdumiony, jakby właśnie udało mu się rozwiązać jakąś zagadkę. - Bardziej niż zamierzałem, bardziej niż się spodziewałem. Bardziej niż chcia-

łem.

- Naprawdę? - Odsunęła się, ponieważ pod wpływem jego dotyku zaczęła drżeć. - Czy dlatego właśnie tak często dzwoniłeś?

- Dlatego właśnie nie dzwoniłem. - Wsadził ręce do kieszeni. Czuł się jak głupiec, a wyraźny ucisk w żołądku wymagał, że mężczyzna może odczuwać jeszcze bardziej mocne emocje. - Dlaczego do mnie nie dzwoniłaś? Zrobiłem wszystko, żebyś wiedziała, gdzie jestem.

Przekrzywiła głowę. Uznała, że pozbawiony zwykłej pewności siebie Ryan Boldari to dziwny i dość rzadki widok.

- Tak, twoje sekretarki co chwila informowały mnie gdzie jesteś. Ponieważ jednak prace posuwały się do przodu zgodnie z harmonogramem, nie było sensu niepotrzebnie cię niepokoić. Na dodatek wszystko wskazywało na to, że postanowiłem sam zająć się całą sprawą, więc nie było potrzeby, abyś ty się tego włączyła.

- Nie chciałem, żebyś tak dużo dla mnie się poświęcała.

- Mówiąc to, zakłuł się na piętach, jakby próbował zachować równowagę. - Nie chcę, żebyś tak dużo dla mnie robiła. To nie jest mój sposób na życie.

Odwróciła się, mając nadzieję, że zdążyła zrobić to wystarczająco szybko i dzięki temu Ryan nie zobaczył, jak ją to zabolalo. Na szczęście nie miał pojęcia, jakie uczucia nią targają.

- Nawet jeśli chciałeś ze mną zerwać, Rynie mogłeś zrobić to bardziej taktownie.

Położył dłonie na jej ramionach, a kiedy próbowała się wyrwać, zacieśnił uchwyt i ze złością ją odwrócił.

- Czy wyglądam na człowieka, których ciał z tobą zerwać? - Przyciągnął ją do siebie i ponownie przywarł ustami do jej ust, trzymając ją mocno, kiedy usiłowała się wyrwać.

- Czy masz wrażenie, że chcę z tobą zerwać?

- Nie baw się ze mną w taki sposób. - Przestała się szarpać a jej głos był słaby i roztrzęsiony. Gardziła sobą z tego powodu, ale nie potrafiła inaczej się zachowywać. - Nie jestem przygotowana na tego typu zabawę.

- Nie przypuszczałem, że mogę sprawić ci ból.

- Kiedy opanował własną złość, oparł czoło o jej głowę, rozluźnił uchwyt na jej ramionach i zsunął ręce na jej biodra.

- Może chciałem sprawdzić, czy mi się uda. To niedobrze o mnie świadczy.

- Nie sądziłam, że wrócisz. - Rozpaczliwie chciała zachować dystans i odzyskać panowanie nad sobą, ale się z tego objęła. - Ludzie odchodzą ode mnie z ogromną łatwością.

Zorientował się, że zniszczył coś bardzo kruche i niezwykle cenne. Nie tylko jej zaufanie, lecz również wiarę w ich dwoje. Dlatego nie zastanawiając się nad tym, co robi, nie obawiając się, że straci u niej wszelkie szanse, po prostu spojrział na nią i powiedział:

- Jestem o krok od zakochania się w tobie, może nawet dalej, a to wcale nie jest dla mnie łatwe.

Oczy Mirandy pociemniały, a policzki zbladły. Czując, że traci równowagę, położyła dłoń na brzegu biurka.

- Ja... Rynie... - Mimo największego wysiłku nie była w stanie uporządkować przebiegających przez

jej głowę myśli ani ubrać ich w słowa.

- Czyżby nie było na to żadnej logicznej odpowiedzi, doktor Jones? - Podszedł do niej i ujął jej dłoń. - Co z tym zrobimy?

- Nie wiem.

- Niezależnie od wszystkiego wolałbym nie robić tego tutaj. Możesz wyjść?

- Tak... Sądzę, że tak.

Uśmiechnął się i musnął wargami jej palce.

- W takim razie chodź ze mną. Pojechali do domu.

Zakładała, że Ryan chce ją zabrać w jakieś spokojne miejsce, gdzie mogliby porozmawiać i uporządkować własne emocje, które najwyraźniej dla obydwójga były całkiem nowe. Może do restauracji lub parku, zwłaszcza że w Maine właśnie zaczęła się piękna wiosna.

Ruszył jednak drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Żadne z nich nie odezwało się słowem. Miranda patrzyła, jak cypel coraz bardziej się zwęża, a z obu stron spokojna woda mieni się błękitem w południowych promieniach słońca.

Na długiej kamienistej, ciągnącej się od wschodu plaży stała jakaś kobieta.

Obserwowała chłopca igrającego z rozbrykaną morską pianą i rzucającego mewom okruchy chleba. Zakręt drogi biegł tak blisko, że Miranda dostrzegła na jego twarzy wspaniałą promienny uśmiech na widok ptaków, które pikowały w zawrotnym tempie, aby wziąć udział

w uczcie.

W oddali smukłe czerwone żagle szkunera chwytaly wiatr i szybko przesuwały się na południe.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek była tak beztroska i szczęśliwa jak ten chłopiec lub tak spokojna i pewna siebie jak szkuner.

Rosnące od strony cieśniny drzewa zdążyły się już przystroić w delikatną kwietniową zieleń na razie przypominającą raczej mgiełkę niż prawdziwe liście. Miranda doszła do wniosku, że najbardziej lubi właśnie początek wiosny. Dziwne, że nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy. Droga pięła się coraz wyżej, a drzewa poruszały się pod delikatnym wiosennym niebem, po którym sunęły białe obłoczki tak niewinne jak kłaczki bawełny.

Na szczycie wzniesienia, w miejscu gdzie stał stary dom, nieoczekiwanie wyłonił się ocean radosnej żółci. Morze żonkili i las forsycji - wszystko zasadzone jeszcze przed urodzeniem się Mirandy.

Ryan zaskoczył ją, zatrzymując samochód i uśmiechając się od ucha do ucha.

- Jak tu pięknie.

- To dzieło mojej babci. Mawiała, że ludzie uśmiechają się na widok żółtego koloru.

- Lubię twoją babcie. - Działając pod wpływem impulsu, wyskoczył na pobocze i zerwał jej naręczę żółtych kwiatów. - Nie sądzę, by miała coś przeciw temu - stwierdził, z powrotem wsiadając do samochodu i wręczając jej bukiet.

- Nie, na pewno nie. - Mimo to poczuła, że chce jej się płakać.

- Przyniosłem ci żonkile. - Dotknął ręką jej policzka i zaczekał, aż odwróci głowę i spojrzy na niego.
- Dlaczego nie uśmiechasz się na ich widok?

Nie otwierając oczu, ukryła twarz w kwiatkach. Wydzielały nieprawdopodobnie słodki zapach.

- Nie wiem, co zrobić z własnymi uczuciami. Lubię postępować rozsądnie i w sposób przemyślany.

- Czy nigdy nie chciałaś się potknąć, by sprawdzić, gdzie upadniesz?

- Nie. - Wiedziała jednak, że właśnie to robi. - Jestem tchórzem.

- Wcale nie.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Jeśli chodzi o uczucia, jestem prawdziwym tchórzem. Boję się ciebie.

Opuścił ręce, odsunął się i ujął kierownicę. Ogarnęło go podniecenie i poczucie winy.

- Nie powinnaś mi tego mówić. To niebezpieczne. Mogę to wykorzystać.

- Wiem. I przyszedłoby ci to z taką samą łatwością, jak zatrzymanie się na poboczu i zerwanie żonkili. Gdybyś był zdolny tylko do jednego z tych nastrojów, wcale nie musiałabym się ciebie obawiać.

Bez słowa ponownie włączył silnik, ruszył powoli w górę krętą drogą i zaparkował przed domem.

- Nie chcę się cofać, nie chcę, by łączył nas tylko wspólny interes. Jeśli myślisz, że jest to możliwe, popełniasz błąd.

Kiedy chwycił ją mocno za brodę, szarpnęła się.

- Popełniasz błąd - powtórzył, a łagodna groźba brzmiąca w jego głosie sprawiła, że puls Mirandy zaczął łomotać w pełnym panicznego strachu podnieceniu.

- Niezależnie od tego co czuję, nie pozwolę wywierać na siebie nacisku. - Położyła dłoń na jego nadgarstku i odepchnęła go. - Poza tym uważam, że jest mnóstwo innych możliwości.

Po tych słowach otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu, nie dostrzegając szybkiego jak błyskawica uśmiechu Ryana. I płomienia w jego oczach.

- Jeszcze zobaczymy, doktor Jones - mruknął i ruszył za nią po schodach.

- Niezależnie od tego jak wyglądają nasze sprawy osobiste, istnieją ważniejsze rzeczy.

Musimy przejrzeć plany dotyczące wystawy.

- Zrobimy to.

Kiedy Miranda otwierała drzwi, Ryan zabrzęczał drobnymi w kieszeni.

- Chcę, żebyś wyjaśnił mi, czego się spodziewasz i co może się zdarzyć, kiedy zejdą się wszyscy, którzy nas interesują.

- Oczywiście.

- Musimy to dokładnie przedyskutować, krok po kroku. Chcę mieć czas na przemyślenie wszystkiego.

- Wiem.

Zamknęła drzwi. Przez chwilę stali w cichym holu i przyglądali się sobie. Kiedy Ryan zdejmował skórzaną kurtkę, nie odrywając wzroku od Mirandy, poczuła, że zasycha jej w gardle.

Czuła się jak zwierzyzna obserwowana przez myśliwego, nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego sprawia jej to tak cholerną przyjemność.

- Mam tu drugi egzemplarz projektu. Na piętrze, w moim biurze. Zabrałam do domu całą robotę papierkową. Wszystkie kopie.

- Oczywiście. - Zrobił krok do przodu. - Spodziewałem się tego. Czy wiesz, co chcę ci zrobić, doktor Jones? Tu i teraz? - Podeszedł bliżej, jednak jej nie dotknął, chociaż czuł

pulsującą w każdym zakątku ciała ogromną potrzebę zrobienia tego.

- Nie udało nam się niczego osiągnąć w tym względzie. Poza tym musimy zająć się sprawami zawodowymi. - Serce łomotało jej w piersiach jak nieokrzesany niecierpliw gość walący w zamknięte drzwi. - Mam tu wszystkie kopie - powtórzyła. - Dzięki temu mogłam pracować również... w domu. O Boże.

Skoczyli na siebie. Ręce same zaczęły rozrywać ubrania, a usta przywarły do siebie.

Żadne z nich nie było w stanie zapanować nad gwałtownym wybuchem namiętności.

Zdesperowana Miranda szarpnęła jego koszulę.

- O Boże, nienawidzę tego.

- Nigdy więcej jej nie włożę.

- Nie, nie. - Z krtani Mirandy wyrwał się niespokojny śmiech. - Nienawidzę tak bardzo cię pragnąć. Przytul mnie. Nie mogę tego znieść. Pieść mnie.

- Próbuję. - Pociągnął za lamówkę kamizelki, którą Miranda miała pod tweedowym zakietem. - Włożyłaś dzisiaj na siebie cholernie dużo rzeczy.

Potykając się, dotarli do podstawy schodów. Kamizelka pofrunęła na bok.

- Zaczekaj. Muszę... - Jego palce zagłębiły się w jej włosach, rozrzucając spinki, którymi rano spięła masę rudych włosów.

- Mirando. - Ponownie przywarł ustami do jej warg, a w tym jednym gwałtownym pocałunku można było wyczuć ocean pożądania.

Oboje cicho jęknęli i starali się pokonać dwa następne stopnie. Jednym szarpnięciem wyciągnęła koszulę zza paska jego spodni, a potem z trudem łapiąc powietrze, usiłowała zsunąć mu ją z rąk, by poczuć golą skórę.

Czuła pod palcami, że jego serce bije tak samo gwałtownie jak jej. To był czysty seks.

Nie rozwiązywał niczego i niczego nie dowodził, ale Boże dopomóż, wcale się tym nie przejmowała.

Kiedy mankiety wykrochmalonej bawełnianej bluzki oplatały się wokół nadgarstków Mirandy, przez chwilę czuła się podniecająco bezradna, zwłaszcza że Ryan przycisnął ją plecami do ściany i przywarł do jej piersi.

Chciał wojny, dzikiej, prymitywnej, brutalnej wojny. Znalazł ją w samym sobie i w nieokiełznanej odpowiedzi Mirandy. Jego palce pospiesznie podążyły w dół, rozpięły jej spodnie i zsunęły się niżej. Gdy zagłębiły się w niej, wysunęła biodra do przodu. Kiedy ogarnął ją brutalny, szokujący orgazm, wydusiła z siebie jego imię i zadrzała.

Przesunęła wargami po jego twarzy i szyi, równocześnie zagłębiając palce w jego biodrach, rozdzierając na nim ubranie i doprowadzając go do szaleństwa. Wsunął się w nią tam, gdzie stali, przyciskając ją mocno do ściany i stopniowo coraz bardziej się w niej zagłębiając.

Wczepiła się w niego i paznokciami przeorała mu plecy. Wydawane przez nią dźwięki

- prymitywne jęki, rozwiązłe okrzyki i gardłowe szepty - pobudzały krążącą w jego żyłach krew. Kiedy osłabła, uniósł ją za biodra. Był ślepy i głuchy na wszystko z wyjątkiem podświadomej potrzeby, by brać, brać i jeszcze raz brać. Każdy gwałtowny ruch stanowił

dowód posiadania.

Moja.

- Chcę więcej - wysapał. - Zostań ze mną. Wróc.

- Nie mogę.

Ręce Mirandy ześlizgnęły się po jego wilgotnych plecach. Nie odpowiadała za swoje ciało ani umysł.

- Weź więcej.

Uniosła powieki i utonęła w jego spojrzeniu. Jego oczy były ciemne, gorące i całkowicie skupione na niej. Po jej skórze ponownie zaczęły przebiegać dreszcze, które rozchodziły się po całym ciele. Potem zamieniły się w dziki pulsujący ból, który zamieniał

każdy oddech w bezsensowny jęk. W końcu ogarnęła ją gwałtowna i potężna fala rozkoszy.

Kiedy krzyknęła, ukrył twarz w jej włosach i opadł na nią.

Ryan doszedł do wniosku, że czuje się tak, jakby przeżył katastrofę kolejową i cudem udało mu się zostać przy życiu. Leżeli na podłodze odrętwiali, splątani ze sobą i pozbawieni zmysłów. Miranda była rozciągnięta w poprzek na jego brzuchu z twarzą zwróconą w stronę perskiego dywanu. Wszystko dlatego, że tak właśnie osunęli się na podłogę.

Co kilka minut przebiegał ją dreszcz i stąd tylko wiedziała, że jeszcze żyje.

- Mirando - wychrypiał i nagle zdał sobie sprawę, że całkiem zaschło mu w gardle. W

odpowiedzi wydała bliżej nieokreślony dźwięk, ni to chrząknięcie, ni to jęk. - Czy mogłabyś wstać?

- Kiedy?

Roześmiał się cicho i sięgnął ręką w dół, by pogłaskać ją po pupie.

- Dobrze by było, gdybyś zrobiła to teraz. - Kiedy się nie ruszyła, warknął: - Wody.

Muszę napić się wody.

- Nie możesz po prostu mnie zepchnąć?

To wcale nie było takie proste, mimo to zdołał wysunąć się spod jej bezwładnego ciała. Schodząc schodami w dół, dla utrzymania równowagi trzymał się ręką ściany. W

kuchni wypił dwie szklanki wody z kranu, a potem nalał trzecią. Nieco spokojniejszy ruszył z powrotem. Na widok porzrzucanych wokół części garderoby i kwiatów uśmiechnął się od ucha do ucha.

Miranda nadal leżała na podłodze na górnym podeście schodów, zmieniła jedynie pozycję, obracając się na plecy. Miała zamknięte oczy i odrzuconą do góry rękę, a jej cudownie poplątane włosy kłóciły się kolorystycznie z ciemną czerwieńią chodnika.

- Doktor Jones. Co powiedziałby na ten temat „Art Revue”?

- Hmm.

Z uśmiechem na ustach kucnął i pragnąc zwrócić na siebie uwagę, szturchnął szklanką jej pierś.

- Proszę, prawdopodobnie ci się przyda.

- Mmm. - Usiadła, po czym wzięła szklankę w obie ręce i wypła wodę do ostatniej kropelki. - Nie udało nam się dotrzeć do sypialni.

- Zawsze jest jeszcze następny raz. Wyglądasz na rozluźnioną.

- Czuję się tak, jakbym była po narkotykach. - Zamrugała powiekami, skupiła wzrok na znajdującym się za jego plecami obrazie i wpatrzyła się w biały stanik wiszący uroczyście na górnym rogu ramy. - Czy to moje?

Obejrzał się za siebie i przesunął językiem po zębach.

- Nie mówisz mi, że to ja miałem na sobie coś takiego.

- Mój Boże!

Kiedy poderwała się na równe nogi i zabrała go, Ryan musiał jej przyznać kilka punktów za tempo, w jakim odzyskiwała siły. Oczy jej nabrały blasku i wyrazu. Oddychała jednak ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Zaczęła krążyć dookoła, zbierać poszczególne części garderoby i ratować porozrzucane kwiatki.

- Nie mogę znaleźć jednej z moich skarpetek.

Kiedy spojrzała na niego, przyciskając do piersi pomięte ubranie, uśmiechnął się..

- Wciąż masz ją na sobie.

Zerknęła w dół i na lewej nodze zobaczyła skarpetkę.

- Och.

- Ładnie wyglądasz. Masz aparat fotograficzny?

Nie zastanawiając się ani chwili, Miranda rzuciła mu na głowę wszystkie ubrania.

Ponieważ Ryan bardzo nalegał, wzięli butelkę wina i usiedli nad urwiskiem w ciepłym wiosennym

słońcu.

- Masz rację - powiedział. - Rzeczywiście jest tu pięknie na wiosnę.

Woda na horyzoncie mieniła się jasnym błękitem, nieco intensywniejszy odcień miała tam, gdzie po jej powierzchni kursowały łodzie, a w pobliżu brzegu, w miejscach, gdzie uderzała o skały i zalewała je, była bardzo ciemna, niemal zielona.

Wiejący tego dnia łagodny wietrzyk pieścił zamiast uderzać.

Sosny, które zarastały łąd od tej strony i pięły się po zboczu, wypuszczały młode zielone pędy. Drzewa liściaste obsypane były delikatnymi pączkami, z których wkrótce miały się wychylić liście.

Nikt nie spacerował po znajdującej się poniżej wyboistej plaży i nie rozdeptywał

połamanych muszli porozrzucanych podczas ostatniego sztormu. Ryan był z tego zadowolony, cieszył się, że przypominające zabawki łodzie są daleko, a boje milczą.

Byli sami.

Kiedy obejrzał się za siebie, w stronę domu, zobaczył stary ogród. Największe kłody suchego drewna i cierniste brązowe chwasty zostały usunięte. Ziemia wyglądała na świeżo przekopaną i zgrabioną. Widząc małe wysepki zieleni, przypomniał sobie, że Miranda miała zamiar zająć się ogrodem. Wyglądało na to, że skrupulatnie zrealizowała to postanowienie.

Zdał sobie sprawę, że chciałby zobaczyć ją przy pracy. Ogromną przyjemność sprawiłoby mu obserwowanie, jak Miranda klęczy na ziemi, starając się przywrócić stary ogród do życia i zamieniając w rzeczywistość wykonane przez siebie szkice.

Chciałby wiedzieć, co zasadziła i co będzie tu kwitło.

- Powinniśmy właśnie pracować w moim biurze - stwierdziła, kiedy wyrzuty sumienia przesłoniły radość, którą odczuwała tego uroczego popołudnia.

- Uznajmy to za wyprawę w teren.

- Musisz zobaczyć ostateczny projekt wystawy.

- Mirando, gdybym całkowicie ci nie ufał, nie oddałbym w twoje ręce swojej własności. - Upił łyk wina i niechętnie zaczął myśleć o pracy. - Poza tym codziennie wysyła-

łaś do mojego biura raport. Wydaje mi się, że mam ogólne pojęcie.

- Dzięki pracy nad tym znalazłam chwilę czasu, by z dalszej perspektywy przyjrzeć się innym rzeczom. Nie wiem, co jeszcze możemy zyskać oprócz oczywistych korzyści dla naszych galerii i ogromnego datku dla NEA. Reszta...

- Reszta również posuwa się do przodu.

- Ryane, powinniśmy powiedzieć policji wszystko, co wiemy. Długo nad tym myślałam. Trzeba było to zrobić na samym początku. Dałam się przekonać, bo taka już jestem, i uległam uczuciom, jakie do ciebie żywię.

- Nic mi o nich nie mówiłaś. Zrobisz to?

Oderwała od niego wzrok i obserwowała duże, metalowe, kołyszące się w milczeniu boje.

- Nigdy przedtem nie darzyłam nikogo takimi uczuciami. Nie wiem, co to jest ani co z tym fantem zrobić. Członkowie mojej rodziny nie potrafią nawiązywać bliższych więzi z innymi ludźmi.

- Co ma z tym wspólnego twoja rodzina?

- Klątwa Jonesów. - Lekko westchnęła, ponieważ wcale nie musiała się oglądać, by wiedzieć, że się uśmiechnął. - Zawsze wszystko pieprzymy. Jesteśmy egoistami, zaniedbujemy innych, popadamy w apatię. Nie wiem, na czym to polega, ale po prostu kiepsko się spisujemy w związkach z innymi ludźmi.

- A zatem uważasz, że jesteś produktem genów i twoim zdaniem one o wszystkim decydują?

Gwałtownie odwróciła głowę. Uśmiechnął się, widząc, że ją dotknął. Po chwili opanowała się i pochyliła głowę.

- To był celny cios. Mimo to pozostaje faktem, że mam prawie trzydzieści lat i nigdy z nikim nie łączyło mnie poważne długotrwałe uczucie. Nie wiem, czy potrafię zdobyć się na coś takiego.

- Przede wszystkim musisz chcieć to sprawdzić. Chcesz?

- Tak. - Zdenerwowana zaczęła pocierać ręką o spodnie, lecz Ryan ją powstrzymał.

- W takim razie zaczynamy od razu. Ja również znalazłem się w zupełnie obcym sobie żywiole.

- Ty zawsze jesteś w swoim żywiole - mruknęła. - Doskonale się czujesz w każdej sytuacji.

Roześmiał się i uściśnął jej dłoń.

- Może zaczęlibyśmy zachowywać się jak dobrana para, a wówczas mógłbym ci opowiedzieć o swojej wyprawie do San Francisco.

- Widziałeś się z bratem.

- Tak, wraz z żoną i dziećmi przyjeżdża na uroczyste otwarcie wystawy. Przybędzie również reszta rodziny z Nowego Jorku.

- Wszyscy? Cała twoja rodzina?

- Jasne. To wielkie wydarzenie. Tak czy inaczej muszę cię ostrzec, że będą ci się bacznie przyglądać.

- Cudownie. Mam zatem jeszcze jeden powód, by się denerwować.

- Przyjeżdża twoja matka. Twój ojciec również... Z tym wiąże się mały dylemat, ponieważ on sądzi, że jestem kimś innym.

- O Boże, zapomniałam. Co zrobimy?

- Będziemy udawać, że nie wiemy, o czym on mówi. - Kiedy spojrzała na niego zdziwiona, Ryan jedynie się uśmiechnął. - W przeciwieństwie do mnie Rodney jest Brytyjczykiem. Poza tym nie jest tak przystojny jak ja.

- Czy naprawdę uważasz, że mój ojciec da się nabrać na coś takiego?

- Oczywiście, ponieważ konsekwentnie będziemy się trzymać tej wersji. - Skrzyżował

nogi w łydkach i wciągnął w płuca chłodne wilgotne powietrze. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od kilku dni jest tak rozluźniony. - Po co do diabła miałbym przedstawiać mu się jako ktoś inny, zwłaszcza że wtedy gdy przyjechał cię odwiedzić, ja przebywałem w Nowym Jorku. Będzie zakłopotany, ale raczej nie powinien zbyt uparcie twierdzić, że Ryan Boldari jest kłamcą.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie wiem, czy mamy inny wybór, poza tym mój ojciec z pewnością nie zwraca zbytnej uwagi na ludzi, ale...

- Po prostu zdaj się na mnie i dużo się uśmiechaj. A teraz inna sprawa. Będąc w San Francisco, szukałem Harrisona Mathersa.

- Znalazłeś go?

- Znalazłem jego mieszkanie. Ale Harry'ego nie było w domu. Spędziłem natomiast interesujące pół godziny z mieszkającą po drugiej stronie korytarza prostytutką. Powiedziała mi, że nie będzie go przez kilka dni i że...

- Chwileczkę. - Uwolniła rękę z jego uchwytu i uniosła palec. - Czy mógłbyś to powtórzyć?

- Wyjechał gdzieś na kilka dni?

- Nie, wspomniałeś coś o spędzeniu jakiegoś czasu z prostytutką.

- Warto było dać jej pięćdziesiąt dolarów. No cóż, prawdę mówiąc, sto. Kiedy już skończyliśmy, dałem jej drugą pięćdziesiątkę.

- Czy to było coś w rodzaju napiwku?

- Tak. - Uśmiechnął się do niej. - Czyżbyś była zazdrośna, kochanie?

- A czy uważasz, że zazdrość to coś niewłaściwego?

- Odrobina zazdrości to bardzo dobra rzecz.

- W takim razie w porządku. - Zaciśnęła uwolnioną przed chwilą rękę w pięść i grzmotnęła go w żołądek.

Jęknął, po czym ostrożnie usiadł na wypadek, gdyby ponownie chciała go uderzyć.

- Muszę dokonać pewnych poprawek. Zazdrość jest zdecydowanie niezdrowa.

Zapłaciłem jej za rozmowę.

- Gdybym myślała, że było inaczej, właśnie frunąłbyś w dół na tamte kamienie. - Tym razem to ona się uśmiechnęła, gdyż dostrzegła w jego oczach niepokój. - Co ci powiedziała?

- Wiesz, doktor Jones, wasze jankeskie opanowanie czasami nieco mnie przeraża.

Powiedziała mi, że tego samego dnia pytał o Harry'ego jeszcze jeden mężczyzna. Przez cały czas trzymała wymierzony we mnie ogromny rewolwer.

- Rewolwer? Miała broń?

- Nie spodobał jej się zbytnio ten pierwszy facet. Kobiety trudniące się jej profesją zazwyczaj potrafią bardzo szybko ocenić mężczyznę. Sądząc z jej opisu, wydaje mi się, że miała rację. Sama mogłabyś to potwierdzić. Wygląda na to, że był to człowiek, który cię zaatakował.

Błyskawicznie uniosła rękę do szyi.

- Ten, który ukradł mi torebkę? Był w San Francisco?

- Szukał młodego Harry'ego. Przypuszczalnie twój dawny student miał szczęście, że nie było go w domu. Jest w to zamieszany, Mirando. Ktoś, dla kogo odlał ten brąz, komu go dał lub sprzedał, teraz chce się go pozbyć.

- Jeśli go znajdą...

- Załatwiłem kogoś, kto będzie trzymał rękę na pulsie. Musimy znaleźć go pierwsi.

- Może uciekł. Może wie, że go szukają.

- Nie, przetrząsnąłem trochę jego mieszkanie. Zostawił wszystkie narzędzia i niewielki zapas trawki. - Ryan ponownie oparł się na łokciu i obserwował sunące leniwie po niebie obłoczki. - Wcale nie wyglądało na to, że wyjeżdżał w jakimś szczególnym pośpiechu. Mamy pewną przewagę - wiemy, że ktoś go szuka. Tymczasem na razie nikt nie zdaje sobie sprawy, że my również to robimy. Sądząc po

stylu życia Harry'ego, albo nie zarobił zbyt dużo na tym falsyfikacie, albo otrzymane pieniądze szybko przepuścił, a nie zdążył jeszcze zgłębić cudownego świata szantażu.

- A może mu grozili?

- Jaki miałoby to sens? Na pewno nie chcieli, żeby uciekł. Zależało im na tym, by cicho i szybko go wyeliminować. - Dostrzegł jednak w jej oczach coś dziwnego. - Dlaczego pytasz?

- Otrzymuję... różne pisma. - Dzięki użyciu bezdusznego profesjonalnego terminu nie była aż tak bardzo roztrzęsiona.

- Pisma?

- Przeważnie są to faksy. Dostaję je od jakiegoś czasu, a od twojego wyjazdu przychodzą codziennie. Faksy i jedna wiadomość przesłana przez internet. Przychodzą tu i do biura.

Z powrotem usiadł. Przymrużył oczy i spojrzał na nią chłodno.

- Czy są w nich groźby?

- Nie tylko, właściwie groźby zaczęły się dopiero ostatnio.

- Czemu mi nic nie powiedziałaś?

- Właśnie ci mówię.

- Dlaczego, do diabła, nie przyznałaś się, że to trwa już od jakiegoś czasu? - Kiedy spojrzała na niego obojętnie, poderwał się na równe nogi, przy okazji przewracając kieliszek, który potoczył się po kamieniach. - Nigdy nie wzięłaś tego pod uwagę, prawda? Nie mogłaś mi powiedzieć, że ktoś w ten sposób usiłuje cię zastraszyć? Nie próbuj mi wmawiać, że nie jesteś przerażona - wyrzucił z siebie, nim zdołała się odezwać. - Masz to wypisane na twarzy.

Pomyślała, że zobaczył za dużo i przyszło mu to zbyt łatwo.

- Co byś z tym zrobił?

Przez chwilę patrzył na nią płonąłym wzrokiem, a potem wsunął ręce do kieszeni i odwrócił się.

- Co w nich jest?

- Różne rzeczy. Niektóre z tych listów są bardzo krótkie, spokojne i właściwie niegroźne. Inne bywają bardziej chaotyczne, napisane bez ładu i składu. Dotyczą moich spraw osobistych i przypominają pewne zdarzenia z mojego życia.

Ponieważ poczuła się jak tropiona zwierzyna, wstała.

- Jedna przyszła po śmierci Giovanniego... po śmierci Giovanniego - powtórzyła. - Jest w niej

stwierdzenie, że mam na rękach jego krew.

Musiał odsunąć na bok urazę i złość, że mu nie zaufała, że nie zwróciła się do niego o pomoc. Był zaskoczony, że tak bardzo go to zabolalo, minio to odwrócił się i spojrzal jej prosto w oczy.

- Jeśli w to wierzysz, jeśli dajesz sobie wmówić takie rzeczy jakiemuś piszącemu anonimy draniowi, jesteś głupia i reagujesz dokładnie tak, jak oni chcą.

- Wiem o tym, Ryane. Doskonale o tym wiem. - Myślała, że zdoła mu to wyznać całkiem spokojnie, mimo to głos jej się załamał. - Zdaję sobie sprawę, że jest to ktoś, kto zna mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co najbardziej mnie zaboli.

Podszedł do niej i mocno przytulił ją do siebie.

- Pozwól sobie pomóc. Chodź, przytul się. - Kiedy w końcu otoczyła go ramionami, dotknął policzkiem jej włosów. - Nie jesteś sama, Mirando.

Niestety była, i to od tak dawna. Mężczyzna taki jak on nie wie, że można stać w zatłoczonym pokoju i czuć się człowiekiem samotnym. Wyobcowanym. Nie chcianym.

- Giovanni... był jedną z niewielu osób, dzięki którym czułam się... normalnie. Wiem, że te pisma przesyła mi człowiek, który go zabił. To znaczy wie o tym mój rozum, Ryane, ale w głębi serca zawsze będę czuła się winna, a oni są tego świadomi.

- W takim razie nie pozwól, by wykorzystywali i ciebie, i jego w taki sposób.

Zawstydzona, że musi jej dodawać otuchy, przymknęła powieki. Słowa Ryana przekonały ją. Otworzyła oczy i spojrziała w stronę morza.

- Wykorzystują jego śmierć - mruknęła. - Masz rację. - Dopuściła do tego, żeby to, czego dokonali, zaważyło na całym jej życiu. - Niezależnie od tego kto to jest, nienawidzi mnie i w dzisiejszym faksie zrobił wszystko, żebym się o tym dowiedziała.

- Masz wszystkie kopie?

- Tak.

- Chcę je zobaczyć. - Kiedy zaczęła się odsuwać, zatrzymał ją i pogłaskał po włosach.

Zastanawiał się, czy Miranda czuje, że drży. - Czy udało ci się wytropić nadawcę wiadomości, która przysłała pocztą elektroniczną?

- Nie miałam szczęścia. Na serwerze nie ukazało się imię użytkownika. Jest to serwer, z którego korzystamy tutaj i w Standjo.

- Czy nadal trzymasz tę wiadomość w swoim komputerze?

- Tak.

- W takim razie znajdziemy go. - Albo zrobi to Patrick, pomyślał. - Przepraszam, że mnie tu nie było. - Odsunął się i ujął jej twarz w dłonie. - Ale teraz jestem przy tobie, Mirando, i nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził. - Kiedy nie odpowiedziała, zacieśnił uścisk i dokładnie przyjrzał się jej twarzy. - Nie składam zbyt łatwo obietnic, ale kiedy już to robię, nigdy ich nie łamię. Mam zamiar przejrzeć to wszystko. I nie dopuszczę, by cokolwiek ci się stało.

Urwał, a potem wykonał coś, co uważał za krok w kierunku przepaści.

- Czy nadal chcesz rozmawiać z Cookiem?

Miała całkowitą pewność, że jest to jedyne słuszne rozwiązanie. Nie wahała się, dopóki nie spojrzał na nią i nie złożył jej obietnicy, tym samym sprawiając, że wbrew zdrowemu rozsądkowi uwierzyła mu.

- Przejrzyjmy to, Ryan. Sądzę, że nie pozostało nam nic innego.

- Ustawcie tę podstawę dokładnie na tym znaku.

Miranda stała z tyłu, obserwując, jak dwóch krzepkich mężczyzn z obsługi ciągnie prawie metrowy marmur, by umieścić go w samym środku sali. Wiedziała, że jest to sam środek, ponieważ osobiście trzykrotnie go wymierzyła.

- Tak, doskonale. W porządku.

- Czy to już ostatnia, doktor Jones?

- W tej części tak, dziękuję.

Przymrużyła oczy, wyobrażając sobie brązową *Wenus* Donatella stojącą dokładnie w tym miejscu i na tej kolumnie.

Ta sala poświęcona została pracom reprezentującym wczesny okres renesansu. Cenny rysunek Brunelleschiego wstawiono za szkło, a dwa obrazy Masaccia w ozdobnych ramach już wisiały obok wysokiego na trzy i pół metra płótna Botticellego przedstawiającego majestatyczne Wniebowstąpienie Matki Boskiej. Był tu również Bellini, który swego czasu ozdabiał ścianę jakiejś weneckiej willi. W punkcie centralnym znajdował się Donetello, a sala miała ukazywać narodziny nowego kierunku artystycznego, który nie tylko zapowiadał

nadejście wspaniałego szesnastego wieku, lecz również sam był wspaniałym okresem w historii sztuki.

Prawdę mówiąc, Miranda uważała styl tego okresu za chłodny, pozbawiony namiętności. Postacie ludzkie nawet w dziele Masaccia były nieco statyczne, a okazywane przez nie uczucia miały w sobie coś sztucznego i stylizowanego.

Mimo to należało się cieszyć, że dzieła te w ogóle powstały i że w kilka wieków później można je było badać i analizować.

Krytycznym spojrzeniem obrzuciła resztę sali. Na wysokich oknach kazała powiesić draperie z ciemnoniebieskiego materiału zdobionego złotem. W kilku miejscach porozstawiano stoły różnej wysokości, a na nich na połyskującym materiale poukładano narzędzia artystów z tamtej epoki. Dłuta, palety, cyrkle i pędzle. Osobiście wybierała każdy egzemplarz spośród eksponatów, którymi dysponowało muzeum.

Szkoda, że wszystko trzeba było zamknąć pod szkłem, ale nawet w bogatym i eleganckim tłumie mógłby znaleźć się ktoś o lepkich palcach.

Ogromny, rzeźbiony drewniany stojak podtrzymywał gigantyczną Biblię otwartą na stronach zapisanych wspaniałym pismem żyjących przed wiekami pracowitych mnichów.

Inne gablotki zarzucone były biżuterią uwielbianą w tamtych czasach zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety. Znajdowały się tu haftowane pantofle, grzebień i wykonana z kości słoniowej szkatułka na damskie świecidełka - każdy eksponat został starannie wybrany. Po obu stronach wejścia stały wysokie żelazne świeczniki.

- To robi ogromne wrażenie - stwierdził Ryan, pojawiając się między świecznikami.

- Jest bliskie doskonałości. Sztuka wraz z jej społecznymi, politycznymi i religijnymi uwarunkowaniami. Połowa piętnastego wieku. Urodziny Wawrzyńca Wspaniałego, pokój w Lodi i będąca jego następstwem chwilowa równowaga sił między najważniejszymi państwami włoskimi.

Gestem ręki pokazała wiszącą na ścianie ogromną mapę opatrzoną datą 1454.

- Florencja, Mediolan, Neapol, Wenecja i oczywiście Watykan. Narodziny nowej szkoły myślenia w sztuce - humanizmu. Kluczem do wszystkiego stało się racjonalne dochodzenie do prawdy.

- Sztuka z założenia nie ma w sobie nic racjonalnego.

- Owszem, ma. Jedyne potrząsnął głową.

- Jesteś zbyt zajęta pracą, by to dostrzegać. Piękno - powiedział, wskazując na spokojną twarz Madonny - to najbardziej irracjonalna rzecz. Jesteś zdenerwowana - dodał, kiedy ujmując jej dłonie, poczuł przebiegający po jej skórze dreszcz.

- Niespokojna - poprawiła. - Czy widziałeś inne sale?

- Miałem nadzieję, że mnie oprowadzisz.

- W porządku, ale nie mam zbyt dużo czasu. Najpóźniej za godzinę spodziewam się mojej matki. Nim tu dotrze, chcę, by wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Ruszyła z nim przez salę.

- Rozstawiając rzeźby i umieszczając Donatella na środku tego pomieszczenia, zostawiłam sporo miejsca, by goście mogli swobodnie spacerować i oglądać wszystko z różnych stron, a potem przejść do następnej, większej galerii ukazującej szczytowy okres renesansu.

Wprowadziła go do niej.

- Kontynuujemy tu ten sam temat, ukazując nie tylko samą sztukę, lecz również wszystko, co się z nią wiązało, co leżało u jej podstaw i inspirowało ją. Wykorzystałam natomiast więcej złota i czerwieni, pragnąc podkreślić potęgę kościoła i królewską godność.

Obcasy Mirandy stukały po marmurowej posadzce, kiedy krążyła, bacznie przyglądając się szczegółom i starając się sprawdzić, czy nie trzeba jeszcze dokonać jakichś drobnych poprawek.

- Tę epokę cechowało większe bogactwo i dramatyzm. Tyle w niej było mocy. Nie mogła długo trwać, ale w jej krótkim szczytowym okresie powstało najwięcej wspaniałych dzieł sztuki.

- Święci i grzesznicy?

- Słucham?

- Najczęściej spotykanymi postaciami w dziełach sztuki są święci i grzesznicy.

Surowy choć elegancki seksualizm i egoizm bogów oraz bogiń chętnie zestawiano z brutalnością wojny i potwornymi cierpieniami męczenników.

Bacznie przyjrzał się szczęśliwej, aczkolwiek nieco zdumionej twarzy poprzebijanego na wylot strzałami świętego Sebastiana.

- Nie rozumiem męczenników. Nie jestem w stanie zrozumieć ich poświęcenia.

- Wystarczającym powodem powinna być ich wiara - powiedziała Miranda.

- Nie da się ukraść człowiekowi wiary, ale do diabła, z pewnością można odebrać mu życie, i to na wiele paskudnych pomysłowych sposobów. - Wsunął kciuki do przednich kieszeni. - Strzały dla cieszącego się zawsze ogromną popularnością Sebastiana, pieczenie żywcem dla dobrego starego świętego Wawrzyńca. Krzyżowanie, pełne radości i uniesienia odcinanie różnych części ciała. Lwy, tygrysy i niedźwiedzie. Nie do wiary!

Na przekór samej sobie roześmiała się.

- To właśnie dlatego zostali męczennikami.

- Oczywiście. - Ryan pozostawił Sebastiana swojemu losowi i z uśmiechem odwrócił

się do Mirandy. - Po co stawiać czoło pogańskim hordom i ich prymitywnym, ale za to niesamowicie skutecznym narzędziom tortur? Dlaczego nie można by powiedzieć: „Jasne, nie ma sprawy, chłopcy i dziewczęta. Do którego boga mam się dzisiaj pomodlić?” Przecież to, co się mówi, wcale nie

oznacza, że zmieniło się sposób myślenia albo swoje przekonania, natomiast dzięki temu można było zostać przy życiu.

Kiwnął kciukiem w stronę płótna.

- Zapytaj biednego, osaczonego ze wszystkich stron Sebastiana.

- Z tego co widzę, całkiem nieźle byś sobie poradził podczas prześladowań.

- Oczywiście.

- Czy mówią ci coś słowa typu odwaga, przekonania, prawość?

- Po co umierać za sprawę? Lepiej dla niej żyć.

Kiedy zastanawiała się nad jego filozofią i szukała jej słabych punktów, Ryan podszedł, by uważnie przyjrzeć się stołowi zastawionemu naczyniami liturgicznymi i przedmiotami kultu. Były tu srebrne krucyfiksy, kielichy i relikwiarze.

- Świetnie się spisałaś, doktor Jones.

- Sądzę, że rzeczywiście dobrze mi to wyszło. W tej sali w punkcie centralnym znajdują się dzieła Tycjana i twój Rafael. To wspaniały obraz, Rynie.

- Tak, bardzo mi się podoba. Chcesz go kupić? - Odwrócił się i obdarzył ją uśmiechem. - Cały urok mojego interesu polega na tym, doktor Jones, że wszystko ma swoją cenę. Zaproponuj odpowiednią, a Rafael będzie twój.

- Jeśli poważnie mówisz o sprzedaży, zastanowię się nad twoją propozycją.

Wprawdzie znaczna część naszych eksponatów została nam ofiarowana lub bezterminowo wypożyczona...

- Nie zrobię tego nawet dla ciebie, kochanie. Wzruszyła tylko ramionami. Nie spodziewała się po nim niczego innego.

- Postawiłabym tu *Czarną Damę* - powiedziała nagle. - Za każdym razem kiedy wyobrażam sobie to pomieszczenie, patrzę z różnych miejsc i biorę pod uwagę różne tematy, widzę ją stojącą na białej kolumnie oplecionej gałązkami winorośli. Właśnie tutaj. - Podeszła do przodu. - Pod tym światłem. Gdzie wszyscy mogliby ją widzieć. Ja również.

- Odzyskamy ją, Mirando.

Zirytowana na samą siebie z powodu głupich mrzonek, nie odezwała się ani słowem.

- Chcesz zobaczyć następne pomieszczenie? Tam mamy twoich Vasarich.

- Później.

Podszedł do niej. Musiał to zrobić. Miał zamiar powiedzieć jej o tym natychmiast po przyjściu, wiedział jednak, że gdy to uczyni, w jej oczach pojawi się smutek.

- Mirando, dzwonił do mnie brat z San Francisco, Michael. Wczoraj w nocy wyłowiono z zatoki ciało Harry'ego Mathersa.

Przez dłuższą chwilę jedynie patrzyła, nie odrywając od niego wzroku, a potem zamknęła oczy i odwróciła się.

- To nie był wypadek ani zrządzenie losu.

- Wiadomość, którą usłyszał mój brat, nie zawierała zbyt wielu szczegółów. Podano jedynie, że najpierw został zamordowany, a dopiero potem wrzucono go do wody.

Ryan nie zamierzał jej mówić, że Harry miał poderżnięte gardło. Wystarczyło, że wiedziała, kto go zabił i dlaczego. Nie musiała wiedzieć jak.

- To już trzecia ofiara. Trzech mężczyzn nie żyje. Dlaczego? - Wciąż obrócona do niego plecami spoglądała w górę na wspaniałą twarz Madonny. - Dla pieniędzy, chęci posiadania dzieła sztuki, podbudowania własnego ego? W grę mogą również wchodzić wszystkie trzy powody.

- Albo żaden z nich. Może chodzi o ciebie.

Czując ukłucie serca, zadrżała, a dopiero potem się odwróciła. Dostrzegł w jej oczach strach, wiedział jednak, że Miranda wcale nie boi się o siebie.

- Może chodzić o mnie? Kto mógłby aż tak bardzo mnie nienawidzić? Dlaczego? Z

nikim nie byłam tak potwornie skłócona, nikogo tak bardzo nie zraniłam, by musiał popełnić morderstwo, chcąc ukryć kłamstwo, które miało zniszczyć moją zawodową reputację. Na litość boską, Rynie, Harry był tylko chłopcem.

Jej głos brzmiał ostro i groźnie, słysząc w nim było kipiącą wściekłość połączoną ze strachem.

- Tylko chłopcem - powtórzyła - tymczasem ktoś pozbył się go, jakby odciął kawałek niepotrzebnej nitki. Tak samo niedbale. Dla kogo mogłabym tyle znaczyć, by wymagało to zabicia w ten sposób chłopca? Nigdy dla nikogo się nie liczyłam.

Pomyślał, że są to najsmutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek w życiu słyszał.

Najgorsze jednak było to, że Miranda w to głęboko wierzyła.

- Ludzie różnie na ciebie reagują, Mirando, budzisz w nich większe emocje, niż przypuszczasz. Jesteś osobą zdecydowaną i odnosisz sukcesy. Koncentrujesz się na tym, czego pragniesz i co chcesz osiągnąć. I osiągasz to.

- Nigdy nie weszłam nikomu w drogę.

- Może kogoś nie dostrzegając. Patrick zajął się wytropieniem nadawcy otrzymanej przez ciebie poczty elektronicznej.

- Tak. - Przeczesała ręką włosy. Zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście o kimś zapomniała. Czyżby aż tak bardzo była pochłonięta własną osobą, tak wyobcowana i obojęt-na? - Czy mu się udało? Minał już ponad tydzień. Myślałam, że się poddał.

- On nigdy się nie poddaje, zwłaszcza jeśli ma do czynienia z zagadką komputerową.

- Co to jest? Co próbujesz mi powiedzieć?

- Imię użytkownika zostało zapisane tylko na chwilę. Wpisano je i wykreślono, przez cały czas posługując się żargonem komputerowym.

Poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Wiedziała, że ta wiadomość będzie niemiła. Bardzo niemiła.

- Kto to był?

Położył ręce na jej ramionach.

- Ktoś, kto posługiwał się komputerem twojej matki.

- To niemożliwe.

- Wiadomość została wystana z Florencji z kodem tego obszaru, z komputera zarejestrowanego na nazwisko Elizabeth Scandford - Jones i pod jej hasłem. Przykro mi.

- To niemożliwe. - Odsunęła się od niego. - Niezależnie od tego, jak bardzo... jak...

niezależnie od wszystkiego... - zdołała wydusić. - Nie mogłaby tego zrobić. Nie jest w stanie tak bardzo mnie nienawidzić. Nie mogę się z tym zgodzić.

- Elizabeth miała dostęp do obu brązów. Nikt by jej o nic nie podejrzewał. Najpierw kazała ci przyjechać, a potem pozbawiła cię pracy i odesłała do domu. Odsunęła cię od Instytutu. Przykro mi. - Dotknęła dłonią jej policzka. - Musisz jednak wziąć pod uwagę te fakty.

To miało jakiś sens, ale jednocześnie było czymś okropnym. Zamknęła oczy i pozwoliła się objąć.

- Przepraszam - usłyszała nagle.

Drgnęła w jego ramionach, jakby zza jej pleców padł strzał, a nie pojedyncze słowo.

Odwróciła się powoli i nabrała głęboko powietrza do płuc, próbując zebrać siły.

- Witaj, mammo.

Elizabeth wcale nie wyglądała na osobę, która właśnie przyleciała zza oceanu, spędziła kilka godzin w samolocie i była narażona na niewygody, które wiążą się zazwyczaj z takimi podróżami. Miała idealną fryzurę, a jej stalowoniebieski kostium wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł spod żelazka.

Miranda zawsze tak samo reagowała na denerwujący perfekcjonizm matki - od razu nabierała przekonania, że ona sama jest niezręczna, niezgrabna i wymięta. Teraz do tego wszystkiego doszły jeszcze podejrzenia. Czy kobieta, która przez całe życie opowiadała się za uczciwością, mogła zdradzić własną córkę?

- Przepraszam, że przerywam... w pracy. Przyzwyczajona do wiecznie okazywanej przez matkę dezaprobaty Miranda jedynie kiwnęła głową.

- Elizabeth Standford - Jones. Ryan Boldari.

- Witam pana, panie Boldari. - Oceniając sytuację, Elizabeth doszła do wniosku, że właściciel nowojorskiej galerii domagał się udziału Mirandy w organizowaniu wystawy nie tylko ze względu na posiadane przez nią kwalifikacje. Ponieważ jednak ostateczny wynik był

bardzo korzystny dla Instytutu, Elizabeth uśmiechnęła się ciepło. - Bardzo się cieszę, że w końcu mogę pana poznać.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność. - Pokonał całą długość sali, by ująć jej dłoń, zauważył jednak, że matka i córka nawet nie próbowały wymienić między sobą chłodnych pocałunków w powietrzu, jak często robią to kobiety. - Mam nadzieję, że lot odbył się bez specjalnych niespodzianek.

- O tak, dziękuję. - Uznała, że Ryan ma piękną twarz i doskonałe maniere. Widywała jego zdjęcia w czasopiśmie dotyczących sztuki, ale żadne z nich nie uchwyciło tego niecodziennego połączenia. - Przepraszam, że nie zdołałam wyrwać się wcześniej, tak jak planowałam. Mam nadzieję, że prace posuwają się do przodu, tak jak się pan spodziewał, panie Boldari.

- Proszę, mów mi „Ryan”. Już przerosły moje wszelkie oczekiwania. Nie mogłem trafić na nikogo lepszego od twojej córki.

- Widzę, że włożyłaś w to wiele pracy - zauważyła, zwracając się do Mirandy.

- O, tak. Dwa dni temu zamknęliśmy to skrzydło dla publiczności. Cały sztab ludzi ciężko pracował przez wiele godzin, ale warto było.

- Tak, widzę. - Zlustrowała całą salę. Była zadowolona, wręcz zachwycona, lecz ograniczyła się do stwierdzenia: - Oczywiście zostało ci jeszcze sporo do zrobienia. Teraz będziesz mogła skorzystać również z pomocy najlepszych ludzi ze Standjo. Dziś przyleciało kilku moich pracowników, następni dotrą tu jutro. Są do twojej dyspozycji. Za chwilę pojawi się Elise, Richard oraz Vincente z żoną.

- Czy Andrew wie, że Elise tu jest? Elizabeth uniosła brwi.

- Jeśli nie, to wkrótce się dowie. - W jej głosie słyhać było wyraźne ostrzeżenie. Nie będzie żadnych dyskusji na tematy rodzinne i te sprawy nie mają prawa w niczym przeszkadzać. - Wieczorem przyjedzie twój ojciec. Na pewno chętnie ci pomoże przy ostatniej selekcji przedmiotów użytkowych.

- Już to zrobiłam - wyjaśniła Miranda spokojnie.

- Zawsze w przypadku tego typu ogromnych przedsięwzięć dobrze jest, jeśli znajdzie się ktoś, kto spojrzy na wszystko świeżym okiem.

- Czyżbyś miała zamiar odebrać mi również tę pracę? Przez chwilę wydawało się, że Elizabeth odpowie na to pytanie. Jej wargi rozchyliły się z drżeniem, potem jednak już całkiem spokojna odwróciła się do Ryana.

- Bardzo chciałabym zobaczyć twoich Vasarich.

- Tak, Ryane, pokaż jej Vasarich. Są w następnej sali. Proszę mi wybaczyć, ale mam spotkanie.

- Muszę ci powiedzieć, Elizabeth - zaczął Ryan, kiedy Miranda wyszła - że zorganizowanie tej imponującej wystawy nie byłoby możliwe bez twojej córki. Wymyśliła ją, zaplanowała i urządziła.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z talentów Mirandy.

- Naprawdę? - zapytał łagodnie, z delikatnym i szyderczym uniesieniem brwi. - W

takim razie widocznie się pomyliłem. Nie skomentowałaś rezultatów czterech tygodni wyęźżonej pracy Mirandy, uznałem więc, że twoim zdaniem nie są one najlepsze.

W oczach Elizabeth mignęło coś, co przypominało zażenowanie. Miał nadzieję, że się nie pomylił.

- Wcale nie. Całkowicie wierzę w zdolności Mirandy, aczkolwiek jej słabym punktem są nadmierny entuzjazm i tendencja do zbyt osobistego angażowania się w to, co robi.

- Większość ludzi uznałaby te cechy za zalety, a nie wady. Drażnił się z nią, wiedziała jednak, dlaczego to robi.

- W interesach najważniejszy jest obiektywizm. Na pewno się ze mną zgodzisz.

- Wolę pasję w każdej dziedzinie. Może jest to bardziej ryzykowne, ale w ten sposób osiąga się dużo lepsze efekty. Miranda jest pasjonatką, ale usiłuje to poskramiać. Przypuszczam, że robi to, pragnąc uzyskać twoją aprobatę. Czy kiedykolwiek ją pochwaliłaś?

Złość objawiła się chłodem - zimnym spojrzeniem oczu i tchnącym mrozem głosem.

- Moje stosunki z Mirandą to nie pańska sprawa, panie Boldari, tak samo jak mnie nie obchodzą pańskie stosunki z nią.

- To dziwne. Moim zdaniem powinno być na odwrót, ponieważ twoja córka i ja jesteśmy kochankami.

Palce Elizabeth na chwilę zacisnęły się na pasku cienkiej skórzanej aktówki, którą miała ze sobą.

- Miranda jest dorosłą kobietą. Nie wtrącam się w jej sprawy osobiste.

- Ale wtrącasz się w jej sprawy zawodowe. Powiedz mi coś o *Czarnej Dornie*.

- Słucham?

- Interesuje mnie *Czarna Dama*. - Patrzył jej prosto w oczy. - Gdzie ona jest?

- Brąz z Fiesole - wyjaśniła Elizabeth - kilka tygodni temu został skradziony z Bargello. Ani ja, ani policja nie mamy pojęcia, gdzie się obecnie znajduje.

- Nie mówiłem o kopii, lecz o oryginale.

- O oryginale? - Jej twarz pozostała bez wyrazu, mimo to Ryan dostrzegł coś za tą maską. Zrozumienie, zaskoczenie, może namysł. W przypadku tak opanowanej kobiety trudno mieć całkowitą pewność.

- Witaj, Elizabeth.

W drzwiach pojawiła się grupka ludzi z Elise na czele. Ryan zobaczył niską, świetnie zbudowaną kobietę z przyciętymi krótko włosami i promiennymi oczyma. O krok za nią szedł

łysiejący blady mężczyzna, którego Ryan zidentyfikował jako Richarda Hawthorne'a. Nieco dalej obdarzony bujnymi kształtami sobowtór Sophii Loren trzyma pod ramię tęgiego mężczyznę o oliwkowej cerze i lśniących białych włosach. Doszedł do wniosku, że to państwo Morelli. Nad ich głowami górował John Carter, który obdarzył wszystkich obecnych dobrodusznym uśmiechem.

- Przepraszam. - Elise złożyła ręce. - Nie wiedziałam, że jesteście zajęci.

Elizabeth, starannie ukrywając jak bardzo jest zadowolona z przerwy w prowadzonej przed chwilą rozmowie, dokonała prezentacji.

- Miło mi pana poznać - rzekła Elise. - W zeszłym roku byłam w pańskiej galerii w Nowym Jorku. Jest urocza. Natomiast to... - Jej oczy zalśniły, kiedy rozejrzała się dookoła. -

To jest wspaniałe. Richardzie, oderwij się od tej mapy i spójrz na obrazy.

Richard odwrócił się z niepewnym uśmiechem na twarzy.

- Nie potrafię oprzeć się mapom. To wspaniała wystawa.

- Musieliście się piekielnie napracować. - Vincente serdecznie poklepał Cartera po plecach.

- Tylko czekałem, kiedy wezwą mnie do szorowania podłóg. Miranda nieprawdopodobnie nas przećwiczyła. - Na twarzy Cartera ponownie pojawił się uśmiech. -

Dopiero wczoraj udało nam się ukończyć konserwację Bronzina. Słyszałem, że w tej części Instytutu na widok wchodzącej Mirandy wszyscy drżeli. Przez ostatnie dwa tygodnie w powietrzu unosił się zapach maaloxu. Lecz to wcale nie zrażało Mirandy. Ta kobieta ma nerwy ze stali.

- Doskonale się spisała. - Elise ponownie rozejrzała się wokół siebie. - Gdzie ona jest?

- Ma jakieś spotkanie - wyjaśniła Elizabeth.

- Później jej pomogę. Mam nadzieję, że przydzielili nam jakieś zadania.

- Wie, że jesteście do jej dyspozycji.

- To dobrze. Uhm, chciałabym sprawdzić, czy Andrew ma chwilę czasu. - Posłała Elizabeth nieśmiały i trochę smutny uśmiech. - Chętnie dowiedziałabym się, jak mu leci.

Oczywiście jeśli w tej chwili nie jestem wam potrzebna.

- Nie, możesz iść. - Elizabeth obejrzała się z lekkim rozbawieniem, słysząc okrzyk, jaki Gina Morelli wydała na widok gablotki z biżuterią. - Richardzie, wiem, że bardzo chciałeś odwiedzić tutejszą bibliotekę.

- Łatwo mnie rozszyfrować.

- Baw się dobrze.

- Znajdziemy go bez trudu - oświadczył Vincente. - Będzie zagrzebany w książkach.

Ja zaczekam, aż Gina skończy oglądać wszystkie błyskotki. Potem na pewno wyciągnie mnie na zakupy. - Potrząsnął głową. - Ona również jest łatwa do rozszyfrowania.

- Macie dwie godziny - oznajmiła Elizabeth oficjalnym tonem. - Potem ponownie się tu spotkamy, by pomóc w ostatnich przygotowaniach.

Dotarłszy do drzwi biura Andrew, Elise się zawahała. Z radością stwierdziła, że nie ma jego sekretarki. Oddana Andrew pani Purdue na pewno nie dopuściłaby do nie uzgodnionej wcześniej wizyty byłej żony. Usłyszawszy mocny głos, który dobiegał przez otwarte drzwi, Elise poczuła dziwną nostalgię.

Zawsze lubiła ten głos. Jego jasne brzmienie i świadczący o dobrym pochodzeniu i szkole akcent w jakiś sposób kojarzył jej się z Kennedym. Niewątpliwie traktowała Andrew jak latorośl potężnej, odnoszącej sukcesy nowoangielskiej rodziny.

Przyszło jej na myśl, że w ich małżeństwie tkwił ogromny potencjał, wiązała z nim takie nadzieje. W końcu jednak nie pozostało jej nic innego, jak wziąć rozwód i usunąć się. Z

tego co wiedziała, po rozstaniu się z Andrew odniosła znacznie większy sukces zawodowy niż on.

Chociaż zdawała sobie sprawę, że w jej oczach widać żal, przywołała na usta promienny uśmiech i zapukała delikatnie we framugę.

- Spodziewamy się pięciuset gości - powiedział do telefonu, a potem uniósł wzrok i zamarł w bezruchu.

Ogarnęła go potężna fala wspomnień. Przypomniwał sobie chwilę, kiedy zobaczył Elise po raz pierwszy. Właśnie z rekomendacji Charlesa została przyjęta jako asystentka kierownika laboratorium. Miała na sobie laboratoryjny kitel i okulary. Kiedy Miranda dokonywała prezentacji, Elise uniosła okulary do góry i zostawiła je na głowie.

Nie zapomniał, jak ze śmiechem oznajmiła, że już najwyższy czas, kiedy w końcu opanował zdenerwowanie i zaprosił ją na kolację.

Pamiętał, jak po raz pierwszy się kochali. Pamiętał, jak robili to po raz ostatni.

Jak promiennie i delikatnie wyglądała w dniu ślubu. Jak była zimna i obca, kiedy mu oznajmiła, że wszystko się skończyło. Między tymi dwoma wydarzeniami okazywała bardzo różne emocje - od szczęścia i nadziei poprzez niezadowolenie i rozczarowanie po całkowity brak zainteresowania.

Głos dobiegający ze słuchawki brzęczał mu w uszach. Ukryta pod biurkiem dłoń zacisnęła się w pięść. Potwornie żałował, że nie ma pod ręką alkoholu.

- Będziemy musieli jeszcze porozmawiać, ale wszystkie szczegóły znajdują się w oświadczeniu dla prasy. Jestem pewien, że uda nam się jutro wieczorem po otwarciu wystawy zorganizować krótki wywiad... Proszę bardzo.

- Przepraszam, Drew - zaczęła, kiedy odłożył słuchawkę. - Nie ma pani Purdue, postanowiłam więc wykorzystać sytuację.

- W porządku. - Te głupie słowa uwięzły mu w gardle. - To tylko następny reporter.

- Wystawa robi Instytutowi dobrą prasę.

- Potrzebujemy tego.

- Mamy za sobą kilka trudnych miesięcy. - Przypuszczała, że Andrew wstanie, ponieważ jednak tego nie zrobił, weszła do pokoju i stanęła przed biurkiem. - Przyszło mi na myśl, że obojgu nam będzie łatwiej, jeśli zdołamy porozmawiać ze sobą przez kilka minut.

Nie chciałam tu przyjeżdżać, ale Elizabeth bardzo nalegała. Muszę jednak przyznać, że byłabym wściekła, gdyby mnie to ominęło.

Nie mógł oderwać od niej oczu, chociaż na ten widok bardzo bolało go serce.

- Chcieliśmy ściągnąć wszystkich najważniejszych pracowników.

- Wciąż jesteś na mnie zły.

- Sam nie wiem.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Podczas organizowania tego wszystkiego nie było zbyt wiele czasu na odpoczynek.

- Wiem, że to niezręczna sytuacja. - Wyciągnęła rękę, potem ją cofnęła, jakby nagle zdała sobie sprawę, że jej gest nie zostanie miło przyjęty. - Po raz ostatni widzieliśmy się...

- W biurze adwokata - dokończył.

- Tak. - Opuściła wzrok. - Żałuję, że nie udało nam się uporać z tym nieco inaczej.

Oboje byliśmy tacy źli i nieszczęśliwi, Drew. Miałam nadzieję, że będziemy mogli zostać...

- Przyjaciółmi? - roześmiał się gorzko, lecz ten śmiech nie ranił aż tak bardzo jak wymówione na siłę nieszkodliwe słowo.

- Nie, nie przyjaciółmi. - Jej cudowne oczy stały się łagodne i wilgotne od nadmiaru emocji. - Czymś mniej niż wrogami.

Wcale nie spodziewała się twardego i cynicznego spojrzenia. Była przygotowana na żal, rozpacz, nawet wybuch złości, ale nie na twardą skorupę, od której odbijały się wszelkie podejmowane przez nią wysiłki.

Kochał ją. Wiedziała, że ją kochał, i nadal tak było, chociaż podpisała się na dokumentach rozwodowych.

- Nie musimy być wrogami, Elise. Teraz już w ogóle niczego nie musimy.

- W porządku, popełniłam błąd. - Zamrugowała raz i drugi, pokonując łzy. - Nie chciałabym, by jakieś nieporozumienia zakłóciły jutrzejszy sukces. Gdybyś na przykład się zdenerwował i zaczął pić...

- Rzuciłem picie.

- Naprawdę? - spytała chłodno, a ponure rozbawienie, które dało się słyszeć w tym słowie, bezlitośnie smagnęło Andrew. Zapomniał, że Elise posiada taki talent. - Gdzie ja to wszystko słyszałam?

- Różnica polega na tym, że teraz nie masz na to żadnego wpływu, a wszystko zależy tylko ode mnie. Po rozstaniu z tobą, Elise, opróżniłem mnóstwo butelek, ale już z tym skończyłem. Może czujesz się zawiedziona i upokorzona, że na twój widok nie padam na kolana i nie rozpaczam. Przestałaś być dla mnie najważniejsza.

- Nigdy nie byłam. - Nie zapanowała nad sobą, dlatego jej słowa bardziej przypominały warknięcie.
- Gdybym była, nadal należałabym do ciebie.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła. Nim dotarła do windy, do oczu napłynęły jej łzy.

Uderzyła guzik pięścią.

Odczekał, aż szybki stukot obcasów przestał roznosić się echem po korytarzu, i dopiero potem położył głowę na biurko.

Czul, że potwornie ściśnięty żołądek domaga się drinka, po prostu jednego drinka na uspokojenie.

Była taka piękna. Jak mógł zapomnieć, że była taka piękna? Kiedyś do niego należała, lecz potem od niego odeszła. Nie udało mu się utrzymać małżeństwa ani być mężczyzną, którego potrzebowała.

Stracił ją, ponieważ zbyt mało dawał z siebie i za słabo ją kochał.

Musi wyjść. Zaczepnąć świeżego powietrza. Musi się przejść, przebiec, przestać czuć jej zapach. Pragnąc ominąć skrzydło, w którym wrzała praca, skorzystał ze schodów, prze-

ślizgnął się wśród nielicznych wczesnowieczornych gości spacerujących po salach i wyszedł na zewnątrz.

Zostawił samochód na parkingu i wędrował na piechotę, aż ustąpiło najgorsze palenie w piersiach. Szedł, póki nie zaczął spokojnie oddychać. Uznał, że teraz myśli już całkiem logicznie.

Kiedy zatrzymał się przed sklepem z alkoholami i spojrzał na butelki obiecujące ulgę, przyjemność i ucieczkę, doszedł do wniosku, że może sobie pozwolić na kilka łyków.

Co więcej, wręcz sobie na nie zasłużył. Ciężko zapracował, ponieważ przeżył

spotkanie oko w oko z kobietą, którą obiecał kochać, szanować i być wobec niej lojalnym. I która przyrzekła mu to samo. Aż do śmierci.

Wszedł do środka i spojrzał na ściany z półkami zastawionymi ciemnymi i jasnymi butelkami. Litrowki i półlitrowki tylko czekały, wręcz prosiły, by je wybrać.

Spróbuj mnie, a wówczas szybko poprawi ci się nastrój. Poczujesz się lepiej. Będiesz wiedział, że żyjesz.

Lśniące butelki z kolorowymi etykietkami. Gładkie butelki z męskimi imionami.

Wild Turkey, Jim Beam, Jameson.

Wybrał Jacka Danielsa i dotknął palcem dobrze znanej czarnej etykiety. Po kręgosłupie zaczęła mu spływać strużka potu.

Dobry stary Jack. Niezawodny Jack Black.

Czul go na języku, miał wrażenie, że żar spływa mu do gardła i wpada do żołądka, który powoli zaczyna się rozgrzewać.

Wziął butelkę do kasy. Kiedy sięgał do portfela, wydawało mu się, że jego palce są grube i niezdarne.

- To wszystko? - Sprzedawca wystukał cenę butelki.

- Tak - powiedział Andrew tępo. - Wszystko. Zabrał ją ze sobą, wsuniętą w papierową torebkę. Idąc, czuł jej ciężar i kształt.

Odkręć korek, a skończą się twoje kłopoty. Będziesz mógł zapomnieć o potwornym bólu w klatce piersiowej.

Kiedy słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, a powietrze zrobiło się chłodniejsze, Andrew wszedł do parku.

Żółte żonkile tłoczyły się na trawniku, tworząc mały ocean radości, a nad nim wznosiły się eleganckie czerwone kielichy tulipanów. Na dębach i klonach rozwijały się pierwsze liście, które w czasie krótkotrwałych upałów nawiedzających w lecie Maine będą dawały cień. Na środku parku oko cieszyła urocza fontanna.

Nieco dalej na lewo znajdowały się opuszczone huśtawki i zjeżdżalnie. Andrew pomyślał, że dzieci wróciły do domów, by umyć się przed kolacją. Chciał mieć dzieci, prawda? Wyobrażał sobie, że założy rodzinę, prawdziwą rodzinę, której członkowie będą przytulać się do siebie i darzyć miłością. Nie zabraknie śmiechu, historii opowiadanych do poduszki, głośnych, wspólnie jedzonych posiłków.

Tego również nie udało mu się dokonać.

Siedział na ławce, patrząc na puste huśtawki, słuchając szmeru fontanny i przesuwając rękę po butelce ukrytej w cienkiej papierowej torbie.

Jeden łyk, pomyślał. Jedno pociągnięcie prosto z butelki. Potem już nic nie będzie miało znaczenia.

Po drugim hańście zacznie się zastanawiać, dlaczego kiedykolwiek się tym przejmował.

Annie zaznaczyła dwa piwa, kiedy znajdujący się za nią mikser zaczął przygotowywać margarity. W piątkowe wieczory zazwyczaj panował spory ruch. Klientela w przeważającej części składała się z ludzi interesu, chociaż kilka stolików zajmowali również studenci korzystający z obniżki cen i darmowej przekąski, przy której mogli ponarzekać na swoich profesorów.

Wyprostowała plecy, chcąc się pozbyć niewielkiego bólu w krzyżach, i zlustrowała pomieszczenie, by się upewnić, czy kelnerki zaspokoiliły żądania klientów. Udekorowała płaskie kieliszki solą i cytryną.

Jeden ze stałych klientów opowiadał kawał o mężczyźnie i tańczącej żabie. Annie przygotowała mu schłodzoną wódkę i roześmiała się usłyszawszy puentę.

W wiszącym nad barem telewizorze pokazywano nocny mecz baseballu.

Kiedy zauważyła wchodzącego Andrew i dostrzegła, co trzymał w ręce, poczuła potworny ucisk w żołądku, mimo to nie przerywała pracy. Wymieniła pełne popielniczki na puste i starła mokre kółka z barowego blatu. Patrzyła, jak Andrew podchodzi, zajmuje miejsce na wolnym taborecie i stawia butelkę na barze.

Ich oczy spotkały się nad brązową papierową torbą. Wzrok Annie był całkowicie obojętny.

- Nie otworzyłem jej.

- To dobrze, to bardzo dobrze.

- Chciałem. Nadal chcę.

Annie kiwnęła głową do kelnerki, a potem zdjęła fartuszek.

- Zastąp mnie. Chodźmy się przejść, Andrew. Przytaknął i wyszedł za nią, zabierając ze sobą torebkę.

- Poszedłem do sklepu z alkoholami. Miło było się w nim znaleźć.

Teraz wszędzie połyskiwały już uliczne światła, stanowiąc w ciemności maleńkie wysepki jasności. Jak zwykle pod koniec tygodnia na ulicach panował wzmożony ruch.

Różne stacje radiowe ścierały się ze sobą, a nadawane przez nie piosenki z dudnieniem wydostawały się przez otwarte szyby samochodów.

- Poszedłem do parku i usiadłem na ławce przy fontannie. - Andrew przełożył butelkę z ręki do ręki, jakby trzymał ją w pogotowiu. - Nikogo nie było w pobliżu. Myślałem, że mogę kilka razy pociągnąć z butelki. Tylko tyle, żeby się rozgrzać.

- Ale tego nie zrobiłeś.

- Nie.

- To trudne. To co teraz robisz, jest bardzo trudne. Jednak dziś wieczorem dokonałeś właściwego wyboru. Nieważne, co się dzieje, nieważne, co idzie na opak, nie możesz dodawać do tego picia.

- Widziałem Elise.

- Och!

- Przyjechała na wystawę. Wiedziałem, że przyjedzie. Kiedy jednak podniosłem głowę i zobaczyłem ją, po prostu zważyło mnie z nóg. Próbowала wszystko między nami naprawić, ale jej nie pozwoliłem.

Annie przygarbiła się, wsadziła ręce do kieszeni i zastanawiała się, dlaczego myślała, że ona i Andrew mają jakieś szanse. Że ona ma szansę.

- Musisz zdecydować, co jest dla ciebie dobre.

- Nie mam pojęcia, co jest dla mnie dobre. Wiem jedynie, co jest złe.

Spacerował po tym samym parku, usiadł na tej samej ławce i postawił obok siebie butelkę.

- Nie mogę ci powiedzieć, co powinieneś zrobić, Andrew, sądzę jednak, że jeśli nie rozwiążesz tego problemu i zostawisz wszystko, tak jak jest, będzie ci bardzo ciężko.

- Wiem.

- Elise zostanie tu tylko przez kilka dni. Gdyby w tym czasie udało ci się pogodzić z nią i z faktem, że jesteście po rozwodzie, byłoby ci dużo łatwiej. Ja nigdy nie doszłam do porozumienia z tym sukinsynem Busterem.

Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że Andrew też to robi, lecz on jedynie obserwował ją spokojnymi poważnymi oczyma.

- Och, Andrew - westchnęła i odwróciła wzrok. - Po prostu nigdy nic nie zrobiłam, żebyśmy byli dla siebie bardziej uprzejmi, i to nadal trochę mnie dręczy. Bóg mi świadkiem, że Buster był niewiele wart, ale to wcale nie umniejsza moich wyrzutów sumienia. Sprawił mi sporo bólu, dlatego w końcu chciałam jedynie odpłacić mu pięknym za nadobne. Oczywiście i tak mi się to nie udało, ponieważ on głównie sobie z tego robił.

- Dlaczego z nim byłaś, Annie? Przeczesała ręką włosy.

- Ponieważ mu to obiecałam. Potraktowałam przyrzeczenie złożone w ratuszu w porze lunchu, tak jakbym ślubowała w ogromnym kościele wystrojona w piękną białą suknię.

- Tak. - Ścisnął jej dłoń. - Wiem coś na ten temat. Możesz mi uwierzyć lub nie, ale ja także chciałem dotrzymać słowa. Pragnąłem dowieść, że mnie na to stać. Ponieważ zawiodłem, czułem się tak, jakbym jedynie udowodnił, że w niczym się nie różnię od mojego ojca, dziadka i wszystkich pozostałych.

- Jesteś sobą, Andrew.

- To straszna myśl. Ponieważ oboje tego potrzebowali, Annie wychyliła się do przodu, dotknęła wargami jego ust, a potem je rozchyliła.

Boże, dopomóż.

Czuła, że Andrew nie panuje nad sobą, mimo to był w stosunku do niej niezwykle ostrożny. Znała zbyt wielu mężczyzn, którzy wcale nie zachowywali ostrożności. Kiedy po-głaskała go po twarzy,

poczuła szorstki jednodniowy zarost, a potem delikatną skórę jego szyi.

Na dnie jej serca budziły się przerażające pragnienia. Obawiała się, że żadne z nich nad nimi nie zapanuje.

- Nie jesteś taki jak oni. - Przycisnęła policzek do jego twarzy, by pocałunek nie osłabił zbytnio jej postanowienia.

- No cóż, przynajmniej nie dziś wieczorem. - Podniósł butelkę i wręczył ją Annie. -

Proszę, cały zysk dla ciebie.

Poczuł ulgę. Taką, jaką odczuwa mężczyzna, kiedy puszcza kierownicę samochodu tuż przed stoczeniem się w przepaść.

- Przed powrotem do domu mam zamiar iść na spotkanie AA. - Odetchnął pełną piersią. - Annie, wracając jeszcze do jutrzejszego wieczoru. Bardzo chciałbym, żebyś zmieni-

ła zdanie i przyszła.

- Andrew, wiesz, że nie pasuję do wytwornego świata ludzi sztuki.

- Pasujesz do mnie. Zawsze pasowałaś.

- W sobotnie wieczory mam bardzo dużo pracy. - Zdawała sobie sprawę, że to zwykła wymówka. - Zastanowię się nad tym. Muszę już iść.

- Odprowadzę cię. - Wstał i ponownie ujął jej dłoń. - Annie, przyjdź jutro.

- Zastanowię się - powtórzyła, choć wcale nie miała zamiaru tego robić. Nie chciała toczyć z Elise walki o Andrew.

- Powinnaś stąd wyjść.

Tonąca w morzu papierków Miranda uniosła głowę znad biurka i spojrzała na stojącego w drzwiach Ryana.

- W tym momencie właściwie tu mieszkam.

- Dlaczego uważasz, że musisz wszystko zrobić sama? Obróciła ołówek między palcami.

- Czy coś zostało źle wykonane?

- Wcale tego nie powiedziałem. - Podeszedł, oparł dłonie na biurku i pochylił się w jej stronę. - Nie musisz jej niczego udowadniać.

- To nie chodzi o moją matkę. Chcę mieć pewność, że jutrzejszy wieczór będzie sukcesem. Zostało mi jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Wyjął jej z ręki ołówek i złamał go. Zamrugła powiekami zaskoczona widoczną w jego oczach złością.

- No cóż, to było bardzo dorosłe zachowanie.

- Bardziej dorosłe, niż gdybym to zrobił z twoim sztywnym karkiem.

Gdy spojrzała na niego, uświadomił sobie, że wyrósł między nimi mur nie do przebycia.

- Nie odpychaj mnie. Nie zajmuj się następną ze swoich niezliczonych list, jakby nie istniało dla ciebie nic ważniejszego niż kolejna pozycja, którą można wykreślić. Nie jestem pieprzoną pozycją i wiem, co się dzieje w głębi twojego serca.

- Nie bądź wulgarny, kiedy ze mną rozmawiasz.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Spodziewała się, że Ryan wyjdzie i tak samo jak inni nawet się nie zatrzyma. Lecz on zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

Rozdygotana poderwała się na równe nogi.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zły.

- Naprawdę? Myślisz, że nie widziałem twojej twarzy, kiedy powiedziałem ci, skąd wysłana została wiadomość, którą dostałaś za pośrednictwem internetu? Czy naprawdę uważasz, że tak doskonale nad sobą panujesz, doktor Jones, i nie widać po tobie, jak bardzo cię coś boli?

Potwornie dręczyły go kompleksy Mirandy i jej skomplikowana osobowość. Był zły na siebie, bo

wcale tego nie chciał, nie chciał bez przerwy łapać się na tym, że na siłę musi torować sobie do niej drogę.

- Nigdy nie zabijam posłańca, który przynosi mi złą wiadomość - zaczęła.

- Kiedy ze mną rozmawiasz, nie mów jak panienka z dobrego domu. To na mnie nie działa. Widziałem twoją twarz, kiedy weszła matka. Zauważyłem, że wszystko w tobie zamarło. Zamieniłaś się w lód.

Kiedy dotarły do niej jego słowa, poczuła potworny ból.

- Zasugerowałeś mi, że matka wykorzystwała mnie, zdradziła i sterroryzowała. Że ma coś wspólnego z kradzieżą dzieł sztuki i dwoma związanymi z nią morderstwami. Chciałeś, żebym przyjęła to do wiadomości, a teraz krytykujesz sposób, w jaki próbuję się z tym uporać.

- Wolałbym zobaczyć, że kopiesz ją w tyłek i żądasz wyjaśnień.

- Coś takiego byłoby możliwe w twojej rodzinie. My jesteśmy bardziej opanowani.

- Tak, wy wolicie krojące bezkrwawo lodowate ostrze. Mogę ci powiedzieć, Mirando, że w ostatecznym rozrachunku dużo lepszy i do jasnej cholery dużo zdrowszy jest wybuch złości.

- Do jasnej cholery, czego się po mnie spodziewałeś? Że zacznę na nią krzyczeć?

Wrzeszczeć z wściekłości i oskarżać ją? - Zmiotła ręką powierzchnię biurka, zrzucając z niego starannie ułożone papiery i zaostrzone ołówki. - Miałam zażądać, żeby powiedziała mi prawdę? Przyznała się lub zaprzeczyła? Jeśli tak bardzo mnie nienawidzi, że była w stanie to zrobić, z tego samego powodu skłamałaby patrząc mi prosto w oczy.

Odsunęła stojące przy biurku krzesło, z hałasem popychając je do ściany.

- Nigdy mnie nie kochała. Nigdy z własnej woli nie wykonała żadnego gestu, który mógłby świadczyć o miłości. Żadne z moich rodziców nie okazało uczucia ani mnie, ani Andrew, ani sobie nawzajem. Żadne z nich nigdy w życiu nie powiedziało mi, że mnie kocha.

Nawet nie zadali sobie trudu, by skłamać, żebym przynajmniej mogła zachować jakieś złudzenia. Nie wiesz, jak to jest, jeśli nigdy w życiu nikt cię nie przytulił, nie mówił ci słów, za którymi tak rozpaczliwie tęsknisz.

Przycisnęła dłonie do żołądka, jakby nie mogła znieść bólu, który się tam skoncentrował.

- Związany z tym ból jest tak ogromny i trwa tak długo, że w końcu człowiek musi przestać tego pragnąć, bo inaczej mógłby umrzeć.

- Rzeczywiście nie wiem, jak to jest - powiedział cicho. - Powiedz mi.

- Czułam się tak, jakbym dorastała w jakimś pieprzonym laboratorium, w którym wszystko było

sterylne i znajdowało się dokładnie na swoim miejscu. Każde posunięcie było starannie udokumentowane i wykalkulowane, lecz pozbawione jakiegokolwiek radości. Liczyły się tylko zasady. To właśnie one decydowały, co mówisz, jak się zachowujesz, czego się uczysz. Jeśli coś zrobisz, wykonaj to tylko w określony sposób, ponieważ żaden inny nie da się zaakceptować. Wszystkie pozostałe są złe. Ile z tych zasad sama złamała, jeśli w ogóle zdarzyło się, że to zrobiła?

Miranda z trudem oddychała, jej oczy lśniły, a dłonie same zaciskały się w pięści.

Ryan obserwował, słuchał i nie poruszył się ani odezwał. Jedyńm dźwiękiem wypełniającym pokój był niespokojny oddech Mirandy, kiedy rozejrzała się dookoła i dostrzegła dokonane przez siebie dzieło zniszczenia.

Oszołomiona odgarnęła do tyłu włosy i rozmasowała dłonią gwałtownie bijące serce.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że po jej policzkach płyną gorące łzy. Tak gorące, że powinny parzyć jej skórę.

- O to ci chodziło?

- Chciałem, żebyś wszystko z siebie wyrzuciła.

- Chyba właśnie to zrobiłam. - Przycisnęła palce do skroni. - Napady złości zawsze przyprawiają mnie o ból głowy.

- To nie był napad złości. Roześmiała się cicho.

- Jak byś to nazwał?

- Chwilą szczeroci. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Nawet w mojej pracy rzadko spotykam się z tym pojęciem. Wcale nie jesteś chłodna, Mirando - zapewnił ją łagodnie. -

Jesteś zastraszona. Nie myśl, że nikt cię nie może naprawdę pokochać, po prostu dotychczas nikt cię nie docenił.

Kiedy poczuła, że po policzkach płyną jej łzy, bezradnie wstała.

- Ryane, nie chcę, by okazało się, że zrobiła to moja matka.

Podszedł do niej, rozsunął jej palce i wsunął między nie swoje.

- Istnieją spore szanse, że w ciągu kilku najbliższych dni poznamy prawdę. Wkrótce będzie po wszystkim.

- Ale wtedy będę musiała się z tym pogodzić.

Zabrał Mirandę do domu i namówił ją, by wzięła tabletki nasenne i poszła wcześniej do łóżka. Właściwie wcale nie trzeba jej było do tego zmuszać, widocznie ciągnęła już resztkami sił.

Upewniwszy się, że Miranda śpi, a Andrew zamknął się w swoim skrzydle, Ryan przebrał się w czarny sweter i dżinsy, w których zwykle dokonywał włamań.

Wsunął do kieszeni narzędzia i wziął plecak na wypadek, gdyby znalazł coś, co należałoby zabrać.

Kluczyki znalazł w starannie zapiętej bocznej kieszonce torebki Mirandy. Wyszedł

cicho z domu, usiadł za kierownicą jej samochodu i poprawił siedzenie, tak by było mu wygodnie, a potem wrzucił luz i zwolnił hamulec. Samochód potoczył się w dół na wyłączonych światłach.

Gdyby ktoś go zobaczył, zawsze mógłby powiedzieć, że był niespokojny i dlatego pożyczył sobie auto, by się przejechać, a żadne z nich - ani Miranda, ani Andrew nie słyszało warkotu silnika. Tylko po co kłamać, skoro nie jest to konieczne? Dopiero gdy znalazł się pół

kilometra od domu, włączył silnik i zapalił reflektory.

Włączył radio, właśnie nadawano Pucciniego, ale chociaż podzielał zamiłowanie Mirandy do opery, tym razem ta muzyka nie pasowała zbyt do jego nastroju. Zapamiętał

częstotliwość, a potem zaczął szukać czegoś innego. Kiedy usłyszał, jak George Thorogood wyśpiewuje „Bad to the Bone”, uśmiechnął się do siebie i pozwolił mu się wydzierać.

Na obrzeżach miasta panował nieco większy ruch. Ryan doszedł do wniosku, że ludzie wybierają się na przyjęcia i weekendowe randki lub właśnie wracają z nich do domu, ponieważ ani jedno, ani drugie nie okazało się wystarczająco ciekawe. Była zaledwie północ.

Przyszło mu na myśl, że Maine bardzo różni się od miasta, które nigdy nie zasypia.

Uznał, że Jankesi wcześniej chodzą spać i wcześniej wstają. Co za godni podziwu ludzie! Wjechał na hotelowy parking i zatrzymał się z dala od wejścia. Był niemal pewien, że tą samą godną podziwu cechą wykażą się goście z Florencji. Zwłaszcza że przez kilka pierwszych dni siedmiodzinna różnica czasu potrafi naprawdę dać się we znaki.

Podczas pierwszej wyprawy do Maine Ryan zatrzymał się w tym samym hotelu, dzięki czemu doskonale znał jego rozkład. Ponadto zawczasu podjął pewne niezbędne kroki, odnotowując numery pokoiów wszystkich osób, które miał zamiar odwiedzić dzisiejszej nocy.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy przechodził przez hol i skierował się prosto do windy, jak mężczyzna spieszący się do łóżka.

Elizabeth i Elise dzieliły dwupokojowy apartament na najwyższym piętrze. By się na nie dostać, trzeba było mieć odpowiedni klucz do windy. Jako człowiek dalekowzroczny i postępujący zgodnie z dawnym zwyczajem Ryan, wymeldowując się z hotelu, zatrzymał

sobie ten klucz.

Spod drzwi ich apartamentu nie było widać światła, Ryan nie słyszał również dochodzących z

wewnątrz odgłosów rozmowy lub telewizora.

Po niecałych dwóch minutach znajdował się już w salonie. Stał nieruchomo w ciemności, nasłuchując, oceniając i czekając, aż oczy przywykną mu do ciemności. Dla bezpieczeństwa otworzył drzwi prowadzące na taras, na wszelki wypadek zostawiając sobie drogę ucieczki.

Potem zabrał się do roboty. Najpierw przeszukał salon, chociaż wątpił, by któraś z dwóch pań zostawiła w tym pomieszczeniu cokolwiek ważnego lub obciążającego.

W pierwszej sypialni skorzystał z maleńkiej latarki, trzymając ją odwróconą od łóżka, z którego dochodził łagodny równomierny dźwięk kobiecego oddechu. Pragnąc przeszukać aktówkę i torebkę, zabrał je do salonu.

Przetrząsając portfel, doszedł do wniosku, że w łóżku znajdowała się Elizabeth.

Przejrzał wszystko - każdy paragon i świstek papieru, odczytał również zapiski w kalendarzu.

Klucze znalazł dokładnie w tym samym miejscu co u córki: związane w bocznej kieszonce torebki. Zauważywszy kluczyk do skrytki depozytowej, wsunął go do kieszeni.

Sprawdzając paszport, dostrzegł, że pieczętki zbiegają się z datami podanymi mu przez kuzyna. Po raz ostatni Elizabeth leciała do Stanów ponad rok temu, ale w ciągu ostatnich sześciu miesięcy dwukrotnie na krótko wyjeżdżała do Francji.

Wszystko oprócz kluczyka włożył z powrotem na swoje miejsce i zajrzał do aktówki; potem korzystając z tego, że matka Mirandy nadal spała, przeszukał jej szafę, komodę i kosmetyczkę w łazience.

Dopiero po godzinie w pełni usatysfakcjonowany przeszedł do drugiej sypialni.

Nim skończył, bardzo dobrze znał byłą żonę Andrew. Lubiła jedwabną bieliznę i perfumy „Opium”. Ubierała się bardzo tradycyjnie, ale wybierała kreacje najlepszych projektantów mody. Kosztowny gust wymaga pieniędzy. Odnotował w pamięci, że należałoby sprawdzić jej dochody.

Leżący na biurku notebook świadczył o tym, że zabrała ze sobą pracę. Ryan doszedł

do wniosku, że albo Elise bardzo lubi pracować, albo jest to jej obsesja. W torebce i aktówce wszystko było starannie poukładane, nie błąkały się tu żadne puste opakowania ani skrawki papieru. W małej skórzanej szkatułce znajdowało się kilka drobiazgów wykonanych z włoskiego złota, garstka dobrze dobranych kolorystycznie kamieni i stary srebrny medalion, w którym z jednej strony włożone było zdjęcie mężczyzny, a z drugiej kobiety. Obie czarno -

białe fotografie były bardzo wyblakłe i sądząc po stylu, musiały zostać wykonane na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych.

Domyślił się, że to pewnie dziadkowie Elise, i uznał ją za nieco sentymentalną.

Zostawił śpiące kobiety i dotarł korytarzem do pokoju Richarda Hawthorne'a pogrążonego w głębokim śnie.

Po dziesięciu minutach Ryan znalazł rachunek za wynajęcie garażu we Florencji - wsadził go do kieszeni.

Po następnych trzydziestu natknął się na pistolet kaliber trzydzieści osiem. Zostawił go.

Po dwudziestu minutach zlokalizował ukryty w czarnej skarpetce niewielki notes.

Oświetlając drobniutkie pismo latarką, Ryan szybko odczytywał przypadkowe zapiski. Na jego ustach pojawił się ponury uśmiech.

Wsadził notes do kieszeni i zostawił śpiącego Richarda. Czeką go niemiłe przebudzenie, pomyślał Ryan, wyslizgując się na korytarz.

- Przepraszam, powiedz to jeszcze raz. Naprawdę włamałeś się tej nocy do sypialni mojej matki?

- Niczego nie zniszczyłem - zapewnił Ryan. Miał wrażenie, że od wielu godzin goni za Mirandą, starając się zmusić ją do półgodzinnej rozmowy.

- Do jej sypialni?

- Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, wszedłem tam przez salon. Nie miałyby przecież sensu ściągać ich wszystkich w jedno miejsce po to, aby z każdym z nich odbyć rozmowę i po kryjomu zrewidować ich rzeczy. Zabrałem tylko z torebki twojej matki kluczyk do skrytki depozytowej. Zdziwiło mnie, że wzięła go ze sobą w podróż. Może dlatego, że to amerykański bank z siedzibą w Maine i oddziałem w Jones Point.

Miranda usiadła za biurkiem, po raz pierwszy od szóstej rano pozwalając nogom trochę odpocząć. Było południe, a Ryan w końcu przyłapał ją podczas spotkania z kwiaciarką i dał jej do wyboru: albo sama pójdzie do swojego biura, albo zostanie tam zanesiona.

- Nie rozumiem, Ryane. Dlaczego uważasz, że klucz od sejfu w banku może mieć jakieś znaczenie?

- Ponieważ ludzie zasadniczo trzymają tam rzeczy, które ich zdaniem są ważne albo wartościowe lub nie powinny dostać się w ręce innych osób. W każdym razie mam zamiar to sprawdzić.

Odczekał chwilę. Miranda otworzyła usta, a potem je zamknęła, nie powiedziawszy ani słowa.

- W pokoju Elise nie znalazłem niczego poza notebookiem. To dziwne, że zabrała go ze sobą taki kawał drogi na czterodniową wyprawę, skoro i tak większość czasu spędzi w Instytucie. Jeśli będę miał czas, wrócę i sprawdzę, czy uda mi się zajrzeć do niego w czasie, kiedy nie będzie jej w pokoju.

- Tak byłoby najlepiej - powiedziała, machając ręką.

- Oczywiście. W apartamencie Morellich natknąłem się na taką ilość biżuterii, że złamałby się pod nią grzbiet słonia. Ta kobieta jest poważnie uzależniona od świecidełek.

Gdyby jednak udało mi się dotrzeć do konta bankowego Vincentego, mógłbym sprawdzić, na ile się zadłużył, by jej to wszystko kupić. Z kolei twój ojciec...

- Mój ojciec? Przecież przyjechał dopiero po północy.

- Nie musisz mi tego mówić. Niemal wpadłem na niego na korytarzu, wychodząc z apartamentu twojej matki. Zadanie ułatwił mi fakt, że hotel umieścił ich wszystkich na jednym piętrze.

- Zawsze w ten sposób rezerwujemy pokoje - mruknęła.

- W każdym razie zajmując się wcześniej innymi pokojami, dałem mu czas na zadomowienie się. Natychmiast zasnął. Czy wiedziałaś, że twój ojciec w zeszłym roku trzykrotnie był na Kajmanach?

- Na Kajmanach? - Czuła, że świat wiruje wokół niej, zastanawiała się wręcz, dlaczego głowa po prostu nie stoczy się jej na podłogę.

- Kajmany to bardzo popularne miejsce. Można tam nurkować, zażywać słońca i prać brudne pieniądze, ale to jedynie jałowe spekulacje. Natomiast w dziesiątkę trafiłem w pokoju Hawthorne'a.

- Widzę, że kiedy spałam, ty miałeś bardzo pracowitą noc.

- Potrzebowałaś odpoczynku. Znalazłem to. - Wyjął z kieszeni paragon i rozłożył go. -

Wynajął to pomieszczenie w dzień po dotarciu brązu do Standjo. Na dzień przed tym jak twoja matka zadzwoniła do ciebie i kazała ci przyjechać. Co Andrew mawiał o zbiegach okoliczności? Że nie istnieją?

- Ludzie często wynajmują różne pomieszczenia.

- Jednak bardzo rzadko wynajmują garaż za miastem, nie mając własnego samochodu.

Sprawdziłem, Richard nie ma auta. Poza tym jest jeszcze pistolet.

- Pistolet?

- Tak, pistolet - nie pytaj mnie o markę i model. Staram się unikać broni, ale moim zdaniem ten wyglądał na bardzo dobry.

Zdjął z palnika dzbanek z kawą, powąchał i z zadowoleniem stwierdził, że wciąż jest świeża.

- Wydaje mi się, że istnieją jakieś przepisy dotyczące przewożenia broni w samolotach

- dodał, nalewając kawę. - Wątpię, by dotarł tu legalnymi kanałami. Poza tym po co sympatycznemu cichemu naukowcowi, który wybiera się na otwarcie wystawy, potrzebna jest broń?

- Nie wiem. Richard i pistolet. To nie ma sensu.

- Sądzę, że więcej zrozumiesz, gdy to przejrzysz. - Wyjął z kieszeni notes. - Na pewno będziesz chciała to przeczytać, pragnąłbym jednak zwrócić ci na coś uwagę. Jest tu opis brązu. Dziewięćdziesiąt centymetrów osiem milimetrów wysokości, dokładna waga. Akt kobiety. Są tu wyniki testów prowadzonych na brązie datowanym na koniec piętnastego wieku i wykonanym w stylu Michała Anioła.

Zauważył, że jej policzki tracą kolor, a oczy stają się szkliste, podał jej więc kawę i zaczął, aż objęła filiżankę obydwiema rękami.

- Pierwszy test wykonany został o dziewiętnastej z minutami w dniu, kiedy *Czarna Dama* znalazła się w Standjo. Wydaje mi się, że laboratoria najczęściej zamykane są o ósmej wieczorem.

- Przeprowadził własne testy.

- Odnotowywał je krok po kroku, podając czas i rezultaty. Dwie noce poświęcił na wytężoną pracę, a potem dodał wyniki prowadzonych poszukiwań. Dokumentację. Znalazł to, czego tobie się nie udało i o czym ci nie powiedział. Stary, wypisany przez przeoryszkę akt chrztu, który odbył się w klasztorze Sióstr Miłosierdzia. Było to niemowlę płci męskiej. Jako matkę wpisano Juliettę Buonadoni.

- Miała dziecko. Czytałam gdzieś, że miała dziecko i że mógł to być pochodzący z nieprawego łoża potomek któregoś z Medyceuszy. Bardzo możliwe, że odesłała go ze względu na jego bezpieczeństwo, ponieważ w tym okresie była bardzo niepewna sytuacja polityczna.

- Dziecku nadano imię Michał Anioł. - Dostrzegł, że podchwyciła tę myśl. - To daje podstawy do spekulacji, kto był jego ojcem.

- Michał Anioł nigdy nie miał dzieci. Według wszelkich relacji był homoseksualistą.

- Co wcale nie znaczy, że nie mógł zostać ojcem. - Mimo to wzruszył ramionami. -

Zresztą to dziecko wcale nie musiało być jego, można natomiast wysunąć teorię o istniejącej między nimi sporej zażyłości, a jeśli tak...

- Dzięki temu istnieje większe prawdopodobieństwo, że wykorzystał ją jako modelkę.

- Właśnie tak. Hawthorne uznał tę informację za wystarczająco ważną, by odnotować ją w swoim notesie... a przed tobą zataić. Jeśli byli kochankami choćby tylko przez jedną noc, albo gdyby darzyli się platonicznym uczuciem, a to wystarczyło, by nadała jego imię swemu jedyńemu dziecku, znacznie łatwiej byłoby udowodnić, że utrwalił ją w brązie.

- To nie byłby dowód, lecz owszem, dodałoby powagi twierdzeniu. Jest więc prawdopodobne, że Julietta pozowała Michałowi Aniołowi, choć nie mamy żadnej dokumentacji świadczącej o tym, aby

kiedykolwiek przedtem to robiła. Och, to fantastyczne -

mruknęła, zamykając oczy. - Stanowi wspaniały bodziec do dalszych poszukiwań.

- Ale on nie chciał, żebyś szukała.

- Oczywiście, że nie chciał, ale ja dałam mu się poprowadzić jak na sznurku. Niemal całą pracę badawczą zostawiłam w jego rękach. Sama przeglądałam przede wszystkim te źródła, których on mi dostarczył. Rozpoznał ten brąz tak samo jak ja. Być może w pierwszej chwili kiedy go zobaczył.

- Powiedziałbym, że to bardzo trafne założenie, doktor Jones.

Teraz widziała w tym sens i logikę.

- Richard ukradł brąz i skopiował go. Musiał również zabrać *Dawida*. - Przycisnęła pięści do brzucha. - I zabić Giovanniego.

- To nie byłby wystarczający dowód - stwierdził Ryan, kładąc notes na biurku. - Ale trudno byłoby go podważyć.

- Musimy zanieść to na policję.

- Jeszcze nie. - Położył dłoń na notesie, zanim zdołała go chwycić. - Byłbym dużo bardziej... pewny ostatecznego wyniku, gdybyśmy przed rozmową z policją mieli w rękach oba brązy. Jutro lecę do Florencji, żeby przeszukać jego garaż. Jeśli ich tam nie ma, znajdę je w jego mieszkaniu albo przynajmniej natknę się na jakąś wskazówkę, gdzie mogę ich szukać.

Kiedy już będziemy je mieli, zastanowimy się, co powiedzieć gliniarzom.

- Musi zapłacić za Giovanniego.

- Zapłaci. Zapłaci za wszystko. Daj mi czterdzieści osiem godzin, Mirando. Zaszliśmy już tak daleko.

Zacisnęła wargi.

- Nie zapomniałam, jak to może wpłynąć na moją karierę ani co to oznacza dla świata sztuki. Wiem również, że zawarliśmy umowę. Lecz teraz proszę cię o zgodę, o obietnicę, że najważniejsze będzie wymierzenie sprawiedliwości za śmierć Giovanniego.

- Jeśli Hawthorne jest odpowiedzialny za Giovanniego, zapłaci za to. Obiecuję ci.

- W porządku. W takim razie zaczekam, aż wrócisz z Florencji, i dopiero wtedy pójdziemy razem na policję. Zostaje jednak dzisiejszy wieczór. Jak zdołamy go przeżyć? Richard z pewnością tu będzie. Już tu jest.

- Dzisiejszy wieczór musi przebiec zgodnie z harmonogramem. Przyjdą setki ludzi -

ciągnął, zanim zdołała zgłosić jakieś zastrzeżenia. - Wszystko jest na swoim miejscu. Po prostu idź z prądem. Instytut i moje galerie zabrnęły za daleko, by teraz się z tego wycofać.

Ty również. Poza tym nie wiemy, czy Richard działa w pojedynkę.

Przesunęła dłońmi po własnych ramionach.

- To nadal może być moja matka. To może być każde z nich.

Nie mógł się pogodzić z widoczną w jej oczach udręką.

- Musisz to znieść, Mirando.

- Mam taki zamiar. - Opuściła ręce. - Zrobię to.

- Hawthorne popełnił błąd. Teraz zobaczymy, czy on, a może ktoś inny, popełni następny. Kiedy będę miał brązy, wydamy go gliniarzom. Podejrzewam, że nie będzie chciał

zawisnąć sam.

Poderwała się na równe nogi.

- Zawisnąć?

- To tylko takie powiedzenie.

- Ale... to oznacza więzienie lub coś gorszego. Lata, może całe życie spędzone w więzieniu lub... Ryane, jeśli to ktoś z mojej rodziny, nie mogę tego zrobić. Nie potrafię.

Mylłam się.

- Mirando... - Sięgnął po jej rękę, ale przestraszona odepchnęła go.

- Nie, nie, przepraszam. To nie jest w porządku, wiem, że to nie jest w porządku.

Zginał Giovanni i ten biedny człowiek, który zostawił żonę i dzieci, ale... jeśli okaże się, że to któreś z nich, nie jestem pewna, czy zdołam pogodzić się ze świadomością, że przyczyniłam się do wsadzenia ich za kratki.

- Do jasnej cholery, zaczekaj chwilę. - Chwycił ją, nim zdążyła się cofnąć, i zaskoczył

ich oboje szybkim, gwałtownym wybuchem gniewu. - Ktoś, kto jest za to odpowiedzialny, dybie na twoje życie. Mam zamiar dopilnować, by za to również zapłacił.

- Nie, nie chodzi mu o moje życie. Jedynie o moją reputację i karierę.

- Dlatego wynajął tego sukinsyna, który sterroryzował cię za pomocą noża? Dlatego wysyłał ci fakсы, pragnąc cię zastraszyć i sprawić ci ból?

- To musiał być Richard. - W jej oczach pojawił się smutek. - Lecz jeśli to nie on, nie mogę być odpowiedzialna za wysłanie jednego z członków mojej rodziny do więzienia.

- Czy masz jakąś alternatywę? Chcesz pozwolić, by uszło im to na sucho? Zostawić *Czarną Damę* w ukryciu, zniszczyć ten notes i zapomnieć o tym, co się stało?

- Nie wiem. Ale ja również potrzebuję czasu. Prosiłeś o czterdzieści osiem godzin.

Teraz ja błagam cię o to samo. Musi być jeszcze jakieś inne wyjście.

- Nie sędzę. - Podniósł notes i położył go na dłoni, jakby oceniał jego ciężar. Potem wyciągnął go. - Weź go i zatrzymaj.

Przez chwilę patrzyła na notes, a potem ujęła go tak ostrożnie, jakby mógł ją sparzyć.

- Jak mam przebrnąć przez resztę dnia? Cały dzisiejszy wieczór?

- Z twoim jankeskim kręgosłupem? Świetnie sobie poradzisz. Będę przy tobie. Oboje tkwimy w tym po uszy.

Przytaknęła, włożyła notes do szuflady i zamknęła ją. Czterdzieści osiem godzin, pomyślała. W tym czasie zadecyduje, czy udostępnić ten notes, czy go spalić.

Wszystko będzie dobrze. Dokładnie wiem, co nastąpi. Miranda poustawiała za mnie poszczególne elementy. Tłumy ludzi będą podziwiać wspaniałe dzieła sztuki, popijać szampana i zajadać doskonale kanapki. Ona będzie krążyć między nimi pełna gracji i chłodu.

Wspaniała doktor Jones. Znakomita doktor Jones.

Cholerna doktor Jones.

Cały świat będzie się kręcić wokół niej, wszyscy zasypią ją komplementami.

Wspaniała wystawa, doktor Jones. Świetny pomysł. O tak, powiedzą jej to i naprawdę będą tak myśleć, a błędy, które popełniła, kłopoty, jakie spowodowała, całkiem zbledną. Zupełnie jakby moja praca poszła na manie.

Jej gwiazda ponownie wschodzi.

Lecz dziś wieczorem zgaśnie.

Na ten wieczór mam własne plany i na pewno zdołam przyćmić jej występ. Sztuka będzie nosiła tytuł „Śmierć zdrajcy”.

Wierzę, że otrzymam wspaniałe recenzje.

Nikt nie wiedział, co przeżywa Miranda. Ręce jej nie drżały i przez cały czas się uśmiechała. Miała jednak uczucie, że przy każdym kroku uginają się pod nią kolana, a w rozmowie co chwila się jąka. Mimo to ukryta za wysoko uniesioną tarczą, niezwykle opanowana doktor Jones bezbłędnie wywiązywała się ze swoich obowiązków.

Na ten wieczór wybrała długą granatową suknię z wysokim kołnierzem i rękawami zakończonymi wąskimi mankietami. Była zadowolona, że materiał niemal całkiem zakrywa jej ciało, ponieważ było jej zimno, potwornie zimno. Nie zdołała się rozgrzać od chwili, kiedy Ryan oddał jej notes.

Obserwowała matkę. W eleganckiej różowej sukni wyglądała jak spacerująca wśród tłumu cesarzowa - tu dotknęła czyjegoś ramienia, tam uściśnęła rękę lub pocałowała policzek.

Zawsze potrafiła użyć odpowiednich słów w odpowiednim czasie i zaadresować je do odpowiedniej osoby.

U boku Elizabeth oczywiście występował jej mąż - ubrany w smoking światowiec i łowca przygód otoczony aurą naukowca. Stanowili wspaniałą parę i z pozoru byli idealnymi Jonesami z Jones Point. Żadna skaza nie szpeciła doskonałego obrazu, choć była to jedynie fasada, za którą ziało pustką.

Miranda była przekonana, że jej rodzice gdy tylko chcieli, potrafili ze sobą współpracować. Zwłaszcza gdy chodziło o Instytut, sztukę i reputację Jonesów, nigdy natomiast nie robili tego dla rodziny.

Najchętniej by ich za to znenawidziła, kiedy jednak pomyślała o notesie, poczuła strach.

Odwróciła się od nich i ruszyła w stronę drzwi.

- Mogłabyś się znaleźć na jednym z wiszących za tobą obrazów. - Ryan ujął jej dłoń i obrócił ją, zanim podeszła do następnej niewielkiej grupki. - Pięknie wyglądasz.

- Jestem potwornie przerażona. - Potem cicho się roześmiała, zdając sobie sprawę, że zaledwie kilka miesięcy temu nie byłaby w stanie powiedzieć nikomu, co dzieje się w głębi jej duszy. - Mam wrażenie, że zawsze tak jest, ilekroć znajduję się w tłumie ludzi.

- W takim razie spróbujmy udawać, że jesteśmy tylko my dwoje. Tylko czegoś mi tu brakuje. Przydałby się szampan.

- Dzisiejszego wieczoru piję wodę.

- Jeden kieliszek, jeden toast. - Wręczył jej wysoki wąski kieliszek, który wziął od przechodzącego kelnera. - Za wspaniałe wyniki twojej pracy, doktor Jones.

- Nie potrafię się tym cieszyć.

- Poddaj się chwili - przypomniał. - To dobry moment. - Delikatnie musnął wargami jej usta. - Twoja nieśmiałość bardzo mi się podoba - szepnął jej do ucha, co spowodowało, że kilka osób uniosło w zdumieniu brwi.

- Podziwiam również twoją umiejętność ukrywania jej. Widoczne dotychczas w jej oczach chmury zniknęły.

- Czy urodziłeś się z tym talentem, czy dopiero potem go rozwinąłeś?

- O którym mówisz? Mam ich tak dużo.

- Chodzi mi o twoją umiejętność mówienia odpowiednich rzeczy w odpowiedniej chwili.

- Może po prostu wiem, co chciałabyś usłyszeć. W głównym holu gra muzyka. Nigdy ze mną nie tańczyłaś.

- Jestem okropną tancerką.

- Może nikt nie potrafił cię odpowiednio poprowadzić.

- Zgodnie z jego przewidywaniami pogardliwie uniosła brew.

- Sprawdźmy to.

Przeciskał się z nią między grupkami, obejmując ją ręką w pasie. Miranda zauważyła, że Ryan potrafi również znakomicie manewrować. Tu rzucił kilka uprzejmych słów, tam się uśmiechnął i szedł do przodu. Słyszała delikatne dźwięki walca granego na fortepianie i skrzypcach, szmer rozmów i rozlegający się od czasu do czasu śmiech.

Główny hol Miranda kazała udekorować wijącą się winoroślą i rosnącymi w doniczkach palmami. Wszystko połyskiwało dzięki małym włoskim lampeczkom, które przywodziły na myśl gwiazdy. W kryształowych wazonach ozdobionych złotymi wstążkami stały pachnące białe lilie i krwistoczerwone róże. Każda pojedyncza kryształowa ozdoba starego żyrandola została ręcznie wymyta w roztworze wody i octu, dzięki czemu całość lśniła jak wodospad.

Pary w wieczorowych strojach kręciły się po parkiecie, wykonując pełne wdzięku figury, lub stały i sączyły wino. Inne zbierały się na schodach lub siedziały na krzesłach, które Miranda kazała obić różowym adamaszkiem.

Przynajmniej od kilkunastu osób przyjęła gratulacje. Nawet jeśli gdzieś rozlegały się jakieś szepty na temat brązu z Fiesole, większość ludzi była na tyle dyskretna, by odczekać, aż Miranda znajdzie się poza zasięgiem głosu.

- To pani Collingsforth. - Miranda skinieniem głowy wskazała ubraną w suknię z bordowego aksamitu kobietę ze zdumiewająco gęstymi białymi włosami.

- Pochodzi z rodziny Collingsforthów z Portland?

- Tak. Chcę sprawdzić, czy ma wszystko, czego jej potrzeba, pragnę również ci ją przedstawić. Bardzo lubi atrakcyjnych mężczyzn.

Miranda podprowadziła go do krzesła, na którym siedziała wdowa, tupiąc nogą w rytm muzyki.

- Witam panią, pani Collingsforth. Mam nadzieję, że miło spędza pani czas.

- Cudowna muzyka - powiedziała głosem przypominającym krakanie wrony. - Piękne światła. Najwyższy czas, żeby nieco rozruszać to miejsce. Świątynie sztuki nie powinny być sztywne. Sztuka żyje. Nie można traktować jej jak czegoś martwego. Kto to jest?

- Ryan Boldari. - Pochylił się, by ująć jej dłoń i pocałować sękaty palec. - Prosiłem Mirandę, żeby nas sobie przedstawiła. Chciałem osobiście pani podziękować za hojność i wypożyczenie Instytutowi tak wielu wspaniałych dzieł sztuki z pani kolekcji. To dzięki pani możliwe było urządzenie tej wystawy.

- Gdyby ta dziewczyna wydawała więcej przyjęć zamiast zagrzebywać się w laboratorium, wypożyczyłabym jej to wszystko dużo wcześniej.

- Całkowicie się z panią zgadzam. - Uśmiechnął się do pani Collingsforth, nie zwracając uwagi na niezadowolenie Mirandy. - Sztukę powinno się celebrować, a nie tylko badać.

- Bez przerwy siedzi przy mikroskopie, jakby ją ktoś do niego przykleił.

- Tymczasem stamtąd trudno dostrzec cały obraz. Pani Collingsforth przymrużyła oczy i zacisnęła wargi.

- Podoba mi się pan.

- Dziękuję. Zastanawiam się, madame, czy zechciałaby pani ze mną zatańczyć.

- No cóż. - Jej oczy zamigotały. - Byłabym niezmiernie szczęśliwa, panie Boldari.

- Proszę mówić do mnie „Ryan” - zaproponował pomagając jej wstać. Prowadząc panią Collingsforth w stronę orkiestry, rzucił Mirandzie przebiegły uśmiech.

- Ależ on potrafi być ugrzeczniony - mruknął Andrew, stając za plecami Mirandy.

- Jakby używał wazeliny. Aż dziw, że się nie poślizgnął i nie skręcił sobie karku. -

Ponieważ wciąż miała w ręku kieliszek szampana, upiła łyk. - Poznałeś jego rodzinę?

- Chyba żartujesz? Odniosłem wrażenie, że każda znajdująca się tu osoba w jakiś sposób jest z nim spokrewniona. Jego matka koniecznie chciała wiedzieć, czy kiedykolwiek braliśmy pod uwagę zorganizowanie tu kursów sztuki dla dzieci, a gdy odparłem, że nie, zapytała, czy nie lubię dzieci. I zanim zdołałem się zorientować, przedstawiła mnie psychologowi dziecięcemu. To samotna kobieta - dodał. - Jest wspaniała.

- Pani psycholog?

- Nie... No cóż, sprawiała wrażenie bardzo milej i niemal tak samo zakłopotanej jak ja, ale mówiłem o matce Ryana. Jest wspaniała.

Wyjął z kieszeni ręce, potem chwycił się poręczy, a w końcu zajął się krawatem.

Miranda ujęła jego dłoń i uścisnęła ją. - Wiem, że jest ci ciężko. Wszyscy ci ludzie...

Elise.

- Czuję się tak, jakbym po kolei przechodził próby ognia. Elise, rodzice, morze alkoholu. - Ponownie zerknął w stronę wejścia. Annie nie przyszła.

- Powinieneś przez cały czas być zajęty. Chcesz zatańczyć?

- Z tobą? - Zerknął na nią oszołomiony, potem wybuchnął nieskrępowanym szczerym śmiechem. - Oboje skończymy na pogotowiu z połamanymi palcami.

- Zaryzykuję, jeśli ty również to zrobisz. Uśmiechnął się czule.

- Mirando, zawsze bardzo dużo dla mnie znaczyłaś. Nic mi nie jest. Lepiej poobserwujmy ludzi, którzy wiedzą, co robią.

Po chwili uśmiech zamarł mu na ustach. Miranda wcale nie musiała się obracać, by wiedzieć, że Andrew zobaczył Elise.

Podeszła do nich. Wyglądała jak cudowna wróżka w lśniącej bieli. Mimo urazy, jaką czuła, Miranda nie mogła nie dostrzec w oczach Elise zdenerwowania.

- Chciałam wam obojgu pogratulować wspaniałej i udanej wystawy. Wszyscy są pełni entuzjazmu. Zrobiliście dużo dobrego dla Instytutu.

- Wiele osób nam w tym pomogło - powiedziała Miranda. - Pracownicy poświęcili mnóstwo czasu, by nasze przedsięwzięcie mogło dojść do skutku.

- Nie mogło wypaść lepiej, Andrew. - Wzięła głęboki wdech. - Wiem, że bardzo ci utrudniam życie, dlatego chciałabym cię przeprosić. Zdaję sobie sprawę, że moja obecność jest dla ciebie dość kłopotliwa. Dziś wieczorem nie zostanę zbyt długo, a jutro wracam do Florencji.

- Nie musisz zmieniać planów ze względu na mnie.

- Robię to również ze względu na siebie. - Potem spojrzała na Mirandę i przez chwilę starała się przywołać na usta uśmiech. - Nim wyjdę, chcę ci powiedzieć, że bardzo podziwiam to, co udało ci się osiągnąć. Twoi rodzice są z ciebie tacy dumni.

Miranda nim zdołała nad sobą zapanować, wytrzeszczyła oczy.

- Moi rodzice?

- Tak, Elizabeth właśnie mówiła...

- Annie. - Andrew wymówił to imię niemal jak modlitwę. Elise zamilkła i spojrzała na niego. -
Przepraszam.

Zostawił je i zaczął torować sobie drogę w stronę wejścia. Doszedł do wniosku, że Annie sprawia
wrażenie zagubionej w morzu ludzi. Miała lśniące włosy i wyglądała naprawdę uroczo. Jej czerwona
sukienka połyskiwała jak płomień, stanowiąc źródło ciepła i energii na tle poważnej i
konserwatywnej czerni.

- Tak się cieszę, że przyszedłaś. - Złapał jej rękę, jakby chwycił się koła ratunkowego.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Mam wrażenie, że wszyscy się ze mnie śmieją.

Uznała, że jej sukienka jest za krótka i zbyt jaskrawa. Kupione w domu towarowym kolczyki
przypominają tanie żyrandole. Na dodatek nie mogła zrozumieć, dlaczego kupiła buty ze sprzączkami
z kryształu górskiego. Musi sprawiać wrażenie przybłądy.

- Tak się cieszę, że tu jesteś - powtórzył i nie zwracając uwagi na otaczające ich osoby, pocałował
ją.

- Może lepiej zrobię, jeśli wezmę do ręki tacę i zacznę podawać drinki? Ta rola byłaby dla mnie
bardziej odpowiednia.

- Całkiem nieźle pasujesz do tego towarzystwa. Chodź, porozmawiaj z Mirandą. -

Lecz kiedy się odwrócił, jego wzrok napotkał spojrzenie Elise. Stała dokładnie tam, gdzie ją
zostawił. Zobaczył, że Miranda dotknęła jej ramienia i coś do niej powiedziała, ale Elise tylko
potrząsnęła głową i szybko się oddaliła.

- Twoja żona wygląda na zdenerwowaną - skomentowała Annie, czując ucisk w żołądku.

- Była żona - poprawił ją Andrew, zadowolony, że Miranda ruszyła w ich stronę.

- Annie, miło cię widzieć. Teraz już wiem, kogo Andrew tak bardzo wypatrywał przez cały wieczór.

- Nie miałam zamiaru przychodzić.

- Cieszę się, że zmieniłaś zdanie. - Miranda rzadko ulegała impulsom, tym razem jednak bez
zastanowienia pochyliła się i przycisnęła policzek do twarzy Annie. - Jesteś mu bardzo potrzebna -
szepnęła, a potem wyprostowała się z uśmiechem. - Są tu ludzie, których na pewno poznasz z
prawdziwą przyjemnością. Andrew, może przedstawiś Annie państwu Boldarim.

Podążył za jej wzrokiem i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak, dzięki. Chodź, Annie, na pewno polubisz tych ludzi.

Ciepły błysk w oczach Andrew podniósł Mirandę na duchu. Jej nastrój znacznie się poprawił, więc pozwoliła Ryanowi zaciągnąć się do tańca.

Kiedy dostrzegła Richarda, który niemal wodził nosem po obrazie przedstawiającym Świętą Rodzinę, po prostu się odwróciła.

Tym razem skorzystała z rady Ryana i poddała się nastrojowi chwili.

Właśnie zaczęła się zastanawiać nad drugim kieliszkiem szampana i następnym tańcem, kiedy podeszła do niej Elizabeth.

- Mirando, zaniedbujesz swoje obowiązki. Kilka osób powiedziało mi, że jeszcze nie zamieniły z tobą ani słowa. Wystawa to nie wszystko, musisz doprowadzić sprawę do końca.

- Oczywiście masz rację. - Wręczyła matce szampana, którego nie zdążyła wypić, i przez długą chwilę patrzyły sobie w oczy. - Dla dobra Instytutu zrobię to, co do mnie należy.

- Cofnęła się.

Nagle zdała sobie sprawę, że powinna zrobić również coś dla własnego dobra.

- Dziś wieczorem ten jeden jedyny raz mogłabyś mi powiedzieć, że dobrze się spisałam. Podejrzewam jednak, że te słowa ugrzęzłyby ci w gardle.

Odwróciła się i ruszyła schodami w górę, by pokręcić się wśród ludzi, którzy znajdowali się na drugim piętrze.

- Czy coś się stało, Elizabeth? - zapytał mąż, który stanął u jej boku.

Zerknęła na niego, po czym przeniosła wzrok na Mirandę.

- Nie wiem. Sądzę, że będę musiała to wyjaśnić.

- Pytał o ciebie senator Lamb. To ważna osobistość.

- Wiem, kim jest senator Lamb. - Głos Elizabeth był odrobinę za ostry, więc celowo go złagodziła. - Z ogromną przyjemnością z nim porozmawiam.

Doszła do wniosku, że Mirandą zajmie się później.

Annie na pewno poczuła się dużo swobodniej, kiedy Andrew przedstawił ją Boldarim, pomyślała Miranda. Ponieważ zgubiła Ryana, przez godzinę z godnością pełniła funkcję gospodyni. Kiedy w końcu zdołała się wyslizgnąć do damskiej toalety, z prawdziwą radością stwierdziła, że jest wreszcie sama.

Doszła do wniosku, że tego wieczoru zgromadziło się zbyt wielu ludzi. Nigdy nie dawała sobie rady z takim tłumem. Rozmowy, zdawkowe uprzejmości, kiepskie żarty. Miała wrażenie, że twarz jej całkiem zeszywniała od przyklejonego uśmiechu.

Potem otrząsnęła się. Nie ma powodu do narzekań. Wszystko dobrze idzie. Wystawa, gala, prasa. To wydarzenie pomoże zatuszować jej ostatnie niepowodzenia.

Powinna się cieszyć. Cieszyłaby się, gdyby wiedziała, co ma robić dalej.

Przypomniała sobie, że wszelkie decyzje musi odłożyć na jutro. Jutro, po konfrontacji z matką. Uznała, że to jedyna możliwość. Jedyny rozsądny krok. Nadszedł czas na poważną rozmowę.

A jeśli to matka jest winna? Jeśli miała coś wspólnego z kradzieżą i morderstwem?

Potrząsnęła głową. Jutro, pomyślała ponownie i sięgnęła do torebki po szminkę.

Kiedy rozległ się jakiś huk, Mirandzie drgnęła ręka. Wąska złota tubka uderzyła o blat. Oczy wpatrzone w lustrzane odbicie pod wpływem szoku zrobiły się okrągłe.

Strzał z pistoletu? Niemożliwe.

Kiedy powtarzała to sobie w myślach, usłyszała wysoki, pełen przerażenia kobiecy krzyk.

Pędem ruszyła do drzwi, po drodze strącając torebkę i wysypując jej zawartość.

Znajdujący się na zewnątrz ludzie krzyczeli i biegali. Za pomocą rąk i łokci Miranda odpychała ich na bok. Właśnie wyrwała się z tłumu i zaczęła biec w stronę schodów, kiedy na półpiętrze pojawił się Ryan.

- To dochodziło... z góry.

- Zostań tutaj.

Równie dobrze mógł tego w ogóle nie mówić. Uniosła spódnicę i ruszyła za nim.

Odrzucił na bok aksamitny sznur, który blokował drogę na trzecie piętro, gdzie znajdowały się biura i odgradzał je od części, w której odbywało się przyjęcie.

- Sprawdź tu - zaczęła - a ja spojrzę...

- Niech cię diabli wezmą. Albo zostaniesz na miejscu, albo idziesz ze mną. - Mocno chwycił ją za rękę i ruszył wzdłuż korytarza, starając się osłaniać ją własnym ciałem.

Na schodach za nimi słyhać było dudnienie wielu stóp. Andrew przeskoczył ostatnie trzy stopnie.

- To był pistolet. Mirando, zejdz na dół. Zabierz ze sobą Annie.

- Nie.

Ponieważ żadna z kobiet nie miała zamiaru słuchać, Ryan machnął ręką w lewo.

- Sprawdźcie tamtą stronę. My pójdziemy tutaj. Ktoś kto strzelał z pistoletu, prawdopodobnie już dawno zdążył zwać - - powiedział i od niechcenia pchnął pierwsze drzwi. - Ale trzymaj się za moimi plecami.

- Dlaczego? Czyżbyś był kuloodporny? - Sięgnęła mu pod ramię i zapaliła światło.

Odepchnął ją do tyłu i sam wszedł do pokoju, szybko omiatając go wzrokiem. Zadowolony, że nie ma w nim nikogo, wciągnął Mirandę do środka.

- Skorzystaj z tego biura. Zamknij się w nim i zadzwoń na policję.

- Zadzwonię po nich, gdy będę wiedziała, co im powiedzieć. - Łokciem odsunęła go na bok i ruszyła korytarzem do następnego pokoju.

Niemal wyrwał jej rękę z barków.

- Spróbuj nie być tak dobrym celem, doktor Jones.

Szli wzdłuż korytarza, dopóki Ryan nie zauważył słabego światła sączącego się spod drzwi prowadzących do biura Mirandy.

- Przebierałaś się tu przed przyjęciem. Czy zostawiłaś zapalone światło?

- Nie. Poza tym zamknęłam za sobą drzwi, a teraz są nie domknięte.

- Zdejmij buty.

- Co takiego?

- Zdejmij buty - powtórzył. - Żebyś w razie potrzeby mogła biec, nie łamiąc sobie nóg w tych obcasach.

Bez słowa oparła się o niego na chwilę i zdjęła buty. Kiedy Ryan wziął jeden z nich i zbliżając się do drzwi, trzymał go przed sobą jak broń, przyszło jej na myśl, że to śmieszny widok.

Jednak nie potrafiła znaleźć w nim nic wesołego, na dodatek poczuła, że ma wilgotną dłoń.

Ryan odsunął się na bok i pchnął drzwi. Otworzyły się o następne pięć centymetrów, a potem natrafiły na jakąś przeszkodę.

- O mój Boże - jęknęła Miranda, wsuwając mu głowę pod pachę.

Rozpoznała brzeg lśniąco białej sukni i błyszczące srebrne buciki. Opadła na kolana i tak długo

pchała drzwi ramieniem, aż zdołał się wślizgnąć do środka.

Elise leżała twarzą do podłogi. Krew sącząca się z rany w tyle głowy spływała po bladym policzku.

- Ona żyje - powiedziała Miranda szybko, kiedy przycisnęła palce do szyi Elise i wyczuła słaby puls.

- Żyje. Zadzwoń po pogotowie. Pospiesz się.

- Trzymaj. - Wsunął jej do ręki chusteczkę. - Przyciśnij ją do rany. Postaraj się zatrzymać krwawienie.

- Pospiesz się.

Nie mając żadnego opatrunku pod ręką, złożyła chusteczkę we czworo i przyłożyła ją do głowy Elise. Potem rozejrzała się po pokoju i zatrzymała wzrok na wykonanej z brązu *Wenus*, którą miała w biurze. Była to kopia tak upragnionej przez Ryana rzeźby Donatella.

Następny brąz, pomyślała tępo. Następna kopia. Następna ofiara.

- Mirando, co... - Andrew pchnął drzwi, a potem gwałtownie się zatrzymał. - Jezu! O

Jezu, Elise. - Opadł na kolana, by przyjrzeć się jej twarzy i ranie. - Czy ona nie żyje? Słodki Boże!

- Żyje. Ryan dzwoni po pogotowie. Daj mi swoją chusteczkę. Nie sądzę, by rana była głęboka, muszę jednak powstrzymać krwawienie.

- Trzeba ją przykryć. Czy masz koc albo jakieś ręczniki? - zapytała Annie. - Musicie utrzymać ją w cieple, bo może być w szoku.

- W moim biurze tuż za drzwiami znajduje się narzuta.

- Sądzę, że powinniśmy ją obrócić - Miranda mocno przycisnęła świeżą chusteczkę -

aby upewnić się, czy nie ma innych obrażeń. Potrafisz to zrobić, Andrew?

- Tak. - Był niezwykle opanowany. Delikatnie podsunął ręce i podtrzymując szyję Elise, obrócił ją. Jej powieki drgnęły.

- Wydaje mi się, że odzyskuje przytomność. Nigdzie nie widzę śladu krwi, oprócz rany na głowie. - Delikatnie dotknął palcem siniejącego guza, który formował się na jej skroni.

- Upadając, musiała uderzyć się w głowę.

- Mirando. - Annie wróciła do pokoju. Miała pociemniałe oczy i matowy głos. - Jesteś potrzebna Ryanowi. Pomogę Andrew przy Elise.

- W porządku. Gdyby odzyskała przytomność, nie pozwólcie jej się ruszać. - Wstała i zatrzymała się na chwilę, ponieważ Annie ścisnęła jej rękę.

- Trzymaj się - mruknęła, a potem nachyliła się, by okryć Elise narzutą. - Nic jej nie będzie, Andrew. Pogotowie jest już w drodze.

Miranda weszła do swojego biura. Tu jedna ekipa pogotowia nie wystarczy, pomyślała nieprzytomnie. Kilka chusteczek nie zdoła wchłonąć tak ogromnej ilości krwi.

Z czerwonej kałuży na biurku kapało na dywan. Ślady krwi jak lepki czerwony deszcz prowadziły do znajdującego się z tyłu okna.

Na biurku leżał Richard Hawthorne. Na plecach eleganckiej białej koszuli widniała czerwona plama.

Strażnicy trzymali dziennikarzy i wszystkich ciekawskich z dala od trzeciego piętra.

Nim przybyli ludzie z wydziału zabójstw, miejsce zbrodni zostało zabezpieczone, a Elise znajdowała się w drodze do szpitala.

Miranda bez przerwy odpowiadała na pytania, opisując każdy swój krok. I kłamiąc.

Stwierdziła, że kłamstwo stawało się jej drugą naturą.

Nie, nie ma pojęcia, dlaczego Richard i Elise znajdowali się w jej biurze. Nie, nie wie, dlaczego ktokolwiek chciałby ich zabić. Kiedy w końcu powiedziano jej, że jest wolna i że może iść, ledwo powłócząc nogami, zeszła na dół.

Na najniższym stopniu siedziała skulona Annie.

- Nie pozwolili ci iść, Annie?

- Owszem, pozwolili. Powiedzieli, że na razie nie mają do mnie więcej pytań.

Miranda zerknęła w stronę strażników stojących po obu stronach wejścia i kilku policjantów przechadzających się po holu, po czym usiadła obok Annie.

- Ja również nie wiem, co z sobą począć. Sądzę, że wciąż rozmawiają z Ryanem. Nie widziałam Andrew.

- Pozwolili mu pojechać z Elise do szpitala.

- Och. Widocznie uznał, że tak powinien postąpić.

- On wciąż ją kocha.

- Nie sądzę.

- Nadal jest do niej bardzo przywiązany, Mirando. Dlaczego miałoby być inaczej? -

Potem złapała się za głowę.

- Jestem szalona, bezwstydną i żalostną, martwiąc się o to, kiedy ten mężczyzna nie żyje, a Elise jest ranna.

- Nie zawsze człowiek jest w stanie zapanować nad własnymi uczuciami. Dawniej w to nie wierzyłam, ale teraz już wiem.

- Zazwyczaj całkiem nieźle sobie z tym radziłam. No cóż...

- Pociągnęła nosem, przetarła rękami twarz i wstała. - Lepiej pójdę już do domu.

- Zaczekaj na Ryana, Annie. Odwieziemy cię.

- Nie trzeba. Mam tu w pobliżu swojego gruchota. Poradzę sobie. Mam nadzieję, że Elise nic się nie stało i... Powiedz to Andrew. Zobaczą się z nim później.

- Annie, jestem pewna, że on cię potrzebuje.

Annie zdjęła wpięte na przyjęcie kolczyki i rozmasowała uszy, by napłynęła do nich krew.

- Musi liczyć przede wszystkim na siebie. Powinien wiedzieć, kim jest i czego pragnie. W tym nie mogę mu pomóc, Mirando. Ty również.

Kiedy Miranda została sama, popatrzyła na własne ręce i doszła do wniosku, że nie może pomóc nikomu. Wszystko co zrobiła w ciągu ostatnich kilku miesięcy, zaowocowało jedynie całą serią porażek.

Usłyszawszy kroki na schodach, obejrzała się przez ramię. Ryan zszedł na dół, minął ją, a potem bez słowa pomógł jej wstać i wziął ją w ramiona.

- O Boże, Ryane. Ilu jeszcze?

- Szszsz... - Poglaskał ją. - To był pistolet Richarda - szepnął jej do ucha. - Ten sam, który znalazłem w jego pokoju. Ktoś zastrzelił drania z jego własnej broni. Nic nie mogłaś na to poradzić.

- Nic nie mogłam poradzić - powiedziała ze znużeniem, mimo to dołożyła wszelkich starań, by stanąć na nogi bez niczyjej pomocy. - Chciałabym wybrać się do szpitala i zobaczyć, jak czuje się Elise. Andrew już tam jest. Nie powinien być sam.

Wcale nie był sam. Miranda nie mogła uwierzyć, widząc w poczekalni matkę.

Wyglądała przez okno, a w ręce trzymała plastikowy kubek z kawą.

Kiedy Miranda weszła, Andrew na chwilę przestał niespokojnie krążyć, po chwili jednak potrząsnął głową i wrócił do poprzedniego zajęcia.

- Czy coś wiadomo? - zapytała go Miranda.

- Zabrali ją na badania. Prześwietlenie i tego typu rzeczy, ale jeszcze nam nie powiedzieli, jakie są rezultaty. Lekarz dyżurny liczy się z wstrząsem mózgu, ale chce jeszcze sprawdzić, czy nie ma jakichś poważniejszych uszkodzeń. Dość długo była nieprzytomna.

Straciła sporo krwi.

Zauważył ją nawet na brzegu sukienki Mirandy.

- Powinnaś jechać do domu - powiedział Andrew.

- Ryane, zabierz ją stąd.

- Mam zamiar zostać z tobą, tak samo jak ty zostałbyś ze mną.

- W porządku. W porządku.

Oparł czoło o jej głowę. Przez chwilę stali w takiej pozycji. Kiedy Elizabeth odwróciła się od okna, bacznie im się przyjrzała. Kiedy zorientowała się, że Ryan ją obserwuje, delikatnie się zarumieniła.

- Mają tu kawę. Nie jest ani świeża, ani smaczna, za to bardzo mocna i gorąca.

- Dziękuję. - Miranda odsunęła się od Andrew i zrobiła kilka kroków do przodu. -

Gdzie jest ojciec?

- Nie... nie wiem. Sądzę, że wrócił do hotelu. Nie miał tu nic do roboty.

- Ale ty tu jesteś. Musimy porozmawiać.

- Przepraszam, doktor Jones.

Kiedy wszyscy troje odwrócili się, Cook zacisnął mocno usta.

- O, inspektor Cook. - Miranda poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. - Mam nadzieję, że nie jest pan chory.

- Chory? No tak, w końcu to szpital. Nie. Przeszedłem porozmawiać z doktor Warfield, jeśli tylko lekarze mi na to pozwolą.

- Z Elise? - zdumiony Andrew potrząsnął głową. - Wydawało mi się, że prowadzi pan śledztwo w sprawie kradzieży. Tym razem nikogo nie okradziono.

- Czasami zabójstwo ma związek z kradzieżą. Chcą z nią również rozmawiać chłopcy z wydziału zabójstw. To będzie długa noc. Może nim wpuszczą mnie do doktor Warfield, zechcielibyście powiedzieć wszystko, co wiecie, by wyjaśnić mi okoliczności.

- Inspektorze... Cook, czyż nie tak? - Elizabeth podeszła do niego. - Czy naprawdę musi pan

prowadzić przesłuchanie w szpitalnej poczekalni, gdy my z niepokojem czekamy na wyniki badań?

- Bardzo mi przykro, że pani się niepokoi, doktor Jones.

- Standford - Jones.

- Już wiem, Elizabeth Standford - Jones. Ofiary to pani pracownicy.

- To prawda. Zarówno Richard, jak i Elise pracują u mnie we Florencji. Pracowali u mnie - poprawiła, lekko się rumieniąc. - To znaczy, mam na myśli Richarda.

- Czym się zajmował?

- Przede wszystkim prowadził badania. Richard był wspaniałym znawcą historii sztuki. Stanowił istną kopalnię faktów i danych, co więcej, doskonale rozumiał ducha epoki, którą badał. Był nieoceniony.

- A doktor Warfield?

- Stoi na czele mojego laboratorium we Florencji. To zdolny, pracowity i godny zaufania naukowiec.

- Niegdyś była pani synową.

Elizabeth nie drgnęła, nawet nie rzuciła okiem w stronę syna.

- Tak. Udało nam się utrzymać dobre stosunki.

- To dobrze. Przeważnie byłe teściowe całą winę zrzucają na żony swoich synów.

Rzadko zdarza się, by potrafiły razem pracować i... pozostać w przyjaźni.

- Obie jesteśmy profesjonalistkami, inspektorze. Poza tym nie dopuszczam do tego, by problemy rodzinne przeszkadzały mi w pracy lub miały wpływ na moją opinię na temat określonego człowieka. Lubię Elise.

- Czy coś łączyło ją z Hawthornem?

- Łączyło? - To słowo zostało powiedziane z taką oziębłością i obrzydzeniem, że w całym pomieszczeniu powiało chłodem. - To co pan sugeruje, jest obraźliwe, upokarzające i niestosowne.

- Z moich informacji wynika, że oboje byli dorosłymi samotnymi ludźmi. Nie miałem na myśli niczego obraźliwego, pytając, czy byli zaangażowani uczuciowo. Oboje znajdowali się w biurze na trzecim piętrze, podczas gdy przyjęcie odbywało się na dole.

- Nie mam pojęcia, dlaczego oboje znajdowali się w biurze Mirandy, ale najwyraźniej nie byli sami.

- Kiedy w drzwiach pojawił się lekarz w zielonym kitlu, Elizabeth odwróciła się od Cooka. - Co z Elise?

- Czuję się dobrze - oznajmił. - Doznała co prawda dość poważnego wstrząsu mózgu, jest nieco oszołomiona, lecz badania nie wykazały żadnych uszkodzeń. Przez cały czas zachowuje przytomność.

Elizabeth zamknęła oczy i ciężko westchnęła.

- Chciałbym ją zobaczyć.

- Wpuściłem policję. Zależało im na tym, by jak najszybciej zadać jej kilka pytań, a ona wyraziła zgodę. Żywo zaprotestowała, kiedy zaproponowałem, żeby odłożyć to do jutra.

Wygląda na to, że poczuje się znacznie lepiej, jeśli porozmawia z nimi jeszcze dzisiaj.

- Chciałbym zamienić z nią kilka słów. - Cook wyjął odznakę, a potem kiwnął w stronę Elizabeth i Andrew. - Nie spiesz mi się. Mam mnóstwo czasu.

Czekał ponad godzinę, a i wówczas wcale nie miał zamiaru wchodzić, lecz Elise uparta się, że chce złożyć zeznanie.

Cook ujrzał drobną kobietę, która miała na lewej skroni całkiem świeży siniak ciągnący się czerwoną pręgą w stronę oka. W jej otoczonych czerwonymi obwódkami oczach widać było znużenie.

Mimo zeszpecenia była równie piękna jak dawniej, a może nawet piękniejsza. Ciemne włosy miała schowane pod białymi bandażami. Cook wiedział, że została uderzona w tył

głowy i obficie krwawiła, a lekarze musieli zgolić jej trochę lśniących włosów, aby zeszyć ranę. Wielka szkoda.

- Inspektor... Przepraszam, nie pamiętam nazwiska, które mi podano.

- Cook, proszę pani. Jestem bardzo wdzięczny, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

- Chcę pomóc. - Skrzywiła się, kiedy przy niewielkim ruchu poczuła ostry ból z tyłu głowy. - Za chwilę mają mi dać jakieś tabletki, a kiedy już to zrobią, nie będę w stanie logicznie myśleć.

- Postaram się załatwić sprawę szybko. Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym usiadł?

- Nie, proszę. - Spojrzała na sufit, jakby próbowała pokonać ból i skupić się na czymś innym. - Za każdym razem kiedy zaczynam o tym myśleć, wydaje mi się, że to zły sen. Że to się wcale nie zdarzyło.

- Może mi pani powiedzieć, co się stało? Wszystko, co pani pamięta.

- Richard. On zastrzelił Richarda.

- A zatem był to mężczyzna?

- Właściwie nawet tego nie wiem, nie mam pewności. Nie widziałam. Widziałam tylko Richarda. -

Jej oczy napełniły się łzami, które po chwili popłynęły po policzkach. - On nie żyje. Powiedzieli mi, że on nie żyje. Myślałam, że może... Sama nie wiem.. ale powiedzieli, że nie żyje. Biedny Richard.

- Co pani robiła z nim na drugim piętrze?

- Nie byłam z nim, tylko go szukałam. - Uniosła rękę, by zetrzeć łzy. - Powiedział, że kiedy tylko będę chciała wyjść, wrócimy razem do hotelu. Richard nie lubił przyjąć.

Mieliśmy zamiar wziąć wspólnie taksówkę. Chciałam wyjść.

- Kiepskie przyjęcie?

- Nie. - Uśmiechnęła się niewyraźnie. - To była cudowna i doskonale zorganizowana wystawa, ale... Na pewno wie pan już o pewnych rzeczach. Swego czasu byłam żoną Andrew, dlatego czułam się dość niezręcznie. Zwłaszcza że była tam jego obecna dziewczyna.

- Przepraszam, doktor Warfield, ale według moich informacji to pani wystąpiła o rozwód.

- Tak, rzeczywiście. Rozwiodłam się z nim ponad rok temu, lecz to wcale nie oznacza, że przestałam... go kochać - dokończyła. - Czułam się na tym przyjęciu trochę niezręcznie i byłam przygnębiona. Wiedziałam jednak, że powinnam zostać przynajmniej dwie godziny.

Elizabeth bardzo dobrze mnie traktuje, a to było dla niej ważne wydarzenie. Poza tym z Mirandą łączy mnie coś bliskiego przyjaźni, nie chciałam więc, by odniosła wrażenie, że lekceważę jej pracę. Mimo to po jakimś czasie uznałam, że nikt nie zauważy mojego zniknięcia.

- Więc zaczęła pani szukać Richarda Hawthorne'a?

- Tak. Znał tutaj zaledwie kilka osób, a nigdy nie był zbyt towarzyskim człowiekiem.

Umówiliśmy się, że wyjdziemy koło wpół do jedenastej, więc ruszyłam na poszukiwania.

Przypuszczałam, że znajdę go wciśniętego w jakiś kąt lub wodzącego nosem po mapie. Potem przyszło mi na myśl, że może poszedł na górę do biblioteki. Nie było go tam. Ach...

Przepraszam, wciąż tracę wątek.

- W porządku. Proszę się nie spieszyć. Zamknęła oczy.

- Wędrowałam przez chwilę, aż w końcu zobaczyłam światło w biurze Mirandy.

Zaczęłam schodzić w dół, lecz nagle dobiegł mnie jego głos. Krzyczał coś w rodzaju „Mam tego dosyć”.

Zaczęła niespokojnie skubać palcami prześcieradło.

- Podeszłam bliżej. W środku słychać było rozmowę, ale nie rozróżniałam słów.

- Czy ten drugi głos należał do mężczyzny czy do kobiety?

- Nie wiem. - Ze znużeniem potarła środek czoła. - Po prostu nie wiem. Ten człowiek mówił bardzo cicho, w rzeczywistości bardziej przypominało to szept. Przez minutkę stałam pod drzwiami niezbyt pewna, co zrobić. Chyba uznałam, że Richard wraz z Mirandą weszli na górę, by coś przedyskutować, i nie chciałam im przerywać.

- Z Mirandą?

- To było jej biuro, więc tak przypuszczałam. Postanowiłam, że wrócę sama, wówczas... usłyszałam wystrzały. Były takie głośne i niespodziewane. Kompletnie zaszokowana nie zastanawiając się, wbiegłam do środka. Chyba zaczęłam krzyczeć. Nie... nie pamiętam tego zbyt wyraźnie.

- W porządku. Proszę mi po prostu powiedzieć, co pani pamięta.

- Zobaczyłam leżącego na biurku Richarda. Wszędzie była krew. Czułam ją, lecz unosił się tam również jakiś inny zapach, pewnie prochu. Coś podobnego do spalenizny.

Chyba krzyknęłam. Musiałam krzyknąć, a potem się odwróciłam. Miałam zamiar uciec.

Bardzo się tego wstydzę, ale naprawdę miałam zamiar uciec i zostawić go tam. A wtedy ktoś... coś mnie uderzyło.

Ostrożnie dotknęła ręką bandaża z tyłu głowy.

- Pamiętam jedynie, że zobaczyłam wszystkie gwiazdy, a potem straciłam przytomność. Ocknęłam się dopiero w karetce.

Teraz nie powstrzymywała już łez i próbowała sięgnąć do znajdującego się na stoliku obok łóżka pudełka z chusteczkami. Cook podał jej jedną i odczekał, aż wytrze twarz.

- Jak długo szukała pani Hawthorney?

- Dziesięć, może piętnaście minut. Naprawdę nie wiem.

- C z y po wejściu do biura nikogo pani nie zauważyła?

- Tylko Richarda... - Zamknęła oczy, a spod zaciśniętych powiek popłynęły jej łzy. -

Tylko Richarda... a on nie żyje...

Był już prawie świt, kiedy Annie otworzyła drzwi i zobaczyła stojącego w korytarzu Andrew. Był blady jak ściana, a pod jego oczyma widać było cienie. Wciąż miał na sobie smoking i rozluźnioną muszkę. Przy śnieżnobiałej, pomiętej i poplamionej krwią koszuli brakowało jednego guzika.

- Co z Elise?

- Nic jej nie będzie. Zatrzymali ją na obserwację. Miała szczęście, skończyło się na wstrząsie mózgu i kilku szwach. Nie ma śladów krwawienia wewnątrzczaszkowego.

- Wejdz, Andrew. Usiądź.

- Musiałem przyjść, żeby ci o tym powiedzieć.

- To dobrze, wejdz. Zaparzyłam już kawę.

Otulona była w szlafrok i zdążyła zmyć z twarzy makijaż, dostrzegł jednak, że ma bardzo zmęczone oczy.

- Spałaś choć trochę?

- Próbowałam, ale mi się nie udało. Przygotuję dla nas jakieś śniadanie.

Zamknął drzwi, po czym obserwował, jak Annie wchodzi do kuchni i otwiera maleńką lodówkę. Wyjęła jajka, bekon i wzięła patelnię. Nalała kawę do dwóch dużych niebieskich kubków.

Poranne światło wpadało przez wąskie okna i tworzyło wzór na podłodze. W

mieszkanu unosił się zapach kawy i goździków.

Annie miała bose stopy.

Położyła bekon na czarnej patelni i po chwili całe pomieszczenie wypełniło się zwyczajnymi domowymi zapachami i wspaniałym pobrzękiwaniem naczyń. Taki właśnie powinien być zapach, pomyślał Andrew, niedzielnego poranka.

- Annie.

- Usiądź, Andrew. Śpisz na stojąco.

- Annie. - Dotknął jej ramion i odwrócił ją. - Musiałem w nocy pojechać z Elise.

- Oczywiście.

- Nie przerywaj. Musiałem jechać, by się upewnić, że nic jej nie będzie. Niegdyś była moją żoną,

więc nie miałem innego wyjścia Nie spisałem się dobrze w małżeństwie, a jeszcze gorzej zniosłem rozwód. Myślałem o tym wszystkim czekając, aż wyjdzie jakiś lekarz i powie nam, jak ona się czuje. Zastanawiałem się, co mogłem zrobić, by nasze małżeństwo było udane. Odpowiedź brzmi: nic.

Przesuwając dłońmi po jej ramionach, roześmiał się gorzko.

- Nic. Ilekroć dawniej sobie to uświadamiałem, czułem się jak nieudacznik. Teraz rozumiem, że to małżeństwo było nieudane. Nie ja, nie ona, lecz nasze małżeństwo.

Niemal bezwiednie pochylił się i pocałował Annie w czubek głowy.

- Kiedy zyskałem pewność, że nic jej nie będzie, przyszedłem tutaj, ponieważ musiałem ci to powiedzieć.

- Wiem, Andrew. - Pragnąc dodać mu otuchy, z lekkim zniecierpliwieniem poklepała go po ramieniu.
- Bekon się przypali.

- Jeszcze nie skończyłem. Właściwie nawet nie zacząłem tego, co chciałem ci powiedzieć.

- A co chciałeś mi powiedzieć?

- Mam na imię Andrew i jestem alkoholikiem. - Lekko zadrżał, potem jednak się uspokoił. - Od trzydziestu dni jestem trzeźwy. Mam zamiar wytrwać w trzeźwości trzydziesty pierwszy dzień. Siedziałem dziś w nocy w szpitalu i zastanawiałem się nad pić.

Doszedłem do wniosku, że ono nie było najlepszym rozwiązaniem. Potem zacząłem myśleć o tobie. Tylko ty możesz mnie uratować. Kocham cię.

W jej oczach pojawiły się łzy, mimo to potrząsnęła głową.

- Nie mogę cię uratować, Andrew. To niemożliwe. - Odsunęła się i zaczęła obracać bekon, lecz Andrew sięgnął ponad nią i wyłączył gaz.

- Kocham cię. - Ujął jej twarz w dłonie, żeby nie mogła mu się wyslizgnąć. - Gdzieś w głębi duszy zawsze cię kochałem. Musiałem jednak dojrzeć psychicznie, by to sobie uświadomić. Wiem, co czuję i czego pragnę. Jeśli ty nie czujesz tego samego w stosunku do mnie i nie pragniesz tego samego co ja, powiedz to, patrząc mi prosto w oczy. Obiecuję, że nie zacznę rozglądać się za butelką, ale chcę wiedzieć.

- Co mam ci powiedzieć? - Zniechęcona uderzyła go pięścią w klatkę piersiową. - Ty masz tytuł doktorski, a ja ukończyłam jedynie szkołę średnią. Ty jesteś Andrew Jones z Jonesów z Maine, a ja Annie McLean znikąd. - Ujęła go za nadgarstki, nie zdołała się jednak zmusić, by odciągnąć jego dłonie od swojej twarzy. - Ja prowadzę bar, a ty kierujesz Instytutem. Opamiętaj się, Andrew.

- Gwizdnę na twój snobizm.

- Snobizm? - W jej głosie słychać było urazę. - Na litość boską...

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. - Podciągnął ją w górę, aż musiała stanąć na palcach. - Co do mnie czujesz i czego pragniesz?

- Jestem w tobie zakochana i pragnę cudu.

Na jego ustach powoli rozpląnął się uśmiech, a widoczne na policzkach dołeczki pogłębiły się. Annie drżała, tymczasem jego ogarnął całkowity spokój.

- Nie wiem, czy można to uznać za cud, ale postaram się, by było jak najlepiej. - Wziął ją na ręce.

- Co robisz?

- Biorę cię do łóżka.

Poczuła, że zaczyna ogarniać ją panika.

- Nie powiedziałam, że chcę iść z tobą do łóżka.

- Ale nie powiedziałas również, że tego nie chcesz. Wykorzystuję więc wspaniałą okazję.

Chwyciła się framugi i przywarła do niej jak do koła ratunkowego.

- Naprawdę? Czyżby?

- Do jasnej cholery, tak. Może tym razem spodoba ją ci się moje pieszczoty. Jeśli tak, będziesz mogła mnie odtrącić, gdy poproszę cię o rękę.

Jej palce osłabły i ześlizgnęły się z drewna.

- Możesz... możesz zapytać mnie od razu i oszczędzić sobie niepewności.

- Nie. - Patrząc jej prosto w oczy, położył ją na łóżku. - Potem. Potem, Annie - mruknął, opadając na nią.

Wszystko przypominało powrót do domu, znalezienie skarbu - było takie proste i cudowne.

Tym razem nie byli już niewinnymi, skłonny do zabawy, podnieconymi i ciekawymi dzieciakami. Minione lata i chwila obecna pozwoliły im dojrzeć.

Teraz kochanie się przypominało popijanie wina z dobrego rocznika.

Objęła go rękami. Był tak delikatny, taki czuły, tak cudowny. Jego duże dłonie głaskały ją, gładziły jej szyję i plecy, powoli torując sobie drogę do bioder.

Zdejmując smoking i pozwalając, by Annie pomogła mu uwolnić się z koszuli, mruzczał zabawne

głupstewka. Potem przywarł do niej całym ciałem i oboje westchnęli.

Świt delikatnie zaróżowił niebo, zapowiadając burzę, lecz w wąskim łóżku panował idealny spokój i równowaga. Każdy dotyk, każda pieszczota była dawana i przyjmowana z cichą radością.

Annie zadrżała, ponieważ potęgujące się pragnienie zaczęło przeradzać się w ból, mimo to uśmiechnęła się i ponownie przyciągnęła jego usta do swoich warg.

Nie spieszył się, pieszczotą pobudzając jej ciało do życia i przez cały czas dotrzymując jej kroku, a kiedy ogarnął ją pierwszy orgazm, kiedy wygięła się i jęknęła, wraz z nią oddał się czystej rozkoszy.

Obsypał pocałunkami jej plecy, po czym zjechał w dół do bioder, by w końcu obrócić ją i zająć się jej piersiami. Dłonie Annie wędrowały po jego skórze, poznając, kosztując i podniecając. Kiedy ich oddechy stały się ciężkie, a słońce w pełni wychyliło się zza horyzontu, wślizgnął się w nią.

Wolny, równomierny rytm, delectowanie się, przedłużanie. Całkowite oddanie.

Wspinała się i opadała wraz z nim, sprawiając, że razem sięgnęli szczytu. Potem przywarła do niego i przez chwilę oboje drżeli. Opadanie przypominało dryfowanie wśród chmur.

Kiedy było już po wszystkim, uniosł się, przytulił ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach.

- Nadal odpowiadają mi twoje pieszczoty, Andrew - westchnęła. - Naprawdę bardzo mi odpowiadają.

W tym momencie poczuł się tak, jakby nagle ozdrowiał.

- Podoba mi się twój tatuaż, Annie. Naprawdę bardzo mi się podoba.

Skrzywiła się.

- O Boże, całkiem o nim zapomniałam.

- Nigdy już nie spojrzę na motyla w taki sam sposób jak dotychczas. - Kiedy się roześmiała i uniosła głowę, wciąż się uśmiechał. - Bardzo długo nie wiedziałem, czego pragnę i co daje mi szczęście. Pozwól się uszczęśliwić. Chcę żyć u twego boku i założyć z tobą rodzinę.

- Za pierwszym razem wszystko spieprzyliśmy.

- Wtedy nie byliśmy jeszcze gotowi.

- Masz rację. - Dotknęła jego twarzy. - Wydaje mi się, że teraz jesteśmy.

- Bądź moja. - Pocałował ją w rękę. - Pozwól mi należeć do ciebie. Pozwolisz Annie ?

- Tak. - Położyła dłoń na jego sercu. - Tak, Andrew. Pozwolę.

Ryan stał w biurze Mirandy, próbując odgadnąć, co się tu wydarzyło. Wciąż doskonale pamiętał, jak wyglądało to pomieszczenie poprzedniej nocy. Taki widok łatwo zapada w pamięć i często nawet mimo ogromnego wysiłku trudno o nim zapomnieć.

Na dywanie pozostała brzydka plama, okna były pomazane, a wszystkie gładkie powierzchnie posypane proszkiem, którego używała ekipa dochodzeniowa.

Ryan zastanawiał się, jak głęboko weszła kula w ciało Richarda. W jakiej odległości od niego stał morderca? Wystarczająco blisko, by na koszuli ofiary zostały ślady prochu. Z

pewnością Hawthorne patrzył swojemu mordercy w oczy i zobaczył w nich śmierć.

Ryan był tego całkiem pewien.

Cofnął się, podszedł do drzwi i zlustrował całe pomieszczenie.

Biurko, krzesła, okno, włączona lampa. Błat, szafki z aktami. Widział to wszystko.

- Nie powinien pan tu wchodzić, panie Boldari.

- Zdjęli taśmę - wyjaśnił Ryan bez oglądania się. - Najwyraźniej grupa dochodzeniowa zabrała stąd wszystko, co mogła.

- Lepiej, jeśli to pomieszczenie przez jakiś czas będzie zamknięte. - Cook zczekał, aż Ryan wyjdzie, a potem zamknął drzwi. - Nie ma potrzeby, by doktor Jones ponownie to wszystko oglądała, prawda?

- Rzeczywiście nie ma takiej potrzeby.

- Ale pan chciał to jeszcze raz zobaczyć.

- Chciałem sprawdzić, czy uda mi się uporządkować pewne rzeczy w głowie.

- I udało się panu?

- Nie całkiem. Nie widzę tu żadnych śladów walki, inspektorze.

- Rzeczywiście. Wszędzie panuje porządek. Poza biurkiem.

- Ofiara i morderca musieli stać tak blisko siebie, jak teraz pan i ja, prawda?

- Mniej więcej. Tak, panie Boldari, Hawthorne wiedział, kto pociągnął za cyngiel. Pan go znał, prawda?

- Bardzo krótko. Poznaliśmy się, gdy przyjechał w piątek. Ponownie spotkaliśmy się wczoraj wieczorem.

- Nie znał go pan wcześniej?

- Nie.

- To dziwne, skoro tak samo jak on zajmuje się pan sztuką.

- Nie znam wielu ludzi zajmujących się różnymi aspektami tego samego interesu co ja.

- Tylko widzi pan, to jest niewielki światek, a pan całkiem swobodnie się w nim porusza.

- Pan również - mruknął Ryan. - Czy sądzi pan, że przyszedłem tu wczoraj wieczorem i wpakowałem dwie kule w Richarda Hawthorne'a?

- Nie. Mamy kilku świadków, którzy utrzymują, że był pan na dole w chwili, kiedy padły strzały.

Ryan oparł się o ścianę. Miał wrażenie, że cały się lepi, jakby do jego skóry przywarło coś niezwykle groźnego, co zagościło w sąsiednim pokoju.

- Na szczęście jestem człowiekiem towarzyskim.

- Tak... Oczywiście część z tych osób to pańscy krewni, ale nie brak i takich, którzy wcale nimi nie są. Sądzę więc, że jest pan czysty. Natomiast nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie w tym czasie była doktor Jones.

Ryan gwałtownie odsunął się od ściany i dopiero po chwili zdołał nad sobą zapanować, ale ten ruch sprawił, że w oczach Cooka coś zabłysło.

- Bardzo się ze sobą przyjaźnicie.

- Tak, dlatego wiem, że Miranda jest ostatnią osobą, która mogłaby zabić.

Cook z roztargnieniem wyjął gumę do żucia, zaproponował ją Ryanowi, a potem rozpakował dla siebie.

- To zabawne, co ludzie potrafią zrobić, mając odpowiednią motywację.

- A jaką motywację mogłaby mieć Miranda? - zapytał Ryan.

- Sporo o tym myślałem. Z tutejszej gablotki ktoś sprytnie, jak prawdziwy zawodowiec, ukradł brąz. Wpadłem na trop kilku podobnych kradzieży. Ktoś wie, co robi, jest cholernie dobry i ma odpowiednie kontakty.

- A więc teraz Miranda jest złodziejem specjalizującym się w kradzieży dzieł sztuki?

- Albo zna kogoś takiego, przyjaźni się z kimś takim - dodał z niepewnym uśmiechem.

- Zabawne, że zniknęła także cała dokumentacja dotycząca tej statuetki. Jeszcze zabawniejsze, że

kiedy sprawdzałem odlewnię, z której korzysta Instytut, okazało się, iż ktoś inny również próbował czegoś się tam dowiedzieć. Ktoś, kto podawał się za studenta Instytutu i usiłował zebrać informacje na temat odlanej tam trzy lata temu brązowej figurki.

- A co to ma wspólnego z tym, co się tu dzieje?

- Nazwisko, które podał w odlewni, nie istnieje w tutejszym rejestrze. Interesowała go statuetka Dawida z procą. Wygląda na to, że miał nawet szkic tej rzeźby.

- W takim razie może to ma coś wspólnego z pańską kradzieżą. - Ryan przekrzywił głowę. - Cieszę się, że pańskie dochodzenie posuwa się do przodu.

- Och, idzie mi bardzo wolno. Wygląda na to, że doktor Jones, Miranda Jones, prowadziła kurs dotyczący renesansowych brązów.

- Jest ekspertem w tej dziedzinie, podejrzewam więc, że prowadziła nawet kilka kursów o podobnej tematyce.

- W jakiś czas po otrzymaniu przez nią zaginionej statuetki do przetestowania jeden z jej studentów, korzystając z odlewni, wykonał z brązu *Dawida*.

- To fascynujące.

Cook udał, że nie zauważa delikatnego sarkazmu w głosie Ryana.

- Tak, jest sporo luźnych wątków, które należałoby ze sobą powiązać. Ten student zaraz po odlaniu brązu opuścił Instytut. Wie pan, ktoś nawet dzwonił do jego matki i powiedział, że jest stąd i że chce się z nim skontaktować. Tymczasem dzieciak przeprowadził się do San Francisco. Kilka dni temu wyłowiono go z zatoki.

- Przykro mi.

- Pan ma rodzinę w San Francisco.

Ryan przymrużył oczy i groźnie nimi błysnął.

- Za daleko się pan posuwa, inspektorze.

- Próbuję jedynie uporządkować pewne informacje. Ten dzieciak był artystą, a pan ma tam galerię. Doszedłem do wniosku, że może go pan znał. Nazywał się Mathers. Harrison Mathers.

- Nie, nie znam żadnego Harrisona Mathersa, ale mogę sprawdzić, czy wystawiamy jakieś jego prace.

- To może wcale nie jest taki głupi pomysł.

- Czy Mathers jest następnym luźnym wątkiem?

- O tak. Dostarcza kolejnych powodów, żeby człowiek zaczął drapać się po głowie.

Potem przypomniałem sobie o tym cholernie ważnym florenckim brązie, który jak się okazało, wcale nie był taki ważny. Sądę, że doktor Jones musiała być bardzo nieszczęśliwa, chyba też niezłe wkurzyła się na matkę za odebranie jej tej sprawy. Dowiedziałem się, że ktoś ukradł tę statuetkę. Dostał się do magazynów Muzeum Narodowego i jak gdyby nigdy nic zabrał ją stamtąd. Tylko dlaczego ktoś zdecydował się na kradzież, jeśli ta statuetka była jedynie pozbawionym jakiegokolwiek wartości kawałkiem metalu?

- Sztuka ma wiele tajemnic, inspektorze. Może komuś przypadła do gustu.

- Może, ale tej kradzieży dokonał zawodowy złodziej, a nie jakiś niewydarzony złodziejasek amator. Zawodowcy nie tracą czasu bez potrzeby, chyba że mają jakieś powody.

Zgodzi się pan z tym, prawda, panie Boldari? W końcu sam pan jest profesjonalistą.

- Z pewnością. - Cholera jasna, trudno nie lubić tego gliniarza, pomyślał Ryan. - Nie cierpię tracić czasu.

- No właśnie. Dlatego zastanawiam się, ile ten brąz mógł być dla kogoś wart.

- Jeśli się dowiem inspektorze, dam panu znać. Mogę natomiast zapewnić, że nawet gdyby brąz był prawdziwy, a jego wartość sięgała milionów, Miranda nie popełniłaby z tego powodu morderstwa. Sądę, że się pan ze mną zgodzi - dodał Ryan. - W końcu pan również jest profesjonalistą.

Cook zachichotał. Nadal uważał, że z tym facetem jest coś nie tak, ale trudno go nie lubić.

- Nie, nie sądę, by kogokolwiek zabiła, nie mogę sobie również wyobrazić, by tułała się po całym świecie i wykradała obrazy oraz statuetki. Ma wypisaną na czole uczciwość. To właśnie dlatego gdzieś w głębi duszy wiem, że coś przede mną ukrywa. Nie mówi wszystkiego, co wie. I jeśli jest pan jej przyjacielem, powinien ją pan przekonać, żeby mi to wyjawiała, zanim ktoś dojdzie do przekonania, iż lepiej ją uciszyć.

Zastanawiała się, co powiedzieć i ile może ryzykować. Z twarzą ukrytą w dłoniach siedziała w Południowej Galerii otoczona sztuką dawnych mistrzów. Cierpiała.

Wiedziała, że Cook jest na górze. Widziała, jak tam szedł, i jak dziecko pragnące uniknąć kazania, ukryła się szybko za drzwiami i odczekała, aż przejdzie.

Kiedy weszła matka, Miranda opuściła ręce na kolana.

- Przypuszczałam, że cię tu znajdę.

- O, tak. - Miranda podniosła się i spośród stojących na stole brudnych naczyń wzięła do ręki jeden z kieliszków do szampana. - Ponownie przeżywam wspaniałe chwile. Gdzie indziej mogłabym być?

Dokąd miałabym pójść?

- Nie znalazłam twojego brata.

- Mam nadzieję, że śpi. To była ciężka noc. - Nie dodała, że kiedy wychodziła tego ranka z domu, nie było go we własnym łóżku.

- Tak, dla nas wszystkich. Wybieram się do szpitala. Zamierzam spotkać się tam z twoim ojcem. Może uda się nam odwiedzić Elise; ona sama ma nadzieję, że wypuszczą ją jeszcze dziś po południu.

- Przekaż jej moje serdeczne życzenia. Spróbuję wpaść do niej wieczorem do szpitala albo do hotelu, jeśli ją wypuszczą. Proszę, powiedz jej, że tak długo jak zechce, może się zatrzymać w naszym domu.

- To byłaby niezręczna sytuacja.

- Tak, mimo to nadal podtrzymuję swoją propozycję.

- To ładnie z twojej strony. Elise... Na szczęście nie odniosła poważniejszych obrażeń.

Mogło się zdarzyć... Mogliśmy znaleźć ją w takim samym stanie jak Richarda.

- Wiem, że jesteś z nią bardzo związana. - Miranda odstawiła kieliszek dokładnie w to samo miejsce, w którym stał, starając się, aby nóżka znalazła się w zarysie zostawionym wcześniej na obrusie. - Lubisz ją bardziej niż swoje własne dzieci.

- To nieodpowiednia pora na okazywanie małoduszności, Mirando.

Uniosła głowę.

- Czy bardzo mnie nienawidzisz?

- Jak możesz właśnie teraz mówić takie rzeczy?

- Kiedy więc mogę zapytać własną matkę, czy mnie nienawidzi?

- Jeśli chodzi ci o to, co wydarzyło się we Florencji...

- Och, wszystko zaczęło się dużo wcześniej i sięga znacznie głębiej niż nasze nieporozumienie we Florencji, ale na razie o tym nie mówmy. Nie stanęłaś po mojej stronie.

Nigdy tego nie zrobiłaś. Przez całe życie czekałam na chwilę, kiedy w końcu okażesz, że jesteś moją matką. Dlaczego do diabła nigdy tego nie zrobiłaś?

- Nie mam zamiaru tolerować twojego nieodpowiedniego zachowania.

Z lodowatym spojrzeniem Elizabeth odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

Miranda ku własnemu zaskoczeniu zapomniała o zasadach, które wpajano jej od dziecka, przebiegła

przez salę, chwyciła Elizabeth za ramię i odwróciła ją do siebie z gwałtownością, która zaskoczyła je obie.

- Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie udzielisz mi odpowiedzi. Mam serdecznie dosyć twojego ciągłego zostawiania mnie, dosłownie i w przenośni. Dlaczego nigdy nie traktowałaś mnie jak prawdziwa matka?

- Bo nie jesteś moją córką - wyrzuciła z siebie Elizabeth, a w jej oczach pojawił się niebieski płomień. - Nigdy nie byłaś moja. - Jednym szarpnięciem uwolniła rękę, a kiedy przestała panować nad sobą, jej oddech stał się szybki i ciężki.

- Nie masz prawa czegokolwiek ode mnie żądać po wszystkich poświęceniach, które musiałam ponieść tylko dlatego, że twój ojciec postanowił podawać swojego bękarta za moje dziecko.

- Bękarta? - Miranda czuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. - Nie jestem twoją córką?

- Nie. Dałam słowo, że nigdy ci tego nie powiem.

- Wściekła, że złość i zmęczenie wzięły górę, Elizabeth podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. - No cóż, jesteś już dorosłą kobietą i być może masz prawo wiedzieć.

- Ja... - Miranda przycisnęła rękę do serca, jakby obawiała się, że za chwilę przestanie bić. Patrzyła na wyprostowane plecy kobiety, która nagle stała się obcym człowiekiem.

- Kim jest moja matka? Gdzie ona mieszka?

- Umarła kilka lat temu. Była nikim - dodała Elizabeth, odwracając się.

W pełnym słońcu kobiety w średnim wieku nie wyglądają zbyt korzystnie. Miranda zauważyła, że Elizabeth robi wrażenie wymizerowanej, niemal chorej, ale kiedy jakaś chmura przesłoniła słońce, znów wróciła jej uroda.

- Jedną z... przelotnych miłostek twego ojca.

- Miał romans?

- W końcu jest jednym z Jonesów, prawda? - powiedziała Elizabeth gorzko i poirytowana machnęła ręką. - Tym razem był nieostrożny i jego wybranka zaszła w ciążę.

Najwyraźniej pozbycie się jej nie było tak łatwe jak w innych przypadkach. Oczywiście Charles nie miał zamiaru się z nią ożenić, więc kiedy zdała sobie z tego sprawę, zażądała, żeby to on zajął się dzieckiem. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji.

Mimo zaskoczenia Miranda poczuła gwałtowny ból serca.

- Ona również mnie nie chciała? Elizabeth lekko wzruszyła ramionami i usiadła.

- Nie mam pojęcia, czego chciała tamta kobieta. Zażądała jednak, żeby to Charles cię wychował, przyszedł więc do mnie i przedstawił całą sprawę. Mogłam się z nim rozwieść, żyć w atmosferze skandalu, stracić to, co zaczęłam tworzyć w Instytucie i zrezygnować z planów założenia własnego laboratorium. Lub...

- Zostałaś z nim. - Pomimo zaskoczenia i ostrego bólu stacją było jeszcze na oburzenie. - Mimo takiej zdrady zostałaś z nim.

- Miałam możliwość wyboru. Zdecydowałam się na lepsze rozwiązanie. Nie obeszło się jednak bez poświęceń. Musiałam wyjechać w ustronne miejsce i straciłam kilka miesięcy, czekając, aż się urodzisz. - To wspomnienie wciąż sprawiało jej ogromną przykrość. - Kiedy już pojawiłaś się na tym świecie, musiałam udawać, że jesteś moim dzieckiem. Żywiłam o to do ciebie urazę, Mirando - powiedziała spokojnie. - Może nie byłam w porządku, ale to prawda.

- Tak, poprzestańmy na prawdzie. - Nie mogąc tego znieść, Miranda odwróciła się. -

Trzymajmy się faktów.

- Nie jestem kobietą obdarzoną instynktem macierzyńskim i wcale nie udaję takiej. -

Elizabeth ponownie machnęła ręką, a w jej głosie słychać było lekkie zniecierpliwienie. -

Kiedy urodził się Andrew, postanowiłam, że nie będę miała więcej dzieci. Nigdy. Potem wbrew własnej woli zostałam obarczona wychowywaniem dziecka mojego męża. Bez przerwy przypominałaś mi o jego nieostrożności i zdradzie, natomiast Charles przez ciebie nigdy nie mógł zapomnieć, że w młodości popełnił poważny błąd.

- Poważny błąd - powtórzyła Miranda cicho. - Tak, sądzę, że to prawda. Teraz dopiero zaczynam rozumieć, dlaczego żadne z was nigdy mnie nie kochało, choćby tylko troszeczkę.

W waszych sercach nie było miłości.

- Dbaliśmy o ciebie, Mirando, zapewniliśmy ci dom i doskonałe wykształcenie.

- Ale ani odrobiny prawdziwego uczucia - dokończyła Miranda, odwracając się.

Zobaczyła nieprawdopodobnie opanowaną i ambitną kobietę, dla której ważniejsza była własna kariera niż uczucia. - Przez całe życie starałam się robić wszystko, by zasłużyć na twoją miłość. Ale traciłam tylko czas.

Elizabeth westchnęła i wstała.

- Nie jestem potworem. Nikt nie wyrządził ci krzywdy, nie byłaś zaniedbana.

- Nikt również nigdy mnie nie przytulił.

- Zrobiłam dla ciebie, co mogłam, i umożliwiłam ci sprawdzenie się w swojej dziedzinie. Łącznie z

brązem z Fiesole.

- Zawahała się, a potem podeszła i otworzyła jedną z nie uprzątniętych jeszcze butelek z wodą. - Zabrałam do domu twoje raporty, zdjęcia rentgenowskie i całą dokumentację. Kiedy się uspokoiłam, kiedy minęła największa złość, trudno było mi uwierzyć, że popełniłaś aż tak rażące błędy albo spreparowałaś wyniki testów. Nigdy nie wątpiłam w twoją uczciwość.

- Jestem ci za to niezmiernie wdzięczna - powiedziała Miranda sucho.

- Niestety raporty i dokumenty zostały skradzione z sejfu w moim domu. Być może nawet bym o tym nie wiedziała, ale przed przyjazdem do Maine chciałam coś z niego wyjąć.

Wówczas zorientowałam się, że ich nie ma.

Wlała wodę do szklanki, zamknęła butelkę i zaczęła pić.

- Chciałam zabrać perły twojej babki, przywieźć je do Maine i złożyć w skrytce depozytowej w tutejszym banku. Miałam zamiar dać ci je przed wyjazdem.

- Dlaczego?

- Może dlatego, że choć nigdy nie byłaś moją córką, zawsze byłaś jej wnuczką. -

Odstawiła szklankę. - Nie będę przeproszać za to, co zrobiłam, ani za dokonany przeze mnie wybór. Nie proszę też, żebyś mnie zrozumiała, bo ja również nigdy cię nie rozumiałam.

- A więc po prostu mam się z tym pogodzić? - zapytała Miranda, a Elizabeth uniosła brew.

- Ja to zrobiłam. Proszę, żebyś zachowała treść tej rozmowy dla siebie. Nazywasz się Jones, a więc musisz dbać o dobre imię rodziny.

- O tak, zwłaszcza że jest o co dbać. - Potrząsnęła energicznie głową. - Znam swoje obowiązki.

- Jestem tego pewna. Muszę spotkać się z twoim ojcem.

- Podniosła torebkę. - Jeśli chcesz, porozmawiam z nim na ten temat.

- Po co? - Nagle Miranda poczuła, że jest znużona, zbyt znużona, by się martwić, zastanawiać lub cokolwiek przejmować. - W końcu nic się nie zmieniło, prawda?

- Rzeczywiście.

Kiedy wyszła, z ust Mirandy wyrwał się gorzki śmiech. Potem podeszła do okna.

Powoli zaczynała nadciągać burza, na którą zanosilo się przez cały dzień.

- Dobrze się czujesz?

Kiedy Ryan położył ręce na jej ramionach, odchyliła się do tyłu.

- Ile słyszałeś?

- Prawie wszystko.

- Ponownie podsłuchiwałaś - mruknęła - skradając się na palcach. Sama nie wiem, jak powinnam się czuć.

- Niezależnie od tego co czujesz, masz do tego prawo. Jesteś niezwykłą istotą, Mirando. Zawsze nią byłaś.

- Sądzę, że muszę taka być.

- Czy zamierzasz porozmawiać na ten temat z ojcem?

- Po co? Nigdy mnie nie dostrzegał. Nigdy mnie nie słuchał. Teraz przynajmniej wiem dlaczego. - Zamknęła oczy i przytuliła policzek do jego dłoni. - Jacy dziwni ludzie dali mi życie i wychowywali mnie, Ryane! Mój ojciec, Elizabeth, kobieta, która mnie nie chciała.

- Nie znam ich. - Delikatnie obrócił ją twarzą do siebie. - Ale znam ciebie.

- Czuję... - Wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze z płuc - ulgę.

Ponieważ odkąd pamiętam, zawsze bałam się, że będę taka jak ona. Tymczasem wcale nie jestem. Naprawdę.

Zadrzała, a potem oparła głowę na jego ramieniu.

- Teraz nie muszę się już martwić.

- Przykro mi, że ona taka była - powiedział cicho. - Że zamknęła przed tobą serce. Że nie potrafiła cię kochać.

Miranda już wiedziała, co to miłość, znała związane z nią obawy i wzruszenia.

Niezależnie od tego jak ułoży się jej przyszłość, była zadowolona, że coś się w niej otworzyło. Nawet jeśli dokonał tego złodziej.

- Mnie również jej żal. - Jeszcze przez chwilę stała przytulona do niego, a potem odsunęła się, by stanąć o własnych siłach. - Wybieram się do Cooka z notesem Richarda.

- Wstrzymaj się z tym do mojego powrotu z Florencji. Nie chciałem dzisiaj cię opuszczać, bo masz na głowie tyle spraw, ale jeśli mi się uda, pojedę dziś wieczorem albo jutro wczesnym rankiem. Skróćmy czas do trzydziestu sześciu godzin. Tyle powinno mi wystarczyć.

- Nie mogę się zgodzić na dłużej. Chcę, żeby było już po wszystkim.

- Będzie. Uśmiechnęła się i stwierdziła, że było to łatwiejsze, niż przypuszczała.
- Tylko żadnego wślizgiwania się ukradkiem do sypialni, żadnego opróżniania szkatulek z biżuterią c z y sejfów.
- Zgoda. Tylko wcześniej muszę zająć się Carterami.
- Na litość boską.
- Nie ukradnę niczego. Czyż nie oparłem się perłom twojej babci? Cennemu złotu Elise? Nawet ładnemu małemu medalionowi, który mógłbym ofiarować którejś z siostrzenic?

Zostałbym bohaterem.

- Twoje siostrzenice są jeszcze za małe na medaliony.
- Westchnęła i ponownie oparła głowę na jego ramieniu.
- Ja dostałam swój od mojej babki dopiero wtedy, g d y skończyłam szesnaście lat. Był śliczny. Miał kształt serca.
- A ty włożyłaś do niego kosmyk włosów swojego chłopaka.
- Nie. Nie miałam chłopców. Poza t y m babcia już wcześniej umieściła w nim zdjęcie swoje i dziadka. To miało mi przypominać o moich przodkach.

- I przypominało?

- O c z y w i ś c i e . Dobry mieszkaniec Nowej Anglii zawsze pamięta o s w o i c h przodkach - powiedziała cicho. - Elizabeth ma rację. Chociaż nigdy nie byłam jej córką, zawsze b y - łam w n u c z k ą m o j e j babci.

- Teraz otrzymasz jej perły.

- Tak, i będę je traktować jak skarb. Kilka lat temu zgubiłam medalion. B y ł a m zrozpaczona. - Czując się lepiej, w y - prostowała się. - Muszę wezwać obsługę. Pora na porządki. Mam nadzieję, że uda nam się jutro udostępnić wystawę publiczności.

- Zrób to - mruknął. - Spotkamy się później. Idź prosto do domu, żebyśmy nie musiał cię szukać.

- A dokąd miałabym pójść?

Wchodząc do domu, Andrew gwizdał. Zdawał sobie sprawę, że cały czas się uśmiecha. Tak było przez cały dzień. Nie chodziło tylko o seks - chociaż biegnąc po schodach na piętro doszedł do wniosku, że przespanie się z Annie bardzo mu dobrze zrobiło, zwłaszcza że nastąpiło po długim okresie posuchy.

Przede wszystkim jednak liczyło się to, że był zakochany, a Annie odwzajemniała jego miłość. Spędzenie z nią całego dnia było najbardziej emocjonującym, a zarazem pełnym ukojenia cudownym przeżyciem, jakiego kiedykolwiek doznał. Uśmiechając się, pomyślał, że było w tym coś wzniosłego.

Razem zrobili śniadanie, po czym zjedli je w łóżku. Rozmawiali, aż zaschło im w gardłach. Tak dużo słów, myśli i uczuć czekało, by się nimi podzielić. Nigdy nie potrafił rozmawiać z nikim tak jak z Annie. Poza Mirandą oczywiście.

Nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł jej o wszystkim powiedzieć.

W czerwcu on i Annie wezmą ślub.

Nie będzie to wielka uroczysta ceremonia przypominająca ślub jego i Elise. Annie pragnie czegoś skromnego i uroczego. Na podwórku, w otoczeniu przyjaciół i muzyki. Chciał

poprosić Mirandę, by została jego świadkiem. Na pewno bardzo ją to ucieszy.

Wszedł do sypialni. Chciał zdjąć wymięty smoking. Wieczorem wybierał się z Annie na kolację, natomiast następnego dnia miał zamiar kupić jej pierścionek. Powiedziała, że wcale nie jest jej potrzebny, lecz on i tak wiedział swoje.

Chce zobaczyć pierścionek na jej palcu.

Przyrzekł sobie, że w najbliższym tygodniu uprzątnie pokój. On i Annie wprowadzą się tu dopiero po ślubie. Teraz cały dom należał do Mirandy. Państwo Jonesowie zamieszkają tu po powrocie z podróży poślubnej.

Chciał zabrać Annie do Wenecji.

Z uśmiechem na twarzy zdejmował spinki. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Poczuł potworny ból a w oczach błysnęło mu czerwone światełko.

Kiedy próbował się odwrócić i dopaść napastnika, ugięły się pod nim nogi. Drugi cios sprawił, że Andrew upadł na stół i stracił przytomność.

Zaczęła się burza. Miranda znajdowała się półtora kilometra od domu, kiedy strugi deszczu zalały przednią szybę samochodu. Błyskawica przecięła niebo tak blisko że towarzyszący jej grzmot wstrząsnął autem. Zapowiadała się paskudna nawałnica. Miranda zmniejszyła prędkość, chociaż jak

najszybciej chciała się znaleźć w suchym i ciepłym domu.

Nad ziemią unosiła się mgła, zasłaniając pobocze drogi. Pragnąc skupić uwagę, Miranda wyłączyła radio i wychyliła się do przodu.

Mimo to w myślach odtwarzała cały przebieg wydarzeń.

Telefon z Florencji, potem napad. Ona została w Maine, a do Włoch poleciał John Carter. W tym czasie brąz znajdował się w sejfie w biurze matki. Kto miał dostęp do sejfu?

Tylko Elizabeth.

Chociaż znajomość z Ryanem nauczyła Mirandę, że zamki są po to, by je otwierać...

Skoro Richard prowadził testy, musiał mieć dostęp do brązu. Kto z nim pracował? Kto przyniósł pistolet do Instytutu i użył go?

John? Próbowwała go sobie wyobrazić, jednak przez cały czas miała przed oczyma prostoduszną, zmartwioną twarz Vincente? Głośny, przyjacielski, dobroduszny Vincente? Czy któryś z nich był w stanie wpakować dwie kule w klatkę piersiową Richarda i uderzyć Elise?

Dlaczego zdarzyło się to w jej biurze, kiedy na niższym piętrze znajdowało się kilkaset osób? W jakim celu podjęto takie ryzyko?

Niestety, odniosło oczekiwany efekt: jej nazwisko ponownie znalazło się w gazetach w atmosferze skandalu. Morderstwo przekreśliło nadzieje związane z otwarciem wystawy i przesłoniło cały włożony przez nią trud.

Zatem na pewno chodziło o nią. Co jednak zrobiła, by wzbudzić tego rodzaju niechęć i stać się przedmiotem czyjejś obsesji? Kogo skrzywdziła? To John, pomyślała. Gdyby nie-odwołałnie została zhańbiona, gdyby musiała zrezygnować z kierowania Instytutem, z pewnością właśnie on zająłby jej miejsce, a to oznaczałoby awans, wyższe zarobki, większą władzę i prestiż.

Czy wyjaśnienie mogło być aż takie proste?

Albo Vincente. Zna ją najdłużej, jest jej bardzo bliski. Czy miał do niej jakąś urazę i zazdrościł jej? Czy chodziło jedynie o pieniądze, których potrzebował na opłacenie podróży oraz zakup biżuterii i ubrań, które uszczęśliwiłyby jego młodą żonę?

Czy został jeszcze ktoś? Giovanni i Richard nie żyją. Elise jest w szpitalu. Elizabeth...

Czy trwająca całe życie niechęć mogła zaowocować aż taką nienawiścią?

Miranda doszła do wniosku, że musi zostawić domysły policji. Zatrzymując się przed domem, potrząsnęła ramionami, by pozbyć się napięcia. Za niecałe trzydzieści sześć godzin przekaże tę paskudną piłeczkę Cookowi.

Czyli musi poświęcić wieczór na dopracowanie każdego kroku i ustalenie, co może, a czego nie wolno jej powiedzieć.

Wzięła do ręki aktówkę. Znajdował się w niej notes Richarda. Miranda miała zamiar przeczytać go od deski do deski. Z braku czasu zdążyła jedynie pobieżnie przejrzeć notatki, mogła więc coś przeoczyć.

Fakt, że parasolka Mirandy znajdowała się w bagażniku zamiast na tylnym siedzeniu samochodu, był widocznym dowodem jej roztargnienia. Osłoniwszy głowę aktówką, wbiegła na werandę.

I tak całkiem przemokła.

Znalazłszy się w domu, przeczesła ręką włosy, by strząsnąć z nich krople deszczu, po czym zawołała Andrew. Nie widziała go od chwili, kiedy poprzedniej nocy opuściła szpital, ale jego samochód stał na swoim miejscu. Postanowiła, że muszą ze sobą jak najszybciej porozmawiać.

Najwyższy czas, by powiedzieć mu o wszystkim, pora mu zaufać.

Ruszając schodami w górę, zawołała ponownie. Cholera jasna, chciała zrzucić z siebie mokre ubranie i wziąć gorącą kąpiel. Dlaczego Andrew się nie odzywa?

Może śpi? Zawsze miał bardzo twardy sen. Jednak będzie musiała go obudzić, ponieważ koniecznie powinien wysłuchać całej opowieści, nim przybędzie matka.

- Andrew?

Drzwi do jego pokoju były lekko uchylone, mimo to niedbale zapukała, a dopiero potem je pchnęła. W pokoju było całkiem ciemno i chociaż wyobrażała sobie, że Andrew solidnie zaklnie, gdy obudzi go tak brutalnie, sięgnęła do włącznika. Po chwili sama wymamrotała pod nosem jakieś brzydkie słowo, ponieważ lampka pozostała ciemna.

Jednak prąd był. Cholera jasna, Andrew znowu nie wymienił żarówki. Miranda ruszyła przed siebie, mając zamiar ostro nim potrząsnąć, lecz po chwili potknęła się o coś.

- Andrew! Na litość boską!

W świetle błyskawicy zobaczyła brata leżącego u jej stóp. Nadal miał na sobie smoking, w którym występował poprzedniego wieczoru.

Zdarzało się już nieraz, że znajdowała go leżącego w ubraniu na podłodze -

nieprzytomnego i śmierdzącego alkoholem.

Najpierw ogarnęła ją złość. Miranda odwróciła się, żeby wyjść i zostawić go tam, gdzie leżał. Potem jednak zrobiło jej się żal.

- Jak mogłeś znów to zrobić? - wyszeptała. Kucnęła nad nim, mając nadzieję, że nie jest aż tak bardzo

pijany i że zdoła jakoś położyć go do łóżka.

Nagle zaskoczona stwierdziła, że nie czuje zapachu whisky ani chorobliwego potu.

Potrząsnęła bratem, a potem z westchnieniem położyła dłoń na jego głowie.

Poczuła coś ciepłego i lepkiego. Krew.

- O Boże, Andrew! Proszę, tylko nie to. - Zakrwawionymi drżącymi palcami zaczęła sprawdzać puls. W tym momencie zapaliła się stojąca obok łóżka lampka.

- On żyje. Przynajmniej na razie - powiedział ktoś łagodnym rozbawionym głosem. -

Czy chcesz utrzymać go przy życiu, Mirando?

Zazwyczaj Ryan nie wracał w miejsca, w których już był, tym razem jednak ponownie wkradł się do apartamentu Elizabeth. Nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie czegokolwiek. Pokoje były ciche i puste, ale to nie miało dla niego żadnego znaczenia.

I tak znalazłby sposób, by przechytryć mieszkające tu osoby.

W sypialni dokładnie tak samo jak dwa dni temu otworzył kasetkę z biżuterią. I wyjął z niej medalion.

Dręczyło go pewne przecucie, które przypominało małą kulkę lodu w wnętrznościach, nauczył się jednak słuchać własnych przecuć. Bacznie przyjrzał się starym fotografiom, lecz nie dostrzegł żadnego szczególnego podobieństwa. Po chwili uznał jednak, że jest coś w oczach, a może raczej w oprawie oczu kobiety.

Używając małego śrubokrętu, podważył elegancką owalną oprawkę. Tak jak przypuszczał, podpisała się pod swoim zdjęciem, nie męża.

Czytając, był spokojny i opanowany. „Mirandzie z okazji szesnastych urodzin. Nigdy nie zapominaj, skąd się wywodzisz i dokąd zmierzasz. Babcia. „

- Mamy cię - powiedział cicho i wsunął medalion do kieszeni. Wychodząc na korytarz, już wyjmował telefon.

- Elise. - Miranda zmusiła się, by jej głos brzmiał spokojnie. Starła się nie odrywać wzroku od twarzy byłej bratowej ani lufy wymierzonego w sam środek klatki piersiowej pistoletu. - On jest ciężko ranny. Muszę wezwać pogotowie.

- Chwilę wytrzyma. - Wolną ręką poklepała starannie zawiązany wokół jej głowy bandaż. - Ja wytrzymałam. To dziwne, jak szybko można dojść do siebie po dobrym uderzeniu w głowę. Sądziłaś, że jest pijany, prawda? - Na tę myśl w jej oczach pojawiła się radość. -

To naprawdę wspaniałe. Gdybym na to wpadła i miała więcej czasu, mogłabym przywieźć butelkę i oblać go alkoholem. By odpowiednio przygotować scenę. Nie martw się, uderzyłam go tylko dwa razy.

Giovanni oberwał dużo mocniej, ale Andrew mnie nie widział, a Giovanni tak.

Obawiając się, że Andrew wykrwawi się na śmierć, zanim ktoś przyjdzie mu z pomocą, Miranda podniosła z zaśmieconej podłogi podkoszulek, zwinęła go w kulkę i przycisnęła do rany.

- Giovanni był twoim przyjacielem. Jak mogłaś go zabić?

- Nie musiałabym, gdybyś nie próbowała go w to wszystko wciągnąć. Masz na rękach jego krew, tak samo jak teraz krew Andrew.

Miranda zacisnęła palce.

- I Richarda.

- Och, Richard. On sam się zabił. - Między brwiami Elise pojawiła się delikatna zmarszczka świadcząca o irytacji. - Zaraz po historii z Giovannim zaczął się załamywać. Zachowywał się jak dziecko. Płakał jak niemowlę i powtarzał, że to się musi skończyć. Upierał

się, że plan nie przewidywał niczyjej śmierci. No cóż. - Wzruszyła ramionami. - Plany się zmieniają. W chwili kiedy wysłał ci przez internet tę śmieszna wiadomość, już nie żył.

- Reszta, czyli fakty, była od ciebie, prawda?

- O, tak... - Wolną ręką Elise odwróciła zdobiący jej szyję delikatny złoty łańcuszek. -

Przestraszyły cię, Mirando? Wprawiły w zakłopotanie? Zaintrygowały?

- Tak. - Przez cały czas wykonując powolne ruchy, zdjęła z łóżka koc i okryła nim brata. - Zabiłaś również Rinaldiego.

- Powodował zbyt duże zamieszanie. Bez przerwy upierał się, że brąz jest prawdziwy.

Zupełnie jakby hydraulik mógł coś wiedzieć na ten temat. Wdarł się nawet do biura Elizabeth, płotać trzy po trzy. Niestety po jego wizycie zaczęła się zastanawiać. Coś mogę na ten temat powiedzieć.

- Masz ten brąz, ale nigdy nie będziesz w stanie go sprzedać.

- Sprzedać? Po co miałabym go sprzedawać? Czy sądzisz, że chodziło mi o pieniądze?

- Śmiejąc się, przycisnęła dłoń do brzucha. - Nigdy nie chodziło mi o pieniądze. Chodziło mi o ciebie. Przez cały czas chodziło o ciebie i o mnie, Mirando.

W oknie za plecami Elise błyskawica przecięła zygzakiem czarne niebo.

- Nigdy nic ci nie zrobiłam.

- Urodziłaś się! Urodziłaś się z wszelkimi przywilejami wypisanymi na czole.

Wspaniała córka wspaniałych rodziców. Wybitna doktor Jones z Jonesów z Maine. Miałaś szacownego ojca i matkę, pieprzony rodowód, służbę i przemądrzałą babcię, która mieszkała we wspaniałym domu na wzgórzu.

Jak oszalała wymachiwała pistoletem, co sprawiło, że żołądek podszedł Mirandzie do gardła.

- Wiesz, gdzie ja się urodziłam? W najpodlejszym szpitalu, a mieszkałam w beznadziejnym dwupokojowym mieszkaniu, ponieważ mój ojciec nie przyznawał się do mnie, nie chciał wziąć żadnej odpowiedzialności. Zasługiwałam na wszystko, co było twoim udziałem, i osiągnęłam to, ale musiałam ciężko pracować. Wybłagałam stypendium i robiłam wszystko, by pójść na te same studia co ty. Obserwowałam cię, Mirando. Nigdy nawet nie zdawałaś sobie sprawy z mojej obecności.

- Rzeczywiście. - Miranda usunęła opatrunek z głowy Andrew. Wydawało jej się, że krwawienie ustaje. Modliła się, żeby tak było naprawdę.

- Ale nie cieszyłaś się zbyt wielką sympatią i byłaś raczej odludkiem, prawda? To dziwne, ale pomimo bogactwa uważano cię za bardzo nudną osobę. Ja musiałam odmawiać sobie wielu rzeczy i bez przerwy oszczędzać, podczas gdy ty mieszkałaś w pięknym domu, czekano na ciebie i pławiłaś się w chwale.

- Pozwól mi wezwać do Andrew karetkę.

- Zamknij się! Do jasnej cholery, zamknij się! Jeszcze nie skończyłam. - Zrobiła kilka kroków w przód, wymachując pistoletem. - Zamknij się, do diabła, i słuchaj albo od razu zastrzelę tego biednego sukinsyna.

- Nie! - Instynktownie Miranda zasłoniła Andrew własnym ciałem. - Nie krzywdź go, Elise. Będę słuchać.

- I trzymaj buzię na kłódkę. Jezu, jak ja nienawidzę tej twojej buzi. Mówisz, a wszyscy cię słuchają. Zupełnie jakby z twoich ust wypadały złote monety. - Kopnęła leżący na podłodze but, aż głośno stuknął o ścianę. - To ja powinnam zajmować twoje miejsce i byłoby tak, gdyby ten sukinsyn, przez którego moja matka zaszła w ciążę i który zasypywał ją obietnicami, nic był mężem twojej babki.

- Mojej babki? - Miranda potrząsnęła głową, a jej palce zsunęły się w dół, by sprawdzić puls Andrew. - Usiłujesz mi wmówić, że twoim ojcem był mój dziadek?

- Ten staruch po prostu uwielbiał rozpinać rozporek, nawet kiedy miał już sześćdziesiątkę. Moja matka była młoda i głupia. Liczyła na to, że wielki Jones pozbędzie się zimnej jak lód żony i ożeni się z nią. Głupia, głupia, głupia.

Dla podkreślenia swoich słów złapała wykonany z agatu przycisk do papieru i rzuciła nim nad głowę Mirandy. Uderzył o ścianę jak kula armatnia.

- Dała się wykorzystać. Pozwoliła mu odejść bez zapłaty, nigdy nie kiwnęła nawet palcem, by coś od niego wyciągnąć, żyliśmy więc z dnia na dzień. - Kiedy przesuwała stół, w jej oczach zalśniła wściekłość.

Następny Jones, pomyślała Miranda gorączkowo, następny przypadkowy romans i nie chciana ciąża. Przesunęła ciężar ciała na pięty i objęła się rękami, ale pistolet ponownie się zakołysał, a jego lufa skierowała się w sam środek jej ciała. Elise uśmiechnęła się uroczo.

- Obserwowałam cię. Obserwowałam cię przez wiele lat. Od lat układałam plany. Jak daleko sięgam pamięcią, byłaś moim celem. Wybrałam tę samą specjalizację. Byłam tak samo dobra jak ty. Nawet lepsza. Zaczęłam dla ciebie pracować. Wysłałam za mąż za twojego beznadziejnego brata. Zrobiłam wszystko, by twoja matka nie mogła się beze mnie obejść.

Jestem bardziej jej córką niż ty.

- O, tak - przyznała Miranda z całkowitą szczerością. - To prawda. Rzeczywiście nic dla niej nie znaczę.

- Jesteś ośrodkiem uwagi. Wcześniej czy później zajmę twoje miejsce. To ty będziesz błagać o resztki ze stołu. Pamiętasz *Dawida* ? To było dla ciebie spore osiągnięcie, prawda?

- Więc skradłaś go i kazałaś Harry'emu wykonać kopię.

- Harry zrobił to z prawdziwą przyjemnością. To nie do wiary, jak łatwo manipuluje się mężczyznami. Patrzą na ciebie i myślą: „Ona jest taka delikatna, taka śliczna”.

Tymczasem zależy im tylko na tym, by się z tobą popieprzyć i móc cię ochraniać.

Ponownie się roześmiała, przenosząc wzrok na Andrew.

- To samo można powiedzieć o twoim braciszku. Jest całkiem niezły w łóżku. Nie liczyłam na tego typu korzyść uboczną, ale dużo zabawniejsze było złamanie mu serca. Obserwowanie, jak coraz częściej sięga po butelkę, nie mogąc zrozumieć, co on takiego zrobił, że się od niego odsunęłam. Biedny, biedny Andrew.

Potem wyraz jej twarzy ponownie się zmienił. Nastroje Elise były kapryśne jak błyskawice za oknem i tak samo nieuchwytnie.

- Właściwie mam zamiar z powrotem przyciągnąć go do siebie, oczywiście kiedy doprowadzę sprawę do końca. Kiedy skończę z tobą. Czyż to nie byłaby wspaniała ironia?

Naprawdę mam taki zamiar - dodała, ponownie się uśmiechając.

- Kiedy wrócę do Maine, to wielkie zero, z którym Andrew teraz się pieprzy, przestanie być nawet wspomnieniem. To znaczy, jeśli zostawię go przy życiu.

- Nie ma powodu, abyś mu robiła krzywdę, przecież to nie o niego ci chodzi, Elise.

Pozwól mi zadzwonić po pogotowie. Możesz przez cały czas mierzyć do mnie z pistoletu. Nie będę próbowała uciec. Po prostu pozwól mi wezwać karetkę.

- Nie przywykłaś do proszenia, prawda? Ale dobrze to robisz. Wszystko robisz tak dobrze, Miranda. Zastanowię się.

- Widząc, że Miranda wstaje, pokręciła ostrzegawczo głową.

- Ostrożnie. Nie zabiję cię, przynajmniej nie od razu. Ale cię okaleczę.

- Czego chcesz? - zapytała Miranda. - Do jasnej cholery czego chcesz?

- Chcę, żebyś słuchała! - krzyknęła Elise, machając pistoletem, tak że wylot luty przesuwiał się z miejsca, gdzie znajdowało się serce Mirandy na jej głowę i z powrotem. -

Chcę, żebyś wysłuchała, co mam ci do powiedzenia, a kiedy skończę, żebyś błagała o litość.

Mam duże wymagania.

- W porządku. - Miranda zastanawiała się gorączkowo, ile czasu minie, nim Elise straci panowanie nad sobą i wypali z pistoletu. - Słucham cię. Z twoich słów wynika, że *Dawid* był jedynie próbą generalną, przygotowaniem do tego, co zamierzałaś zrobić, prawda?

- Jesteś bystra. Zawsze byłaś bardzo bystra. Rzeczywiście był to tylko środek prowadzący do celu. Wiedziałam, że dzięki niemu mogę ci nieco zaszkodzić, ale jestem cierpliwa. Ponieważ twoja gwiazda dopiero wschodziła, wiedziałam, że pojawi się coś większego i ważniejszego. W końcu znaleziono *Czarną Damę*. Kiedy tylko Elizabeth powiedziała mi, że ma zamiar cię ściągnąć, wiedziałam, że nadszedł mój czas. Wierzyła mi.

Zrobiłam wszystko, by mi zaufała. Podlizywałam się jej i od lat spełniałam wszystkie jej zachcianki... Standjo również będzie moje - dodała rzeczowo. - Przed czterdziestką obejmę stanowisko dyrektorki.

Miranda zerknęła w bok, szukając jakiejś broni.

- Patrz na mnie! Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

- Patrzę na ciebie, Elise. I słucham. Mówiłaś o *Czarnej Damie*.

- Czy widziałaś kiedykolwiek wspanialsze dzieło sztuki? Coś równie wielkiego?

- Nie. - Deszcz bębnił w szyby okienne. - Nie, nie widziałam. Chciałaś ją mieć. Nie mogę cię o to winić. Nie mogłaś jednak zrobić tego sama. Więc wciągnęłaś w to Richarda.

- Richard się we mnie kochał. Bardzo go lubiłam - powiedziała niemal z rozmarzeniem. - Mogłabym wyjść za niego za mąż, przynajmniej na jakiś czas. Był

użyteczny, nadal chętnie korzystałabym z jego pomocy. W nocy razem przeprowadzaliśmy testy. Znałam kombinację do sejfu Elizabeth. Była śmiesznie prosta. Wystarczyło jedynie się postarać, żebyś przyjechała nieco później. Wyraźnie zastrzegłam, że nie możesz odnieść poważnych ran. Chciałam, żebyś była zdrowa do czasu, kiedy będę mogła cię zniszczyć całkowicie.

- To Richard wykonał kopię.

- Jak już powiedziałam, był bardzo użyteczny. Sama też trochę się nad nią napracowałam. Zależało nam na tym, żeby przeszła wstępne testy, żeby nabrała nawet kogoś, kto ma na ten temat sporą wiedzę. Byłaś świetna, Mirando. Wiedziałaś, gdy tylko ją zobaczyłaś, tak samo jak ja. W tym przypadku nie można się było pomylić. Czulaś to, prawda? Siłę i piękno drzemiące w niewielkiej statuetce.

- Tak, czulaś to. - Wydawało jej się, że Andrew drgnął, ale nie była tego całkiem pewna. - To ty zawiadomiłaś prasę.

- Elizabeth w tego typu sprawach jest bardzo zasadnicza. Reguły i przepisy, umiejętność znalezienia właściwych kanałów, uczciwość. Zawsze można przewidzieć jej reakcje. Z przyjemnością od czasu do czasu delikatnie próbowałam ją przekonywać, że twoja wina wcale nie jest taka oczywista. Po prostu wpadłaś w pułapkę. Byłaś tak pełna entuzjazmu.

Odgrywałam rolę twojej orędowniczki. Spisywałam się świetnie.

Kiedy zadzwonił telefon, spojrzały na siebie. Elise uśmiechnęła się.

- Najlepiej będzie, jeśli tę wiadomość przyjmie automatyczna sekretarka, prawda?

Mamy sobie jeszcze tyle do powiedzenia.

Dlaczego ona, do diabła, nie podnosi słuchawki? Walcząc z nawałnicą i ślizgając się po mokrej jezdni, Ryan zwiększył prędkość. Po wyjściu z Instytutu Miranda udała się do domu. Nie odpowiadał ani telefon komórkowy, ani znajdujący się w domu aparat. Kierując jedną ręką, zadzwonił do informacji i uzyskał numer telefonu do szpitala.

- Czy mogę rozmawiać z Elise Warfield? - zapytał.

- Jest pacjentką.

- Doktor Warfield została wypuszczona dziś wieczorem. Ponownie poczuł we wnętrzu bryłkę lodu. Nacisnął pedał gazu, zmagając się ze zmiennym wiatrem. Postępując wbrew przestrzeganiem przez całe życie zwyczajowi, zadzwonił na policję.

- Chcę rozmawiać z inspektorem Cookiem.

- Chciałabym dostać kopie, Mirando. Gdzie one są?

- Nie mam ich.

- Wiesz, że to kłamstwo, a ty przecież nie umiesz kłamać. Naprawdę są mi potrzebne.
- Tym razem Elise zrobiła kilka kroków do przodu. - Na koniec dobrze by było wszystko uporządkować, prawda?
- Dlaczego mam ci je dawać? I tak mnie zabijesz.
- Oczywiście. To jedyne logiczne rozwiązanie, prawda? Ale... - Odwróciła się, a serce Mirandy na chwilę zamarło.
- Wcale nie muszę zabijać Andrew.
- Nie rób tego. - Miranda szybko podniosła ręce, jakby się poddawała. - Proszę.
- Daj mi kopie, a wówczas zostawię go przy życiu.
- Są ukryte w latarni morskiej. - Byle dalej od Andrew, pomyślała.
- To wspaniałe. Czy zgadniesz, gdzie zostałam poczęta?
- Elise śmiała się, aż do oczu napłynęły jej łzy. - Moja matka powiedziała, że zabrał ją tam, żeby mu pozowała - a potem ją uwiódł. Bardzo mnie cieszy, że wszystko skończy się w miejscu, w którym się zaczęło. - Elise machnęła pistoletem. - Ty przodem, siostrzenico Mirando.

Miranda po raz ostatni zerknęła na brata, po czym odwróciła się. Wiedziała, że pistolet wycelowany jest w jej plecy. Podejrzewała, że dokładnie w sam kręgosłup. Na otwartej przestrzeni będzie miała większe szanse. Może spróbować, jeśli tylko uda jej się na chwilę odwrócić uwagę Elise. Jest wyższa, silniejsza, a co najważniejsze, przy zdrowych zmysłach.

- Policja bardzo uważnie bada tę sprawę - powiedziała, patrząc prosto przed siebie. -

Cook koniecznie chce znaleźć wyjaśnienie. Na pewno się nie podda.

- Po dzisiejszym wieczorze będą mogli zakończyć sprawę. Nie zatrzymuj się. Zawsze chodzisz takim zdecydowanym krokiem, Mirando, rób teraz to samo.

- Jeśli mnie zastrzelisz, jak im to wytłumaczysz?

- Mam nadzieję, że nie będzie to wcale konieczne, ale jeśli będę musiała, włożę pistolet w rękę Andrew, położę jego palce na spuście i ponownie wypalę. Sprawa nieco się skomplikuje, ale w końcu dojdą do logicznego wniosku, że pokłóciliście się w sprawach zawodowych. Ty go uderzyłaś, a on cię zastrzelił. W końcu to twój pistolet.

- Tak, wiem. Po śmierci Richarda też musiałaś nabawić się wstrząsu mózgu.

- Guz na głowie i kilka szwów. Tym sposobem wzbudziłam sporo współczucia i dzięki temu teraz dużo łatwiej będzie mi wybrnąć z sytuacji, nie budząc niczyich podejrzeń.

Jak drobna, wąła kobieta mogłaby zaaranżować tego typu napad?

Dźgnęła Mirandę pistoletem w kręgosłup.

- Obie jednak wiemy, że stać mnie na dużo więcej.

- Tak, wiemy. Będzie nam potrzebna latarka.

- Zabierz ją. Podejrzewam, że wciąż trzymasz ją w drugiej szufladzie po lewej stronie.

Jesteś osobą, która nie zmienia swoich przyzwyczajzeń.

Miranda wyjęła latarkę, błysnęła nią, jednocześnie sprawdzając wagę. Może użyć jej jako broni. Wystarczy poczekać na odpowiedni moment.

Otworzyła tylne drzwi i wyszła na ulewny deszcz. Przyszło jej na myśl, że mogłaby ruszyć biegiem i wskoczyć w gęstniejącą mgłę. Czowała jednak przyciśnięty do pleców pistolet.

Zanim zdołałaby wykonać pierwszy krok, byłaby martwą.

- Wygląda na to, że obie nieźle zmokniemy. Nie zatrzymuj się.

Przemoczona do suchej nitki i smagana wiatrem ruszyła w stronę cypla. Teraz najważniejsza była odległość. Słyszała jak szalejące fale uderzają wściekle o brzeg. Każda błyskawica oświetlała wyraźnie poszarpane brzegi.

- Twój plan się nie powiedzie, Elise.

- Nie zatrzymuj się! Nie zatrzymuj się!

- Nie masz żadnych szans. Jeśli zastrzelisz mnie z tego pistoletu, zorientują się, że musiał być tu ktoś inny. Będą wiedzieli, że nie zrobił tego Andrew, a wówczas cię znajdą.

- Zamknij się! Co cię to obchodzi? I tak będziesz martwa.

- Nigdy nie osiągniesz tego co ja. A przecież o to ci chodzi, prawda? Chcesz mieć moje nazwisko, rodowód, pozycję. Nie uda ci się.

- Mylisz się. Zdobędę wszystko, na czym mi zależy a zamiast niszczyć twoją reputację, po prostu cię zabiję.

- Richard prowadził notatki. - Korzystając z tego, że latarnia zaczęła oświetlać im drogę, przesunęła dłoń na latarce. - Wszystko dokładnie zapisywał w notesie.

- Kłamiesz!

- Jest w nim naprawdę wszystko, Elise. Odnotowywał każdy swój krok. Będą wiedzieli, że miałam

rację. Nawet jeśli zginę, stanę się sławna, a twoje wysiłki pójdą na marne.

- Suka. Kłamliwa suka.

- Podobno bardzo kiepsko kłamię.

Zacisnęła zęby i podjęła błyskawiczną decyzję. Z całych sił uderzyła w wyciągniętą rękę trzymającą pistolet. Udało jej się powalić Elise na ziemię, skoczyć na nią i sięgnąć po pistolet.

Nagle zdała sobie sprawę, że się przeliczyła. To, że była przy zdrowych zmysłach, wcale nie dawało jej przewagi. Elise walczyła jak zwierzę, kłapiąc zębami i orząc ciało paznokciami. Staczając się po kamienistym gruncie na skraj urwiska Miranda poczuła piekący ból na szyi i płynącą po niej stróżkę krwi.

Wbiegając do domu, Ryan głośno zawołał ją po imieniu a potem nie przestawał

krzyczeć, kiedy pędził po schodach, nie zatrzymując się ani na chwilę. Serce zamarło mu w piersi na widok leżącego Andrew.

Nagle usłyszał grzmot, a potem rozlegające się echem odgłosy wystrzałów. Strach chwycił go za gardło, kiedy wypadł na taras.

W świetle błyskawicy dostrzegł na urwisku dwie splecione ze sobą kobiety. Pokonując poręcz i zeskakując w dół, odmawiał pierwsze słowa modlitwy. Nagle zobaczył, że obie postacie zniknęły.

Każdy oddech zamieniał się w szloch i palił w gardle. Ból przenikał całe ciało, wokół

unosił się zapach krwi i potu. Schwyciła śliską kolbę pistoletu, usiłując ją obrócić w drugą stronę. Raz i drugi wywinął koziołka w jej ręce, a potem w uszy wwiertł się niespodziewany huk.

Ktoś krzyczał, krzyczał i krzyczał. Próbowwała znaleźć jakiś uskok i zaprzeć się stopami, okazało się jednak, że nogi wiszą jej w powietrzu. W rozbłyskach światła widziała pochyloną nad sobą wykrzywioną twarz Elise. Miała otwarte usta, odsłonięte zęby i oczy, w których czaił się obłąd. To właśnie w nich przez jedną przerażającą chwilę Miranda zobaczyła własne odbicie.

Gdzieś w oddali ktoś rozpaczliwie krzyczał: Mirando! Słyszając swoje imię, obróciła się gwałtownie i wraz z przyczepioną do niej Elise przetoczyła się poza skraj przepaści.

Usłyszała kobiecy śmiech, a może płacz. Orała palcami po skale i ziemi, czując, że coś ciągnie ją w dół.

W myślach przemknęło Mirandzie tysiąc modlitw i tysiąc beładnych obrazów. Skala wbijała się w jej ciało, kiedy usiłowała przywrzeć do ściany urwiska. Oszalała ze strachu, ciężko dysząc, obejrzała się przez ramię i zobaczyła białą twarz Elise oraz jej ciemne oczy.

Zauważyła nawet, że Elise jedną ręką puszcza skalę, by wymierzyć z pistoletu... a potem spada.

Drżąc i szlochając, Miranda przycisnęła policzek do zimnego kamienia. Czuła potworny ból mięśni i palenie w palcach. W dole zawsze tak przez nią kochane morze huczało niecierpliwie, jakby nie mogło się doczekać.

Poczuła niemiłe ściskanie w żołądku i zrobiło się jej niedobrze. Starając się pokonać nudności, wystawiła twarz na strugi ulewnego deszczu i spojrzała na znajdujący się o jakieś trzydzieści centymetrów nad jej głową skraj urwiska. Przez chwilę obserwowała wiązkę światła padającego ze starej wieży i przecinającego ciemność, jakby chciało ją poprowadzić.

Nie umrze w ten sposób. Nie może tak zginąć. Uparcie wpatrując się w cel, usiłowała znaleźć choćby najmniejsze oparcie dla stóp. Z ogromnym trudem podsunęła się w górę o dwa centymetry, a potem następne, w końcu jednak grunt osunął się jej spod nóg.

Wisiła na zakrwawionych czubkach palców, kiedy zza brzegu wychylił się leżący na brzuchu Ryan.

- Jezu, słodki Jezu. Mirando, trzymaj się. Patrz na mnie, Mirando, patrz na mnie.

Chwyć mnie za rękę.

- Ześlizguję się.

- Złap mnie za rękę. Musisz odrobineczkę podciągnąć się do góry. - Sam zaczepił się nogami o śliską skałę i wyciągnął do niej obie ręce.

- Nie mogę się puścić. Mam sztywne palce. Nie mogę się puścić. Spadnę.

- Wcale nie. - Pot spływał mu po twarzy i mieszał się z kroplami deszczu. - Chwyć mnie za rękę, Mirando. - Choć odczuwał paniczny strach, uśmiechnął się do niej. - No dalej, doktor Jones. Zaufaj mi.

Każdy oddech kończył dzikim urywanym szlochem. Miranda wreszcie oderwała zdrętwiałe palce od skały i sięgnęła po jego rękę. Przez jeden przerażający moment miała wrażenie, że znajduje się o włos od śmierci. Chwilę później poczuła rękę Ryana na swoim nadgarstku.

- Teraz daj mi drugą. Muszę mieć obie.

- O Boże, Ryane. - Nie widząc nic ze strachu, puściła rękę.

Kiedy Ryan poczuł cały jej ciężar, myślał, że lada chwila oboje spadną. Cofnął się odrobine, przeklinając deszcz, który sprawiał, że ich ręce ślizgały się, a kamienie były gładkie jak szkło. Na szczęście Miranda mu pomagała, podpierając się stopami. Jej oddech przypominał syk, gdy obydwójce zdobywali się na nadludzki wysiłek.

Gdy dotarła do występu skalnego, oparła się na łokciach, przy okazji zdzierając z nich skórę, a Ryan podciągnął ją kilka ostatnich centymetrów na górę.

Kiedy na niego opadła, wziął ją w ramiona, przytulił do siebie i przez chwilę kołysał

się z nią w strugach deszczu.

- Widziałem, jak spadałaś. Myślałem, że nie żyjesz.

- Nie żyłabym. - Ukryła twarz na jego piersi, słuchając jak mocno i gwałtownie bije mu serce. Gdzieś z oddali dobiegło piskliwe zawodzenie policyjnych syren. - Gdybyś nie przyszedł. Nie utrzymałabym się dłużej.

- Wytrzymałabyś. - Odchylił do tyłu jej głowę i spojrzał w oczy. Na twarzy miała krew. -
Wytrzymałabyś - powtórzył. - A teraz przytul się do mnie. - Wziął ją na ręce i zaniósł
do domu.

- Nie odchodź przez chwilę.

- Nie odejdę.

EPILOG

Jednak to zrobił. Powinna przewidzieć, że tak się stanie. Co za sukinsyn. Zaufaj mi, powiedział. I zaufała. Uratował jej życie jedynie po to, by ją zostawić.

Niespokojnie krążąc po sypialni, Miranda przypomniała sobie, że chwilę zaczekał.

Tkwił przy niej, dopóki nie opatrzone jej rany i siniaków. Został u jej boku, aż nabrali całkowitej pewności, że Andrew nic nie grozi.

Obejmował ją opiekuńczo i dodawał otuchy, kiedy relacjonowała koszmar, przez który przeszła z powodu Elise.

Nawet trzymał ją za rękę, kiedy przedstawiali Cookowi nieco zmienioną przez Ryana wersję wydarzeń. Pozwoliła mu na to. Potwierdziła wszystko, co powiedział, upiękzyła nawet pewne szczegóły, by uchronić go przed więzienną celą.

W końcu uratował jej życie. Gnida.

Potem zniknął bez ostrzeżenia. Spakował się i wyjechał.

Nie miała wątpliwości dokąd. Tylko on oprócz niej wiedział o garażu. Pojechał po *Czarną Damę*. Nie wątpiła, że Ryan ją ma, *Dawida* również. Prawdopodobnie zdążył je już sprzedać za okrągłą sumkę jednemu ze swoich klientów i teraz wygrzewa się w słońcu na jakiejś plaży w tropikach, sącząc poncz i smarując olejkiem tyłek jakiejś blondynki.

Jeśli kiedykolwiek ponownie go zobaczy... lecz oczywiście nie ma na to żadnych szans. Wszystkie sprawy służbowe dotyczące umowy załatwiał kierownik jego galerii.

Wystawa okazała się ogromnym sukcesem. Przyniosła wymierne korzyści, tak samo jak pomoc w rozwiązaniu zagadki kilku morderstw.

Miranda odzyskała reputację. Międzynarodowa prasa zamieszczała entuzjastyczne artykuły na jej temat. Odważna i wspaniała doktor Jones.

Elise chciała ją zniszczyć, tymczasem zrobiła z niej bohaterkę.

Mimo to nie miała brązu ani Ryana.

Musi pogodzić się ze świadomością, że nie będzie miała ani tego, ani tego.

Teraz została sama w dużym pustym domu, ponieważ po wyjściu ze szpitala Andrew zajął się swoją narzeczoną. Był szczęśliwy i wracał do zdrowia, a Miranda bardzo się z tego cieszyła. I potwornie mu zazdrościła.

Bez wątpienia odzyskała dobre imię. Instytut należy do niej, a choć rodzice nadal jej nie kochają,

przynajmniej zaczęli darzyć ją szacunkiem.

Mimo to jej życie nie miało sensu.

Musi się czymś zająć. Niecierpliwie przeczesła palcami włosy. Skorzysta z rady, której wszyscy jej udzielają, i pojedzie na długie zasłużone wakacje. Kupi sobie bikini, opali się i nawiąże jakiś romans.

O tak, to rzeczywiście może się zdarzyć, pomyślała ponuro. Otworzyła drzwi prowadzące na taras i wyszła na zewnątrz, by skorzystać z uroków ciepłej wiosennej nocy.

Powietrze było przesycone wspaniałym zapachem kwiatów, które zasadziła w ogromnych kamiennych donicach. Słodko pachniały lewkonie, goździki i werbena. Miranda powoli uczyła się czerpać radość z rzeczy małych. Cieszyć się.

I ulegać nastrojowi chwili.

Jasny, prawie biały księżyc wzeszedł nad morzem i wędrował wśród gwiazd; w jego blasku krajobraz wyglądał trochę niesamowicie i dziwnie tajemniczo. Morze śpiewało niespokojną pieśń, która wzbudziła w Mirandzie dziwną tęsknotę.

Ryana nie było od dwóch tygodni. Wiedziała, że nie wróci. W końcu stało się tak, jak miało się stać. W jego życiu były rzeczy ważniejsze od Mirandy.

Na pewno sobie z tym poradzi. Jest już na najlepszej drodze. Rzeczywiście zrobi sobie wakacje, ale spędzi ten czas tutaj. W domu. Zacznie tworzyć ognisko domowe, którego nigdy nie miała. Doprowadzi do porządku ogród, każe pomalować ściany. Kupi nowe zasłony.

I już nigdy w życiu nie zaufa żadnemu mężczyźnie! Może wierzyć tylko sobie.

- Wyglądałabyś jeszcze ładniej, gdybyś miała na sobie długą powiewną suknię.

Nawet nie drgnęła. Ciągle jeszcze potrafiła nad sobą panować. Powoli odwróciła głowę.

Uśmiechał się do niej. Jak przystało na złodzieja, miał na sobie czarne ubranie. Stał w sypialni Mirandy i uśmiechał się.

- Dzinsy i podkoszulek... - ciągnął - ... chociaż całkiem nieźle uwydatniają twoje kształty, nie mają tyle uroku co jedwabna wieczorowa suknia fruująca na wietrze. - Wyszedł

na taras. - Witaj, doktor Jones.

Przyglądając mu się, czuła, jak jego palce gładzą jej policzek, dotykają miejsca, gdzie znajdował się znikający już siniak.

- Ty sukinsynu! - wycedziła i zdzieliła go pięścią w twarz. Siła ciosu sprawiła, że musiał się cofnąć o kilka kroków do tyłu i zakręciło mu się w głowie. Mimo to nie stracił

równowagi. Ostrożnie poruszył szczęką i starł krew z ust.

- No cóż, można mówić „cześć” i w taki sposób. Najwyraźniej mój widok nie napawa cię zbyt radością.

- Napawałby mnie, gdybym patrzyła na ciebie przez stalowe pręty, ty draniu.

Wykorzystałeś mnie i okłamałeś. Powtarzałeś, że mam ci zaufać, a przez cały czas chodziło ci tylko o brąz.

Przesunął językiem po dziąsłach i poczuł krew. Cholera jasna, ta kobieta ma całkiem niezły prawy prosty.

- To stwierdzenie nie jest do końca prawdziwe. Zaciśnęła pięści, gotowa ponownie ich użyć.

- Pojechałeś do Florencji, prawda? Wyjechałeś stąd, wsiadłeś do samolotu i udałeś się do Florencji po obie statuetki.

- Oczywiście, przecież mówiłem ci, że mam taki zamiar:

- Nędzny złodziejaszek.

- Jestem złodziejem doskonałym. Nawet Cook tak uważa, chociaż nigdy nie zdoła tego udowodnić. - Ponownie się uśmiechnął i przeczesał palcami gęste ciemne włosy, które rozwichrzyła łagodna bryza, nadając mu bardzo seksowny wygląd. - Teraz jednak przeszedłem już na emeryturę.

Złożyła ręce. Wciąż ją bolało lewe ramię po wydarzeniach pamiętnej nocy na urwisku, lecz kiedy je podtrzymywała, cierpienie było znacznie mniejsze.

- Sądzę, że możesz całkiem nieźle na niej żyć dzięki pieniądзом uzyskanym ze sprzedaży obu brązów.

- Michał Anioł wart jest tyle, że człowiek nie musiałby w ogóle pracować, nawet gdyby przyszło mu żyć kilka razy. - Wyjął cygaro i obserwował, jak Miranda zaciska z bezsilnej złości pięści. - To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Kopia była dobra i do pewnego stopnia oddawała jej doskonałość, ale nie zdołała oddać jej serca, umysłu ani osobowości. Trudno mi uwierzyć, że ktoś, kto widział obie statuetki, mógł je pomylić.

Czarna Dama inaczej śpiewa, Mirando. Jest niezrównana.

- Ona jest własnością Włochów. Powinna znajdować się w muzeum, gdzie ludzie mogliby ją oglądać, a naukowcy badać.

- Wiesz, że po raz pierwszy powiedziałaś o niej w taki sposób? Wcześniej zawsze mówiłaś „brąz” albo „statuetka”, nigdy „ona”.

Odwróciła się, by popatrzeć na lśniący w świetle księżycy ogród, który teraz należał

już do niej.

- Nie mam zamiaru dyskutować z tobą na temat zaimków.

- To coś więcej, i sama o tym wiesz. Nauczyłaś się czegoś, co zaniedbywałaś przez wszystkie minione lata, goniąc za wiedzą. Sztuka żyje.

Wydymuchał obłoczek dymu.

- Jak czuje się Andrew?

- Teraz nagle chcesz rozmawiać o mojej rodzinie. W porządku. Całkiem nieźle sobie radzi. Tak samo Elizabeth i Charles. - Tak właśnie teraz o nich myślała. - Każde z nich wróciło do swojego życia, które wiodą jedno z dala od drugiego. Elizabeth opłakuje wprawdzie stratę *Czarnej Damy*, ale jakoś się pozbierała. Gorzej znosi ból zadany przez Elise, która nadużyła jej zaufania i przywiązania. - Miranda odwróciła się. - Doskonale rozumiem Elizabeth. Wiem, co to znaczy zostać wykorzystaną i odepchniętą.

Miał ochotę podejść do niej bliżej, potem jednak zmienił zdanie i oparł się plecami o ścianę. Przy obecnym nastroju Mirandy próba jej uwodzenia, przeprosiny czy miłe słówka nie dałyby żadnego rezultatu.

- Oboje wykorzystaliśmy się nawzajem - poprawił. - I cholernie dobrze nam to wyszło.

- Ale teraz koniec z tym - powiedziała stanowczo. - Po co przyszedłeś?

- Chcę zaproponować ci układ.

- Naprawdę? Dlaczego miałabym wchodzić z tobą w jakiegokolwiek układy?

- Przychodzi mi na myśl kilka powodów, ale wcześniej chciałbym poznać odpowiedź

na jedno pytanie. Dlaczego nie wydałaś mnie policji?

- Ponieważ mam zwyczaj dotrzymywać słowa.

- Doprawdy? - Kiedy nie odpowiedziała, wzruszył ramionami, ale to go trochę zaniepokoiło. - W takim razie w porządku. Wracamy do sprawy. Mam coś, co chciałabyś zobaczyć.

Przerzucił cygaro wysokim łukiem nad poręczą i wrócił do sypialni.

Przyniósł torbę i wyjął z niej starannie zawinięty pakunek. Zanim go rozwinął, wiedziała, co to jest, była jednak zbyt oszołomiona, by się odezwać.

- Jest wspaniała, prawda? - Trzymał statuetkę jak mężczyzna ukochaną, bardzo ostrożnie i zaborczo. - Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Przed taką kobietą mężczyźni padają na kolana, a ona o tym wie. Nie zawsze jest miła, ale na pewno fascynująca. Nic dziwnego, że dla niej popełniono

morderstwo.

Przyjrzał się bacznie Mirandzie. Promienie księżyca połyskiwały na jej włosach i ramionach.

- Znalazłem ją zamkniętą w metalowym pudle, na dnie kufra w zakurzonej garażu, gdzie nawiasem mówiąc, ukryty był samochód Elise. Kiedy wyjąłem tę statuetkę i po raz pierwszy trzymałem ją w rękach, mógłbym przysiąc, że słyszałem dźwięki harfy. Czy wierzysz w tego rodzaju omamy słuchowe, doktor Jones?

Sama tę muzykę niemal słyszała, nie tylko we śnie.

- Dlaczego ją tu przyniosłeś?

- Sądziłem, że będziesz chciała znowu ją zobaczyć. Upewnić się, czyją mam.

- Wiedziałaś, że ją masz. - Nie mogła się opanować. Podeszła bliżej i czubkami palców dotknęła uśmiechniętej twarzy. - Wiem to od dwóch tygodni. Byłam tego pewna, gdy tylko zdałam sobie sprawę, że wyjechałeś. - Przeniosła wzrok z brązu na jego twarz. Jego piękną zdradziecką twarz. - Nie spodziewałam się, że wrócisz.

- Jeśli mam być całkiem szczery, ja również się tego nie spodziewałem. - Postawił

brąz na kamiennym stole. - Oboje zdobyliśmy to, na czym nam zależało. Ty odzyskałaś dobre imię. Ostatnio stałaś się nawet dość sławna. Zostałaś zrehabilitowana i wszyscy wychwalają cię pod niebiosa. Sądzę, że znaleźli się już wydawcy i ludzie z Hollywood, którzy chcą, żebyś sprzedała im swoją historię.

Rzeczywiście tak było i Miranda czuła się z tego powodu bardzo zakłopotana.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Zmierzam do tego - mruknął. - Dotrzymałem umowy. Nigdy nie obiecywałem, że zwrócę ci *Dawida*, a jeśli chodzi o nią, mówiłem jedynie, że ją znajdę, nic więcej. Znalazłem ją, więc należy do mnie, ale możemy zawrzeć nową umowę. Czy bardzo chcesz ją mieć?

Starła się nie okazywać zdumienia.

- Chcesz mi ją sprzedać? Chcesz, żebym kupiła skradzione dzieło sztuki?

- Prawdę mówiąc, raczej chodziłoby mi o wymianę.

- Wymianę? - Przyszedł jej na myśl tak upragniony przez Ryana Cellini. I Donatello.

Poczuła, że swędzą ją dłonie. - Co chcesz za nią?

- Ciebie.

Pędzące myśli zatrzymały się w piskiem.

- Co takiego?

- Dama za damę. To chyba jest fair.

Dotarła do końca tarasu i wróciła. Doszła do wniosku, że Ryan jest gorszy niż gnida.

- Spodziewasz się, że się z tobą pokocham w zamian za Michała Anioła?

- Nie bądź głupia. Jesteś dobra, ale nikt nie jest aż tak dobry. Chcę dostać wszystko.

Ona jest moja, Mirando. Mógłbym nawet domagać się znaleźnego, chociaż byłoby to nieco ryzykowne. Tymczasem to ja ją mam, a nie ty. Kilka dni temu ku własnemu niezadowoleniu doszedłem do wniosku, że bardziej zależy mi na tobie niż na niej.

- Nie rozumiem cię.

- Owszem, rozumiesz. Jesteś zbyt bystra, by nie rozumieć. Możesz ją mieć. Możesz postawić ją na gzymsie nad kominkiem lub oddać Florencji. Możesz użyć jej do podpierania drzwi i gównem mnie to będzie obchodzić, ale w zamian za to będziesz musiała dać mi to, o co proszę. Bardzo chciałbym zamieszkać w tym domu.

Poczuła potworny ucisk w klatce piersiowej.

- Chcesz tu mieszkać? Przymrużył oczy.

- Wiesz, doktor Jones, nie sądzę, żebyś udawała tępą. Widocznie nic nie kapujesz.

Tak, chcę mieszkać w tym domu. To odpowiednie miejsce do wychowywania dzieci. Zrobiłaś się blada jak ściana. Boże, to jedna z tych rzeczy, które w tobie tak kocham. Nie potrafisz ukryć szoku, ilekroć coś jest sprzeczne z logiką. Kocham cię, Mirando, kocham bez pamięci.

Wydała dziwny niezbyt zrozumiały dźwięk. Jego oświadczenie podziałało na nią jak uderzenie obuchem w głowę.

Podszedł do niej bardziej rozbawiony niż przestraszony. Stała nieruchoma jak posąg.

- Naprawdę muszę obstawać przy dzieciach, Mirando. Jestem Irlandczykiem i Włochem. Czego innego się po mnie spodziewałaś?

- Prosisz mnie, żebym wyszła za ciebie za mąż?

- Staram się do tego dojść. Może cię to nieco zdziwi, ale dla mnie wcale nie jest to łatwiejsze niż dla ciebie. Powiedziałem, że cię kocham.

- Słyszałam.

- Cholerna, uparta... - Urwał, po czym gwałtownie zaczerpnął powietrza. - Chcesz mieć ten brąz, prawda?

- Zanim zdołała odpowiedzieć, chwycił ją ręką za brodę. - Kochasz mnie. - Kiedy ściągnęła brwi, uśmiechnął się.

- Nie próbuj wmawiać mi, że to nieprawda. Gdybyś mnie nie kochała, zrezygnowałabyś ze mnie w mgnieniu oka, kiedy tylko zdałaś sobie sprawę, że pojechałem po nią sam.

- Skończyłam z tym.

- Kłamiesz. - Pochylił głowę i wpił się w jej usta.

- Zgódź się na ten układ, Mirando. Nie będziesz żałować.

- Jesteś złodziejem.

- Emerytowanym. - Jedną rękę położył na jej biodrze, a drugą sięgnął do kieszeni. -

Proszę, zrobmy to oficjalnie.

Obroniła się przed jego pocałunkiem i jednym szarpnięciem uwolniła rękę, kiedy zaczął wsuwać jej na palec pierścionek. Ku własnemu zaskoczeniu i zadowoleniu stwierdziła, że to ten sam, który dostała od niego już wcześniej.

- Nie bądź tak głupio uparta. - Ujął rękę Mirandy, rozprostował jej palce i wsunął pierścionek. - Zgódź się na ten układ.

Poczuła znajomy ucisk w klatce piersiowej. To serce ponownie zaczęło bić.

- Czy zapłaciłeś za ten pierścionek?

- Jezu. Tak, zapłaciłem.

Przez chwilę przyglądała się brylantom, obserwując, jak błyszczą. Doszła do wniosku, że Ryan może się trochę podenerwować. Miała nadzieję, że tak jest.

- Oddam ją Włochom. Chociaż może. trudno będzie mi wytłumaczyć, jak znalazła się w moich rękach.

- Coś wymyślimy. Cholera jasna, zgódź się.

- Ile dzieci?

Powoli jego twarz rozjaśniał uśmiech.

- Pięcioro. Parsknęła śmiechem.

- Proszę. Dwoje.
- Troje, z możliwością dalszych negocjacji.
- Troje i na tym koniec.
- Zgoda. - Zaczął pochylać głowę, ale uderzyła go dłonią w klatkę piersiową.
- Jeszcze nie skończyłam.
- Skończyłabyś, kochanie, gdybym cię pocałował - powiedział z taką arogancją, że z trudem pokonała śmiech.
- Żadnych dodatkowych zajęć - powiedziała sztywno.
- Niezależnie od powodów. Skrzywił się.
- Niezależnie od powodów? A jeśli będą istotne?
- Niezależnie od powodów.
- Jestem na emeryturze - wymamrotał potulnie, choć musiał pomasować bolące miejsce w okolicy serca. - Żadnych dodatkowych zajęć.
- Oddasz mi wszystkie fałszywe dokumenty, które zdołałeś zgromadzić w czasie swojej burzliwej kariery.
- Wszystkie? Ale... - Urwał. - Świetnie. - Jeśli zajdzie taka potrzeba, zdobędzie następne. - Co dalej?
- To powinno wystarczyć. - Dotknęła palcami jego policzka, a potem ujęła w dłoń jego twarz. - Kocham cię bez pamięci - szepnęła, ponieważ tak ogromną wagę przywiązywała do jego słów, że chciała powiedzieć mu to samo. - Zgadzam się na ten układ. Wezmę cię, ale to oznacza, że ty weźmiesz mnie. Wraz z klątwą Jonesów. Przynoszę pecha.
- Doktor Jones. - Dotknął wargami wnętrza jej dłoni. - Twój pech właśnie przestał cię prześladować. Zaufaj mi.